

Piraci komputerowi rozsyłają w świat wirusa, który otwiera na twardym dysku „tylne drzwi”, umożliwiające terrorystom zdalne kontrolowanie komputerów elektrowni atomowych, banków, linii lotniczych, laboratoriów farmaceutycznych, wodociągów. Cyfrowa epidemia paraliżuje cały świat.

Zapobiec technologicznej katastrofie może tylko jedna osoba - Amerykanka Emma Shannon, która ze swoim dawnym francuskim przyjacielem, informatykiem, wyrusza na poszukiwanie antidotum, informatycznego klucza, który pozwoli na uniknięcie totalnego chaosu. Tylko gdzie go szukać? W podziemiach Pałacu w Wersalu? Na sporządzonym w 1662 roku przez architekta królewskich ogrodów Le Nôtre'a planie ogrodów? W tajemniczej formule matematycznej, którą tam zapisano i która dowodzi istnienia Boga?

Doskonały thriller, którego scenariusz zdaje się urzeczywistniać najgorsze obawy i zagrożenia XXI wieku.



cyfrowa katastrofa

ERIC MEYER CHRISTIE KERDELIANT

cyfrowa

katastrofa

Z języka francuskiego przełożyła Lilia Teodorowska



Tytuł oryginału: LA PORTE DEROBEE

Copyright © Editions Robert Laffont, Paris, 2007 Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copyright © 2008 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga Zdjęcie na okładce: Corbis

Redakcja: Ewa Penksyk - Kluckowska Korekta: Magdalena Bargłowska, Bożena Sęk

ISBN: 978-83-7508-148-0

Sprzedaż wysyłkowa: www.merlin.cora.pl www.empik.com www.soniadraga.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o. PI. Grunwaldzki 8-10,40-950 Katowice tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28 e-mail:

info@soniadraga.pl www.soniadraga.pl

Skład i łamanie: DT Studio s.c, tel. 032 720 28 78, fax 032 209 82 25

Katowice 2008. Wydanie I Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Ten kto umiera bogaty, umiera w nielasce.

- DALE CARNEGIE

*Dla Pierre'a-Alexandre'a Dla Nicolasa, Alexis, Laurenta iMatthieu
za okazaną cierpliwość oraz kilka meczów piłki nożnej poświęconych dla redakcji tej książki.*

PROLOG

Zanim nacisnął Enter, Owen Makresh pomyślał o swoim bracie Karimie, który zginął 11 września 2001 roku w wielkim zgiełku World Trade Center. Dokładnie sześć lat później nadeszła pora, kiedy tak samo jak brat, zostanie bohaterem.

Odwrócił się w stronę Dmitriego a jego uśmiech zamienił się w grymas. Tego ranka przylecieli razem do Tallina, w Estonii, rejssem z Dżakarty, z międzylądowaniem w Moskwie. Autobusem dojechali do centrum estońskiej stolicy, następnie pieszo dotarli do baru usytuowanego w średniowiecznej dzielnicy, na końcu brukowanej uliczki. Organizacja zaopatrzyła ich w fałszywe paszporty oraz kartę magnetyczną umożliwiającą przekroczenie dwojga drewnianych drzwi NoKu. Miejsce nie było dostępne dla szerokiej publiczności, tylko stali bywalcy mieli tu wstęp. NoKu to „młoda kultura”, ale w estońskim żargonie oznacza również „penisa”.

- Wiesz, o której jutro przyjdą pozostali? - szepnął Dmi-tri, pokonując drzwi wejściowe.

- Gwiżdżę na to - odparował Owen. - Do pierwszej fazy ty i ja wystarczymy w zupełności.

O tej porze prywatny klub był prawie pusty. Normalne, przecież to środa po południu. Kilku młodych Rosjan sączyło przy barze znane piwo saku. Muzyka, rock z krajów bałtyckich, tłumiała rozmowy. W głębi sali liczne boksy kryły najnowsze PC, których monitory lśniły w mroku. Wszystkie komputery miały połączenie z Internetem. Można było

stąd skontaktować się bardzo szybko z każdym miejscem na świecie.

Owen spojrzął na zegarek: 17.43. Dał znak Dmitriemu, aby podszedł do znajdującej się w głębi wnęki. W sąsiednim boksie jakiś nastolatek, prawdopodobnie Rosjanin, jak można było sądzić na podstawie wyrazów, które dużymi literami wyświetlały się na ekranie, ściągał pornograficzne obrazki i wstawiał je do zwiastuna kolejnego filmu George'a Lucasa. Obok niego młoda kobieta w skórzanej kurtce, z krótko przystrzyżonymi włosami, tworzyła stronę startową jakiegoś portalu. Owen miał wystarczająco dużo czasu, żeby zauważyć wyświetloną nazwę: *American Expresss*, przez trzy „s”. Bez wątplenia fałszywa wersja prawdziwej strony American Express. Technikę phishingu hakerzy znali od ośmiu czy dziewięciu lat, ale nadal była w użyciu. Polegała na fabrykowaniu identycznej z oficjalną strony dużej instytucji. Fałszywa różniła się tylko niewielkim detalem, na przykład jedną literą. Nieuważni użytkownicy, sądząc, że znajdują się na stronie swojego banku, spontanicznie podawali dane i hasło...

Owen dobrze znał te oszustwa, lecz dzisiaj patrzył na nie z pogardą. Już się nie bawił na tym podwórku. To co ma zrobić, dokładnie w ciągu kolejnych dwudziestu czterech sekund, jest całkiem innego kalibru.

Jego twarz nie wyrażała najmniejszej nerwowości, w gestach nie widać było krzty wątplenia. Owen czuł, że prowadzi go, odurza perspektywa tego, co ma wypełnić. On, mały, pogardzany, nędzny, ten, który zawsze żył w cieniu swojego brata, za kilka chwil także znajdzie się na kartach Historii.

W tym momencie wyobraził sobie falę uderzeniową, którą spowoduje. Wiedział, jaki będzie jej zasięg. Lecz nikt, nawet on, nie mógł na tym etapie określić wszystkich jej konsekwencji. W jego głowie pojawił się obraz Karima. Już sześć lat minęło od dnia, gdy jego brat spłonął w boeingu 747, który wbił się w południową wieżę.

Ten film tysiąc razy przewinął się w myślach Owena. Z pewnością Karim zginął na miejscu, jak większość pasażerów. Być może nawet z uśmiechem na ustach... Ponieważ, w przeciwieństwie do tych wszystkich psów, on się nie bał. On przecież wiedział, dokąd poleci samolot, już zanim wszedł na jego pokład. A w chwili uderzenia nie siedział wśród pasażerów. Znajdował się w kabinie pilotów, na miejscu kapitana... którego udusił dziesięć minut wcześniej.

Owen zaśmiał się szyderczo, kładąc dłoń na myszce komputera. Zamknął oczy, chcąc lepiej usłyszeć ciche kliknięcie klawisza, który miał wcisnąć. I chwilę przed lekkim naciśnięciem klawisza palcem rzucił do Dmitriego, który właśnie do niego dołączył:

- Jeszcze dziesięć sekund, bracie, i będziemy panami świata.

1

Emma Shannon postawiła walizkę marki Lancel przed drzwiami pokoju numer 17 w hotelu Overlord. Wyjęła z kieszeni kartę magnetyczną, wsunęła ją do otworu w zamku i czekała na kliknięcie. Lubiła ów dyskretny sygnał otwierający przed nią drzwi znanego jej świata: hotelowy pokój.

Tym razem jednak nic nie usłyszała. Wskaźnik pozostawał uparcie czerwony. Emma Shannon przetarła pasek karty

0 podszewkę garsonki i spróbowała ponownie. Bezskutecznie. Etażowy, który pojawił się właśnie w głębi korytarza, natychmiast spostrzegł wyraz irytacji na jej twarzy.

- Pani karta nie działa?

- Niczego nie da się przed panem ukryć.

- Mamy w recepcji problemy informatyczne. Najwyraźniej szwankuje główny serwer. Otworzę pani kluczem uniwersalnym.

Emma pchnęła drzwi do pokoju. Czuli się zmęczona

1 zdenerwowana. Uprzejmość etażowego niczego nie zmieniła. Kiedy docierała do hotelu, zwłaszcza po męczącej podróży, nie znosiła żadnych przeciwności. Jak zwykle skierowała się w stronę łóżka najbardziej oddalonego od okna. Ponieważ często bywała w tych identycznych wewnątrz miejscach, nadawała im swoje oznaki, swoje punkty odniesienia, które pomagały jej zdobyć pozorny spokój. Położyła więc walizkę na łóżku i otworzyła ją. Na wierzchu leżała piżama z niebieskiego jedwabiu, którą zawsze zabierała w podróż. Odsu-

nęła następnie grube zasłony w oknie, aby zobaczyć widok. Podobnie jak w ubiegłym tygodniu w Barcelonie czy miesiąc wcześniej na Kubie poczuła się rozpieszczana. Okna pokoju 17 wychodziły na morze. Widziała groble tworzące sztuczny port, te betonowe barki sprowadzone do zatoki przez amerykańskie okręty 6 czerwca 1944 roku.

Emma podziwiała długą wstęgę morskiej piany, która zdawała się obrebiać niebo, po czym przesunęła wzrokiem po białych żaglach, które w oddali odcinały się od turkusowej tafli. Słońce niebawem skryje się w morzu. Na koniec tego lata wody kanału La Manche miały kolor Karaibów.

„Francuzi mają naprawdę szczęście - pomyślała Amerykanka rozpogodzona na chwilę tą wizją. - Mają do wyboru palmy i Alpy, morza ciepłe i morze lodu, a wszystko na terytorium mniejszym od Kalifornii. I jeszcze się skarżą!”

Pokój był przestronny, jasny, przepelniony żółtymi i czerwonymi blaskami słońca, dzięki którym przypominał domy w Prowansji i płótna Van Gogha, ulubionego przez jej matkę. Już przy wejściu zauważyła także telewizor z płaskim ekranem zawieszony na ścianie dokładnie naprzeciw łóżka. Wzięła do ręki pilota i poszukała kanału CNN. Gdziekolwiek na świecie się znajdowała, lubiła odnajdywać refren tej sieci - *This is CNN, befirst to know!* „Oglądacie CNN, dowiedzcie się pierwsi”. Generalnie nie należała do osób, które ostatnie dowiadywały się o najświeższych wydarzeniach na świecie. Alarmy docierały bezpośrednio na jej telefon komórkowy. Toteż nie słuchała CNN dla wiadomości, ale po to, żeby odetchnąć powietrzem swojego kraju. W Bangkoku, Abu Zabi, Tokio lub jak tego wieczoru, nad brzegiem kanału La Manche, wszędzie tam, dokąd wiodły ją interesy i konferencje, ona, wyobcowana, odnajdywała z tym programem więź podobną do pepowiny, matczynego głosu, niemal zapach ojczyzny. Przez długi czas walczyła z tym dziecięcym odruchem, lecz zauważyła, że wielu kolegów różnych narodowości rów

niez posiada taki rodzaj automatyzmu Pawiowa. Na przykład Francuzi, gdy przyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych, nie spoczną, póki nie znajdą jakiegoś „bistra”, w którym podają „prawdziwą” kawę... Arromanches. Znała. Lubiała. Women's Annual Congress od dobrych dziesięciu lat prowadził swój letni uniwersytet w Overlordzie. „Prawdziwa operacja desantowa”, mawiali miejscowi. Co roku, na zakończenie sezonu turystycznego, kohorty samotnych kobiet w średnim wieku przez cały tydzień przetaczały się wąskimi uliczkami niewielkiego normandzkie-go miasteczka. Taksówkarze, właściciele kafejek i trafik zacierali ręce. Starzy rybacy, którzy widzieli tamtą operację desantową, w roku 1944, parskali śmiechem, stojąc na grobli. Główne obchody feministycznego święta, na którym Emma była w tym roku jednym z gości honorowych, rozpoczęły się w ubiegłą sobotę i miały zakończyć w piątek. Amerykanka zamierzała spędzić na nich trzy ostatnie dni; jej córka, Rebecca, ma dołączyć do niej na weekend i razem zwiedzą region: plaże Utah, Omaha, Gold, Juno, ale również cmentarze wojskowe oraz jeśli wystarczy im czasu, półwysep Co-tentin przypominający Irlandię.

Jeszcze trzy godziny do kolacji. Emma zastanowiła się, czy wykorzystać ten czas, żeby pójść na plażę, czy raczej powinna po raz ostatni przejrzeć swoją jutrzejszą prezentację: „Czy kobiety są lepszymi kierownikami niż mężczyźni?”. Ostatecznie usiadła na łóżku i rozpuściła włosy, delektując się chwilą wytchnienia. Kiedy była w delegacji, lubiła przekształcać te przerwy w chwile „tylko dla siebie”. Rzadkie epizody, które czasami, przez przypadek, pojawiały się w jej przeładowanym kalendarzu, między dwoma spotkaniami, dwoma zebraniem, dwoma wyjazdami. Jej najlepsza przyjaciółka, która przeżyła ciężki wypadek samochodowy, powtarzała regularnie: czym jest szczęście, jeśli nie gromadzeniem „codziennych okruszek” przyjemności?

Ale tego popołudnia Emma nie umiała pozbyć się uczucia niepokoju i przygnębienia, które odczuwała od samego rana i które teraz się wzmagало. Czy to z powodu długiej podróży z Londynu do Arromanches? Czy może chłodnego wiatru, który właśnie się zerwał? Incydentu z kartą do pokoju? Nie. Po prostu nie chciała przyznać przed samą sobą, co wzmogło jej złe samopoczucie. Obraz, który męczył ją od chwili, gdy minęła recepcję. Sylwetka, którą z oddali zauważyła w holu. Przez ułamek sekundy ten wygląd, styl, ostry profil wydały jej się znajome.

Podeszła do barku, otworzyła puszkę coli light, zdjęła garsonkę i bluzkę w kolorze antracytu i rzuciła na łóżko. Następnie, ubrana tylko w czarną bieliznę, wyciągnęła się na drugim łóżku, spoglądając na otwarte drzwi balkonowe i starając się wyrzucić z pamięci ten uporczywy obraz, aby lepiej wykorzystać ów moment w niemal znajomej scenerii. Co prawda nie była u siebie, nic tu nie należało do niej, lecz po latach spędzonych w podróży tak dobrze nauczyła się oswajać te bezosobowe miejsca, że zaczęła się zastanawiać, czy hotelowe pokoje nie są ostatecznie jej domem".

- Wszystko to, co jest mi drogie, nie należy do mnie, nic z tego, co do mnie należy, nie jest mi drogie - wyszeptała.

Znalazła kiedyś ten cytat w wypowiedzi jednego ze znanych globtroterów, ale im więcej mijało czasu, tym bardziej uważała go za dyskusyjny. To prawda, Emma posiadała rzeczy, które naprawdę należały do niej i leżały jej na sercu: jej dom rodzinny w Farmington, liczącym trzy tysiące mieszkańców miasteczku w stanie Minnesota, nawet jeśli tak naprawdę nigdy tam nie mieszkała. Fotografia zrobiona, gdy miała dwadzieścia lat, a powieszona w mieszkaniu w San Francisco, na której jest ze swoją babcią ze strony matki. I kilka listów, które wzięłaby na bezludną wyspę, gdyby pozwolono jej zabrać tylko jedną walizkę... Lecz czy to, co było jej tak naprawdę drogie, należało do niej? Ojciec, który mieszkał

w Brazylii ze swoją trzecią żoną i nigdy nie zostawał w jednym kraju dłużej niż trzy lata? Spotykali się na lotniskach w przerwach między lotami - i całe szczęście, bo nie umieli już ze sobą rozmawiać. Córka Rebecca, która wychowała się we Francji, u swojej babci, i która w wieku siedemnastu lat należy do grona najbardziej obiecujących tancerek Opery Paryskiej? Uwielbiała ją, dzwoniła do niej codziennie i ściągała do Frisco, gdy tylko mogła wziąć kilka wolnych dni. Zdarzało się to jednak nieczęsto, ponieważ Rebecca brała podczas wakacji dodatkowe lekcje u dawnej primabaleriny.

Był też Bradley, przyjaciel Emmy od pięciu lat, bankier, z którym dzieliła życie. Bradleyowi bardzo na niej zależało, była tego pewna, ponieważ jednak żył z kobietą, która przez połowę roku była nieobecna, on również nabrał pewnych zwyczajów: golf z kolegami z banku, zarządzanie akcjami przez Internet, kolekcja kół ratunkowych i wędrowki w parku Yosemite, czasami... Oczywiście za każdym razem, gdy było to możliwe, jeździli tam wspólnie. Ale rzeczywiście tylko za każdym razem, gdy było to możliwe. Czy należą do ciebie istoty, które są ci najbliższe?

„Jedyna rzecz, która naprawdę do ciebie należy, to twoje sny” - pomyślała.

I zagryzła wargi. Całkiem bezwiednie obraz mężczyzny z hotelowego holu nałożył się na obraz Bradleya. Jakby chcąc usunąć powstały w niej zamęt, Emma rzuciła się do swojej torebki i wyjęła z portfela fotografię matki, Anne-Laure Le Ménestrel. Dwa lata minęły od jej śmierci, a Emmie ciągle jej brakowało, zwłaszcza we Francji, w tym kraju, który nigdy tak do końca nie stał się jej krajem mimo spędzonych w nim lat. Jej matka tu się wychowała, a po rozwodzie wróciła, by tu zamieszkać.

- Tęsknię za tobą, mamó - szepnęła. - Brakuje mi ciebie.

Odłożyła fotografię na łóżko i nagle pomyślała z poczuciem winy, że Rebecca musi jeszcze bardziej cierpieć z

powo-

du śmierci babci. I że ona, Emma, bywa tu zbyt rzadko, aby zrekompensować córce ten brak. Sygnał dźwiękowy *World Business News*, ekonomicznego dziennika CNN, odwrócił jej uwagę. Prowadzący mówił

o powtarzających się od rana incydentach związanych z działaniem Internetu. Emma słuchała jednym uchem, ale czytała przesuwający się u dołu ekranu pasek z kursem giełdowym akcji wielkich amerykańskich firm na otwarciu sesji na Wall Street. IBM: 2025 dolarów, -1%; General Motors: 50,75 dolara, -2%; Controlware: 70,25 dolara, +10%. Oto jedyna firma, której udało się uniknąć syndromu 11 września: faktycznie od sześciu lat bowiem w tę przygnębiającą rocznicę traktowano poważnie najbardziej szalone plotki, co często powodowało spadek kursu.

- Dziesięć procent! Mój Boże! Dan zarobił dziś fortunę! - wykrzyknęła Emma po angielsku.

Wzięła ponownie pilota i zrobiła głośniejsze. Prowadzący ogłosił, że na początku 2008 roku Controlware wypuści na rynek nowe oprogramowanie przeznaczone dla szerokiej publiczności. Cena akcji wzrosła w ciągu dwóch dni o 17%. Na ekranie pojawił się uśmiechnięty Dan Barrett, sławny właściciel Controlware.

- Mogli wziąć jakieś wcześniejsze zdjęcie - westchnęła Emma, podciągając kolana pod brodę i popijając kolejny łyk coli.

Rzeczywiście, twarz Dana Baretta zmieniła się. Najbogatszy człowiek świata dojrzał. Nadal udało mu się uniknąć zmarszczek, lecz lata dodały kilka zbędnych kilogramów.

I oczywiście okulary, kwadratowe. Wydawał się jednak bardziej wyluzowany niż kiedyś. Nigdy nie widywano go w garniturze i krawacie, nawet w telewizji. Barrett przychodził do pracy ubrany w czarne spodnie, czarne polo z długim rękawem i sandały założone na boso stopy. Nosił się w wyważonym stylu człowieka, który odniósł sukces. Człowieka bar

dzo bogatego, który podobnie jak człowiek bardzo biedny może utrzymywać, że prawdziwe bogactwo jest w jego wnętrzu. Jeden szczegół sprawiał, że Emma żalowała lat młodości: włosy Dana. Przedziałek w jego dziś już siwych włosach był zupełnie prosty. Wytknęła mu to podczas ich ostatniego wspólnego weekendu.

- To Amelia - odparł Dan, wzruszając ramionami. Od czasu ślubu z Amelią wydawał się jeszcze bardziej niż zwykle obojętny na estetyczną przypadkowość. Tak jakby nie istniały dla niego reguły wyglądu. Ciekawy paradoks u tego człowieka, który nieustannie udowydniał, że jest we wszystkim najlepszy.

W tej chwili jej myślami ponownie zawładnęło wspomnienie osobnika, którego spostrzegła po przyjeździe do hotelu. I znowu poczuła takie samo zmieszanie. I ochotę, żeby zadzwonić do Brada.

Zegarek na jej prawej ręce, który wskazywał zawsze godzinę w San Francisco - ten na lewej ręce ustawiony był na czas w jej miejscu pobytu - pokazywał 8 rano. Nietrudno sobie wyobrazić, co teraz Bradley robi. Z pewnością siedzi na tylnym siedzeniu swojego samochodu na autostradzie nr 1 i czyta „Wall Street Journal”, akcentując swoją lekturę komentarzami przeznaczonymi dla kierowcy. Emma często brała udział w tej scenie. Zbyt często. Pobudka wcześniej rano, wcześniej w pracy, a wieczorem jak najszybciej do domu. No i przede wszystkim żadnych „francuskich śniadań”, jak je nazywał, przekomarżając się z Emmą. Brad był dosyć przewidywalnym mężem.

Amerykanka podniosła do twarzy lewy nadgarstek i powiedziała „Brad”, zwracając się w stronę zegarka. Na małym ekranie pojawił się i wybrał automatycznie numer telefonu męża. Zanim jednak uzyskała połączenie, jakiś głos oznajmił po francusku:

- Połączenie nie może zostać zrealizowane. Proszę spróbować później.

- Do licha! Zawsze to samo z tymi prototypami, działają co drugi raz! Niech na mnie nie liczą w kwestii sfinansowania tego gadżetu!

Od rana Emma testowała ostatni wynalazek niewielkiej londyńskiej firmy: zminiaturyzowany telefon komórkowy w kształcie zegarka. Wczesnym popołudniem w poczekalni na lotnisku udało jej się wykonać kilka telefonów. Wiele osób patrzyło na nią z ciekawością. Ale to nie był wcale koniec testu.

Poszukała w torebce swojej komórki i po starym, naciskając na klawisze, wybrała numer Brada. „Połączenie przerwane”.

- A to co znowu? Czemu nie działa?

Trudno, będzie musiał wystarczyć mejl. Wyjęła laptopa, ostatni model firmy Sony, wsuniętego w wewnętrzną kieszeń walizki i usiadła za biurkiem, niedaleko drzwi balkonowych. Podczas gdy się ładował, skończyła rozpakowywać swój bagaż, rozkładając jego zawartość na półki w szafie, do szuflad w komodzie oraz na stoliku w łazience. Następnie usiadła wygodnie na łóżku, wsunęła jasek pod nogi i zaczęła czytać mejla, którego Bradley wysłał wczoraj wieczorem, a ona ściągnęła dziś rano w Londynie. Oprócz wiadomości dotyczących willi, którą chcieli kupić na wzniesieniach Sausalito, oraz zwyczajowych czułości radził jej rzucić okiem na jedną ze stron internetowych, obiecując „miłą niespodziankę”. Natychmiast kliknęła na załączony na końcu tekstu adres: www.operade-paris.fr. Z pewnością ma to związek z Rebecą.

Ale strona się nie pojawiła. Poziomy niebieski pasek u dołu ekranu, wskazujący czas oczekiwania na otwarcie strony, był zablokowany. Emma zaczęła jeszcze chwilę, po czym straciła cierpliwość. Spróbowała połączyć się z www.fool.com, swoją ulubioną stroną informacji giełdowych. Na próżno. Komputer obracał się w próżni. W końcu na ekranie pojawiło się ostrzeżenie:

„Nie można uzyskać połączenia”. Co się dzieje?

Zadzwoiła do recepcji i wyjaśniła, w języku francuskim, którego znajomość powróciła spontanicznie, że nie udaje jej się ani złapać sieci telefonicznej przez komórkę, ani połączyć przez Internet.

- Pani Shannon, proszę się uspokoić, nie jest pani jedyna! - odpowiedział recepcjonista.

Wymówił jej nazwisko „sza-na”, z silnym francuskim akcentem, ale Emma pilnowała się, by go nie poprawić. Przynajmniej zwrócił się do niej po nazwisku. Rzadko spotykana u Francuzów personalizacja usług. Wolałaby jednak, żeby facet potrafił naprawić system.

- Ach, tak? - odparła. - Dlaczego? Co się dzieje?

- Cała sieć jest zapchana - bronił się pracownik. - Zdaje się, że nawet w Stanach Zjednoczonych nie ma dziś od rana Internetu. Nie słyszała pani? Mówili o tym w radiu!

Recepcjonista wydawał się zdenerwowany.

- Nie macie w hotelu kogoś, kto mógłby to naprawić? - rzuciła Emma.

W dobrze zorganizowanej firmie - zajmowała odpowiednie stanowisko, żeby o tym wiedzieć - problemy natury informatycznej zazwyczaj szybko rozwiązywano.

- Nie, proszę pani, przecież mówię, że to światowa sieć...

W chwili gdy recepcjonista urwał zdanie, Emma usłyszała rozlegający się dźwięk dzwonka drugiego telefonu.

- Przepraszam panią na chwilę, proszę nie odkładać słuchawki.

Usłyszała suche szczęknięcie. Rzucona gwałtownie na ladę słuchawka - stwierdziła Emma, pozostając z uchem przy aparacie.

- Lekarz? Nie proszę pani, jeszcze go nie ma. Ale już jedzie. Tak, ta osoba została przeniesiona do pokoju 12...

Tak,

uczestniczki kongresu trochę panikują: wygląda na to, że przewróciła się na scenie podczas swojego wystąpienia.

Nagle dobiegający z oddali krzyk przerwał stłumiony głos recepcjonisty. To była kobieta, prawdopodobnie inna pracownica hotelu, która musiała znajdować się blisko niego. Emma instynktownie nastawiła uszu:
- Michael, zadzwoń znowu do lekarza, powiedz mu, żeby się pospieszył! Klientka skręca się z bólu na łóżku. Ma wywrócone oczy, myślę, że się przekręci!

2

Pierre wyskoczył z łóżka na równe nogi. To nie był sen: syrena, której przeraźliwe dźwięki rozlegały się pod jego oknem, to samochód strażacki. Wyskoczył na balkon dokładnie w porę, aby zobaczyć zamykające się za noszami drzwi czerwonego samochodu, który ruszył z impetem.

Dzięki Bogu, pomyślał, hotel się nie pali. Bez wątplenia to jakiś nurek, który przekroczył próg dekompresji, lub kąpiąca się ofiara szoku termicznego.

Rzucił okiem na zegarek i zaklął. 7.55! Wczoraj nastawił budzik w komórce na 7.15. Niestety! Kiedy rozległ się dzwonek - głos Freddy'ego Mercurj[^]ego wyśpiewującego na całe gardło *We are the champions* - wyłączył go, machinalnie naciskając czerwony przycisk, i schował twarz w poduszkę, wpychając ręce pod spód, w pozycji „poranne lenistwo”. Gdyby nie strażacka syrena, jeszcze by chrapał. I zawałił spotkanie o 8.15.

Teraz pozostało mu już tylko tyle czasu, by wziąć prysznic, ogolić się i wciągnąć beżowe dockersy. Oraz zejść szybko na śniadanie. Pierre nie znośił pracować z pustym żołądkiem.

Biegając do łazienki, włączył telewizor na LCI. O drugiej " nocy, kiedy kładł się spać, Internet ciągle nie działał. Ale teraz nie miał czasu na to, żeby sprawdzić na swoim komputerze, czy już wszystko w porządku. Miał do wyboru to &lbo kawę.

19

Pod prysznicem dobiegł do niego przerywany głos dziennikarki; mówiła o serii incydentów, do których doszło na północnoamerykańskim kontynencie. Niespodziewanie popsuły się systemy klimatyzacyjne w Nowym Orleanie. Wiele linii lotniczych, w tym Air Canada i Continental, informowało

o opóźnieniach spowodowanych nieprawidłowym funkcjonowaniem ich centrów rezerwacji. Punkty odpraw na lotniskach w Bostonie i La Guardia zostały zamknięte. Najwyraźniej jednak nic nowego na temat Internetu. Pierre wsunął kartę magnetyczną do tylnej kieszeni dżinsów, złapał telefon komórkowy i wyszedł na korytarz, nie wyłączając telewizora. Załedwie wprowadził kod PIN, zaraz rozległ się sygnał odebranej wiadomości SMS. Właśnie miał go przeczytać, kiedy usłyszał za plecami nowy dzwonek. Telefonu w jego pokoju. Kto mógłby dzwonić o tej porze? Wszyscy koledzy z pracy mieli numer jego komórki. Także żona, kiedy był w podróży, dzwoniła zawsze na numer jego nokii. Zdenerwowany otworzył ponownie drzwi i podszedł do nocnego stolika.

-Halo?

- Halo? Pierre, to ty? Rozpoznał głos Clary.

- Tak, cześć! Co słyhać? Masz szczęście, właśnie miałem zejść na śniadanie i już jestem spóźniony. Jeszcze chwila

1 twój telefon dzwoniłby w próżnię. A ponadto dlaczego nie zadzwoniłaś jak zwykle na komórkę?

- Próbowałam wiele razy, ale sieć nie działa! Nie wiem, co się dzieje. W Marsylii od wczorajszego wieczoru nie działają komórki.

- Ach, tak?

Jego chyba działała, bo jakiś SMS czekał na odebranie.

- Tak... Ale nie w tej sprawie dzwonię. Mamy też problem z komputerem. Gaetan musi przygotować na jutro wykład, potrzebuje z Internetu zdjęcia Mont Saint Michel, a w za

20

den sposób nie możemy się połączyć. Nie wiesz, co trzeba zrobić, żeby to naprawić? Mam powyżej uszu tych kompów! Już ostatnim razem...

Pierre wiedział, że kiedy jego żona zacznie mówić, nie sposób jej zatrzymać. Zaczekał na chwilę, kiedy nabierała oddechu, żeby wtrącić:

- Jeśli dasz mi dość do głosu... To nie komputer. Zresztą wiedziałabyś o tym, gdybyś oglądała wiadomości w telewizji. Albo po prostu zadzwoniła do sąsiadów.

Pierre wytłumaczył żonie, że od wczoraj są duże problemy z Internetem. Od południa sieć jest nieczynna. Trudno powiedzieć, o której dokładnie zaczęły się te anomalie, lecz amerykańscy dziennikarze byli przekonani, że ich początek zbiegł się w czasie z rocznicą zamachów 11 września w Nowym Jorku: 8.45 czasu nowojorskiego, pora, o której pierwszy boeing 747 wbił się w północną wieżę World Trade Center. Zresztą możliwe, że równolegle prowadzone były kolejne ataki hakerów.

- No wiesz, nie miałam czasu na oglądanie wiadomości - odparowała clara. - Ani minuty. Wiem tylko tyle, że nasz komputer nigdy nie działa! Jak tylko pojawi się jakiś wirus, zaraz go mamy.

Pierre przesunął dłonią po jeszcze mokrych włosach i westchnął. Próbował powstrzymać irytację. Zawsze to samo. Każdy incydent zakłócający działanie sieci domowych komputerów wywoływał małżeńską kłótnię. Clara robiła Pierre'owi wyrzuty, że - zamiast z nią porozmawiać - „znowu” spędza „swoje wieczory” na instalowaniu nowych programów. „Które niczemu nie służą”. I „zakłócają działanie innych”, w podtekście tego, którego ona używa do oglądania zdjęć koleżanek.

Podczas gdy żona rozwijała swoją litanie, Pierre spojrział na obrazy oraz paski u dołu ekranu pojawiające się na LCI. Prowadzący mówił o zachodzących taśmowo reakcjach w Europie. Loty na lotniskach Orly i Roissy miały opóźnie

nia. Połączenia realizowane przez Eurostar zostały zablokowane w Londynie.

To wszystko - teraz już rozumiał - było bezpośrednio lub pośrednio związane z przerwaniem lub spowolnieniem połączeń internetowych. Oczywiście.

Clara żyła na innej planecie.

- No trudno, zobaczymy później - zawołała. - Teraz odwiozę dzieci na autobus i spotkam się z Sylvie. Znalazła wczoraj jakieś przecenione bluzki na Saint-Charles. A poza tym nie kupiłam jeszcze wszystkiego dla Garance na rozpoczęcie roku, a ponieważ wyjeżdżamy dziś po południu...

Zakupy. Oto co umożliwiło zakończenie rozmowy. Skorzystał z okazji.

- Posłuchaj, kochanie, dzwoniemy się za chwilę? Muszę zejść na dół, wykłady zaczynają się za dziesięć minut.

- Tak... Ale zobaczysz, jaką kokietką staje się twoja córka! Jest czarująca. Wczoraj rano nim wyszła do szkoły, przebierała się dwukrotnie... najpierw włożyła džinsy i zauważyła, że bluzka w kwiatki nie pasuje...

- Clara, muszę iść!

- Tak, kochanie... Zadzwoń później. Buziaki.

- Buziaki.

Pierre z impetem odłożył słuchawkę na nocny stolik. Nie tylko stracił przez Clarę śniadanie, ale poruszyła jeszcze temat, który irytował go od kilku miesięcy: wychowanie córek, Garance i Sixtine. W wieku dziesięciu lat bliźniaczki uważały się za Britney Spears. Dżinsy z niską talią, widoczne stringi, opięte bluzeczki, góra dopasowana do dołu lub nie, zależnie od okoliczności, zawsze po długich czechach gadaninach i kolejnych wizytach w butikach. Jeszcze rok czy dwa lata temu udawało mu się wyciągnąć całą paczkę na wycieczkę rowerem po skalistych zatoczkach, teraz już nie. W sobotnie popołudnia dziewczynki razem z mamą obierały kierunek Bonne-veine, centrum handlowego w Marsylii. I całe trio nie zado

walało się zakupami u Żary lub w H&M. Pewnego dnia Clara wróciła z „zachwycającym” kompletem dla Garance, kupionym u Marie-Puce. Razem: 300 euro zapłacone kartą Visa Premier z ich wspólnego rachunku. Wieczorem, w cztery oczy, Pierre zwrócił jej uwagę, że pensja, którą otrzymuje w swojej niewielkiej firmie, nie wzrosła od pięciu lat, podczas gdy koszty utrzymania rodziny wzrastają beztróska o 5 do 10 % rocznie, razem z lokalnymi podatkami, seansami małżonki u psychiatry oraz gimnazjum dla przedwcześnie dojrzałych dzieci, do którego trzeba było zapisać Gaetana, „ponieważ to dziecko nudzi się w szkole, a nie należy marnować takiego talentu”. Za to kiedy Pierre zainstalował ADSL i połączył obydwie komputery przez Wifi, Clara marudziła, twierdząc, że sprowadzi to do domu jeszcze więcej wirusów.

„Takie jest życie - powtarzał sobie z poczuciem fatalizmu. - Kobieta, którą poślubiłeś w wieku dwudziestu pięciu lat, nie może być taka sama, gdy ma czterdzieści...”

Kiedy wszedł do jadalni w Overlordzie, wiedział, że ma zaledwie pięć minut na przełknięcie malej czarnej. Uczestniczki kongresu napływały do wielkiej sali konferencyjnej. Było zbyt późno, aby wypróbował działanie sprzętu, ale Bernard, kierownik zespołu, z pewnością już się tym zajął. Chociaż... Od ubiegłej soboty, pierwszego dnia seminarium, Pierre zauważył, że technicy często „pozostają w ogniu” w przeciwieństwie do uczestniczek kongresu, które zawsze były na czas. Na pewnym poziomie punktualność jest grzecznością królów ~ powtarzał sobie. Ale tego dnia, jeśli chodzi o punktualność, jego zachowanie wcale nie było królewskie, jeszcze mniej niż Jego chłopaków. I miał to sobie za złe. Women's Annual Congress był jednym z największych klientów firmy S3E (Dźwięk, światło, Wyposażenie komputerowe i elektroniczne)*. To nie był dobry moment na utratę tego klienta.

(fr) - Sonorisation, Éclairage, Équipement et Électronique.

Usiadł przy pierwszym wolnym stoliku i próbował zwrócić uwagę bardzo zaferowanych czymś kelnerów. Przy wejściu dwaj ubrani w mundury żandarmerii rozmawiali z dyrektorem ośrodka. Wszystkie stoliki na tarasie były zajęte, a w środku ludzie potrącaли się w pośpiechu.

„Ale kontrast!” - powiedział do siebie Pierre, spoglądając w kierunku plaży. Ponieważ tego ranka morze było spokojne i jasne jak górskie jezioro. Wczorajszy chłodny wiatr w nocy ustał. Kilka bladoniebieskich plamek pojawiło się na powierzchni wody, pozwalając odgadnąć istnienie w głębi szerokich ławic białego piasku. Jeszcze trochę i można by z tarasu zobaczyć, jak kurki czerwone poruszają płetwami, lśniąc złościście w pierwszych promieniach słońca.

Ale nikt na nie nie patrzył. Siedział na końcu wystającego bezpośrednio z morza tekowego tarasu, najlepiej usytuowane stoliki zostały wzięte szturmem przez grupki kobiet, które gromadziły się, dostawiając kolejne krzesła. Pomimo upału żadna nie miała na sobie letniej sukienki. Większość ubrana była w garsonki ze spodniami, jednolicie czarne lub prążkowane, z wełny w kratkę, zbyt grube jak na tę porę roku. Najleż ubrane miały na sobie dzinsy i bluzki bez rękawków, odsłaniające ich opalone ramiona. Pierre miał wrażenie, że obserwują się nawzajem, jak zwierzęta tego samego gatunku, kiwając do siebie głową lub ręką, żeby nie trzeba było podchodzić. Większość z troską na twarzach trzymała ściśnięte stopami lakierowane torebki, czarne lub brązowe. Odruch mieszkanki miasta kazał obawiać się kradzieży. Pierre już z daleka poznawał styl „wracającej z wakacji bizneswoman”, zestresowanej jeszcze przed rozpoczęciem pracy. Rodzaj kobiet, które psuły mu nastrój.

Jedne stały z gazetą w ręku i zmarszczonymi brwią. Inne stuknęły coś w swoich elektronicznych notesach. W bec tej zgrai bizneswomen, do której jak mu się zdawało, dołączyło kilka aktorek oraz gwiazd telewizji, Pierre czuł się

mały, banalny, wyobcowany. Prowincjusz, jak powiedziałyby paryżanki. Taka jednak była jego dola: jednego z wielu dostawców... nawet jeśli dobrze rozumiał się z numerem dwa Women's Congress, jedyną Francuzką w Komitecie Wykonawczym, Christelle Loric. To ona od trzech lat starała się, żeby otrzymała to zlecenie. Pierre usiłował rozpoznać w grupie kobiet znane mu twarze. Czytał w pozostawionym w jego pokoju numerze „Le Figaro”, że będzie tu Hillary Clinton. Również Ségolène Royal i kilka innych znanych pań prezes, jak Indra K. Nooyi, indyjska szefowa Pepsi Coli. Już po raz trzeci zapewnił elektroniczną logistykę na kongresie i szybko zdał sobie sprawę, że to zgromadzenie, które początkowo postrzegał jako zabawną manifestację niedocenionych przez media kobiet, stanowi swego rodzaju instytucję. Ważne spotkanie rzeczniczek spraw kobiet na świecie. Coś w rodzaju światowego szczytu Kobiet, przez wielkie K. Wygłaszano na nim rozprawy historyczne na temat warunków życia kobiet w krajach muzułmańskich, walki o równouprawnienie płacowe lub omawiano skutki zwycięstwa kobiety w walce o stanowisko amerykańskiego prezydenta. Pierre pamiętał obraz Benazir Bhutto lub Ingrid Betancourt, fotografujących się przed Musée du Débarquement*. Również kilku mężczyzn zaproszono do uczestnictwa w WAC lub do wygłoszenia jakiegoś wykładu, lecz zwykle dopiero na zakończenie kongresu. Nawet dziennikarze nosili spódnice - jeśli tak można powiedzieć, bo raczej widać było obowiązkowe kostiumy ze spodniami.

WAC nie był największym rynkiem dla firmy S3E, która istniała zaledwie od siedmiu lat. Ale dzięki temu klientowi otrzymywała coraz więcej kontraktów w Paryżu, tak że Pierre nosił się nawet z zamiarem opuszczenia Marsylii. Clara

Muzeum Lądowania wojsk alianckich w czerwcu 1944 roku, znajdujące się w Arramanches (przyp. tłum.).

wrzeszczała na myśl, że miałyby wrócić do Paryża, zapominając o depresji, jaką przeszła kilka lat temu, kiedy trzeba było stamtąd wyjechać. Ale taka jest Clara. Wreszcie podszedł źle ogolony kelner.

- Kawę? Życzy pan sobie coś jeszcze? Ton jego głosu brzmiał oschle.

- Nie, już jestem spóźniony... Spieszę się.

- Nie jest pan jedyny.

Kelner wziął filiżankę, nalał kawy i postawił na stoliku zamiast na spodku. Trochę płynu wylało się i zaplamilo obrus. „Posiłki z Paryża” - pomyślał Pierre przekonany, że kelnerzy z prowincji są zawsze bardziej uprzejmi niż paryżanie. Ale ten pracownik sprawiał wrażenie, że mu przykro.

- Dziękuję, to uprzejme z pana strony - powiedział Pierre, wsypując cukier do kawy. - Proszę mi powiedzieć, co się dzieje w hotelu? Zdaje się, że widziałem przed chwil kogoś rannego na noszach...

Zbierający się do odejścia kelner odwrócił się.

- Nic pan nie wie? Pokój sto dwanaście. Wczoraj po południu jedna Szwedka źle się poczuła. Wieczorem wezwano pilnie lekarza... Sądził, że to alergia, i nie skierował jej do szpitala. Moim zdaniem błędna diagnoza. Ale w końcu to co ja mówię...

-Ico?

- Dzisiaj rano znaleziono ją w sypialce i jak się wydaje, w kiepskim stanie. To konserwatorka dzieł sztuki.

Piękna kobieta, słowo daje. Jednak trochę zwariowana: wczoraj w południe poprosiła mnie o darjeeling... a kiedy wróciłem z herbatą, stwierdziła, że zamawiała kawę z podwójną śmietanką! Szalona kobieta! A myślałem, że w tym roku będzie luz. Jest mniej tych superwomen niż zazwyczaj.

Pierre nie patrzył na oddalającego się kelnera. Wziął do ręki telefon komórkowy, aby odczytać SMS-a, który doszedł, kiedy on opuszczał pokój. Wysłał go Franek, dawny kolega

z pracy, z wykształcenia tak jak on informatyk, pracujący w niewielkiej firmie w Aix-en-Provence. W soboty grywali razem w rugby.

WYSŁĘ CI FAKS. NUMER?

On także musiał na próżno próbować skontaktować się z nim bezpośrednio. Czasami kiedy sieci były zapchane, SMS-y jednak docierały. Na wszelki wypadek Pierre nacisnął funkcję oddzwon, by móc bezpośrednio połączyć się z Franckiem. Krótki sygnał, linia zajęta. Postawił na białym obrusie laptopa i zobaczył wyświetloną na ekranie informację operatora:

„Sieć przeciążona”.

Spróbował wysłać SMS-a, tym razem udało się. Tym lepiej, Franek dostanie odpowiedź. Numer faksu hotelu znajdował się u dołu leżącego na stole menu.

Informatyk przedostał się przez panujący przed recepcją Overlorda malstrom i skierował w stronę położonej w tylnym skrzydle budynku auli Eisenhowera. Przyspieszył kroku. Jego nieobecność musiała niepokoić techników. Bez wątplenia jednak mieli takie same problemy jak on. Awaria Internetu. Ciekawa. Nietypowa. Spowoduje kłopoty techniczne, zwłaszcza przy wystąpieniach w układzie dupleksowym. Pracowali z Bernardem do drugiej w nocy, aby znaleźć jakieś rozwiązania. Stąd jego dzisiejsza poduszkowa awaria. Ale Franek... Co tak pilnego miał mu do powiedzenia?

Nagle w wejściu do korytarza prowadzącego do dużej sali, zatrzymał go obraz. Na jednym z zainstalowanych na tę okazję ekranów pokazywano zdjęcia uczestników kongresu. Oczywiście same kobiety. Każde zdjęcie pięć sekund. Sam ustawiał ten program. Ale nie obejrzał całej zawartości. A tu nad świecą informacją *Welcome to the WAC*, napisaną czerwonymi literami, wspólną dla wszystkich fotografii, pojawiła się twarz, którą znał. I to od dawna, dużo wcześniej niż ^{jej} ^ ciorys zaczął figurować na stronach „Finanse” w „Wall

Street Journal". Ale nie widział jej nazwiska w programie. Podeszedł, żeby przeczytać podpis pod zdjęciem: Emma Shannon, gość honorowy.

- Emma! Niewiarygodne! - szepnął, uśmiechając się mimo woli.

Poznał Amerykankę dwanaście lub trzynaście lat temu, w swoim pierwszym miejscu pracy, Supra Data, w czasach gdy pracowała w Paryżu, jeszcze zanim przeniósł się na Canebiere*. Była młodą, szczupłą brunetką, po matce Francuzką, a jej ojciec należał do amerykańskiego korpusu dyplomatycznego. Była ładna, nie w powalający sposób, raczej" należała do dziewczyn, która są piękne, gdy się na nie patrz., W dużej mierze przyczyniały się do tego jej długie, jedwabiste włosy do połowy pleców. Miała doskonale białe i równe zęby, takie jakie umieją robić w Hollywood, co nie przeszkadza im niestety pożerać wszystkich wokół. Emma Shannon dorastała w pięciu czy sześciu różnych krajach, uczęszczaj do najlepszych liceów, potem zrobiła dyplom na Harvar a następnie, aby dodać oryginalny element do swojego rozpoczęła studia na wydziale nauk politycznych w Paryż! W Supra Data, gdzie pracowała trzy lata, miała opinię s^t teczego, lecz mało ugodowego handlowca, źle znoszące zebrania, które rozpoczynały się z opóźnieniem. Ciągłe skarżyła się na metody pracy Francuzów. Zresztą przy pierwszej nadarzającej się okazji wróciła do Stanów Zjednoczonych. W czasach gdy byli z Pierrem kolegami z pracy, kilkakrotnie jeździli wspólnie do klientów i pięć czy sześć razy, nie więcej, zjedli wspólnie obiad. Normalny rytm pozornego koleżeństwa.

Miłość Emmy odkrył dopiero dwa czy trzy lata później. Panna Shannon została dziewczyną Dana Baretta, założyciela Controlware - już wtedy najpotężniejszego

* Canebiere - ulica w centrum Marsylii (przyp. tłum.)..

człowieka na informatycznej planecie. W rzeczywistości ich historia rozpoczęła się o wiele wcześniej, w uniwersyteckich ławach, pod koniec lat osiemdziesiątych, i została przerwana, gdy Emma przyjechała do Francji. Ale po jej powrocie do Ameryki związek odrodził się, zresztą bardziej wirtualnie niż realnie. W oddalonych od siebie o tysiące kilometrów miastach oboje zakochani chodzili o tej samej porze na ten sam film, a wychodząc z kina, dzwonili do siebie, aby podzielić się wrażeniami. W mieszkaniu każdego z nich pełno było internetowych kamerek, żeby mogli być razem, jedząc śniadanie czy biorąc kąpiel. Mejle, MMS-y, czy SMS-y krążyły dniem i nocą, w łóżku i w samolocie. Zresztą w swojej autobiografii *Moje wspomnienia (żywe)* Barrett wspomina o swoich relacjach z Emmą, nie wymieniając jej nazwiska. Mówi przede wszystkim o tym, jak to mieszkając w Bostonie i spotykając się z kobietą z San Francisco, wykorzystywał sieci komputerowe pozwalające mu żyć z nią na odległość.

Ta technologiczna pępowina oczywiście okazała się niewystarczająca, bowiem pionierzy wirtualnego konkubinatu rozstali się ponownie w 1999 roku „z braku kierowania się w życiu tymi samymi priorytetami” (ten szczegół nie znalazł się w książce Baretta, lecz na nieautoryzowanej stronie internetowej). Niedługo potem właściciel Controlware ożenił się z Amelią Gender, ale chodziły pogłoski, że w intercyzie zastrzegł sobie prawo do spędzenia jednego „długiego weekendu” w roku z Shannon. Siedemdziesiąt dwie godziny prawdziwej „burzy mózgow” przeznaczone oficjalnie na spotkanie dwojga protagonistów po to, żeby myśleć o przyszłości świata, technologii, człowieka i tak dalej.

Pierre przeczytał w programie, że Emma jest prezesem i współzałożycielką Berkings & Shannon. Nazwa firmy nie mu nie mówiła. A przez głowę przebiegła mu myśl, że sława Emmy, uzasadniająca jej obecność tutaj, pośród śmietanki

towarzyskiej *executive women*, związana jest w mniejszym stopniu z sumą jej osobistych zalet niżli jej związkiem z Da-nem. Taka refleksja z pewnością sprawiłaby księżniczkę Shannon we wściekłość. Za to zdjęcie doskonale pasowało do jej portretu, który zachował w pamięci. Emma niewiele zmieniła się przez te dwanaście lat. Pierre pomyślał, że jednak miło mu będzie się z nią zobaczyć.

W auli wszystko zdawało się toczyć normalnie. Pięciu techników było na swoich stanowiskach. Pierre poszedł sprawdzić mikrofony i komputery w sąsiednich salach lub pracowniach - work-shopach, jak mawiały te panie - tak żeby o 10.00 mogły zacząć działać. Następnie wrócił na taras: prezydent Chile, Michelle Bachelet, musiała zabrać głos przy śniadaniu. Dwaj technicy starali się zainstalować przekaźnikowe ekrany oraz olbrzymie głośniki.

Nagle przypomniał mu się faks od Francka. Czy jest w nim wyjaśnienie awarii Internetu? Od czasu gdy zaczął zajmować się informatyką, Pierre widział różne incydenty, wirusy, bugi... Zazwyczaj szybko znajdował ich przyczynę. Albo też znajdował informację u jednego z kolegów, dawnego pracownika grupy Doomsday, swoich kumpli, którzy w latach osiemdziesiątych zabawiali się piratowaniem programów. Nic bardzo złego, drobne milutkie wtrącanie się tylko po to, by pokazać, że są najsilniejsi. Zresztą kiedy przedstawiano go jako byłego hakera, Pierre mocno protestował. Większość jego kolegów hakerów, podobnie jak on, powróciła na uczciwą drogę. Znaleźli dobrze płatną pracę w działach badawczych producentów antywirusów.

Pamiętał wirusa Slammer, który w 2003 roku zaatakował samo serce Internetu i zainfekował między innymi elektrownię jądrową Davis-Bess w Ohio. To jeden z jego przyjaciół pierwszy znalazł sposób obrony. Dzisiaj Internet jest już dobrze strzeżony. Sieć naszpikowana jest czujnikami, które ostrzegają specjalistów, gdy tylko

się jakieś anomalie, na przykład nienormalnie szybki (lub słaby) transfer na jakiejś stronie lub w grupie dyskusyjnej. W zasadzie eksperci potrzebują niespełna dwóch godzin na to, by zidentyfikować nowy objaw i aktywować zabezpieczenia. Wtajemniczeni twierdzili, że atak może się powieść tylko wtedy, gdy będzie jednocześnie zmasowany i bardzo szybki. A dokładnie mówiąc, musiałby trwać mniej niż dwie minuty. Przypadek teoretycznie niemożliwy. Teoretycznie... Pierre zbyt dobrze znał się na informatyce, żeby nie wiedzieć, iż w tej dziedzinie często fakty przeczą aksjomatom.

Ale dzisiejsza awaria? Niepojęte było oprócz czasu jej trwania to, że nikt jeszcze nie znalazł jej przyczyn. A zapchane sieci telefonii komórkowej nie ułatwiały wymiany informacji między specjalistami. Skierował się do recepcji. Rzeczywiście czekał na niego faks. W czasie gdy recepcjonista poszedł go przynieść, Pierre rzucił okiem na ekran powieszonoego za kontuarem telewizora; na TFi w specjalnym flashu rozdzwono się na temat kolejek oczekujących na odprawę na lotniskach w Nicei oraz na Orły. Jakiś szef SNCF* recytował do mikrofonów oświadczenie, radząc klientom, żeby nie rezerwowali już biletów na stronie sncf.com. Potem słyhać było trzeszczący głos połączonego telefonicznie korespondenta stacji w Seulu, oznajmiającego, że od kilku godzin cała Korea Południowa pozbawiona jest telefonii komórkowej oraz Internetu i że tam incydent ten wywołuje panikę.

I rzeczywiście, faks od Francka dotyczył awarii Internetu. Był to artykuł w języku angielskim napisany dla internetowego wydawnictwa *znet*, specjalistycznej gazety, który Franek również otrzymał faksem. Pierre zaczął go czytać, idąc po schodach, gdyż tym razem windy były zablokowane.

SNCF — Francuskie Koleje Państwowe (przyp. tłum.).

Masowy atak paraliżuje kręgosłup Internetu - David Blast i Terry McGuire Zdnet.com

Waszyngton, wtorek u września 2007,11.30.

Precyzyjnie przygotowany, skoordynowany i zmasowany atak o godzinie 8.46 trafił w serce sieci internetowej. FBI potwierdziło, że chodzi z pewnością o to, co specjaliści nazywają odmową usługi (distributed denial of service). Ten rodzaj ataku powoduje zalewanie sieci danymi aż do jej wysycenia. Na pytanie, skąd przeprowadzono atak, David Wray, rzecznik Krajowego Ceen-trum Ochrony Infrastruktury, odpowiedział, że jest zbyt wcześnie, aby znane było miejsce oraz autorzy tego występk. FBI potwierdziło, że we wtorek, o godzinie 8.46, dziesięć z trzynastu głównych serwerów nagle przestało działać. Atak został ponowiony godzinę później, unieruchamiając jedenasty serwer. Komputery te, nazywane głównymi serwerami (root servers), stanowią prawdziwie newralgiczne internetowe centrum. Kiedy bowiem jakiś internauta wysyła pocztę elektroniczną lub chce wejść na daną stronę, adres, który wystukuje (na przykład www.cnn.com), musi zostać przetworzony w sekwencję liczb. Sekwencja ta, złożona z czterech trzycyfrowych elementów od 000 do 255 (na przykład 234.020.123.143) i nazywana adresem IP, jest prawdziwym adresem strony. Jest ona przechowywana na serwerach DNS rozsianych po całym świecie. Działają one również jak gigantyczne książki telefoniczne, z których każdego dnia korzystają miliony osób.

Poprzedni atak na główne serwery miał miejsce w grudniu 2000 roku. Amazon, eBay, Yahoo oraz inne wielkie firmy zajmujące się handlem elektronicznym zostały na wiele godzin zablokowane. Wtedy jednak wirus uszkodził tylko osiem serwerów i działanie światowej sieci zostało jedynie spowolnione. Atak DDoS należy do często spotykanych w Internecie ataków, ale ten dzisiejszy zdaje się o wiele poważniejszy i bardziej rozległy. Obawiamy się, że trzeba będzie zatrzymać jednocześnie trzynaście serwerów, aby dokonać ich naprawy. „Ostateczna blokada jest kwestią godzin, może nawet minut - oświadczył Louis Touton, wiceprezes Internet Software Consortium. - To najsilniejszy atak jakiego doznaliśmy w całej historii Internetu”. Wiele osób odpowiedzialnych za strony internetowe zajmujące się ochroną głównych serwerów, z którymi się skontaktowaliśmy, potwierdza te opinie, lecz pragnie zachować anonimowość. Jedna z nich użyła terminu „informatyczne tsunami”.

Dotarłszy na swoje piętro, Pierre zaklął. Zrozumiał, co kryje się za kilkoma technicznymi terminami występującymi w artykule: chodzi o informatyczne trzęsienie ziemi, o nowego rodzaju tsunami. Internet stał się celem dla niszczycielskiego wirusa. Żyjątko jeszcze silniejsze i bardziej nieustępliwe niż Blaster, Slammer, SoBig oraz wszystkie ich klony krążące przez ostatnie lata.

Proces był prosty. Musiał zostać rozpowszechniony rewolucyjny wirus, dyskretny i zdolny do samodzielnego uruchomienia się o określonej dacie i godzinie - bez wątplenia drogą mejlową - w milionach maszyn. Wirus ten przekształcił te wszystkie anonimowe komputery w zombi, w niewolni

ków ślepo posłusznych rozkazom. I wszystkie zombi wysłały, jednocześnie i we wcześniej ustalonym momencie, tak wiele żądań do centralnych serwerów internetowych, że spowodowało to eksplozję systemu. Takie uszkodzenie wydawało się jednak nieprawdopodobne. Ponieważ oprócz trzynastu głównych serwerów DNS, o których mówił artykuł, istnieje wiele tysięcy serwerów nazywanych mirrorami, wykorzystywanych jak swego rodzaju pośrednie książki telefoniczne; gdy internauta szuka jakiejś strony, jego żądanie nie trafia bezpośrednio do serwera głównego, lecz zostaje przetworzone przez jeden z mirrorów. Niewiarygodny wydawał się fakt, że one również uległy awarii. Ponadto Pierre był przekonany, iż jest rzeczą praktycznie niemożliwą, aby trzynaście serwerów wysiadło jednocześnie. Wszystkie wyposażone są w systemy bezpieczeństwa, które alarmują, jeśli tylko poziom obciążenia jest zbyt wysoki, trochę tak jak wtedy, gdy rzeka grozi wystąpieniem z brzegów. Jeśli sygnały alarmowe nie zadziałały, czy oznacza to, że zostały zdezaktywowane przez kogoś, kto pracuje wewnątrz pomieszczeń, w których zgromadzone są maszyny? Hipoteza była trudna do przełknięcia. Większość serwerów znajdowała się w posiadaniu wyższych uczelni. Zasadniczo piraci komputerowi nie atakowali tego rodzaju instytucji. Wspólnota hakerów chętnie wybierała za cel wielkie grupy przemysłowe, monopole, Dana Baretta, lecz nigdy instytucje edukacyjne ani organizacje non profit. W jej łonie panowała swego rodzaju nieoficjalna religia, kodeks dobrego zachowania dżentelmenów korsarzy. Słuchano piosenki Boba Dylana *Kiedy wybierasz życie poza prawem, należy także wybrać uczciwość*. Podziwiano Legion of Doom oraz Chaos Computer Club, ale - gdzieś w głębi - bardziej starano się pokazać, w jaki sposób świat mógłby lepiej funkcjonować, niż go zniszczyć. Czy ów cichy pakt rycerzy informatyki został zerwany?

Pierre przeczuwał, że atak, którego doświadcza, ma nie tylko o wiele większy zasięg niż drobne elektroniczne utarczki znane światu do tej pory, ale że całkiem inny jest jego cel.

U dołu drugiej strony Franek nagryzmolił kilka słów. W przytłumionym świetle korytarza Pierre miał kłopoty z odczytaniem drobnego maczku przyjaciela. Wszedł do pokoju i włożył faks pod małą halogenową lampkę na biurku. Wtedy mógł przeczytać wyraźnie:

„Pierre, tym razem to Big One”. Big One było trzykrotnie podkreślone.

Pierre usiadł na łóżku jak zamroczony. To niemożliwe. Franek przesadza.

Big One. Ostateczny wirus. Taki, na który nikt nic nie poradzi. Który spowoduje wysadzenie sieci. Sparalizuje nowoczesne urządzenia oraz instalacje. Serwery w firmach, wieże kontroli lotów, centrale telefoniczne, PC bezpieczeństwa, instalacje nuklearne i... Pierre znał ciąg dalszy. Big One to cyfrowa dżuma, cholera elektronicznego społeczeństwa. Wirtualna epidemia, na którą nikt nie zna antidotum.

Stary koszmar męczący informatyków. Właśnie się realizował.

3

Na początku było Słowo. Słowo było Bogiem. A ja byłem Słowem.

Gdy miałem dziesięć lat, fascynował mnie Ludwik XIV. Gdy miałem lat dwanaście - Napoleon. Tylko Francuzi zdawali się sądzić, że ich cesarz jest większym rewolucjonistą niż Król Słońce. Dla mnie jednak między obydwoma władcami nie było żadnej różnicy. Tak naprawdę interesowało mnie jedno: dorównać im. Tak jak oni wpisać się do Historii. Ale przypadek sprawił, że pewnego dnia stanąłem w obliczu tajemnicy ich wielkości. Tajemnicy, która pozwoli mi na zawsze wyryć się w ludzkiej pamięci. Lepiej: osiąść pamięć ludzi. *Dzisiaj tylko ja jeden na świecie jestem w posiadaniu tej wspaniałej prawdy. Jeśli wysłuchasz mnie do końca, ty, moja najdawniejsza powierniczko, zostaniesz depozytariuszką ogromnej tajemnicy, przez trzy wieki zazdrośnie strzeżonej przez królów Francji. Setki ludzi umarło w jej imię. Może ona jednak uratować życie milionom. Zależy to już tylko od ciebie.*

W angielskim słownictwie istnieje kilka powszechnie znanych francuskich wyrażań. Na przykład „Rendez-vous” określające miłosne spotkanie. Także „Jancée” oraz „café”. Jednak moim ulubionym wyrażeniem jest „Cherchez la femme”, poszukaj kobiety. Znajdą je nawet portorykańscy

taksówkarze w Nowym Jorku. Jest pełne realizmu. U źródeł wszystkiego zawsze pojawia się kobieta... nawet w moim przypadku - mnie, którego życie prywatne, tak grzeczne i banalne, nigdy nie interesowało mediów - wystarczyło znaleźć kobietę - w tym przypadku ciebie - abym został przejrany na wylot. Teraz już o tym wiesz, ponieważ czytasz te linijki.

Wszystko zaczęło się u września 2003 roku, wkrótce miną dwa lata. Data, której nie sposób zapomnieć. Amelia robiła mi zarzuty, że nie zostajemy w Stanach Zjednoczonych na obchody rocznicy zamachu na World Trade Center. Brak patriotyzmu - mówiła. Myślę, że nigdy niezrozumiała, w jaki sposób kocham swój kraj i go bronię. To prawda, nie cenię hymnów, sztandarów i gwiazdzistych chorągiewek, takich, jakie nasi rodacy przyczepiają do swoich samochodów kempingowych. Albo idiotów na stadionach. Dlatego nie znoszę sportu. Z wyjątkiem odrobiny pływania oraz mojego porannego joggingu.

Tamtego rana, właśnie tego ranka, gdy wszystko się zaczęło, biegałem w parku w Wersalu. Nigdzie na świecie nie ma piękniejszej promenady. Kiedy widziało się, jak pierwsze promienie słońca budzą fontanny, posągi, stuletnie drzewa, kiedy widziało się, jak pierwszy cień rozciąga się na Tapis Vert i wytycza w alejkach tajemnicze bariery, kiedy widziało się, jak wieczorem Apollo płonie w czerwieni zachodzącego słońca, nigdy się tego nie zapomni. Ipowraca się tam. Zimą w ciszę Farny Królowej. Latem w wielki bal turystów na Sadzawce Lustra. Wersal jest jak kochanek. Wersal jest jak kochanka. Wersal jest jak narkotyk. Nawet jeśli mój plan dnia we Francji jest przeladowany - a tak jest zawsze - wstaję o 5 rano, aby przebiec po śladach Króla Słońce.*

Wyszedłem, jak zwykle w tamtych czasach, z apartamentu w hotelu Trianon Palace, gdzie mieszkałem pod za-

Zielony Dywan - ogromny trawnik w ogrodach Wersalu (przyp. tłum.).

pożyczonym nazwiskiem. Muszę tak robić, bowiem moje rodowe nazwisko rzadko pozostaje niezauważone, nawet we Francji, gdzie jednak mogę jeszcze poruszać się incognito. Było chłodno i lekka mgła spowijała Wielki Kanał. Biegłem szybko wzdłuż stawu w stronę południowego boku.

„Dwadzieścia kilometrów na godzinę, biegiesz za szybko, zwolnij!”

Syntetyczny głos, który docierał z połączonej z butami bezprzewodowej słuchawki, sygnalizował mi przebyty dystans, średnią prędkość... a zwłaszcza liczbę spalanych kalorii. Potrzebowałem tego: od kilku tygodni Amelia wywierala na mnie presję. Nie przepuściła żadnej okazji, żeby zasygnalizować obecność tłuszczu na biodrach. Mawiała, że ostatnimi czasy zbyt często rezygnuję z joggingu i pływania. Miała rację.

Powietrze miało beżowy kolor przechodzący w róż, przesycone było wilgocią, roznosząc ów zapach wilgotnej trawy, który nie przypomina ani wsi, ani miasta. Po dziesięciu minutach biegu mijalem Fontannę Apollina i jak zwykle nie mogłem oprzeć się chęci podziwiania sylwetki młodego boga Słońca, z wodzami w dłoniach, rozcinającego wodę ciągniętym przez cztery konie rydwanem, otoczonego trytonami i morskimi stworami. Rzeźby Tuby'ego, lśniące całym swym blaskiem w promieniach wschodzącego słońca, zafascynowały niejedną osobę. Przyznam ci się, że mnie również, i to prawie wbrew mojej woli.

Biegłem szybko dalej wśród Wielkiej Perspektywy: Tapis Vert - długi, pod sznurek przystrzyżony trawnik, którego brzegi ozdobiono posągami; Sadażawka Latony - gigantyczna rzeźba z centralną postacią słynnej matki, w otoczeniu dzieci ucepionych jej szaty. A z tyłu sto schodów oraz widoczny pod światło pałac. I wszędzie cienie królów, królowych, cesarza, cienie sztuk i nauk humanistycznych. Co za rozkosz za każdym razem! Jakże daleka wydaje

mi się Dolina Krzemowa i jej banalne domy stojące wzdłuż autostrady i, Manhattan i jego biura zawieszane w chmurach, Boston i jego ogrodzenia z szarego materiału, który dwadzieścia lat temu wybrałem na siedzibę Controlware... Ameryka, jej miasta bez historii, jej parki przemysłowe, których pamięć zawarta jest na dwóch dyskietkach. Tutaj, w tych majestatycznych i staroświeckich amfiladach, czuję, jak wzbiera we mnie przyjemność odkrywania Historii. Tej wielkiej. Historii Francji oczywiście, ale w chwili, gdy staje się ona historią świata.

Na Parterze Latony, aby zmusić do pracy moje kostki, biegłem ślalomem pomiędzy drzewkami pomarańczowymi posadzonymi w wielkich drewnianych skrzyniach i odetchnąłem dopiero przed posągiem ukochanej małżonki Zeusa.

„Rozluźnij kark!”

Głos elektronicznego trenera kazał mi wykonać serię lekkich obrotów głowy w celu rozluźnienia kręgów szyjnych. Nadal dbam o te ćwiczenia, które ty wykonywałaś byle jak, gdy biegaliśmy razem, jak zresztą to wszystko, co nie wydawało ci się natychmiast użyteczne lub skuteczne.

Kilka metrów ode mnie, zgięty wpół, z metrówką w dłoniach, jakiś mężczyzna mierzył średnicę Fontanny Jaszczurek. Lub mówiąc dokładniej, północnej sadzawki, ponieważ na Parterze Latony istnieją dwie Fontanny Jaszczurek, umieszczone w takiej samej odległości. Mężczyzna miał około trzydziestu lat, był wysoki, niezgrabny, miał wyostrzony Profil i lniane włosy, których rachityczne kosmyki spadały na szyję. Przyglądałem mu się przez kilka minut. Ponieważ sadzawka jest okrągła, zdawało się, że ma trudności z

„trzymaniem miary w odpowiednio zakrzywionej pozycji-“Ji- Zdziwiła mnie jego technika: dobrze wiesz, że istnieją dziesiątki o wiele mniej rudymen tarne sposoby robienia polarów. Nawet we Francji.

- Hello!

- Dzień dobry!

Młody człowiek podniósł się i spojrzał na mnie zaintrygowany. Czy mnie rozpoznał?

- Mogę panu pomóc?

- Tak, dziękuję, dziękuję... Może mi pan potrzymać miarę? Tam, na końcu?

Schyliłem się, naciskając kciukiem na długą taśmę. Jak dowiedziałem się później, mężczyzna mierzył odległość pomiędzy Fontanną Latony a początkiem bosketu, który ciągnął się z lewej strony królewskiej alei. Aby to zrobić, musiał przebyć Sadzawkę Jaszczurek.

- Jest pan jednym z pałacowych ogrodników? - zapytałem. - Albo zajmuje się pan fontannami?

- Niezupełnie.

- Mogę zapytać, co pan robi?

Zadałem pytanie po angielsku. Oczywiście mój francuski poprawił się w spektakularny sposób od czasu studiów. Już słyszę, jak mówisz: „Dzięki mnie”!... Tak, z pewnością dzięki tobie, gdy po chwilach miłości piliśmy wino, a ty mówiłaś do mnie po francusku, wymawiając się tym, że romantyczne słowa przychodzą ci łatwiej w tym języku... W rzeczywistości mój francuski - wybacz to, co powiem - poprawił się dzięki repetytorowi, który sobie sprawił po naszym rozstaniu! Tak więc dobrze się czuję w tym języku, lecz - znasz mnie - nie znoszę przybliżeń.

Mierniczy wstał i odrzekł poprawną angielszczyzną:

- Jest pan bardzo ciekawski... Amerykanie są zawsze ciekawscy.

Nic nie odpowiedziałem. Facet wydawał mi się dziwny i nie zamierzałem długo tam zostawać. Westchnął, po czym jednak zaspokoił moją ciekawość.

- Co ja tutaj robię? To chyba oczywiste, nie? Pomiary.

- Ręcznie?

40

-Tak.

-Możesz pan konserwatorem? Mierzy pan tę kamienną podmurówkę, nim zacznie się jej restauracja?

- Jest w doskonałym stanie!

Zmuszał mnie do zabawy w zgadywanki, ale wiesz, że moja cierpliwość szybko się kończy. Zdał sobie z tego sprawę.

- Mierzę ją po to, żeby...ją zmierzyć - rzucił. - Tak jak zmierzyłem wszystkie fontanny, sadzawki, aleje, wszystkie grupy drzew, wszystkie posągi! Ich wysokość, szerokość, głębokość cokołów...

Tym razem pomyślałem sobie, że mu się coś pomieszało. Gdybyś widziała, jak był ubrany! Zbyt luźne džinsy, zakurzone trampki i czarna bluza z białym ręcznym napisem „nofuture”, w stylu Bena - tego francuskiego artysty, z którym spotkałaś mnie pewnego wieczoru przed kilkoma laty. Miał zapadniętą policzkę, a jego małe czarne oczka tworzyły dwie wąskie szczeliny w bladej twarzy.

- Przecież to musiało zająć panu całe tygodnie!

- Chce pan powiedzieć: miesiące. I to dopiero początek.

- A po co cała ta praca?

Zrobił wielkie oczy, jakby go dziwiło, że nie zrozumiałem od razu.

- Do licha, żeby sporządzić plan!

Tym razem ja poczułem się zbity z tropu. Mój rozmówca rozejrzał się wokół siebie, po czym rzucił półgłosem:

- Wydaje się to wielce nieprawdopodobne, lecz nie istnieje żaden plan wersalskich ogrodów.

Naprawdę był pokrecony... Nie ma planu ogrodów! Stwierdzenie wydało mi się tak głupie, że darowałem sobie odpowiedź. Tyle widziałem tych planów, w przewodnikach i książkach na temat pałacu, szkiców z odpowiednim komentarzem, rozmieszczeniem sadzawek, ich nazwami, oznacze

niem... Tylko wariat mógłby sądzić, że ich nie ma. W chwili gdy zbierałem się do odejścia, zatrzymał mnie.
- Proszę nie odchodzić! Nie przedstawiliśmy się sobie... Jestem Bertrand Lerowc, architekt krajobrazu. A pan?

- Barrett. Dan Barrett.

- Dan Barrett! - powiedział, przyglądając się mojej słuchawce. - Częściowo się domyślałem... Nie jest pan zbyt ceniony we Francji, prawda? Pomimo miliardów dolarów, które daje pan teraz biednym.

Nie miałem ochoty rozpoczynać tej dyskusji. Francuzi - często o tym rozmawialiśmy - zupełnie nie cenią miliardów. Nawet jeśli ci poświęcają swoją fortunę na walkę z ubóstwem na świecie. W tym kraju ludzie wolą, żeby to państwo zajmowało się biednymi, pobierając od bogatych podatki.

Na szczęście Lerowc zmienił temat.

- Ta dziwna słuchawka... Do czego służy? Podałem mu urządzenie.

- Przekazuje mi informacje z połączonego z butami mikroprocesora. Absolutne чудо! Wskazuje mi odległość, szybkość, moc, poziom kwasu mlekowego i...

Lerowc odwrócił wzrok, cofnął się o kilka kroków i znowu wziął do ręki swoją miarę, nagle obojętny na to, co mówię, na moją obecność. Jakby w tym królewskim ogrodzie był to tylko jakiś nieważny szczegół. Nie byliśmy w Stanach Zjednoczonych... Tam każdy ogrodnik już by mi wetknął swoją wizytówkę.

- Myśli pan, że opowiadam głupoty, prawda? - rzucił nagle. - Ma pan rację, istnieje cała masa map i planów ogrodów... Nawet daje się turystom przy wejściu. To prawda, wiadomo wszystko o tym, w jaki sposób posągi i grupy drzew rozmieszczone są w stosunku do siebie. Są też ryciny z tamtych czasów, szczegółowe plany oraz plany ogólne!

- Więc na Boga, co pan tu robi?

Moja słuchawka sygnalizowała, że się oziębiam. Tym razem odłożył miarę.

- Me wie pan tego - powiedział z zapalem - że te wszystkie plany zostały sporządzone przez rysowników, nie geometrów! Artystów, nie techników! Czy też, dzisiaj, przez specjalistów od marketingu! Każdego bawiło uwypuklenie tego, co jemu wydawało się ważne. Dokładna skala? Wierność linii? Phi! Może pan zapomnieć! Niech pan spróbuje nałożyć na siebie wszystkie plany, zobaczy pan: nigdy nie otrzyma pan wiernej reprodukcji ogrodów. Mission impos-sible. Proszę mi wierzyć! Na dzień dzisiejszy nie istnieje żaden szczegółowy i kompletny plan parku.

- Niech mi pan nie mówi, że nie ma zdjęć satelitarnych! A kiedy ma się takie zdjęcia, szybko sporządza się plan!

- Oczywiście. Jednak konserwatorzy z Wersalu nie wykonali go. Może mi pan wierzyć, przegrzebałem archiwa!

- Przyjmijmy. Przyjmijmy, że nie sporządzili planu albo że nie chcą go panu pokazać... Ale przecież pan nie potrzebuje konserwatorów, żeby otrzymać zdjęcia satelitarne! Wystarczy wziąć Shadows Local World.

Może pan przybliżyć obojętne którą grupą drzew, zmierzyć i...

- Shadows Local World? A, tak... Sądzi pan? Machnął ręką, dając do zrozumienia, że rozwinięta przez Controlware strona internetowa nie ma dla niego żadnego znaczenia. Ciekawy naród ci Francuzi... Tak często oporni na nowe technologie. Zwłaszcza jeśli pochodzą one od Amerykanów. Może to jest właśnie to - pomyślałem, patrząc, jak niłody człowiek składa miarę - objaw ich zazdrości wobec mojego kraju. Kraju, który ukradł im dumę, dumę z bycia Politycznymi i kulturowymi przy wódcami na świecie. Przeklećci Francuzi! Tak skorzy do krytyki naszego kulturowego ^{imperializmu} i nieobawiający się przyznać Legii Honorowej Stevenowi Spielbergowi! Jak daleki jest czas wzajemnego

i bezwarunkowego podziwu między naszymi krajami! Czas, kiedy markiz La Fayette był u nas bohaterem. Kiedy Benjamin Franklin był uwielbiany w paryskich salonach. Kiedy Thomas Jefferson został zaproszony na obrady Konstytuanty...

Sądziłem, że mi powie, że nasze obrazy nie są wystarczająco dokładne lub że zdjęcia satelitarne nie pozwalają na pomiar wysokości oraz objętości. Ale jego odpowiedź okazała się zaskakująca jak na chłopaka w tym wieku.

- Wie pan, w życiu często jest tak, że aby coś zdobyć, trzeba się namęczyć. Trzeba być stachanowcem. Pewne rzeczy pojawiają się tylko wtedy, gdy się pracuje, szuka, wylewa pot, by je znaleźć. A niektóre są widoczne tylko gołym okiem. Historycy tego nie rozumieją. Starają się odtworzyć przeszłość na podstawie tekstów. My, architekci krajobrazu, wychodzimy od tego, co da się zobaczyć, zmierzyć, od realnej przestrzeni! I dopóki pozostaną rzeczy, które nas będą intrygować, nie spoczniemy. No, ale tutaj, jestem tego pewien, to prawie koniec!

- Ciekawe, co pana intryguje? - nie ustępowałem. Napiąłem nogi, położyłem ręce na biodrach, wracając do ćwiczeń uelastyczniających. Facet pochylił się, żeby wziąć ponownie miarę, i podniósł na mnie wzrok.

- Och, to nie jest żadna tajemnica - powiedział, robiąc zawiedzioną minę. - „Wielbłądy”. Ten park pełen jest „wielbłądów”.

- „Wielbłądów”? Camels? Roześmiał się.

- Nie, nie camels, nie dwugarbnych dromaderów... Nie! Samych garbów! Anomalii! Tak się nazywa dziwactwa występujące wewnątrz jakiejś uporządkowanej całości. Niespójności, jeśli pan woli, które znajdujemy w ogrodzie, którego styl jest zresztą harmonijny. Szczegóły, które nie pasują, rzeczy, które nie pozostają w zgodzie z resztą, rozumie pan? Do dzisiaj wyodrębniliśmy ich trzynaście.

Odwrociłem się w kierunku fasady pałacu. Fontanny Luster, Latony, Jaszczurek, schody prowadzące do Wielkiej Perspektywy... Wszystko to wydawało mi się właśnie doskonale uporządkowane, skalkulowane, proporcjonalne. Gdzie ten osioł architekt krajobrazu mógł znaleźć niepasujące szczegóły?

- Takie ogrody jak te w Wersalu nie są ogrodami, panie Barrett: topalimpsest - ciągnął, robiąc kilka kroków w stronę Tapis Vert. Wersal to swego rodzaju pergamin, na którym odcisnęły się, jeśli tak można powiedzieć, różnego rodzaju działania. Najpierw ogrodnika Ludwika XIII, potem Le Nôtre'a za Ludwika XIV - te najważniejsze, i wreszcie jego następców: oczywiście Hardouina-Mansarta, ale także architektów Ludwika XV, Ludwika XVI czy Napoleona. Każdy chciał dołożyć coś od siebie!

Szerokim gestem zakreślił ciągnącą się w stronę Wielkiego Kanału perspektywę. Ale do czego on zmierzał? Jaki ma to związek z „wielbłądami”? Domyślając się mojej niepewności, zakasał rękawy bluzy i wyciągnął rękę w stronę obszernej strefy, w kierunku Tapis Vert.

- Widzi pan tamten posąg i wazę? -Eee... tak...

- A co pan widzi pomiędzy nimi? Aleję, prawda? -Tak.

- No właśnie! Oto jeden z „wielbłądów"! W czasach Ludwika XIV i Le Nôtre'a początek alei zaznaczano zawsze dwoma posągami. A nie wazą i posągiem! A zatem początkowo aleja musiała znajdować się wyżej, o tam, widzi pan, między dwoma posągami, gdzie dzisiaj już nic nie ma!

- Chyba że w którymś momencie ktoś przestawił posągi Leroux popatrzył na mnie badawczo, wyraźnie zaskoczony szybkością mojej riposty.

- Żaden posąg w historii nie zmienił miejsca. To aleja została przeniesiona...

Wciążała mnie ta zabawa.

- Proszę mi wybaczyć, ale nadal nie rozumiem. Kto przeniósł alejki? W jakim celu?

Bertrand Leroux podparł się pod boki.

- Widzi pan, w czasach Ludwika XVI kochano wielkie przekątne. A więc przesunięto grupy drzew Ludwika XIV, cofnięto alejki, zmieniono perspektywy... Proszę spojrzeć na Grupę Delfina. Kiedy Le Nôtre stworzył ją w 1664 roku, nazywała się Północną Grupą Drzew. W 1669 przechrzczono ją na Grupę Delfina. A wiek później, aby otworzyć perspektywę, Ludwik XVI kazał ją przekształcić i nazwał Północnym Układem Rombowym, natomiast ogrodnicy zostali zobowiązani narysować, w ramach alejki, rodzaj bagnetu -jednym słowem zrobili „wielbłąda”.

Nic z tego nie rozumiałem.

- Ale w końcu istnieje Grupa Drzew Delfina! Znam ją, oto ona! - odrzekłem, wyciągając rękę w prawą stronę przed siebie.

- Tak, ale to dlatego, że w 2001 roku na nowo przekształcono Północny Układ Rombowy w Grupę Drzew Delfina...

Zbity z tropu tym geometrycznym galimatiasem usiadłem na brzegu podmurówki. Jaki był tego cel? Czy architekt krajobrazu, nawet pasjonat, mógł poświęcać całe dnie na robienie tych staroświeckich pomiarów? Musiał być jakiś inny cel - o wiele ważniejszy niż sporządzenie planów ogrodów, które byłyby dokładniejsze od poprzednich.

W końcu zadałem pytanie.

-Ale co chce pan udowodnić swoimi pomiarami?

Leroux podparł się pod boki i spojrział na mnie badawczo.

- Udowodnić? W Wersalu, panie Barrett, jest jeszcze wiele rzeczy do udowodnienia! Wielu rzeczy nie wiemy na temat pochodzenia ogrodów. Widzi pan, Wersal jest pełen tajemnic.

Zamilkł, chcąc zobaczyćjaki efekt wywarłjego słowa. Rodzaj enigmatycznej i wyniosłej postawy, która sprawia, że wychodzę z siebie.

- Tajemnice Wersalu! Rozśmiesza mnie pan! - zawołałem, odwracając się w stronę pałacu. Nie powie mi pan, że dokonał takiego odkrycia! Całe pracownie konserwatorskie pełne są też na temat wersalskich cudów. A w Internecie roi się od nich!

- Internet! Internet! Tylko Internet! Są rzeczy, których nie mogą zobaczyć komputery.

To tylko kwestia czasu - omal nie dodałem. Ale Lerowc mówił dalej:

- Widzi pan północną fasadę pałacu?

- Koło sypialni królowej?

- Tak. Kiedyś były tam schody. Zostały odkryte w 1983 roku, podczas prac ziemnych poprzedzających szczyt G7. Wcześniej były zakopane. Żaden historyk, żaden badacz nie podejrzewał ich istnienia. Oprócz mnie, a raczej mojego nauczyciela, mojego starego mistrza ze szkoły architektury krajobrazu, człowieka, który pokazał mi trzynaście wielbłądów parku. Odkrył on, posługując się wyłącznie miarą i notesem, że na tej północnej fasadzie powinny istnieć schody, sześć-boczne schody. Bez komputera, panie Barrett. I bez dyplomu konserwatora zabytków! I może właśnie dlatego nikt nie chciał mu wierzyć...

Lerowc przyglądał się mojej ostrożnej postawie i kontynuował, by poprzeć swoje wcześniejsze słowa:

- A niech pan popatrzy na fasady! Jestem pewien, że nigdy pan nic nie zauważył. Stąd tego nie widać. Aleja zmierzyłem. Południowe skrzydło, po pana prawej stronie, ma sto sześćdziesiąt dwa i pół metra. A skrzydło północne sto Pięćdziesiąt dziewięć metrów i dwadzieścia dziewięć centymetrów! Nie wie pan, po co ta różnica, prawda? Tej odpowiedzi nie można znaleźć w Internecie!

*Denerwował mnie, a jednak chciałem go słuchać. Preczytałem wiele tez na temat Wersalu, ale to...
- Pałac nie jest symetryczny, panie Baret! Po prostu! Został wygięty, nadproże po nadprożu, aby był skierowany do ogrodów!*

Architekt krajobrazu dał się ponieść profesorskiej emfazie.

- Wszyscy sądzą, że sercem Wersalu, jego piramidą, jego filarem, kluczem sklepienia jest pałac. A to nieprawda! Sercem Wersalu nie jest siedziba królów, lecz ogrody! Tu ogród jest na pierwszym miejscu, pałac ma się tylko do niego dostosować!

Leroux zamilkł, chcąc się przekonać jaki efekt wywa tyj jego słowa.

- Ależ to jest niemożliwe - odpowiedziałem, jednak trochę wstrząśnięty. - Pałac Ludwika XIII istniał o wiele wcześniej niż ogrody Ludwika XIV...

- Oczywiście, panie Baret! Jak najbardziej! Ludwik XIV zbudował własny zamek, otaczając myśliwski pałacy' swojego ojca kamienną powłoką. Zaczął jednak w tyś sześćset sześćdziesiątym ósmym roku. Wtedy prace w ogr dach były już prowadzone od sześciu lat.

Leroux uśmiechał się teraz triumfująco.

- Ten ogród to najbardziej bliska perfekcji ludzka b dowla, jaką znam! Dlatego nie spoczne, dopóki nie zrozumiem jej konstrukcji. W tym nieprawidłowości. A nawet tego, o czym nikt nie chce słyszeć i co prawdę mówiąc, wcale nie dotyczy architektów krajobrazu...

- Tak? Jeszcze jeden wielbłąd? - rzuciłem.

- Nie, mówię otajemnicy, nadktórą od wieków wszyscy łamią sobie głowy! Tej, która dotyczy środka ciężkości ogrodu.

- Mówi pan o Fontannie Latony?

Uśmiechnął się z pobbazaniem, jak nauczyciel do zasługującego na pochwałę ucznia, który jednak nadal popępnia błędy.

- Panie Barrett... Dobrze zna pan Wersal, ale nie wystarczająco dobrze. Za mało pan tu jeszcze biega! Latona, panie Barrett, stanowi epicentrum Małego Parku. Prawdziwym środkiem grawitacji Wersalu jest Fontanna Apollina, leżąca u stóp Wielkiego Kanału!

Odwrociłem się w stronę mojej ulubionej fontanny, znajdującej się w dole, około stu metrów dalej.

Hieratyczny bóg Słońca, z którym Ludwik XIV tak bardzo chciał się utożsamić, zdawał się galopować w naszą stronę, silnie dzierząc wodze swoich rumaków.

- A więc? Jest tu jakaś nieprawidłowość? Czy to wielkią ciągnie rydwan?

Mój humor znikł.

- Teraz zadziwia mnie pan, panie Barrett - odrzekł Le-rowe, poruszając kącikami warg. - Nic pan nie widzi?

Nigdy pan nie zauważył, że rydwan Apollina nie znajduje się na swoim miejscu?

Miałem dość tej lekcji, lecz ciekawość była silniejsza. Słuchałem dalej.

- Słońce wstaje na wschodzie, za pałacem. Przechodzi następnie nad Aleją Królewską, aby zejść na zachodzie, na końcu Wielkiego Kanału. Uważa się, że Apollin podąża za nim, bowiem on sam jest Słońcem. Sam pan jednak widzi, że jego rydwan kieruje się z zachodu na wschód. Jedzie do pałacu wtedy, gdy słońce się stamtąd oddala. W południe, kiedy gwiazda znajduje się prostopadle do jego zaprzęgu, mija się z nią, zamiast jej towarzyszyć.

Młody architekt krajobrazu dodał jeszcze w obawie, że nie rozumiem:

-Apollin powinien być zwrócony do nas plecami, a jednak patrzy na nas!

Odebrało mi głos. To było oczywiste. Oczywistość, która mi umknęła. Mnie! Mnie, który tak często biegłem wzdłuż sadzawki, okrążałem ją, kontemplowałem! Jak mogłem nie

zauważyć tej nieprawidłowości? W tych doskonałych ogrodach, w tym parku, który słusznie uchodzi za najpiękniejszy na świecie, Le Nôtre i jego koledzy popełnili okropny błąd. Rydwan Apollina stał odwrótnie!

4

Titanic. Śmieszna nazwa dla pubu, pomyślała Emma Shannon, wchodząc do baru w hotelu Overlord. Przypomniało jej się, że w swojej drodze do Ameryki, na krótko przed zatonięciem, Titanic zawinął do jednego z portów w Normandii. To bez znaczenia. Odpoczynek Rybaka lub Parasolki z Cher-bourga lepiej by pasowały. Wystrój wydawał się równie nietrafiony: minimum światła, ciemnozielone meble, boazeria, a na tylnej ścianie tarcza do gry w strzałki. Nawet jeśli przez okna widać było wysoki morski brzeg, atmosfera wewnątrz lokalu była typowo brytyjska.

- Zastanawia się pani, dlaczego Titanic? - zapytał lekko kpiącym tonem młody brunet, widząc niepewność na twarzy klientki.

Miał na sobie koszulkę polo Ralph Lauren, w uchu nosił kolczyk. Opalona karnacja wskazywała na południowca. Ciekawe, co robił w Normandii.

- Titanic? Wiem, wcale nie z powodu filmu...

Już prawie dodała, że wie, iż Titanic, podobnie jak France czy Queen Mary, zawinął do położonego niedaleko stąd portu w Cherbourg. Zresztą w ubiegłym tygodniu odbyła się tam aukcja przedmiotów pochodzących z France: Brad, za pośrednictwem Internetu, kupił na niej do swojej kolekcji trzy koła ratunkowe za 1800 euro. Cały jeden pokój w ich nowym domu przeznaczony był na jego hobby.

Giełda, koła ratunkowe. Hobby mądrego człowieka.

51

Emma przegoniła szybko myśli związane z Bradem.

- Nie jestem tu po raz pierwszy - rzuciła w stronę kelnera, kierując się szybkim krokiem w głąb sali. Restauracja była pusta. Zatrzymała się chwilę przed fotografią dużego białego parowca. To była France. A obok niej Queen Mary. Emma patrzyła na nie ze wzruszeniem. Na obraz statku nałożył się obraz jej matki. Anne-Laure uwielbiała rejsy. Razem pojechały zobaczyć stocznię w Saint-Nazaire, gdzie budowano Queen Mary II. Towarzyszyła im Rebecca. To było krótko przed wypadkiem. Ich ostatnia wspólna podróż...

Ale to już przeszłość.

Przy stoliku w głębi pubu zauważyła czekającą na nią Valerie Perrier. Ona również kojarzyła jej się z minioną epoką. Ale od czasu ukończenia nauk politycznych spotykały się regularnie. Liderki nie było tak wiele, dlatego wszystkie się znały; w klubach, na międzynarodowych imprezach i konferencjach, gdzie należało promować kobiety, zawsze spotykało się te same osoby reprezentujące Francję. Valerie przebyła drogę królewską: ukończyła ENA* i zrobiła karierę w gabinetach lewicowych rządów. Dzisiaj była szefową gabinetu ministra przemysłu. Bez wątplenia ostatni stopień przed samodzielną karierą polityczną.

- Dobry wieczór, Emmo - powiedziała, muskając jej policzki zaciśniętymi wargami, tak żeby nie rozmazać szminki.

Na twarzy Valerie Emma czytała ten sam niepokój, który gościł w niej samej od kilku godzin.

- Pewnie już wiesz - zaczęła młoda pani polityk.

- Chodzi ci o...

- Tak, o Kathrin Strandberg, jesteś w temacie? Emma sądziła, że Valerie mówi o problemach z Internetem. Ale nie. Ona wspominała wypadek, który zdarzył się

* ENA - Ecole Nationale d'Administration - prestiżowa francuska uczelnia kształcąca polityczne elity (przyp.tlum.).

szwedzkiej konserwatorce. Emma nie znała jej osobiście, lecz nazwisko wydawało jej się znajome. Z pewnością spotkała Strandberg na innej tego rodzaju imprezie.

- Dziś rano została zabrana przez ratowników zaraz po tym, jak zapadła w śpiączkę, tak? I nadal się w niej znajduje? - zapytała Emma, siadając naprzeciw koleżanki, obok okna z widokiem na morze.

- Gorzej. Zmarła, nim zdołano dowieźć ją do szpitala.

- Co takiego?

Zaskoczona Emma potrzebowała kilku chwil, żeby się opanować.

- O mój Boże! Valérie, jesteś tego pewna? Nic nie wiedziałam... Dziś naprawdę nie miałam czasu na pogaduszki. Prowadziłam warsztaty, jedne przed południem, a drugie wczesnym popołudniem, potem poszłam popływać, ale to...

Valérie wzięła szklaneczkę z colą light i powoli obracała ją w dłoniach.

- Nie mogę uwierzyć w tę odrażającą historię...

- Masz na myśli alergię na melatoninę? - zapytała Emma. - Kilka lat temu poznałam osobę, która również zmarła nagle na skutek alergii wywołanej nowokainą. Ale była już w starszym wieku i cierpiała na astmę. Valérie westchnęła.

- Zaczekaj, nie wiesz wszystkiego. Nie mówię o alergii. Zresztą, ta diagnoza od początku wydawała mi się dziwna. Wczesnym popołudniem byłam na warsztatach prowadzonych przez Kathrin i było widać, że coś jest nie w porządku: jakby jej odbiło. Urywała w pół słowa i patrzyła na nas, jakby zupełnie nie wiedziała, gdzie jest ani kim my jesteśmy... Nawet nie była w stanie skończyć wystąpienia. Bełkotała, mieszała kartki. Właśnie dlatego w końcu wezwano lekarza. Ale ^{na}Jgorsze stało się dopiero potem.

- Potem? Co masz na myśli?

- Myślę o tym, co wydarzyło się dziś w nocy...

Valérie umilkła, żeby wypić łyk coli light, następnie wyjęła z paczki papierosa i położyła na stole. Nie zapaliła go.

- Rzuciłam palenie podczas wakacji, ale nie wiem, czy uda mi się wytrzymać. Zawsze mam przy sobie paczkę papierosów, to mnie uspokaja.

Dziwna metoda unikania pokus - uznała Amerykanka, zaczynając się niecierpliwic.

- A więc o czym chciałaś rozmawiać?

- Dobry wieczór, podać coś na początek? - przerwał Emmie kelner.

Odpowiedziała mu oschle, prawie na niego nie patrząc:

- Tak, poproszę perriera.

Valérie schowała z powrotem papierosa do paczki i zaczęła, aż kelner się oddali, po czym rzekła:

- To co ci teraz powiem, zachowaj dla siebie, bo zdaje się, że na razie nie wyszło na jaw. Trzeba unikać na kongresie paniki. Jednak istnieją realne powody, żeby myśleć, iż Kathrin Strandberg została zamordowana.

Emma podskoczyła. Jej przyjaciółka nie należała do osób fabrykujących lub roznoszących pogłoski.

- Zamordowana? Chcesz powiedzieć, że to nie alergja była...

- Nie naturalna.

- Otruto ją?

- Właśnie. Kiedy wczoraj wieczorem lekarz przyszedł zobaczyć Kathrin, to dowiedziawszy się, że niewiele przełknęła tego dnia - herbatę, grzanki krisprolls i to lekarstwo na *jet lag* - wywnioskował, że to melatonina spowodowała jej chorobę. Zbadał ją, dał zastrzyk antyalergiczny i poszedł. Jednak w nocy coś się wydarzyło.

Valérie zniżyła głos.

- Kiedy Christelle Loric przyszła około pół do ósmej rano sprawdzić, jak Kathrin się czuje, nikt nie odpowiedział.

54

pokojówka otworzyła drzwi swoim kluczem. Kathrin leżała na podłodze. Jej podomka miała wyrwane rękawy. A jej ręce i nogi były już tylko krwawiącymi strzępami ciała.

- Co takiego?

- Tak jakby ktoś świadomie porozcinał jej kończyny ostrzem... najezoną ostrzami rękawicą. Reszta ciała była nietknięta.

- I ona żyła?

- Tak, już ci mówiłam, że zmarła w drodze do Kliniki Uniwersyteckiej w Caen.

Emma skierowała wzrok w stronę wejścia do restauracji, starając się opanować ogarniający ją niepokój.

- Lekarze uważają, że gdy ją torturowano, była już w stanie śpiączki.

- Ależ to potworne! - zawołała Emma. - To przerażające! Wiadomo już kto...?

Valérie dała jej znak, żeby mówiła ciszej.

- Oczywiście nie. Lekarze twierdzą, że z technicznego punktu widzenia zabiła ją ta galopująca alergia.

- Uczulenie na melatoninę... Mimo wszystko trudno mi w to uwierzyć! To całkiem nieszkodliwe lekarstwo, prawda?

- Nie jestem tego taka pewna. Przekazują teraz informacje do każdego pokoju, żeby ostrzec wszystkie klientki, które mogły wziąć tego rodzaju lekarstwo. A ty, Emmo, też je brałaś?

- Nie, jestem w Europie od tygodnia i nie mam problemów ze snem. Ale biorę je zawsze, gdy lecę do Pekinu. A ty?

- Przecież wiesz, że przyjechałam z Paryża.

- Przepraszam, ale ze mnie idiotka.

- Prawdę mówiąc, mogłam je wziąć! Te wszystkie problemy z Internetem i telefonem, wszystko to jest super stre-^{su}Jące... A jak z twoją rodziną w Stanach? Udało ci się od ^wczoraj skontaktować z mężem?

55

- Nie, ale Brad wie, że mam tu spędzić weekend z Rebecca i wyjeżdżam dopiero w poniedziałek. Do tego czasu z pewnością zostaną przywrócone połączenia mejlowe, telefoniczne oraz lotnicze.

- A ja nie mogę wezwać z Paryża helikoptera... Wszystkie maszyny wzięli szturmem ministrowie.

Valerie nosiła krótko ścięte włosy z opadającym na czoło kosmykiem. Jej rysy były ściągnięte, a makijaż źle skrywał zmęczenie i niepokój. Emma przypomniała sobie okropny opis WAC, jaki podczas jednej z kolacji w Waszyngtonie przedstawił znany francuski dziennikarz: „Banda bizneswomen, kiepsko uczesanych i ze źle pomalowanymi ustami”. Prawdą jest, że ten prezenter ożenił się z aktorką, która używa silikonu tak jak inne kobiety korektora do zmarszczek i codziennie rano spędza dwie godziny przed lustrem. „Prawdziwa” kobieta... Dla ludzi jego pokroju - twarzy z bulwaru Saint-Germain - planeta kobiet dzieliła się na dwie populacje: „prawdziwe” kobiety, które o sobie dbały, oraz pozostałe, które bawiły się w mężczyzn. Jakże zdziwilby się ten obrońca kobiecości, widząc w Arromanches u większości intelektualistek, którym odmawia się kokieterii, skórę z botoksem, farbowane włosy oraz mięśnie wypracowane przez domowych trenerów fitness. W swoim garniturze Emma czuła się wyobcowana pośród tych nienaganych garsonek od Gucciego lub Vuittona. Czuła się tak, jakby podczas ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich reprezentowała Ekwador lub Botswanę.

-I do tego jeszcze Net popsuty... - podjęła na nowo Valerie, już głośniej.

Na ten temat Emma starała się przyjąć uspokajający ton. Odczuwała ten sam niepokój co przyjaciółka, ale nie chciała dać tego po sobie poznać.

- Informatycy działają. Znajdą jakiś sposób. W tym zawodzie zawsze znajdzie się jakiś sposób. Ta awaria trwa trochę dłużej niż zazwyczaj, to wszystko.

Obraz pociętej Kathrin Strandberg wywołał w niej mdłości.

- Chciałabym, żebyś miała rację - stwierdziła szefowa gabinetu. - No dobrze, co zamawiasz? - ciągnęła, zdecydowanym ruchem jednej dłoni odsuwając do tyłu kosmyk, a drugą otwierając kartę.

Piękny brunet podszedł do stolika.

- Dobry wieczór. Wybrały panie? Czy mogę zaproponować danie dnia? Kózka w śmietanie.

Spoglądały na siebie niezdecydowane. Młody człowiek powtórzył obrażony:

- Kózka. To korsykańska specjalność.

Słowo „korsykańska” wymawiał, przeciągając w nieskończoność głoskę „o”, co było typowe dla osób pochodzących z tamtych stron. Zdawało się, że ich wahanie wyraźnie go irytuje.

- Nie jestem specjalnie głodna - powiedziała Emma.

- Musisz jeść.

- Weźmiemy jedną porcję na pół? -OK.

- Panie są na diecie?

Ani Valérie, ani Emma nie miały zamiaru odpowiadać.

- Proszę przynieść nam do tego butelkę wody, lekko gazowanej. Ma pan san pé?

- Orezza - poprawił ją kelner.

- Skoro pan tak uważa.

- Nie będą panie żałować - odparł. - To najlepsza woda na świecie.

Emma patrzyła, jak odchodzi, po czym nachyliła się do Valérie.

- Korsykański kelner... Korsykańska woda mineralna... " samym środku Normandii! Nie muszę ci mówić, kto pew-^{nie} jest właścicielem tego hotelu.

Starala się pozbyć widma Kathrin. Ale Valérie, jakby Czekala na uwagę Emmy, żeby wyrazić swoje najgłębsze my-^{sli}> szepnęła:

- Tam mają gwałtowne zwyczaje. A jeśli to właśnie on...?] Emma skierowała wzrok ku niebu.
- Valérie, przestań! Nie gadaj bzdur! Żyjemy nerwa- |mi... Wydarzyła się rzecz straszna, ale nie możesz myśleć w ten sposób!

Z wyraźnym wysiłkiem Valérie zmieniła temat.

- Nie wiem, czy byłaś dziś po południu na moim wykładzie.
- Prowadziłaś warsztaty na temat mikrokredytu, praw-da? Nie, nie mogłam przyjść. Miałam w tym czasie swoje na] temat perspektyw informatyki.

Valérie mówiła dalej z takim samym zapałem:

- Ten system niewielkich kredytów działa wspaniale Tym przyjemniej mówić mi na ten temat, że początkowo zu pełnie w to nie wierzyłam. Gdybyś widziała liczby! Tak same w Afryce, w Ameryce Łacińskiej: gdy tylko projekt tworzony jest przez kobietę, współczynnik niepowodzenia podzielić można przez trzy. Emma wiedziała, do czego zmierza jej rozmówczyni. Poruszały ten temat podczas przerwy na kawę. Aby przyspie-| szyć rozpatrywanie swoich dossiers przez Bank Światowy lubi Wspólnotę Europejską, Valérie potrzebowała wsparcia w śro-| dowisku amerykańskim, u wysoko postawionych ludzi.

- Zasada jest OK - powiedziała, a na jej twarzy malował się lekki uśmiech. - A zatem *next step*? Co miałabym zrobić po powrocie do San Francisco?

W chwili kiedy wymawiała słowa *next step*, spostrzeJ gła, że pozostała część zdania już w jej głowie powstała pol francusku. Podczas każdego pobytu w Heksagonie* działo! się tak samo: po kilku dniach, czasami po kilku godzinach! jej podświadomość przełączała się bezwiednie na język, któ-|Jrym mówiła jej matka.

* Heksagon - Francja (przyp.tlum.).

Valérie zdawała się zaskoczona.

- Nie sądziłam, że tak łatwo się zgodzisz - powiedziała.

Kelner wrócił, trzymając w rękach dwa wypełnione talerze, postawił je przed nimi i stanął nieruchomo przy stoliku. Zaintrygowane kobiety uniosły wzrok. Zapadła długa cisza. Korsykanin wyraźnie czekał na sposobny moment.

- Dziś wieczorem dyskoteka będzie wyjątkowo otwarta od dwudziestej drugiej trzydzieści - oznajmił z emfazą. Informacja trafiła w próżnię. Żadna z kobiet nie była w nastroju do tańca. Najwyraźniej hotel starał się zapomnieć o niedawnych wydarzeniach. Valérie zaczęła, aż kelner odejdzie.

- Przyjeżdżam tu co roku i nawet nie wiedziałam, że jest tu nocny klub. Jak się stale przebywa w towarzystwie kobiet...

Emma nie odpowiedziała. Jednak było kilku mężczyzn. W dniu swojego przyjazdu, po tym, jak wydawało jej się, że w holu zobaczyła Pierre'a Chavannesa, zasięgnęła w tym względzie informacji. Były handlowiec Supra Data był właścicielem firmy odpowiadającej za dźwięk i obraz. Nie próbowała jednak do niego zadzwonić. Nadal czuła stare skrępowanie.

- Chyba nie sądzą, że Ségolène lub Hillary wmieszają się w tłum na parkiecie! - rzuciła kpiąco Valérie.

- Więc Hillary Clinton ostatecznie przyjedzie?

- Jednak nie. Odwołała przyjazd ze względu na sytuację- I nie tylko ona.

Ściszyła głos. Przy sąsiednim stoliku trzy francuskie uczestniczki kongresu rozmawiały głośno, chrupiąc sałatę z kukurydzą. Emma pomyślała, że liczba kalorii, które spalają w trakcie żucia i gestykulowania, jest większa niż zawarta w ich porcjach.

- Strategia różowego flaminga? Nigdy o tym nie słysza-am! - zawołała najstarsza z kobiet na tyle głośno, żeby wszyscy mogli usłyszeć.

- Ależ słyszałaś, przypomnij sobie! - denerwowała się sąsiadka, sobowtór Juliette Greco, o twarzy zakrytej wielkimi okularami. - To była teza jej książki, coś w rodzaju „naturalnej historii uwodzenia”...

- A więc co to takiego, ta strategia różowego flaminga?

- Nie ma różnicy pomiędzy flamingiem, który przywdziewając różowy kolor, wyznaje samiczce swoją miłość, a facetem w rui, który daje bukiet kwiatów podrywanej lasce. Kwiaty mają falliczne kształty... i są bardzo kolorowe. U kameleonów również wygrywa samiec, który potrafi stać się najbardziej różowy. A więc, jak widzisz, rzecz ma się podobnie, czy dotyczy to krewetki, królika, czy człowieka! Aby oczarować partnerkę, stosują te same sztuczki i...

Koniec argumentacji utonął w gwarze spowodowanym przez grupę kanadyjskich turystów, którzy wtargnęli do lokalu. Emma spojrzała na Valérie i odgadła, że myślą o tym samym. Oto tacy, którzy najwyraźniej ani nie oglądali dziś w telewizji informacji, ani nie słyszeli o melatoninie.

Papugi wyszły z pubu o 21, żeby jak rzuciła jedna z nich, zdążyć zobaczyć na plaży zachód słońca. Valérie i Emma rozmawiały jeszcze dobrą godzinę. Amerykanka budziła zaufanie i nie trzeba było prosić jej sąsiadki, żeby opowiedziała o swoich miłosnych zawodach. Od rozstania z mężem miała czas na karierę zawodową oraz działalność charytatywną, lecz jej świat uczuciowy był zupełną pustynią. Klasyczna sytuacja u kobiet z jej środowiska. Emma ceniła szczęście, które ją spotkało: Bradley stanowił w jej życiu punkt ciężkości, był schronieniem, macierzystym portem. Chociaż... Przypomniała jej się dyskusja sprzed wyjazdu. Powiedziała mu, że chciałaby mieć dziecko, nim będzie na to za późno. Bradleyowi, który miał syna i córkę z poprzedniego małżeństwa, wcale nie zależało na - jak to nazywał - „powrocie w pieluchy”. Przez całe lata nie przeszkadzała Emmie perspektywa, że nie założy z nim rodziny. W końcu miała przecież Rebeccę i chociaż

kiedy ta była mała, często nie miała przy sobie mamy, dzisiaj łączyła je przykładowa więź matki i córki. A potem, pół roku temu, zadziałał jej zegar biologiczny. Rozmawiała na ten temat z Bradleyem, który wydawał się zmartwiony, że Emma zamierza zakłócić ich codzienne życie. Obiecał, że się zastanowi. Aż do tamtego dnia nie wracała do tematu.

- Emmo, kochanie, masz trzydzieści osiem lat: nie sądzisz, że jest już trochę za późno? - zasugerował, nie patrząc jej w oczy.

Wychodząc z baru, Valerie chciała rzucić okiem na dyskotekę. Zbyt pochlebne określenie jak na tę małą salkę bez okien, z poustawianymi pod ścianą kanapami i kilkoma małymi stolikami, miejscem do tańca na środku oraz trzema reflektorami i lustrzaną kulą na suficie. Mniej więcej trzydzieści osób, kobiet i mężczyzn, siedziało w grupkach, żywo gestykułując podczas rozmowy.

Już miały wyjść, kiedy zatrzymał je jakiś głos:

- Emma! Tutaj!

5

Pierre Chavannes z uśmiechem kierował się w stronę Emm; i Valérie. Siedząc w głębi sali, zauważył swoją dawną koleżankę z pracy, ubraną w trochę rażąco ciemny garnitur z kołnierzykiem w stylu Mao, przypominający strój astro-nauty, a nadający kształt jej ramionom i wyszczuplający ją w talii. Zieloną tkaninę pasowała do koloru jej oczu, błyszcząca cicho w blasku reflektorów. Mahoniowe włosy, nadal zadziwiająco długie jak na kobietę w jej wieku, zebrała w grubym warkocz. W kącikach oczu widać było delikatne zmarszczki, a owal twarzy nie był już tak wyraźny jak kiedyś. Kilka przegranych bitew w walce z prawem ciężkości... Ale daleko jej jeszcze było do przegrania wojny.

Ucałowała go w policzki, starając się zachowywać w naturalny sposób.

- Widziałem w programie twoje nazwisko - powiedział Pierre - ale nie miałem odwagi zadzwonić.

- Trzeba było!

- Teraz jesteś gwiazdą... -Nie kpij!

Zawsze trudno jej było odróżnić jego żarty od komplementów. Ta niepewność podsyciała niepokój, który często odczuwała w jego obecności. Zawsze uważała go za piękne dziecko, lecz trochę „nieokrzesane”, jak mawiała jej mama o mieszkańcach prowincji; trochę macho, nie szczędził krytyki kobietom, jeśli tylko stanowiły dla niego konkurencję;

miał reputację osoby mówiącej prawdę prosto w oczy, lecz Emma zawsze zastanawiała się, czy robi to szczerze czy też jest to wynik niezręczności.

- Emmo, usiądź na pięć minut, przedstawię cię. Zawahała się. Trudno odmówić. Valérie skorzystała z okazji, żeby ulotnić się, puszczając do niej oko.

- Ale nie na długo - odparła Emma, machając ręką do oddalającej się Valérie. - Czuję jeszcze w nogach jer lag - skłamała.

- A więc nie brałaś melatoniny! - zawołał Pierre. - Co za szczęście!

Emma nie zdążyła odpowiedzieć. Pierre już się oddalał, a muzyka tłumiała wszelkie głosy. Zmusiła się, by iść za nim. Nie lubiła nocnych klubów. Za każdym razem kiedy szła tam z przyjaciółmi, była to dla niej straszna męka. Po godzinie miała dosyć tego gwaru wypełnionego próżnią, perfumami i potem, tego wymuszonego śmiechu konkurującego z dzwonekami komórek, pobrzękiwania kieliszków i bransoletek od Hermesa, fałszywych uśmiechów i kragłych zdań, których nikt nie słucha.

Przyglądała się Pierre'owi, w czasie gdy recytował nazwiska swoich towarzyszy, mężczyzn, którzy z nim pracowali, oraz kobiet, które chyba znał trochę mniej - Emma rozpoznała dwie asystentki z WAC. Nie zmienił się. Nadal przypominał Russella Crowe'a.

Jego twarz pokryła się zmarszczkami, a te wokół ust były bardziej widoczne. Ale miał te same orzechowe oczy, błyszczące zza okularów krótkowidza, te same czarne włosy, których kosmyków nie umiał ujarzmić, i ten trochę niezręczny sposób Przeszypowania z jednej nogi na drugą, jakby czuł się zażenowany swoim wielkim szkieletem. Niezaprzeczalnie miał w sobie urok, choć wyglądał na nieco spiętego. W przeciwieństwie do swojego wzorca, nie miał w sobie nic z bad boya.

Na szczęście nie znał jej myśli.

Przez chwilę sądziła, że przedstawi ją jako byłą dziewczynę Dana Baretta; był do tego zdolny.
- Wiesz, co się tak naprawdę dzieje? - zapytała, spróbując wadzić rozmowę na inny temat.

Pierre nie powiedział jej nic nowego. Rozmowa - czy też jej to, co zważywszy na panujący hałas, miało miejsce - dotyczyła najpierw systemów bezpieczeństwa w sieci, a w efekcie przekształciła się - Emma zupełnie nie wiedziała dlaczego - w dyskusję na temat seksualności Normandczyków. Teledzielnicy żartowali z siedzącymi obok kobietami. Jakaś niezła dziewczyna z WAC uczepiła się ramienia Pierre'a, który wstukiwał coś do swojego palmtopa i zdawało się że całkiem zapomniał o jej obecności. Emma nudziła się strasznie i już zamierzała wyjść, gdy jakiś dobrze zbudowany wążacz, którego sprośne dowcipy słychać było mimo muzyki, poprosił do tańca jedną z asystentek. Natychmiast siedzący z jego lewej strony pięćdziesięcioletni mężczyzna, z prawie niewidocznym podbródkiem i w grubych okularach, zaproponował jej pójście w ich ślady. Z zasady Amerykan-ka odrzucała tego rodzaju propozycje, ponieważ nie umiała dobrze tańczyć. Teraz jednak, ku swemu zdumieniu, ruszyła za partnerem. Puścili kolejno trzy kawałki rock and rolla z jakiejś płyty z przebojami lat sześćdziesiątych, bez wątplenia dostosowanej do klienteli. Od czasu do czasu Emma spoglądała w stronę Pierre'a, który wywijał nogami, tańcząc z młodą dziewczyną w spódnicy z falbankami. Dziewczyna nie odstępowała go na krok, mizdrzyła się i przytulała do niego. Odsuwał ją ze śmiechem. Kiedy podszedł do Emmy, która wróciła już na swoje miejsce, i ją z kolei poprosił do tańca, pomyślała, że przede wszystkim stara się uciec od natrętej adoratorce.

Ale poszła z nim. Tańczyła kiedyś z Pierre'em i nie miała związanych z tym żadnych złych wspomnień. Pamiętała nawet, jak wiele stracili energii podczas seminarium Supra Data

w Marrakeszu, w roku poprzedzającym jej wyjazd do Stanów. Zresztą to wracając stamtąd, miała ten pamiętny sen.

Emma z reguły nie miała snów. A raczej, skoro podobno wszyscy ludzie śnią, ona snów nie pamiętała. Zazdrościła ludziom, którzy wczesnym rankiem potrafili opowiadać zwariowane historie lub koszmary, z których wychodzi się z ulgą i które, na zasadzie kontrastu, pozwalały doceniać szczęście posiadane w życiu. Na naukach politycznych, kiedy jako wolny słuchacz chodziła na wykłady z psychologii, wstrząsnęły nią zajęcia na temat snów. Poczula się niesprawiedliwie ukarana tym, że w jej życiu nie ma snów.

A potem, któregoś dnia, miała sen! Jeden raz. Jeden jedyny w ciągu trzydziestu ośmiu lat! To było w 1993 lub 1994 roku. Próbowała następnie wszystkiego, żeby powtórzyć to doświadczenie, żeby zrelatywizować siłę tego „pierwszego” snu. Tak jak radzą psychoanalizyści, kładła na nocnym stoliku notesik i ołówek, aby gdy obudzi się między dwoma fazami snu, zapisywać swoje myśli. Na próżno. Nastawiała również budzik, żeby dzwonił w środku nocy, jednego dnia o drugiej, następnego o trzeciej, w nadziei że odzyska świadomość w trakcie danej fazy i w ten sposób łatwiej uda jej się dotrzeć do swojej podświadomości. Kolejna porażka.

A zatem śniła tylko raz w życiu. Ale co to był za sen! Za każdym razem gdy o nim pomyślała, czerwieniła się jak Szwed pierwszego dnia na plaży. Przypominała go sobie ze skrywaną dokładnością, nie w postaci następujących po sobie scen jak w filmach, kiedy podczas wypadku bohater widzi przesuwane się przed oczyma sceny ze swojego życia. Nie, raczej w postaci serii nieruchomych, nierytmicznych, ale bardzo dokładnych obrazów.

Śpi w śpiworze na zboczu pagórka. Wokół niej dziesiątki innych ciał, starych i młodych, wszystkie zawinięte na identyczne śpiwory rozłożone na trawie w kolorze zielonego jabłka. Z pewnością ludzie, z którymi podróżuje. Leży na plecach,

patrzy w niebo, to niebieska pora. Nagle zdaje sobie sprawę, że jakiś mężczyzna wślizguje się do jej sypialni. Kładzie się na niej. Wchodzi w nią. Jej brzuch, piersi, całe jej ciało płonie, aż po koniuszki palców u stóp. On mówi, nie poruszając ustami, ona nie rozumie jego słów. Jego twarz unosi się nad nią, jakby obcy jej był ruch bioder. Emma wtula głowę w opiekuńczą szyję, wdycha zapach jego ramienia, zanurza się w nim. On chwyta ją za włosy na karku odchyła jej głowę, aby móc pocałować ją w usta. Wtedy właśnie ona dostrzega, że nie są sami: jej narzeczony też tam jest, gdzieś na tym trawniku, i jego przyjaciółka, i wszyscy ci nieznajomi, którzy być może tylko udają, że śpią! Ktoś ich w końcu zobaczy. Protestuje, lecz jednocześnie nie potrafi wyrwać się ze stanu ekstazy. Uczucie jest tak silne, że budzi się spocona i zakłopotana...

Nie zamawiamy snów, nie mamy nad nimi kontroli. Tym bardziej nie urządzamy do nich castingu. Z pewnością jej partner mógł być mniej ujmujący, ale dlaczego to był Pierre Chavannes? Dlaczego Pierre pojawił się w jej śnie? Ledwie go znała i spotykała się z nim tylko służbowo. On niezmiennie zachowywał dystans i okazywał, że wcale jej nie lubi. Jak by powiedziała Valérie, między nimi nie było fluidów. Skoro ów rodzaj podświadomej erotycznej eskapady miał się zdarzyć w jej życiu tylko raz, wolałaby znaleźć się w niej z Hugh Grantem, Robertem Redfordem lub... Russellem Crowe'em. Prawdziwym. A gdyby miała wybierać spośród swojego otoczenia, wolałaby raczej kilku przystojnych chłopaków, z którymi się rozumiała lub którzy w pracy nieustannie ją podrywali.

Ten incydent nie ułatwił współistnienia w Supra Data. Gdyby jeszcze miewała sny regularnie, jak wszyscy, ten sen nie miałby żadnego znaczenia! Ale tak... Kiedy spotykała się z Pierre'em u klienta lub na zebraniu, czuła się skrepowana. Przeklinała swoją podświadomość za to, że zamknęła ją w tym

śpiworze. Na szczęście kilka miesięcy później mogła wyjechać do Stanów Zjednoczonych i okazje do pomstowania na mroczną stronę jej mózgu stały się rzadsze. Krępujące obrazy wracały tylko podczas czytania powieści lub wtedy, gdy ktoś opowiadał swoje sny. Lecz najdrobniejsze szczegóły snu zdawały się być na zawsze zarchiwizowane w jej pamięci. I to ją denerwowało.

- Lubię z tobą tańczyć - rzucił Pierre, ściskając jej nadgarstek.

Od pół godziny tańczyli rocka. Pierre z pewnością mówił prawdę. To była jego zaleta: rzadko zadawał sobie trud prawienia komplementów.

- A jednak nie mam specjalnego poczucia rytmu - odparła Emma.

- Dlaczego tak mówisz? Uważam, że jest dobrze.

Omam nie odpowiedziała, że zawsze mogą zrezygnować z tańca. Ale po co stronić od przyjemności? Na parkiecie rozległy się pierwsze akordy *You're Beautiful*, przeboju, który dwa lata wcześniej przyniósł sławę Jamesowi Bluntowi. I wydawało jej się, że Pierre zachowuje się z mniejszą rezerwą niż kiedyś. Ich ciała się dotykały, spontanicznie i naturalnie zbliżając się do siebie, jakby rozpoznawały się nawzajem. „Ciała nie kłamią” - pomyślała Emma, powtarzając ulubioną maksymę swojego dawnego nauczyciela psychologii.

Informatyk pozwolił unieść się rytmowi muzyki. Jego Partnerka była wysoka, z przyjemnością na nią patrzył, jej włosy ładnie pachniały, była szczupła w talii, jednym słowem chwila ta była dla niego przyjemnością. Co prawda niewiele o niej wiedział, ale tak było dobrze. W każdym razie to nie była kobieta dla niego. Co ciekawe, przypomniała mu się rozmowa z kolegą w dniu, kiedy dowiedział się o wyjeździe Emmy do Stanów Zjednoczonych i jej ślubie. Ogłosiła nowi-“C w pracy. Jego wtedy nie było. Ale znowu zobaczył się na

esplanadzie la Défense* w chwili, kiedy ów kolega, Jacques, przekazał mu tę informację.

- Aha, słyszałeś? Emma Shannon wyjeżdża do USA. Wychodzi tam za mąż.

- Ach, tak? A kim jest jej mąż?

- Jakiś Bradley Spits, bankier.

- Ma facet szczęście.

I to było tyle. Potem wyrzucił Emmę ze swojego umysłu. Tańczyli nadal, aż do pół do pierwszej, najczęściej razem, zamieniając ze sobą tylko krótkie zdania.

- A więc nie marzysz już o NASA? Ale wiesz przynajmniej, że niebawem będziesz naprawdę mógł zabawić się w turystę podróżującego po orbicie okołozemskiej? - zapytała Emma.

Najwyraźniej pamiętała, że w czasach kiedy razem pracowali, podbój kosmosu pasjonował go niemal tak samo jak początki Internetu.

- Wiem, ale to dla mnie trochę za drogie. Dwieście tysięcy dolarów za miejsce, tak?

- No coś ty, przecież dobrze zarabiasz? Zdaje się, że zajmujesz się całą stroną techniczną kongresu. A więc założyłeś własną firmę?

- Nie, początkowo należała do mojego brata. Kiedy zachorował, przenieśliem się do Marsylii, aby mu pomóc. I tam zostałem.

- Zajmujesz się sprawami handlowymi?

- Wszystkim. Wiesz, w małej firmie musisz robić wszystko jednocześnie.

Kiedy poinformowała go, że idzie spać, odpowiedział, że on już też wychodzi.

Jedynie plusk morza mącił panującą na zewnątrz ciszę. Emma i Pierre przeszli razem mniej więcej trzydzieści metrów

* La Défense - paryska dzielnic biznesu (przyp.tlum.).

żwirowaną alejką, zanim zorientowali się, że nie mieszkają w tym samym budynku. Rozstali się zaraz za lukiem oznaczającym wejście do południowego skrzydła hotelu. Emma czuła ucisk w sercu. Później Pierre jej powie, że zamierzał ukraść jej buziaka pod tym lukiem, ale zrezygnował. Istniało zbyt duże prawdopodobieństwo, że dostanie w policzek.
- Tu nasze drogi się rozchodzą - powiedziała z udawaną radością.
Pocałowali się cztery razy, w policzki.

Zawsze uwielbiałem rozwiązywać zagadki. Kiedy miałem trzy lata, sam nauczyłem się czytać. W wiekupięciu lat byłem przyczyną matczynych krzyków, gdy znajdowała w leżących na nocnym stoliku swoich gazetach wypełnione diagramy krzyżówek i rozwiązane szarady. W wieku ośmiu lat pasjonowały mnie wielkie tajemnice historii: tajemnica Człowieka w Żelaznej Masce trzymała mnie w napięciu przez całe lata, a śmierć Napoleona, naturalna czy też nie, stanowi nadal jeden z moich ulubionych tematów dyskusji (do których, muszę to zauważyć, w tamtych czasach brakowało mi towarzyszy). Zanim poszedłem do szkoły podstawowej, przypięto mi etykietkę „dziecka przedwcześnie dojrzałego”, a kiedy byłem nastolatkiem, matka przestała ze mną dyskutować. Pamiętam zdanie, które przepełniło czarę:

- Dan, chodź tu. Obiad czeka.

- Zaczekaj, mamo!

- Zaczekaj na co? Co ty robisz?

- Myślę.

- Co to znaczy: myślę?

- Tak, mamo, myślę. Chyba to jasne? Czy już kiedyś tego próbowałaś?

Następnego dnia mama znalazła najlepszego psychologa w mieście i wszystko mu wyśpiewała.

- Dan mnie nie słucha, całymi godniami czyta stragoczące traktaty i książki historyczne oraz każe nam uzasadniać najdrobniejsze decyzje.

Psycholog zaprosił mnie do siebie i rozmawialiśmy przez kilka seansów. Nie wiem dokładnie, o czym sobie wtedy opowiadaliśmy. Zdaje się, że wyjaśniłem mu, dlaczego domową pralnię lepiej umieścić w piwnicy oraz po co zmienić schemat ruchu pojazdów w dzielnicy. Zawsze na koniec seansu wzywał moją matkę, żeby wyznać przed nią swoją niemoc:

- Proszę pani, obawiam się, że pani syn zawsze musi mieć ostatnie słowo.

Jak się domyślasz, o Wersalu również chciałem wiedzieć wszystko. Sądziłem, że wiem już wszystko na temat historii Króla Słońce i jego dworu. Aż do chwili kiedy spotkałem tego pracowitego architekta krajobrazu w żółtej bluzie...

Znasz na pamięć moje obsesje i wiesz lepiej niż ktokolwiek inny - ponieważ to właśnie z tobą, prawie dwadzieścia lat temu, po raz pierwszy zwiedzałem zamek - że nie od razu zainteresowałem się ogrodami. Pamiętasz tę dwutygodniową podróż po Europie, którą zorganizowałem, nie pytając cię o zdanie? Ja miałem dwadzieścia jeden lat, a ty osiemnaście. Początkowo skakałaś z radości, ale później... zarzuciłaś mi, że w krajach, których istnienie liczy się wiekami, ciągle patrzę na zegarek i liczę minuty. Narzuciłem ci dwugodzinne zwiedzanie z przewodnikiem zamku w Wersalu, który znałem na pamięć; dwie godziny biegiem... w tym piętnaście minut, z zegarkiem w ręku, po alejkach Le Nôtre'a, bez zatrzymywania się przy posągach i fontannach, niewiele widząc (spowodowana upałem mgielka Przesłaniała perspektywę) i jeszcze mniej rozumiejąc. Poszedłem tam tylko po to, żeby sprawdzić, czy rzeczywistość 29adza się z tym, o czym dowiedziałem się z książek. Nie ^{użyłem} się o ogrodach. Gdybym chociaż skorzystał z cienia

boskietów... zresztą wiesz, o czym mówię. Ale nawet o ty nie pomyślałem. Wszystkie przewodniki podkreślały, jakim krajobrazem zowiem wyczynem są te ogrody, a ja przeszedłem obojętnie obok tych informacji. Gorzej, od czasu tego nieudanego spaceru miałem wielokrotnie okazję odkrycia nieprawidłowości w Fontannie Apollina, ale nie skorzystałem z niej. Nawet odwiedziłem ogrody, chodząc krok w krok według wskazań najlepszego przewodnika: Sposób pokazywania ogrodów wersalskich - biblii napisanej przez samego Ludwika XV myślą o jego zacnych gościach, aby mogli odkrywać piękno parku w takiej kolejności, która pozwoli im nie ominąć najważniejszych punktów. Żeby zatrzymali się przed daną sadzawką dokładnie w tym momencie, kiedy tryśnie woda - lub przed kwiatowym parterem wtedy, gdy kwitnie. Pierwszą wersję dzieła napisał król w 1689 roku, a potem, kilkakrotnie aktualizował swój przewodnik w miarę zachodzących w ogrodach zmian. Aż do swojej śmierci. Słuchałem więc tych rad i krok w krok podążałem jego śladem. Wpadałem w zachwyty przy rydwanie Apollina, podziwiałem go, patrząc pod każdym możliwym kątem. I nic nie zauważyłem. Gdybym jeszcze nie znał politycznego przesłania, które Ludwik XIV i Le Nôtre zawarli w swoim wielkim dziele, myśli ukrytej za estetycznym wyczynem! Ale znałem! Lepiej niż ktokolwiek wiedziałem, że te ogrody, w których mieszają się ze sobą mrok i światło, wspaniałe esplanady oraz intymne zakątki, niewielkie laski oraz nieskończone przestrzenie są nie tylko największe czy też najpiękniejsze na świecie. Przede wszystkim są one demonstracją siły. Politycznym programem. Opowiadają historię, którą wszyscy siedemnastowieczni dworzanie mieli w małym palcu: życie Wielkiego Ludwika powiązane ze słońcem, które stało się jego godłem oraz wcieloną w postać Apollina, boga Słońca.

Nawet agencja reklamowa nie wymyśliłaby nic lepszego! Słońce, dusza wszechświata, to symbol silny, porywający, od razu zrozumiały dla „ówczesnej gospodyni domowej w wieku poniżej pięćdziesięciu lat”. To również oznaka nowoczesności, bowiem od czasów Kopernika astronomia stała się modną nauką. Król jaśniał w centrum systemu społecznego tak jak Słońce w centrum Układu Słonecznego. Chciał być taki sam: dobry, sprawiedliwy, hojny, spokojny, wieczny i niewyczerpany, rozdając wszystkim ciepło i światło - jednym słowem - życie... Słońce stało się politycznym symbolem!

Podążając śladami setek historyków, wiedziałem, że nic w ogrodach nie jest dziełem przypadku. W tym jedynym w swoim rodzaju parku, król jest słońcem, a słońce jest królem. Park wyraża ruch słońca: jest zorientowany ze wschodu na zachód. Gwiazda wstaje na wschodzie, od strony Marmurowego Dziedzińca, następnie przesuwają się nad zamkiem, dalej nad Aleją Królewską, Wielkim Kanałem, aż wreszcie znika na zachodzie, ostatnimi promieniami oświetlając fasadę pałacu. Mówi się nawet - choć nikomu nie udało się tego sprawdzić - że w imieniny Ludwika ujarzmione słońce zachodzi dokładnie na końcu Wielkiego Kanału. Reżyserzy z tamtej epoki musielijeszce ustanowić widoczne powiązanie między słońcem a królem. I wtedy pojawił się Apollo! Boski pośrednik. Od czasu gdy pojawił się Apollo, każdy kto spacerował w ogrodach, musiał widzieć związek króla z Bogiem. Król był synem Boga, tak jak Apollo synem Zeusa, boga bogów olimpijskich.

A posagi ożywiły się już same! Le Brun i Colbert przekazali zespołowi rzeźbiarzy - Girardonowi, Cousevox, De-Jardinsowi i Le Hongre'owi - wskazówki władcy i szkice Le Nótrea, ci zaś przekształcili wersalskie ogrody w bajeczną ^egę obrazów. Biblię w plenerze! Ale biblię, w której nie

ma ani jednego świętego, nawet najmniejszej aluzji do ligii katolickiej. Nowy Eden, w którym Ludwik XIV-Apoll stał na równi z innymi bogami starożytności. Uwielbiałem biegać między nimi. Ostatnio nie żabie ralem nawet swojego odtwarzacza MP3, jak to było na początku. Wystarczyła mi sama przyjemność przesuwania się wzdłuż boskietów, po raz setny podziwiałem sposób, w jaki genialni rzeźbiarze przetworzyli mit Apollina. Bowiem tu wszystko opowiada jakąś historię. Każdy posąg, każda fontanna wyrażają jakieś przesłanie. A zwiedzający, czy tego chce czy nie, pośród boskietów prowadzony jest w kierunku Prawdy, Mądrości, Objawienia. Wersalski park jest nie tylko parkiem. To ogród wtańcemniczenia, w którym marmurowe olbrzymy stojące w sadzawkach, ukryte w boskietach, okryte w ziemi zieloną blachą szepczą jakieś przesłanie, które rzadko potrafią usłyszeć nieuważni spacerowicze. Nie mów nie... Ile czasu było trzeba, żeby zrozumieć? Sadzawka Latony otwiera ów wielki bal metafor: są tam zamienieni w ropuchy wieśniacy, którzy odmówili matce Apollina azylu, gdy uciekała ze swoimi dziećmi. Aluzja jest tu bardzo wyraźna: podczas Frondy, 5 stycznia 1649 roku, buntownicy zmusili matkę Ludwika XIV, Annę Austriaczkę, by drzwiami dla służby opuściła Pałac Królewski w Paryżu i z dwoma synami schroniła się w Saint-Germain-en-Laye! W znajdujących się obok Sadzawek Jaszczurek ludne również zamienieni są w obszłizgłe potwory. Dalszy ciąg filmu odnajdujemy w Sadzawce Smoka: spoczywa w nim podziurawiony strzałami Pyton, którego Apollo pokonał, będąc dzieckiem. Kolejna aluzja do rewolt i buntów. Nieco dalej Enkelados, biedny gigant, który odważył się zbuntować przeciw Zeusowi i chciał pokonać Olimp, leży w boskiecie nazwanym jego imieniem, przygnięciony skalistą górą, z otwartymi ustami, jakby błagał niebiosy

o miłosierdzie. Okrutna kara dla tytana, śmierć za życia dlatego, że wywołał gniew bogów. Król, chociaż namaszczony przez Boga, pozostaje na lasce zamieszek, a młody Ludwik wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Jego dziadek, Henryk IV, został zamordowany. Jego kuzyna, Karola I Stuarta, stracono.

Wszystkie więc alegorie w ogrodzie miały za zadanie ostrzegać śmiałków, którzy mieliby odwagę podnieść rękę na króla Francji. Ze wszystkich boskietów i fontann wylania się ostrzeżenie Ludwika XIV: „Wszystkich buntowników ukarzę przykładnie”. Ileż razy chciałem być razem z tobą, żeby pokazać ci, jak bardzo wszystko w tych ogrodach technicznie polityką!

Lecz to, że tak późno i w bardzo epizodyczny sposób zainteresowałaś się ogrodami w Wersalu, jest bez wątpienia moją winą. Od początku powinienem był włączać cię do moich badań. Wtedy łatwiej by ci było zrozumieć moje wielkie zainteresowanie Sadzawką Apollina. Apollo na swoim rydwanie, umieszczony w tej samej linii co Fontanna Latony, na końcu Zielonego Dywanu, zdaje się wzbijać w powietrze, aby przyjść z pomocą swojej matce... Kiedy zna się bliskość więzów łączących syna z tą, która wydała go na świat, ta pozycja wydaje się całkiem naturalna. Logiczne, że bóg Słońca zwrócony jest w kierunku Latony.

A jednak w tym właśnie miejscu jest błąd. Jak u licha mogłem tego nie zauważyć? Dlaczego czekałem, aż uświadomi mi to ogrodowy maniak, Leroux? To prawda, że ustawiony w tej pozycji Apollin mógł pozdrawić swoją matkę, ale poruszałby się w kierunku przeciwnym niż Słońce! Czy był to świadomy wybór, a jeśli tak, co się za nim kryło? Pytanie to nieustannie drążyło mój umysł. Śniłem o tym po nocach. Sprawdziłem szczegółowo wiele tez historyków na ten temat, niezrozumiałych, pokrytych kurzem, dziwacznych. Najczęściej pojawiała się teza, że tak naprawdę rydwan kieruje się

w stronę Grotty Tetydy: w tej położonej niedaleko zamku s dzawce można podziwiać rzeźbę przedstawiającą Apollina odpoczywającego nocą pośród nimf, gotowego do powrotu na zachód. Dziwaczna interpretacja, której absurdalność potwierdza fakt, że grotta została zniszczona w 1684 roku.

W rzeczywistości wśród autorów zdawał się rysów swego rodzaju consensus: to prawda, że dziwna pozycja Apollina „sprzeciwiała się” słonecznemu mitowi, ale ich zda niem rzecz ta nie miała żadnego znaczenia. Moim zdaniem było całkiem na odwrót. Czułem, że nie mogę zrezygnować z wyjaśnienia tej tajemnicy. Dobrze wiesz, że w mojej karierze zawsze udawało mi się znajdować rozwiązania tam gdzie inni widzieli tylko problemy. W programach komputerowych, biotechnologiach, chorobach... Dlaczego Wersa miałby mi się oprzeć?

Miałem przeczucie, że jeśli rzeczywiście chcę wyjaśnić tę tajemnicę, odnieść sukces tam, gdzie inni ponieśli klęskę, muszę zdobyć oryginalne plany, które narysował Le Nôtre - ogrodnik Ludwika XIV -jego pierwsze szkice sadzawki, Tapis Vert, Wielkiej Perspektywy, boskietów, tego wielkiego dzieła, które zasiał w Wersalu.

„Le Nôtre”. „Ludwik XIV. „Ogrody w Wersalu”. „Oryginalne plany”. „Pierwsze rysunki”.

Zaprogramowałem na artvaiue.com dziesiątki słów-kluczy i strona internetowa wysyłała mi powiadomienia, ilekroć przedmioty, które mogły mnie interesować, pojawiały się na aukcjach. Zresztą pojawiło się kilka, ale nic, co byłoby związane z Apollinem lub pierwszymi planami Le Nôtre'a. Wróciłem do Bostonu i minęło kilka tygodni, nim ponownie nadarzyła się okazja, bym powrócił do tematu-Zajmowały mnie ataki konkurencji Controlsoftu, mimo że zrezygnowałem już z operacyjnego zarządzania firmą ipo-święciłem się działalności charytatywnej. Puttman złościł się, pocił, wylewał ludzi, a podczas mitingów rzucał pusz

kami coca-coli. Tym samym problem odwróconego Apollina zszedł na drugi plan i gotów był schować się we wstydlivej pamięci mojego mózgu, na dysku przeznaczonym do przechowywania rzadkich zagadek, których nigdy nie udało mi się wyjaśnić.

Ale pewnego ranka, w przeddzień Święta Dziękczynienia, zadzwoniła do mnie do biura Sandra.

- Dan, czy mogę z tobą porozmawiać? Nie przeszkadzam?

- Sandra, ty mi nigdy nie przeszkadzasz.

Sandra, wieloletnia pracownica Controlware, od kilku lat zarządzała fundacją, którą założyłem razem z Amelią. Znasz tę dziewczynę! Mikroprocesor w lewym płacie mózgu! To jej powierzyłem zajmowanie się wnioskami o dotacje. Od kiedy staliśmy się największą organizacją charytatywną na świecie, jest tego ogrom. W zasadzie nasze działania ukierunkowane są na walkę z ubóstwem, ale nie możemy zabronić pisania do nas wszelkim stowarzyszeniom charytatywnym, właścicielom popadających w ruinę zamków czy kustoszom muzeów bez pieniędzy. Sześćdziesiąt miliardów dolarów do wykorzystania budzi pragnienie...

- Dan, mam u siebie gościa z Francji. Z Ministerstwa Kultury. Przyjechał, aby porozmawiać o Wersalu.

Sandra wiedziała, że interesuję się tym tematem.

- Czego dokładnie chce?

- Mówi, że jakiś francuski kolekcjoner wystawia w Paryżu na sprzedaż niewielki kuferek, który należał do Ludwika XIV. Istnieje ryzyko, że jeśli Wersal nie znajdzie środków, by go nabyć, przedmiot ten opuści Francję. Dlatego szukają mecenasa. To nie nasze sprawy, ale...

- Cena?

Sandra była przyzwyczajona do mojego bezpośredniego języka.

- Osiemset tysięcy dolarów.

Oczywiście to drobiazg. Tyle tylko że nie miałem ochy odstępować od swojej strategii. Pieniądze z mojej fund nie były przeznaczone do wzbogacania kolekcji francuski zamków. Mogłem jednak ofiarować tę kwotę indywidualnie. A poza tym chodziło o Wersal.

- Niech tu przyjdzie.

Godzinę później Pierre de Claverie znalazł się w moim biurze. Wysoki czterdziestolatek w okularach, granatowym garniturze, niebieskiej koszuli, bordowym krawacie. Już teraz posiadał doskonały wygląd francuskiego urzędnika wyższego szczebla, wygładzony i skrojony tak, żeby oprze się zmianom rządów. Tym właśnie mogłaś się stać, gdybyś nie posiadała w połowie amerykańskich genów. Przyszedł do Sandry, żeby przedstawić projekty wersalskich kustoszy dotyczące mecenatu. Mówił po angielsku powoli, lecz poprawnie, a fakt znalezienia się w gabinecie najpotężniejszego w świecie właściciela firmy wcale go nie onieśmielił.

- Panie Claverie, mam pół godziny.

Twój stary sposób na to, żeby zebrania nie ciągnęły się całą wieczność...

Claverie wyjął z walizeczki zdjęcia oraz dokumenty potwierdzające pochodzenie kufierka. Niewiele większy niż karton na buty, został wykonany między rokiem 1685 a 1690 przez André Charles'a Boulle'a i od samego początku przeznaczony był do gabinetu w Wersalu, gdzie właśnie zamieszkał Ludwik XIV. Niezbyt uważnie słuchałem urzędnika. Jednocześnie dwukrotnie rozmawiałem przez telefon z Puttmanem w sprawie procesu Balco. Po piętnastu minutach przerwałem mojemu rozmówcy.

- Proszę posłuchać, panie de Claverie. Zróbmy tak: dam panu osiemset tysięcy dolarów... jeśli powie mi pan, dlaczego rydwan Apollina jest umieszczony odwrotnie.

Urzędnik zamilkł na chwilę, po czym położył dokumenty na stole. Spodźniewałem się, że odrzuci to pytanie, że po

dejmie na nowo temat swojego kuferka Boule'a, a nawet że wybuchnie śmiechem. Pomyłka. Clauerie pozostał niewzruszony, kliniczny.

- Rydwan Apollina na odwrót... To stara historia. Wielu historyków zajmowało się tą sprawą. I połamało sobie na tym zęby, że się tak wyrażę, panie Barrett. Te ogrody tak bardzo zmieniły się przez tyle lat! Uśmiech zniknął z jego twarzy. Dalej mówił już poważnie:

- Można by to sprawdzić tylko w jeden sposób. Trzeba znaleźć oryginalne plany Le Nôtre'a.

- Wszystkie dawne plany Le Nôtre'a zostały już przeanalizowane, prawda? Są u was, we Francji, w Bibliotece Narodowej lub w Institut de France, czyż nie?

- Oczywiście. Ale wie pan z pewnością, że kilka tygodni temu młody francuski naukowiec, Pierre Bonnaure, znalazł plan datowany na rok tysiąc sześćset sześćdziesiąty czwarty. Znajdował się w magazynach francuskiej Biblioteki Narodowej...

- Tak, czytałem o tym na jego blogu. Przypisuje się go niejakiemu Francois de La Pointe, podczas gdy wyraźnie widać na nim rękę Le Nôtre'a. Ale nie jest to oryginalny plan i nie wnosi nic nowego w kwestii Apollina.

- To prawda, lecz to odkrycie dowodzi przynajmniej jednego: niewykluczone, że pewnego dnia odnajdą się inne Plany, jeszcze starsze, leżące dziś w prywatnych kolekcjach, archiwach, starych muzeach, na strychach... Zwłaszcza w Szwecji.

W Szwecji? Teraz ja zamilkłem. Dlaczego Szwecja? Coś musiało mi umknąć.

- Muzeum w Sztokholmie - kontynuował Clauerie, Widząc moje zdziwienie - posiada najbogatszą na świecie kolekcję rysunków Le Nôtre'a. Może jest wśród nich taki, który dotyczy Apollina? Jakież częściowe plany? Albo ktoś, o Powiedziałyby nam, gdzie należy szukać?

- Skąd pan o tym wie?

Urzędnik stał przede mną wyprostowany, prawie nam baczność. Możesz sobie wyobrazić, jaki był dumny z tego. M że wykazuje się wiedzą na temat historii Francji. Zwłaszcza przed Amerykaninem.

- Kilka lat temu pracowałem w Luwrze - ciągnął. - Wymienialiśmy wiele eksponatów ze Sztokholmem. Ale nigdy nie były to rysunki Le Nôtre'a. One nigdy nie opusz-**M** czają muzeum. Są zbyt delikatne.

- Ale dlaczego tam się znalazły?

- To stara historia. Syn bratanka Le Nôtre'a udostępnił je jednemu ze szwedzkich architektów. Pozwolił mu sporządzić kopie, a nawet zabrać oryginały do swojego kraju.

- Z kim się pan tam kontaktuje?

- Czy to jest pytanie za osiemset tysięcy dolarów? Mówił rozważnie, lecz szybko wyciągał wnioski.

- Doskonale pan zrozumiał, panie de Clavierie. Urzędnik strzepnął koniuszkami palców niewidoczny pyłek z rękawa marynarki.

- Strandberg. Kathrin Strandberg, kustoszka. Następnego dnia wydałem polecenie przelewu dla Clavierie. I poleciałem do Sztokholmu.

Emma z żalem wróciła do swojego pokoju. Wszystko co było związane z Pierre'em, miało zawsze smak czegoś nieukończzonego. Nawet ich rozmowy pozostawały frustrujące, jakby w zawieszaniu. Podczas rzadkich obiadów, które wspólnie zjedli, nigdy się nie zwierzał. Nigdy nie pozwolił sobie na najmniejszą poufalskość. Jej matka często mawiała, że ludzie się przyjaźnią, jeśli mogą sobie powiedzieć o tym, co ich boli. Tymczasem z Pierre'em zawsze rozmawiali tylko o tym, co dobre. Albo o niczym. Z pewnością mogli być przyjaciółmi, ale on zbudował między nimi komorę chłodzącą. To prawda, że dziś wieczorem rozmawiały ze sobą ich ciała, oni nie przełamali jednak lodów.

Amerykanka usiadła na łóżku i dla spokoju sumienia włączyła laptopa; urządzenie uruchamiało się, podczas gdy ona brała prysznic. Wróciła, żeby wpisać hasło dostępu, po czym poszła umyć zęby. Kiedy ubrana w niebieską piżamę wyszła z łazienki, na wszelki wypadek spróbowała połączyć się z Internetem. Wpisała adres swojej firmy i strona natychmiast się otworzyła. Zdziwiona. Wszystko było znowu w porządku!

Nie mogła wyjść ze zdumienia. Po raz kolejny światu udało się uciec przed Big One, przed niepokonanym planetarnym msem. Naukowcy niewątpliwie zidentyfikowali i unieszkodliwili autorów ataku. Ich praca musiała być niełatwa, zajęło im to dwa dni, ale w tych czasach specjaliści od walki z wi

rasami są już naprawdę skuteczni. Już chciała zadzwonić do Pierre'a, żeby przekazać mu nowinę, ale się powstrzymała: z pewnością właśnie dokonywał tego samego odkrycia w swoim pokoju. Wyobrażała sobie, jaką musi czuć ulgę.

Usiadła wygodnie na łóżku, podparła plecy dwoma poduszkami i zaczęła od odpowiedzi na mejle Brada. Ciekawe, jak banalne wydawały się w tym kontekście. Oczywiście nie zrobił żadnej aluzji do rozmowy sprzed jej wyjazdu. Pisał, że jego sprawy specjalnie nie ucierpiały, martwił się o nią i z niecierpliwością czekał na wieści od niej. Podala mu w odpowiedzi kilka informacji, nie więcej niż dziesięć linijek, i zakończyła po francusku: „Jakie to szczęście, że jesteś!”. W języku Moliere'a zdanie to zdawało się mieć głębszy sens niż po angielsku. Nie po raz pierwszy to zauważyła: kiedy wyraża uczucie po francusku, wydaje jej się to mniej powierzchowne.

Emma odpowiedziała również lakonicznym OK na dwie inne pilne wiadomości. W sumie dostała tylko około dwudziestu mejli wysłanych w ciągu dwu poprzednich dni. Dwadzieścia razy mniej niż zwykle. Większość musiała zginąć podczas zastoju. Już miała zamknąć skrzynkę pocztową, ale zanim kliknęła na ikonkę, jej uwagę przyciągnął tytuł ostatniego mejla z listy. Nagłówek był po angielsku i pochodził od Alert Service, do którego się zarejestrowała.

„Uwaga na melatoninę. Pięciu pasażerów nie żyje. Eksperci obawiają się, że to początek epidemii”.

Artykuł, który natychmiast wyświetliła, zmroził jej krew w żyłach. Zatytułowany „Tajemnica melatoniny”, sygnalizował śmierć pięciu osób, które dzień lub dwa dni wcześniej wzięły lekarstwo przeciw skutkom zmiany strefy czasowej. Tak samo jak Kathrin Strandberg. Wszystkie odbyły długie loty. W ciągu godzin poprzedzających śmierć wszystkim „urwał się” kontakt z rzeczywistością, zapomniały, gdzie mieszkają, imion swoich bliskich, czasami swojego własnego imienia. I przyczyny zgonu wydawały się identyczne: za

burzenia oddechowe, obrzęk i ustanie pracy serca, często po kilkugodzinnej śpiączce. Dwie osoby w chwili śmierci znajdowały się w Bostonie, jedna w Sydney, a czwarta we Frankfurcie. Piątą była właśnie szwedzka pani kustosz. Żadnych wzmianek na temat fizycznej agresji, której doznała. Przeprowadzono sekcje zwłok, lecz do chwili obecnej żaden lekarz nie jest w stanie określić dokładnie przebiegu procesu śmierci. Czyżby chodziło o zjawisko indywidualnych alergii związanych z przedawkowaniem? O nietolerancję melatoniny, która dotąd nie została wykryta? O początek epidemii? Emma zadała sobie pytanie, jakim sposobem dziennikarz, który napisał artykuł, zdołał połączyć ze sobą Boston, Sydney i Londyn. A zwłaszcza Arromanches. Trudno uwierzyć, że każde z tych wydarzeń zostało zawarte w odrębnej depeszy agencyjnej.

Minęła pierwsza w nocy. Emma domyślała się, że trudno będzie jej zasnąć, lecz mimo wszystko wyciągnęła się na łóżku i przykryła koldrą. Gdy tylko zgasła światło, pomyślała o Pierre. Los znowu zetknął ich ze sobą i czuła niejasno, że jeśli na tym poprzestaną, coś może się popsuć. Nic nie wskazywało na to, że zostali stworzeni do tego, aby się rozumieć, ale wydawało jej się, że powinni się lepiej poznać. Czy on tego chce czy nie, zajmuje pewne miejsce w jej podświadomości zamiast w jej życiu. Zamknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze. Sen wrócił wbrew jej woli. Szybko go odsunęła: nie, nie tego pragnie. Żalowała jednak, że przed chwilą, pod lukiem, nie powiedziała Pierre'owi, co czuje. Ale co to było? Co tak naprawdę czuła? Czy zdołałaby to nazwać?

Włączyła z powrotem światło. Obok, na nocnym stoliku, stał telefon. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Wybrać 928, żeby dowiedzieć się, czy Pierre, podobnie jak ona, czuje się sfrustrowany powierzchownością ich rozmów. Ale co on by so-[^]
° Pomyślał? Nigdy w kontaktach z mężczyznami nie zrobi-Pierwszego kroku. A tym bardziej z mężczyzną, w którym

nie jest zakochana. Gdyby chociaż dokładnie wiedziała, czego chce! Być może po prostu rozmowy, żeby go lepiej poznać. Tak, przynajmniej tego. Ale przede wszystkim chciała zyskać pewność, że nie przeszła obojętnie obok czegoś ważnego, j

Ponownie zgasła nocną lampkę. Kobieta nie dzwoni pierwsza do mężczyzny w środku nocy. Psychoanaliticy twierdzą nawet, że taka postawa jest niebezpieczna. Rzeczywiście, gdyby wskutek takiego aktu narodził się związek, powstałby brak równowagi. Nieodwracalny. Mężczyźni, prawdziwi mężczyźni, pożądamy tylko tych kobiet, które sami oczarowali. Ale jakie to ma właściwie znaczenie? W przypadku Pie-re'a nie ma mowy o żadnym pożądanym. Co do relacji, jakie mogłyby powstać między nimi, nie istniało niebezpieczeństwo, że posuną się za daleko: mieszkali w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów.

01.30 w nocy Emma usiadła na łóżku i po omacku wzięła do ręki słuchawkę telefonu.

8

Pierre siedział na piasku oparty o ścianę, twarzą w kierunku morza; niebo nie było zachmurzone i czekając na Emmę, starał się rozróżnić gwiazdy. Kiedy zadzwoniła do niego dziesięć minut temu, właśnie surfował w Internecie. On także nie posiadał się ze zdziwienia, widząc, że sieć znowu normalnie funkcjonuje. Franek przestraszył go tym swoim Big One. Od południa był absolutnie przekonany, że web został unicestwiony na dobre. Lepiej niż kto inny wiedział, że ta hipoteza jest śmieszna: sieć stała się zbyt niezbędna dla Amerykanów, żeby za wszelką cenę nie przywrócili jej działania. Ale atak sprzed dwu dni pokazał, że jakaś potężna organizacja - kraj, grupa terrorystyczna - posiadająca jak dotąd nieznaną sposobą, zdecydowała się unicestwić najbardziej zdumiewające narzędzie komunikacji, jakie człowiek zdołał wynaleźć od czasu samochodu.

Nawet jeśli wszystko wróciło do normy - od godziny w Nowym Jorku, a 21.00 we Francji - Pierre nie czuł się zupełnie spokojny. Jak wszyscy informatycy, nie potrafił uźnać sprawy za niebyłą dopóty, dopóki nie udało mu się donie Przeanalizować jej przyczyn. Kto kierował atakiem? Jakim celu działali piraci? Czy tylko po to, aby pokazać, że cel[^] ^Wf^{o-em} technicznym są najsilniejsi? Czy może mieli [^]Polityczny, zniszczenie absolutnego symbolu globalizacji? Przede wszystkim, poza celem, interesowało go, jakiego ^obu użyli, żeby pokonać zapory sieciowe i antywirusy?

85

Wszystkie te pytania tłoczyły się w jego głowie, odsuwając! na drugi plan inne wydarzenia dnia. Po powrocie z klubu zagłębił się w forach specjalistów, łowiąc informacje na blogach hakerów oraz stronach producentów oprogramowania! To co tam przeczytał, wcale go nie uspokoiło. Oczywiście serwery zostały odblokowane, co pozwoliło ponownie uruchomić system. Ale powody zapychania systemu nie zostały wyjaśnione. Specjaliści nadal byli na etapie hipotez, licząc i ze sobą sprzecznych.

Jedyny element, co do którego panowała jednomyślnie to zasięg awarii: chodziło o największy zanik Internetu czasu jego powstania. Uwidocznili on kruchość sieci. Pomimo wszystkich zapowiadanych efektów oraz rzeczywistego postępu, jaki dokonał się w ciągu ostatnich lat, piraci zachowali dużą przewagę nad żandarmami. Jak kubek zimnej wody trafiło do niego zdanie z napisanego w triumfalnym tonie ostatniego mejla Francka, który szybko zapomniał o wczorajszym strachu: „Zobaczysz, ten atak przejdzie do historii trzeba z niego wyciągnąć wnioski”. Zaczął zastanawiać nad tymi wnioskami, lecz przerwał mu dzwonek telefonu. To była Emma.

- Wybacz, Pierre, że ci przeszkadzam. Zegar u dołu ekranu wskazywał 1.30 w nocy. Dlaczego dzwoni do niego o tej porze? Czy jest chora?

- Nie ma sprawy, nie spałem - odpowiedział spokojnie

- Nie mogę spać. Nie masz ochoty trochę się przejść?* Jej głos był bezdźwięczny i przerywany. Może problem Emmy związany jest ze śmiercią tamtej kobiety? Czy dowiedziała się czegoś nowego? Nie należała do osób, które bez powodu dzwonią w środku nocy.

- Nie wołałabyś przyjść tutaj? - odpowiedział, bez enj tuzjizmu myśląc o perspektywie wyjścia z pokoju.

- Nie, naprawdę chciałabym się przewietrzyć.

- No dobrze. Dokąd chcesz iść?

- Wszystko jedno... Spotkamy się na plaży?

Ubrał się w kilka sekund i wyszedł. A teraz czekał od pięciu minut. Już zaczął się zastanawiać, czy Emma, podobnie jak niektóre znane mu kobiety, nie postawiła sobie za punkt honoru, że się spóźni, aby w ten sposób przetestować swoją zdolność bycia pożądaną. Faktem jest, że kiedyś Amerykanka nie bawiła się w kokietkę, musiał to uczciwie przyznać. Ale może z wiekiem zmieniła się, zwłaszcza odkąd stała się gwiazdą.

Pierre nie mógł przypuszczać, że zmieszana własną odwagą Emma straciła cenne minuty na szukanie swetra, a potem na zastanawianie się przed lustrem w przedpokoju, żeby w końcu zdecydować, że nie użyje ani pudru, ani kredki do oczu. Trudno też byłoby mu sobie wyobrazić, że przed wyjściem z hotelu zatrzymała się, by złapać głęboki wdech i uwolnić się od ogarniających ją emocji.

Kiedy niemal zaskoczony ujrzał ją przed sobą, była ubrana w dżinsy, bluzę i trampki. To też było niespodziewane. Długie ciemne włosy sływały na ramiona. Wyciągnęła rękę, chcąc pomóc mu wstać. Zerwał się w podskoku, nie dotykając ręki kobiety, ale jakby chcąc wynagrodzić tę odmowę, objął ją ramieniem.

- Coś jest nie tak? - zapytał. Wydawała się zaskoczona jego troską.

- Nie mogłam zasnąć, potrzebowałam spaceru... Widziałeś? Internet znowu działa.

Uniosła głowę w tej samej chwili, kiedy on, aby jej odpowiedzieć, pochylił się w jej stronę. Ich wargi dotknęły się. Zaskoczenie trwało tylko sekundę, tę sekundę, w ciągu której ich wargi rozdzieliły się, aby następnie lepiej się połączyć. Później żadne z nich nie mogłoby powiedzieć, kto pocałował Pierwszy, tak jakby ich wola nie miała tu żadnego znaczenia^{nia}. Ale wiedzieli, że był to tylko jeden z wielu przejawów tej rwnej bliskości ich ciał, tej instynktownej bliskości, której^o świadczyli już, tańcząc ze sobą.

Objęci szli plażą, potykając się na piasku i kamieniach, aż doszli do mokrego piasku na brzegu morza. Daleko za nimi j

rysował się początek stromej ścieżki prowadzącej do następnej plaży, z drugiej strony klifu. Każdego dnia podążały

niaj dziesiątki wycieczkowiczów lub zwykłych spacerowiczów. Ale nikt nie zapuszczał się tam w nocy.

- Pójdziemy wzdłuż klifu aż do drugiej plaży? - zapytała Emma.

- Jak ona się nazywa?

- Nie wiem, ale to niewielka zatoczka, można do niej dotrzeć bez specjalnego wysiłku, a kiedy znajdziesz się już na

dole, jest tam bajecznie. Jak w raju.

Pierre pocałował jej lśniące włosy.

- A zatem ruszamy do raju.

Pani kustosz z Nationalmuseum w Sztokholmie nie robiła żadnych trudności, żeby mnie przyjąć. Kiedy człowiek nazywa się Dan Barrett... Przez telefon nie powiedziałem jej wiele. Interesuję się André Le Nôtre'em. Bardzo chciałbym zobaczyć plany oraz szkice, w których posiadaniu jest jej muzeum. Koniec kropka. Natychmiast zapytała: „Me chodzi panu o ich kupno, prawda?”. Po raz kolejny wyprzedziła mnie moja sława. Uspokoilem ją: kupuję tylko to, co jest do sprzedania. Potem rozmowa stała się luźniejsza. Jej nieco ochrypły głos sprawiał, że wyobrażałem sobie kogoś przypominającego młodszą Angele Merkel, osobę oschłą i kompetentną. W krajach nordyckich często spotyka się ten profil na odpowiedzialnych stanowiskach. Ale Kathrin Strandberg była całkiem inna. Przed wyjazdem kazałem sporządzić jej rysopis. W tamtych czasach miałem już około dziesięciu tysięcy podobnych. Tęk, wiem, często zarzucałaś mi „przeszukiwanie” życia in-nych ludzi. Ale czy mam jakiś wybór? Wobec rozmówcy, który wie o mnie wszystko - lub też wszystko to, co na ten temat mówią media, czyli często więcej, niż ja sam bym powiedział Jest to jedyny sposób wzniesienia się na ten sam poziom informacji. Pamiętasz ten dzień w Nowym Jorku, kiedy po Pierwszy spotkałem się z twoim ojcem? Myślałem, że oszalejesz, kiedy wspomniałem lata, które spędził u boku

Richarda Nbcna. Krzychała: „O czym więc będziecie rozmawiać, skoro już wszystko o nim wiesz?”. Odpowiedziała ci: „O tym, kim jest! To chyba bardziej interesujące, prai da?”. Nadal pamiętam ciszę, która wtedy zapadła.

„Dzięki komputerowi - powiedziałaś mi dużo później - można dowiedzieć się o ludziach wszystkiego z wyjątkie tego, co mają w sercach”.

*Te rysopisy przydają mi się jeszcze bardziej w relacjach z osobami, które już spotkałem. Dzięki temu mogim pogratulować artykułu, który pół roku temu ukazał i w *New York Timesie*, nawet jeśli go nie czytałem, wywiera duże wrażenie. Kiedy zaczynałem, uaktualnianie systemu było męczące. Dzisiaj wystarczy, że wychodzą ze spotkania, nagram kilka zdań na telefon lub słuchatkę Wifi. Dane przekazywane są do Internetu, a kartotek aktualizowana.*

Była połowa stycznia i padał śnieg, kiedy samolot 74 American Airlines lądował na lotnisku w Sztokholmie, jazd do miasta wydawał się banalny. Otulone białym płóciem europejskie miasta były wszystkie do siebie podobnie interesujące. Jestem tu, żeby popracować. Taksówk lotnisko, hotel, znasz ten refren.

Pani kustosz wyjechała po mnie na lotnisko. Kiedy j zobaczyłem, stwierdziłem, że mój system kartotek nie je doskonały. Wiedziałem wszystko na temat jej dyplomów (historia sztuki, zarządzanie służbami publicznymi), o jej karierze (sukces stworzonego przez nią w jednym z miast na Północy dziecięcego muzeum high tech, który pozwolił jej zdobyć to uprzywilejowane stanowisko), a nawet o jej prywatnym: trzydzieści trzy lata, rozwiedziona, bezdzieci. Ale z powodu braku fotografii w opisie zabrakło tego (najważniejsze: Kathrin Strandberg była karykaturalny obrazem Szwedki. Wysoka blondynka z długą szyją przysłoniętą krótkimi kręconymi włosami. Anioł Północy.

Towarzyszyła jej zastępczyni, niewysoka ruda kobieta w angielskim stylu, której pulchna dłoń zmiękła jak mode-lina, kiedy ją uścisnąłem.

- Mogę poświęcić panu cały dzień, panie Barrett - zakomunikowała z miejsca Kathrin delikatnym, przytłumionym głosem, który przypominał mi głos włoskiej piosenkarki.

Jej angielski był doskonały. Zasady zachowania również: nie chciała, abym wiedział, że zimą muzeum dostosowuje godziny swego otwarcia do słońca. Jest czynne do 1500.

- To bardzo uprzejme z pani strony... ale kilka godzin powinno wystarczyć, prawda? Mam samolot o siedemnastej.

- Jeśli będzie pan chciał wszystko obejrzeć, potrzebny będzie cały dzień - powtórzyła z uśmiechem.

Była 9.00 rano. Chciałem obejrzeć dokumenty i jak najszybciej wrócić do Bostonu. Tak, wiem, co teraz sobie wyobrażasz: że świetnie byłoby spędzić noc z taką hostessą. Ale tego nie było w planie, koniec kropka.

Przejechaliśmy miasto, udając się bezpośrednio do muzeum, które zamknięto na dwie godziny dla publiczności, abym mógł wejść incognito. Znowu efekt Bareta... Mój Przyjaciel Brad Pitt, który uwielbia Van Gogha, regularnie każe sobie otwierać muzeum w Amsterdamie, aby pokazać Jego obrazy przyjaciółom.

Ludzie, którzy skarżą się na popularność, są nieznośni, prawda?

Kathrin Strandberg zaprowadziła mnie do działu sztuk ^{graficznych}. Długie pomieszczenie w starym stylu, z

przeszklonymi drzwiami, umeblowane dużymi prostokątnymi stołami stojącymi pod oknem. Dokumenty

toczyły się w szu-aac/j i ogromnych plastikowych walizkach. Mojezdumie^{-mie}- zbiorów nie numerowano.

Posiadający odpowiednie ^{ze}zwolenie zwiedzający oglądał zgromadzone w segregac^{-a}on zestawienia. Kiedy znalazł interesującą go sygnatu

rę, wypełniał kartę dla archiwisty, który szedł znaleźć na półkach oryginalny rysunek. Na szczęście Kathrin przygotowała wcześniej moją wizytę. Jej zastępczyni przyniosła mi od razu kilka dużych tek czek i plastikowych walizek zawierających kartki, których, autorstwo przypisywano Le Nôtre'owi. Chcąc upewnić się że dobrze zdaję sobie sprawę z przywileju, jaki stał się moim udziałem, i z wagi skarbów, które mi przedstawia, przypok mniała mi, że na całym świecie istnieje tylko około dwudziesta rysunków będących w całości dziełem Le Nôtre'a; około czterA dziesiątu wykonanych wspólnie z jego asystentami, a przeà niego sygnowanych; oraz około setki kopii pochodzących w mniejszym lub większym stopniu z tamtych czasów.

- Proszę to włożyć, to obowiązkowe - powiedziałam podając mi parę białych, bardzo cienkich gumowych rękawiczek.

Widziałem, jak jej delikatne palce znikają w trzeszczącej gumie. Kathrin ostrożnie otworzyła pudełko.

- Rysunki nigdy nie wchodzi w skład stałej ekspozycja - wyjaśniła, wyjmując pierwszą kartkę. - W najlepszym wypadku trzy, cztery razy w ciągu jednego wieku.

Bardzo delikatnie, jakby to była rzadka porcelancę wyjmowała po kolei rysunki z teczek i kładła przede mną na dużym stole oświetlonym przez dwie lampy dające białe światło. Większość dzieł oprawiona była w ramki. Kathrin opowiadała o nich z radością. Sztokholm posiada takie bogactwo rysunków Le Nôtre'a, ponieważ trzy wieki temu na francuskim dworze kształcił się jeden ze szwedzkich archi' tektów. Ów Carl, jak powiedział mi już Claverie, przywiał do swojego kraju wiele oryginalnych rysunków mistrza.

Były tam w większości rysunki kaskad przeznaczonym dla królewskich posiadłości: Sceaux, Saint-Germain... a ta*-' że Vaux-le-Vicomte, której wspaniałe przedstawienie P^o" kazała mi Kathrin - największy znany rysunek Le Nôtre Q>

Wysokość trzydzieści długości i siedemdziesiąt centymetrów szerokości. Podziwiałem również szkic Fontanny Zeusa, boga bogów i ojca Apollina, fontanny, której - według mojej wiedzy - nigdy nie było w Wersalu. Wyobrażasz sobie: Zeus, bóg Grzmotu i Pioruna! Ludwik XIV nie zniósłby na swojej ziemi widoku tego rywala!

Podziwiałem te rysunki tak, jak podziwia się stary obraz lub egipski posąg, nie tyle ze względu na ich wewnętrzne piękno, ile emocje, których dostarczały, wywołujące się z nich wspomnienie osób, które pracowały przy ich realizacji. Nie sądzisz, że stare przedmioty wskrzeszają ludzi?

Kathrin ekscytowała się po kolei każdym rozkładanym przede mną rysunkiem. Dobrze знаła technikę Le Nôtre'a i opowiadała o nim jak fanka o swoim idolu.

- A to jest projekt kaskady w Marly! Widzi pan, w jaki sposób przedstawia on na planie trzeci wymiar? Jak wykorzystuje cienie rzucane przez wysokie drzewa, palisady i fontanny? To jest wspaniałe, prawda?

Kathrin zwróciła mi uwagę, że nie zawsze wiadomo, do której posiadłości rysunki były przeznaczone.

Pewne projekty, których twórca ogrodów nie zrealizował w Wersalu - czasem wbrew sobie,

podporządkowując się zmiennym oczekiwaniom Ludwika XIV - mogły zostać zaproponowane gdzie indziej.

- Czy robił to, aby zamortyzować swoją inwestycję? -zapytałem.

- Raczej w duchu zemsty, jeśli chce pan znać moją opinię. Aby pokazać, że jakiś jego projekt został niesłusznie odsunięty. Aby powiedzieć Ludwikowi XIV coś w rodzaju - „Nie chciałeś go, Sire, ale proszę popatrzeć, jak ładnie ogląda u innych”.

Później, dużo później przypomniałem sobie te słowa Ka-m Strandberg. Ona pierwsza wspomiała o możliwości zerwania z LeNôtre'a na jego przyjaciela - królu.

Kiedy ostatni rysunek znalazł się już na stole, Kathri usiadła z założonymi rękoma i zwróciła się z uśmiechem w moją stronę.

- Proszę, panie Barrett, czyż to nie wspaniałe? Mój wymuszony uśmiech wskazywał, że nie podziela jej entuzjazmu. Domyślasz się, że byłem nieco zawiedziony. W muzeum nie było najmniejszego rysunku, który miałby związek z Apollinem.

- A właściwie czego pan szuka w Nationalmuseum, panie Barrett? - zapytała, ostrożnie składając wielki płaszcz Vaux-le-Vicomte.

Nie było potrzeby dłużej przed nią ukrywać, jaki jest prawdziwy motyw mojej podróży.

- Prawdę mówiąc... szkiców do Sadyzacji Apollina.

- Mówi pan o posągach Tuby, czy o samej sadyzacji?

- O jednym i drugim...

- Proszę nie mówić, że interesuje pana...

- Pozycja Apollina, tak, właśnie to... Wybuchnęła śmiechem.

- Mógł mi pan od razu o tym powiedzieć! A więc to dr czy pana od początku! Ale nie jest pan pierwszy.

Chodźmy, coś panu pokażę.

Zrobiła kilka kroków w stronę stojących parę metrów dalej regałów i wzięła z półki wielkie tomisko, na którego okładce przedstawiono pałac w Wersalu. Wystarczyło jej kilka chwil na znalezienie tego, czego szukała: czarno-białego rysunku przedstawiającego rzeźbiarską grupę wschodzącego Słońca z Apollinem w centrum. Pod spodem fotografia samej rzeźby, w sadyzacji. Na pierwszym przedstawieniu grupa Apollina i jego rydwan wydawały się bardziej zwarte niż na drugim.

- To - powiedziała - jest pierwszy rysunek Le Brunom a tu, na zdjęciu, rzeźba Tuby. Proszę popatrzeć, panie Barrett, na wspaniałą pracę rzeźbiarza! Dodał pewne elementy do

pierwotnego rysunku, nie wypaczając go. U dom umieścił Miłość, a wokół niej, w sadzawce, trytony i wieloryby!

Kathrin znnowu dawała się porwać uniesieniu. Co do mnie, na próżno przyglądałem się rysunkowi, bo i tak nie mogłem znaleźć żadnej wskazówki, która pozwoliłaby mi określić, czy posągi zostały pomyślane tak, aby patrzeć w kierunku zamku, czy na odwrót, w stronę wsi. I nie było drugiego planu. Kathrin przyglądała mi się.

- Jeśli na podstawie rysunku uda się panu określić kierunek ustawienia rydwanu, jest pan mocny... i zobaczy pan rzeczy, których nikt nigdy nie widział! Ale przecież jest pan wizjonerem, panie Barrett! Denerwowała mnie jej ironia. Wykorzystywała swoją znajomość tematu. I jak wszystkie piękne i świadome tego kobiety, wiedziała, że znajduje się na podbitym terytorium. Zrozumiałem, że niczego więcej się nie dowiem, i zdecydowałem szybko zakończyć ten wywód.

- Pani Strandberg, bardzo dziękuję za przyjęcie. Nie chcę dłużej pani zatrzymywać. Za dwie godziny mam samolot. Czy może pani wezwać dla mnie taksówkę?

Kathrin rzuciła okiem na zegarek.

- Panie Barrett! Przecież teraz pan nie wyjdzie! Nie ma nic nudniejszego od czekania na lotnisku. Nawet w business lounges. Zamówiłam taksówkę za pół godziny. Dziś w Sztokholmie dobrze się jeździ. Co by pan powiedział na kawę? Na sąsiedniej ulicy jest sympatyczne bistro.

Jej swobodne zachowanie było dla mnie zaskoczeniem, zazwyczaj ludzie są wobec mnie bardziej onieśmieleni lub "legli. Ale nie miałem czasu zareagować. Już zdążyła założyć na moje ramiona swój szal, a sama wciągnęła grubą puchową kurtkę. Wskazała w kierunku wyjścia. W jej jasnych oczach lśniła dziecięcąjigłarna radość. Przypominała duże-9° Czerwonego Kapturka. Na próżno myślałem, że i tak pozbędę się jej za godzinę. Nagle poczułem, że chcę z nią iść.

- To literacka kawiarnia. Pięćset metrów stąd. Zobacz pan, jest tam bardzo przyjemna atmosfera. Na dworze było zero stopni i kiedy wszedłem do kawiarni, ciepło zadziało na mnie tak, jak latem piwo na 1 pusty żołądek. Usypiająco.

W starej sali, której ściany pokryte były książkami i zdjęciami z dedykacją od wielkich pisarzy, siedząca pod rządami półek Kathrin wyglądała naprawdę pociągająco. Czytałem w mojej kartotece, że jej praca doktorska dotyczyła postaci z baśni braci Grimm. Skierowałem rozmowę na ten temat. | Pozwoliłem, by długo opowiadała o swojej teorii - z której nic nie zapamiętałem oprócz ruchu jej warg, powolnych i łaskomych małych fal. Następnie przerwałem jej gwałtownie, mówiąc, że ja specjalizuję się w obalaniu tych pięknych hi-1 historii. Kilka lat temu jedna z moich ulubionych zabaw wieczorem, w domu, z Keuinem, polegała na znajdowaniu technologicznych sztuczek, które czynią bajki nieaktualnymi. Na przykład wyposażaliśmy Tomcia Palucha w GPS-a, aby mógł odnaleźć drogę, albo dawaliśmy komórkę siedmiu krasnoludkom, żeby mogły ostrzec na czas uroczego Księcia...

- Ale dlaczego interesuje się pan tak bardzo Wersalem? - odparowała szybko, z wyraźną chęcią zmiany biegu rozmowy.

Nie miałem ani czasu, ani ochoty tłumaczyć jej wszystkiego. Wspomniałem jednak pokrótce o Bertrandzie Lerowce, jego teorii na temat „wyprostowanego” zamku i słynnych wielbłądów. Kiedy wymawiałem to słowo po francusku, al zerwała się z miejsca. Wiedziała, o czym mówię.

- Wie pani, co to są wielbłądy? Zakłopotana opadła z powrotem na krzesło.

- Tak, oczywiście...

- W Wersalu? Była tam pani?

- Tak, dwa razy. Po raz pierwszy podczas studiów--drugi raz mniej więcej dwa lata temu, na jakimś kongresie-

!kto opowiedział pani o anomaliach w parku? Zagryzła wargi i spuściła wzrok. Wiedziała więcej, niż chciała powiedzieć.

- Spotkałam pewnego... architekta krajobrazu. Francuza. Rozkochanego w historii. Zresztą bardzo interesującego człowieka. Opublikował w czasopiśmie dla architektów krajobrazu długie badania dotyczące ogrodów.

- No i? Jakiej bronił tezy?

Kathrin grzbietem dłoni odsunęła moje pytanie. „To mało ważne, zmieńmy temat”, zdawała się mówić. Powiedziała już za dużo albo za mało. Dlaczego wspomniała o tym człowieku? Czy znała go lepiej, niż twierdziła? Z jakiego powodu, którego należało się wstydzić?

- O czym pani opowiedział, proszę mi powiedzieć - kontynuowałam, udając, że nie widzę zakłopotania kustoszki.

- Och, nic takiego! Był trochę... specyficzny. Ściągnął sobie na głowę wszystkich specjalistów od Wersalu. Nietypowy badacz. Znieważany przez wersalski establishment. Z czymś mi się to kojarzyło.

- Czy on nie studiował sztuk pięknych?

- Chce pan powiedzieć: zabytków historycznych...

Kathrin uśmiechnęła się. Wiedziała, że aby we Francji dostać się do koła specjalistów od zabytków historycznych, trzeba posiadać tytuł głównego architekta zabytków historycznych.

- To był zwykły architekt krajobrazu - podjęła na nowo, nadal niepewnie. - Udowodnił, że sześciokątne schody istniały w siedemnastym wieku na północnej fasadzie zamku. Nikt mu nie uwierzył... Ale kilka lat później przy-Padkiem znaleziono rzezczone schody.

Historia ze schodami! Już wiem. Bertrand Leroux, kiedy architekt krajobrazu, opowiadał mi o tym człowieku. Swoim nauczycielu. Tym, który ńdentyfikował trzyna-sQle wielbłądów.

- Wiem... Ja też o nim słyszałem! Ale jakie to ma znam czenie? Klótnia specjalistów. O kilka kamiennych stopnia Wie pani, lubię naukowców. W Controlware zatrudniam i setki. Jednak charakterystyczna cecha naukowca to ciąg skargi, że jest niezrozumianym geniuszem...

- Z pewnością, panie Barrett. Ale ten wybijał się por, przeciętność. To był... wersalski Einstein. Krzysztof Kołm ogrodów!

- Co chce pani przez to powiedzieć? Kathrin pomieszała herbatę tyżeczką, uśmiechając t nieśmiało. Patrzyłem, jak pochyla głowę nad filiżanką, j woli podnosi wzrok w moją stronę, a następnie go opuszcza Jej spojrzenie, osnute mgiełką pary z gorącej herbaty, zda wało się błagać o litość. Tak jak jej głos, gardłowy, drżący, którego słuchanie niemal sprawiało ból. Czulem požądanie Przyznaj, że cię to dziwi. Od czasu gdy się poznaliśmy, \ biedy niewiele mnie interesowały. Często o tym rozmawia liśmy. Zresztą zbyt często. Są w życiu inne boje. Wkaždyr razie kierowanie taką firmą jak Controlware to poświęć nie, które pozostawia niewiele miejsca na požądanie. Jes cze mniej innych niż moje.

Kelner podszedł do naszego stolika.

- Pani Strandberg?

- Tak?

- Taksówka będzie za kilka minut.

Patrzyłem na panią kustosz, jak odzyskując całą pewność siebie, dziękuje kelnerowi, i bezwiednie zacząłem huśta się na krześle, raz w przód, raz w tył. Moja matka i kolea powiedzieli mi - jeszcze zanim ty to zauważyłaś - że te odruch pojawia się wtedy, gdy intensywnie się nad czyn zastanawiam. Inie zawsze jestem tego świadomy. Powolny ruch tułowia, szeroki i wahadłowy. Młoda kobieta wygW dała na zakłopotaną. Widziałem jak odwraca wzrok, bierze komórkę i rozpoczyna rozmowę po szwedzku.

98

- Pańska taksówka zaraz będzie - powtórzyła Kath-rin tym razem odwracając się w moją stronę. - Na lotnisku Skavsta będzie pan na czas. Dziś nie ma dużego ruchu.

To uprzejme z jej strony, że martwi się o mój rozkład dnia, ale dlaczego zmieniła temat rozmowy? Co jej powiedział ten naukowiec, specjalista od krajobrazu? Czy stworzył jakąś tezę dotyczącą Apollina? Nie może dalej ciągnąć mnie pośród swoich aluzji i wahań. Wiesz, że nie jest to typ zachowania, które potrafię długo znieść.

- Kathrin, proszę mnie posłuchać. Mam tylko kilka minut... I znam historię tego architekta krajobrazu - jeśli to może panią uspokoić - który spędzał czas na dokonywaniu ręcznych pomiarów wersalskich ogrodów, czolgając się po ziemi. Pewnego dnia stwierdził, że obok północnego skrzydła, niedaleko apartamentów królowej, istniały schody. Historycy roześmiali mu się w nos! Ale kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku przyjechali do Wersalu szefowie państw G7, trzeba było wykonać prace ziemne i wtedy, przez przypadek, znaleziono ślady sześciokątnych schodów...

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy należy rozmawiać o tezach tego pana - przerwała mi Kathrin. - Krąży tyle tez na temat Wersalu, jedna bardziej dziwaczna od drugiej!

-Kathrin, błagam... W czym problem? ~ Ten architekt prosił mnie o zachowanie w tajemnicy tego, co powiedział.

- Umiem dochować tajemnicy.

- Ja też. To nawet jest reguła tajemnicy.

- Kathrin, proszę się mną nie bawić... - A co mi pan da?

Zwykle w takim momencie liczę. Chodzi o podanie do-r^eJ kwoty. Ale powstrzymałem się.

- Nic. Korupcja urzędnika. Ile za to dostaje się w Szwecji?

99

Uśmiechnęła się.

- Uprzedzam pana, niezbyt zgadzam się z jego tezą. Jest... dosyć wytrącająca z równowagi.

- Kathrin, wystarczy. Niech pani mówi!

W tym momencie Kathrin Strandberg pochyliła się nad stolikiem w moją stronę.

- Ten architekt krajobrazu nie zrobił nic dziwnego. On jest przekonany, że Le Nôtre wpisał w ogrodny matematyczny wzór na istnienie Boga.

Teraz to ja zerwałem się z miejsca.

- Matematyczny wzór na... Wytrzymała moje spojrzenie.

- Tak, dobrze pan usłyszał. Twierdzenie, które udowadnia istnienie Boga.

Zadumałem się na chwilę. Matematyczny wzór na boskie dzieło stworzenia? Jak można sobie wyobrazić, że francuski architekt krajobrazu z centymetrem w dłoni odkrył taką bombę? Że mógł posunąć się dalej niż Pascal, Einstein i tylu innych? W tym momencie widzę Nathana, mojego dyrektora ds. badań naukowych LOL, jak mówi, umierając ze śmiechu: „Dan, po co tracisz czas, zajmując się podobnymi bzdurami? Przyjedź do mnie! Znalazłem sekret zapiekanki z truflami. Tego też nauczył mnie pewien Francuz. W tym są najlepsi. I to jest boskie!”. Pamiętasz, Nathan wziął roczny urlop naukowy, żeby studiować przepisy wielkich francuskich kucharzy. I spróbować zrobić z tego program komputerowy.

Kathrin przyglądała mi się badawczo. Odchyliła się do tyłu i pochyliła głowę na bok, jakby chciała zaprosić mnie, bym podążył za jej myślami.

- Wiem, to się wydaje nieprawdopodobne. Leczyłem się udało. Całe lata spędziłem w ogrodach, chodząc na czworakach. Ale nie wyjawiał mi swojego wzoru. Chociaż domyśla się pan, że nalegałam...

100

*Domyślałem się, jakich atutów mogła użyć Kathrin Strandberg, aby skłonić naukowca do mówienia.
- Cekał z ogłoszeniem swojego odkrycia na chwilę, gdy będzie mógł pokazać niezbite dowody. Był już bliski celu. Obiecał, że gdy tylko znajdzie dowód, zadzwoni do mnie.
W tym momencie pojawił się kelner, aby dać mi znak, że moja taksówka czeka przed kawiarnią. Trzeba było iść.*

- Kathrin, proszę mi dać swój numer komórki, zadzwonię do pani!

Wpisałem jej numer do telefonu, włożyłem kurtkę i odłożyłem na stół szalik, który mi wcześniej pożyczyła. Przysięgam ci, nawet nie uścisnąłem jej dłoni. W mojej głowie nagromadziły się już pytania wywołane jej rewelacją. To, że Le Notre chciał wpisać w ogrody dowód na istnienie Boga, czemu nie? W końcu jaka może być lepsza oznaka świadcząca o pokrewieństwie króla z Bogiem? Jakież lepsze uznanie dla dzieła Stwórcy w wieku, który właśnie był wiekiem Nauki? Ale w takim razie dlaczego nie wydostać tego szlachetnego zamiaru na światło dzienne? Dlaczego nie jest czytelny dla spacerujących po ogrodach? A skoro został ukryty, w czym było to interesie i w jakim celu? I wreszcie dlaczego tylko szalony mierniczy odkrył tę tajemnicę?

Pytanie pomocnicze: czy z tą formułą związana jest niezrozumiała pozycja Apollina?

Kathrin odebrała po pierwszym sygnale.

- Szybki pan jest! - zawołała.

- Wie pani, że przeżyją tylko szybcy. Ale wróćmy do wzoru... Nie da pani żadnej wskazówki co do jego składu?

W Sztokholmie była już ciemna noc. W światłach samochodów wirowały płatki śniegu. Trasa na lotnisko Skavsta yto. podobna do tras na wszystkie inne lotniska świata.

** jakby zbudowano ją po to, żeby człowiek miał ochotę uciec. Marzyłem o Wersalu, o błyszczącym w słońcu Wiel-^ Kanale, o spokoju boskietów, majestatyczności alejek.*

Od co najmniej dziesięciu lat ogrody te były moim ulubionym miejscem odpoczynku. Żaden luksusowy hotel, żadne spa, żaden basen dla miliarderów nie dawały mi tak dobrego samopoczucia. Być może dlatego, że czułem, iż są to tylko banalne miejsca, w których jestem przejazdem. Żadne z nich nie oddychało historią tak jak ten park. Na południowym parterze, przed Latoną i Apollinem, odczuwałem to, czego moi wierzący przyjaciele doświadczali w prezbiterium katedry. Bliskości tego, co Boskie, Wieczne, pierwotnego Źródła człowieka.

Za każdym razem kiedy tam jechałem - dwa lub trzy razy do roku - odnajdywałem tam ten sam spokój i siłę, kruche połączenie potęgi i łaski. Czerpałem stamtąd jak ze źródła. Czy działa się tak dlatego, że zostało tam zapisane istnienie Boga? W jakimś sensie zapisane w jego genach? Ale jeśli tak właśnie było, dlaczego całe pokolenia historyków, specjalistów od krajobrazu oraz geometrów przeszły obojętnie obok tego znaku?

Taksówka dojeżdżała na lotnisko. Kiedy wysiadałem, z komórką opartą o podbródek i torbą w ręku, starałem się kontynuować rozmowę, jednocześnie kierując się w stronę punktu odpraw.

- Kathrin, spotkała pani tego architekta jakieś dwa lata temu, prawda? A od tamtej pory? Skoro dopani nie dzwonił, czy to znaczy, że nie znalazł dowodu, którego szukał?

Na chwilę zapadła cisza.

- Nie umiem panu odpowiedzieć. Trzeba by jego zapytać.

- To jak się nazywa ten pani pocziwina?

- Michel Costero... raczej Costello. Chce pan...

- Tak, proszę mi podać jego namiary.

Chciałem być grzeczniejszy wobec Kathrin. Ale nie udało się, odruchowo przybrałem swój rozkazujący ton.

- Jeszcze nie wróciłam do biura i nie mam ich przy sobie... Wyślę panu za chwilę mejlem, dobrze?

102

- Tak, Kathrin, dziękuję.
- Jaki jest pański adres?
- Proszę wysłać na... treo... treo@treo.com. Wahałem się, czy podać jej mój najbardziej osobisty adres. Ten, który służył dla nas dwojga. Ale to był nagły przypadek.
- Tre...?Jak to było?
- Treo. T-R-E@treo.com. -OK.
- Kathrin?
- Tak?
- Chcę również podziękować pani za ten dzień. To była dla mnie przyjemność.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Jestem pewien, że się jeszcze spotkamy.
- To tylko od pana zależy...
- Do widzenia!

- Do widzenia, panie Barrett.

Zanim odłożyła słuchawkę, jej głos wyszeptał moje nazwisko.

„Jestem pewien, że się jeszcze spotkamy”. Powiedziałem to zdanie z przyzwyczajenia. Ponieważ spotykam się z ludźmi, których już niż nigdy więcej nie widzę... Kathrin również. Wiedziałem, że gdzieś w zakamarku mojej pamięci dołączy do długiej listy spotkań niezakończonych, którymi wypełnione jest moje życie. Co mnie mało obchodzi. To są mteresy. Rynek, na którym spotyka się ludzi. Niektórych spotyka się ponownie, innych już nie. Ekonomiczni agenci, którzy przemieszczają się tam, gdzie ich prowadzi biznes. Nie należy obciążać się tym, co nie ma znaczenia. Gdy tam-ego wieczoru wyjeżdżałem ze Sztokholmu, przypomniało mi się ^^SC, co powiedziałaś mi pewnego dnia na temat niedouczonego spotkania. Byłaś nimi zmęczona. Uważałaś, że ^{se}Mistrujące . Ale czy ta frustracja nie jest właśnie jednym

z uroków życia? Czy nie powinno nam wystarczyć szczęście, którego się domyślamy? Czy nie jest to forma szczęścia sama w sobie?

Osiem godzin później, gdy samolot zaczął zniżać lot, przygotowując się do lądowania w Nowym Jorku, włączyłem komputer. W skrzynce odbiorczej czekał mejł Kathrin.

Drogi Panie Baret,

paryski numer telefonu, którego miałam, nie należy już do pana Michela Costello, ale udało mi się odnaleźć jego ślad dzięki Związkowi Architektów. W ubiegłym roku Costello odszedł na emeryturę. Zamieszkał na południu Francji, w Aix-en-Provence. Przed chwilą tam dzwoniłam. Odebrała jego żona.

Michel Costello zmarł kilka tygodni temu z powodu guza mózgu.

Jest mi naprawdę przykro. Pozdrawiam serdecznie, Kathrin Strandberg.

10

Gwiazdy nie wystarczały, by oświetlić ścieżkę. Emma i Pierre szli powoli, trzymając się blisko siebie. Najpierw podążyli asfaltową drogą, potem wijącą się ponad klifem między wysokimi trawami ścieżką, która szybko wznosi się nad Arro-manches. Rozmawiali cicho. Pierre nie zdążył odpowiedzieć na uwagę Emmy dotyczącą Internetu, ale nie miał już ochoty podejmować tego tematu.

Dotarłszy na cypel, usiedli na szerokiej skale górującej nad klifem i plażą, Gold Beach, Złotą Plażą, jak ją ochrzcili generałowie z 6 czerwca. Zbyt ładna nazwa jak na pole bitwy - mawiała Emma. Przez kilka sekund panowała cisza, którą zakłócał tylko lekki hałas fali przybojowej pod ich stopami. I pocałunek, potem dwa.

- Dlaczego ja? - zapytał nagle Pierre. Pytanie zaskoczyło Emmę.

- Ponieważ...

Zrozumiała sens jego pytania, ale nie była pewna, czy może na nie odpowiedzieć. Twarz Pierre'a, odcinająca się na tle nieba, morza i pola mchu, prawie mimowolnie podsunęła jej odpowiedź.

- Ponieważ... uważam, że jesteś przystojny. Odrzekł:

~ Mam nadzieję, że nie tylko dlatego? Ton brzmiał brutalnie. Ale czego oczekiwał, zadając jej ^{Kle} pytanie? Że mu oznajmi, iż jest w nim zakochana, że

tak było od pierwszego dnia, że jest mężczyzną jej życia? Oczywiście, że nie. Nie umiała kłamać. Ale czy w takim razie powinna pozwolić mu sądzić, że przywykła do tego rodzaju flirtów?

Od czasu gdy związała się z Bradleyem, po raz pierwszy całowała innego mężczyznę. Nigdy nie kusily jej przygody na jeden wieczór, o których opowiadały jej koleżanki spędzające co drugi tydzień w podróży. Biznesmeni spotykani w hotelach lub firmach, które odwiedzała, często robili jej awanse - w krajach Ameryki Południowej niejeden czuł się do tego zobowiązany - ale uprzejmie im odmawiała. Z czasem stwierdziła, że niektóre słowa, ubiory, niektóre uśmiechy interpretowane są jako rodzaj zachęty. Skrupulatnie ich unikała. Nauczyła się również odmawiać w takiej formie, która najmniej złościła mężczyzn, co jest zabiegiem koniecznym w sytuacji, gdy ma być między nimi kontynuowana zawodowa współpraca. Jako wymówki używała - w odpowiedniej kolejności - nadmiaru pracy, braku czasu, fizycznego zmęczenia, zostawiając na sam koniec najbardziej nieuprzejme: „Nie jest pan w moim typie”. Argument cios, jedyny prawdziwie szczery, „nie chcę zdradzać męża”, paradoksalnie okazał się najmniej skuteczny, bo mówić Don Juanowi o wierności, to jak pomachać bykowi przed nosem czerwoną szmatką. Wobec podrywaczy istniał tylko jeden wybieg teoretycznie skuteczniejszy niż aluzja do wierności: obnoszenie się z homoseksualizmem. Ale mógł on okazać się jeszcze bardziej niebezpieczny. Jedna z jej koleżanek odkryła to niedawno własnym kosztem. Coraz więcej mężczyzn właśnie marzyło o jednym: aby sprowadzić lesbijkę na „dobrą” drogę...

Amerykanka nie wiedziała, w jaki sposób przekazać Pierre'owi, że jej zachowanie jest anomalią, ekstrawagancją* której sama nie potrafi sobie wytłumaczyć. Dlaczego nagle zdecydowała się do niego zadzwonić? Ale również dlaczego⁰

on wbrew wszelkim oczekiwaniom, objął ją na drodze? Ze sposobu, w jaki sformułował swoje pytanie, domyśliła się, że nie należy do mężczyzn, którzy kolekcjonują zdobycze. Przynajmniej kiedyś, w Supra Data, nie miał takiej opinii. Zdecydowała więc, że powie mu prawdę, w nadziei że jej uwierzy. I że zrozumie.

Nie zareagował na jej opowieść. Śniła o nim, możliwe. Ale co ma sądzić o tej przemożnej „konieczności poznania go”, o której mówi i która jej zdaniem wypływa z owego snu? On także miał sny. Podobne epizody często: o radości w dniu, gdy wygrał swój pierwszy turniej rugby, o upadku do rwących potoków, również o pięknych dziewczętach, niczym szczególnie oryginalnym. Przede wszystkim zaś o niczym, co kazałoby mu rano, po przebudzeniu, traktować sen jako znak przeznaczenia. A tym bardziej chciał przenieść to do rzeczywistości.

Pierre był żonaty od piętnastu lat i zawsze był wiernym mężem. Na uniwersytecie znał wiele dziewcząt. Ale kiedy spotka! Clarę, tak dalece wyprzedzała wszystkie inne, że obiecał sobie, iż jeśli uda mu się ją zdobyć, nigdy nie spojrzy w inną stronę. I tak się stało. Mimo niespodzianki, którą odkrył dopiero potem. Ułomności Clary. Jej szalu konsumpcji, który wzrastał w miarę przyspieszania biegu życia w ich małżeństwie. Clara, podobnie jak jej wszystkie sąsiadki, musiała chodzić na gimnastykę i jeździć na wakacje z Club Med, a nie z WF. Ale stopniowo jej poziom wymagań wzrastał: Male-divy zimą, kuchnia Boffi za trzydzieści tysięcy euro, zasłony dobrane do dywanu, raczej smart niż twingo i tak dalej. On oczywiście spędzał dużo czasu w pracy - zwłaszcza odkąd wyjechał do Marsylii, żeby objąć firmę brata - i w zachowaniu swojej żony widział usprawiedliwioną rekompensatę licznych wieczorów spędzonych przed komputerem.

Rozmawiał na ten temat z Anitą, koleżanką i firmowym nerem, z którą narysował mapę dziedzin swojego życia:

część poświęconą roli ojca, męża, szefa firmy i tak dalej. Trzeci zbiór zajmował trochę zbyt dużo miejsca, ale Pierre się tym nie niepokoił. Poza tym Clara nie miała czego się obawiać. Nie zwracał uwagi na sygnały wysyłane przez inne kobiety. Położył szlaban na swoje życie uczuciowe i choć decyzja ta w mniejszym lub większym stopniu podyktowana była jego przeciążonym rozkładem dnia, w ostatecznym rozrachunku zapewniała mu pewną higienę życia.

Uporządkowane życie i opinia na jego temat pomogły w zmniejszeniu zabiegów ze strony kobiet.

W każdym razie gdyby miał wybrać coś „ekstra”, nie byłaby to Emma. To prawda, że nie pozostawał obojętny wobec jej osoby. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, wtedy gdy wielki boss Supra Data przedstawił ich sobie, pomyślał: „No, chociaż raz stary miał gust”. Ale było w niej coś, co wytrącało go z równowagi. Brak łagodności i kobiecości.

Rozdrażnienie, które często w nim wzbudzała podczas wspólnej pracy. Jej sukces wydawał mu się zbyt łatwy i czasem nieuzasadniony.

Tym co w rzeczywistości głęboko drażniło Pierre'a - teraz sobie to przypomina - było politycznie poprawne zachowanie dziewczyny, jak wzorowej uczennicy. Wyobrażał ją sobie wli-ceum, nie do pobicia z matmy czy z fizyki, od najmłodszych lat reprezentującą klasę. A na dodatek miała skłonności artystyczne, uzdolnienie do skrzypiec czy pianina. Jednym słowem, z punktu widzenia rodziców i nauczycieli - dziewczyna doskonała. Pracodawców również: w Supra Data zarabiała trochę więcej niż on, zajmując niemal identyczne stanowisko, i była jedną z nielicznych osób, które dostały służbowy samochód. A przy tym chwaliła się, że niewiele wie z informatyki. Denerwujące. Pierre sądził zawsze, że dostała pracę tylko dzięki obowiązującemu w amerykańskim społeczeństwie systemowi kwotowemu, systemowi, który narzucał minimalny procent kobiet zajmujących stanowiska techniczne generalnie przeznaczone dla mężczyzn. Nawet jej to grzecznie powiedział w dniu>

108

kiedy oznajmiła, że wyjeżdża do San Francisco. Co wprawilo ją we wściekłość. Gdyby dał jej do zrozumienia, że skorzystała z „promocji na kanapie”, przyjęłaby to lepiej.

Kiedy wyjechała do Stanów, nie odczuł jakoś nieocenionej straty dla firmy. A jej obraz zatarł się w jego pamięci. Niemniej jednak raz, dwa razy w roku, kiedy zabierał dzieci do wesołego miasteczka, pojawiała się w jego pamięci. W latach dziewięćdziesiątych kierownictwo Supra Data organizowało co roku seminarium motywacyjne. Klasyczny sposób zacieśniania więzi zespołowej. W ten sposób Pierre i jego koledzy odbyli rafting po przełomie Verdón, w Marra-keszu chodzili po rozżarzonych węglach czy grali w paintball w lesie w Siedmiogrodzie. Był również staż z astronautyki. Tamtego roku Emma też pojechała. Najpierw spędzili kilka godzin w symulatorze lotu: pilotowali statek kosmiczny i wciśnięci w siedzenia poczuli siłę prawdziwego startu. Potem eksperymentowali z symulatorem nieważkości: w długiej zamkniętej kabinie, wyposażonej w piankowe materace, „pływali” w kierunku sufitu i chodzili po ścianach, jak tańczące kukielki, powolne i niezdarne.

Wtedy wydarzyło się coś dziwnego: pod koniec ćwiczenia Emma i Pierre znaleźli się obok siebie, w poziomym położeniu na tylnej ścianie, jakby zamierzali skoczyć z trampoliny do basenu. A w chwili gdy mieli skoczyć w próżnię, zamiast patrzeć prosto przed siebie, uśmiechnęli się do siebie nawzajem¹ boczyli, nie spuszczać z siebie wzroku.

Dobrze pamiętał^{te} scenę. Twarz młodej kobiety, jej uśmiech, ciemne włosy fruujące wokół czoła, te kilka sekund, podczas których czas^ownież wydawał się zawieszony w próżni.

Odtąd ilekroć jechał z dziećmi kolejką górską lub oglądał^{zo}ęcia astronautów, myślał o Emmie. Anita, z którą żartował^{na}^{te}n temat, widziała w tym oczywistą oznakę stłumionego pragnienia, ale Pierre nauczył się relatywizować jej refleksje, J^cJ skłonność do dzikiej psychoanalizy, jak mawiał.

Pewnego dnia Anita stwierdziła, że ludzie, którzy nie lubią przyjemności stołu, nie lubią również przyjemności w łóżku. Innymi słowy, że istnieje korelacja pomiędzy apetytem seksualnym a apetytem jako takim. Co gorsza, rozszerzyła swoje rozumowanie na tych wszystkich, którzy nie lubią gotować. Denerwował go ów sposób patrzenia na świat przez pryzmat freudyzmu. Tym bardziej że w tamtym czasie Clara była na diecie sałatkowo-jogurtowej.

„Dlaczego ja?” Emma nie pomyślała, by odpowiedzieć Pierre'owi takim samym pytaniem. W końcu nawet jeśli to on ją pocałował, ona do niego najpierw zadzwoniła. I nawet jeśli przyjemność, którą czerpali ze wspólnego tańca, najwyraźniej była udziałem ich obojga, czy mogła odgadnąć, jakie powody kierowały Pierre'em, kiedy wziął ją w ramiona? Gdyby miała odwagę go zapytać, być może odpowiedziałby. Podobnie jak ona: że już nie chce przepuścić okazji do pogłębienia ich znajomości. I że on także poczuł niezwykłą słodycz tego pocałunku.

Ruszyli w dalszą drogę. Kiedy Emma objęła go ręką w pasie, Pierre poczuł taką błogość, aż ogarnęło go skrępowanie. Skąd taki pociąg do tej kobiety? Od piętnastu lat nie czuł czegoś takiego.

- A jeśli chodzi o Baretta, to jak go poznałaś? - sprowadził rozmowę na neutralny temat.

- Nic szczególnie oryginalnego. Podczas wieczoru na uniwersytecie...

- Tańczyłaś z nim, a potem zadzwoniłaś do niego...

- Przestań! Dan nie umie tańczyć. Nie znoś tego. Zaczęliśmy rozmawiać na temat przyszłości oprogramowania do pracy biurowej, o ile dobrze pamiętam... Wiesz, w końcu nie było to wczoraj.

Media relacjonowały historię Emmy i Dana jako następ' stwo obiektywnych logicznych faktów: studencka miłość sześćdziesięcioletnia przerwa, potem spotkanie w Nowym Jorku o^a

seminarium Esther Dyson należącej do ścisłego grona informatycznych guru. Historia oryginalna, lecz niezbyt namiętna i powodująca zachwianie równowagi psychicznej. Ona gotowa do małżeństwa, on nie. Ona na niego czekała, potem odeszła. Kropka. Oprócz tego, że chodziło tu o karykaturalną wersję rzeczywistości. Z pewnością Baret i Shannon posiadali wiele wspólnych gustów, a przede wszystkim zadziwiającą i niewyczerpaną jedność intelektualną, lecz nie mieli takich samych pragnień ani życiowej filozofii.

- Nie chciałam rezygnować z pracy w San Francisco... tym bardziej że Dan w tamtych czasach nie chciał mieć dzieci. Ale to wszystko stare dzieje.

Zważywszy na ton jej wypowiedzi, na mniej pewnie brzmiący głos, Pierre wątpił w to, że rana jest równie stara, jak Emma twierdzi.

- A czy to prawda, że zastrzegł sobie w umowie przedmałżeńskiej prawo do spędzania z tobą jednego weekendu w roku? - zapytał Pierre.

Westchnęła. Zazwyczaj następne pytanie brzmiało: czy to przyzwolenie, żebyście ze sobą sypiali? Odpowiedziała od razu na obydwa.

- Na pierwsze pytanie tak, na drugie nie.

- Przecież nic nie powiedziałem!

- Dobrze, żeby było jasne - podjęła Emma głosem, w którym brzmiała niecierpliwość - to prawda, prawo do jednego w roku weekendu zostało wpisane do umowy przedmałżeńskiej, ale nie znaczy to... Zresztą kiedy poprosił o to Amelię, nie robiła żadnych trudności. Wiesz, ona nigdy nie postrzegła mnie jako rywalki. Kiedy Dan ją spotkał, nie byśmy już razem. A poza tym w naszym związku seks zawsze y» sprawą drugorzędną.

Mimo ciemności na twarzy Pierre'a zarysował się powątpiewający uśmiech. Lekko dotknął ust Emmy, a teraz głaskał jej ramiona. Nie mógł uwierzyć, że Dan Baret, choćby nie

wiem jak pasjonowały go intelektualne rozmowy z Emmą, mógł być niewrażliwy na wszystkie inne formy kontaktu z nią, Ale uprzedziła jego pytanie.

- Uwierzysz czy nie, najbardziej niezwykle momenty które razem przeżyliśmy, to chwile naszych dyskusji po... Nocnym stoliku zawsze stały dwa kieliszki i butelka wina. Wypijaliśmy pół butelki i rozmawialiśmy całą noc.

- Ale o czym?

- O genoterapii, turystyce kosmicznej lub mistycznych doświadczeniach w romańskich klasztorach...

O mało nie zapytał, jak jej mózg mógł rywalizować z mę-»! zgiem geniusza logiki. Ale nie znalazł odpowiednio zręcznego sformułowania, które by jej nie rozzłościło. Zresztą po raz kolejny odpowiedziała, nim zdążył ułożyć pytanie:

- Wiesz, dla Dana jestem tylko partnerem sparingowym. On rzuca jakiś pomysł, ja go podejmuję. Lub odrzucam. Dodaję zdrowy rozsądek do jego szaleństw. Patrząc od strony technicznej, wszyscy jego główni współpracownicy to mężczyźni, więc mu to wynagradzam.

- Nie może znaleźć w swojej firmie innego żeńskiego sparring partnera?

- Oczywiście, może. Sądzę jednak, że to nie to samo. Jest do mnie przyzwyczajony. A poza tym ja patrzę z zewnątrz, a to może być użyteczne. Otrzymuję mnóstwo nowości, spotykam wielu wynalazców i często mam bardziej pragmatyczne spojrzenie na rozwój technologii niż on...

- I zawsze macie koło łóżka butelkę? Pewnie nie jest to kalifornijski cabernet?

Emma zamilkła, bardziej rozbawiona niż zirytowana zazdrosną ironią, którą zdawała się wyczuwać w słowach Pier-re'a. Jak mu to wyjaśnić? Jej epizodyczne stosunki z Danem Barettem nie przypominały niczego znanego. Jeśli nawet wydaje się to pretensjonalne, miały one przede wszystkim in* telektualny charakter. Czy to Proust czy Oscar Wilde twier

dział, że „przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest możliwa... zwłaszcza jeśli pokrywa się z lekką antypatią fizyczną”? Oczywiście nigdy nie czuła awersji do ciała Dana, ale też nigdy nie odczuwała - ani z nim, ani zresztą aż do dzisiaj z nikim innym tej nieodpartej chęci połączenia się, która rodzi się czasem między dwojgiem ludzi w chwili, gdy musną się ich dłonie lub kiedy na chwilę skrzyżują się ich spojrzenia.

Gold Beach była teraz za nimi. Emma i Pierre dotarli do niewielkiej tłuczniowej drogi, która krzyżuje się ze ścieżką i na południe prowadzi do wsi Longues-sur-Mer, a na północ pozwala zejść stromym zboczem w kierunku morza. Aż do samej plaży szli po wilgotnych kamykach, minęli piaszczystą ławicę w kształcie ryby, odcinającą się pośród kamieni. Księżyc odbijał się w oleistej morskiej wodzie. Na prawo, za stromym brzegiem przylądka Manivaux, dostrzegali ciemną obręcz barek unoszących się na falach w zatoce Arromanches.

- Mogliśmy wziąć kostiumy kąpielowe - żałował Pierre.

- Możemy się wykąpać w białźnie, prawda? - odpowiedziała jego towarzyszką, wzruszając ramionami.

Ściągnęła dzinsy i bluzę. Pierre poszedł w jej ślady, ale i tak, wbrew swej woli, zrobił to z pewnym opóźnieniem. Emma miała na sobie komplet białej bielizny rysujący na jej ciele kształty, których nigdy sobie nie wyobrażała. Patrzył na jej sylwetkę, podczas gdy ona zbliżała się do wody: jej szyja była szczupła, ramiona szerokie i okrągłe, szczupłe dłonie stanowiły przedłużenie długich umięśnionych rąk. Nie czekając na niego, rzuciła się do wody.

- Idziesz? - zawołała.

Dwadzieścia metrów od brzegu dotykała wody płaska skała. Wspięła się na nią, usiadła, układając nogi na bok,

skrzyżowała ręce na klatce piersiowej, jakby chciała zakryć piersi.

- Nic ci to nie przypomina? - rzuciła, trzepocząc rękami.

Zaskoczony Pierre, który właśnie do niej dołączył, sia dając u stóp skały, zbyt wąskiej dla nich dwojga, znieruchomiał. Emma Shannon, pani Emma Shannon, prezes firmy Bretshire & Shannon, właśnie stroiła miny...

-Nie.

- Nigdy nie byłeś w Danii?

- Bylem.

- W Kopenhadze?

- Tak, i co z tego?

- Nie znasz maskotki Duńczyków? Westchnęła.

- Pierre, Mała Syrenka!

Wybuchnęła śmiechem. Pierre nie potrafił się oprzeć. Pochyliła głowę w jego stronę. Oparł się na rękach i uniósł ponad wodę, w kierunku jej ust. Krótki smak soli, potem gwałtowna słodycz. I znowu, po raz kolejny, ogarniała go oczywistość tego pocałunku.

Opuścił się delikatnie i wstrzymując oddech, położył twarz na brzuchu kobiety. Emma się nie poruszyła. Siedziała, opierając się rękoma, na brzegu skały. Widziała już tylko gwiazdny rysunek nad głową. Gdyby tu była z Danem, z pewnością rozprawialiby na temat przyczyny tego zjawiska - wydzielania endorfin. Może hipnotycznego transu? Ale w tej konkretnej chwili jej mózg niezdolny był do najmniejszego rozumowania. Przepelniało go pożądanie.

Ramię w ramię Emma i Pierre płynęli do brzegu. Patrzył, jak płynie ze złączonymi dłońmi, a jej ramiona lśnią w świetle księżyca. Spojrzała na niego z ukosa. Zobaczył jej mocno zielone oczy. Nigdy nie sądził, że mogą tak bardzo zmienić się u tej kobiety.

Wyciągnęli się obok siebie na zimnym piasku. Ponieważ trochę drżała, przyciągnął ją do siebie, najpierw po to, by ją ogrzać, pocierając jej plecy. Potem ruch stawał się wolniejszy. Opuszkami palców lekko dotykał jej kręgosłupa, oo

dołu pleców aż do karku. Czuł, jak wyginają się jej lędźwie, jak wznoszą w niej dreszcze. I pomyślał, w tej samej chwili co ona - jest tego pewien - że ich ciała złączyły się jak dwie połówki tego samego owocu. Odkrywali doskonałą harmonię, taką, która uwalnia się od słów, znaków, wszelkich gestów oswojenia. Wsunęła się pod niego i kochali się tak, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Także najbardziej gwałtowna.

Emma odnajdywała wrażenia, które znalazła ze swojego snu. Ale rozkosz była bardziej namiętna, bardziej gwałtowna. Chwilami brakowało jej tchu, rozkosz unicestwiała jasność umysłu.

Pierre gdyby mógł, wolałby pozostać bez ruchu, zagłębiony w niej, z wargami na jej skroni, aby pogłębić ogarniające go uczucie. Lecz ruchy bioder Emmy wciągały go w obląkańczy taniec. Wsunęła palce w jeszcze mokre włosy nad karkiem partnera. Drugą ręką badała zagłębienia na jego twarzy, ramionach, plecach, jakby bała się, że pewnego dnia je zapomni. Jęczała coraz głośniejsze, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. I nagle, po niekończącej się skardze, poczuł, jak zatapia go długa jedwabista fala. Przycisnął do warg zmęczoną dłoń młodej kobiety. Jej usta nadal były na wpół otwarte. Piaskowy pył podkreślił ciemne obwódki pod jej oczami.

- Przypominasz pandę - szepnął.

Zmarszczyła brwi niezdolna zdecydować, czy powinna ^{sif?} uśmiechnąć czy zachnąć. Dodał:

- Uwielbiam pandy. Jeszcze bardziej cię pragnę, kiedy Jesteś podobna do pandy.

Długo rozmawiali, pragnąc nadrobić stracone lata. I jesz-raz się kochali, nie mogąc znowu uwierzyć w tę harmonię, ^{ore}J zakończenie wydawało się niezwykle. Później, wycią-j^Cty na plaży z rękoma na karku, Pierre rejestrował obraz, ^{ory}y miał już na zawsze w nim pozostać, nawet gdyby zmieni

ly się jego relacje z tą kobietą: Emma klęczy przy nim ubrana w bieliznę, nagle przestaje mówić, pochyla twarz i uśmiecha się do niego. Dokładnie w tej chwili w świetle księżycy miał wrażenie, że tułów jego partnerki - zarys ramion, podstawa piersi, jej płaski brzuch - to najpiękniejszy obraz na świecie. Pożądał Emmy całym swoim jestestwem, nie potrzebując jej dotykać, nawet ona nie musiała go dotykać, wystarczyło, że na nią patrzył. Było to nowe doznanie, które wytrącało go z równowagi.

Z Clary mieli swoje przyzwyczajenia. Kochali się automatycznie. Przyjemnie, ale bez wielkiej fantazji. Jego żona w takich chwilach była czuła; mówiła do niego dużo, serdecznie, i lubił tę jej łagodność, która tak rzadko pojawiała się w innych momentach. Podczas tamtej miłości, serdecznej i uspokajającej, nie tracił gruntu pod nogami. To była przyjemna gimnastyka, podczas której był świadomy tego, co robi. Natomiast z Emmą czuł się porwany przez własne pożądanie, był jego więźniem, pochłaniało go, tak jakby jakaś wyższa siła narzucała mu swoją wolę.

Dla Clary uprawianie miłości było poważną sprawą, do której starannie się przykładala. Wydawało się, że czerp¹ z tego przyjemność, lecz czuł niejasno, że jej radość po~ stała wyrafinowana. Konwencjonalna. Opanowana. Czas nawet trochę wymuszona.

Co do Emmy, wydawało się, że nie bierze miłości na serio. Przed chwilą śmiała się do rozpuku, kpiarsko, z błyszczącymi oczami. Prowokując Pierre'a. Twierdziła, że kiedy pie jej piersi, bawi się nimi. Uwielbiał patrzeć, kiedy się śmieje) ale jeszcze bardziej tę chwilę, kiedy przestaje się śmiać, kie błysk złośliwości w jej oczach ustępuje miejsca mętnym dom. Chwilę, w której jej rozkolysane ciało staje się ule

Niebawem wszędzie słońce. Powinni wracać, jeśli chcą, żeby zauważono ich powrót do hotelu. Ale Pierre, leżą z zamkniętymi oczami, wahał się, czy dać sygnał do odejścia-

Emma natomiast się ocknęła. Była przekonana, że jej partner zastanawia się już nad konsekwencjami ich nocnej eskapady. Co stanie się potem? Jaki los czeka ich nieprawdopodobny związek? Co z Clarą, Bradem? Chciała go uspokoić w kwestii swoich zamiarów i położyła się przy nim. Wtedy poczuła, że ręce Pierre'a znowu spontanicznie oplatają jej talię. Z bliska widziała, że ma kilka siwych włosów, nie na skroniach, lecz trochę niżej, za uszami.

- Wiesz, Pierre... - zaczęła, przygryzając wargi. - Tak?

- Chciałam ci powiedzieć... - Co?

- To pierwszy i ostatni raz.

Zabrał rękę, odwrócił się na brzuch, podparł brodę dłońmi i szepnął:

- Tak...

Reszta zdania zniknęła w piasku, ale Emma, której głowa oparta była o jego ramię, zdążyła usłyszeć:

- Tak jest, generale.

Słowo „general” wymówił w taki sposób, jakby wbrew sobie zgadzał się na wykonanie rozkazu. Trudno mu było uwierzyć, że ta młoda delikatna kobieta, skrywająca twarz w zagłębieniu jego ramienia, to ta sama władcza piękna dziewczyna w garsonce, którą kiedyś poznał, zarazem fascynująca i odpychająca postać ze świata, w którym zwyczajem było unikanie ryzyka uczucia.

Kiedy dotarli do drogi na klifie, Pierre pozwolił Emmie ¹śc przodem. Patrzył na jej szczupłą białą szyję, jej umięśnione ramiona, linię pleców, jej tak przed chwilą napięte Czerwone, rozprostowane przez wodę włosy, w których zanurzała ² rękę twarz i dłoń. Nie mógł w to uwierzyć. Jak Ba-p ³ taką kobietą mógł zadowolić się miłością na odległość?

⁴ e miał uczucie, że po akcie miłosnym z Emmą pragnie ⁵ J Jeszcze bardziej. I to także było czymś nowym, owo wra-

żenie, że mógłby pieścić tę kobietę całymi godzinami, wcale się nie męcząc. Nawet nie kierując się fizycznym pragnieniem, tak jakby źródło jego pożądania znajdowało gdzieś głęboko w nim samym.

Chwył kibić młodej kobiety, przyciągnął ją do siebie i szepnął, że jeszcze jej pragnie.

Odwróciła głowę z wyrazem powątpiewania. Kochali się kilka razy. Jak to możliwe, że nadal czują pożądanie?

Uśmiechnęła się wyzywająco, a Pierre pociągnął ją na dół, na trawę. Poczul ten sam zawrót głowy, który zawładnął nim przed chwilą, i ponownie usłyszał falę westchnień, o które nigdy nie podejrzewał Emmy i które rozchodziły się jak długo powstrzymywane skargi.

Kiedy zaspokoili zmysły, patrzyli na siebie bez sió. Policzki Emmy płonęły, a Pierre je całował, robiąc to po\ li. Oboje chcieli mówić o miłości, ale po co? Nigdy nie będą mieli okazji zamienić tych słów w czyny. Nigdy nie dowiedzą się, czy żar ciała, którego doświadczyli, zniknie jak słomiany ogień, czy też utworzy ognisko, którego rozżarzone węgiel już nie zgasną.

Kiedy ruszyli w drogę, wstawał dzień. Zrodziła się między nimi nieśmiałość, której nie potrafili przezwyciężyć. Nadal jednak rozmawiali, porównując swoje życie. Życie Emmy w którym brak rutyny doprowadził w końcu do jeszcze gorszej rutyny: planowane podróże, podobne pokoje w hotelach, spotkania zawsze z nowymi ludźmi, których nigdy więcej spotykała, a jeśli, to bardzo rzadko.

- Człowiek przyzwyczaja się do tego, że nie poznaje ludzi - podsumowała głosem przepelnionym gorzkością. - Zresztą co?

Czasami lepiej zadowolić się tylko muśnięciem ich włosów. Przynajmniej nie jest się rozczarowanym.

- Oprócz chwili, w której przyjdzie umrzeć - sze Pierre. - Wtedy człowiek myśli, że mógł spędzić więcej czasu poznawaniu tych, których kocha. Ale wtedy jest już za po'

Ta nagle powaga wciągnęła Emmę w drugi stan, w którym tkwiła od kilku godzin. Wróciło wspomnienie Kathrin Strandberg. Za ledwie ją zauważyła, ale jej nazwisko wydawało jej się dziwnie znajome i chciałaby wiedzieć, kim była i jakie było jej życie: czy ona także ledwie muskała osobowość ludzi, których spotykała na swojej drodze? Czy może potrafiła walczyć z wygodnym przyzwyczajeniem do tego co przelotne?

Wyrzuciła z głowy te myśli. Nie w tym był oczywiście problem. Taka ładna, spokojna Szwedka, mówiono. Kto chciał ją torturować? Zabić?

Teraz, kiedy zbliżali się do hotelu, powróciło wspomnienie wydarzeń z poprzedniego dnia. Emma odwróciła się w kierunku Pierre'a.

- Chyba ty nie brałeś melatoniny?

- Ja? Jadę prosto z Marsylii! I co najmniej od dziesięciu lat nie byłem w Bostonie.

- Boston? Dlaczego mówisz o Bostonie? Wypadki śmiertelne były w różnych miejscach...

- Nie znasz najnowszych wieści? Z Internetu. Wiesz, że te sześć nagłych zgonów z dwóch ostatnich dni dotyczy osób, które wróciły z długiej podróży i zażyły proszki przeciw *jet lag*?

- Tak, lekarze twierdzą, że może chodzić o przedawkowanie, które wywołało alergię...

- Tyle tylko że CBS podało przed chwilą wyniki sekcji zwłok: ofiary nie zmarły wskutek przedawkowania melatoniny ani też alergii, lecz swego rodzaju zatrucia! Proszki zawierały produkt stosowany zazwyczaj w leczeniu choroby Alzheimera, który wstrzyknięty w dużej dawce, wywołuje wszystkie objawy tej choroby... Trochę tak jak zła dawka szczepionki! ¹ razi jak piorun.

To zaskoczyło Emmę. Substancja wywołująca chorobę zheimera i śmierć w pigułce melatoniny? Ale dlaczego? Czy ożi o pomyłkę czy też świadomie popełnione morderstwa?

Z niecierpliwością czekała teraz, aż wróci do pokoju i podłączy się do Internetu, żeby wiedzieć więcej.

- Ale nie powiedziałaś dlaczego Boston? Informatyk podszedł do niej i odpowiedział spokojnym tonem, kontrastującym z nerwowością jego towarzyszk.

- Zdaje się, że wszystkie poddane analizie partie leku pochodzą z tego samego miejsca: apteki na lotnisku Logan w Bostonie. Wszyscy zmarli pasażerowie przejeżdżali tranzytem przez to lotnisko.

Kiedy zobaczyłem stojące na kominku zdjęcie Costella, uderzyło mnie jego podobieństwo do Herberta von Karajana. Taka sama biała szopa na głowie, takie same niebieskie stalowe oczy, taka sama dostojność. Musiał wielokrotnie słyszeć to spostrzeżenie. Dodajmy do tego francuski wdzięk, ów rodzaj romantycznej aury, która spodobała się Kathrin. Ale obok zdjęcia stała pozłacana urna. Zawierająca jego prochy.

- Proszę usiąść, pani Strandberg - powiedziała Blondine Costello. - Pan...

- Barrett, Dan Barrett.

Kiedy otrzymałem od Kathrin mejla z informacją o śmierci Michela Costello, od razu ogarnęła mnie pokusa, żeby zadzwonić do jego żony w Aix-en-Provence. Jeśli istniała najmniejsza szansa zajrzenia do dokumentów histo-Hjka, to tylko teraz. Spadkobiercy mogli pokusić się o wyrzucenie wszystkiego. Co znaczyły dla nich plany i szkice starego szaleńca? Ale nie ośmieliłem się. Trudno zadzwonić do nieznanej osoby, kilka tygodni po śmierci jej męża, po to, żeby pogrzebać w jego archiwum. Nie jestem Berniem Put-^anem. On, dobrze o tym wiesz, zawsze idzie do przodu. ^{an} duszy - ocena niedostateczna.

To Kathrin znalazła rozwiązanie. „Prace badawcze”. I ^{teres} nauki”. Zatelefonowała do Blondine Costello, powo-^{Ja} ^o ^{Sle} na te racje. Nationalmuseum ze Sztokholmu intere

suje się tezami Costella i chciałoby uzupełnić swoją wiedzę na temat Le Nôtre a. Pretekst przeszedł. Blandine Costella zgodziła się nas przyjąć. Właściwie Kathrin. Ja tylko sta. nowiłem dodatek.

Posiadłość państwa Costello, cała z różowego i ochrowego kamienia, nie była zbyt duża według amerykańskich standardów, lecz zbudowana w stylu hiszpańskiego doi z patio, wyglądała wspaniale. Za skromną bramą od strony ulicy pozbawione okien, niedostępne ściany; z drugiej strony duże okno wychodzące na ogród. Pokój przyjęć or sypialnie rozmieszczone wokół czworokątnego dziedzińca ozdobionego dużymi donicami różowych kwiatów, umeblowane wiklinowymi fotelami i stolikami przeznaczony do tropików. Zaraz przed tarasem, pod balkonem, niebieski basen przykryty brezentem, otoczony niekwitnącymi drzewkami pomarańczowymi i bananowcami. Idąc wz tarasu, znalazłem się nagle przed tarczą wiszącego na ścian nad basenem zegara słonecznego. Ponad nim widniało) sio: „Przestrzeń jest oznaką mojej siły, czas oznaczają i bezsilnością”. Podpis: Jules Lagneau, francuski filozof. Przyjęcie było grzeczne, nic więcej. Zważywszy na ok licznosci, to normalne - pomyślałem. Kathrin, poliglot jak to często bywa wśród Szwedów, przedstawiła mnie powściągliwie.

- Pan Baret jest wielkim mecenasem finansującym muzeum w Sztokholmie, a poza tym osobiście interesuje się Wersalem.

Blandine Costello sprawiała wrażenie, że mnie nie rozpoznaje. Nie zdziwiło mnie to. Francuzi cieszą się sławą technofobów, nawet jeśli ty uważasz, że jest inaczej. Tak, chociaż oni wymyślili Minitel i TGV... Zawsze myślałem, że gdyby któregoś dnia musiał ukryć gdzieś supertajny prototyp rewolucyjnego oprogramowania, wybrałbym do tego Froflę To ostatni kraj, w którym szukałaby go moja konkurent

Nasza gospodyni zaprosiła nas do salonu, pięknego pokoju z wiklinowymi meblami, wielkimi poduchami i długimi beżowymi zasłonami.

— Napiją się państwo czegoś?

Pani Costello była dużo młodsza od swego zmarłego męża. Co najmniej o dziesięć lat. Pracownik naukowy, profesor nauk humanistycznych na uniwersytecie w Aix, ubrana w niewyszukany sposób, jak wielu wykładowców: szara spódnica, szara marynarka, biała bluzka. Prawdopodobnie zarówno latem, jak i zimą.

- Ja chętnie herbaty - odpowiedziała Kathrin. - A pan?

- Jeśli to możliwe, poproszę colę light.

- Piją to moi wnukowie. Na próżno im mówię, że Amerykanie trują nas tym...

Była bezpośrednia. Trochę oschła w treści, muzyczna w formie, ale w jej głosie brzmiała swego rodzaju radość, którą bez wątpienia zawdzięczała wyrazistości południowego akcentu. To ty wprowadziłaś mnie kiedyś w różnice wymowy w tym kraju. Akcent prowansalski, w którym jak mówiłaś, słyhać muzykę Vivaldiego, nawet gdy ludzie nie kłóca.

Blandine Costello szybko wróciła z napojami i kilkoma kruchymi ciasteczkami. Postawiła tacę na stoliku i usiadła na brzo-9^u fotela. Minimum obsługi, okolicznościowa grzeczność.

~ Jak minęła podróż?

~ Dziękujemy, doskonale. Pociąg nie miał spóźnie-^a- Mijaliśmy ośnieżone pola. Jakież cudo to wasze TGV!,
Prav^{da}, Dan?

Dla dobra sprawy Kathrin zwracała się do mnie po c^{nxu}-Ale jej próba ocieplenia stosunków spełzała na ni-dandine Costello odparowała:

ij^o, ^^ok, cudo, tyle że Amerykanie nigdy żadnego od nas^{ku}Piñ.

123

Wyczuwałem, że za jej ironią wzrasta owa uraza, którą Francuzi żywią w stosunku do moich rodaków.
- Och, wie pani, że Amerykanie nie rozumieją francuskie. go geniuszu! - dodałem kurtuazyjnie, popijając łyk coli.
- Geniuszu? Uważa pan, że TGV to coś genialnego? Po. dróż do Paryża dwa razy szybciej? Gwiżdżę na to, że mogę dwa razy szybciej dojechać do Paryża! Im rzadziej tam jeżdżę, tym lepiej się czuję! Francuski geniusz to nie TGV. To Chateaubriand, Victor Hugo, Matisse, Braque!
- Oraz Le Nôtre - zamknęła sprawę Kathrin. Blandine Costello zachmurzyła się.
- Tak właśnie uważał mój mąż...
Lecz szwedzka pani kustosz już skorzystała z okazji.
- Przede wszystkim, pani Costello, chciałabym poc kować, że przyjęła nas pani w tych okolicz...
- W porządku, mówiłyśmy już na ten temat przez lefon. Widzi pani, Michel byłby zachwycony, gdyby p~jechała tu pani wcześniej.
- Wiem, przykro mi. To był uroczy człowiek. Wielki naukowiec. Spotkałam go dwa lata temu na jakimś kongre i byłam pod wrażeniem jego pracy.
- Szkoda, że wcześniej więcej osób nie zainteresowt się pracami Michela! To był bardzo subtelny człowiek. I słychany badacz. W ostatnich miesiącach wydawało się w< że zdoła osiągnąć swój cel. Lecz przeszkodziła mu choroba-To była walka, bowiem nie mógł już chodzić do ogrodó' Wie pani, że powoli tracił wzrok?
- Nie, nie wiedziałam - wyjąkała Kathrin. Zapadła krępująca cisza. Blandine Costello wstała, jej twarzy widać było rozdrażnienie. Czuję, że Kathrin n może przejść do sedna sprawy. Nasza gospodyni podeszła do kominka, po czym gle odwróciła się w moją stronę i zapytała niemal z ag sją w głosie:

- A dlaczego interesuje pana Wersal?

To była odpowiednia chwila, żebym opowiedział jej o mojej pasji związanej z królami Francji, nurtujących mnie pytaniach na temat kompozycji parku, moich wątpliwościach dotyczących pozycji Apollina, mojej wizycie w Sztokholmie. Oraz o dręczącym mnie pytaniu: czy LeNôtre wpisał w niewidzialny szkielet ogrodów matematyczny wzór stanowiący dowód na istnienie Boga?

Zaczęłam więc odsłaniać swoją wiedzę w tym zakresie. Gdy tylko użyłam wyrażenia „boskie twierdzenie”, Blondine Costello zadygotała.

- Wie pan o wzorze! - powiedziała, rzucając wzrokiem na prawo i lewo, jakby nagle wystraszyła się, że ktoś nas może podsłuchać. - Przecież mąż mówił, że nikt o tym nie wie... Nie chciał rozmawiać na ten temat!

Nawet ze mną. Nigdy nie pokazał mi tego wzoru. Mawiał...

Przerwała i wróciła na fotel, opierając się mocno, jakby miała stracić równowagę.

- Tak? Co mawiał? - szepnęła Kathrin.

- Och, to was rozśmieszy. Mawiał, że to może spowodować nieszczęście. Jak klątwa Tutenchamona, wiecie o czym mówię? Albo ódzi...

Znasz tę historię, prawda? Począwszy od 1991 roku, sześciu odkrywców znalezionej w austriackich lodach mumii umiera czy to wskutek wypadku, czy z pozoru naturalnej śmierci. A jako pierwszy najważniejszy wśród nich, alpinista Helmut Simon.

Pomyślałem sobie, że ogrodnik musiał być trochę

°błąkany, żeby robić porównanie z Tutenchamonem czy °tżim.

- Chce pani powiedzieć, że inni ludzie przed nim od-^{ten} wzór i umarli z tego powodu? - powiedziała ci-
Q^{ho} Kathrin.

Blandine Costello pokręciła głową.

125

- Me wiem. Jego odkrycie związane z Bogiem pochodzi sprzed szesnastu, osiemnastu miesięcy; może szukał usprawiedliwienia, żeby o tym nie mówić, faktycznie dlatego, że czuł niesmak po tym, jak pogardzono jego poprzednimi odkryciami... Widzą państwo, przez dwadzieścia pięć lat pukał do wszystkich drzwi. Oczywiście kustosz z Wersalu, Ministerstwa Kultury, polityków w Paryżu, mediów, dziennikarzy, gazet takich jak „Paris Match”. Historia... Nikt nie chciał go przyjąć. A raczej ci nieliczni, którzy go przyjęli, nie potraktowali poważnie.

- Odkrycie schodów nic tu nie zmieniło?

- Zupełnie nic. Proszę mi wierzyć, potrzebna by była prawdziwa rewolucja, żeby przekonać specjalistów do tego, by na nowo postrzegli SWÓJ Wersal. Sądzą, że znają go na pamięć tylko dlatego, że przewertowali księgi rachunkowe.

- Księgi rachunkowe? - zapytałem, obawiając się, że źle zrozumiałem wyrażenie. - Co ma pani na myśli? Zamiast niej odpowiedziała Kathrin, po angielsku.

- Francuscy historycy rekonstruują historię Wersalu na podstawie wydatków na przebudowę zamku i ogrodów. Minister finansów Ludwika XIV, Colbert, prowadził dokładne i szczegółowe rejestry. A zatem można dowiedzieć się, dzień po dniu, ile kosztował dany boskiet, przesadzenie drzew lub likwidacja jakiegoś pagórka.

- Ale problem w tym - mówiła dalej po francusku Blandine - że prace, które nie figurują w księgach rachunkowych, uważa się za nieistniejące!

Zaczęła bębnić opuszkami palców w poręcz fotela, biorąc mnie na świadka.

- Nawet po odkryciu schodów zachowywali się tak, jakby Michel nie istniał! Zresztą najpierw tak właśnie po' myślałam. Później jednak wydawało mi się, że sprawa się' ga o wiele wyżej, niż sądziłam.

Blandine Costello odchyliła się do tyłu, nagle wydając się bardziej krucha w swoim wielkim wiklinowym fotelu, i ciągnęła poufałym tonem:

-Niczego nie jestem pewna. Tymczasem... Michel, który regularnie pracował na państwowych budowach, przez sześć lat po tym epizodzie nie dostał najmniejszego zlecenia od państwa. To prawda, że koniunktura nie była zbyt pomyślna, a konkurencja raczej duża. Lecz wiele budow, które powinien był otrzymać, przeszło mu koło nosa.

Wdowa skuliła się na poduszkach ze wzrokiem utkwionym w próżni.

- To go zniszczyło. Trzy lata temu coraz częściej zaczął odczuwać bóle głowy. Ale guz odkryli dopiero w ubiegłym roku. A potem już poszło bardzo szybko...

Na próżno próbowałam zrozumieć frustrację Costella, zaczynałam się niecierpliwić. Kathrin znała mnie gorzej niż ty, ale spostrzegła moje rozdrażnienie. Zawsze zdradza mnie ten wahadłowy ruch, do przodu i do tyłu.

- Pani Costello, jak wspomniałam przez telefon, mamy bardzo mało czasu. Nasz TGV odjeżdża o osiemnastej. Pan Barrett koniecznie musi być dziś wieczorem w Paryżu. I nie chcielibyśmy zbyt długo przeszkadzać. Czy moglibyśmy rzucić okiem do archiwum męża?

- Przecież w tym celu przyjechaliście. Proszę za mną. To na górze, w gołębniku.

Gołębnikiem nazywano znajdującą się na poddaszu Pracownię pana Costello. Niewielki mansardowy pokój, w którym tłoczyły się w nieładzie makiety parowców i wież, oparte o ścianę rulony z planami. Na półkach dzieła sztuki ułożonych w porządku alfabetycznym archiwalnych segregatorów. Pod oknem zniszczona kanapa z czerwonego Weluru.

- Proszę, tu jest wszystko! - rzekła Blandine, poka-tyąc na półkach mniej więcej dziesięć teczek opatrzonych

„Hrazem „Wersal”, napisanym ręcznie, czarnym mazakiem. - Jeszcze ich nie otwierałam, nie miałam na to czasu... lub odwagi.

Stół na drewnianych krzyżakach zavalony był różnymi rzeczami. Blandine Costello odsunęła na bok kilka pokrytych kurzem rulonów.

- Proszę, tu jest miejsce. Mogą państwo wszystko oglądać. Proszę tylko, abyście niczego nie zabrali.

Gdybyście chcieli coś skopiować, możecie użyć naszego telefonu z faksem. ¹

Uśmiechnąłem się. Prawie z litości, gdy zobaczyłem wspomniany telefon z faksem ustawiony na stercie pożółkłych egzemplarzy „Le Monde”. Ani komputera, ani skanera, nic. Ogrodnik, ze swoim wyglądem poety, który podoba się kobietom, musiał być typem dinozaura potrafiącego całymi godzinami rozwodzić się nad „depersonalizacją pisma” oraz „wyjałowieniem myśli”, których przyczyną jest używanie komputera.

Usiadłem na taborecie naprzeciw Kathrin; zaczynała otwierać segregatory z dokumentacją, które brała z półki. Wyglądała na spokojną, ale czułem, że wewnątrz niej wszystko wre. Od czasu do czasu patrzyła na mnie z ukosa i mógłbym przysiąc, że spoglądała na czerwoną kanapę. Uśmiechała się łagodnie, niemal zmysłowo. Skłamałbym ci, twierdząc, że pozostałem nieczuły na zainteresowanie, które okazywała niojej osobie. Ale przecież znasz mnie. Jestem dotknięty syndromem Marylin, jak to nazywasz. Kiedy skupiam się na jakimś zadaniu, mogłaby wejść do mojego biura najpiękniejsza dziewczyna na świecie, a ja ledwie bym ją zauważył. Gdyby weszła Marilyn Monroe, byłbym zdolny powiedzieć, ledwie podnosząc wzrok, żeby przyniosła mi kawę. Zawsze ironi' zowałaś na temat tej różnicy między nami. Ty, gdyby nagle Pojawił się Hugh Grant lub George Clooney...

Przeglądaliśmy dokumenty jedenpo drugim. WydaWO' i° się, że każdy element ogrodów -fontanny, posągi, wazy>

128

aleje - ma prawo do własnej papierowej teczki zawierającej zdjęcia, wstępne rysunki, wykazy pomiarów, czasem uczone komentarze na temat symbolicznego znaczenia lub miejsca, jakie dany bóg zajmuje w mitologii. Przede wszystkim próbowałem zrozumieć wszelkie adnotacje, które naukowiec umieścił na marginesie. Byliśmy w gołębniku od ponad godziny, kiedy Kathrin krzyknęła:

- Dan, niech pan spojrzy!

Podsunęła mi pod oczy dokument zatytułowany zastosowanie magicznej liczby w strukturze ogrodów wersalskich". Zawierał dziesiątki rysunków złożonych z poplątanych ze sobą kół, linii krzywych i prostych.

Nagle wyciągnęła rozdartą na brzegu kartkę, pokrytą z obydwu stron drobnym pismem.

- Niech pan tego posłucha! - zawołała.

Zaczęła czytać na głos, a zaraz potem tłumaczyć coś, co wyglądało na notatkę Costella, najwyraźniej przeznaczoną dla uczniów lub neofitów: może był to początek artykułu dla jakiegoś niespecjalistycznego czasopisma, opatrzony datą 1998.

Kiedy kreśli się plany ogrodu lub budynku, pierwsza zasada polega na przyjęciu podstawowego stosunku. Wyjaśniam: jeśli kreślę prostokątny kwietnik, owym podstawowym stosunkiem będzie stosunek długości L do szerokości I .

Przyjmijmy na przykład, że długość wynosi 10 metrów, a szerokość 5 metrów. W tym przypadku, $L/I=2$. Kiedy zbuduję drugi prostokąt, a potem następne, czy będą mniejsze czy większe od pierwszego, zachowam tę proporcję.

Została ustalona raz na zawsze. To właśnie ta stała zapewni harmonię całości. To - między mnymi - z tej wielokrotnie powtarzanej proporcji rodzi się Piękno.

Ciąg dalszy znajdował się na odwrocie.

Ciągle szukałem stosunku wybranego przez Le Nôtre'adla...

Przerwałem jej. Nie znośę tracić czasu. Wyjąłem swój elektroniczny notes wyposażony w ostatnie oprogramowanie Centrolware'u, umożliwiające sfotografowanie tekstu i natychmiastowe uzyskanie jego tłumaczenia na ekranie. W ten sposób mogłem bezpośrednio i po angielsku czytać zapisek, który Kathrin mozolnie odszyfrowywała.

Nie ustawałem w poszukiwaniach stosunku wybranego przez Le Nôtre'a dla jego figur. Szukałem liczby całkowitej i dlatego było to takie trudne. Ponieważ takiej nie ma! Liczba, którą za każdym razem otrzymywałem, bez względu na dokonane pomiary, nie była liczbą całkowitą!

Kiedy uzyskałem ten wynik, nie chciałem wierzyć własnym oczom. Sądziłem, że popełniłem gdzieś błąd, myślałem, że to zbieg okoliczności... Wielokrotnie powtarzałem obliczenia. Ale zawsze uzyskiwałem ten sam wynik. Ten sam ułamek. Systematycznie natrafiałem na jedyny stosunek, którego Le Nôtre nie mógł użyć. To znaczy...

Kathrin przestała czytać i siedziała z otwartymi ustami. Ubiegłem ją.

- Złota liczba!

Patrzyła na mnie okrągłymi ze zdumienia oczami.

- Skąd pan wie?

- Symultaniczne tłumaczenie przez komputer! Calki^u dobrze to działa!

130

W wirze akcji ja również wziętem jej imienia, ale tego „nie zauważyła. Wróciła do swojej kartki.

- Rzeczywiście, złota liczba...

Wyglądała na oszołomioną. Ja jednak nie rozumiałem, dlaczego złota liczba była Jedyńm stosunkiem, którego Le Nôtre nie mógł użyć".

- A więc? - zapytałem zbyt szybko.

- Me zna pan złotej liczby? - zdziwiła się, myśląc się co do sensu mojego pytania.

- Znam, oczywiście.

O mało nie powiedziałem jej, że nauczyłem się tej magicznej liczby na pamięć - przynajmniej jej pierwszych dziesięciu miejsc po przecinku - długo przed jej urodzeniem. O mało też jej nie powiedziałem, że jej twarz z pewnością stanowi odbicie proporcji złotej liczby. 1,6180339887. „Idealny” stosunek między szerokością a długością, czy chodzi o kwadrat trawnika, czy o kształty topmodelki...

Nie pozwoliła mi kontynuować.

- Dan, niech pan spojrzysz! Niech pan spojrzysz! Costello wszystko zmierzył. To nie do obalenia!

Zapiski naukowca nie były dla mnie takie zrozumiałe, ale miałem zaufanie do Kathrin.

Od wejścia na wielką zamkową aleję aż do alei poprzecznej : 350 tz (sążni). Od Boskietu Wodotrysków do... 50 tz, itd. Cieszyła się. Rozkładała plany na stole, umieszczała je °bok siebie, sprawdzała w pamięci obliczenia... Wir. Jak jej Perfumy, które również unosiły się wokół niej.

- Proszę popatrzeć na kąt ścieżek przy fontannie Lato-"y! I tych, które odchodzą odApollina! 36 stopni! 108 stopni! 54 stopnie! To wszystko wielokrotności liczby 18! Wszystkie

131

łączą się ze złotą liczbą... A ta figura w ogrodach: pięcioramienna gwiazda! Pentagram! Cała architektura ogrodów opiera się na złotej liczbie!

Ciągle nie rozumiałem, dlaczego okazuje takie podniecenie. Złota liczba znana była od bardzo dawna. To, że użył jej Le Nôtre, nie wydawało mi się żadnym fundamentalnym odkryciem. A przede wszystkim, w jaki sposób wiązało się to z naszymi poszukiwaniami? Odwróconym Apollinem. Dowodem na istnienie Boga. Czulem, że się pogubiliśmy. Znasz mnie, w takiej sytuacji staram się sprowadzić rzecz na właściwe tory.

- Kathrin, jest pani bardzo miła, ale nie widzę w tym nic rewolucyjnego!

-Ależ, Dan! Nie zdaje pan sobie z tego sprawy! Le Nôtre użył złotej liczby! A przecież pod koniec siedemnastego wieku była to herezja! Uważano, że ten, kto się do niej odnosi, jest podejrzany o związek z mroczną myślą, kombinazione, sektą...

- Czy jednak trochę pani nie przesadza?

- Wcale! To, że Le Nôtre odwoływał się do złotej liczby, jest absolutnie niewiarygodne. To był nowoczesny człowiek, jak Ludwik XIV wierzył w naukę. Wykorzystywał słynne powiększające okulary opata Picarda, żeby obliczyć różnice wysokości w stosunku do krzywizny Ziemi, albo ilość ziemi, którą trzeba przenieść, żeby Fontanna Apollina widoczna była z okien zamku... Podsunął królowi wszystkie swoje pomysły mające na celu doprowadzenie maksymalnej ilości wody do wersalskich ogrodów. To był człowiek nauki! Używając tego anachronizmu, podejmował prawdziwe ryzyko!

Zaczynałem pojmować podniecenie Kathrin. Wiedziałem o przywiązaniu króla do astronomii, geografii, geometrii, matematyki, fizyki... Kiedy doszedł do władzy, Galileusz i Kartezjusz nie żyli już od kilku lat, ale ich wpływ nadal był

znaczny: wprowadzili do filozofii naukowego ducha, ducha techniki, a nawet sztuki. Pisarze, malarze, rzeźbiarze, wszyscy byli pod wpływem racjonalizmu. Jak można sobie wyobrazić, że królewski ogrodnik, jedyny człowiek, który towarzyszył mu przez niemal czterdzieści lat, sam posłuszny był innemu prawu niż prawo nauki?

- Le Nôtre nie mógł być zadowolony! Zresztą ukrył ją, tę swoją złotą liczbę: teraz rozumiem, dlaczego na jego planach nigdy nie wyznaczano osi. W ten sposób nie można było zmierzyć kątów!

Kathrin Strandberg chwyciła moją dłoń i potrząsnęła nią.

-Dan! Kiedy Castello potwierdził, że Le Nôtre użył złotej liczby do stworzenia ogrodów w Wersalu, musiał zrobić sobie wrogów ze wszystkich wersalskich kacyków! Żaden z nich nie mógł przyjąć tej herezji!

Rozumiałem rozmiar tego odkrycia. Człowiek tak opanowany naukową dokładnością jak Le Nôtre nie mógł wybrać wprowadzenia okultystycznego wymiaru do swojego modelowego ogrodu.

- Dlaczego to zrobił?

- Proszę zaczekać... Sądzę, że odpowiedź jest tutaj. Kathrin podała mi drugą stronę rozdartej kartki, którą trzymała w ręku. Sfotografowałem ją i zaraz otrzymałem tłumaczenie. Tymczasem kustoszka zaczęła czytać na głos:

Kiedy tworzysz prostokąt, którego długość i szerokość połączone są złotą liczbą (dla jasności, jeśli pierwsza wynosi 1,618 drugiej), i jeśli poprzez proste zmniejszenie sznurka mierniczego wyprowadzisz od tego prostokąta takiej samej szerokości kwadrat - czynność dobrze znana wszystkim ogrodnikom - tym, co pozostanie, co otrzymasz, Jest kolejny złoty prostokąt! Zmniejsz po raz kolej

ny szerokość nowego prostokąta na jego długości, a otrzymasz trzeci złoty prostokąt, który zawiera w sobie czwarty... Czynność można powtarzać w nieskończoność! Tworzysz w ten sposób nieskończoną dynamikę, otwartą na zewnątrz strukturę, w której każdy kształt łączy się z następnymi w całkowitej harmonii.

Kathrin mówiła powoli, niemal sentencjonalnie. Jak kapłan odkrywający piątą ewangelię.

- Nieskończona dynamika! Dan, czy pan to rozumie? Całkowita harmonia... Nie widzi pan?

Tym razem zrozumiałem w tej samej chwili co ona. Lecz pozwoliłem jej mówić.

- Złota liczba w architekturze to szczyt elegancji. Lecz to nie jedyne wyjaśnienie jej zastosowania. A zatem jeżeli Le Nôtre podjął ryzyko odniesienia się do niej, nie chodziło mu o odwołanie się do jakiegokolwiek mrocznej myśli, ale o wykończenie triumfu Króla Słońce. Umożliwiło to monarsze realizację jego marzenia o władzy absolutnej. Ofiarował mu - dzięki doskonałej kompozycji schodów czy boskietów - nieograniczony widok na wieś. Niekończący się horyzont. Inaczej mówiąc, ofiarował nieskończoność człowiekowi, który utrzymywał, że jego władza pochodzi od Boga, człowiekowi, który reprezentował na ziemi to co boskie! Wpewnym sensie pokazał mu, że Bóg istnieje!

Kathrin promieniała. Ale to ja szybko wróciłem na ziemi? -

- Kathrin, zbyt szybko posuwa się pani w swoim rozumowaniu. Zgadzam się, że złota liczba umożliwiła wpW¹ wadzenie tego co nieskończone do tego co ludzkie, lecz jednak nie jest to wzór, który dowodzi istnienia Boga! A wręcz² przeciwnie!

- Proszę przyznać, że fakt użycia jej przez Le Nôtre^a jest zdumiewający.

- To prawda.

_ *Graz że trudno sobie wyobrazić, iż zrobił to na życzenie króla, tak?*

- *Kathrin, proszę posłuchać. Zastanowimy się później. Zostało nam już tylko półtorej godziny.*

Proponuję sfotografować jak najwięcej dokumentów. Potem je uporządkujemy.

Spoglądałem na zegarek. Odkrycie Costella, które w oczach Kathrin wydawało się tak nadzwyczajne, nic nie mówiło na temat ustawienia posągu Apollina, a jeśli „pozwoili wprowadzić to co nieskończone do tego co ludzkie”, nie miało związku z jakimkolwiek wzorem potwierdzającym istnienie Boga. Zacząłem się zastanawiać, czy między fontannami a klombami Costello rzeczywiście znalazł rewolucyjne twierdzenie. Czyjego benedyktyńska praca, na kolanach w parkowych alejkach, z centymetrem w ręku, przyniosła jakieś inne wyniki niż udowodnienie obecności złotej liczby w szkielecie ogrodów, co już samo w sobie jest rewolucyjnym wnioskiem? Pozostałe do przejrzania segregatory powinny zawierać inne informacje. Ale ze względu na brak czasu należało zadowolić się sfotografowaniem wszystkiego.

- *Ten idiota mógł zgromadzić to wszystko na komputerze! - rzuciłem, pochylając się nad dokumentami w celu ich sfotografowania. - Może i był to wielki architekt krajobrazu, ale ponieważ tonął w papierzyskach i łąził na czworakach po ogrodach, odsunęli biednego staruszka!*

Replika Kathrin była natychmiastowa i brutalna. To-Warzyszyło jej niezbyt miłe spojrzenie.

- *Ależ za kogo się pan uważa, panie Barrett? Jeszcze teraz pamiętam tamtą chwilę. Nagle ściągnę-
H/sy Kathrin Strandberg, dłonie kurczowo trzymające ^eloną tekturową teczkę. Niski, niemal męski
głos. W ni-^{nie}przypominała delikatnego Czerwonego Kapturka*

ze Sztokholmu. Jakbym poprzez atak na Costella wywołał u niej reakcję obrony immunologicznej. W tej konkretnej chwili miałem wrażenie, że kochała tego mężczyznę. Przy. najmniej skrycie.

W momencie gdy sposobielem się do załagodzenia sprawy, w drzwiach pojawiła się Blandine Costello. - Pani Strandberg, dzwonią z firmy taksówkarskiej. Pytają, czy potwierdza pani godzinę, o której mają po państwa przyjechać.

Kathrin poderwała się z miejsca.

- Eee... tak. Za pół godziny, dziękuję! - wyjąkała. Blandine Costello weszła w najgorszym momencie. Jak długo przyglądała się nam? Czy słyszała moje słowa na temat męża?

- Bardzo dziękuję, pani Costello - powtórzyła Kathrin - Jeszcze niezupełnie skończyliśmy.

Ledwie nasza gospodyni odwróciła się plecami, Kathrin wyjęła telefon komórkowy. Najnowszą nokię, z kamerą wideo i cyfrowym aparatem fotograficznym 8 megapikseli.

- Każdy robi swoje zdjęcia? - zapytała nerwowo. - W ten sposób jeśli jedno z nas o czymś zapomni lub coś straci...

Czterdzieści pięć minut później miała już w telefonie zdjęcia rozłożonych na stole planów i notatek Costella. Potem, przy mojej pomocy, włożyła je z powrotem do segregatorów i odstawiła wszystko na miejsce. Pożegnanie z Blandine Costello było uprzejme, nic poza tym. Kathrin zostawiła w salonie swoją torebkę. Kiedy wróciła po nią, zobaczyłem, że wybiera inną drogę, by nie przechodzić koło urny.

W taksówce, którą jechaliśmy na dworzec, młoda pani kustosz nie powiedziała ani słowa. Nie miałem odwagi zapytać jej, czemu jest taka spięta.

Ledwie zdążyliśmy wsiąść do pociągu, otworzyła kont' puter i wgrała zapisane w telefonie plany. Na moim ekranu również wyświetlały się po kolei rysunki Costella, oczywiści

w lepszej rozdzielczości. Zaczęliśmy klikać, zoomować, porządkować. Obecność złotej liczby w dziele Le Nôtre'a oznaczała jego perfekcyjność. Powiedzmy. Tymjednak, czego ja szukałem, co nie dawało mi spokoju, był właśnie brak perfekcji. Niezauważalny błąd, nieskończenie mały bug, który wprowadził niedociągnięcie do idealnej architektury. Wiesz o tym, że diabeł tkwi w szczegółach. Nadal to powtarzam. To zresztą jeden z powodów, dla których wybrałem Puttmanna na mojego następcę. Chory na punkcie szczegółów.

Znudzony szukaniem w tych wszystkich planach jakiegoś niedociągnięcia, zaczynałem popadać w drzemkę, kiedy nagle poczułem na ramieniu dłoń Kathrin.

- Dan, czy chce pan zobaczyć, co potrafią zrobić mali francuscy intelektualiści?

Zignorowałem drwiący ton tej uwagi i spojrzałem na ekran jej komputera. Wyświetliła zdjęcie Wersalu i najechała na nie kursorem myszy.

- Co pan widzi?

-Niewiele, zważywszy na jakość... Właściwie, tak: Sadzawkę Latony widzianą od strony schodów.

- Nie zna pan Sadzawki Jaszczurek? - zapytała Kathrin, wskazując palcem na ekranie plany obydwu sadzawek.

- Oczywiście, że znam. Obie należą do Parteru Latony. -nie widzi pan nic szokującego?

- Nie. Nie widzę. Są doskonale symetryczne...

- Właśnie, Dan, symetryczne! To pokazuje plan. Ale Proszę spojrzeć na notatkę Costella! Bliźniacze sadzawki? Znak zapytania. Tu jest cały problem.

- No i? Po co ten znak zapytania?

- Wytłumaczę panu. Zdaniem Costella niemożliwe, że Le Nôtre umieścił obydwie sadzawki w ten sposób, że chciał lustrzanej symetrii.

-Ico?

137

Niecierpliwilem się. Niech przejdzie do rzeczy! Miał ochotę ją udusić. Za sposób, w jaki mówiła, bo na myśl, i jej piękna szyja znalazłaby się w moich rękach, pojawiły si-innepragnienia. Odwróciłem wzrok w kierunku przemykającego za oknem krajobrazu.

- Żeby tworzyć piękno, Le Nôtre używał symetrii. A w etymologicznym znaczeniu tego słowa, to znaczy rozumianej jako „zgodność” części, ale nie ich „identyczność”. Tym samym kiedy stworzył już południową stronę og dów, nie wyznaczył jej dokładnie równoległe do części północnej; narysował skośne linie rozchodzące się promieniście wokół Sadržawki Lustra. W ten sposób uniknął monotoni bezwzględnie dwustronnej symetrii.

Kathrin wyświetliła teraz na ekranie aktualny plan Wersalu ipokazywała wskazującym palcem rozmieszczeń' poszczególnych elementów. Znała plan na pamięć.

- Tak samo kiedy w tysiąc sześćset sześćdziesiąty ósmym roku narysował Wielki Kanał, utworzył symetrie, ale nie do końca identyczne. Symetrie, które są tylko złudzeniem optycznym. Dwie sadzawki, które stanowią zakończenie Wielkiego Kanału i które są tak samo widoczne z Wielkiego Tarasu, wcale nie mają takich samych rozmiarów. Gdyby tak było, perspektywa przytłoczyłaby tę drugą, Sadržawkę Gailly, najbardziej oddaloną, która wydawałaby się mniejsza. Le Nôtre nie szukał piękna w lustrzanej symetrii, bliźniactwie. To była cecha sztuki z poprzedniego wieku. Le Nôtre przeszedł już do następnego etapu.

Kathrin przerwała, być może czekając, aż pogratuluje jej pokazu.

- Ijaki wniosek pani z tego wyciąga?

- Ależ, Don, to jest bardzo proste! Sadržawki Jaszczurek, tak bliźniaczo podobne, tak identyczne, nie mogły zostać w ten sposób pomyślane przez Le Nôtre'a. Costello sugeruje, że nie istniały w pierwotnych planach.

- A więc dlaczego zostały dodane?

- To jest dobre pytanie. Dlaczego zostały dodane? Lub raczej: co miało znajdować się na ich miejscu? Kathrin mnie obudziła. Byliśmy tak blisko siebie w tym przedziale w TGV, że czułem ciepło jej ciała. Zazwyczaj kiedy jeżdżę w Europie pociągami, uważam, że podróżni są za bardzo ściśnięci. Ale ciasnota ma czasem swoje zalety.

Kathrin ponownie pochyliła się nad planem.

- Dan, proszę spojrzeć, jest coś jeszcze. Latona. Widzi pan? Jak pan wie, Sadszawka Latony stanowi centralny punkt ogrodów. Najważniejsza jest figura. To z nią łączą się pozostałe wizerunki, odpowiadając jedne drugim. Początkowo stojący w środku sadszawki posąg Latony patrzył w stronę zamku i był ustawiony na poziomie ziemi. Potem król zdecydował podnieść ją i odwrócić w stronę Apollina. Nie zostało wtedy przedstawione żadne wyjaśnienie. Złe języki twierdziły, że w tysiąc sześćset sześćdziesiątym ósmym roku, kiedy stworzony został posąg Latony, jej rzeźbiarz, Gaspard Marsy, wziął jako model Madame de Montespan, kochankę Ludwika XIV i absolutną piękność.

- Lecz w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim roku król ożenił się z surową Madame de Maitenant.

- No właśnie. Nie chciał, żeby park przypominał mu wybryki z przeszłości... Schowajcie te powaby, których nie mogę zobaczyć! Jednym słowem, Latona została postawiona do kąta.

- Ile Nôtre nie protestował?

- Nie tyle Le Nôtre, ile Gaspard Marsy. Ale potem zawsze już istniała niejasność co do idealnej pozycji małżonki Zeusa. Do tego stopnia, że kiedy przed dwudziestu laty wersalscy konserwatorzy zdecydowali się zastąpić oryginalną rzeźbę woskową kopią, technicy pomylili się: odwrócili posąg w kierunku pałacu, a nie w stronę Apollina, jak stała Przez ponad trzy wieki! Przez dwa dni stała w złą stronę!

- Skąd pani o tym wie?
- Jakiś ogrodnik opowiedział o tym Costellowi. Oczywiście ten ogrodnik, który zauważył błąd.
- No dobrze. I co dalej? Do czego pani zmierza?
- No więc można się zastanawiać, która pozycja Lato-ny jest prawdziwa, którą chciał Le Nôtre. Którą wymyślił na początku. Skierowaną w stronę zamku? Czy w stronę Apollina? Proszę spojrzeć, co napisał Costello: *Ji jeśli ani jedną, ani drugą?*"
Przez kilka chwil milczałem. Nim wróciła moja obsesja.
- Ale jaki to ma związek z Apollinem? Albo z Bogiem? -Dan, cierpliwości! Nie uważa pan, że to mimo wszyst-
ko jest ciekawe? Jaszczurki symetryczne. Latona odwrócona twarzą do Apollina, a tyłem do zwiedzających. Apollo zaś zwrócony w stronę zamku, przeciwnie do swojego logicznego ustawienia. Mamy tu trzy „bugi” -jak pan to nazywa - trzy zdrady ideału Le Nôtre'a. Jak nie myśleć o wzajem-
nych powiązaniach między nimi?
- Nie ma na to żadnego dowodu!
- W każdym razie Costello był o tym przekonany! A co ciekawsze...
Kathrinpo nauczycielsku wycelowała palcem w ekran. Denerwował mnie jej triumfujący wygląd. Lecz jej usta i błyszczące oczy mnie pociągały.
- ...te trzy figury, o których mówimy, te trzy, które mają w sobie jakąś nieprawidłowość, stoją na tej samej osi, z jednej i z drugiej strony Tapis Vert. Nie ma co szukać gdzie indziej: jeśli wzór na istnienie Boga został gdzieś zapisany, to właśnie tutaj. To tu należy szukać! Na centralnej osi ogrodów. Osi królewskiej!

12

- No nie, nie uwierzę! Każdego ranka to samo!

Pierre z trudem wyciągnął się na łóżku i odebrał telefon wściekły, że budzi go o siódmej, podczas gdy nastawił budzenie na ósmą. Prawie nie spał tej nocy. Już miał zwymyślać syntetyczny głos, kiedy rozpoznał, że to Clara.

- Pierre... Wreszcie! To ty! Ależ co się z tobą dzieje? Prawdę powiedziawszy, wolałby już sztuczny głos.

- Nie dzwonisz! Od dwu dni zastanawiamy się z dziećmi, co robisz!

Wrzeszczała. Zaskoczyło to Pierre'a. Oczywiście jego żona mogła domyślać się, jak spędził noc, ale żeby zaraz tak na niego napaść...

- Wybacz, kochanie, ale mamy tutaj strasznie dużo pracy ~ oznajmił niewyraźnym, obcym dla niego głosem.

- Ależ, Pierre, przecież to koniec świata!

Teraz już lkała. Pierre uszczypnął się mocno w udo, by mieć Pewność, że to nie sen. Nadal jednak słyszał lkanie Gary.

- Kochanie, uspokój się. O czym ty mówisz? Młoda kobieta wykrzyknęła:

~ Ależ, Pierre! Nic nie wiesz? Zakłady Atofina wylecia-w powietrze!

~ Zakłady Atofina? Zakłady chemiczne?

Nie rozumiał, o czym ona mówi. Clara nie ustępowała:

~" Są setki zabitych. Jeszcze gorzej niż w Tuluzie! Mówi *11^{Ze} Marsylia zniknęła z mapy świata!

141

- Oszalałaś! - podskoczył Pierre zdjęty nagłym gniewem, - Nie będziesz mi tu mówić, że Marsylia zniknęła z mapy...
- Pierre - jęczała jego małżonka - to było wczoraj, w środę! Pojechaliśmy odwiedzić moją mamę w Ales, bo nie czuje się dobrze. Zamierzaliśmy wrócić dziś rano. Ale zakłady wyleciały w powietrze dzisiaj o pierwszej w nocy! W radiu, w telewizji nie mówią o niczym innym... Próbowałam skontaktować się z moimi przyjaciółkami i sąsiadami, ale nie mogę się do nich dodzwonić, nie działają tam sieci telefoniczne. Władze ogłosiły czerwony alarm, nikt nie ma prawa tam wjechać, nie można zbliżyć się na dwadzieścia kilometrów od strefy wybuchu...

Pierre usiadł na brzegu łóżka, na kilka sekund odsunął od ucha słuchawkę, nabrał powoli powietrza i przełknął ślinę, po czym wrócił do rozmowy. Po tej lawinie pełnych przerażenia słów Clara zaczynała się uspokajać. Opowiedziała mu, co usłyszała o szóstej rano w radiu, potem w telewizji. Nie wyemitowano jeszcze żadnego obrazu z miejsca dramatu i nikt nie znalazł jego rozmiarów. Ale spowodowane eksplozją wstrząsy były odczuwalne w odległości ponad dziesięciu kilometrów od epicentrum. Tylko specjalnie wyposażeni strażacy mieli prawo dostępu do czerwonej strefy. Wieści rozchodziły się szybko. Mówiono, że w dzielnicy Marsylii, w której znajdował się kompleks petrochemiczny, ulice usłane są ciałami zabitych, a zakrwawieni ranni leżą na chodnikach. Mówi się także, że wskutek wybuchu w rafinerii Atofina do atmosfery przedostały się toksyczne substancje. Komentatorzy mówią o dioksynie.

- Z dziećmi wszystko w porządku? - przerwał jej Pierre, którego niepokój przybierał na sile.

Bardziej niż strach ogarniało go poczucie winy na myśl o tym, że kiedy Clara i dzieci byli w śmiertelnym *mebezpe'* czeństwie, on kończył swoją noc na plaży w ramionach cO" dzoziemki. „Nigdy więcej” - pomyślał.

- Nie chciałam im o tym mówić - kontynuowała Gara _ wolałam, żeby o niczym nie wiedziały, ale to niemożliwe. Garance weszła w chwili, gdy oglądałam telewizję, jakiś kwadrans temu. Gaetan i Sbcine zalewają się łzami, boją się, że już nigdy nie zobaczą swoich kolegów... Pierre, musisz wrócić!

- Tak, Garo, wiem. Zobaczę, co da się zrobić. Zrobię, co w mojej mocy. Wszystko będzie dobrze, zapewniam cię... Kocham cię.

Pierre starał się zachować spokój, obiecał Garze, że zasięgnie informacji i oddzwoni do niej, jak tylko się czegoś dowie. Dodał, że bardzo chce ją już zobaczyć, i odłożył słuchawkę. Natychmiast wybrał numer Francka, ale bez rezultatu. Potem spróbował połączyć się z dwoma innymi partnerami od golfa. Jeden z nich mieszkał dwadzieścia kilometrów na północ od Marsylii. Ale żadne połączenie nie doszło do skutku.

Chwył pilota i włączył telewizor. Żadna stacja nie mogła wysłać reportera na miejsce wypadku i wszystkie na okrągło podawały te same informacje. Przerzucił na CNN. Dopiero tu ze zdumieniem pojął rozmiar kataklizmu.

Tragedia w Marsylii była w rzeczywistości tylko jednym ogniwem w łańcuchu katastrof. Czarnej serii. W Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, w Japonii ogłoszono stan wyjątkowy na całym terytorium kraju lub jego części. Najwyraźniej celem było siedem ekonomicznych mocarstw świata - dawna grupa G7. Ogółem w tych krajach przestało działać około piętnastu zakładów chemicznych lub elektrowni dostarczających energię wielkim metropoliom. Stało się to między 17.00 a 18.00 czasu nowojorskiego (czyli - Pierre szybko obliczył - o godzinie 1 w nocy czasu Arromanches). Jedna z elektrowni, położona niedaleko wodospadu Niagara w Sta^{nie} Nowy Jork, podobnie jak zakłady w Marsylii, wyleciała Powietrze na skutek niewyjaśnionego pożaru. Specjalny ^yslannik sprawdza sprzeczne informacje na temat elektrow-Jadrowej w Pensylwanii, która również nie działa od 17.15

czasu nowojorskiego: jedni mówią o zwyczajnej przerwie ze względów bezpieczeństwa, inni o początku radioaktywnego wycieku. Najbardziej niepokojące jest to - jeśli wierzyć dziennikarzom - że nie chodzi o serię równoczesnych zamachów: nie trafiła w zakłady żadna rakietą, nie uderzył żaden samolot; za każdym razem nieprawidłowości w funkcjonowaniu pojawiły się od wewnątrz.

Najpierw sądzono, że awaria elektryczności dotyczy tylko Nowego Jorku, ale już całe wschodnie wybrzeże pogrążone jest w ciemności. Detroit, Cleveland, Syracuse, ale także Toronto, Ottawa i liczne miasta w rejonie Wielkich Jezior oraz Ontario. Ogółem awaria dotknęła trzydzieści pięć milionów osób. Tymczasem w gospodarczej stolicy Stanów Zjednoczonych brak prądu trwał już od dziesięciu godzin; nastąpił o 16.50, kiedy ludzie kończyli pracę. To już szósty raz w ciągu czterdziestu lat - awarie w 1965, 1977, 1981, 1983 i 2003 pozostały w pamięci - Nowy Jork pogrążył się w ogólnej i długotrwałej ciemności na skutek braku dostaw prądu. Ale wszystko działo się tak, jakby mieszkańcy i władze nie wyciągnęli żadnej lekcji z poprzednich doświadczeń. Za każdym razem konsekwencje awarii były gorsze, z pewnością dlatego, że ciągle wzrasta stopień uzależnienia od elektroniki, a zatem od elektryczności.

Pierre nie mógł oderwać wzroku od tekstu przesuwanego się u dołu ekranu. Depesze następowały jedna po drugiej: w chwili przerwy w zasilaniu osiemset tysięcy ludzi zostało zablokowanych w metrze, a miliony innych w budynkach i wieżowcach. I w przeciwieństwie do tego, co działo się podczas ostatniej wielkiej awarii prądu, 14 sierpnia 2003 roku, ewakuacja nie odbyła się w spokoju, lecz w totalnej panice. Z pewnością dlatego - pomyślał Pierre - że w sierpniu 2003 szybko ustalono, że awaria ma charakter przypadkowy, podczas gdy tym razem władze nie są w stanie znaleźć przyczyny tych kaskadowo następujących problemów. Po raz kolejny pojawił się widmo ataków na World Trade Center sprzed sześciu lat*.

Death toll, two hundred and fifty, may get worse since authorities... Pierre znalazł angielski na tyle, by zrozumieć, że tymczasowy bilans - dwustu pięćdziesięciu zabitych - może się znacznie powiększyć. Nie wiadomo jeszcze, ile osób zginęło na skutek zmiżdżenia lub uduszenia w metrze, na schodach lub w windach. Przepelnione szpitale nie są w stanie sprostać takiemu napływowi pacjentów.

Setki tysięcy pozostawionych samym sobie na ulicach mieszkańców nie może wrócić do domów. Pokazywane w telewizji obrazy wyglądały jak przerażające *déjà vu*: ogarnięte paniką tłumy na ulicach dzielnicy biznesu, przechodzące pieszo przez most brooklyński, żeby tylko opuścić wyspę Manhattan... Jak podczas zamachów w 2001 exodus pieszych był bardzo widowiskowy. Ale większość mieszkańców przedmieść wolą pozostać na noc w Central Parku lub na chodnikach, co jeszcze było możliwe na początku babiego lata. Trzy miesiące później, w środku zamieci, zamarzliby. Kierowcy tkwili w korkach: światła na skrzyżowaniach nie działały, większość skrzyżowań została sparaliżowana. Kierowcy, którzy porzucili samochody na przepelnionych alejach, blokowali wyjazd tym, którzy zostali w swoich pojazdach.

W Ontario, w Kanadzie, z zapadnięciem nocy szerzyły się rabunki; policja nie jest już w stanie zliczyć występów, przede wszystkim kradzieży w dużych posiadłościach lub sklepach, których systemy alarmowe nie działają. Awaria spowodowała również zamknięcie dziesiątek lotnisk, w szczególności w Toronto, Ottawie oraz trzech głównych lotnisk w Nowym Jorku - Newark, Kennedy'ego i La Guardia. Na szczęście nie zostało narażone bezpieczeństwo samolotów, które w chwili awarii znajdowały się w powietrzu, bowiem kontrola lotów dysponowała zapasową prądnicą umożliwiającą tymczasowe utrzymanie jej aktywności.

We wszystkich miastach dotkniętych eksplozjami oraz aktem prądu, nawet w tych, których mieszkańcy przestrze

gają zaleceń lub tam, gdzie panika była mniejsza niż w Ameryce Północnej, obywatele odkryli, jak mocno uzależnieni są od elektryczności. Klimatyzacja, bankomaty, lodówki... każda mijająca godzina przynosiła serie kolejnych awarii. Telefonów komórkowych, które działały nieregularnie, używano niezwykle oszczędnie, ponieważ nie można było ponownie naładować baterii. Oczywiście telewizja nie działała. Do zdobycia informacji pozostawały tylko radiodbiorniki na baterie. Lub samochodowe akumulatory.

Dziennikarze przekazywali przez radio niewiele wiadomości. A w społeczeństwie przyzwyczajonym do ich nadmiaru owa trudność władz i mediów w nadawaniu wiadomości potęgowała ogólne uczucie strachu.

Władze nie używały ani słowa „zamach”, ani „sabotaż”, a jednak niemal jednoczesne zatrzymanie pracy w elektrowniach - które zresztą w żaden sposób nie były ze sobą połączone - kazalo przypuszczać że istnieje raczej jakaś „czarna ręka” niż „czarna seria”. Takiego wyrażenia użył amerykański prezydent George W. Bush podczas specjalnego wystąpienia nadanego o 22.00. Jego celem było zmobilizowanie obywateli zaskoczonych ogłoszeniem stanu wyjątkowego. Przesłanie w nim zawarte nie było niespodzianką: nie należy się niepokoić, trzeba ufać władzom, które przywrócą funkcjonowanie wschodu i północy kraju, tak samo jak poradziły sobie wczoraj z trwającą dwa dni awarią Internetu. Prezydent poprosił wszystkich o modlitwę.

Oczywiście w amerykańskiej telewizji nie mówiono o padku w Marsylii. Pierre chwycił swój komputer. Ale w chwili kiedy kliknął na przeglądarkę, głos spikera CNN sprawił, iż znów spojrzal na telewizor.

„Nasz korespondent w Bostonie informuje nas o n śmierci Dana Baretta, założyciela i prezesa Controlwai*-Czterdziestojednoletni najbogatszy człowiek w Stanach Zj< noczonych jest prawdopodobnie piętnastą ofiarą zaturu

melatoniną, o którym wspominaliśmy w poprzednich wydaniach. Barrett udał się na początku tygodnia do Południowej Afryki, ale nieznanne jest pochodzenie leku, który przyjął. Jego żona Amelia i dwoje dzieci, które tam przebywały, są w dobrym zdrowiu i w dniu dzisiejszym powinni zostać przewiezieni do Stanów Zjednoczonych".

Zaraz potem następowal reportaż na temat informatycznego magnata. Nekrolog z pewnością był gotowy od dawna, jak w przypadku wszystkich wielkich tego świata. Reportaż opowiadał o jego młodości małego geniusza, przyjaźni z Paulem Abottem - pierwszym wspólnikiem - związku z zespołem wesółych długowłosych, którzy utworzyli najpotężniejszą firmę świata, znaczenie jego grupy w dzisiejszym przemyśle oraz przewidywane skutki jego nagłej śmierci. Na giełdzie w Nowym Jorku akcje Controlware już mocno spadły, jak podawano w informacjach na pasku u dołu ekranu.

Pierre jak ogłuszony opadł ciężko na łóżko. Brak snu miał tu najmniejsze znaczenie.

Powoli wciągnął powietrze w płuca i spróbował znaleźć jakąś przytomną przestrzeń w swoim umyśle. Marsylia, Nowy Jork... A teraz Dan Barrett! Obrazy mieszały się w jego pamięci. Nagle pomyślał o Emmie. Musi być zdruzgotana.

Chciał do niej zadzwonić, ale się powstrzymał. Lepiej, żeby się nie spotykali. W końcu to ona dzisiejszej nocy powiedziała to zdanie: „To pierwszy i ostatni raz”. Zresztą jej zamiary wo-^c niego były również zupełnie jasne.

Wydarzenia zwolni-go od roztrząsania wyrzutów sumienia. Wszedł na stronę »Le Monde", „L'Express" i „La Provence", aby dowiedzieć się Czegoś więcej na temat katastrofy w Marsylii.

Willa, w której od pięciu lat mieszkali z Clarą, znajduje około dziesięciu kilometrów na zachód od granic Marsylii. dowali ją, żeby dzieci rosły na wsi. Czy została dotknię-ja ~~dotknięta~~ Z pewnością nie. Clara by o tym powiedzia-• Ale domy sąsiadów, przyjaciół, kolegów? Czuł, jak ścisła

mu się serce na myśl o tych, którzy być może stracili życie. Wysłał kilka mejli z prośbą o wiadomości. Przejrzał wszystkie dostępne strony, lecz nie znalazł nic nowego. Oprócz tego bloga ekologa z Greenpeace, który twierdził, że skutki wybuchu będą o wiele poważniejsze, niż przez swoje zgubne przyzwyczajenie przyznają władze. W chwili eksplozji wiał mistral i toksyczne gazy rozprzestrzeniły się w strefy bardzo oddalone od miejsca wypadku. Ale jakie? Aż dokąd? Może jego dzielnica została skażona? Zaszokowany Pierre włożył wczorajszą koszulę i nie tracąc czasu na golenie, zszedł do hotelowego holu.

Po raz kolejny w tym miejscu wrzało. Klientki przepychały się, starając się uzyskać dostęp do lady. Trzy kelnerki przyszły pomóc recepcjonistkom. Jedna z uczestniczek kongresu najwyraźniej przedostała się za ladę i próbowała wyrwać telefon z rąk dziewczyny obsługującej centralę. W tym zgiełku zauważył Pierre niską rudowłosą kobietę, którą spotkał wczoraj. Od niej dowiedział się, że organizatorki WAC zdecydowały o przeprowadzeniu kongresu do końca, mimo że ponad połowa uczestniczek chce jak najszybciej wyjechać z Arromanches. Niestety, do dyspozycji jest tylko jeden autobus, który jednorazowo może przewieźć do Caen trzydzieści osób. Kiedy już tam przybędą, będą musiały uzbroić się w cierpliwość, ponieważ nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy odjedzie jakiś pociąg: dworzec Saint-Lazare został zamknięty na skutek powtarzających się alarmów oraz awarii głównego systemu komputerowego - co zdeorganizowało całą sieć francuskich kolei.

„Biedny SNCF” - pomyślał Pierre.

Już przedwczorajsza awaria Internetu spowodował „pęknięcie kabla” dla jego armii politechników. A teraz sia’ da system komputerowy!

Hotel podjął decyzję o przyznaniu trzydziestu miejsc^{SC} w autobusie uczestniczkom kongresu, które zapisały się^{ao}

pierwsze, a jakaś starsza dostojna pani z silnym amerykańskim akcentem, która przysłała za późno i nie dostała już miejsca, zaczęła wrzeszczeć:

- Odkupię miejsce za dziesięć tysięcy dolarów!

Miała tak piskliwy głos, że na chwilę przerwała ten okropny harmider, który panował w holu. Wtedy Pierre zauważył jednego ze swoich techników. Siedział na dywanie niedaleko drzwi. Podeszedł do niego, ale nim zdolał się odezwać, chłopak sam go zaczepił.

- Widziałeś, do czego doprowadziły te internetowe bzdury?

Mężczyzna dobiegał trzydziestki. Miał głęboko osadzone oczy i rozmiary zapaśnika; grymas niechęci wykrzywił mu twarz. Pierre pomyślał, że facet wypił, i to dużo.

- Co ty opowiadasz? Źle się czujesz? - zapytał informatyk, marszcząc brwi.

- Wybuchające elektrownie to może nie twoja sprawa! Ale informatyka, Internet! Zawsze mówiłem, że te rzeczy są do niczego.

Technik machał rękoma i zaczynał zachowywać się prowokacyjnie. Zdenerwowany Pierre odpowiedział tym samym tonem.

- Awaria Internetu nie ma nic wspólnego z dzisiejszymi katastrofami! Wczoraj zostało przywrócone działanie światowej sieci. I funkcjonuje normalnie! Przed chwilą wysłałem ze dwadzieścia mejli. Sprawdź! Zobaczysz, że opowiadasz bzdury!

~ Ach, tak? Nie ma związku między światową awa^{na} a dzisiejszym bajzlem? Pan sądzi, że jest ponad tym ^{Wsz}ystki_m?

Pierre usiłował odzyskać spokój. ~ Może masz rację. „Czarna ręka”, o której wszyscy mó-4> nie nazywając jej po imieniu, ma na pewno informatycz⁻¹⁶ Pochodzenie, ale...

Tamten przerwał mu, dysząc:

- Ależ to oczywiste, że to wszystko z powodu informa. tyki. Niemożliwe, żeby terroryści weszli do każdej elektrowni. Jest ich zbyt dużo, a wszystkie przypiekiły się w tym samym czasie!

- Oczywiście. Ale daj mi skończyć. Być może jakieś wirusy albo trojany dostały się do systemów komputerowych elektrowni. I nie weszły tam same. To zadziałała „czarna ręka”... A wirusy te z pewnością zostały przekazane przez Internet.

- I to właśnie mówię! Internet wszystko wywalił w powietrze!

Pierre stracił cierpliwość.

- Przestań! Uspokój się! Być może piraci za pomocą Internetu zdołali dostać się do serwerów najlepiej chronionych firm i być może nawet wywołać awarie. Ale do tego potrzeba było Internetu, który DZIAŁA! Wielka awaria, która blokowała świat przez ponad dwadzieścia cztery godziny, nie mogła odpowiadać piratom: ona opóźniła ataki i włamania!

Odpowiedź nie nadeszła. Punkt dla Pierre'a. Mężczyzna, który atakował go od kilku minut, przestał gestykulować, podniósł się i oparł o ścianę. Podniósł wzrok na Pierre'a, patrzył na niego przez kilka chwil i ponownie podjął temat, tym razem z większą rozważą:

- Chcesz powiedzieć, że skoro elektrownie eksplodowały zaraz po awarii Internetu, to jest to całkowity przypadek?

- Trudno ci w to uwierzyć, ale myślę, że tak.

Wymawiając ostatecznie słowa, Pierre poczuł nagle, że bezmyślnie powtarza oficjalne tezy. A jeśli jego technik ma więcej zdrowego rozsądku niż specjaliści? A jeśli istnieje związek między obydwojema wydarzeniami? A jeśli chodzi o dwie następujące po sobie demonstracje siły, jedną „wirtualną” a drugą „realną”, pochodzące z tego samego źródła?

Oczywiście! ście przystępując do pierwszej operacji, która sparaliżował* Internet, piraci podjęli ryzyko, że nie dojdzie do skutku dm

ga, która wykorzystuje jeśli nie Internet, to przynajmniej sieciowe systemy komputerowe, które mogły zostać uszkodzone podczas wielkiej awarii. Chyba że... chyba że to sami piraci kontrolowali przywrócenie działania Internetu po ataku. Że to oni przyłożyli rękę do jego naprawy. Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, z pewnością nie mamy do czynienia ze zwykłymi cyberterrorystami. A więc najgorszego należy się jeszcze obawiać, zarówno w świecie wirtualnym, jak i realnym.

Nie mówiąc słowa, Pierre oparł się o ścianę obok swojego współpracownika. Nie czuł już gniewu, uśmiech także zniknął z jego twarzy. Nogi mu drżały. Okazuje się, że Big One to jeszcze nic. Może istnieć coś gorszego.

Wróciłem z Aix-en-Provence zdeterminowany bardziej niż zwykle. Byłem pewien, że analizując notatki Costella i idąc krok w krok jego śladem, dojdę do tych samych wniosków co on. A przy technologii, którą dysponowałem - dokładne niemal do jednego centymetra plany satelitarne - mogłem wreszcie udowodnić jego obliczenia. Znajdę boski wzór zapisany w ogrodach i pokażę go. Czulem, że jestem w jednej z tych faz - znasz je lepiej niż ktokolwiek inny! - gdy nic nie jest w stanie mi się oprzeć.

Niestety, błąd. Wszystko co udało mi się udowodnić, nakładając na siebie lotnicze obrazy Wersalu i plany architekta krajobrazu, to że kąty są takie same, jak on obliczył, a zatem Le Nôtre rzeczywiście użył złotej liczby. Ale najmniejszego śladu boskiego twierdzenia.

Czulem, że brakuje mi nici przewodniej. Cała praca Costella, wszystkie te komentarze dotyczące posągów bib boskietów wydawały mi się sprzeczne, pozbawione sensu-Brakowało mi jakiejś całościowej logiki i zamiast zadzwonić do ciebie, żeby w trakcie jednej z tych partii intelektu' alnego ping-ponga, które oboje tak bardzo lubimy, skon' frontować z tobą mój punkt widzenia, zaplątałem się własnych bezowocnych pytaniach. Na przykład co sądzi o jego analizie różnych przedstawień Zeusa w ogrodach' Lub o rozważaniach na temat rozmieszczenia posąg^{o^} wzdłuż Tapis Vert? I co zapamiętać z tej historii rzeźbił

germiniego, którą Costello zapisał na kartce ze szkolnego zeszytu, chociaż nie ma ona nic wspólnego z interesującym nas parkiem?

Anegdota jest jednak budująca: w 1669 roku król prosi wielkiego rzeźbiarza, Berniniego, aby przedstawił go na koniu. Monarcha ma wtedy trzydzieści jeden lat, jest przystojny, szczupły, w doskonałej formie fizycznej. Bernini wykonuje kilka szkiców, po czym wraca do swojego kraju. A pomnik z brązu dostarczony zostaje do Wersalu dopiero w 1683 roku, czternaście lat później! I tu zaskoczenie! Kiedy władca, wkrótce pięćdziesięcioletni, ogląda konny posąg młodego boga, nie rozpoznaje siebie. Faktem jest, że pewne elementy pasują: długie kręcone włosy pozostają na swoim miejscu, zakrywając pionowo policzki, podczas gdy jeździec rozcina powietrze na swoim wierzchowcu... Ale wizja jest nie do przyjęcia: postać jest piękna i przede wszystkim promienieje młodością, podczas gdy u króla, „ustatkowanego” od czasu małżeństwa z Madame de Maintenon, widać piętno czasu! Wyobraź sobie: brakuje mu zębów, ma brzydki oddech, cierpi na żołądek... Precz z posągiem! Ludwik XIV wydaje dekret, że jest „Me zrobiony”. Domaga się jego zniszczenia. Doradcy próbują go przekonać, że roztropniej byłoby zachować dzieło, a nawet przerobić je tak, żeby zlikwidować wszelki związek z królem. Więc francuski rzeźbiarz Girardon ubiera Jeźdźca w hełm, a nogi zbuntowanego konia ogarnia płó-^eniami. Rezultat: uzyskujemy postać „rzymskiego bo-atera Marka Kurgiusza wpadającego w przepaść”. Lecz ^{ten} młodzińczy wizerunek, nawet przerobiony, pozosta-^{no}e raną dla ego Ludwika XIV: monarcha każe zesłać ko-^o i Jeźdźca na południowy kraniec parku, za Fontannę ^°J^earów, gdzie nadal się znajduje... (Pamiętasz? Wła-^e tam zrobiliśmy sobie piknik podczas naszej pierwszej

Costello świadomie przepisał historię tej rzeźby na swoim papierze w kratkę i podkreślił zdanie dotyczące odpornej na wiatr fryzury króla. Dlaczego?

Moja znajomość wersalskiej symboliki oraz mitologii z pewnością nie była wystarczająca, aby to zrozumieć. Poszedłem za swoją naturalną skłonnością, szukając najpierw wśród miar i matematyki; ale może ważniejszy był ikonograficzny i filozoficzny wymiar ogrodów. Kazałem więc dokonać cyfrowego przedstawienia wszystkich dzieł i tez dotyczących genezy wersalskiego parku. Jest ich około setki, po francusku i po angielsku, biorąc pod uwagę tylko te najpoważniejsze. Francuzi narobili mi trochę kłopotu. Brak cyfrowej edycji na Google. Musiałem wysłać do Paryża studenta, żeby w Bibliotece Narodowej znalazł mi odpowiednie dzieła i je zeskanował. Ale mi się udało. Przez dwa tygodnie spędzałem całe noce na czytaniu często niezrozumiałych lub dziwacznych tekstów. Każdy autor rozwodzi się nad swoim konikiem, ilustrując swoje słowa badaniem posągów, które najlepiej służyły postawionej przez niego tezie. A jest ich w wersalskim parku wiele! Ponad trzysta, wliczając w to popiersia i wazy. Każdy mógł tu znaleźć pasującą mu ilustrację. Cała ta „wersalologia” zanieczyszczona była żargonowymi zdaniami, które wysadzały mój program do tłumaczeń. Trzymaj się dobrze: „Wszechobecność oraz fotograficzna specyfika współczesnej retoryki wizualnej wprowadziły piktorialny zastój, który jest absolutnie niezbędnym substytutem ogrodu jako przestrzennego i czasowego doświadczenia”.

Amelia, choć przyzwyczajona do moich maratonów w Controlware, w końcu się zdenerwowała.

- Dan, przestań! Nie śpisz! Nie żujesz! I od tygodnia nie przeczytałeś dzieciom bajki!

hO

Ten ostatni argument był dla niej najważniejszy, ”mniej więcej co drugi dzień musiałem wracać do domu,

przeczytać dzieciom bajkę, choćbym potem musiał wrócić do biura. Mój ojciec kupił im elektroniczną książkę, w której Amelia zgromadziła klasyczne filmy drogie Waltowi Disne-you>i: Królewna Śnieżka, Śpiąca Królewna, Księża dżungli... jej własny sposób walki z grami wideo. Ja jednak ściągnąłem tam Harry'ego Pottera i Gwiezdne wojny, zanim połączyłem książkę z Internetem. W ten sposób z dziećmi mogliśmy dyskretnie surfować.

Ale moja żona miała rację. Obiecałem. Kiedy nadszedł wieczór, wróciłem opowiedzieć dzieciom bajkę. Epizod z *Metamorfoz* Owidiusza. Legendę o... Latonie. Znasz ją, ty, która we Francji robiła studia humanistyczne? Ciągle zastanawiałem się, dlaczego Fontanna Latony jest taka duża, dlaczego stanowi centrum parku. Niektórzy autorzy przede mną nawet się irytowali: "Jaka tych marmurowych cokołach powinien znaleźć się Zeus. A tu chodzi tylko o Latone jedną z jego małżonek". W dodatku śmiertelniczkę. Starając się to zrozumieć, przeczytałem wszystko na jej temat.

Więc...

- Za siedmioma górami... żyła Latona - zacząłem. - Czyli Leto. Jedna z nieprawych żon Zeusa. Jego ulubiona.

~ Co to znaczy: nieprawych? - zapytała natychmiast córka.

- Bo to jest bóg, który ma prawo do wielu żon? - dodał Kevin.

Zły początek. Zignorowałem ich pytania.

~ Biedna Latona błękała się po ziemi, gdzie Hera, oficjalna małżonka Zeusa, wygnała ją razem z dziećmi, Apoll i Artemidą.

"Chłopiec i dziewczynka, tak jak my! no " ^Qk' dokładnie tak jak wy. Matkę i dzieci zaskoczyła w Poblżu jednej z wiosek w Licji.

~Gdzie jest Licja?

155

- Me wiem, Kevin. Poszukamy jutro na Encarda W każdym rańe Latona poprosiła mieszkańców wsi o jedzenie oraz schronienie na noc. Ale wieśniacy uważali, & są zbyt zajęci, aby pomóc tej zmartwionej matce. Co gorsza, w chwili gdy chciała zaczerpnąć wody z rzeki, zmęcili wodę gałęziami, a następnie wylali ją z wazy, żeby jej dzieciaczki nie mogły zaspokoić pragnienia.

- Ci wieśniacy nie są w porządku!

- Są naprawdę okrutni, chcesz powiedzieć!

- Uspokój się, króliczku - powiedziałem do Mary. - Latona jest wściekła, więc prosi Zeusa, żeby ich ukarał.

- A dlaczego nie robi tego sama? - przerywa mi nieufny Kevin. - W końcu to bogini, nie? Posiada magiczną moc!

- A więc nie! Nie wiadomo, czy była boginią czy też śmiertelniczką. Trudno tu o zgodę... Jedyna pewna rzecz to ta, że Leto była córką dwóch tytanów.

- Dobrze, i co? - niecierpliwi się Mary. - Co zrobił ten bóg bogów, kiedy usłyszał wezwanie swojej damy?

- Dalej, tato - wspomógł ją brat.

- Zapnijcie pasy, przygna co sił w nogach: i zamieni wieśniaków w ropuchy i żaby!

- Dobrze im tak! - zawołał Kevin. - Ale dlaczego nie w dinozaury?

- Albo w pająki? - zaproponowała Mary.

- Ponieważ ropuchy nie reagują na światło, a żaby symbolizują brak umysłu!

W Sadzawce Latony wersalscy reżyserzy dorzucili nawet jeszcze jedno zwierzę, którego nie było w Metamos^o zach: żółwie, symbol zamknięcia się w sobie.

To czego nie mogłem opowiedzieć dzieciom, o. ^{eo} w szczególności interesuje egzegetów myśli królewskiej^o paralela goryczy Latony i Anny Austriaczki, matki Luda^a XTV, wygnanej z Luwru przez Fronde w styczniu 1649^{ro^} i zmuszonej do schronienia się z dziećmi w zamku Saint-G[^]

main- Epizod „silnie traumatyzujący” dla Ludwika XIV, jak powiedziałby psychoanalityk Amelii. Król miał wtedy jedenaście lat. Krótko mówiąc, widzisz paralełę: z jednej strony Anna Austriaczka i jej dwaj chłopcy, Ludwik XIV i przyszły Monsieur. Z drugiej, Latona i jej dwoje bliźniąt, Apollo i Artemida. Symbol nie jest doskonały, lecz widać jego sens.

Za to męczył mnie jeden szczegół. Latona w swojej sadzawce patrzy z ukosa, a jej prawa ręka wyciągnięta jest poziomo. Jedno i drugie nie wskazuje tego samego kierunku: oczy utkwione są w rydwan Apollina, podczas gdy ręka wskazuje w stronę północnej Sadzawki Jaszczurek. Kolejna dźwięna pozycja, bowiem uważa się, że żona Zeusa chciała błagać swojego męża, a więc skierować wzrok ku niebu. Z reguły w Wersalu wszystko miało sens. W szczególności tutaj, w samym pępku parku. Król nigdy nie pozwolił żadnemu ogrodnikowi ani inżynierowi wykonać posągu, boskietu czy alejki, jeśli ten nie potrafił odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego tak?”. Każdy wybór musiał zostać uzasadniony. Specjalista, który zapomniał języka w gębie, był wyrzucany.

A zatem pozycja Latony jest niewytłumaczalna. Podczas jej montażu, a potem aż do 1686 roku, była z pewnością zwrócona w stronę zamku, ale taka orientacja nie miała wcale więcej sensu. Ponieważ w tamtych czasach rzeźba nie była podniesiona: pole widzenia matki Apollina ograniczało się do stopni i dachu zamku. A więc jej ręka i spojrzenie ^{na} nic nie wskazywały.

Po raz kolejny zabrnąłem w ślepią uliczkę.

to ty, moja stara przyjaciółka, to ty pomogłaś mi ^wWść z tego impasu w chwili, gdy już chciałem się poddać. ^{ne}razy od czasu, gdy się znamy, odegrałaś już decydującą ^rok? Trenera, lustra, katalizatora? Za każdym razem nie tylko potrafisz zrozumieć moje pytania, ale spoglądasz ^{nie} z zewnątrz, pod innym kątem. I każesz mi kwestionować ⁿo bardziej dyskusyjne z moich rozumowań.

Jeszcze słyszę twój głos w telefonie tamtego wieczoru wesoły, a mimo wszystko tak bardzo zdecydowany. Tak dalece odległy od moich ówczesnych niepokojów.

- Dan, jedziemy na Wielkanoc na Markizy, jak planowaliśmy?

To był zwariowany dzień w pracy. Falszywa informacja (dymisja naszego dyrektora ds. badań naukowych) spowodowała dużą wrzawę na temat naszych aukcji na giełdzie. Kiedy zadzwoniłaś do mnie o 19.00, aby porozmawiać o tym weekendzie 2004, byłem wypompowany.

- Emmo, mam pomysł - zaryzykowałem.

- Tak?

Poczułem twoje rozczarowanie. Przygaszenie. Markizy to był twój pomysł. Od dawna marzyłaś o wyjeździe na te wyspy - trochę ze względu na Gauduina, a bardzo z powodu tego belgijskiego piosenkarza zmarłego w latach siedemdziesiątych, którego uwielbiałaś. Jacques'a Brela, o ile pamiętam. A poza tym nasze spotkania planowane były na wiele miesięcy naprzód. Aby zmienić kurs, potrzebny był poważny motyw.

- Co byś powiedziała na wyjazd do Wersalu? Zarezerwuję ci najpiękniejszy apartament w Trianon Paláce.

Wiedziałem, że argument jest kiepski. Dlaczego Wersal, który oboje dobrze znamy? Dlaczego Francja, gdzie w kwietniu może być zimno? I apartament w Trianon Paláce? Ty mówisz o panoramie? Ty, który spędzasz życie w luksusowych hotelach? Jedyńka z psychologii.

Żeby odzyskać twarz, musiałem opowiedzieć ci cało. historię. Ogrody króla, Sztokholm, Aix, boski wzór. Oraz ślepa uliczkę, w której się w efekcie znalazłem. Co ciekaw, poczułem ulgę, mówiąc ci to wszystko. A poza tym miałem nadzieję, że zrozumiesz.*

-co z tego? - odparłaś w sposób, którego wybitna nie lubię. - Spędzimy weekend, siedząc na brzegu Fontan'

158

„Apolonia i czekając, aż się odwróci? Dan! Napisano już wszystko na temat Wersalu. Masz nadzieję, że jeszcze coś znajdziesz?”

- Chcę ci pokazać wszystkie fontanny. Spojrzysz na nie świeżym wzrokiem. Z pewnego dystansu. Ja już niczego nie widzę. Może przyjdzie ci jakiś pomysł.

- Dan, to nie jest rodzaj problemów, które rozwiązuje się z dystansu, wręcz przeciwnie.

Znowu ten szorstki ton.

- Zrób to dla mnie...

Sentymentalny ton, czułem to, sprawił, że się zawahałaś. Lubisz, gdy się gra na twoich uczuciach, chociaż przez większość czasu masz na sobie pancierz. Broniłaś się jeszcze przez chwilę, tak dla zasady.

- Ale jest coś, Dan, czego nie rozumiem. Dlaczego nie szukasz oryginalnego planu Le Nôtre'a? Przecież to byłby jedyny sposób uzyskania pewnej informacji!

- Emmo, nie bądź głupia! Przecież od tego właśnie zacząłem! Ale wszyscy kustosze wiedzą, że oryginał nie istnieje.

- Wcale czy już? Zawahałem się przez chwilę.

- Nic nie wskazuje na to, że kiedykolwiek naprawdę istniał. Nie wiadomo, czy w tysiąc sześćset sześćdziesiątym drugim roku, kiedy Ludwik XIV powierzył mu budowę, Le Nôtre miał całościową wizję ogrodów.

~ A dlaczego nie miałby mieć?

- Ależ, Emmo! Uważasz, że jesteś lepsza od historyków? Najstarszy znany plan pochodzi z tysiąc sześćset sześćdziesiątego czwartego roku. Znalazł go młody francuski naukowiec - niejaki Pierre Bonnaure, zresztą całkiem niedawno, we francuskiej Bibliotece Narodowej. Przypisywano go jakiemuś Francois de La Pointe, podczas gdy to plan Le Nôtre'a. ozałem go zeskanować i przesłać sobie kopię.

-Ico?

- Co? To faktycznie „rysunek”, to znaczy projekt, który nie został całkowicie zrealizowany, aie nie taki zwykły „ry-sunek”, tylko wykaz stanu ogrodów. Lecz niestety, jest dość pobieżny: nie przedstawiono na nim posągów, a ponieważ brak legendy opisującej poszczególne postaci, w przeciwieństwie do innych, młodszych planów, nie wiadomo, czy w głowie Le Nôtre'a lub Le Bruna Fontanna Łabędzi stała się już Fontanną Apollina... Nie, nic nie wskazuje na to, że wielki ogrodnik w tysiąc sześćset sześćdziesiątym drugim roku miał już wizję całości.

Z mojej tyrady wychwyciłaś tylko jedno.

- A widzisz? To niedawne odkrycie! Sprzed kilku tygodni! Dopóki nie znaleziono tego planu, zadawano się planami późniejszymi, tak? A więc jaki masz dowód, że jutro nie znajdzie się jakiś jeszcze starszy plan?

Myśl nie była pozbawiona sensu. Zresztą naukowiec, który znalazł plan z 1664 roku, był przekonany, że gdzieś indziej muszą istnieć plany tego samego pokroju. Rysunki, których dotąd nikt nie przypisał wielkiemu architektowi ogrodów Ludwika XIV. Ale nie dałem się tak szybko pokonać.

- Z pewnością Le Nôtre nie „obmyślił” Wersalu już w ty sięc sześćset sześćdziesiątym drugim roku, wiele elementów powstało w trakcie - a zatem trzeba powiedzieć, że...

- Dlaczego jesteś tego pewny?

- Ponieważ budowa trwała - dla Le Nôtre'a - od tysiąc sześćset sześćdziesiątego drugiego roku do jego emerytury, na którą odszedł prawie trzydzieści lat później. Ogrodnik, podobnie jak król, wzrastał w wytyczonych granicami ogrodach, marzył o wielkich przestrzeniach, chciał przekształcać przyrodę... Więc bez przerwy zmieniał boskiety, przerabia alejki, jakby nic nie było ostateczne, nawet w jego gioiva-

- Ale dlaczego?

160

_ Dlaczego? Ponieważ chciał, żeby było coraz lepsze! Oraz ponieważ nowe pomysły często wynikały z rozmów z królem...

- Więc dlaczego?

- Bez wątpienia dlatego, że król chciał, aby to wszystko ewoluowało...

- A dlaczego?

- Emma, daj sobie spokój ze swoimi dlaczego! Co ja mogę o tym wiedzieć? Ponieważ zmieniał ciągle idee!

- Przepraszam cię. Chcę tylko powiedzieć, że skoro niedawno odnaleziono plan z tysiąc sześćset sześćdziesiątego czwartego lub piętego roku, trudno mi uwierzyć, że nie istnieje jakiś z tysiąc sześćset sześćdziesiątego drugiego, który pewnego dnia zostanie odnaleziony! Nie chce mi się wierzyć, że Le Nôtre nie narysował żadnego planu, kiedy król powierzył mu budowę: dwa czy trzy lata pracy po omacku dla architekta ogrodów, to nieprawdopodobne!

Denerwowałaś mnie, ale miałaś rację. Z pewnością między 1662 a 1664 rokiem Le Nôtre wykonał rysunek, swoją wizję. Bez wątpienia w chwili, gdy Ludwik XIV wyznaczył go na budowniczego ogrodów, w jego głowie powstał jakiś plan całości. Jakiś przewodni schemat. Nie był jak chorągiewka na wietrze. Zażądał całej armii ogrodników, żołnierzy, murarzy. I osobiście zdawał raporty Królowi Słońce. Nie improwizuje się w stosunku do takiego zleceniodawcy. Nie przypadkiem przez resztę swojego życia - prawie czterdzieści lat! - był jedynym bliskim królowi człowiekiem, który nigdy nie popadł w niełaskę. Pewnego dnia już po tym, jak odszedł na emeryturę - miał ponad osiemdziesiąt lat¹ zrobił to na własną prośbę - król kazał go posadzić w lektyce na tej samej co on wysokości i wspólnie z nim wybrał się na spacer. Miałaś rację. To faworyzowanie można wy-~~mm~~aczyć tylko tym, że obydwaj mężczyźni wykonali wspól-^{nie} wielkie dzieło i że od początku łączyła ich szczególna nić

161

porozumienia, związana z wielkim projektem. Ukryta iz_a_ sadnicza konkhtzja.
Ale zaskoczyłaś mnie. Wydawało mi się, że rozpoznaję własną metodę. Na każdą odpowiedź przeciwnika zadać kolejne pytanie, nowe dlaczego. Sześć razy, jeśli trzeba to siedem, aby go przyprzeć do muru.

- Dan, ilu inżynierów z Controlware wylałeś za to, tę zlekceważyli jakąś hipotezę?
W końcu sprawiłaś, że sam zacząłem wątpić. Nie można znaleźć oryginalnego planu LeNdtre'a? Trzeba się o tym upewnić, raz na zawsze. Twój cios był celny:

- Dan, jeżeli istnieje ktoś taki, kto może poruszyć ziemię, żeby znaleźć ten plan lub to, co z niego pozostało, jesteś nim ty! Ty jesteś panem świata.

„Pan świata”. Zazwyczaj w skali zdolności do motywowania - Amelia mówi, że to obsesyjna skłonność - nikt mi nie dorównuje. Ale tym razem... Postąpiłaś lepiej niż Putt-man na ostatnim zebraniu w Controlware. W samej koszuli, spocony i przemierzający podium jak leopard w klatce: **You are the best, the best developers, the best, the best, the best. Sto razy. Przy przeboju Tiny Turner.** Oczywiście na koniec albo w to uwierzysz, albo złóż dymisję.

Ty osiągnęłaś ten sam rezultat spokojem... Lub prawie.

Wygrałaś swoje Markizy. Kupiliśmy biznesklasę w Air France. Dom perignon podczas startu. Jeszcze dziś parni?' tam twoje łagodne spojrzenie. I delikatne dłonie na kocu, gdy spałaś skulona. Ale zaczynam się gubić... Zaledwiepodszeptałaś mip^o" myśl, zaraz zadzwoniłem do Kathrin Strandberg. Tempe' ratura w Sztokholmie zdążyła właśnie spaść znacznie P^onl' żej zera i pani kustosz została w domu; jadła kolację prie^o-kominkiem, w piżamie, na białym moherowym dywanu-Przynajmniej tak mi powiedziała. Niestety, kamerka int^{et}" netowa nie była podłączona.

Kathrin również skończyła analizę sfotografowanych w domu Costella notatek oraz planów i była przekonana, że architekt w jakimś innym, bezpiecznym miejscu zgromadził to wszystko, co dotyczyło boskiego twierdzenia.

- Wdowa po nim nas ostrzegła! Sądził, że jego odkrycie może spowodzić nieszczęście, prawda? Głos młodej kobiety zdawał się dobiegać z tak bliska, jakby była w pokoju obok. Kiedy jej słuchałem, przed oczyma pojawił się obraz jej twarzy. Skóra świeżajak woda z jeziora o poranku. Usta kreślące na niej niezauważalne ruchy jak maleńkie fale obudzone podmuchem wiatru...

Nie, przekomarzam się z tobą. Znasz mnie, kiedy pracuję, nawet Normy Jean Baker nie zaszczyliłbym swoim spojrzeniem.

Kiedy zdradziłem jej swój pomysł, najpierw zaprotestowała.

- Znaleźć oryginalne plany! Dan, śni pan? Oczywiście, to byłoby idealne, ale gdyby istniały, z pewnością bym o nich słyszała!

Musiałem ją przekonać. Mój plan bazował na jej osobie.

Mówiłem dalej w twoim stylu:

- A dlaczego z pewnością miałyby pani słyszeć? Ostatnie odkrycia pochodzą sprzed kilku tygodni! Może ktoś jest w posiadaniu częściowych planów, na przykład kawałka, nawet nie podejrzewając, jaką ma to wagę, albo wręcz nie przyjdzie mu do głowy, że to plan Le Nôtre'a! I dalej, jeżeli ktoś znalazł plany, to być może powiedział o nich wersalskim specjalistom, a ci mogą wyciszyć sprawę. Proszę sobie wyobrazić, że dokumenty te podważają ich teorie. Mogą nawet utrzymywać, że chodzi o fał-szerstwo...

Przedstawiłem jej swój pomysł. W ramach przygoto-^{loc}" do czterechsetnej rocznicy urodzin LeNôtre'a muzeum

w Sztokholmie wydałoby na cały świat odezwę, której towarzyszyłaby spora nagroda, w celu ściągnięcia wszelkich istniejących informacji na temat oryginalnych planów dotyczących ogrodów w Wersalu.

Kathrin przedstawiła jeszcze jedno zastrzeżenie, lecz już bez przekonania.

- Ryzykujemy otrzymanie fałszywych planów, jeśli obiecamy dużą nagrodę! - ostrzegła.

Przegoniłem ten ostatni skrupuł za pomocą finansowego argumentu. Wtedy westchnęła:

- W zasadzie ma pan rację, trzeba spróbować... A poza tym pozwoli to nam się spotkać, czyż nie?

Nic nie odpowiedziałem. Nie musieliśmy się spotykać, żeby kontynuować poszukiwania. Ale jeśli to mogło ją zmotywować, nie chciałem się sprzeciwiać.

Po trzech dniach refleksji Kathrin zaproponowała mi plan działania. A zatem ogłoszony w Internecie konkurs, którego celem będzie odnalezienie planów wersalskich ogrodów narysowanych przez LeNôtre'a a ipochodzących sprzed 1664 roku. Lub jakiegokolwiek wskazówki, która pomogłaby odszukać taki dokument. Konkurs potrwa trzy miesiące, a nagroda wyniesie pięćset tysięcy dolarów. Taka kwota z całą pewnością pozwoli zwrócić uwagę uniwersytetów oraz uczelni niezależnych naukowców albo historyków specjalizujących się w XVII wieku.

W ciągu pierwszych dziesięciu tygodni wpłynęło trzy tysiące odpowiedzi. Kathrin Strandberg przeglądała je stopniowo. Meble gromadzone były w skrzynce muzeum w Sztokholmie. Nikt nie wiedział, że to ja zaproponowałem nagrodę, ale dałem słowo, że jeśli zdobędziemy plany, p°~ zostaną w Sztokholmie.

W każdy piątek robiliśmy podsumowanie przez tele' fon i z niecierpliwością oczekiwałem tych cotygodniowych sprawozdań. Przez ten czas, muszę ci to wyznać, strasznie

trudno było mi robić postępy w Harrym Potterze, a moje relacje z Amelią pogarszały się. Początkowo byłem jednak rozczarowany, bo 99% odpowiedzi nie przedstawiało żadnej wartości: znowu były to dziwaczne prace na temat Wersalu, elementy historyczne, które już posiadaliśmy, lub też częściowe plany, w których nic nie dowodziło, że zostały wykonane przez Le Nôtre'a. jakiś mitoman z Sankt Petersburga utrzymywał, że podczas drugiej wojny światowej widział taki plan w Berlinie, u Hitlera. Francuski kolekcjoner przesał plany Saint-Cloud, mając nadzieję, że przejdą jako plany Wersalu... Jakiś zar-towniś wysłał nam nawet kserokopię schematu wyciętego z przewodnika turystycznego.

A potem pewnego wieczoru, pod koniec drugiego tygodnia, zadzwoniła do mnie podekscytowana Kathrin.

- Dan, właśnie dzwonił do mnie francuski pisarz, który chciałby się do nas przyłączyć. Nie szuka tego samego, ale twierdzi, że wszystko może znajdować się w tym samym miejscu.

- Tak? A gdzie?

- W tajemnych archiwach królów Francji. -Co?

- Nigdy nie słyszał pan o tajemnym gabinecie królów?

- Nie sądzę...

- Niektórzy uważają, że Ludwik XIV kazał urządzić kryjówkę, w której trzymał najbardziej tajne dokumenty. Tajemnicę tę przekazał swojemu synowi i wnukowi - którzy zmarli przed nim - a następnie swojemu prawnukowi, Przyszłemu Ludwikowi XV, który z kolei dał klucze swojemu wnukowi, Ludwikowi XVI. Po ścięciu tego ostatniego wiele osób szukało kryjówki, ale nikt jej nigdy nie znalazł.

- A pani pisarz twierdzi, że ją znalazł, co? I jak on się nazywa?

165

*Granier. Jean-Philippe Granier. To spotkajmy się z nim! W Paryżu?
Oczywiście! Każę przesłać pani bilet.*

14

W telewizji pokazywano kolejne sceny paniki na Manhattanie. Dziesięć osób wołało wyskoczyć z okna na biurowych spadochronach, niż zejść po schodach lub czekać na pomoc: postawa pozbawiona zdrowego rozsądku, ponieważ tym razem nie zagrażał wieżowcom żaden pożar, żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Po prostu nie było prądu. A ponieważ większość tych spryciarzy po raz pierwszy miała okazję użyć swojego sprzętu, trzech roztrzaskało się o ziemię, nim zdołało je otworzyć.

„Przywrócenie działania elektrowni dostarczającej energię do Nowego Jorku wydaje się bardziej złożone, niż przewidywano” - dodał komentator.

Dawał do zrozumienia, że za każdym razem gdy technicy osiągają cel, za każdym razem gdy udaje im się zidentyfikować przyczynę nieprawidłowego funkcjonowania, zaraz pojawiają się inne anomalie informatycznego pochodzenia - zupełnie nie do odkrycia jeszcze kilka minut wcześniej.

„Cyberpiraci bawią się z nimi w ciuciubabkę - pomyślał Pierre, który wrócił już do swojego pokoju. -1 z pewnością mają wewnątrz współników, kogoś, kto może działać w samym sercu systemu”.

Od pół godziny przeczesywał strony internetowe znanych mu naukowców oraz specjalistów od antywirusów. Wszyscy już zgadzali się w kwestii diagnozy, ale żaden z nich nie znalazł Jeszcze pochodzenia wirusa, który zamienił w zombi wszyst-^e lub prawie wszystkie komputery na ziemi.

167

Nagle zadzwoniła jego komórka. Pierre odzwyczail się już od jej dźwięku i z obawą podniósł klapkę.

- Cześć, mówi Franek - usłyszał.

- Franek! To ty! Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię słyszę! Gdzie jesteś?

- U teściowej w Nicei. Musieli ewakuować dzielnicę, mimo że najwyraźniej nasza strefa nie została dotknięta. Dowiedziałem się, że Clara z dziećmi była w momencie katastrofy u swojej matki?

- Tak, to cud. A ty i twoja rodzina? Koledzy z pracy? Twój przyjaciel Jérôme?

- W porządku. Rodzina OK. Wszyscy czują się dobrze. A co do kolegów z pracy, większość mieszka w Aix-en-Provence... Nie mam jednak żadnych wieści od Jerome'a. Może ty coś wiesz?

Rozmawiali chwilę o tym, co nawzajem wiedzą, oraz o skutkach katastrofy w Marsylii. Potem Pierre nie mógł się powstrzymać, by nie podzielić się z przyjacielem swoją hipotezą. Tą, która dotyczy „globalnego” spisku.

Franek był tego samego zdania. Mówił spokojnie, jakby sam fakt podania klinicznych aspektów kryzysu odsuwał na dalszy plan jego konsekwencje.

- Posłuchaj - powiedział - ja również jestem pewien, że istnieje związek między wczorajszym ogólnosiwiatowym paraliżem Internetu a katastrofami, które wydarzyły się następnego dnia i jeszcze dzień później. Coś mi mówi, że kiedy uda się wyjaśnić pierwszą awarię, można będzie zrozumieć resztę.

- Wierzysz w tego mejla, który miał przenieść wirusa i którego śladu nikt nie może znaleźć? - zapytał jeszcze Pierre. W odpowiedzi Franek zadał inne pytanie.

- Widziałeś bloga Brothersa?

Bobby Brothers, siedemnastoletni Amerykanin, urodzony w Nowym Jorku, lecz jego rodzice pochodzą z Tajwa^o

(Bobby Brothers to jego pseudonim), stworzył w Necie „technologiczny notatnik”, „osobisty notes on-line”, jak najczęściej mówiono. Chłopiec dokonał kilku wyczynów, które odbiły się szerokim echem w środowisku informatycznym, ale równie dobrze mogły go zaprowadzić do więzienia: przede wszystkim dostał się do systemu komputerowego Navy i żeby udowodnić swój wyczyn, co tydzień dodawał do listy pracowników nazwiska znanych osób. Armia, która nie mrugnęła okiem, rekrutując Jackiego Chana lub Jamesa Bonda, zresztą zatrudnionych w tym samym dniu, odkryła intrygę po trzech miesiącach, kiedy pojawiły się nazwiska Arnolda Schwarzeneggera i Toma Cruise'a.

- Nie, od trzech miesięcy nie wchodziłem na jego blog - przyznał Pierre.

- Powinieneś! Najwyraźniej Brothers zrozumiał, co się stało. Zresztą zastanawiam się, czy nie jest źródłem tego big buga.

- Franek, bredzisz. Wszyscy wiedzą, że Bobby Brothers jest pacyfistą!

- Tak mówią. Ale ręki nie dalbym sobie za to odciąć. W każdym razie wysuwa hipotezę, której nikt jeszcze nie postawił: żeby setki milionów komputerów ściągnęły wirusa, ich właściciele musieli zrobić to z własnej nieprzymuszonej woli. I rzeczywiście, sam dobrze wiesz, że dzisiaj nikt nie ufa mejlom i nikt nie otwiera poczty pełnej podejrzanych załączników. A zatem nieświadomie ściągnęli plik zawierający wirusa. A jakie pliki od wielu lat są najczęściej ściągane? Przeboje Noah, filmy z Emmanuelle Béart, *Gwiezdne wojny III*... Jednym słowem, piosenki, tapety lub filmy. Nadążasz?

Pierre nie wiedział, do czego Franek zmierza, więc z niecierpliwością czekał na ciąg dalszy.

- Stary, to proste. Weźmy przykład jakiejś piosenki. "asz zjawisko: tysiące ludzi szukają codziennie w Internecie ulubionego przeboju. Łączą się ze stroną, która kontak

tuje ich z listą internautów posiadających w danej chwili tę piosenkę na komputerze. Wtedy ludzie ściągną piosenkę która im się podoba, i...

- Franek, kpisz ze mnie? Nie musisz mi wyjaśniać, co to jest peer-to-peer!

Pierre denerwował się. Kazaa, eMule... Znal od dawna ten system wymiany plików między internautami. Był nawet jednym z pierwszych, którzy z niego korzystali. Franek ciągnął:

- Jeśli jakimś piratowi uda się umieścić na jednej z najpopularniejszych stron zainfekowaną wersję piosenki, ma wszelkie szanse rozprzestrzenić na szeroką skalę swój program. I to bez wysiłku. Ludzie sami zaszczepią sobie tego malware'a, ściągną swoją ulubioną muzykę.

-Ale...

- Wiem, chcesz mi powiedzieć, że internauci nie muszą ściągnąć zainfekowanej wersji piosenki, lecz inną, ze zdrowego pliku, bo mają duży wybór.

- Wyjąłeś mi to z ust.

- Masz rację. Poza tym, że piraci mogli to przewidzieć. Być może stworzyli system, który automatycznie umieszcza zawirusowaną piosenkę na początku listy! A więc rozumiesz, każdy właśnie ją ściągnie...

Pierre zrozumiał. Kiedy on lub jego córki używali takich darmowych stron, żeby posłuchać jakiegoś przeboju, postępowali tak jak wszyscy: brali pierwszą wersję z początku listy. I z łatwością mógł sobie wyobrazić, że hakerzy wymyślili techniczny sposób umożliwiający automatyczne umieszczenie zainfekowanej piosenki na czele listy. Zresztą im częściej jakaś piosenka była ściągana, tym szybciej plasowała się na początku listy. Wystarczyło, że piraci zainstalowali wirusa w jakimś bardzo znanym i poszukiwanym w tej chwili przeboju. Ale czy mogli to zrobić, mimo wszystko pozwalając internaucie wysłuchać piosenki, ale tak, żeby się niczego nie domyślił? Z drugi

strony, wirus musiał być wystarczająco lekki, żeby zainfekowana piosenka mogła bez problemów „podróżować” w sieci. Pierre stwierdził, że nigdy nie poznał takiej techniki.

- Ależ, Pierre, nic nie rozumiesz czy jak? Teraz już się robi takie rzeczy! W każdym razie oni robią.

- Twoja koncepcja zakłada, że piraci przygotowywali zamach od wielu miesięcy i że znali piosenkę, która będzie najbardziej popularna, tak?

- Takie uderzenie nie może być improwizacją! Z pewnością badali, jakie są gusta ludzi w kolejnych krajach, i na stałe umieścili wirusa w kawalku, którego najczęściej domagali się internauci...

- Przyjmijmy, że tak było. W ten sposób można wytłumaczyć wielki bug. Ale nie resztę! Franek, zapominasz o tym, że komputery elektrowni, do których być może piratom udało się włamać, są zabezpieczone firewallami i systemami przeciw-włamaniowymi. Sądysz, że do fabryki, rafinerii, elektrowni wchodzi się jak do stodoły?

- Zawiodłeś mnie, stary! Znasz mojego brata Philippe'a? Pracuje teraz u specjalisty od testów przeciwwłamaniowych: wiesz, ile obydwaj potrzebowali czasu, żeby włamać się do France Télécom?

- Dwie godziny.

- Trzy i pół minuty. Nie znam żadnego systemu, któryby dawał stuprocentową pewność. Najlepiej zabezpieczone formy zawsze mają jakąś lukę, jakiś komputer mniej chroniony niż pozostałe: na przykład ten, który jest połączony ze sprzedawcą kserokopiarek i automatycznie sygnalizuje awarie przez Internet. Albo ten, który przynosi z domu stażysta i podłącza do wewnętrznej sieci. Brat mi opowiadał, że nie dalej niż miesiąc temu jakiś prezes rozesłał wirusa w sieci własnej firmy, ^a wiesz jak? Zabrał na weekend laptopa do domu i zostawił synowi, żeby zainstalował w nim gry. Kiedy w poniedziałek 'ano podłączył się do sieci w firmie... totalna blokada!

171

Pierre słyszał już o takich kłopotach.

- Czasem - ciągnął Franek - to kwestia elektronicznego notesu, do którego użytkownik wgrał piosenkę i który synchronizuje ze swoim komputerem, gdy w poniedziałek wchodzi do biura. I już: wirus migruje do sieci przedsiębiorstwa! Są jeszcze teraz systemy WiFi. Zdaje się, że małemu dowcipnisiowi, który usiadł sobie na ławce przy rondzie Champs-Elysees, przed siedzibą wielkiego francuskiego producenta broni, udało się włamać do jego księgowości!

- Wiem, ale jak można sobie wyobrazić, że piraci zdołali się włamać do wielu elektrowni w różnych miejscach na świecie i w tej samej chwili? Jak to zrobili?

- Nie wiem... Może podali się za ekipę naprawiającą lub techników Controlware. „Halo, dzień dobry, mówi Banks z działu bezpieczeństwa Controlware. Właśnie znaleźliśmy lukę w państwa oprogramowaniu. W celu rozwiązania problemu proponujemy państwu ściągnięcie naszej aktualizacji”. Rozumiesz sposób?

Oczywiście, taka strategia mogła działać... ale w wypadku niedbałych firm. W aktualnym przypadku trudno sobie wyobrazić, żeby intruz mógł z równą łatwością wniknąć do sieci takiej elektrowni. Jednej to jeszcze by uszło. Ale dziesięciu w różnych miejscach świata! Jak wytłumaczyć tak masowy i nagły atak?

Wszystkie te pytania zadrezczały Pierre'a. Do zmęczenia z powodu nieprzespanej nocy dołączył zamęt i niepokój. Zamienił z Franckiem jeszcze kilka słów, ale z niecierpliwością czekał już, by wrócić do swojego komputera. Sam ściągnął ostatnimi czasy dziesiątki muzycznych kawalców. Jeśli jakieś piosenki były zainfekowane, z pewnością mają na twardym dysku. W każdym razie chciałby się upewnić.

- Nie wyjdę stąd, póki nie zrozumie, co majstrują^{te} świnię - zawołał głośno w chwili, gdy Franek odkładał słuchawkę.

15

Emmy nie było w pokoju. Pierre wielokrotnie wybierał jej numer, ale na próżno. Próbował również dzwonić na jej komórkę, ale sieci znowu nie działały. Czy udało jej się wrócić do Stanów? Musiał pilnie z nią porozmawiać. Od wczoraj siedział przyklejony do komputera, łącząc się z forami i blogami specjalistów. Cały czas rozmawiał też z Frankiem, mejlowo lub telefonicznie. Obaj posunęli się równolegle do przodu, konsultując się z kolegami, przysyłając sobie wzajemnie adresy, wymieniając hipotezy, kreśląc teorie. I co ciekawe, właśnie w chwili gdy o 5 rano telewizja podawała informację o kolejnej katastrofie - o wybuchu w elektrowni w Pensylwanii - zrozumieli. Równocześnie. Ziemia rozstąpiła im się pod stopami.

Od tego czasu Pierre, nadal pod wpływem szoku, kręcił się bez celu po pokoju. Mimo dwu kolejnych nieprzespanych nocy nie mógł odpocząć. Nie miał już najmniejszej wątpliwości, że istnieje powiązanie między awarią Internetu a wypadkami w rafineriach i elektrowniach. Dramatyczne wydalenia ostatnich dni nie były sprawą nieszczęśliwej czarnej serii. Były owocem najstraszliwszych działań informatycznych, jakie byli w stanie sobie wyobrazić.

~ To koniec świata - szepnął Franek głosem, który ledwie było słycać.

Ale Pierre go usłyszał i nic nie odpowiedział.

173

Wrócił do łazienki i spryskał twarz zimną wodą. Franek miał zadzwonić na policję. Lecz pewnie jest zalana wezwania-mi, od pilnych spraw po drobnych przestępców podających się za autorów komputerowego big bangu... On również pomyślał, żeby zadzwonić do żandarmerii która posiada wydział zajmujący się walką z informatycznym piractwem. Rosny-sous-Bois. Komisarz Courtin. Pamiętaj! ich. Sekcja składająca się z piętnastu cybergliniarzy, zdaniem niektórych sprowadzonych na dobrą drogę hakerów. Od kilku dni muszą być w stanie pogotowia. Powinni zrozumieć. Ale oczywiście ich oficjalny numer był zajęty. Z komórką Courtina nie można się było połączyć. Nie próbował dalej przekonany, że jego telefon i tak się nie przyda. Jeśli machina terrorystów jest rzeczywiście tą, którą przedstawił mu Franek, cybergli-niarze również znali rozmiary katastrofy, lecz nie wiedzieli dużo więcej na jej temat. Co do ich amerykańskich kolegów, musieli doświadczać tego samego uczucia niemocy: jak brygada strażaków w obliczu pożaru, którego źródło znają, ale i tak nie są w stanie powstrzymać ognia.

Co ciekawe, nic nie przeciekło do telewizji. Albo duże stacje nie zdążyły się o niczym dowiedzieć, albo dostały polecenie, by nie nadawać jeszcze bardziej alarmujących informacji.

- Taka cenzura, jeśli to jest cenzura, nigdy nie trwa długo - zauważył Franek.

Jego uwaga zawiodła Pierre'a jeden stopień wyżej.

- Naprawdę uważasz, że to niewiarygodne przedsięwzięcie?* cie mogło zostać opracowane bez współudziału samych służb bezpieczeństwa wielkich krajów zachodnich?

- Trudno to sobie wyobrazić.

Zniechęcony Pierre usiadł w końcu na wykładzinie, chowając głowę w zaciśnięte pięści jak w imadło.

Wstał dzień, słońce przebijało się już przez wstęgę bawel'nianych chmur. Przez otwarte okno dobiegały Pierre'a odgłosy budzącego się Arromanches. Pierwsze dzieci idące pies^{zo}

do szkoły lub podążające na szkolny autobus, młot pneumatyczny atakujący bitumiczną nawierzchnię chodnika... Pod parasolami na tarasie siedziały dwie czy trzy uczestniczki kongresu w nadziei na śniadanie. Pozostałe musiały nadal siedzieć w holu lub swoich pokojach i telefonować lub szukać rozwiązań, które pozwolą im wrócić do kraju. Tego ranka wiał wiatr od lądu, poruszając fale w kierunku przeciwnym niż zazwyczaj. Pierre słyszał w oddali, jak ich lekki, niczym niezmacony szum dotyka skał. Prognoza pogody przewidywała kolejny ciepły dzień.

Widok błękitnego nieba był nie do zniesienia. W dniu lądowania wojsk alianckich - pomyślał - przynajmniej było brzydko. Dziś przyroda pozostaje głucha na dramat, który rozgrywa się na świecie i którego on ma już, niestety, dokładniejszy obraz. Ten spokój przerażał go i napawał chęcią ucieczki.

Znowu wybrał numer Emmy. Dlaczego o 7.30 rano nie ma jej w pokoju? Czy jej nieobecność ma jakiś związek ze śmiercią Baretta? Czy z jakichś innych źródeł dowiedziała się tego, co on właśnie odkrył? Czy amerykańskie służby bezpieczeństwa, gdy tylko zrozumiały, co się stało, skontaktowały się z nią tak jak z innymi bliskimi oraz współnikami zmarłego Dana Baretta? Śmierć właściciela Controlware nie była wypadkiem. Był jedyną na świecie osobą zdolną przeciwstawić się przestępczym planom terrorystów. Tylko on posiadał klucz do systemu. Gdyby ktoś z jego bliskich wiedział o nim, Problem zostałby rozwiązany i uniknięto by katastrof. Emma ^{nie} wiedziała zapewne na ten temat nic więcej niż najbliżsi kareta, ale nie należało lekceważyć żadnego śladu. Być może ^{nie} znała jeszcze najświeższych wiadomości, bowiem tajnym służbom nie udało się do niej dodzwonić.

- Muszę koniecznie z nią pomówić. Muszę ją znaleźć.

Mówił na głos, jak gdyby fakt, że głośno wyraził to pragnienie, mógł ułatwić jego realizację.

Na myśl o spotkaniu z kobietą, z którą kochał się dwie noce wcześniej, poczuł uścisk w gardle. Odkąd zamknął się w swoim pokoju, nie miał czasu pomyśleć o tym, co wydarzyło się między nimi na plaży. Na szczęście. Bowiem o ile żałował w zasadzie tego, co zrobił, to jednak był wobec siebie uczciwy: gdyby dziś znowu znalazł się w tej sytuacji, postąpiłby tak samo. Jego pożądanie było silniejsze. Pomyślał o piersiach Emmy, które przeżyły się pod jego dotykiem. Miał wrażenie, że wyciągały się w jego stronę, twardniejąc w jego palcach jak męski członek. Miał ochotę wziąć je w usta, gryźć, pożerać. Z wściekłością przegnał tę myśl. Ta miłość - o ile tę dyktaturę zmysłów można nazwać miłością - mogła zrodzić tylko cierpienie.

Przypomnił sobie swój wyjazd z Marsylii kilka dni temu, kiedy Clara odwoziła go na lotnisko, podczas gdy technicy jechali ze sprzętem ciężarówką. Clara - blada blondynka, bardzo elegancka w swoich Tod'sach i kostiumie Chanel. Niespotykane milcząca Clara, która bardziej żarliwie niż zwykle ucałowała go w obydwie policzki, być może wiedzona przecuciem? A jednak ją zdradził... Dlaczego? Czego mu w niej brakuje? Jej szal zakupów, macierzyńskie odruchy i drobno-mieszczańskie zwyczaje bez wątpienia oddaliły ich od siebie, lecz nadal jest kobietą, którą on kiedyś wybrał, matką jego dzieci, kamieniem węgielnym jego życia.

Zszedł do hotelowego holu i zatrzymał się przy recepcji-Nie było klucza od pokoju, który zajmowała Emma. Ale dozorca - nieogolony i ze śladami burzliwych nocy - poinformował go, że nie uregulowała rachunku; a zatem nie wyjechała-Młoda recepcjonistka, nerwowo przekładająca papiery, przy* pomniała sobie, że pół godziny temu widziała „panią Shan* non" w stroju plażowym i z ręcznikiem kąpielowym w ręku-Czy Emma poszła się wykąpać? Jak w tych okolicznościach mogła myśleć o rozrywkach? I to po śmierci swego najteP" szego przyjaciele? Chyba nie zna powagi sytuacji.

pierre skierował się w stronę drzwi i ruszył drogą, śpiesząc się, by ją odnaleźć. Lecz ledwie dotarł na leżący w pobliżu plaży parking, poczuł niemal fizyczne skrępowanie. Zwolnił kroku, starając się mimo wszystko zakosztować wzrokiem krajobrazu, odetchnąć zapachem unoszącego się w powietrzu jodu i docenić poranną świeżość, która wkrótce zniknie. Kiedy dotarł na piasek, odbijające się w morzu słońce zmusiło go do zmrużenia oczu. Odwrócił wzrok w cień, w stronę górującego nad plażą klifu. Nieco dalej dostrzegł wspinającą się na niego ścieżkę, która dochodzi do drugiej zatoczki... tej, w której słyszał jęczącą z rozkoszy Emmę. Obraz jej zmienionej twarzy natychmiast przyćmiła wizja zabitych z Gardanne. Okrucieństwo zamachów - ponieważ teraz już wiedział, że chodzi o zamachy - ukazywało się bez ustanku. A to dopiero początek.

Na dużej plaży, tej, na której otaczające port stare barki z czasów lądowania tworzą spokojny cmentarz zardzewiałych słoni, nie było Emmy. Z pewnością poszła dalej wzdłuż plaży lub wspięła się ścieżką na klifie. Po chwili wahania zdecydował się pójść w lewo. Prawa strona, łatwiejsza do kąpiel, szybko stanie się zatłoczona. Był pewien, że Emma woli spokój.

Szedł brzegiem morza. Spoglądał na spienione brzegi fal, pieszczące szare kamienie w plamy koloru ochry. Kiedy w weekendy jeździł z Clarą i dziećmi na piknik do skalistych zatoczek, zdarzało mu się całymi godzinami obserwować przy-bój- Za każdym razem zaskakiwał go letargiczny skutek, jaki ten widok w nim wywoływał. Całymi godzinami mógł siedzieć na brzegu, nie formułując żadnej spójnej myśli. „Dobrze, wyłącz się - zachęcała go Clara, korzystając z możliwości, by poprawić swoją opaleniznę. - To cię odsuwa od komputerów” ~ dodawała perfidnie. Problem w tym, że dzisiaj nic, nawet ^Pokojne piękno normandzkiej plaży, nie mogło odwrócić ^{le}re'a od widoku komputera.

W chwili gdy przechodził na drugie zbocze klifu, stwier-

> ze mimo porannej godziny ktoś jest przed nim. To nie

Emma. Na skałach siedział mężczyzna z aparatem w ręku Jego dwudziestocentymetrowy obiektyw skierowany był na morze. Co fotografował o takiej porze? Światło, już białe nie było idealne. Pierre podążył wzrokiem w stronę, w którą skierowany był obiektyw. Sto metrów dalej jakiś pływak wracał w stronę piasku. Kiedy się zbliżał, Pierre rozpoznał - po długich rękach i długich spiętych na karku włosach - że to kobieta. Płynęła z imponującą prędkością. Płynnie ślizgała się w wodzie, poruszając na przemian głową to w prawą, to w lewą stronę. Regularne uderzenia nóg i rytm długich ramion kreślił pod nią ślad doskonalej krzywizny.

Pływaczka szybko pokonała dzielącą ją od brzegu odległość. Kiedy dotarła na miejsce, gdzie mogła stanąć, wyprostowała się i stojąc po uda w wodzie, zatrzymała się, żeby złapać oddech. Miała na sobie dwuczęściowy kostium w biało-czarnym kolorze, z kłamrą od paska w talii. Odpięła spinkę, którą związała włosy, potrząsnęła głową, rozpryskując wokół krople wody. Następnie zebrała włosy w dłonie i energicznie wykręciła, raz do przodu, to znowu na bok, żeby je wysuszyć. Nieskoordynowany, mało wdzięczny ruch nie pasował do wspaniałego ciała pływaczki. To ciało Pierre tulił do siebie w nocy ze środy na czwartek Fotograf wstał, celując teraz do Emmy z odległości piętnastu metrów. Młoda kobieta zachowywała się tak, jakby go nie widziała. Czy to paparazzi? Z pewnością lowcy sensacyjnych wiadomości przyjechali do Arromanches, aby śledzić ewentualne pojawienie się w kostiumie Hillary Clinton czy Michelle Bachelet, ale Emmy Shannon? Jaką wartość handlową mogą posiadać te klisze? Świat walił się wokół Emmy, a ona oddawała się takiej narcystycznej zabawie? Prawdę mówiąc, twarz mężczyzny nie przypominała złodzieja obrazo^ - Lekko zaokrąglony profil, siwe włosy uczesane na Joann? d'Arc, pewny siebie wygląd, barczysta postawa imponują⁰³ u pięćdziesięciolatka: „prawdziwa bestia” - powiedziałaaby

Clara. Pierre miał wrażenie, że już gdzieś tę bestię spotkał. Ale gdzie?

Informatyk nie miał ochoty rozmawiać z Amerykanką, jej uroda niemal go denerwowała. Miał sobie za złe, że pociąga go ta kobieta, której w gruncie rzeczy nie kocha, ale nie potrafi przestać jej pragnąć. Powoli pokonała ostatnie metry dzielące ją od wału z piasku. Fotograf krzychał: „Proszę wypiąć pierś!” i pstrykał. Nie przyjęła pozy, ale też nie zaprotestowała. Przez sekundę w głowie Pierre'a informatyczny kataklizm zepchnięty został na drugi plan.

Emma podniosła z ziemi ręcznik i wytarła się energicznie. Najwyraźniej nie miała ochoty zostać na plaży. Z płóciennej torby wyjęła białą-czarne pareo i owinęła je wokół bioder. Zakrywając jej nogi, podkreśliło szczupłość talii. Dobrze skrojony biustonosz doskonale oddzielał piersi i nadawał im harmonijną wielkość. Na jej szyi widać było kilka pieprzyków.

Mężczyzna przestał pstrykać i podszedł do niej z aparatem przewieszonym przez ramię. Teraz rozmawiali ze sobą. Najwyraźniej się znali.

Pierre już zamierzał wrócić do hotelu, kiedy dostrzegła go Emma i zawołała. Po chwili wahania skierował się w jej stronę.

- Cześć, Pierre - rzuciła z uśmiechem, który go zaskoczył. - Przedstawiam ci... Jeana-Philippe'a.

- Granier. Jean-Philippe Granier.

Oczywiście! Pierre przypomniał sobie teraz, gdzie widział tego faceta. Granier to dość znany powieściopisarz, który regularnie pojawiał się na stronach plotkarskich kolorowych gazet.

~ Jean-Philippe Granier i ja poznaliśmy się czterdzieści ^{Die}ć minut temu - uściśliła Emma. - Przyszedł fotografować wschód słońca.

* dodała, zmrużywszy oczy:

~ Lecz sądzę, że wykorzystał mnie jako pierwszy plan. Granier zaprotestował.

179

- Chce pani powiedzieć, że kompletnie zapomniałem jaki był początkowo mój cel! Kto mógłby się oprzeć widokowi Wenus wynurzającej się z morza?

Jego wątpliwa galanteria zdawała się nie przeszkadzać Emmie, która mówiła dalej, spoglądając na Pierre'a:

- Najdziwniejsze jest to, że kilka lat temu Jean-Philippe pracował z Danem Barettem. I z Kathrin Strandberg także. Wiesz, z tą Szwedką, która we wtorek wieczorem zapadła w śpiączkę... Przypomniałam sobie o tym, kiedy podał mi pan swoje nazwisko - dodała, odwracając się znowu w stronę pisarza. - Ciekawe przypadki zdarzają się w życiu, prawda?

Kiedy wspomniała o Danie, jej twarz sposepniała. Granier zaś się skrzywił:

- Wie pani, ja dopiero przyjechałem do Arromanches. Od tamtych czasów nie widziałem się z Kathrin Strandberg. Biedaczka, to straszne... Nie mogę w to uwierzyć.

I dodał szybko:

- We wtorek wieczorem, wtorek wieczorem... A, tak, właśnie nagrywałem program telewizyjny u Druckera. Pierre pomyślał, że tak samo by zrobił, gdyby chciał podać żelazne alibi.

- Emma, chciałbym z tobą porozmawiać! - nalegał Pierre, przestępując z nogi na nogę.

Minęło pięć minut, odkąd dołączył do Amerykanki i jej admiratora, a nie udało mu się słowa wtrącić. Powieściopisarz wyjaśniał, że od ponad dwudziestu lat na pół roku zaszywa się w tym regionie, aby pisać. Dlatego zna każdy przyływ, każdą skalę, każdą muszelkę.

- I mieszka pan w Arromanches? - ponownie odezwała się Emma, ignorując słowa Pierre'a.

- Nie do końca. Powiedzmy, że dzielę swój czas między Contentin a siedemnastowieczną dzielnicę. Paryż nie jest miastem, w którym da się pracować. Za dużo pokus.

Teraz Pierre przypomniał sobie dobrze tę osobę. On nie czytał jego książek, ale Clara - tak. Co najmniej dwie. Zresztą me do końca, bowiem Granier wszystko, czego się dotknął, Pozbawiał cech świętości, w tym również uczucie miłości (i to ^mu przede wszystkim miała za złe). Dla niej Granier to „kaustyczny umysł”. Nie waha się ośmieszyć bohatera - a przede Wszystkim bohaterki - swoich książek, i to wtedy, gdy czytelnik już się do niego przywiąże. Gość publikował również ^oniki w czasopismach, w których złośliwym piórem krytyka! filmy i książki swoich współtowarzyszy. Emma nie była z pewnością pod wrażeniem jego pieskich zdolności, bowiem przedstawiając go, zapomniała ty¹¹¹ szczególnie. Granier musiał być całkiem nieznan w Sta-

nach. „Jeszcze jedna gwiazda z Saint-Germain-des-Pr^{es} która nigdy nie sprzeda ani jednego egzemplarza w Nowym Jorku" - pomyślał Pierre. Ta myśl dobrze mu zrobiła. Wrócił do swojego zadania, starając się przyciągnąć uwagę młodej kobiety.

- Emmo, muszę z tobą pomówić, to bardzo ważne. Spojrzała na niego nieufnie, aż pożałował dwuznaczności swoich słów.

- Ajajaj! Muszę państwa zostawić - ironizował Granier.

- Ależ nie, proszę! Jestem pewna, że słowa Pierre'a nie mają w sobie nic osobistego, prawda, Pierre?

Informatyk zastanawiał się, czy takim zachowaniem Emma chce go ukarać za wczorajsze milczenie czy też rzeczywiście ma ochotę zatrzymać przy sobie pisarza podrywacza. Wybrał drugą hipotezę. Jest taka, za jaką zawsze ją uważał. Wyniosła, fałszywie skromna, a w rzeczywistości wielce zadowolona, gdy jakiś mężczyzna okaże jej swoje zainteresowanie. Emma traktowała Pierre'a z góry, zawsze traktowała go z góry. Jakże kilka minut zapomnienia mogło go przekonać o tym, że jest inaczej?

Jakby dla potwierdzenia jego myśli założyła na nos ciemne okulary, wielkie czarne ray-bany, które postarzały ją, nadając pretensjonalny wygląd.

Już chciał jej to wypalić, lecz nie był to dobry moment na słuchanie miłości własnej.

- Wtorkowa awaria Internetu, wypadki w elektrowniach, wczorajsze katastrofy, to wszystko jest ze sobą związane - zaczął. - Sytuacja jest poważniejsza, niż możesz sobie wyobrazić. Mamy do czynienia z wirusem komputerowym, który Granier zaśmiał się drwiąco.

- E, tam! Wirus! Cholerni informatycy! Już ja ich tao¹ znam... Zawsze mówią, że to koniec świata! Już dwadzieśc⁸ lat temu, kiedy pisałem swoją pierwszą książkę, opowiada"⁰

Big One, wirusie, który wszystko zniszczy. A przypomnijcie „obie to wszystko, o czym nam opowiadali na temat roku dwutysięcznego. Bomba z opóźnionym zapłonem, która zrobiła buuum! Lipa!

Pierre zignorował jego słowa i ciągnął, patrząc na

Emmę:

- Przez całą dobę starałem się zrozumieć. I razem z kolegą znaleźliśmy odpowiedź. Wiemy, na czym polega ten spiszek. To potworne.

- Ależ mów! - niecierpliwiła się Emma, zdejmując okulary i zakładając je nad czołem. Jak paryżanka na zebraniu. Pierre zdał sobie sprawę, że ma zmęczone oczy. Po tym jak dowiedziała się o śmierci swojej dawnej sympatii, pewnie nie spała za dużo. Ale miała w sobie odwagę, potrafiła wprowadzić w błąd.

- W rzeczywistości chcąc sięgnąć do źródeł katastrofy, trzeba cofnąć się o kilka miesięcy - kontynuował.

-Jak to?

- Wyjaśnię ci, co zrozumiałem. Odwrócił się do Graniera.

- Proszę mi wybaczyć. Wyjaśnienie może być ciut długie... A także ciut techniczne.

Miał nadzieję, że intruz zostawi ich samych, ale Granier usiadł już z fałszywą swobodą na piasku. Emma natychmiast poszła w jego ślady i pociągnęła Pierre'a za dzinsy, zmuszając go, by do nich dołączył. Informatyk uległ, niejasno zdając sobie sprawę ze śmieszności tej sytuacji. Troje turystów robi Posiedzenie nad brzegiem morza, żeby porozmawiać o nie-^uniknionej informatycznej apokalipsie.

- Dziś rano - wbrew sobie mówił dalej Pierre - tak by-^m oszołomiony tą historią komputerowej awarii, że zapodałem...

"~ Przejdź do rzeczy - przerwała mu Emma, ciągle te odruchy *executive woman*.

183

Pod ironicznym wzrokiem Graniera opowiedział w kilka minut, nie zagłębiając się w szczegóły, w jaki sposób miliony użytkowników, pragnących tylko posłuchać Jamesa Blunta, Madonny czy Eminema, ściągnęły wirusa, który przekształcił ich komputery w „niewolników” zdolnych wysadzić system.

- Ale powiedz mi, Pierre - zapytała Emma - jak zdołali wkleić wirusa do piosenki, żeby ludzi się nie zorientowali? Pierre odpowiedział pytaniem.

- Wiesz, co to jest steganografia?

Wyraz wywarł oczekiwany efekt. Granier stracił swój drwiący wygląd. Emma owinęła kosmyk włosów wokół palca.

- Nie bardzo.

Informatyk strzepnął kilka ziarenek piasku z džinsów i podjął uczonym tonem:

- Steganografia, od greckiego słowa *steganos*, co oznacza ukryty. W zasadzie proces jest stary jak świat albo prawie taki. Wykorzystywali go już Grecy do przekazywania tajnych informacji. Golili niewolnikowi głowę, pisali wiadomość na jego czaszce, umieszczali go w odosobnieniu do czasu, gdy włosy odrosną, po czym wysyłali do adresata.

Wystarczyło, że ten ogolił niewolnikowi głowę i mógł odczytać informację! Dzisiaj jest to technika umożliwiająca zapisanie w pliku programów niewidocznych dla ogółu użytkowników.

- Fiu...

Granier przerwał wystąpienie Pierre'a gwizdnięciem. Nie wiadomo, czy był to wyraz podziwu, ironii czy tylko miało przypomnieć, że jego autor uczestniczy w tej rozmowie-Emma zignorowała go i zawołała:

- Ale jaki to ma związek z piosenką?

- Jest to dokładnie to samo: piraci ukryli w dwóch czy trzech najbardziej znanych w danym kraju przebojach steganograficzny program, przekształcający pecety w komp"tery-zombi.

- Jak na to wpadłeś?

184

- Mam w komputerze niewielki program do steganografii Invisibles Secrets, prezent od kolegi, asa programowania. Teraz jest nauczycielem matematyki w liceum w Grenoble. Otworzyłem dwa pliki Jamesa Blunta, ten, który przegrałem od kolegi z płyty CD, i ten, który ściągnąłem kiedyś z Internetu. I porównałem je. Z wierzchu wydawały się zupełnie identyczne, ale pod spodem pierwszy był normalny, podczas gdy drugi zawierał dodatkowe kodowane linie. Pierre zrobił przerwę. Emma nie spuszczała już z niego wzroku.

- To był ów słynny wirus, program, który wszystko wywołał.

- Mój Boże! - zawołała Emma. - Piraci, którzy to zrobili, to nie drugoligowi hakerzy!

- Z pewnością. Atak przygotowywano od co najmniej pół roku. Przypominasz sobie obozy szkoleniowe Al-Kaidy? Jestem pewien, że podobnie zrobili z informatyką: wyszkolili młodych fanatyków. Ci piraci rozpoznali, jakie są aktualnie kultowe piosenki, i wprowadzili do nich zakodowany program; potem zrobili tak, żeby zainfekowane wersje przebojów znalazły się na czele muzycznych stron, takich jak eMule czy Kazaa. A potem wystarczyło zaczekać, aż internauci masowo je ściągną. Ziarno zasiało się samo.

Emma słuchała Pierre'a z uwagą i zdawało się, że zapomniała o obecności Graniera. Musiała zauważyć, jak jego oczy taksowały jej piersi, ale być może lubiła ten rodzaj pochlebstwa. W końcu - pomyślał Pierre - ma trzydzieści osiem lat. atae holdy niebawem staną się coraz rzadsze. . Ponownie zauważył, jak silne są cienie pod jej oczami

Ściągnięte rysy: śmierć Baretta poruszyła ją, nawet jeśli grywała bohaterkę.

Jakby czując, co myślą jej towarzysze, wstała i zaproponowała. a obydwo mężczyznom, by poszli zjeść śniadanie do La ar me, w porcie. Opuścili plażę, idąc gęsiego.

- Mówisz dalej? - zapytała, kierując te słowa do Pierre'a lecz nie odwracając się w jego stronę.
- Jestem przekonany, że piraci dodatkowo zastosowali phishing - odpowiedział jej plecami informatyk. - To znaczy, że stworzyli fałszywą stronę Controlware oraz zaproponowali firmom ściągnięcie aktualizacji posiadanych przez nie programów firmy. Niektóre z nich, sądząc, że znajdują się na oficjalnej stronie, musiały wykonać manewr, nie zachowując środków ostrożności. I bez wątplenia ściągnęły wirusa. Technika jest dobrze dopracowana i...
- Zaczekaj, Pierre!

Tym razem Emma odwrócił się do dawnego kolegi z pracy. W zarzuconym na ramiona swetrze, zaimprovizowanej przepasce na biodrach i potarganych włosach wydała mu się taka, jakiej jej nigdy nie widział. Bezbronna. Wzruszająca. Godna pożądania.

- To wszystko wydaje się zbyt dobrze opracowane. Jak wytłumaczysz, że cały Internet, który przedwczoraj kompletnie padł, tak szybko ruszył z miejsca, i to bez żadnych strat? Przecież piraci nie dokonali tego ataku tylko po to, żeby pokazać swoją władzę? Takie rzeczy robiono już kiedyś, w czasach gdy ty, razem ze swoją bandą hakerów, byłeś jeszcze komputerowym majsterkowiczem! Teraz piractwo to duża przestępczość. A zatem musiał być jakiś cel. Wiesz jaki? Pierre nie był szczególnie uradowany, że Granier dowiedział się o jego przeszłości pirata komputerowego, ale pytanie było istotne. Emma nie straciła nic ze swojej intelektualnej zręczności. Kiedyś, w Supra Data, w elegancki sposób przerywała wypowiedzi dostawców lub swoich kolegów, wtrącając do rozmowy PYTANIE, które przeszkadzało, które wykazywało lukę w rozumowaniu mówcy. Pierre był nawet przekonany, że odczuwa przyjemność, siejąc w ten sposób zamęt w głowie rozmówców, zwłaszcza jeśli to byli mężczyźni- Ty^e że tym razem miał na jej pytanie odpowiedź.

Pudło" - pomyślał. Ale pozostał przy poważnym tonie, który pozwalał mu na dominującą pozycję w czasie rozmowy. Przynajmniej zostawi Granierowi mniej możliwości do zablęśnięcia swoimi szyderstwami.

- Masz rację, Emmo! Jesteś blisko rozmiarów kataklizmu. Teraz druga część. I ta wyrządzi o wiele więcej szkód.

Jean-Philippe Granier mieszkał na bulwarze de Courcelles, naprzeciw parku Monceau, w prywatnej rezydencji. Beżowy obrobiony kamień, wysokie okna, psie kupy na chodnikach. Klasyczna paryska kamienica, której nic nie wyróżnia spośród budynków leżących w sąsiedztwie. Ale wewnątrz zapierało dech w piersiach.

Drzwi wejściowe, które kiedyś musiały być na wyposażeniu warownego zamku, prowadziły prosto do salonu - gigantycznego kwadratowego pokoju, co najmniej sześciometrowej wysokości. Wgłębi niemal połowę ściany zajmował kominek z różowego granitu. Ale mieliśmy połowę lipca, więc od dawna zapewne go nie używano. Żeby zbudować swoje gniazdko, pisarz kazał na pewno wyburzyć sufity, aby połączyć K sobą dwapiętra i przywiesić olbrzymią plafoniere - żyrandol w kształcie trójkąta równoramiennego, który mierzył co najmniej trzy metry i którego kryształowe łezki dzwoniły, poruszone przeciągiem, gdy otworzyliśmy drzwi. Zawieszona na trzech ścianach obrazy były za to współczesne. Ich pozbawiony wszelkich ozdób styl kontrastował z wrażeniem przesytu które tworzyły setki listów pisarzy stłoczone na czwartej ścianie, poprzylepiane do siebie, jak kiedyś w prowincjonalny^o muzeach lub w domu doktora Barnes'a, słynnego kolekcjoner^o z Filadelfii, do którego mnie kiedyś zaciągnęłaś, parnięt^{o5*} Różowy neon Dana Flavina obok drobnego maczku Zol^o było jedyne w swoim rodzaju. Albo pozbawione rodzaju-*

Ani średniowieczny, ani barokowy, ani modny: wystrój ^{ten} pasował do gospodarza. Wszystko zostało skalkulowane w naukowy sposób po to, żeby otrzymać ową mieszanekę, trudną do zakwalifikowania, podobnie jak jej właściciel

Oczywiście kazałem sporządzić komputerową kartę Gra-niera, tym razem odpowiednio zilustrowaną. Dobrze trzymający się pięćdziesięciolatek miał w sobie wszystko z dyletanta: trochę dłuższe włosy w kolorze siwego blondu jak pałeczki do bębna, uśmiech rozczerowania na twarzy i rozbiegane spojrzenie. Niespecjalnie przystojny, lecz z pewnością sexy, bowiem jego damskie podboje już się nie liczyły („mimowolne” -jak utrzymywał). I słusznie: Granier był postacią z Saint-Germain-des-Prés. Facet, którego kroniki wyrywały sobie „L'Express”, „Le Point”, „Marianne” i „Voici”. Który w 1999 i 2002 roku trafił do grona „goncourtowców”*. Którego widywano koło 11.00 przed południem, zaraz gdy się obudził, w Café de Flore, z egzemplarzem Młodości leżącym na krześle z rotangu, i który od czasu do czasu zabierał głos na łamach „Le Monde”, opowiadając się przeciw „disneylandyzacji Europy”. Pisarz, który dźwigał na swych barkach (wystarczająco do tego szerokich) spuściznę Camusa, Sartre'a, Arona, Beauvoir, który nienawidził Kodu Leonarda da Vinci i Hollywoodu, za to uwielbiał Castafiore, Bécassine oraz jedyną salę sztuki i eseju w XVIII dzielnicy. Moja asystentka ściągnęła mi jedną z jego kronik, abym mógł jej posłuchać w samolocie. Wyśmiewał się z programu telewizyjnego sponsorowanego Przez Controlware - prowadzonej przez Oprah Winfrey kromki literackiej. „To tak, jakby we Francji poproszono Patricję Kaas, żeby poprowadziła Ex-libris lub Nocny lot”.

Kiedy spotkaliśmy się z Kathrin na lotnisku, stwierdziłem, że wie tyle samo co ja na temat tej zaskakującej osoby.

[^]oncourtowcy - potencjalni kandydaci do Nagrody Goncourtów (fr. Prix Goncourt).

- Zastanawia mnie, dlaczego odpowiedział na ogłoszenie. Jest właścicielem zamku w Solange, willi na Korsyce jego książki dobrze się sprzedają, musi posiadać miliony...

Kathrin również prowadziła poszukiwania w Internecie. W bladuróżowej garsonce - powiedziałaabyś: „bardzo Courrèges” - z beżową walizeczką w ręku, przypominała Kim Novak w Vertigo.

- Dzień dobry! Ciepło, prawda? Ostrzegam, że nie mam klimy. Proszę położyć tu swoje bagaże - rzucił Granier, wskazując oddzielony szafką kącik salonu.

Nie należał do ludzi tracących czas na zbędne uprzejmości. Dodał jeszcze, zwracając się do Kathrin:

- To tutaj całuję piękne kobiety, które przychodzą zobaczyć moje mieszkanie... oczywiście jeśli grzecznie o to poproszą.

Kathrin zaczęła się mizdrzyć. Wszystkie takie same. Pewnie zawsze tak robi. Nie jemu miałem za złe to zachowanie, lecz jej. On tylko próbował szczęścia.

Na szczęście nasz gospodarz zmienił temat. Towarzysząc nam w drodze do stojących w salonie foteli, zaczął opowiadać, jak to dwadzieścia lat temu jego pierwsza żona - pochodząca z Antyli była Miss Francji - podłożyła w mieszkaniu ogień i zamieniła meble w popiół. Jeden z jego rękopisów cudownie ocalał z pożogi. Odtąd jego kartki z wypalonymi brzegami złożone są w witrynie.

- Moja pierwsza powieść sprzedała się w dziesięciu tysiącach egzemplarzy - zauważył. - Cudowny tekst.

Posadził nas na okrągłej, bardzo niskiej wyścielanej ławeczce - „koniec lat dwudziestych, gusta mojej drugiej żony, dziewczyny z dobrego domu” - obitej czerwono-fioletowym aksamitem i sam podał nam herbatę. Potem usiadł naprzeciwko nas na kanapie w tym samym stylu.

Wystarczyło kilka minut rozmowy, żeby zrozumieć dlaczego ów tak dobrze osadzony we francuskim estabh'

shmencie literackim mężczyzna odezwał się do nas. Na pozór mało interesowała go nagroda. Zresztą nawet o niej nie wspomniał. Faktycznie, niedawno opublikował swoją pierwszą historyczną powieść, a historia Francji stała się jego nowym hobby.

Obserwowałem go, siląc się na obiektywizm. Bystre świdrujące oczy, otoczone zmarszczkami wyglądającymi, jakby zostały wszczepione przez zręcznego chirurga. Szeroki nos i cera człowieka, który lubi dobrze zjeść i wypić. Kiedy się nie uśmiechał, nadymał policzki, jakby zamierzał nadmuchać balonik. Ten tik miał zapewne ukryć niedawną rezygnację z tytoniu, lecz wzmacniał tylko wrażenie, że Granier śmieje się z tego, co mówisz. Na stoliku stała popielniczka, a pokój w pierwszym momencie wydawał mi się przesiąknięty zapachem jasnego tytoniu.

- Pańska ostatnia książka dobrze się sprzedaje? - zapytała Kathrin.

Granier jest autorem wielkiego średniowiecznego fresku, „pełnego erudycji” i „w stylu Rabelais” -jak mówi reklama. Według moich informacji porażka, w przeciwieństwie do jego poprzednich książek, w których mniej musiał wysilać swój talent, ponieważ w mniejszym lub większym stopniu przedstawiał życie swoje lub współczesnych mu ludzi- Zachował się tak, jakby nie usłyszał pytania.

- A więc interesują państwa ogrody w Wersalu? Fakt, Potrzebują mecenasów, zresztą tak samo jak zamek.

Przeszedł na angielski, angielski powierzchowny, ozdobiony francuskimi słówkami, byle jaki. Akurat taki, żeby go można było zrozumieć. Kiedy nie mógł znaleźć jakiegoś wy-^{rozu}, Kathrin mu podpowiadała. Najwyraźniej pani kustosz [^]nala, że jest czarujący. Najpierw rzucił się w wir niepo-^{dobnych} dygresji, a ja nie znoszę tracić czasu. Potem czę-^{le}J zwracał się do mojej towarzyszki niż do mnie. A prze-^{le}ż uprzedziła go, że szuka planów dla mnie. Ja go jednak

nie interesowałem. Jesteśmy z zupełnie różnych światów. W salonie nie było komputera ani płaskiego ekranu. Może w szafie miał Minitel, jak sprzedawcy gazet w tym kraju, którzy nadal używają tego sprzętu... W swoich wywiadach Granier powtarzał z lubością, że papier i długopis zawierają w sobie tajemniczą siłę jego twórczości. Sądząc po ostatnich książkach, tajemnicza siła jakoś przestała działać.

- A zatem, drogi panie Granier, odpowiedział pan na nasze ogłoszenie, ponieważ uważa pan, że plany, których poszukujemy, mogą znajdować się w tajemnym pokoju mieszczącym archiwa królów Francji?

Wreszcie Kathrin przeszła do sedna sprawy i byłem jej za to wdzięczny.

- Właśnie tak, pani Strandberg... Kathrin.

- Naprawdę uważa pan, że ów tajemny pokój istnieje? Od tak dawna szukają go historycy...

- Jeśli jest pani o tym przekonana, piękna panienko, to dlaczego przyjechała pani do mnie?

Umiał się odciać. I korzystał z tego, spoglądając na młodą kobietę spod oka.

- Jean-Philippe - powiedziałem, stawiając filiżankę z herbatą - to ja chciałem się z panem zobaczyć. Widzi pan, nie lubię zaniedbywać szczegółów, nawet tych zupełnie pozbawionych znaczenia. Nie wie pan, że kiedy tworzy się program komputerowy, jeden znak, jeden oktet może wszystko zmienić. W swoich badaniach na temat Wersalu stosuję tę samą zasadę. Zwyczajny boskiet, fragment posągu może kryć w sobie ogromną prawdę.

Granier siedział ze wzrokiem utkwionym w herbacie. **Jvt** mniej słuchał mnie. Po raz pierwszy skierował wzrok w moją stronę. Trochę sarkazmu. Ale to był najwyraźniej jego sposób bycia. Trzeba go brać takim, jaki jest, albo dać sobie spokój'

- Ma pan rację, tak właśnie działają wielkie umysły! Znaczące odkrycia powstają często w pospolitych okolicach^o'

ściach. Na przykład Fleming i penicylina... Historia obraca się wokół niewielkich, maleńkich szczegółów. Czym stałaby się Europa, gdyby Hitler został przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu?

- Wielkimi losami często kierują drobne przypadki...

- Chyba nie chce pan powiedzieć...

- Przepraszam?

- Proszę pozwolić mi opowiedzieć.

Ponownie włączył żarówkę z herbatą i wypił łyk, wpatrując się we mnie. Zniecierpliwiony zacząłem kołysać się w przód i w tył. Granier odwrócił się i pokazał na wejście do kuchni, której otoczone dużymi ciemnozielonymi zasłonami okno i masywne nogi stołu z drewna wiązu było widać z salonu.

- Proszę popatrzeć na to pomieszczenie! Było lato tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku.

Mój dziadek miał prowadzić w naszym duplexie prace. Mieliśmy zburzyć ściankę, żeby zbudować ten duży salon, w którym dzisiaj siedzimy. U dołu ścianki jeden z robotników odkrył szkatułkę zawierającą dwa zeszyty. Były to Pamiętniki księżnej de Cadaran, której spadkobiercy przez długi czas mieszkali w tej rezydencji. Niesłychany dokument! Księżna opowiada w nim bowiem o agonii wersalskiego dworu, a w szczególności o ostatniej dobie Ludwika XVI i Marii Antoniny.

- Nadal jest pan w posiadaniu tych zeszytów?

Tym razem Kathrin była zbyt bezpośrednia. Ja wołałbym się dowiedzieć, kim była ta księżna de Cadaran, o której mówił Granier.

- Cierpliwości, cara Catarina, cierpliwości... Nie, oczywiście karnetiki są dzisiaj w paryskim Muzeum Listów. Ale mam bardzo dobre ich reprodukcje.

- Co w nich jest?

~ Proszę dokończyć herbatę, to zabiorę państwa na górę. Księżna de Cadaran - wyjaśnił nam Granier - była ^o- do towarzystwa markizy de la Tour de Pin, której

mąż był zarządcą wersalskiego zamku w 1789 roku. Czł. wiek, który pełnił tę funkcję w chwili, gdy Ludwik XVI ^{mu}, miał uciekać!

Moja metoda miała zdecydowane niedociągnięcia W mojej kartotece nie było mowy o zainteresowaniu Gra-niera historią Francji, a tym bardziej o jego znalezisku: pa. miętnik naocznego świadka ostatnich dni króla w Wersalu, zanim zaczęła się jego długa droga na szafot. ...Ale to odkrycie powinno być głośne.

- Mamy piąty października tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku! - rzucił Granier, zapraszając, byśmy mu towarzyszyli do przedsiönka pełnego stłoczonych jedno na drugich, kaset wideo i płyt DVD.

Zmieniał głos, naśladowując znanego historyka z czasów czarno-białej telewizji. Szedł przed nami, od czasu do czasu odwracając się, by sprawdzić, czy nadążamy. Zarówno w dosłownym, jak i przenośnym znaczeniu tego słowa.

- Maria Antonina od wczoraj przebywa w Trianon! Często spędza czas w tej dawnej wiosce, w której LudwikXIV kazał wybudować zamek Grand Trianon, a Ludwik XVPetit Trianon. Ma tam swoje gospodarstwo, swoje owce, krowy-Król przychodzi trzy razy dziennie spożyć z żoną posiłek, po czym wraca na noc do zamku. Dobrze wiecie, że małżonkowie od dawna nie dzielą ze sobą łóża. Kochankiem królowej został piękny Axel de Fersen, szwedzki oficer o rycerskiej duszy. Ich miłość trwa od wielu lat, ale została skonsumowana dopiero wtedy, gdy królowa dowiedziała się, że nie będzie już miała dzieci. Jak widać, Austriaczka wcale nie jest tak nieodpowiedzialną jak się zwykło uważać...

Nasz gospodarz parodiował drżącym głosem pełne^Q tików starszego pana, ukazując swój narratorski talent-Mówił w czasie terażniejszym, jakby chciał, żebyśmy bezpośrednio przeżyli ostatnie godziny dworu, te sceny, ^{fo^} najwyraźniej go fascynowały, nawet jeśli na razie nic

ten temat nie napisał. Wszedł na kręcone schody, pokonując po cztery stopnie naraz. Kathrin i ja mieliśmy zaledwie tyle czasu, by zauważyć na ścianie jego kolekcję zdjęć sławnych ludzi. Był tam Granier w towarzystwie telewizyjnych prezenterek, gwiazd kina, pisarek, modelek, a nawet jednej astronautki. Samych kobiet. U góry schodów pokazał fotkę, na której stoi obok Penelope Cruz.

- Zdjęcie zostało zrobione w maju, zaraz po festiwalu w Cannes.

Gdybym był Włochem, raczej zatrzymałbym się przy Ornelli Mutti.

- Dem jest super dziewczyną - uznał za słuszne dodać. - Znać ją?

Nie odpowiedziałem. Nawet nie jestem pewien, czy w ogóle oczekiwał odpowiedzi.

Ruszyliśmy dalej długim korytarzem na półpiętrze, wznoszącym się nad pokojem, w którym nas przyjął. Coś w rodzaju wewnętrznej okrężnej drogi. Jednocześnie kontynuował opowieść i swoje gesty. Kathrin spijała słowa z jego ust.

- Tamtego dnia król wybrał się na polowanie w lasach Meudon. Nie wie o tym, że pospólstwo idzie na Wersal, żądając chleba. I nie można go ostrzec! Jeden z paziów odnajduje Marię Antoninę w Trianon, przynosząc jej list: hrabia de Saint-Priest błagają, żeby wróciła do zamku, gdzie będzie bardziej bezpieczna. Królowa bierze płaszcz i kapelusz¹ opuszcza wioskę, w której spędziła tyle szczęśliwych chwil, nawet nie mając czasu spojrzeć na nią po raz ostatni. Zaczyna padać rzęsisty deszcz, królowa przemierza park i te ^oar^ody, w których zna każdy najmniejszy boskiet, najmniej^{s*}y ajodospadzik, ale którego już nigdy więcej nie zobaczy.

mżące podążają za nią.

Ależ teatr! Twarz Graniera naprawdę ożywiła się, y mówił o Marii Antoninie. Mówił coraz szybciej, jego

ręce dyrygowały słowamijakby przewodził orkiestrze, iż^a. pominął o swojej ironicznej masce. Przeszliśmy w kierun-ku maleńkiego biurka, pełnego książek i papierów, u którego stóp leżała litografia Andy'ego Warhola. Podczas gdy Granier opisywał ostatnie chwile królowej w Wersalu, jego oczy wyrażały takie współczucie, że niemal miałem sobie za złe, że nic dla niej nie zrobiłem. Gdyby Granier znalazł się na drodze wózka przewożącego Marię Antoninę na szafot, zapewne rzuciłby się koniom pod nogi. Pomimo mentorskiego tonu i skłonności do wpatrywania się w Kath-rin, w końcu uznałem, że jest wzruszający. Analogowy, ale sympatyczny.

- A zakończenie znacie? - zawołał. - Ten straszny koniec? Zmierzech króla i królowej w Wersalu? Cię gilotyny?

Kathrin znowu zaczęła się mizdrzyć:

- Z pewnością nie tak dobrze jak pan.

W tym momencie powieściopisarz chwycił leżący na półce duży gładki kamień i zaczął go głaskać.

- Było patetycznie - kontynuował. - Szóstego października o pierwszej po południu Ludwik XVI po raz ostatni rzucił okiem na swój „dom”, po czym postawił nogę na stopniu karety. I powiedział do hrabiego de Gouernet te słowa, które przeszły do historii: „Hrabio, pozostaje pan tu władcą. Niech pan spróbuje uratować mój Wersal”.

Granier milczał przez chwilę, skrzywił się, odłożył kamień na brzeg biurka i rzucił:

- Ale nie powiedział tego.

Podniósł na nas wzrok i powoli wciągnął powietrze* sprawdzając, jakie wywarł wrażenie. - A więc co?

Niech wreszcie przestanie mówić ogródkami! MoW tak samo, jak się zalecał. Dwadzieścia słów tam, gdzie u>y starczyłyby dwa. A tak w ogóle, to po co opowiada o hrabim de Gouernet? Przecież przed chwilą powiedział^{ie}

ostatnim świadkiem obecności króla w Wersalu był markiz deLaTourdePin.

- Czasami nazywa się go „hrabią de Gouuernet”, tytułem, który nosił do roku tysiąc osiemset dwudziestego piątego, zanim został markizem - odpowiedział Granier, siadając na stylowym krześle i otwierając dużą szufladę.

Wyjął z niej szerokie i płaskie tekturowe pudełko. W środku znajdowały się kserokopie dziesiątków kartek mniej więcej piętnastocentymetrowej wysokości, pokrytych drobną pochyłą kaligrafią. Od razu wiedział, że nic z tego nie zrozumie: pismo było nieregularne, atrament wypłowił, a papier usiany licznymi plamami.

- Oto zeszyt księżnej. Jak widać, ucierpiał w ciągu minionych lat. Poniszczone strony, czasami wyrwane, zniknęły wyrazy lub całe akapity, a niektóre zdania trudno odczytać. Gdyby było inaczej, z pewnością już dawno znalazłbym ukrytą komnatę!

To powiedziałwszy, powieściopisarz włożył okulary. Eleganckie, ale bez logo firmy. Musiał należeć do tych, którzy walczą z dyktaturą marki. Obok biurka wisiał duży czerwono-no-niebiesko-żółty portret, dziwnie do niego podobny. Ale nie odważyłem się zapytać, czy to Andy Warhol czy jakiś pastisz kupiony w Internecie.

Zebrał strony i położył przed nami.

- Kathrin, proszę spojrzeć. Dan, niech pan podejdzie. Proszę, oto ostatnie chwile władzy Jego Wysokości Ludwiko-XVI...

Wyprostował się i odczytał na głos z taką dumą, jakby P^o długich namowach zgodził się wstąpić do Akademii Francuskiej i właśnie nadeszła chwila jego wystąpienia.

Król był wzruszony, ale starał się nie dać nic po sobie poznać. Pozdrowił tłum, który krzyczał ospale: „Niech żyje król!”. Królowa miała [...], lecz jej god

ność zmuszała do podziwu. Delfin wyglądał na zastraszonego pomimo [...] (tu brakuje dwóch linijek). Królowa siedziała już w powozie (znowu brak długiego ustępu).

Kathrin, która śledziła tekst oczyma, wycelowała w ważne zdanie.

- Dan, proszę spojrzeć!

W chwili gdy król wsiadał do karety, odwrócił się do pana de Gouvernet, podał mu dłoń i [...]: „Hrabio, pozostaje pan tu władcą. Niech pan spróbuje uratować mój Wersal.”

I jeszcze dalej, po kilku brakujących linijkach:

Dodał po cichu ten rozkaz [...]: „Zaklinam pana, niech pan jedzie do Trianon i własnoręcznie zamuruje tajny gabinet”. Nie wiedziałam, o jakim... (znowu dwie brakujące linijki). Hrabia skorzystał z powstałego przy wyjeździe zamieszania i udał się do Trianon [...]. Hrabina zapewniła mnie, że potrzebował niecałej godziny, żeby zamknąć podziemny dostęp [...].

Koniec jego tyrady. Granier odłożył kartkę do pudelka-W wielkim salonie zapadła cisza. Słowa pisarza brzmiały mi świeżo w pamięci. Tajny gabinet. Trianon. Uratować Wersal. Zdawało się, że dobiegające z bulwaru odgłosy ruchu ulicznego jakby przycichły.

- A więc, panie Granier? Jaki jest pański wniosek?

Pisarz spojrział na mnie zaskoczony brutalnością moje' go pytania. W literackim świecie Paryża prowadzi się an^a lizy, dyskutuje, obserwuje. Roztrząsa się i zadaje pytania-Ale nie wyciąga się wniosków.

- *W tym cały problem. Nikt jeszcze nie odkrył tajnego gabinetu w Trianon.*
- *Ponieważ nie istnieje.*
- *Oczywiście, że istnieje.*
- *Zatem dlaczego?*
- *Po prostu nikt go nigdy nie szukał!*

Granier wszedł pierwszy do baru-restauracji i przywitał się z właścicielką oraz zgromadzonymi w głębi kelnerami. W La Marinę - najlepszej restauracji w Arromanches - czuł się jak u siebie w domu.

- Leonie, dla mnie to co zwykle!

Właścicielka zrobiła kilka kroków w stronę baru - długiej dębowej ludy - i odpowiedziała:

- Jean-Philippe, tym razem za dużo ode mnie wymagasz. Wczoraj nie dotarło zaopatrzenie. Nie mam masła. A godzinę temu wyłączyli prąd i nie wiadomo, kiedy włączą. Lodówki działają dzięki agregatowi, ale nie wiem, jak długo wytrzyma. Mam chleb, mogę ci go trochę opiec. Zjesz z dżemem z porzeczek. Ale to mrożonki...

- Idź po mrożony chleb! - powiedział wbrew sobie Granier, siadając obok Emmy. - Nie należy zbyt marudzić, gdy zbliża się koniec świata...

Tym razem jego ironiczne słowa nie wywołały uśmiechu na twarzy Emmy. I nie czekała, aż zostaną obsłużeni, żeby skierować do Pierre'a pytanie:

- Powiedziałeś przed chwilą, że wszystko jest ze sobą powiązane, awaria Internetu i wypadki w elektrowniach. C° dokładnie przez to rozumiesz?

- Celem piratów nie było unieruchomienie Internetu, ale objęcie kontroli nad strategicznymi komputerami na ca

świecie. Ich wtorkowy atak, nawet jeśli zrobił bałagan na całej planecie, był tylko dywersją. _ Dywersją?!

Emma i Jean-Philippe Granier zareagowali w tej samej chwili, ale ten ostatni dołączył do swojej reakcji wymuszony śmiech. Pierre odpowiedział, patrząc tylko na młodą kobietę.

- Niestety, to bardzo proste. Pamiętasz, co to jest back-door Shadowsa?

- Backdoor? Tylne drzwi? O ile pamiętam, jest to rodzaj luki w systemie operacyjnym Dana, o której wprowadzenie na życzenie CIA go oskarżano...

- Chodziło o to, by CIA mogło wnikać, właśnie przez backdoor Shadowsa, do każdego komputera na świecie, żeby go przeszukać bez zgody właściciela.

- Zbiorowa fantazja informatyków, co?

- Też tak sądziłem. Niestety, nie! Emmo, backdoor istnieje. Piraci go znaleźli.

- Fiu, fiu.

Jean-Philippe Granier ponownie gwizdnął, tym razem wyraźnie rozczarowany. Emma przelknęła ślinę. Była zniecierpliwiona.

- Nie wierzy pan w to - mówił dalej Pierre. - Ja też nie wierzyłem aż do dzisiejszej nocy. Ale teraz, kiedy piraci znaleźli dojdzie do Shadowsa, mamy dowód. I odtąd mogą dostać się do wszystkich komputerów na świecie wyposażonych w ten system. Czyli z grubsza dziewięćdziesiąt siedem procent 9golu... Rozumiesz, oszłomiła nas wszystkich wywołana wirusem awaria serwerów! A to była tylko zasłona dymna! Wirus posłużył tylko do uaktywnienia backdoorów!

- Pierre, zaczekaj, powoli! Właśnie mi mówisz, że piraci mogą przedostawać się do wszystkich komputerów dzia-^aJacych w Shadowsie? Ale o ile pamiętam, Dan mówił mi, że ^hadows zawiera trzydzieści milionów linii kodu. To prawda, Jst w nich mnóstwo luk, ale codziennie aktywują się setki

201

patchy, żeby je naprawić, gdy się tylko pojawią! Chciałabym uwierzyć, że piraci odkryli tylne drzwi, ale jeśli tak było, po_ winny dwa dni później zostać zamknięte!

- Nie te! Otworzyli jedyne drzwi, których nikt nie może na powrót zamknąć, prawdopodobnie z wyjątkiem samego Baretta. Ale Baret...

Pierre przerwał. Młoda kobieta pobladła. Chwyciła pia-żową torbę i jakby znajdując ucieczkę przed ogarniającą ją nerwowością, złapała beżowy sweter i zarzuciła na ramiona. Kiedy tu weszli, wsunęła na bikini obcisły top, a Granier z wyraźnym żalem patrzył, jak jej piersi znikają pod ubraniem. Co do Pierre'a, jego zdaniem ubrana Emma wyglądała jeszcze bardziej podniecająco niż w kostiumie kąpielowym.

- Naprawdę nie znam się na informatyce - wtrącił Granier - ale to wszystko wydaje mi się dużą przesadą; piraci dostali się do komputerów dzięki pana słynnemu *bague d'or*.

- Backdoor - poprawił go Pierre.

Szukał wzroku Emmy; ona również nie uśmiechnęła się.

- *Bèque-door*, tak! - zadrwił Granier, naśladowując akcent bohaterów amerykańskich seriali. - Ale amerykańscy specjaliści już o tym wiedzą, prawda? Znajdą rozwiązanie, o ile już tego nie zrobili! Nie zrobią z tego nawet krótkiej informacji w wiadomościach Dana o dwudziestej! - Pierre zastanawiał się, czy Granier specjalnie udaje, że nie rozumie.

- Jean-Philippe, nie ma pan komputera?

- Jak pan to odgadł? I telewizora też nie. Ciągle ten niezdolny, drwiący wygląd.

- Jak pan pisze swoje powieści? - zapytała Emma.

- Długopisem. Uważacie, że Tolstoj napisałby *Wojn? i pokój*, używając edytora tekstu? Czy Nabokov mógłby wystukać *Lolite* na jednym z waszych turkusowych komputerów?

202

Tolstoj. Nabokov. A dlaczego nie Mozart albo Chagall, skoro już o tym mowa? Pierre wolałby sam kontynuować rozmowę z Emmą. Ale ta ostatnia wydawała się dziwnie wyrozumiała dla postawy kronikarza.

- A zatem nie zauważył pan, że ta historia zajęła już całe wiadomości o dwudziestej? - odparował Pierre. - Elektrownie, które wybuchają w Gardanne czy w Pensylwanii, samoloty, które nie startują, brak prądu, nie rozumie pan tego? To piraci sterują wszystkim na odległość, siedząc wygodnie w fotelach, przed połączonymi z Internetem mikrofonami! Granier udawał, że bije brawo obydwoma rękami.

- Ach, co my byśmy zrobili bez informatyków! Ale ma pan wyobraźnię! Z ludźmi takimi jak pan powinno się zrobić reality show. Umieszczono by was na bezludnej wyspie z komputerami pełnymi wirusów i Tahitankami o wielkich tyłkach. Ciekawe, kto by pierwszy pęki!

Pierre miał ochotę wylać szklankę coli na koszulę od Hugona Bossa, w którą ubrany był Granier, ale Emma odwróciła jego uwagę.

- Pierre, jednak w tych wypadkach może chodzić o ciąg zbiegów okoliczności! Istnieją przecież czarne serie!

- Też tak sądziłem. Przedtem.

- Czy możesz mi dokładnie powiedzieć, co mogą zrobić ludzie, którzy otworzyli backdoor Dana? W sensie technicznym.

Mówiąc ostatnie słowa, Emma przybrała ponownie suchy, skrajnie autorytatywny ton. Pierre niemal poczuł ulgę. Przynajmniej pozwoli to wrócić do poważnej rozmowy.

- Emma, wszystko! Mogą zrobić WSZYSTKO. Mogą ^{We}Jść na miliony stron internetowych na całym świecie i kierować komputerami na odległość, dokładnie tak, jakby byli na miejscu administratora strony. Muszą tylko wybrać cel! Mogą ^Prowadzać bugi w funkcjonowanie każdej firmy! Zmieniać nazwy, godziny, dawki, wyciągać procedury alarmowe, sam

nie wiem co jeszcze... A jak firma się zorientuje, jest za późno. Wilk jest już w owczarni.

- Mój Boże! - zawołała Emma.

Teraz widziała już rozmiar konsekwencji. Z chwilą gdy piraci mogą wejść do systemu komputerowego każdej firmy czy instytucji, stają się panami świata. Mogą „dopaść”, jak im się podoba, spółki tworzące indeks Dow Jones. Tu zatrzymać produkcję ropy, tam spowodować katastrofę powietrzną... a może wysadzić w powietrze reaktor jądrowy, czemu nie? Albo wysiać na Las Vegas brytyjskie rakiety. Trzymają świat w garści. Mogą wprowadzić w nim ciemność lub światło, bałagan lub porządek. Swój porządek. Mają władzę, jakiej nikt przed nimi nie posiadał.

Emma po raz ostatni spróbowała odrzucić wizję tej przerażającej perspektywy.

- Czy zbadano dokładnie przebieg każdego z wypadków? Czy zawsze źródło tkwiło w systemie komputerowym? - zapytała, sama nie wierząc w możliwość przeczącej odpowiedzi.

- Za każdym razem incydent spowodowany był nieprawidłowym poleceniem przekazanym przez komputer.

- Grupy terrorystyczne mogły umieścić w elektrowniach współników, którzy ręcznie wprowadzili polecenia - upierała się bez przekonania.

Pierre rozwił jej ostatnie wątpliwości.

- Posłuchaj, większość zdarzeń miała miejsce o tej samej porze...

- Zamachy w Londynie w dwa tysiące piątym także...

- Tak, ale tutaj zamachy spowodowano na odległość.

- Jak możesz być tego taki pewny?

To był koszmar. Emma nie chciała uzmysłowić sobie wiszącego już nad ich głowami miecza Damoklesa.

- Emmo, widziałem ten zawirusowany plik. Widziałem go ukrytego w moich plikach z muzyką - upierał się. - <^> stem pewien, że u ciebie też jest.

204

Graniem, który milczał od chwili, gdy Pierre go ofuknął, nagle odezwał się, wreszcie wyraźnie zbity z tropu.

_A kto wziął odpowiedzialność za zamachy? Czy były jakieś komunikaty? Jest pan pewien, że to nie kierownictwo Controlware kierowało atakiem, żeby potem sprzedać nową wersję swojego oprogramowania?

Ponieważ dużo przebywał z dziennikarzami, nauczył się reagować tak jak oni. Pierre umilkł na chwilę.

- O ile wiem - odpowiedział - nikt nie przyznał się do zamachów. Na stronach internetowych pojawiło się kilka informacji nieprawdziwych lub takich, których nie można sprawdzić. Ale nic wiarygodnego.

Co do drugiej hipotezy, w pośpiechu rzuconej przez Graniem - że to sam Puttman podpalił lont - bez wątpienia była nieprawdopodobna.

-I nie ma żadnej informacji, żadnego wyjaśnienia w wielkich stacjach telewizyjnych? - ciągnął powieściopisarz.

- Nic. Ale jak powiedział pan przed chwilą, telewizja...

- Trudno mi uwierzyć. Skoro panu udało się zrozumieć...

Pierre zaśmiał się krótko.

- Wiem, chce pan powiedzieć, że z pewnością nie tylko ja na to wpadłem! Ma pan rację, za chwilę ta informacja z pewnością się pojawi. Ale czy wyobraża pan sobie tę bombę? Przyznać, że jacyś nieznani sprawcy są zdolni wejść do elektrowni, elektrowni jądrowej lub wieży kontrolnej, tak jak się wchodzi do hotelu! Który premier czy inna głowa państwa odważy się podać tę informację albo nawet potwierdzić? W następnej minucie giełdy padną!

Dwie osy usiadły na pozostawionych kanapkach z dżemem. Nikt się nie poruszył, żeby je przegonić.

- Przecież musi być jakieś wyjście! Czy na przykład ktoś Jest w stanie odnaleźć komputer, z którego piraci wysyłają komendy?

205

Po raz drugi uwaga Graniera miała sens. Niestety, piraci z pewnością używali wielu miejsc. Dżakarta, Hongkong, Bu-kareszt, jakie to ma znaczenie? Wystarczy znać kod dostępu który otwiera backdoor. Nie ma wyboru. Jedynym sposobem zatrzymania zaprogramowanego kataklizmu jest odnalezienie tajnego klucza Baretta. Skoro komputerowy magnat stworzył tylne drzwi po to, by otworzyć dostęp do swojego oprogramowania, to oczywiście stworzył również klucz, żeby je zamknąć. Gdzie on jest? Król oprogramowania był odpowiedzialnym człowiekiem, więc z pewnością przewidział coś na wypadek swojej śmierci i powierzył tajemnicę bliskiej osobie. Komu? Najbliższemu współpracownikowi z Controlware? Jednemu ze swych pierwszych wspólników? Amelii? Gdyby któreś z nich coś wiedziało, antidotum zostałoby już wysłane do sieci. Chyba... chyba że osoba będąca w posiadaniu informacji nie zna jeszcze mechanizmu, który spowodował katastrofę. Tak było jeszcze kilka minut temu z Emmą. To ona jest jedyną osobą na świecie, która, z wyjątkiem Amelii, najbliższą znała komputerowego magnata. Wydawało się, że nie wie zbyt dużo na temat tego backdoora.

Ze spojrzenia, które rzucił jej Pierre, Amerykanka domyśliła się, jakie chce jej zadać pytanie.

- Nie, Dan nigdy nie mówił mi o backdoorze.

- A zatem nie zapytam cię, czy wiesz, gdzie jest klucz, ów program, który otwiera i zamyka tylne drzwi.

- Od razu bym ci powiedziała.

- To właśnie chciałem wiedzieć. Dlatego cię szukałem-Emma rzuciła mu spojrzenie, którego znaczenie trudno mu było odczytać. Wydawało mu się, że jest w nim smutek, być może silne i milczące wezwanie. Po raz kolejny coś przetrąbiło spod jej pancerza. Pierre już żałował, że kazał jej dźwigać wspólnie to jarzmo, którego ciężaru nie mogła zmniejszyć. Już chciał zaproponować, żeby razem kontynuował¹

poszukiwania, ale jeden gest Graniera odwiódł go od tego. powieściopisarz położył dłoń na przedramieniu Emmy, coś do niej mówiąc. Pozwoliła na to.

Pierre wstał, podsunął krzesło do stolika i wyjął 10 euro z kieszeni.

- Proszę dać spokój, mam tu otwarty rachunek - rzucił lekceważąco Granier.

Pierre nie nalegał. Podziękował bez przekonania i ruszył w stronę wyjścia. Idąc do hotelu Overlord, zerknął na zegarek: 9.30. Jego zespół musiał bez niego po raz ostatni sprawdzić wszystko, co jest potrzebne do zaczynającej się o 10.30 sesji plenarnej. Zresztą pamiętał, że to Emma stanie za chwilę przed zastępami bizneswomen. Albo przed tym, co z nich pozostało.

Kiedy minął drzwi, poczuł, jak delikatny wiatr od morza pieści jego włosy. Słońce nie grzało jeszcze mocno, ale ten nowy dzień też będzie ładny. Przeszedł kilka kroków parkingiem przy La Marine, po czym odwrócił się, jakby instynktownie, w stronę restauracji. Przygnębiło go to, co zobaczył przez duże oszklone drzwi.

Teraz Emma żegnała się z Granierem. A powieściopisarz, który podniósł się równocześnie z nią, właśnie przed chwilą - Pierre mógłby przysiąc - pocałował ją w usta.

- Dziękuję... Dziękuję paniom, dziękuję za uwagę. Dziękuję pani Shannon. I dziękuję również panom. Teraz mamy trochę czasu na pytania. Państwa kolej... Która z pań pierwsza?

Była 11.15. Emma Shannon właśnie zakończyła swoje wystąpienie na otwarciu ostatniego zgromadzenia plenarnego WAC. Przedpołudniowa animatorka, wykończona zadaniem brytyjska dziennikarka, zeszła z podium, by zebrać pytania. Kamerzysta i trzymający reflektor technik cierpliwie przesuwali się za nią między stolikami. Emma pomyślała, że Pierre i jego technicy muszą czuć się nieco wyizolowani w tym mieście kobiet mimo dodanego przez animatorkę „dziękuję panom”. W sumie zespół Pierre'a liczył dwudziestu pięciu mężczyzn, przynajmniej tak jej powiedział. Nawet wliczając kelnerów oraz maitre-d'hotel, reprezentacja rodzaju męskiego nie była liczna. Podczas tego weekendu Overlord przypominał trochę Galeries Lafayette* w pierwszy dzień wyprzedaży. Same dziewczyny. W zasadzie - pomyślała Emma

- czasem to dobrze robi.

Przed chwilą zobaczyła swojego dawnego kolegę w kabinie tłumaczy i pomachała do niego ręką. Odpowiedział uśmiechem. Dziś rano, kiedy powiedziała mu, że Dan nigdy z nie rozmawiał na temat backdoora, straciła w jego oczach. M^e czy kiedykolwiek cieszyła się u Pierre'a poważaniem? Z p^{eW},

* Galeries Lafayette - słynny paryski dom towarowy.

nością nie jest pierwszą jego przygodą. Dla niego to rzecz bez znaczenia i bez konsekwencji; pewnie sądzi, że z nią jest tak samo. W jego odczuciu jest kobietą „łatwą”. Ta myśl sprawiła jej przykrość. Czy rzeczywiście dlatego, że nie była łatwa? Czy zdawała sobie sprawę, że ona sama mierzy się miarą męskich uprzedzeń, używając takich samych słów jak faceci?

Odrzuciła tę myśl, zamykając oczy. W każdym razie to, że nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie Pierre'a dotyczące tylnych drzwi, ma bardziej dramatyczne konsekwencje niż jej stan duszy. Dziś rano CNN poinformowało o pożarze w dużej części Central Parku. Płonęły płuca Nowego Jorku, a przede wszystkim północna część, porośnięta gęstym lasem, szczególnie narażona po suchym i gorącym lecie. Ogień dosięgnął także The Ramble w środkowej części parku. Nowojorscy strażacy, nieliczni i śmiertelnie zmęczeni interwencjami z ostatnich dni, nie przyjechali w porę. Ich centrala telefoniczna najwyraźniej też nie zadziałała właściwie. Trudno było nawiązać kontakt pomiędzy pojazdami. Pierwsze obrazy kazaly obawiać się dużych strat.

Lecz Emmie trudno było litować się nad klonami. Myślała o Danie. O jego śmierci dowiedziała się wczoraj i przez całą noc próbowała przetrwać tę wiadomość. Nie była pewna, czyjej się to udało. Przez cały dzień śledziła wiadomości w nadziei na jakieś dementi. W ostatecznym rozrachunku informatyczna katastrofa jest niestety najlepszym dowodem śmierci jej dawnego przyjaciela. Dan nigdy nie pozwoliłby na to, żeby świat tak pędził w kierunku zagłady.

Dwadzieścia cztery godziny temu, gdy dowiedziała się o śmierci przyjaciela, próbowała porozmawiać z Amelią, rodzicami Dana, jego bliskimi, których znała: na próżno. Od trzech dni nie udało jej się dozwonić do nikogo ze Stanów z żyjątkiem Brada. Niemożność porozmawiania o Danie z tymi, którzy towarzyszyli mu lub widzieli go na łożu śmierci,

nie pozwalala jej uwierzyć w jego odejście. Jego śmierć po

zostawała czymś abstrakcyjnym, teoretycznym, tak jak niedawno jeszcze o niej rozmawiali. Emma nie będzie nawet na pogrzebie. Nie mogła znaleźć miejsca w żadnym samolocie; nawet nie jest pewne, czy odbędzie się jej powrotny lot w przyszły wtorek. Jest tu unieruchomiona, z morzem przed sobą, laskiem za plecami, pośrodku niczego, w tym miasteczku, gdzie sześćdziesiąt lat wcześniej zginęły tysiące jej rodaków. Pojechać do Rebeki do Paryża? Po co? Lepiej, żeby córka, jeśli może, przyjechała do niej, jak było ustalone, i żeby wspólnie przeżywały tu swój ból.

A więc jutro nie weźmie udziału w uroczystościach pogrzebowych Dana i nie zdoła uwolnić się od tej myśli, która ściska jej serce. Oczywiście, nie widywali się już bardzo często, a ich relacje rozluźniły się od czasu, gdy Dan się ożenił. Ale pamiętała obietnicę, którą złożyli sobie jeszcze w dawnych szalonych latach, a potem wielokrotnie powtarzali: temu, kto umrze pierwszy, drugie co roku kłaść będzie na grobie kłos pszenicy (taki jak ostatni gadżet Apple - żartowała zawsze). Ale to była zabawa. Dan nie mógł odejść w ten sposób. Jak przywdziać żałobę, skoro nie powiedziało się sobie do widzenia?

- Widzę, że będzie wiele pytań do naszego mówcy programowego - powtórzyła po francusku dziennikarka.

Entuzjazm w jej głosie był wymuszony. Przede wszystkim czuło się jej ulgę, że ktoś podnosi rękę.

Emma poruszyła bardzo klasyczny temat: „Ludzie u władzy: kobiety czy mężczyźni, czy to jakaś różnica?”. W tłumaczeniu na francuski zabrzmiał on jeszcze bardziej prowokacyjnie: „Czy kobiety są lepszymi kierownikami niż mężczyźni- ■ Aż dotąd ta niewielka sztuczka zawsze wywierała zamierzony efekt. Lecz tego ranka wydała jej się bezwartościowa nawet wobec zdobytej już publiczności.

Amerykanka zawsze podchodziła do tematu w jak naj bardziej neutralny sposób: przedstawiając dane statystyczne⁶

Niektóre liczby pochodziły z nieopublikowanych jeszcze badań, inne ze starszych raportów, lecz dotąd zbyt odosobnionych, żeby uznać je za wiarygodne. Od tej chwili - jak podkreśliła na początku dziennikarka - „stanowią ogół”.

- Liczb nie da się podważyć - oznajmiła. - Po pierwsze, mieszany charakter załogi jest korzystny dla firm: te, w których zarządzie jest co najmniej jedna kobieta, wykazują lepsze wyniki niż te, w których zarządzie nie ma kobiet. Dalej, firmy kierowane przez panie prezes-dyrektor generalne, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i we Francji - dwóch krajach, które zainteresowały się tym tematem - są bardziej rentowne i szybciej się rozwijają niż spółki kierowane przez prezesów-dyrektorów generalnych.

Emma poczuła się w obowiązku złagodzić tę triumfalną prezentację. Z intelektualnej uczciwości, oczywiście, ale także - nie przyznając się do tego samej sobie - ze względu na Pierre'a. Jego obecność tam, nieopodal tłumaczek, wytrąciła ją z równowagi w chwili, gdy zabierała głos. Przypomniały jej się ich dyskusje w Supra Data na temat „faworyzowania”, z którego korzystały kobiety. W tamtych czasach nie mówiło się jeszcze o pozytywnej dyskryminacji. Słuchając jej, Pierre musiał ciskać pioruny.

Teza Emmy była słuszna w swej istocie. Najpierw zaznaczyła, że istnieje związek między płcią osoby pełniącej kierownicze stanowisko a osiąganymi przez firmę wynikami, lecz należy mylić wzajemnego powiązania z przyczynowością: firmy, które osiągają najlepsze wyniki, są kierowane przez kobiety, ale nie dlatego mają lepsze wyniki, że są kierowane przez kobiety. Na przykład kobiety mogą woleć działania w sektorze usług, który jest bardziej rentowny niż przemysł; a więc w naturalny sposób stają na czele najlepszych firm. Emma wyjaśniła też, że kobiety, którym udaje się osiągnąć poziom, poddane zostały superselekcji: biorąc pod uwagę sam dyplom, wiek lub doświadczenie zawodowe, zarząd

czy lowcy głów zawsze wybiorą raczej mężczyznę niż kobietę Mniej ryzykowny wybór. Tak więc wybrane kandydatki musiały być naprawdę lepsze od kandydatów.

- Krótko mówiąc - podsumowała - nie można powiedzieć w sposób absolutny, czy też jeszcze nie można powiedzieć, że kobiety są lepszymi kierownikami. Lecz można powiedzieć, że te, które obecnie zajmują takie stanowiska, są lepsze niż przeciętny mężczyzna.

Emma rozpoczęła tymi słowami, podając konkretne przykłady firm zatrudniających ponad pięćset osób: kierowane przez kobiety, zawsze były bardziej rentowne, lecz ich stopa wzrostu była niższa niż w przypadku firm będących pod wodzą mężczyzn. Jak gdyby kobiety liderki, po przekroczeniu pewnego progu, wydawały się bardziej bojaźliwe niż ich odpowiedniki płci męskiej. Zamiast końcowego uniesienia Emma naszkicowała psychologiczne wyjaśnienie: instynkt przetrwania kontra pragnienie władzy. W zasadzie ten ostatni akord miał zakończyć podbój audytorium. Tak myślała wiosną w Stanford podczas rozdania dyplomów na uniwersytecie, gdzie dopracowywała swoje wystąpienie.

Ale tego ranka od początku przemówienia widziała, że publiczność - podobnie jak ona - myśli o czymś innym. Stojąc za przezroczystym pulpitem, zauważyła niespotykaną liczbę błędzących gdzieś spojrzeń. Jedne kobiety wertowały „Ouest France”, jedyny dziennik dostępny w hotelu, inne nerwowo stukaly w klawiatury komórek, żeby wysłać SMS-y-Wyglądały na zagubione w tej wielkiej sali konferencyjnej przewidzianej dla trzystu osób.

Ponad połowa uczestniczek kongresu wyjechała wczoraj z Arromanches, przede wszystkim Francuzki, które przybyć

z Paryża samochodem. Julia Epcott i Christelle Loric, organizatorki WAC, wahały się zresztą, czy nie odwołać ostatnie⁰ dnia kongresu oraz galowej kolacji, ale po długiej dyskusji¹ z komitetem wykonawczym zdecydowały wczoraj wieczorem*"

w duchu wielkiej tradycji amerykańskiego pozytywizmu i kontynuowaniu obrad.

przedstawienie musi trwać - pomyślała Emma, zadając sobie pytanie, co ona tu jeszcze robi. Przedstawienie musi trwać, jak kiedyś na igrzyskach olimpijskich w Atlancie. „Nie ma mowy, by ulec panice”; „najlepszą odpowiedzią dla terrorystów jest pokazanie im, że nie jesteśmy sterroryzowani”; „demokracja jest silniejsza niż wrogowie demokracji” i tak dalej. Po 11 września setki razy słyszała Emma te przemowy. Zresztą zgadzała się z zawartą w nich filozofią. Aż dotąd...

To było silniejsze od niej. Obraz Dana nieustannie wracał w jej pamięci. Wczorajsza seria zamachów, bałagan w hotelu, śmierć szwedzkiej kustoszki, a w szczególności odkrycia Pierre'a oszalały ją chwilami, ale nie przestawała myśleć o jednym: Dan nie żyje.

Game over - jak powiedziałby z sarkazmem.

NASDAQ będzie oplakiwać zdumiewającego biznesmena, którego nigdy nie udało jej się poznać. W Afryce, w Azji, wszędzie padały słowa żalu z powodu śmierci najbardziej hojnego ofiarodawcy, jakiego nosiła ziemia. Dzięki swej fundacji Dan zrobił więcej dla walki z ubóstwem niż wszystkie rządy razem wzięte.

Emma, tak jak inni, oplakiwała tego mężczyznę bez lez. Mężczyznę, który co prawda czasem ją zawodził, lecz z którym prowadziła najbardziej intymne rozmowy oraz najbardziej rewolucyjne dyskusje. Ile godzin, ile w sumie dni spędzili na wspólnych rozmowach? O wszystkim, o drobnych sprawach i wielkich rzeczach, ale także, zanim to nastąpiło: o internetowej rewolucji, globalizacji i klonowaniu człowieka. Kiedy byli we dwoje, tylko rozmawiali. W samochodzie, w samolocie, na plaży, na szczycie góry... Czasem także ^ łóżku. Kiedy zabierała ze sobą gazetę, pytał: „Boisz się, że będzie ze mną nudno?”. To ich rozśmieszało. Nigdy nie ^{ci}dzili się ze sobą.

Dan nie żyje. Już sama myśl była nie do przyjęcia.

Kiedy na chwilę opuściło Emmę uczucie odrętwienia, j naturalny pragmatyzm znowu skierował myśli na Dana: czy rzeczywiście - jak sądzi Pierre - stworzył klucz do zamknięcia, ci słynnych tylnych drzwi w Shadowsie? A jeśli tak, komu mógł go przekazać? Miała sobie za złe, że nigdy nie powiedziała mu o tym. Chciałaby przydać mu się po raz ostatni, pokazać, że jest razem z nim, z tamtej strony śmierci. Kontynuować dzieło Dana.

Teraz Emmie spieszyło się tylko do jednego: zejść z podium. Pytania z sali nie były pasjonujące. Zmuszały ją do powtarzania w inny sposób tego, co już powiedziała. Uważała, że kobiety słuchają samych siebie. A ona musiała skupić całą swoją uwagę, żeby zrozumieć następujące po sobie afrykańskie, południowoamerykańskie, rosyjskie czy chińskie akcenty.

Jakaś rudowłosa Europejka z drugiego rzędu wstał

- Czy pozwoli pani na jedną uwagę? „Cholera - zaklęła Emma w myślach. - Jeszcze jedna chce opowiedzieć o swoim życiu”.

Uczestniczka wzięła już od hostessy mikrofon i zaczęła:

- Pani Shannon, uważnie wysłuchałam tego, co pani mówiła. Pani analiza jest słuszna, ale czy pozwoli mi pani opowiedzieć osobistą anegdotę, która jest dokładnie związana z...

Szła w kierunku monologu. Na szczęście przyzwyczajona do tego rodzaju wystąpień animatorka przerwała uczestniczkę:

- Czy mogę prosić, aby wróciła pani do pytania? Nie spieszyło to tamtej.

- Prawdziwe pytanie, pani Shannon, jest takie: czy teoria behawioralna jest bardziej skuteczna niż psychoanaliz³ do wyjaśnienia...

Emma z niecierpliwością uderzała stopą w podest. Znała na pamięć ten rodzaj pytań, typowych dla osób, które ra

czej chciały zablysnąć, niż oczekiwały odpowiedzi. Poradziła sobie, stosując metodę doświadczonych mówców: odpowiedzieć, powtarzając pytanie własnymi słowami.

Technika okazała się jak zwykle skuteczna i nie pojawiło się już żadne inne pytanie. Animatorka podziękowała zgromadzonym i ogłosiła zmiany w programie ostatniego dnia. Wiele warsztatów musiało zostać odwołanych lub połączonych ze sobą. Emma nie czekała na koniec ogłoszeń, tylko zeszła z podium, chcąc dołączyć do Valérie, która dawała jej znak, żeby do niej podeszła. Dobrze wygląda - pomyślała Emma. I ma lepszą fryzurę niż tamtego wieczoru w restauracji.

Ledwie ruszyła za przyjaciółką, gdy zaczął je jakiś mężczyzna. Niski, ubrany w zużytą czarną marynarkę, którą włożył na biały T-shirt. Całość sprawiała, że wyglądał nienaturalnie swobodnie. Z pewnością dziennikarz - pomyślała Emma. Wysokim głosem zwrócił się do niej po francusku.

- Dzień dobry, pani Shannon. Nazywam się François Flavia, jestem korespondentem francuskojęzycznego tygodnika „Le Temps”.

zgadlam” - pomyślała Emma. Dziennikarz mówił dalej:

- Przygotowuję artykuł na temat Controlware. Od chwili podania informacji o śmierci Dana Baretta akcje na giełdzie poleciały na łeb na szyję. Chciałbym zapytać, jaka jest pani opinia na temat przyszłości firmy?

„Dan...”, „śmierć”... „Controlware”... Te trzy słowa wystarczyły, by wskrzesić w Emmie głęboki niepokój, który czuła przed chwilą. Opanowała się.

- Bez komentarza - odpowiedziała bez uśmiechu. Zaskoczony jej tonem dziennikarz zaniemówił z wraże-

nia. Emma wykorzystwała sytuację, chwyciła Valérie za rękę i szybkim krokiem pociągnęła ją w kierunku wyjścia.

Pomijała nie samopoczucie, jakie temat w niej wywoływał, nie miała najmniejszej ochoty odpowiadać na tego rodzaju pytania,

a tym bardziej tego rodzaju dziennikarzom. Controlware nie był w najlepszej formie. Zaczęło się to na długo przed obecnymi katastrofami. To prawda, że dla ogółu obserwatorów założona przez Barett dwadzieścia lat temu firma nadal była tą doskonale prosperującą i dominującą hydrą, która kontroluje 97% rynku komputerowego na świecie. Ale ci, którzy znają firmę od wewnątrz, wiedzą, że pancierz jest pęknięty. Na wszystkich znaczących rynkach oprogramowania - telefonii komórkowej, gier czy telewizji - Controlware został w tyle za rywalami. Od dwóch czy trzech lat wyższe kadry trzaskały drzwiami i odchodziły do Google, ostatniej perły na Wall Street, która - jak mawiał Barett - „ma teraz najlepszą stolówkę i najlepsze siłownię”. Ale oprócz Google także inne informatyczne cudenka przyciągały młodych geniuszy z Controlware. Na blogach pracowników zaczęły pojawiać się anonimowe, lecz ostre słowa krytyki pod adresem Berniego Puttmanna, dyrektora generalnego Controlware.

Bernie był jednym ze współzałożycieli firmy. Wspierał Dana, przez długie lata zajmując stanowisko dyrektora handlowego, aż do chwili gdy - jak to było przewidziane - Barett wycofał się i zajął stanowisko *chief software engineer*. Ten tytuł niewiele znaczył, ale pasował do funkcji, o której marzył: poświęcać czas wymyślaniu przyszłego oprogramowania. Wtedy całe zarządzanie operacyjne grupą powierzono wiernemu Puttmanowi, błyskotliwemu autokracie, ale znanemu ze swych aktów przemocy. Na przykład zaledwie kilka tygodni temu rzucił w pokoju krzesłem, kiedy Eang Vong> jeden z najlepszych naukowców, poinformował go o swoim odejściu z firmy.

Puttman był sangwinikiem, i to nie zawsze w dobrej wierze, ale to od faktu kierowania zamachami dzieliła przepaść. Czy mógłby być tak obłąkany, żeby mieć nadzieję, że potem sprzeda nowe oprogramowanie? I w ten sposób stanie się potężniejszy niż kiedyś Barett? Jak strażak, który podpał³

220

J

agorze, aby potem przyjść miastu na ratunek? Nie, to było szyte zbyt grubymi nićmi.

Zapewne dziennikarz nie poruszyłby tych spraw, ale Emma i tak nie miała wcale ochoty dać się skłonić do składania zeznań. W dodatku ten człowiek jest Francuzem, a więc z definicji jest wrogo nastawiony do Controlware. Przypomniała sobie mejla, którego znalazła w nocy na swoim komputerze. Mejla podpisanego właśnie przez Berniego Puttmanna i wysłanego z jego prywatnego adresu. Typowy dla stylu tej osoby. Trzy słowa: *Call me. Asap.* Zadzwoń do mnie jak najszybciej. Zadzwoń do niego, ale późno. Bernie zachował się szorstko. Ani słowa na temat Dana, jej cierpienia ani nawet tego, które on przypuszczalnie powinien odczuwać. Przyznał, że Pierre miał rację co do backdoora, a ona odczuła nawet swego rodzaju dumę z tego powodu. Inżynierowie Controlware, którzy w pięćdziesięciu zabrali się za szukanie buga, nie znaleźli innego niż Pierre rozwiązania. Dziura w Shadow-sie została znaleziona, lecz nikt nie potrafił jej zalatać! Emma przez całą noc rozważała rozmowę z Bernie.

- Emma, nie wyobrażam sobie, żeby Dan, przy całej jego ostrożności, nie zostawił gdzieś kodu do backdoora. Przeszukaliśmy wszystko, jego biuro, dom. Rozebraliśmy na części jego twardy dysk. Amelia nic nie wie. Naprawdę sądziłem, że ty- Shannon, musisz mi wszystko powiedzieć!

- Bernie, to niewyobrażalne! Co ty sobie myślisz? Dla-^{Cze}go ja? Dlaczego miałabym wiedzieć więcej od ciebie? Ty J^csteś jego współnikiem! To tobie powinien być zostawić klucz ^od backdoora!

~ Posłuchaj, Shannon! Wszyscy wiedzą, że przed ślubem ^z Amelią dzwonił do ciebie, żeby cię zapytać o zdanie! Tylko ^obie mógł go powierzyć.

~ Bernie, bredzisz! Nigdy nie wspominał mi o kodzie do ^ynych drzwi! Gdybym go znała, już dawno bym do ciebie [^]dzwoniła, to chyba jasne!

- Mam nadzieję, że mówisz prawdę, ale ja jutro będę tu miał piętnastu chłopaków z CIA, którzy przyjadą, żeby wszystko przeszukać i spróbować znaleźć tego kurewskiego patcha! Wiem tylko tyle, że w naszym interesie jest ruszyć dupę! Ponieważ po pierwsze: każda upływająca minuta pozwala działać terrorystom. I po drugie: z każdą upływającą minutą akcje Controlware na Wall Street coraz bardziej lecą w dół! Koniec kropka.

Po pierwsze, po drugie, koniec kropka. To był język Berniego. Z nim zebrania nigdy nie ciągnęły się w nieskończoność. Spotkania, podczas których zwalniał pracowników - też nie.

- Bernie, uspokój się! Możesz mi powiedzieć, jak wygląda ten patch?

- Ależ oczywiście, jak pierdolone linie kodu!

- Co oznacza, że mogą być ukryte gdziekolwiek...

- Tak, Emmo, gdziekolwiek, oczywiście. Gdziekolwiek!

- A czemu nie w jego palmtopie? Dan powierzał wszystko swojemu komputerowi.

- Tam najpierw szukaliśmy. Przegrzebaliśmy też jego komputer w biurze i laptopa w domu. A co ty myślisz? Ale to może być gdziekolwiek... Może umieścił go na samoprzylepnej karteczce i włożył do jakiegoś pierdolonego pudełka z masłem orzechowym! Albo za jednym ze swoich pierdolonych obrazów! Co za palant, no co za palant! - Jeszcze dźwięczały jej w głowie ordynarne słowa Berniego. Jeśli to on jest piratem, dobrze odgrywa swoją rolę. Jednocześnie trudno jej było uwierzyć, że Dan nie zostawił mu kodu, właśnie jemu - A jeśli tak było, zdradza to pewien brak zaufania. Nie zwalniając kroku, przeszła przez hol w towarzystw¹⁶ Valérie, która szła u jej boku.

- Pójdziemy przed kolacją na plażę, chcesz? - zapr^o ponowała Emma przyjaciółce, tak naprawdę nie dając jej wyboru.

218

Valérie dobrze wiedziała, że Amerykanka błędzi myślami gdzie indziej. W czasie konferencji zwróciła uwagę na jej ciągnięte rysy i zbyt grubą warstwę podkładu na twarzy, który miał ukryć brakujące godziny snu.

- Wiecie coś nowego o morderstwie szwedzkiej kustosz-Id? - zapytała Emma, gdy przechodziły przez obrotowe drzwi hotelu. - Przypomniałam sobie, przy jakiej okazji o niej słyszałam: dwa czy trzy lata temu pomagała Danowi w jego badaniach na temat Wersalu. Nie masz pojęcia, jak on się pasjonował Ludwikiem XIV. Prawdziwa obsesja.
- W każdym razie to dziwne, że oboje są ofiarami melatoniny. Widywali się jeszcze?
- W zasadzie nie, badania zostały zakończone - odpowiedziała Emma, unosząc brwi.

Nigdy nie zadała sobie tego pytania.

- A co do śledztwa? Są jakieś wieści?
- O ile mi wiadomo, żadnych. Policja jest przekonana, że nie ma żadnego związku między przyjętą przez Kathrin melatoniną a brutalnością, której...
- Przestań, proszę! To straszne! Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógł coś takiego zrobić.
- Wiesz, dzisiaj ludzie mają nieprawdopodobne pomysły! Czerpią je z tych wszystkich ociekających krwią thrillerów, filmów pełnych przemocy. A słyszałaś, co się przydarzyło tej kobiecie na południu Francji?
- Nie - nieuważnie odparła Emma, która usłyszała jakieś zbliżające się kroki.
- Coś straszego, czytałam przed chwilą w „Ouest France”. Sześćdziesięcioletnia wdowa, zdaje się była nauczycielka mieszkająca w Aix-en-Provence. Banda łobuzów torfowała ją w jej własnym ogrodzie: powiesili ją za ręce na Wysokim dębie, potem podpiekali na jej własnym grillu, owiali w rybacką sieć i ciągnęli wokół domu, zanim...

~ Stop! Valérie, przestań, proszę!

Emma zastanawiała się, jaką przyjemność mogła dać Valérie, kobiecie poważnej i rozsądnej, lektura kroniki wypadków. Ale nie miała czasu, żeby zadać jej to pytanie. W chwili gdy dotarły na parking naprzeciw morza, zrównała się z nimi dziennikarz, który siedział kilka metrów z tyłu. Emma nie spojrzała na niego i dalej szła szybkim krokiem w stronę plaży. Valérie odwróciła się do intruza.

- Proszę posłuchać, panie Flavia, nie może pan zostawić nas w spokoju? Widzi pan, że pani Shannon jest zmęczona! Ku ich zdumieniu Flavia odpuścił.

- Emmo, mimo wszystko musisz uważać - szepnęła Valérie. - Znam tego dziennikarza, od czasu do czasu pisuje do „L'Express”. Albo do „Liberation”, nie pamiętam już. W każdym razie jest osobą wpływową.

- Mam to gdzieś. To nie jest właściwy moment. Przypominam ci, że prasa francuska to dziś tylko jeden procent prasy światowej. Przykro mi z tego powodu.

Realizm Emmy i jej nieznośny sprzeciw ton zaskoczyły Valérie. „W jej komitetach zarządzających chłopaki muszą się bać” - pomyślała jednak z podziwem dla starej przyjaciółki z nauk społeczno-politycznych, że tak dobrze umie stawić czoło facetom. Już w tamtych czasach w Paryżu, w grupach roboczych, do których należały, miała kompleksy wobec silnego uroku, jaki rozciągała jej przyjaciółka, jakiegoś paradoksalnego magnetyzmu. Czy to były tylko pozory-Zwykła obronna taktyka, niezbędna, by wybić się wyżej? Czy nieświadomy odruch?

Jej myśli przerwał koncert klaksonów. Na parkingu naprzeciw Muzeum Lądowania stało zakleszczonych kilkadziesiąt pojazdów. Pobliskie uliczki też były zablokowane. Emma i Valérie przeszły przez parking, by dostać się na plażę.

Nagle duży motocykl, który próbował utorować sobie drogę $v^{OS}T$, samochodów, wpadł prosto na nie. Motocyklista nie jeździł szybko, ale skoncentrowany na slalomie między samochodami

danii, nie zauważył kobiet. Emma zdążyła się odsunąć. Lecz Valérie, która szła bezpośrednio przed nią, została potrącona przez kierowcę motoru. Zachwiała się i upadła na jezdnię, uderzając prawym ramieniem o chodnik.

- Ej! Co pan robi, stop! Proszę się zatrzymać! - krzyknęła Emma.

Motocyklista natychmiast zatrzymał pojazd, oparł go na stopce i podszedł do kobiet, zdejmując kask.

- Wszystko w porządku? Naprawdę strasznie mi przykro. Nie zauważyłem pani - powiedział grzecznie i spokojnie.

- W porządku.

Oparta na Emmie i motocykliście Valérie przeszła kilka kroków, masując sobie biodro.

- W porządku. Dziękuję.

- Bardzo panią przepraszam, jestem taki zmęczony. Od czterech godzin jestem w drodze. Jadę z Paryża. Tam panuje kompletna anarchia, wszystkie wyjazdy są zablokowane. Trzy godziny czeka się w tunelu Saint-Cloud. No, ale motorem przejechałem. Za to na wysokości Caen zamknęli obwodnicę. Podobnie z czteropasmówką, która idzie do Bayeux. A więc wszyscy jadą wąską drogą departamentalną.

- Ale co się stało? - zapytała Emma.

- Konwój ciężarówek zablokował autostradę. W każdym razie tak mówią we France Info. Dwie ciężarówki zapakowane plutonem. Oczywiście jadą z La Hague. Wygląda na to, że dostały się tam przez wiadukt Calix. Policja natychmiast zamknęła obwodnicę i część prowadzącej z Bayeux czteropasmówki, zakładając, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, kecz dokładnie pod mostem są zbiorniki z węglowodorem ¹ Parking dla cystern wożących paliwo! Jeśli jakiś kontener ² Plutonem spadnie, cały region wyleci w powietrze!

Zamek w Wersalu zawsze był otchłanią. Nieustannym odpływem z państwowej kasy. Za czasów Ludwika XLV spędzało to sen z powiek Colbertowi. Dzisiaj konserwatorzy urządzają oblawy na mecenasów, którzy pomogą im odrestaurować plafon, zrekonstruować boskiet, odkupić mebel...

Krótko mówiąc, wiedziałem, że nie potrzeba oficjalnych starań, aby pozwolono mi przeszukać zamek Grand Trianon. Wystarczyła piękna akcja mecenasa, jeden spektakularny gest.

Skontaktowałem się więc z Claurie. Wtedy gdy poradził mi Sztokholm, uznałem go za sympatycznego faceta. Wiedziałem, że moja propozycja przyniesie korzyść jego karierze. Szedłem prosto do celu.

- Gotów jestem dać milion dolarów na renowację bo-skietów. Ale podjednym warunkiem: że pozwolicie mi spędzić czterdzieści osiem godzin w Grand Trianon, nie zawracając mi głowy.

Wysoki urzędnik z drugiej strony słuchawki doznał szoku. Typowa reakcja w środowisku francuskiej kultury. Jak tylko zaczynasz mówić o pieniądzach, jesteś podejrzany-Idź zapytać w galerii o cenę obrazu. Uznają cię za buraka-W tym kraju mówi się o dziełach, nie o produktach. O tworzeniu, nie o pieniądzach. Albo starych frankach.

Niemniej on, inni, wszyscy! nieustannie gnają za dolarami.

Zaakcentowałem swoje żądanie.

- Chcę na dwa dni zostać zamknięty w Trianon. Milion dolarów. Chyba uczciwa umowa?
Z drugiej strony słuchawki - cisza. Zabiłem ćwieka.

- Moja oferta jest aktualna przez tydzień. W przypadku braku odpowiedzi środki na ochronę zabytków przekażę Wenecji.
Clauerie obiecał mi w końcu, że zrobi co w jego mocy. Dwa dni później zadzwoniono do mnie z Ministerstwa Kultury. Dyrektor w gabinecie ministra.

- Pan Barrett?

- Tak, to ja.

- Co do Wersalu... Clauerie opowiadał nam o tym. Mamy zgodę premiera. To nie było łatwe. Ale w porządku. Zostały wydane instrukcje. Grand Trianon jest do pana dyspozycji przez jedną noc. Dwanaście godzin, więcej nie możemy.

- Prosiłem o czterdzieści osiem godzin.

- To niemożliwe.

- Więc dwanaście godzin, ale z możliwością powtórzenia, jeśli zajdzie taka potrzeba?

- Kwota?

- Podtrzymuję.

- Ma pan naszą zgodę.

- Dziękuję panu.

- Panie Barrett, jedna sprawa.

- Słucham.

- Zna pan nasze zasady?

- Bezpieczeństwo?

- Tak, oczywiście. Będzie musiał towarzyszyć panu któryś kustosz. Ale nie o tym chciałem mówić.

- Więc o czym?

~ Prasa, panie Barrett. Z pewnością prasa zainteresuje ^{sie} motywacją mecenasa, który finansuje ogrody. Jeśli jakiś dziennikarz zada pytanie, na co w zamian zgodziło się pań-^{stwu}o francuskie, czy zgadza się pan z nami, żeby...

223

- Pozostać dyskretnym.

- Właśnie tak.

- Jestem „pasjonatem” Wersalu, „bezinteresownym” pasjonatem, czy tak? W duchu „wielkiej tradycji przyjaźni francusko-amerykańskiej”, rodziny Rockefellerów...

- Doskonale. Właśnie tak. Widzę, panie Barrett, że się rozumiemy.

I odłożył słuchawkę. *Niesamowite, jak szybko umie działać francuska administracja wobec ludzi, którzy mają środki, żeby ją ponaglić.*

Dwanaście godzin w Trianon! Krótka, lecz jest to wykonalne. Prawdę powiedziawszy, woląłem pójść tam sam. Albo z tobą. Ale nie mogłem obejść się bez Graniera: to był jego pomysł. Jeśli chodzi o Kathrin, posłuży mi za przepustkę. Clauerie zgodził się, że zastąpi kustosza, który miał nas pilnować. Gdybyśmy niechący przestawili jakiś kandelabr.

W dniu 25 września o 16.45 stanęliśmy przed Grand Trianon. Wkrótce zamykali obiekt. Nieliczni turyści zwiedzający jeszcze tę część parku właśnie opuszczali plac. Jakaś chińska para fotografowała się przed położonym na bruku pniem wielkiego dębu, dębu Marii Antoniny zasadzonego w 1683 roku za Ludwika XIV, uschłego niedawno tu, w Wersalu, w wieku trzystu lat, z powodu upałów. Z tego samego powodu zmarło wtedy we Francji piętnaście tysięcy ludzi - podawano w gazetach - czyli, pozwól, że ci przypomnę, pięć razy więcej niż 11 września. Nigdy więcej Francuzi nie powinni się wyśmiewać z amerykańskich służb publicznych.

Kathrin przyjechała o 16.44 wynajętym clio. Granier taksówką o 16.48, z trzynastominutowym spóźnieniem-Udaliśmy się do lewego skrzydła budynku, przed główn^e wejście, gdzie czekał strażnik.

- Pan Barrett.

- Tak, to ja.

224

- Gauthier, wydział parków i ogrodów. Pan Claverie prosił mnie, żebym się państwem zajął. Ale proszę się pospieszyć! Moi koledzy właśnie zamykają.

Szybkim krokiem przebyliśmy Galerię Cotelle, przed której oknami stało w gotowości dwunastu pracowników, jedni w szarych fartuchach, inni już w dzinsach i bluzach. Na mój znak każdy jedną okiennicę zamykać! W ciągu jednej minuty pięćdziesiąt metrów galerii pogrzyżyło się w ciemnościach. Zanim zapadła cisza, słychać było lekki szcęk, z pewnością wsuwanego do kieszeni klucza. Strażnicy ulotnili się w rutyniarskiej choreografii dopracowanej w każdym detalu.

- To mi przypomina historię o pilocie i urzędniku - powiedział Granier, pochylając się w stronę Kathrin. - Zna pani?

-Nie.

- Mały chłopiec mówi do swojego kolegi: „Wiesz, mój tata to najszybszy człowiek na świecie. Jest pilotem myśliwca. Lata z prędkością dwóch tysięcy na godzinę”. Drugi odpowiada: „JA ój jest jeszcze szybszy!” „Tak? A czym się zajmuje?” ^Jest urzędnikiem. Kończy pracę o 5.00, a jest w domu o 4.30”. Kathrin wybuchnęła śmiechem w chwili, gdy Gauthier wprowadzał nas do skrzydła budynku zamkniętego dla zwiedzających i zarezerwowanego dla szefa francuskiego państwa i jego znaczących gości. Minister kazał przygotować dla nas trzy pokoje. Mój wychodził na taras, z którego rozpościerał się widok na park obok Grand Trianon.

- Proszę! Do jutra rana są państwo u siebie - powiedział Gauthier, podając mi trzy klucze. I dodał, odwracając się do Kathrin: - Liczę na panią, pani Strandberg. Zna pani ^{Suj}ójzawód. Tu są bardzo kruche rzeczy i...

~ Szwedzi mają największy szacunek dla królów, pa^{-nie} Gauthier - rzuciła Kathrin, podając strażnikowi rękę. "" Proszę się nie martwić!

Granier postawił już dużą skórzaną torbę pod drzwiami swojego pokoju. Udawał jak zawsze, że jest zblazowany, ale jego oczy błyszczały jak oczy dziecka w Toys'R'Us.

- Mam nadzieję, że dostałem apartament Hillary Clinton. Nie wiedziałem, że gościli tu państwo Clinton, ale

prawdę powiedziawszy, tamta przeszłość mnie nie interesuje.

Zapytałem Graniera, dlaczego skoro był przekonany, że ukryta komnata znajduje się tutaj, nie starał się jej znaleźć.

- Oczywiście, że próbowałem - powiedział znużonym tonem - przez wiele miesięcy przemierzałem te komnaty... Na próżno. Archeologia to nuda! Ludzie, którzy spędzają lata na przekopy waniu kawałka pustyni, żeby znaleźć trzy posążki, muszą naprawdę mieć powołanie.

Czy on czuł kiedyś do czegoś powołanie? W najlepszym przypadku musiał je zmieniać, tak jak zmieniał żony.

- A poza tym nie mam pańskich środków!

- To prawda - przyznałem - dzisiaj wszystko jest łatwiejsze. Dysponujemy straszną bronią!

Wyjąłem z bagażu radar, który zabrałem ze sobą, ostatni model radaru powierzchniowego.

Urządzenie, które nie wygląda zachęcająco: przypomina szczotkę do czyszczenia dna basenu. Za to jaka skuteczność! Do wykrywania jam w ziemi lub w murach budynków nie ma nic lepszego. Zresztą kilka miesięcy temu zrobił na tobie takie wrażenie, że postanowiłaś zainwestować w OGK - niemiecką fabrykę, w której jest produkowany. I nie żałujesz włożonych środków, prawda? Co do Graniera, przyglądał się przedmiotowi szy deczo, nieszczególnie przekonany, że ma do czynienia ze straszną bronią.

Do połączonego z radarem komputera wgrałem pl^{an} zamku i podałem urządzenie Kathrin.

- Damy mają pierwszeństwo! Spróbuj pani? Cofnęła się.
- Jak to działa? - wyjąkała.
- Bez paniki! Działa samo! Proszę spojrzeć! Zaczepiłem jej pasek na ramiona.
- Trzyma pani urządzenie w ten sposób, zapasek. Skaner musi być skierowany ku ziemi. Naciska pani zielony guzik. I do przodu. Ilekroć radar wykryje jakiś zagłębienie, rysuje jego rzeźbę. A pani widzi ją tu, w okularach.
Podaliśmy jej okulary, które pozwalają zobaczyć, w trzech wymiarach, wykryte przez maszynę kształty.
- Umnie zostaje ekran kontrolny. W ten sposób ja również widzę wynik w 3D.
Granier zachichotał.
- Czy to wykrywa także krety w ogrodzie? Ale Kathrin nie miała już ochoty na żarty.
- OK, Dan. Już wiem. Zresztą właśnie widzę jakieś zagłębienie...
- To co pani widzi, to wąskie przejście. Pod Grand Trianon, na całej długości palacu, jest coś w rodzaju niskiej piwnicy, która w całości służyła za kuchnię, pralnię... Ale radar potrafi zejść dużo niżej. Proszę pamiętać o wąskim przejściu: trzeba patrzeć poniżej.
- Zgoda. A więc od czego zaczynamy?
Dobre pytanie. Była 17.30. Mieliliśmy przed sobą dokładnie jednaście i pół godziny. Wystarczająco dużo na szukanie, ale za mało, żeby wałęsać się z radarem na ramieniu. Ale jak się domyślasz już wcześniej zastanawiałem^{SI}? nad tą sprawą.
Wybrałem metodę eliminacji.
Dawna wioska Trianon w wersalskim parku jest obszerną posiadłością składającą się z wielu budynków: zamku Grand Trianon, nazywanego również Marmurowym Triaⁿn; Nowego Trianon alias Petit Trianon; świątyni Miło

ści i wreszcie osady pasterskiej królowej z fermą, oborą d/okrów, jaskinią... Ludwik XVI i Maria Antonina mieszkali w tych wszystkich budynkach. Ale nie Ludwik XLV, który znalazł tylko Grand Trianon; a to, czego my szukaliśmy, to kryjówka z jego epoki. Oczywiście istniało ryzyko, że jego następca kazał sobie zrobić nowy gabinet albo że przeniósł w inne miejsce tajne dokumenty pochodzące z XVII wieku. Ale ta hipoteza wydawała się mało prawdopodobna. Ludwik XV nie był człowiekiem z inicjatywą.

Podobnie wewnątrz Grand Trianon powinniśmy skoncentrować swoje działania na komnatach, w których mieszkał Ludwik XLV.

Zaczęliśmy sondowanie od Apartamentu Południowego, najbardziej okazałego, tego, w którym w swojej wielkiej epoce Król Słońce mieszkał najczęściej i najdłużej. Tam udaliśmy się do Salonu Lustrzanego - dawnego wielkiego gabinetu króla, w którym zbierali się członkowie jego rady. Wspaniały pokój, z jasnoniebieskimi fotelami tapicerowanymi jedwabnymi lampasami oraz cudownym widokiem na Wielki Kanał.

Ale nie było czasu na podniewanie krajobrazu. Interesowała nas ziemia. Sprawdzanie podłóg, jeden metr kwadratowy po drugim, zajęło nam dobre dwie godziny. Nie mieliśmy praktyki i za każdym razem gdy napotykał się na puste obszary, zagłębienia, jamy oraz przeszkody, zatrzymywaliśmy się na długo. Żadna dziura nie miała jednak rozmiarów podziemnego pokoju.

Przeszliśmy następnie do sypialni króla jednego z najpiękniejszych pomieszczeń w pałacu. Jej kolumny i boazerie ozdobiono kunsztownie wyrzeźbionymi złotymi symbolami Apollina. Stojąca na komodzie anachroniczna waza z porcelany z Sèvres, z wizerunkiem Napoleona w ogf^o ~ dach zamku Sans-Souci w Poczdamie, wywołała u Kathn⁷¹ okrzyk entuzjazmu.

- Nie wiedziałem, że jest pani fanką cesarza - rzuciłem, me ustając w moich wirtualnych i metodycznych poszukiwaniach.

Młoda kobieta nie odpowiedziała. Pomimo zachwyty wazą nie „czuła” tej komnaty i po upływie godziny, nie czekając, aż skończę, ruszyła do kolejnej - Salonu Kaplicy, który w 1691 roku został przekształcony w królewski przedpokój. Ze względu na gzyms, ozdobiony kiściami winogron i kłosami pszenicy, oraz przedstawiające ewangelistów obrazy ta dawna kaplica zachowała wygląd pomieszczenia przeznaczonego na modlitwy. Drzwi w głębi otwierały się na wnękę, w której umieszczono ołtarz. Dawniej, po zakończeniu mszy, drzwi zamykano.

- Oto idealne miejsce, by ukryć wejście do podziemnej komnaty! - zawołała Kathrin. - Chodźcie szybko!

Spędziliśmy tam jeszcze około dwóch godzin, osłuchując podłogę i ściany. Kathrin zostawiła sobie okulary, które wykryty przez radar obraz pokazują w kolorze i3D. Ja zaś obserwowałem kontrolny ekran na połączonym z urządzeniem komputerze. Granier, który musiał czuć się wyłączony, opisywał za moimi plecami postęp badań. Mówił jak komentator sportowy podczas meczu piłki nożnej: „uda się, jeszcze trochę cierpliwości”, „tym razem prawie się udało...”, -to nie może umknąć naszej uwadze” i tak dalej. Przyznam ■» że jego ironia psuła mi przyjemność, i w końcu przywołałem go do porządku.

Okolo drugiej w nocy mieliśmy przesondowane dopiero P¹?ćpomieszczeń, nie znalazłszy żadnego śladu zagłębienia. Zostało nam już tylko sześć godzin.

- Zróbmy sobie dwadzieścia minut przerwy - zaproponowałem. - Chodźmy się ochłodzić i coś przegryźć.

Granier westchnął z ulgą, nim jeszcze skończyłem zdanie.

- Kazalem dostarczyć tace do naszych pokoi. Od Fau-chona.

- Mógł pan wybrać Lenôtre'a - zażartował powieściopisarz.
Teraz już wiesz, skąd mój dużo późniejszy pomysł zabawy słowami...
W ciszy doszliśmy do skrzydła Trianon-sous-Bois. W chwili gdy się rozstawaliśmy, przed moim apartamentem Kathrin Strandberg znieruchomiała. Moje drzwi były już otwarte, więc pomyślałem, że chce mi oddać radar, który niosła zawieszony na pasku.
- Do zobaczenia, Kathrin - rzekłem. - Maksymalnie kwadrans?
Lecz ona nadal milczała ze wzrokiem utkwionym w wazie z Sèvres, stojącej na gerydonie przy wejściu do mojego pokoju.
Przez ułamek sekundy sądziłem, że szuka pretekstu, by wejść do mnie. Często dawałaś mi do zrozumienia, że mężczyźni są zarozumiali.
- Kathrin, powiedziałem „do zobaczenia” - powtórzyłem.
Żadnej reakcji. Teraz ja spojrzałem na przedmiot, który ją tak zafascynował. Jeszcze jedna porcelanowa waza przedstawiająca Napoleona. Zastanawiałem się, co ona w niej widzi, bowiem nie było w niej nic oryginalnego: ponieważ meble Burbonów zostały rozgrabione podczas Rewolucji, większość sprzętów w Trianon pochodzi z czasów Cesarstwa.
- Kathrin, ten człowiek rzeczywiście panią fascynuje! Młoda kobieta odwróciła głowę w moją stronę.
Potem jej wzrok znowu skierował się na wazę.
- Cesarz też - szepnęła.
- Co ma pani na myśli?
- Nic, Dan. Muszę się zastanowić. Ruszyła wyłożonym filcem korytarzem.
- Ej, albo mówi pani za dużo, albo za mało!

- Dan, proszę mi dać dwie minuty. Niech pan weźmie radar. Trzeba go naładować. Wszedłszy do pokoju, zdjęłem buty, podłączyłem akumulator od radaru i odruchowo włączyłem telewizor. Ale szybko ściszyłem głos. Byłem sfrustrowany. Pomimo środków technicznych, którymi dysponowaliśmy, osiągniemy prawdopodobnie ten sam rezultat co Granier swoimi domowymi sposobami. Czyli żaden. W tym tempie nie uda nam się przepuścić przez sito piętnastu pomieszczeń. A taki był mój cel.

Jak przyspieszyć ten proces? Jak uniknąć sondowania po kolei wszystkich zakątków zamku? Właśnie włożyłem głowę pod kran w łazience, aby rozjaśnić trochę umysł, gdy usłyszałem pukanie do drzwi.

- Chwileczkę!

- Dan, to ja, Kathrin! -A... proszę wejść, otwarte.

Kiedy wróciłem do saloniku, wycierając włosy ręcznikiem, młoda kobieta chodziła przed gerydonem w stylu empire, którego blat ozdobiono orszakiem muz. Położyła na nim swojego laptopa. A obok latarkę.

- Dan, przepraszam, że pana nachodzę, ale...

- Co jest?

- Niech pan zobaczy!

Kathrin Strandberg pokazywała palcem ekran, nie zaszczyciwszy mnie nawet spojrzeniem. Czulem jej determinację. Jej wesoły nastrój gdzieś zniknął. Jaką posiadała mformację, która mnie umknęła?

- Dan, proszę popatrzeć!

Mimo zmęczenia jej oczy błyszczały. Poczulem z bliska słodki zapach jej włosów. W tym momencie, przyznam ci ^{Stle} to ja się zawahałem. Zostało nam kilka godzin w Tria⁻ⁿoⁿ. Mając do wyboru dalsze poszukiwania w komnatach ¹ skorzystanie z królewskiego apartamentu z tą uroczą

*dziewczyną... Ale znasz mnie. Najpierw robota. Marilyn może iść się ubrać.
A zresztą, jeśli mam być szczerą, Kathrin nie dała mi wyboru.
Młoda kobieta przykucnęła przy gerydonie i położyła dłonie na klawiaturze komputera. Stałem z założonymi rękoma, z niecierpliwością wpatrując się w niebieską poświatę ekranu, która odbijała się na jej twarzy. Energicznie zaczęła uderzać w klawisze. Zobaczyłem, jak pojawia się plan Trianon, a po nim następny, nakładając się na ten pierwszy.
Oświetlone na zielono pomieszczenia pojawiały się na ekranie. Kathrin, tak jak ja, zapisała w pamięci laptopa całą dokumentację na temat zamku Trianon, jego historii, umeblowania, mieszkańców w kolejnych wiekach.
- Grand Trianon... Mały apartament Napoleona... Proszę... Gabinet! To tutaj!
Udałem, że się denerwuję.
- No dobrze, Kathrin, może mi pani wyjaśnić? Poprosiła mnie gestem o cierpliwość.
- Jeszcze sekunda, zaraz będzie! O, już... Wskazała na jedno z pomieszczeń podświetlonych na ekranie na zielono.
- To tam znajduje się tajna komnata, jestem tego pewna!
- Dlaczego w tym pomieszczeniu? Z czego to pani wnioskuje?
Znasz mnie, w takich okolicznościach wykazuję kliniczną trzeźwość umysłu.
- Dan, Napoleon też szukał ukrytej komnaty. I można przypuszczać, że ją odnalazł.
- A dlaczego? Skąd to pani wie? Nagle zamknęła komputer i poderwała się na nogi.
- Pokażę panu, będzie szybciej. Proszę iść ze mną!
- Ale przecież...*

- Niech się pan pospieszy!

- Chwileczkę, ja...

- Proszę wziąć radar! To nie potrwa długo.

Już dawno nie byłem tak ślepo posłuszny kobiecie. Wyszedłem na korytarz i pobiegłem za nią z mokrymi włosami i ręcznikiem na szyi. Granier usłyszał nasze kroki i wyjrzał z pokoju. Był zaskoczony.

- Co się dzieje? Dokąd idziecie?

- Nie wiem, ale najwyraźniej Kathrin wie - odparłem. Młoda Szwedka jeszcze bardziej przyspieszyła kroku,

trzymając w jednej ręce latarkę, a w drugiej komputer.

Znowu mijaliśmy długą Galerię Cotelle. Kiedy przechodziłem wzdłuż szeregu dwudziestu czterech obrazów przedstawiających wersalskie ogrody, zobaczyłem, że Granier mnie wyprzedza, i usłyszałem, jak rzuca w kierunku Kath-rinfalszywie nauczycielskim tonem:

- Wie pani, że to tutaj czwartego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego roku Clemenceau podpisał traktat w Trianon, który przypieczętował los cesarstwa austro-węgierskiego?

Jeśli powieściopisarz chciał zabłysnąć, to na próżno się starał. Pani kustosz odparowała:

- Chce pan powiedzieć: dyktat z Trianon? Tak go nazwali Węgrzy. Tego dnia stracili dwie trzecie swojego kraju! I proszę mi wierzyć, nadal mają to Francuzom za złe.

- Teraz mnie pani zadziwiła! Powiem, by panią zaprosili do programu „Pytania dla mistrza”. Julien Lepers to mój dobry kolega.

Kiedy byliśmy na środku galerii, położyłem rękę na ramieniu młodej kobiety, nie tyle, żeby wolniej szła, ale by odzyskać poczucie, że to znowu ja kieruję działaniami.

~ Kathrin, czy może mi pani wreszcie powiedzieć, do-^kQd idziemy? Po co ten pośpiech?

Zatrzymała się.

- Dan, mogliśmy pomyśleć o tym wcześniej. -Ale o czym?
- Napoleon, Dan, Napoleon! Wie pan, że miał obsesja na punkcie swojego rodowodu. Po ślubie z bratanicą Marii Antoniny mówił o Ludwiku XVI, nazywając go swoi „świętej pamięci wujem”!
- Niektórzy posunęli się jeszcze dalej, doszukując się jego pochodzenia od Człowieka w Żelaznej Masce, brata bliźniaka Ludwika XLV...
- Napoleon potomkiem Ludwika XIV, wszyscy znają te brednie! - roześmiał się Granier.
- Brednie? Nikt nigdy nie udowodnił, że to prawda, ale też nikt nigdy nie wykazał, że to fałsz...
- W pierwszym odruchu chciałem pozwolić, żeby wypruli sobie nawzajem flaki. Ja znalazłem część tej historii. A raczej legendy. Albo też tezy. Wysunięte przez kilku zafascynowanych cesarzem genealogów. Kiedy Człowiek w Żelaznej Masce siedział zamknięty w więzieniu w Pignerol, na południowym wschodzie Francji, miał się zakochać w córce dozorczy więzienia. Przekonał ją, żeby mu się oddała. Będąc w ciąży, przepłynęła się przez Morze Śródziemne i schroniła na Korsyce. Tam wyszła za jednego z notabli, któremu urodziła dziesięcioro dzieci, nigdy nie wyznając, że najstarsze nie jest jego dzieckiem, lecz Burbonem, bratankiem Ludwika XLV.
- Kathrin, naprawdę pani wierzy, że nieślubny syn Człowieka w Żelaznej Masce jest...
- Przodkiem Bonapartego? To nieistotne, najważniejsze, że cesarz mógł w to wierzyć!
- Zaczynałem domyślać się, do czego zmierza pani kustosz. Jeśli istnieje jakiś dowód pokrewieństwa między cesarzem a Burbonami, znajduje się on w skrytce, której szukamy. Skoro Napoleon tak często przyjeżdżał do Trianon, robił to dlatego, że sam również szukał tu tych ukrytych a chiwów. Musiał być przekonany, że zawierają dokument

na temat Człowieka w Żelaznej Masce. Pisma, które dowodzą jego pokrewieństwa z królami Francji!

- Napoleon przyjeżdżał do Trianon, żeby szukać ukrytych archiwów królewskich? Kathrin, pani naprawdę w to wierzy?

- Przyjeżdżał często, żeby spotkać się z Józefiną. Granier wrócił do rozmowy, żeby pokazać swoją wiedzę. Pisarz był fałszywym dyletantem.

- Brawo, Jean-Philippe! Niczego nie da się przed panem ukryć!

Prowokacyjne oczko puszczane przez Kathrin do Graniem rozdrażniło mnie. Jak każdy wielbiciel historii Francji wiedziałem, że Napoleon nie lubił Wersahu. Za każdym razem gdy tam przyjeżdżał, nie spał w zamku, lecz tutaj, w Grand Trianon. Za pierwszym razem rzeczywiście miał ku temu powód. Było to na Boże Narodzenie 1809 roku. Właśnie odtrącił Józefinę de Beauharnais, lecz jeszcze ją kochał, zaś Trianon miał tę zaletę, że znajdował się niedaleko zamku Malmaison, ich dawnej „weekendowej rezydencji”, gdzie zamieszkała Józefina. Ale później cesarz często wracał oficjalnie do Trianon, ponieważ Maria Luiza uwielbiała to miejsce, tak drogie jej ciotce Marii Antoninie. W marcu 1813 roku, przed powrotem do Niemiec, spędził tu nawet dwa tygodnie wakacji z nią oraz ich synem. Trochę był to Jego rodzinny zamek.

Szybko uciąłem gruchanie towarzyszy.

-Ale dlaczego Napoleon miałby wiedzieć lepiej od nas, że ukryte archiwa znajdują się w Trianon? Przecież nie miał Pamiętników księżnej de Cadaran!

- No właśnie, Dan, on miał coś lepszego! - zawołała Kathrin.

-Co?

- Gouerneta! Napoleon z pewnością spotkał Gouerneta! Lub jednego z ludzi, którzy razem z nim zamurowali

podziemne wejście... Niech pan nie zapomina, że Bonaparte żył w czasach Ludwika XVI!
Granier wznosił oczy ku niebu, tak jakby Kathrin właśnie obwieściła rzecz oczywistą.
Ja miałem już dość lekcji historii.

- OK, Kathrin, OK... Załóżmy, że Napoleon wiedział, że tajne archiwa znajdują się w Trianon. Oraz że Gouuer-net wskazał mu miejsce kryjówek. Sądzi pani, że pozostałoby to tajemnicą? I że Napoleon pozostawiłby tu wszystkie dokumenty?

Przyjąłem oschły ton, którego używam na zebraniu, gdy chcę, żeby się już skończyło.

- Niczego nie mogę przysiąc - odparła Kathrin w tym samym rejestrze.

- Więc dlaczego nas pani tu przyprowadziła?

- Intuicja, Dan.

- Ale jak chce pani...

Dotknięta do żywego Kathrin odwróciła się do mnie plecami i ruszyła dalej galerią, otwierając po drodze swój komputer. Na ekranie ponownie pojawił się plan Grand Trianon, który wcześniej oglądaliśmy w moim pokoju.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Kathrin po chwili wahania. - Dan, może mi pan potrzymać komputer?

Kathrin oświetliła pomieszczenie po prawej stronie, do którego prowadziły duże drewniane drzwi. Szedłem za nią, patrząc jednocześnie na ekran komputera. Ładny rysunek Trianon, trójwymiarowy, z nałożoną nazwą oświetlonego na zielono pomieszczenia - Salonu Malachitów. Na~ gle, u dołu ekranu, spostrzegłem ikonkę. To ona zarządzała funkcją „szukaj” w programie. Kliknąłem. Pojawiły się dwa imiona: Napoleon. Ludwik XLV.

Nagle zatrzymałem się.

Właśnie zrozumiałem tok myślenia Kathrin, który Ja tu przywiódł. Kustoszka zaznaczyła w swoim program¹⁶

pomieszczenia, w których obydwaj władcy mieszkali! Obsesja cesarza, by udowodnić swoje pochodzenie, była tak wielka, że z pewnością przyjeżdżając do Trianon, wybierał na swój pokój miejsce zajmowane wcześniej przez Ludwika XLV, jak najbliżej ukrytego pokoju. Jeśli dokumenty, których szukamy, gdzieś tu się znajdują, to w jednym z tych pomieszczeń, w których w jakimś sensie władcy mieli wspólną historię.

- Panowie, Salon Malachitów! Jedyne pokój w Grand Trianon, gdzie cesarz i Król Słońce mieli wspólne przyzwyczajenia.

Kathrin uśmiechnęła się jak gwiazda. Przed nami lśniła duża misa w kolorze szmaragdu. Kathrin skierowała lampę w stronę blatu stołu po naszej prawej stronie, potem na obie wazy. Wszystko z malachitu, syberyjskiego kamienia ofiarowanego cesarzowi przez cara Aleksandra I.

- Dalej! To tutaj trzeba szukać!

Gravier nic nie mówił, a więc zgodnie ze starym powiedzeniem, zgadzał się. Kustoszka skończyła mówić, ale ja miałem jeszcze jedną wątpliwość.

- Jeśli Napoleon znalazł kryjówkę, możliwe, że ją opróżnił.

Kathrin pokręciła głową.

- Nie ma pewności! Mógł zabrać dokumenty, które go interesowały, a resztę zostawić. Albo tylko do nich zajrzeć. A ponieważ nie szukamy tego co on... Jedno jest pewne, że nie znalazł nic, co mogłoby udowodnić jego pokrewieństwo z królami. Gdyby było inaczej, wiedzielibyśmy o tym! Ale być może położył łapę na dokumentach dotyczących Ludwika XVI... Oraz innych, które go mniej interesowały, jak nasz Pian ogrodów, prawda, Don? Nie zdziwiłabym się, gdyby ^Zfascynowała go możliwość schowania własnych tajemⁿc razem z tajemnicami królów Francji, bo po raz kolejny ^Pisałby się w ich historię!

Kathrin triumfowała. Przeczesywała swoją lampą Salon Malachitów, odkrywając po kolei kolejne skarby. Dwa obrazy sygnowane przez Charles'a de La Fosse'a - Apollo i Tetyda oraz Klytia zamieniona w słońce. Dwa rzeźbione lustro, umieszczone tu jej zdaniem przez księżnę de Bourgogne, która zrobiła z tego miejsca swoją sypialnię. Wspaniałe meble Jacoba-Desmaltera: fotele z pozłacanego drewna pokryte purpurowym adamaszkiem i wykończone bordiurą ze złotego brokatu, dopasowaną do podwójnych zasłon.

Pamiętasz żarty naszych znajomych z Kalifornii, kiedy opisywałem im pasję Francuzów do tych złoci, kandelabrow, spiralnych nóżek czy berżer? Zakurzone. Stare. Nudne. Ci, którzy żyją w metalicznej szarości, lustrzanej czerni, pikselach i plazmie, nie mogą tego zrozumieć. Willy, który jest socjologiem, powiedział mi kiedyś, że Francuzi lubią otaczać się welurem oraz strasem, aby uciec przed codzienną, niepokojącą rzeczywistością. Chowają się w świecie królowych przed swoim światem pełnym problemów.

Podszedłem do kominka, by przyjrzeć się Apollinowi i Tetydzie. Granier mnie wyprzedził.

- Apollo, znowu Apollo! Nawet w swoim pawilonie na przedmieściu Ludwik XLV nie umiał wyzwolić się od tego uzależnienia!

Już miałem zaprotestować. Przeszkadzały mi te lekceważące monarchę słowa - nawet mnie, Amerykaninowi- Jak się bywa u Ludwika XLV, człowiek się przywiązuje! Pomyślałem sobie, że Granier, który pisał kroniki zarówno dla lewicowych, jak i prawicowych gazet, z pewnością jest anarchistą. Ale się powstrzymałem.

- No dobrze, nie traćmy czasu. Zaczynamy? Kathrin wyjęła radar. Zaczęliśmy od sondowania kominka.

- W powieściach kominki otwierają się na ukryte kom' naty, prawda?

238

Najwyraźniej Granier nie mógł powstrzymać się od ironizowania. To było męczące. Przez siedemdziesiąt minut, z zegarkiem w ręku, badaliśmy podłogę i ściany Salonu Malachitów. Kathrin przykładała radar do ścianek i podłóg. Towarzyszyłem jej, śledząc ekran kontrolny. Ale mimo naszych wysiłków i całego jej zapału nie pojawił się żaden sygnał. Kathrin rzuciła okulary na ziemię i bliska płaczu osunęła się na parkiet.

- Wybaczcie mi, ale naprawdę sądziłam, że...

Jej nagłą słabość spowodowała u mnie obniżenie poziomu adrenaliny - i przebłysk geniuszu. Podszedłem do jej komputera.

Menu: Edycja. Funkcja: Szukaj. Znałem tę melodię.

Skoro program umożliwiał krzyżowanie „intymnych” pokoi cesarza z pokojami Ludwika XIV, powinien również zidentyfikować pokoje wspólne dla historii Napoleona i Madame de Maintenant. Droga dama - morganatyczna małżonka wielkiego króla - była tak bardzo związana z Ludwikiem XLV, że można równie dobrze myśleć, iż to u siebie schowała tajemnice monarchy.

Program natychmiast odpowiedział: jedynym miejscem, w którym Madame de Maintenant i Napoleon kolejno niieszkali, był prywatny gabinet cesarza. Dawna sypialnia królewskiej Egerii. Tym razem to ja ruszyłem przodem. Przebiegłem przez °krągły salon, łazienkę Napoleona i sypialnię Ludwika XV. Kathrin i Granier zadyszeli się, podążając za mną. Kiedy dotarłem do gabinetu cesarza, zatrzymałem się przed obitymi clonym adamaszkiem ścianami. I znowu, co za obfitość obrazów związanych ze słońcem! Apollo i Sybilla, Apollo¹ Hiacynt, Bogini Zwycięstwa wieńcząca czoło Apollina, Od-poczynek Apollina znowu Apollo i Tetyda...

- Dobry znak, co?

Podeksytowany podszedłem do kominka. Pokryty był złotymi ozdobami, nad nim umieszczono lustro i wypchaną głowę jelenia. Kathrin dopasowała okulary na nosie, ja tymczasem włączyłem kontrolny ekran. Teraz byliśmy gotowi do działania.

- Patrzcie! Tu jest jakieś zagłębienie! - zawołała.

Niebieskie tło ustąpiło miejsca trójwymiarowemu rysunkowi - czerwony kanał, na początku wąski, potem szerszy. Obniżał się na długości pięciu, sześciu metrów. Potem kompletna ciemność.

Wyświetliły się rozmiary zagłębienia: przy wejściu tylko pięćdziesiąt centymetrów, dalej metr sześćdziesiąt. Wąska podziemna kiszka. Ale nie prowadziła do żadnego pomieszczenia: kończyła się nagle, jakby zamkniętą ścianą.

Granier rzucił zabójcze zdanie.

- To zatkana jama! Przecież wam mówiłem! Wszędzie są takie serowe dziury. Po prostu dziury, które zostały wyeksploatowane i zamknięte.

Skierowałem radar na jego żołądek. A raczej na stojący na kominku zegar wahadłowy Bailly.

„Przecież wam mówiłem”...

On, który nigdy niczego nie znalazł, mógł sobie mówić.

Ja byłem pewien, że jesteśmy w dobrym miejscu. Kryjówka jest tam, za tą ścianą, czułem to. W każdym razie to normalne, że została zamknięta, ponieważ Gouuernet dostał polecenie, by zamurować do niej dostęp. Problem w tym, że albo ściana była bardzo gruba, albo zbyt głęboka.

Radar nie przechodził. Ale ukryta komnata tam była, dałbym sobie rękę odciąć. Skoro Granier w to nie wierzy, niech sobie nie wierzy. Gorzej dla niego: może usiąść na swoich pięćuset tysiącach dolarów nagrody.

Kathrin usiadła z założonymi rękoma na gerydonie-Miała zmęczone oczy.

- Pójdę się położyć. Noc przynosi radę - westchnęła, podając mi radar.

- Idę z panią - powiedział Granier. Powieściopisarz nie miał zmysłu do interesów, ale miał cholerny refleks.

- Dobrej nocy! - rzuciłem. - Dołączę do was później. Mam ochotę skorzystać jeszcze trochę z pobytu w tym miejscu...

Nie była to zupełna nieprawda: nigdy nie miałem czasu, żeby obejrzeć wszystkie dńewiętnaście królewskich komnat w Grand Trianon. Widziałem je tylko razem z tobą, i to biegiem, za kohortą Japończyków, w czasach gdy nie byliśmy jeszcze w stanie docenić ich bogactwa. I dzisiaj, z nosem przy ziemi.

Ale w rzeczywistości miałem przede wszystkim ochotę do ciebie zadzwonić. Tego ranka znalazłem od ciebie wiadomość. „Dan, jest coś, co mnie gryzie w tekście księżnej, który mi wysłałeś... Zadzwoni do mnie”.

Tyle że biorąc pod uwagę różnicę czasu, która przeszkodziła mi zadzwonić do ciebie popołudniu, i późniejszy pęd, nie mogłem do ciebie zadzwonić wcześniej.

Jednak to ty - i jestem pewien, że nie zapomniałaś o tym - po raz drugi odblokowałaś sytuację.

Najpierw kazałaś opowiedzieć sobie o nocy, którą właśnie spędziliśmy w Trianon. A kiedy doszedłem do zakończenia - zamknięty otwór pomimo mojej pewności, że właśnie tam znajduje się gabinet - zawołałaś triumfalnie:

~ Dan, to się trzyma kupy!

~ Co masz na myśli?

~ Pamiętasz zakończenie akapitu? Kiedy księżna pisze: "Hrabina zapewniła mnie, że potrzebował niecałej godziny, ^{2^o}y zamknąć podziemny dostęp"?

- Czekaj...

Szybko wyświetliłem tekst na komputerze.

- Tak, i co?

241

- Przyjrzyj się temu zdaniu? Nic cię nie uderza? Czytałem je z pięćdziesiąt razy. Już nic nie mogło mnie uderzyć.
- Popatrz jeszcze. Nie widzisz, że między „dostęp” a „podziemny” jest puste miejsce?
- Puste miejsce? Ależ tam jest pełno pustych miejsc! Wkażdej linijce brakuje fragmentów zdań albo prawie...
- No właśnie! Ale nigdy nie mówiliśmy, że w tym miejscu brakuje jakiegoś wyrazu! Rozumiałem twoją uwagę, ale nie wiedziałem, do czego zmierzasz. Naciskałaś:
- Zastanów się! Co może stać między „dostęp” a „podziemny”?
- Nie wiem... Nie mówię po francusku tak dobrze jak ty! W każdym razie nie ma tam dużo miejsca. Więc tylko jeden wyraz. I do tego krótki...
- No właśnie. Dan! Jest tylko tyle miejsca, żeby tam wstawić przyimek. A w tym przypadku są tylko dwie możliwości: „au” oraz „du”. Co wychodzi na to samo!
- Nie dałem ci dokończyć. Właśnie zrozumiałem.
- Hrabina nie mówi o podziemnym dojściu, lecz o dojściu do podziemia! A to oznacza, że nie istnieje tylko jeden sposób dostania się do ukrytego pokoju, lecz dwa: kieszka musi gdzieś mieć drugie wyjście!

W Gold Beach stan wody był niski, odsłaniając olbrzymie betonowe barki - pozostałości Portu Winston, sztucznej redy zbudowanej przez alianów do lądowania. Emma lubiła to miejsce, które w odróżnieniu od wszystkich nadmorskich miejscowości nie zostało skolonizowane przez biura nieruchomości. Lubiła wspiąć się ścieżką na wysoki brzeg klifu i z góry patrzeć na schowane pod dachówkami miasteczko. Czy też powoli iść w stronę wody, na spotkanie przypływu, który ukrył się gdzieś na horyzoncie.

W miarę jak oddalała się od parkingu, dźwięk klaksonów zacierał się, zastąpiony chrapliwym krzykiem mew. Doszedłszy do miejsca, gdzie piasek był wilgotny, zdjęła buty i wzięła je do ręki. Czowała pod stopami chłodną piaseczkę cienkiej warstwy wody, która nadawała plaży wygląd woskowanego parkietu; pod piętami czuła ukłucia zgrzytających resztek muszli. Gdy oddalała się, mając za plecami wysoki brzeg przylądka Manvieux, coraz trudniej odróżnić było brzeg, który morze zostawiło z tyłu.

Emma doszła do granicy fal i zatrzymała się. Stąd słyhać było już tylko uderzenia niesionych przez morską pianę kamieni i muszli. Od czasu obejrzenia filmu Spielberga *Sze-regowiec Ryan* cały ten obraz wydawał jej się wzruszający. Już nigdy nie mogła przejść plażą w Normandii, nie mając Przed oczyma rozszarpanych żołnierzy, ciał podziurawionych ^{Serią} artyleryjską rankiem 6 czerwca 1944 roku. Pierwsze pół

godziny filmu wywołało u niej skrajny niepokój. Dalsza część raczej rozdrażniła. Łzawa, hollywoodzka, przewidywalna. Chociaż tak naprawdę to nie sama fabuła wprawiała ją w zły nastrój. Brad zaczepiał ją na ten temat, próbując znaleźć psy. chologiczne powody jej reakcji odrzucenia. I jak zwykle nie omieszkał dokonać porównania z Rebeccą: tak bardzo chciał, żeby powiedziała prawdę swojej córce...

Rozzłościła się. Obiecała, że powie wszystko, gdy Rebeccą skończy osiemnaście lat. Ale nie wcześniej. Dlaczego Brad tak się spieszył? A poza tym co on mógł wiedzieć o jej matczynych uczuciach? Kiedy się poznali, miał już dwoje dzieci i nigdy nie nalegał, żeby mieć kolejne. Co jej zarzucał? Nie-wrażliwość na śmierć dziecka?

Często mówiła o śmierci, ale nie z Bradem. Z Barettem. Emma twierdziła, że coś po śmierci istnieje. Dan twierdził, że jest agnostykiem. Używając „wyrażeń z zakresu przyznawania środków pieniężnych - rzekł do niej któregoś dnia - religia nie jest zbyt wydajna. Są bardziej pożyteczne rzeczy do robienia w niedziele niż chodzenie do kościoła". Co myśli o tym dzisiaj? Gdzie jest? Czy teraz, gdy już wie, co jest po, zmienił zdanie? Emma wspomniała ich ostatnią rozmowę na ten temat. To było w Ushuaia, w Argentynie, kilka miesięcy po narodzinach jego córki Mary. Zawsze był przekonany, że w ludzkim umyśle nie ma niczego, co pewnego dnia nie mogłoby zostać sprowadzone do roli programu komputerowego, rozłożonego na układ zero-jedynkowy.

- A uczucia, uczucia matki wobec dziecka? - odparowała Emma. - Teraz lepiej je rozumiesz, jestem tego pewna.

Barett nawet nie mrugnął.

- Pewnego dnia będzie można rozebrać na części ludzki umysł, tak jak rozbiera się program. Ale masz rację, wtedy prawdziwe pytanie dotyczyć będzie celowości istnienia tego „programu”. Dlaczego został stworzony? W jakim celu powstał? Kto go utworzył?

I podsumował jednym z tych zagadkowych zdań, które Emma uwielbiała, bowiem otwierały drzwi do innej dyskusji, do której przechodzili później.

- Czasami gdy obserwuję ludzki umysł, ogarniające mnie zdziwienie jest bliższe żarliwości religijnego uczucia niż naukowej analizie.

Emma opuściła wzrok na piasek, a łzy płynęły po jej policzkach. Wreszcie łzy! Ze swego rodzaju ulgą próbowała na ustach ich słony smak. Nie panowała nad sobą. Chciała zatać tę ogarniającą ją falę smutku, ale nie potrafiła. Przez chwilę zawahała się, czy nie pójść rzucić się w fale, pozwolić pogrążyć się ciężkiej pieszczocie słonej wody. Zdecydowała jednak usiąść na skale, podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękoma i ukryła twarz. Łzy ginęły w fali przybojowej, topiąc jej smutek w morskiej pianie. Siedziała tak pół godziny przybita, pozwalając swemu ciału wyrzucić z siebie smutek.

Kiedy odzyskała świadomość, morze było jeszcze dalej. Zeszła na dół i wzięła w palce miniaturowe kolorowe muszeczki lśniące w słońcu. Miała wilgotne oczy. Czula niejasno, że jedyny sposób na to, by nadal kochała Dana, to oddanie mu sprawiedliwości. Z pewnością przewidział to, co się teraz dzieje. Barrett był taki ostrożny. On, który ustanowił w Controlware zasadę przechowywania w kasie całorocznych przychodów, aby móc stawić czoło wszelkim problemom. Ten człowiek nie mógł zapomnieć o tym, żeby zostawić gdzieś albo komuś klucz od tylnych drzwi. Ale komu?

A jeśli mimo wszystko to ona go posiada, choć nie jest tego świadoma? Ona, której pamięć potrafi być tak kapryśna, zdolna zarejestrować tysiące liczb i danych statystycznych, ale czasem zapomnieć jakieś nazwisko, twarz lub epizod swojego życia? Kiedy - a przede wszystkim jak - Barrett mógłby rozmawiać z nią o backdoorze? Bez przerwy wraca-TM myśli z dzisiejszej nocy. Tak jak obrazy, obrazy z telewizji,

którą włączyła o drugiej w nocy, nie mogąc zasnąć. CNN na okrągło nadawała reportaże o Barrecie, „nekrolog” - jak mówią dziennikarze. Przedstawiono w nim kilka scen z życia właściciela Controlware: z matką, jako dziecko, które nazywała imieniem z dzieciństwa „Treo”; dalej z pierwszymi dwunastoma pracownikami firmy, wszyscy długowłosi i brodaczy - oprócz niego; i wreszcie dyrektor generalny, w swoim gabinecie, spartańskim pomieszczeniu przystrojonym kilkoma zdjęciami: mikroprocesora Pentium, Einsteina i Henry'ego Forda, Amelii i dzieci, Emmy razem z nim - zdjęcia zrobione podczas podróży służbowej do Chin. A obok portret Ludwika XIV. Oczywiście z reportażu Emma nie dowiedziała się niczego nowego.

Nic jej nie zaskoczyło, może oprócz tej krótkiej sceny, gdy widać Dana Barettę w Wersalu podczas wystawnej kolacji zorganizowanej w Galerii Zwierciadlanej przez Stowarzyszenie Amerykańskich Przyjaciół. Emma pamiętała tę uroczystość, Barett jej o niej opowiadał. Należała do niezapomnianych, nawet dla przyzwyczajonego do spotkań z wielkimi tego świata Amerykanina. „Goście”, w większości mecenasi zamku, zapłacili tego wieczoru dziesięć tysięcy dolarów za miejsce przy stole. Barett został posadzony obok księżnej Kentu, Steve'a Rockefellera (prawnuka Johna, rzeczywiście pierwszego wielkiego mecenasa Wersalu) i magnata prasowego Malcolma Forbesa. Żyrandole z galerii oświetlały zimny cień sadzawek na Północnym i Południowym parterze. Stojące wokół posągi były P°d' świedone. A jakiś współczesny artysta wytoczył promieniann światła cały Tapis Vert, aż do fontanny Apollina. Widok był imponujący, jak cały wieczór... i zawartość talerza. *Soczysty miecznik na posłaniu z kabaczków iprzepiórczychjaj. Mah' nowa Wenus z waniłą z Madagaskaru, itd. Trudne do zrozumienia. Posilek podpisany przez Pierre'a Gagnaire'a, a desery ostemplowane Lenôtre. „Ten Lenôtre to naprawdę klasa, Emmo, gdybyś to widziała! - wykrzykiwał Barett - który zresz*

tą wcale nie lubił deserów - opowiadając swojej przyjaciółce o kolacji. „Sztuka na talerzu! Kompozycja, nic innego, tylko kompozy⁶J³> nawet sobie nie wyobrażasz! Tacy faceci mają nie tylko zmysł kulinarny, ale również poczucie piękna. A piękno, ^iesz o tym, Emmo, jest tym, co uratuje świat. Tacy faceci jak Gagnaire czy Lenótre - mówię ci - pewnego dnia uratują świat - mówil dalej z przesadą. - Emmo, powtórz, proszę, po mnie! Lenótre uratuje świat! Nigdy o tym nie zapomnij!”

Emma nadal słyszała, jak to zdanie rozbrzmiewa w jej uszach. Jedno z tych ciekawych zdań, typowych u Baretta, kiedy zaczynał bredzić. Zresztą była to jedyna chwila, gdy Dan naprawdę ją drażnił: kiedy zbity z tropu dziurami w pamięci przyjaciółki - które nazywał „czarnymi dziurami żywej pamięci” - kazał jej powtarzać po sobie jakiś błyskotliwy aforyzm, którym właśnie rzucił, lub cechy miejsca, które niedawno zwiedzili. „Szczęście nie polega na tym, żeby otrzymać to, czego się chce, lecz na tym, by chcieć tego, co się otrzymuje. Emmo, powtórz! Emmo, zapamiętaj!” „Dzieci? Należy zostawić im wystarczająco dużo pieniędzy, żeby mogły robić, to co zechcą, wystarczająco mało, aby musiały coś robić.” „Najpiękniejsze miejsce na świecie jest tu, przed twoimi oczami: 29 kwietnia o godzinie 17.00 widziałas ze wzgórza Corcovado najpiękniejsze plaże na świecie: Ipanema i Leblon. Emmo, powtórz! Corcovado! Ipanema, Leblon! Powtórz po mnie!” Za każdym razem gdy Baretta wydawał tego rodzaju polecenie, Emma czuła się nieswojo; nie była już pewna, czy ¹⁰ zabawa. Zastanawiała się, czy w takiej chwili Dan nie przekracza cienkiej granicy oddzielającej geniusz od szaleństwa. Ate zapomniała o tym. Urok Dana, uczucie, które dla niego ^{ZV}wiła, również swego rodzaju pociąg do niego, mimo że już ^od dawna „seks między nimi był przeszłością” - jak mawiał “~ Wszystko to

szybko podnosiło go w jej oczach.

Ruch morza zaczynał się odwracać. Emma została jeszcze ‘hwilę na skale, patrząc na morze i pozwalając delikatnej sile

pierwszych prądów prześlizgiwać się przez jej stopy, każąc jej wrócić na piasek. Potem zawróciła i poszła plażą w kierunku hotelu. Na górze ruszyła wzdłuż restauracji La Marine: lokal pękał w szwach, zawładnięty przez przylepionych do ekranu telewizora turystów. Hałas w miasteczku Arromanches nie ustał. Droga przed hotelem była zablokowana. Jakiś kierowca autobusu zaatakował traktorzystę, który najwyraźniej przeszkadzał mu zaparkować. Wielu kierowców zostawiło swoje pojazdy na chodnikach, a nawet na środku jezdni. Tylko motocyklem udawało się jeszcze utorować sobie drogę wśród samochodów. Emma przechodziła przez jezdnię, gdy nagle musiała zatrzymać się przed małą dostawczą furgonetką, zagradzającą jej drogę. Zobaczyła umieszczone na ciężarówce logo: to było logo Lenótre'a. Oczywiście! Musiał dostarczać posiłki dla uczestniczek kongresu, w czym nie było nic zaskakującego. Ale dziwne, że kilka minut temu myślała właśnie o nim.

„Emmo, powtórz za mną! Lenótre uratuje świat”.

Emma zaśmiała się nerwowo i pomyślała: „Stary poczciwy Lenótre jest daleki od uratowania świata. Stoi zablokowany jak wszyscy inni”.

Coś jednak jej nie pasowało w zdaniu Dana, którego nie mogła zapomnieć. Ale na próżno szukała... Dan często dręczył ją słowami, które dla niego miały sens, lecz jej zdawały się pozbawione sensu. Najczęściej wygłaszał je po to, żeby jej zasignalizować, iż przeżywają wspólnie jakiś „ważny moment”, i przykazać jej, żeby nie zapomniała. Ale to? Te stwierdzenia na temat dostawcy cateringu i jego tajemnica nie miały żadnego znaczenia. Emma zagryzła wargi. Dan, przy całym swym geniuszu, często mówił również tak, żeby nic nie powiedzieć.

Poruszenie w hotelu sięgnęło zenitu. Organizatorki zrezygnowały ostatecznie z ostatnich posiedzeń WAC i odwołały V°~ żegnalną kolację. Najwyraźniej miały tylko jeden cel: znaleźć autobusy, które zabiorą uczestniczki kongresu do Paryża-

W chwili gdy Emma miała wejść na schody, by wrócić do pokoju, pojawił się za nią zdyszany Pierre. Jego czarne włosy na skroniach zlepione były potem. Musiała się powstrzymać, by nie rzucić się w jego ramiona. To on podszedł do niej, dotykając dłonią jej nadgarstka. Ten zwyczajny kontakt sprawił, że poczuła ogarniające jej piersi wibracje. Nagle, niewytłumaczalne uczucie. Odwróciła głowę.

- Emmo! Nie wygląda, żeby było... Doceniła jego uwagę, zważywszy na jej stan.

- Nie, wszystko w porządku... wracam znad morza i opryskały mnie fale. Ale ty dopiero wyglądasz! Wszystko w porządku?

- Jestem nieżywy! Miałem szalone przedpołudnie. Nic nie działało. A to nieodpowiednia pora na załatwienie czegośkolwiek. Sieci telefoniczne są przeciążone. Nie wiem, jak zawieziemy z powrotem sprzęt do Marsylii, bo zbiornik ciężarówki jest w trzech czwartych pusty, a na stacjach nie ma oleju.

Mówił, nie spuszczać wzroku z młodej kobiety. Garsonka superwoman, którą miała na sobie, kontrastowała z jej wynędzniałą twarzą i podkrążonymi oczyma. Zauważył wycięcie w bluzce. Anglosasi mają specjalne słowo określające tę przestrzeń między piersiami, tę dolinę na mlecznej skórze: „podział”. Słowo tak samo ładne jak to, co określa.

Pierre nie chciał pozwolić Emmie odejść. Kto wie, kiedy się znowu zobaczą?

- Zjesz coś? - zaproponował.

- Miałam iść do pokoju, ja też jestem wykończona... Emma czuła, że nie jest w stanie przełknąć najmniejszej sałatki, ale poszła z Pierre'em do baru. Zauważyła rysujące się pod koszulą jego mięśnie i patrzyła na opalone przedramiona. Pomyślała, że nie wybrali najlepszych okoliczności na rozpoczęcie - Zresztą rozpoczęcie czego? Przyjaźni? Związku? Nie mogła zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło. A tym bardziej ^przeciżyć pociągowi, który odczuwała na jego widok.

Przeszli do sali, w której podawano posiłki do stolika. Podszedł kelner.

- Do picia mamy perriera lub piwo, to wszystko, co nam pozostało - oznajmił znudzonym tonem.

Emma zamówiła perriera, Pierre piwo.

- Wiesz - westchnął - zastanawiam się, czy twoje koleżanki nie zrobiłyby lepiej, odwołując tę przedpołudniową sesję WAC. Co za cyrk! Nic nie działało!

- Dzisiaj tak. Ale podczas sesji plenarnej wszystko było w porządku.

Pierre słuchał jeszcze przez chwilę jej wypowiedzi, ponownie zafascynowany kontrastem między Emmą Shannon w roli „wielkiej kapłanki ryzyka kapitałowego”, z jej odpowiednim do roli uśmiechem i stanowczym tonem, oraz tą beztroską i delikatną kobietą, z którą kochał się na plaży. Chciałby wziąć ją w ramiona, by móc znowu zobaczyć jej metamorfozę. Ale cuda się nie powtarzają.

- Tak, o dziesiątej trzydzieści jeszcze działało - mówił dalej z trudem - ale w innych salach i na następnych spotkaniach była kompletna katastrofa. Obydwa projektory Barco na pierwszym piętrze wysiadły. Udało nam się naprawić je na spotkanie w południe, ale tym razem zabrakło publiczności: zostało najwyżej trzydzieści dziewczyn...

Kelner przyniósł napoje i dwie tace zjedzeniem.

- To wszystko, co macie? - zapytał Pierre.

- Pierre, przestań narzekać! To Lenótre dostarcza jedzenie. A jest już piętnasta trzydzieści.*

- I co z tego? Lenótre czy ktoś inny, przez cały rok jem tylko zamawiane na tackach posiłki! Po dziurki w nosie mam tarty ziemniaczanej i plastikowych noży skrzypiących na papierowych talerzach. Dziś wieczorem idę do restauracji i...

* Południowy posiłek we Francji spożywa się w godzinach 12.00-14.00.

Emma wzięła szklaneczkę perriera i nie dała mu skończyć zdania.

- Śmieszycie mnie tu, we Francji! Jeśli w ciągu dwóch południowych godzin nie dostaniecie swojego obiadu, doskonałego, gorącego, dobrze przyprawionego, i nie zjecie go na siedząco, narzekacie! Powinieneś częściej przyjeżdżać do Stanów. Importowalibyśmy całe dziesiątki takich Lenótre-'ów! Nie zdajecie sobie sprawy, jakie macie szczęście! OK, potrafimy robić programy i routery, ale wy macie genialnych cukierników! Zresztą jak nazywa się facet, który stworzył Le-nótre'a? André, tak?

- Z pewnością nie André - zareagował Pierre. - André był ogrodnikiem Ludwika XIV. I pisze się to oddzielnie: „Le” 1 dalej „Nótre”. Przez wielkie N.

Emma odstawiała szklanekę tak gwałtownie, że rozlała jej zawartość.

- Nie, to niemożliwe!

- Co się dzieje?

- Zaczekaj...

- Ale co, powiedz!

Emma spojrzała sąsiadowi w oczy i rzuciła szybko:

- Pierre, właśnie coś zrozumiałam. Musimy jechać do Wersalu, tam znajduje się rozwiązanie, jestem tego pewna!

- Co? Gdzie chcesz jechać?

Mówiła tak szybko, że nie zrozumiał połowy zdania. Poprosił, żeby powtórzyła. Za późno. Emma Shannon wyszła już² sali i podążyła w kierunku recepcji.

- Taksówki? Szkoda nawet o tym myśleć! Jest pani dwudziestą osobą w dniu dzisiejszym, która prosi mnie o samochód. W Bayeux Taxi nie mają ani jednego auta. W Caen też nie. Przepraszam, mam telefon.

Emma z trudem znosiła brak kurtuazji recepcjonistów. Pewnego dnia zrobiła awanturę w radzie administracyjnej Motelu 8 - sieci, w którą jej firma zainwestowała dwadzieścia milionów dolarów i która traciła na wartości. „Jeden klient, który się skarży, to dziesięciu klientów, którzy po cichu uciekną!”

Ale dzisiaj biedny personel miał wytłumaczenie.

Emma poszła schodami, by jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju. Zamknęła szybko drzwi, rzuciła Tod'sy w stronę zasłon, odruchowo włączyła telewizor i usiadła na łóżku z podkulonymi nogami. Nazwa lokalnego stowarzyszenia taksówkarzy, Bayeux Taxi, figurowała w książce na jej nocnym stoliku. Spróbowała zadzwonić.

- Halo?

Po drugiej stronie cisza.

- Bayeux Taxis?

Odpowiedział jej zmęczony, grobowy głos. Dźwi? był słaby. Prawdopodobnie kierowca, który jedzie samo chodem.

- Tak, proszę! W jakiej sprawie? Emma ściszyła telewizor.

252

- Chciałabym taksówkę do Paryża. Jestem w hotelu Overlord. Czy miałby państwo jakiś samochód?

- Dokąd?

- Do Paryża, a w zasadzie do Wersalu.

W trakcie jej odpowiedzi rozległ się nerwowy śmiech.

- Oj, proszę pani, przykro mi! Widać, że nie wystawiała pani nosa na zewnątrz. Nawet gdyby udało się dojechać do autostrady, wszystko w regionie jest zablokowane... Przez ciężarówkę z odpadami radioaktywnymi, która zablokowała czteropasmówkę. Chyba słyszała pani o tym? A poza tym już prawie wcale nie mamy paliwa, ani ja, ani moi koledzy. Niby strażacy, pogotowie i taksówki mają pierwszeństwo, ale na stacjach nie ma dostaw. Niektóre taksówki jeżdżą jeszcze do Caen. Te, które mają wciąż paliwo. Ale mnie wystarczy jeszcze najwyżej na godzinę... Emma usłyszała nieprzyjemny zgrzyt, a potem krótki sygnał. Ponownie wybrała numer. Nie można dodzwonić się do firmy.

Nie ma taksówki do Wersalu. W ogóle nie ma taksówek. Chociaż nie. Ewentualnie do Caen. Emma zdała sobie sprawę, że zdenerwowanie przeszkadza jej w myśleniu. Bayeux Taxis... Bayeux... Poczula, jak dłoń zaciska się na komórce. Bayeux! Przecież w Bayeux jest dla niej samochód! Kiedy przygotowywała wycieczkę do Normandii z Rebecą, zarezerwowała w Hertz samochod na następną sobotę, aby mogły powłóczyć się po regionie. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Agencja powinna być otwarta. I może uda jej się⁰ jeden dzień przyspieszyć wynajęcie. Numer telefonu miała w notesie. Kod klienta również. Na wszelki wypadek.

- Hertz, dzień dobry. Mówi Stefanie, w czym mogę pomóc?

- Dzień dobry, mówi Shannon. Emma Shannon. Proszę Pani... Wynajęłam na jutro samochód w Bayeux i chciałabym^{se} dowiedzieć, czy mogłabym dostać go już dzisiaj...

- Ma pani numer rezerwacji? Spodziewała się tego.

253

- 00235678 H12.

- Shannon, jest. Renault laguna. Na sobotę, piętnastego września, w południe. Pani rezerwacja została zapisana.

- Tak, dziękuję. Nie wie pani, czy mogłabym otrzymać samochód już dziś po południu?

- Chwileczkę, dowiem się.

Włączyła się muzyka Vivaldiego. „W dobrze zarządzanych firmach muzyka nie może lecieć dłużej niż przez minutę. Powyżej minuty klient się denerwuje”. Mimowolnie przyszły jej na myśl podstawowe zasady dobrej obsługi. We Francji rzadko je stosowano.

- Halo, pani Shannon? -Tak?

- Tak jak myślałam. Jest dla pani samochód, lecz nie możemy go pani dostarczyć.

- A dlaczego?

- Ma pusty zbiornik. Z powodu tych wydarzeń na wszystkich stacjach w regionie brakuje paliwa.

- Czy znalazłaby pani samochód innej kategorii, ale z pełnym zbiornikiem?

- Sprawdźę. Czy może pani oddzwonić za piętnaście minut?

Oddzwonić. Znowu oddzwonić.

- Dlaczego to ja mam dzwonić? Dlaczego pani tego nie zrobi?

Emma rzuciła komórkę na poduszkę, usiadła na brzegu łóżka i pogładziła włosy dłonią, chcąc się uspokoić. Złapała pilota i ponownie włączyła głos w telewizji. CNN znowu nadawało archiwalne obrazy na temat Baretta. Pokazywali go w Afryce, jak nadzoruje wyniki swojego programu walki z malarią, potem w slumsach Kalkuty. Najbogatszy człowiek na świecie, najlepiej prosperujący przedsiębiorca stopm⁰ wo zmieniał się w dobroczyńcę ludzkości. Od kilku miesięcy Emma przekomarzała się z nim na ten temat.

254

- Wiesz, kim jesteś? - powiedziała mu kilka tygodni temu przez telefon. - Naturalnym synem Matki Teresy i Świętego Mikołaja!

- Możesz się śmiać! Wiesz, co mówił Carnegie? „Ten kto umiera bogaty, umiera w nielase”.

Nie żartował. Od czasu gdy podjął decyzję o poświęceniu swojej fortuny na walkę z ubóstwem, chciał - podobnie jak w przypadku oprogramowania - być najlepszy. Największy. Najbardziej kompetentny. Obserwował pracę innych miliarderów, którzy inwestowali w działalność charytatywną: Gordon Moore - wynalazca półprzewodników, George Soros czy też synowie Waltona podobnie jak on zaangażowali się w akcje dobroczynne na dużą skalę. Barrett śledził ich inwestycje, ich pozycję w klasyfikacji biznesmenów filantropów, a przede wszystkim skuteczność ich darowizn.

W telewizji dziennikarz CNN rozprawiał na temat spadku akcji Controlware na giełdzie. Minus 17% w ciągu dwóch dni. To prawda, że bez Dana Controlware może stać się firmą jak wszystkie inne. A ona, Emma, może zostać taką samą kobietą jak wszystkie inne, bo została pozbawiona swojego intelektualnego „punching-ball”? Znowu łza spłynęła z jej oczu, znacząc pod rzęsami czarną linię. Oznaka smutku, gniewu, niemocy, już sama nie wiedziała czego.

Aby oszukać niecierpliwość i smutek, włączyła komputer i zabrała się za sprawdzanie mejli. Ale nie była w stanie odpowiedzieć, jakby nic się nie stało, tym wszystkim, którzy Prosilili ją o podjęcie decyzji lub proponowali jej inwestycje. Czy nie rozumieją, że ich starania nie mają już większego sensu teraz, gdy świat znalazł się na łasce najpotężniejszej grupy terrorystów, jaką kiedykolwiek nosiła ziemia? Czy nie rozumieją, że odtąd ich życie zależy od zachcianek piratów? Zresztą co będzie ich kolejnym celem? Ogólne rozregulowanie wież kontrolnych? Atak bakteriologiczny? Wybuch Jądrowy?

255

Nie. Nie można pozwolić wpełznąć się na ten grunt. Wciągnęła głęboko powietrze, próbując przegonić czarne myśli, i zaczęła się pakować: jeśli uda jej się znaleźć sposób wyjazdu z Arromanches, będzie to zyskany czas.

A pracownica z Hertz'a oczywiście nie dzwoniła. Spróbowała połączyć się z agencją, ale - bez specjalnego zdziwienia - trafiała na krótki sygnał.

- Dobry Boże, jak się stąd wydostać?

Może pociągiem? Dworzec w Bayeux. Rebecca mówiła, że tam wysiądzie. Może są jeszcze jakieś pociągi do Paryża dziś po południu? Zadzwoiła do recepcji. Dwadzieścia sygnałów bez odpowiedzi. Nie ma pracownika. Hałas w tle

- wrzask uczestniczek kongresu. Jest ciepło. Emma czuje, że jest u kresu sił.

- Halo?

- Halo?

- Recepcja?

- Tak, oczywiście. Proszę mówić szybko, jesteśmy bardzo zajęci.

Powoli wciągnęła powietrze. To nie był stosowny moment, żeby wybuchnąć.

- Mówi Emma Shannon z pokoju siedemnaście. Chciałabym się dowiedzieć, czy dziś po południu jest jakiś pociąg do Paryża?

- Pani Shannon - odpowiedział recepcjonista - właśnie powiesiliśmy w recepcji tablicę informacyjną, nie widziała pani?

Wszystkie pociągi do Paryża zostały odwołane. Dworzec Saint Lazare jest częściowo zamknięty. Dworzec Północny także. Jeździ kilka TGV, ale zamknęli główne linie. Nie mówiąc już o małych! My tu nie mamy TGV, jesteśmy nadal na etapie pociągów spalinowych! Więc nie ma co się ludzi!

- OK, dziękuję.

- Do usług.

- Proszę sekundę zaczekać...

256

- Co jeszcze, pani Shannon?

- Lotnisko w Caen jest także zamknięte, jak się domyślam...

Emma zapytała na wszelki wypadek. Trzy dni temu wylądowała na lotnisku Carpiquet. Bezpośrednie połączenie z Londynu, gdzie odbywało się doroczne seminarium Motel 8, było praktyczne, żeby bezpośrednio dostać się na WAC. Jest szansa, że jakieś prywatne linie obsługują połączenie Carpiquet-Orly lub Roissy... Recepcjonista roześmiał się rozczarowany.

- Pani Shannon, jeśli dysponuje pani prywatnym odrzutowcem, zawsze może pani spróbować...

Emma odłożyła słuchawkę. Tym razem powoli, starając się rozluźnić. Gdybyż przyjechała z lotniska swoim samochodem, tak jak robiła zwykle, kiedy była we Francji! Brad miał swojego kierowcę.

Brad. Jak daleki wydawał jej się w tej chwili! Ani razu nie pomyślała o nim od rana. Nowe wiadomości, które sygnalizowała komórka, musiały być od niego. No, przynajmniej jedna. Nie miała ani chwili, żeby je odczytać.

Wybrała numer skrzynki głosowej: rzeczywiście, to zaniepokojony Brad. Zamachy. Psychoza melatoniny. Baretta.

Gielda. Controlware. Opowiadał o wszystkim tak, jakby nie wiedziała. W Stanach nadal mają wrażenie, że są pępkiem świata. Że wszystko dzieje się tam, a inni są o jeden pociąg do tyłu. Brad wahał się, czy nie sprzedać swoich akcji Controlware, i pytał ją o zdanie. Lepiej by zrobił, dokupując - pomyślała. Biedak chybił celu.

- To tutaj, we Francji, wszystko się rozgrywa - powielala na głos.

Dlaczego była tak pewna, że klucz do backdoora znajduje się w willi Baretta w Wersalu? Ponieważ Dan nie zostawiał niczego przypadkom? Ponieważ w decydujących chwilach zawsze na nią liczył, chociaż spotykali się tylko dwa lub trzy razy w roku poza słynnym „kontraktowym” weekendem, na

który potrzeba było tyle atramentu? Dan nie opowiadał jej wszystkiego o swoim życiu i ona też nie, ale kiedy spotykali się twarzą w twarz, kontakt nawiązywał się natychmiast, jakby dopiero wczoraj się rozstali. Dokonywali wtedy - jak to nazywali - „aktualizacji”, „synchronizacji”. Nagle znowu pojawiała się ich wzajemne intelektualne zrozumienie, spontaniczne, harmonijne, jak u zaprawionego sportowca gotowego bez rozgrzewki wyrwać się do przodu. Na myśl o tym, że już nigdy więcej nie przeżyje takiego spotkania, jej serce znowu napelniło się smutkiem.

Emma nie odsłuchiwała wiadomości do końca i przeszła do następnej. To była Rebecca.

„Mamo, nie będę mogła przyjechać do Normandii...”

To oczywiste. Teraz Emma musiała uznać przed samą sobą tę prawdę: ich krótkie wakacje nie dojdą do skutku.

„... ale i tak muszę z tobą porozmawiać. To ważne. I pilne. To... coś bardzo poważnego”.

Co mogło być ważniejszego i bardziej pilnego niż wydarzenia, które doprowadzą do zagłady zachodniego świata?

Emma opanowała odruchowe uczucie irytacji. W końcu jej córka nie może zdawać sobie sprawy z tego, jak wielkie jest zagrożenie. Może stało jej się coś poważnego? Może jest faktycznie chora? Jej głos brzmiał tak bardzo niepewnie.

Nagle zapowiadany kataklizm znalazł się na drugim planie. Rebecca jej potrzebuje. Rebecca ją wzywa. To prawda, że

przez pierwszych piętnaście lat życia córki nie bardzo się nią zajmowała. Była taka młoda, gdy ją urodziła. Musiała pracować, zbudować własne życie. A poza tym była jej matka, Anne-Laure, babcia Rebeki. Młoda babcia: miała ledwie czterdzieści trzy lata, gdy urodziła się jej wnuczka, i często brano ją za matkę dziewczynki. Przez ten cały czas

Emma wiedziała, że dziecko jest w dobrych rękach, lepszych - a w każdym razie bardziej dyspozycyjnych - od jej własnych. Zbliżyły się do siebie z córką dopiero wtedy, gdy babcia zachorowała. Rebecca

wahała się, czy nie zamieszkać z Emmą w Stanach, ale absurdem byłoby opuścić teraz Operę Paryską, skoro tyle wysiłku włożyła, żeby się tam dostać. Zatem Emma zdecydowała, że jej córka zamieszka u Alice, swojej stryjecznej babci, która ma mieszkanie na Montmartrze. Ale ciążyła jej ta decyzja.

Musi do niej oddzwonić. I to szybko. Jak tylko odslucha ostatnią wiadomość ze skrzynki.

„Dzień dobry Emmo, mówi...”

Na dźwięk tego głosu aż poderwała się z miejsca. Rozpoznała zawiedziony ton Graniera.

„...Jean-Philippe Granier. Nie widzieliśmy się podczas obiadu, czego bardzo żałuję... Mam nadzieję, że nie jest pani za bardzo poruszona wydarzeniami”.

Jak on może tak mówić? Jak można nie być - jak to powiedział - „poruszonym” tą coraz bardziej przerażającą atmosferą, wypadkami, niewyjaśnionymi zgonami, tymi terrorystami, którzy coraz bardziej przejmują kontrolę nad światem? Nie mówiąc już o śmierci Dana...

„Byłem dziś przed południem na pani wykładzie inauguracyjnym” - mówił dalej Granier. „Chciałbym o tym z panią porozmawiać. Tak się składa, że powieść, którą właśnie piszę, również porusza ten temat. Bohater spotyka bizneswoman, która... a zresztą za dużo bym pani powiedział. Chciałbym jednak porozmawiać na ten temat. Może pani do mnie zadzwonić pod numer 06 11 72 22 01. Zostaję tu do jutra. Potem wracam do swojego domu na przylądku La Hague. Do usłyszenia niebawem, mam nadzieję”.

Serce Emmy zaczęło nagle bić tak mocno, że poczuła to aż w skroniach. Granier! Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Przyjechał z La Hague. Wraca tam. On ma samochód. Mógłby jej pożyczyć! Podniosła się szybko i kierując się w stronę okna, żeby zabrać stamtąd leżące pod zasłonami buty, nacisnęła na klawisz 4. Ten, który powinien umożliwić oddzwonienie do ostatniego rozmówcy.

Wybierz żądany numer i naciśnij krzyżyk.

Do licha! Granier ma zastrzeżony numer. Emma musiała ponownie odsłuchać wiadomość, żeby móc go wybrać. „Dzień dobry, dodzwoniłeś się na numer telefonu komórkowego Jeana-Philippe'a Graniera...”

A teraz skrzynka.

- Cholera!

Rozłączyła się i rzuciła telefon na łóżko.

- Cemu ten idiota wyłączył telefon?

Omiotła pokój wzrokiem w poszukiwaniu malej butelki wody mineralnej, ale nigdzie jej nie widziała. Poszła napelnić szklankę pod kranem w łazience i odruchowo zatrzymała się przed lustrem. Jej twarz była zapadnięta i zmęczona. Rozmazany tusz do rzęs utworzył pod powiekami dwa czarne luki. Przypomnił jej się ten wątpliwej jakości dowcip, który ośmielił się rzucić pewnego wieczoru Bernie Puttman podczas kolacji z Barettem. Puttman, którego знаła od wielu lat, zdawał się uważać ją za mężczyznę i często zwracał się do niej po nazwisku.

- Shannon - rzucił, uśmiechając się kącikiem ust - tobie przynajmniej nie jest potrzebna torebka...

Emma spojrzała na niego z zakłopotaniem w oczekiwaniu na mającą nastąpić grzeczność.

- ...bo takie masz worki dziś pod oczami! Ostatnim słowem towarzyszył gromki wybuch śmiechu. Chamowatość na wysokim światowym poziomie! I Ba-

rett, który zamiast jej bronić, głupio się uśmiechał! Dan, jeśli tego chciał, potrafił być podły. I pomyśleć, że miał do Puttmana zaufanie. Tego byka, który być może właśnie doprowadza do najpiękniejszego informatycznego skoku w historii.

Po raz kolejny Emma przyjrzała się tej hipotezie. Nie, to się kupy nie trzyma. To prawda, że w przyszłości to Controware skorzystałby na tej zbrodni: wydarzenia ostatnich dni rozwijały czerwony dywan przed nowym systemem operacyJ

260

nym, który został przewidziany na 2008 rok i określany mianem „nie do zdobycia”. Ale po co numerowi jeden na świecie w branży informatycznej byłoby tyle śmiertelnych ofiar w celu wprowadzenia nowego oprogramowania? Mógłby to zrobić bez powodowania takich szkód.

Drgnęła, uświadomiwszy sobie, że właśnie dała się ponieść dawnemu uczuciu antypatii do Puttmanna - oraz bez wątpienia wywołanemu sytuacją stresowi. Prawie zapomniała o Rebecce, pierwszej wiadomości w skrzynce, o drżącym głosie swojej córki.

Wybrała ze spisu kontaktów numer córki i nacisnęła „wybierz”. Kilka sekund później ekran zaczął migać.

Sieć przeciążona.

Zdenerwowana Emma przerwała palcem połączenie. Dlaczego córka stara się z nią skontaktować? O czym chce z nią rozmawiać? Nie należy do osób dzwoniących tak po prostu. Tak jak Emma, nie lubi tracić czasu. Matka z córką nie telefonowały do siebie, żeby pogadać, ale wtedy, gdy miały coś do powiedzenia. Kobiety już i tak za bardzo przyczyniają się do zysków operatorów telefonicznych.

Emma zaczęła kręcić się po pokoju jak zwierzę w klatce. Oddzwoni do Rebeki, ale później, najpierw musi koniecznie skontaktować się z Granierem, którego nie ma w hotelu, już to sprawdziła. Czy powinna zejść na dół, przemierzyć hol, restaurację albo plażę w nadziei, że gdzieś go spotka? Nic pewnego. Zadzwońić do informacji po jego domowy numer? Pewnie jest na liście numerów zastrzeżonych. Ale jak już wróci do La Hague, będzie za późno. Ponownie wybrała mimer komórki Graniera i zostawiła wiadomość, starając się P^zyjąc spokojny ton.

- Dzień dobry, Jean-Philippe, mówi Emma Shannon, odebrałam pana wiadomość. Proszę koniecznie do mnie od-dzwonić. Jestem w pokoju numer siedemnaście. To bardzo ^{wa}żne. Trzeba...

261

Emma przerwała, słysząc piknięcie w słuchawce. Jakiś inny rozmówca próbuje się z nią połączyć. *Rozmowa prywatna.*

Odebrała, nie kończąc wiadomości dla Graniera.

- Halo?

- Mamo?

- Rebecca? To ty?

- Tak, mamo. Jak się masz?

- W porządku, ale co u ciebie? Gdzie jesteś?

Emma odpowiedziała po francusku. Zazwyczaj rozmawiała z córką po angielsku. Taka postawa wydawała się nie-naturalna, kiedy były razem w Paryżu, ale zgadzały się co do celu: Rebecca miała być doskonale dwujęzyczna.

Emma zastanawiała się, czy ten wybór bardziej jej nie odpowiada. Mniej się zwierzasz w języku, którym gorzej się posługujesz. Czy w ten sposób skłoniła córkę, by nie odsłaniała przed nią stanów swojej duszy? Dopadło ją poczucie winy. Rebecca, jakby odgadując myśli matki, kontynuowała po francusku:

- Mamo, jestem w domu, w Paryżu. Ja... Mówiła cicho. To nie było u niej normalne.

- Reb, co się dzieje? - zapytała Emma spokojnie.

W zwykłych okolicznościach nigdy nie używała imienia córki w zdrobniałej formie. Nie znosiła, gdy ludzie mówili o swoich dzieciach, strojąc je w te śmieszne imiona wymyślone w okresie, gdy chodziły w pampersach. Titi, Chichou, Ninette. Okropieństwo. Ona była Rebecca. W każdym razie sama zainteresowana też nie znosiła niczego, co czyniłoby z niej córeczkę. Tyle poświęceń wymaga zdobycie statusu gwiazdy, że tancerki dojrzewają przedwcześnie. Żadnych wyjść, żadnych imprez z przyjaciółmi, każdej nocy minimum osiem godzin snu.

- Mamo, muszę z tobą porozmawiać. Przyjedziesz do Paryża?

262

- Robię wszystko, żeby tam się znaleźć. W każdym razie tak zamierzałam. Ale tutaj jest kompletna katastrofa... Drogi zablokowane. Nie ma taksówek, pociągów, samolotów ani samochodów do wynajęcia. Nie mam benzyny. A jak u ciebie? I u ciotki Alice?

- U nas w porządku. Na osiedlu, u sąsiadów, jest trochę zamieszania. W telewizji mówią, że nieczynne są lotniska Roissy i Orly. Mówili również o popsutej ciężarówce koło Caen. Ale przyjedziesz do Paryża, prawda?

- Jak tylko znajdę samochód! Ale kiedy go już znajdę, najpierw muszę wstąpić do Wersalu. To bardzo ważne, potem ci opowiem.

Emma pomyślała, że jej córka, kiedy była mała, tyle razy słyszała ów kłamliwy pretekst związany z „ważnymi sprawami”, którego jej matka używała, kiedy nie mogła do niej przyjechać, że tym razem mogło być jej trudno w to uwierzyć.

- Ale kochanie, co mi chcesz powiedzieć?

- Mamo, posłuchaj, to nie jest łatwe...

Emma czekała na telefon od Graniera. Chciała, żeby Re-becca się pospieszyła. Córka zawsze konsultowała się z nią w sprawie ważnych dla siebie decyzji, a Emma zawsze starała się wtedy jej wysłuchać, nawet na odległość. Ani nadopiekuńcza matka, ani autorytarny ojciec. Raczej trener. Lecz nagle przyszło jej na myśl, czy czasami się nie myliła: a jeśli Jej córka potrzebowała zwłaszcza uczuć, bezpieczeństwa, jakie rodzi obecność, tych wszystkich rzeczy, których ona nigdy jej nie dała?

- Rebecca, kochanie! Wybacz mi, ale nie mamy dużo czasu. Obiecuję ci, że jeśli uda nam się z tego wyjść, zabiorę ^{C1}ę na dwa tygodnie, dokądkolwiek zechcesz.

Spodziewała się znanych jej protestów ze strony córki, która nie mogła tak po prostu wyjechać na dwa tygodnie bez „szczerbku dla poziomu swojego tańca. Ale Rebecca milczała.

Emma wbrew sobie zaczęła mówić szybciej.

- Rebecca, posłuchaj, tutaj w każdej chwili mogą odciąć połączenie. Mów szybko, co masz mi do powiedzenia. Jak tylko będę mogła dostać się do Paryża, przyjadę do ciotki Alice.

- Mamo, to co mam ci do powiedzenia, jest...

- Dalej, Rebecca, no już!

- Jestem w ciąży.

Emma odruchowo odsunęła telefon od ucha. Z pewnością źle usłyszała.

- Przepraszam, Rebecca. Co powiedziałaś?

- Tydzień temu zrobiłam test i...

- Co? Żartujesz! Nie mówisz poważnie, prawda?

W tym zdaniu oszołomiona Emma odruchowo przeszła na angielski.

- Rebecca, jesteś pewna? Może to tylko opóźnienie?

- Mamo, okres spóźniał się dwa tygodnie, więc kupiłam w aptece test ciążowy. Kiedy zobaczyłam wynik, pomyślałam najpierw, żeby zrobić aborcję, dlatego o niczym ci nie mówiłam. Ale zmieniłam zdanie...

- Rebecca, córeczko moja! Takie rzeczy już się nie zdarzają w naszych czasach! Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? A poza tym nic mi nie mówiłaś, że masz chłopaka!

- Nie miałam „chłopaka” w takim znaczeniu, jak ty to rozumiesz.

- A więc jak to się stało? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to był jakiś przygodny facet?!

Zapadła cisza.

- Nie wiesz, kto jest ojcem?

- Ależ wiem, oczywiście! I kocham go!

- A więc to żonaty mężczyzna, tak?

- Nie, na razie nie jest żonaty, ale...

Emma machnęła nerwowo ręką i przewróciła lampka na nocnym stoliku.

- Mamo, co się dzieje? Wszystko w porządku?

264

Teraz to Rebecca przejęła kontrolę nad sytuacją. Trzaski w słuchawce powodowały, że Emmie udawało się wychwycić tylko co drugie słowo.

- Mamo, proszę cię, nie denerwuj się! Dobrze się zastanowiłam. Chcę urodzić to dziecko.

- Przepraszam? Nie rozumiem tego, co mówisz. Kim jest ten skurwiel...

- Mamo, przestań! Uspokój się! Nie znasz go, a to naprawdę ktoś bardzo w porządku. Jest...

To już było ponad jej siły. Zamachy. Przygoda z Pierre'em. Śmierć Baretta. Backdoor. Granier, który nie oddzwania. A teraz Rebecca w ciąży.

- Rebecca, słyszysz mnie?

Połączenie zostało przerwane. Emma, której serce waliło jak oszalałe, nacisnęła przycisk „oddzwoń” w telefonie. W chwili, gdy aparat wybierał numer Rebeki, rozległ się inny dzwonek. Znowu numer prywatny. Emma odebrała.

- Rebecca?

- Pani Shannon? Emma?

Męski głos. Zatrwożona Emma chwyciła się ręką okna. Korek na zewnątrz minął.

- Emmo, czy pani mnie słyszy? -Tak, to ja.

- Mówi Granier. Jean-Philippe Granier. Starala się pani ze mną skontaktować, mam rację?

- Ach! Jean-Philippe, to pan?

Emma szybko odzyskała sprawność umysłu.

- Rzeczywiście chciałam z panem porozmawiać. Dziękuję, że pan oddzwonił.

- Gdzie pani jest?

- W pokoju. Próbowałam się do pana dodzwonić, ponieważ... Proszę posłuchać, to bardzo pilne, muszę się z panem spotkać. Ale wolałabym wyjaśnić to panu osobiście. Muszę też zadzwonić do córki...

265

- Więc niech pani do mnie potem oddzwoni. Wie p dobrze, że wystarczy powiedzieć i przybiegnę!
Jego humor nie sprawił, że poczuła się lepiej.

- To zajmie nam tylko kilka chwil.

- Proszę posłuchać, mam pomysł. Właśnie piję ze zna jomą kawę w La Marinę. Pierwszy stolik po prawej, na tara sie.
Dołączy pani do nas?

Głos Graniera brzmiał spokojnie, niemal beztróska. Całkowite przeciwieństwo głosu Emmy. „Ten człowiek pewni nigdy się nie denerwuje”, pomyślała Emma z lekkim podziwem. Ale czy nie jest to tylko poza? Pomyślała o Bradzie, o jego dającym poczucie bezpieczeństwa spokoju. Ta j że urzekająca pogoda ducha była jednym z powodów, któ sprawiły, że za niego wyszła. Nawet jeśli wyrażał niepokój, wszystko odbywało się tak, jakby zażegnywało go już samo mówienie o tym.

- Będę za pięć minut. I znowu rozległ się natrętny dźwięk przerwane go połączenia.

Emma spróbowała zadzwonić do Rebeki. Na próżno. Ni można już było nawiązać żadnego połączenia.

Tego dnia w ogrodach wersalskich padał deszcz, a ty zrzędziłaś. Jesienny wiatr targał boskietami, słońce z Markizów było już daleko. A jednak te dwa dni we Francji to była chwila, która rzadko się zdarza. Taka, którą nazywamy „poza-kwotową”. Dodatek ekstra do naszych corocznych spotkań. I to jaki dodatek! Wynegocjowałem, jak zwykle za dziesięćcinę, wizytę w podziemiach Wersalu, hydraulicznej domenie króla. Miejsca, do którego turyści nie mają dostępu.

To podziemi bowiem należało szukać. Nie tylko piwnicy, ale podziemi. A w Wersalu są całe kilometry podziemi! W parku, pod fontannami, istnieje cały gigantyczny labirynt, w którym znajdują się rury z wodą. Pajęczyna tuneli utrzymywana przez całe bataliony ogrodników. Jedna z tych kiszek musiała dochodzić do tej, którą znalazłem w podnemiach Grand Trianon. Wchodząc od drugiej strony, powinno się znaleźć wejście do ukrytego gabinetu.

Nie rozmawiałem o tej wizycie z Kathrin Strandberg, a tym bardziej z Granierem, z którym zerwałem wszelkie kontakty. Za bardzo mnie denerwował podczas naszych nocnych poszukiwań. A poza tym gdybyśmy tego ranka coś znaleźli, byłby gotów żądać pięciuset tysięcy dolarów nagrody. Objąłem twoje plecy ramieniem.

- Nie ma znaczenia, czy jest ładnie czy pada, prawda? schodzimy pod ziemię...

Oboje byliśmy tak wyposażeni, jakbyśmy szli łowić grubą rybę. Ciemne kosmyki wychodzące spod kaptura twojej peleryny pod wpływem wilgoci poskręcały się w loki, a twoje policzki - mówiąc elegancko - przybrały kolor róż. Gabriel Esteban, główny hydraulik zamku, nazywał cię „drogą panią”, a jego ręka często wędrowała przed siebie. Zewnętrzne oznaki uprzejmości, które ja osobiście uważałem za zbyt natarczywe, żeby nie uznać ich za podejrzane. Z Francuzami... Ale dajmy sobie spokój. Pamiętasz go? Wysoki facet, brunet, koło czterdziestki, z szerokimi barami, który mimo ponurej pogody nosił ciemne okulary. Sprawdził, czy nasze kalosze mają dobrą podeszwę, po czym zaprowadził nas w pobliże Boskietu Rocailles, dokładnie pod Grandę Terrasse. Za palisadą otwierała się wąska, ukryta w drzewach droga. Zamek za nami zniknął.

Hydraulik zatrzymał się u dołu skarpy, przed zielonymi drzwiami.

-To tu zaczyna się moje królestwo - oznajmił, otwierając drzwi za pomocą ciężkiego czarnego klucza. „To tędy, pomyślałem jak echo, dociera się do ukrytej komnaty”.

Przed nami otwierała się podziemna galeria, wilgotna i ciemna. Dwie osoby nie zdołałyby się wyminąć. Gabriel ruszył pierwszy, trzymając przed sobą lampę. Zatrzymał się na końcu długiego korytarza i postawił ją na wystającym ze ściany kamieniu. W miejscu, które niegdyś służyło hydraulikom do stawiania lamp olejnych. Dalej przestrzeń rozszerzała się, tworząc coś w rodzaju niewielkiej jaskini. Nasze oczy przyzwyczajały się dopóki nie zauważyłem szerokie korytarze, które uchodziły do galerii, jak sploty rur połączonych w cynowe bransoletki. Główny hydraulik zaprosił nas do pokonania dziesięciu szczebli przytwierdzonej do skały drabiny.

Stojąc na czubkach palców, widzieliśmy kolejno brązowawy odbłask zbiorników, tworzących pod swymi łukou>a

tymi sklepieniami wodną kryptę. Westchnęłaś z podniewem. Widziałem, jak w półmroku lśnią twoje źrenice.

- Te zbiorniki pochodzą z czasów Ludwika XLV?

- Właśnie tak, droga pani - odpowiedział Esteban. - Isą pełne. Wszystko jest gotowe na wodny pokaz. Hydraulik wziął z powrotem lampę i poszedł przed nami galerią, która stawała się coraz węższa i niższa. Przesuwając się zgodnie z nachyleniem terenu, zeszliśmy ponad pięć metrów pod ziemię. Po prawej stronie pozostał korytarz z obrębionymi rurami biegnącymi na północ, dalej następny, który kończył się na zachodzie, w parku. Gabriel nam wyjaśnił, że w ogrodach jest ich jeszcze więcej.

Wszędzie. Inżynierowie Ludwika XLV, pod kierownictwem braci Francine, podzielili podziemia Wersalu na ponad trzydzieści kilometrów rur, korytarzy, galerii jaskiń i wodnych grot, rysując ukryty szkielet królewskich ogrodów, sieć niewidzialnych tętnic i żył dającą życie fontanom. Po trzydziestu metrach podłoże jeszcze bardziej wilgotne i lekko spadziste, zrobiło się śliskie. Gлина oblepiała kałosze. Musieliśmy się pochylić, żeby wspiąć się na inną drabinę, prowadzącą w kierunku, z którego przyszlismy. Gabriel Esteban zgasił lampę olejną i wziął do ręki elektryczną latarkę.

- Na tej głębokości - zauważył - kiedyś nie było już światła. Migotał płomień lampy oliwnej. Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie mogliśmy tylko przykucnąć lub usiąść na położonej na ziemi sieci kanalizacyjnej. Wokół nas rury krzyżowały się, zachodziły na siebie lub łączyły ze sobą, jak gigantyczny podziemny aparat destylacyjny. Wzdrygnęłaś się.

- Wyglądają jak tarantula!

Monstrualna tarantula, leżąca na plecach i niezdolna się podnieść. Siedząc okrakiem na wilgotnej rurze, z drżeniem przyglądałaś się brzuchowi pająka. Byliśmy dokładnie pod Latoną.

Ponieważ pod ziemią to nie Apollo gra główną rolę, lecz ta, którą hydraulicy nazywają poufale „kobieciną”. Przypomina mi się zdanie, które już raz mnie zastanowiło: „JVa tych marmurowych cokołach powinien znaleźć swoje miejsce sam Zeus; ajednakjest tam tylko Latonajedna z jego żon”. Zdanie brzemienne w skutki. Ale tak jak za pierwszym razem, nie wyciągam z niego żadnych ważnych wniosków.

Ajednakjakież to uczucie! Miliony zwiedzających, którzy przechadzają się po tarasie wersalskiego zamku, nie domyślają się nawet, że pod ich stopami, kilka metrów pod ziemią, bije serce wersalskiej mechaniki, silnik wielkiej budowy Ludwika XLV. To tutaj można dotknąć palcem wyrzeźbionego na rurze kwiatu lilii. Doglądać metalowych połączeń, tak jak robił to Wielki Król. Podziwiać łączące je sworznie, z których każdy został ręcznie wykuty. A przede wszystkim docenić techniczne bohaterstwo królewskich hydraulików: wodna architektura stworzona w XVII wieku jest tak solidna, że trzysta lat później nadal działa!

Miejsce to otulala cisza katakumb, którą od czasu do czasu zakłócał tylko dźwięk kropel wody, perlących się na złączeniach i rozbryzgujących na glinie. Brzuch Wersalu odpoczywał, ale czuło się, że jest gotowy przyjąć wielkie huczenie, które kilka godzin później sprawi, że zagrzmi ziemia. Niebawem nie będzie tu już słycać nic innego oprócz huku wody uderzającej w żeliwne ściany, wyciąganej na powierzchnię, gdzie rozlewa się w zamkowych fontannach. Podczas wodnego spektaklu w ogrodach huczeć będzie dwa tysiące czterysta wodotrysków. Nad nami biały marmur Latony iJ^eJ dzieci błyszczeć będzie tysiącami wodnych iskierek. Kohorty turystów będą biły brawa. Ale na razie tylko my, ty iJ^a> jako jedyni korzystaliśmy z przywileju poznawania kulisów wodnych pokazów, możliwości dotknięcia palcem tej niewiarygodnej maszynery, która pozwoliła Królowi Słońce zaspokoić swoje ambicje. Wyczyn, który wyniósł go ponad ludzka

kondycję, który przekształcił go w *deus ex machina* - boga, który sprawił, że w miejscu gdzie przyroda uparła się, by płynął tylko cherlawy strumyk Clagny, pośród niezdrowych bagien, tryskają najpiękniejsze fontanny na świecie. Po godzinie nie wytrzymałem.

- Czy możemy pójść pod fontanny Trianon? - zapytałem.

Chociaż bowiem zachwyciło mnie to podziemne zwiedzanie Wersalu, nie straciłem z oczu celu naszej wizyty. Spieszno mi było sprawdzić, czy korytarzyk, do którego wejście zauważyliśmy z Kathrin i Granierem na obrazie radaru kilka tygodni wcześniej, biegnie dalej za zamurowaną ścianą i czy jest to podziemne przejście wiodące od komnaty Madame deMaintenant i połączone z dłuższym ciągiem.

- Trianon, alepo co?

Gabriel Esteban patrzył na mnie z pobłażliwością.

- Obawiam się, że nie jest pan świadomy odległości dzielącej park wersalski od Trianon - mówił dalej. - Obie podziemne sieci są oddalone o wiele kilometrów i każda zasilana jest ze swego własnego zbiornika. W jakim celu miano by je łączyć?

Zmarszczyłem brwi; położyłaś dłoń na mojej ręce, jakbyś chciała w ten sposób zapobiec mojej irytacji.

-Ale zabierze nas pan na zwiedzanie tej drugiej sieci? - nie ustępowałem.

- To nie jest przewidziane... A zresztą, szczerze mówiąc, w porównaniu z tą tutaj, nie ma w niej nic interesującego!

Nie chciałem dać za wygraną.

- Sieć Trianon również zna pan na pamięć? Roześmiał się.

- To naprawdę nie jest trudne!

Poświecił lampą po ścianach, zaznaczając snopem ^{su}Jiatła kolejne galerie wyłobione przez jego poprzedników będących w służbie króla.

- Wie pan, znam wszystkie zakątki każdej fontanny i wszystkie przyłączone do nas sieci: Saint-Cloud, Marly, Wersal...

— A zatem wie pan z pewnością...

Omówiłem wszystko nie wygadałem. Zachęcałaś mnie do tego wzrokiem. Ale w ostatniej chwili wycofałem się. J; ' zbyt wiele osób znajdowało się na tym szlaku.

Obszedłem rzecz dookoła. Wyjaśniłem Gabrielowi, że pasjonują mnie obydwie Trianon. Spędziłem tam wieczór marzeń. Chciałbym poznać każdy metr kwadratowy, na powierzchni i pod fundamentami. Ale nie ustąpił.

—Mówię szczerze, podziemna sieć Trianon nie ma w sobie nic interesującego, proszę mi wierzyć! Trzy czy cztery galerie, węższe od tych tutaj, z których każda prowadzi do jednej fontanny. Nie można tam dotrzeć przez bramę, jak tutaj: trzeba podnieść właz i zejść po drabinie. Wróćmy do głównego biura, pokażę państwu plany.

Poprowadził nas na ulicę Robert-de-Cotte. Dzięki brukowanemu dziedzińcowi i porośniętym bluszczem ścianom główne biuro hydraulików przypominało z zewnątrz pałac. Ale w środku budynek podobny był raczej do starej przychodni w Rumunii. Popękana farba, żeliwne kaloryfery, dające słabe światło plafoniery z początku chlubnych lat trzydziestych.

Gabriel Esteban usiadł za swoim biurkiem, poplamionym atramentem metalowym stołem ze skrzynią z szufladami. W świetle czterdziestowatowej żarówkowej opalona twarz przybrała oliwkowy odcień.

Jedynym, co oświetlało to pomieszczenie, była pasja hydraulika. Rozwinął na stole plany, opuścił na piersi zawieszony na łańcuszku ciemne okulary i pokazał nam trasę, którą właśnie przeszliśmy.

Położył obok siebie plan podziej mi wersalskiego parku - „całościowej i dobrze pomyślanej sieci oraz sieci Trianon, „zbudowanej szybko i bez wiek

szych środków". Sieć Wersalu przypominała na papierze plan wielkiego miasta, płataninę wszelkiego rodzaju serpentyn. W porównaniu z nią sieć Trianon wyglądała jak obraz Mondriana. Kilka czarnych kresek rozdzielających czerwone i niebieskie kwadraty. Trudno mi było rozpoznać podziałkę.

- A gdybyśmy nałożyli na ten plan budynki, to gdzie na przykład byłby Grand Trianon?

- Tutaj! - pokazał, dotykając prawie pustej dolnej części planu.

- Ale przecież pod budynkiem są jakieś tunele?

- Tylko od strony Trianon-sous-Bois... Nie ustępowałem:

- Czy nie może istnieć korytarz wychodzący od jednego z tuneli i biegnący pod głównym budynkiem? Uniósł brwi.

- Dłaczego chce pan, żeby korytarze biegły pod głównym budynkiem? Z drugiej strony nie ma fontann!

- Nie wiem! Na przykład mógłby tam być korytarz prowadzący do ukrytej komnaty!

Po raz kolejny spojrział na mnie złym okiem, jak besztający syna ojciec. Jakby on, drobny hydraulik od wersalskich fontann, odczuwał przyjemność w karceniu swojego -króla".

- Ach, więc o to chodzi! Pan także szuka tajemnych przejść! Podobnie jak moje dzieciaki wierzy pan w Hogwart! Już od trzystu lat ludzie badają Wersal w poszukiwaniu kryjówek i ukrytych drzwi. Są... ale nie pod ogrodami!

Uderzył dłonią w znajdującą się za nim ścianę, potem w przykrytą szarym linoleum podłogę.

- Panie Barrett, to kwestia zdrowego rozsądku! Czy wyobraża pan sobie, że Ludwik XIV za każdym razem, gdy chce się dostać do ukrytej komnaty, prosi swoich ogrodników, żeby zabrali go do podziemnych korytarzy? Musi pan

*przyznać, że byłoby to bardzo skomplikowane i o wiele mniej bezpieczne niż kasa pancerna!
Byłem zawiedziony, a ty miałaś kwaśną minę. Wchun" gdy hydraulik odprowadzał nas do drzwi, w
mojej głowie zadźwięczał krzyk Kevina. Ten sam, który rozlega się za wsze wtedy, gdy wygrywa ze
mną w grach wideo.*

- Game over, daddy! Game over!

Lecz tym razem nie miałem zamiaru przyznać mu racji. Po zapadnięciu nocy wrócę do Trianon.

W restauracji było tłoczno, lecz Emma natychmiast dostrzegła Graniera. Prowadził konwersację z blondynką w średnim wieku. Na jego twarzy malował się konspiracyjny uśmiech. Siedział naprzeciw swojej rozmówczyni, na drugim końcu tarasu, przy stoliku dosuniętym do szyby stanowiącej ochronę przed wiatrem. Po prawej stronie rozciągała się zatoka Ar-romanches, która w rytm odpływu odsłaniała swój metalowy szkielet - tę przystań zbudowaną tu przed sześćdziesięcioma trzema laty przez aliantów, żeby umożliwić wylądowanie sprzętu. Dzisiaj rdzewieje niszczona przez fale. Rewanż morza za okrucieństwo.

Towarzyszka Graniera, mimo siwiejących włosów, była elegancka i dobrze zbudowana. Emma podziwiała jej umięśnione ramiona i wypiętą pierś. Kobieta odwróciła krzesło i wysunęła nogi wzdłuż stołu. Opinające je długie wąskie spodnie nadawały jej sprężysty wygląd. Bez wątpienia jakaś dobra sportsmenka. A raczej była sportsmenka. Ponieważ Jej twarz, opalona, ale naznaczona zmarszczkami, zdradzała wiek. Około sześćdziesiątki.

- Dzień dobry, Jean-Philippe! - powiedziała zadyszana Emma, podchodząc do stołu.

Trzysta metrów dzielące hotel Overlord od baru La Mannę pokonała szybkim krokiem.

- Emma! Już pani jest! Biegła pani! Musi pani biegać iszczę szybciej, niż pani pływa!

Emma nie miała ochoty prowadzić rozmowy z wyszukaną galanterią. Odwróciła się w stronę znajomej Graniera, by się jej uklonić. Widząc z bliska jej twarz, stwierdziła, że zna tę kobietę, że już ją gdzieś spotkała. Ale Granier ją uprzedził.

- Emmo, to jest Lydie. Lydie, to Emma - wyrecytował. Ani słowa więcej. Granier nie znosił konwenansów i nie ukrywał tego.

Nie dając żadnej z nich czasu na odpowiedź, ciągnął:

- Ale ze mnie idiota, przecież wy musicie się znać, bo obie bierzecie udział w tym samym kongresie! Emmo Shan-non, to jest Lydie Besson. Lydie, to jest Emma.

- Byłam dziś przed południem na pani wystąpieniu - zaczęła Lydie Besson.

Nagle Emma przypomniała sobie, gdzie ją wcześniej spotkała: w szkole baletowej Opery Paryskiej. Jest jej dyrektorem.

- Oczywiście jest pani mamą Rebeki Shannon.

- Tak, spotkałyśmy się chyba podczas zapisów. Jak również na ostatnim spektaklu, *Jeziro łabędzie*. Bardzo miłe wspomnienie. Przyjechałam z San Francisco i nie żałowałam.

- Wiem, że nie jesteśmy tu po to, by mówić o pani córce, ale ona dokonuje cudów. Pokładam w niej wielkie nadzieje. - I dodała, zwracając się w stronę Graniera: - Oto tancerka, która od najmłodszych lat zrozumiała, że tajemnica sukcesu to praca, praca i jeszcze raz praca.

Emma zacisnęła zęby. Jak tylko dyrektorka szkoły dowie się, że jej praca poszła na marne, że teraz Rebecca woli niańczyć dziecko, niż tańczyć, to się załamie. Nie zamierzała jednak mówić o planach córki. To, że Rebecca rezygnuje ze swoich życiowych planów, wykraczało poza jej wyobrażenia. A poza tym czy to pewne, że jest w ciąży? Ich rozmowa trwała tak krótko, że Emmie naprawdę trudno było uwierzyć w tę historię.

Granier wziął od sąsiedniego stolika wolne krzesło i postawił przed Emmą. Piękne krzesło z gładzonego ciemnego drewna, wyściełane niebieską poduchą z wizerunkiem La Marine. Amerykanka chciała powiedzieć, że nie ma czasu usiąść, ale jej przerwał.

- Marielle, jedną cafe-noisette*! - poprosił kelnerkę niosącą do sąsiedniego stolika garnek z małżami. - Dobrze zamówilem?

Emma przytaknęła i przysiadła na brzegu krzesła.

- Zostanę tylko minutę - szepnęła, wciskając komórkę do kieszeni. A zwracając się do dyrektorki opery, dodała: - Rebecca dużo pracuje, wie pani o tym. I to co najmniej od dziesięciu lat. Wiedzie życie zakonnicy.

Wymówiła te słowa całkiem odruchowo, nie wzięwszy pod uwagę nowej sytuacji. Zagryzła wargi i odwróciła się w stronę Graniera.

- Balet to bardzo wymagający zawód, pan też o tym dobrze wie.

Próbowała przekazać mu spojrzeniem, jak pilnie chce z nim rozmawiać. Lecz powieściopisarz nie rozumiał. Zamiast niego odpowiedziała Lydie:

- Och, Jean-Philippe zna to wszystko na pamięć! Jedna z jego siostrzenic jest gwiazdą baletu! Zna operę jak własną kieszeń.

Granier przytaknął, uśmiechając się kącikiem ust.

- Naprawdę? - podjęła temat Emma.

- Widzi pani, ja jestem bardzo eklektyczny - odpowiedział. ~ Bywam we wszystkich środowiskach. W ten sposób znajduje temat do swoich powieści. Wszędzie tam, gdzie jest piękno! ~ zakończył, uporczywie wpatrując się w biust Emmy.

Młoda kobieta zerknęła na zegarek w komórce. 19.30. ^ak Granier mógł w takiej chwili żartować? To paradoksalne, Café-noisette — czarna kawa z niewielką ilością mleka.

lecz nie potrafiła mieć mu tego za złe. Uważała, że jest osobą, która potrafi zbić z tropu. Sybaryta i człowiek rozczarowany. Bezceremonialny, ale płodny. W każdym razie interesujący. W innych okolicznościach, gdyby była wolna... Ale przecież nie po to tu przyszła.

- Jean-Philippe, muszę pana o coś poprosić. To pilne. Ani drgnął. Trudno, porozmawia z nim przy bylejakiej tancerce.

- Zgadza się na wszystko z góry - śmiejąc się, odpowiedział pisarz. - O ile tylko pozwoli mi pani powtórzyć zdjęcia! Emma nie potrafiła powstrzymać zniecierpliwionego uśmiechu.

- Proszę mówić. Co mogę dla pani zrobić? - powiedział cicho, zaglądając jej głęboko w oczy.

Spostrzegł zniecierpliwienie Emmy i usiłował ją uspokoić. Skoro humor nie działał, spróbował czarować.

- Jean-Phi, zostawiam was samych - przerwała mu Ly-die. - Do zobaczenia później. Spróbuję znaleźć jakiś środek transportu do Paryża. Do widzenia, pani Shannon. Zobaczymy się w operze, prawda?

- Bardzo chętnie. O ile wydarzenia na to pozwolą!

Emma miała wrażenie, że czuje na swych barkach napięcie, które ciąży nad światem. Zarówno pisarz, jak i dyrektorka opery nie okazywali żadnego niepokoju. Czy znają rozmiar dramatu?

Granier patrzył za oddalającą się znajomą, wziął lampkę wina i upił łyk, nim zwrócił się do Emmy:

- Pewnie wczoraj przed południem brała pani udział w jej wykładzie. Prowadziła jeden z warsztatów z oficjalnego programu: „Postawa ciała a wiara w siebie”, o ile dobrze pamiętam. Muszę powiedzieć, że miło było popatrzeć. Te wszystkie kobiety starające się chodzić z piersiami wypiętymi¹¹¹¹ do przodu! To znaczy, pani to nie jest potrzebne.

Emma nie potrafiła dłużej kryć zniecierpliwienia.

- Jean-Philippe, proszę, niech pan przestanie! Muszę wiedzieć, czy może mi pan pożyczyć samochód!

Nim jeszcze zdążył odpowiedzieć, wyjaśniła mu, dlaczego koniecznie musi jechać do Wersalu. Bliscy Dana są przekonani, że ona jest jedyną osobą, której mógł powierzyć linie kodu umożliwiającego zamknięcie backdooru. Zamiast otwarcie jej o tym powiedzieć, rozsiewał wskazówki, których znaczenia w danej chwili nie rozumiała. Na przykład „Le Nôtre”, który „uratuje świat”.

- Przed chwilą, gdy zostawiałam klucz w recepcji, przypomniało mi się inne zagadkowe zdanie. Rok temu, kiedy spędzaliśmy wspólny weekend, Dan zobaczył, jak chowam w misie koło drzwi klucz od naszego bungalowu. Rozbawiło go to. Powiedziałam: „Robię tak samo jak Ingrid Bergman w *Indiscreet*, pamiętasz ten film?”. Odpowiedział mi wtedy: „Każdy ma swoje odniesienia. Ja, tak jak Ludwik XIV, klucze do świata zdeponowałem w Wersalu”. Granier słuchał z zaciekawieniem.

- Barrett uwielbiał Wersal, wiem o tym - skrzywił się. - Któż by miał o tym wiedzieć, jeśli nie ja! Kazał mi przeszukać od góry do dołu Grand Trianon, żeby znaleźć oryginalne plany ogrodów. Robota głupiego. I nic nie wskóraliśmy... Nagle wydało się Emmie, że poczuł się niezręcznie, wymawiając ostatnie słowa. Przysięgłaby, że pomyślał o towarzyszącej im tego dnia szwedzkiej konserwatorce. Czy wiedział coś na temat jej śmierci?

- To prawda, że podsycił pan jego pasję - ciągnęła. ~ Ale wie pan, to niepowodzenie nie uprzedziło go do Wersalu ! A nawet tak bardzo zakochał się w Wersalu, że w końcu kupił tam sobie willę. Wspaniała! Zaprosił mnie tam dwukrotnie. Lecz Amelia nie znosiła tego pałacyku. Więc uczynił z niego swoje schronienie, swoją własną posiadłość. Gdyby chciał ukryć linie kodu w jakimś tylko sobie znanym miejscu,

z dala od współpracowników lub rodziny, to miejsce nadawało się do tego idealnie.

- Rozumiem - powiedział Granier z poważnym, niemal uroczystym wyrazem twarzy. - Oczywiście, że pożyczę pani samochód! Ale nie mogę pozwolić, żeby jechała tam pani sama.

- Nie jestem sama, jest również Pierre Chavannes... ponieważ jeśli nawet znajdę antidotum, z pewnością nie będę umiała się nim posłużyć. Niewiele znam się na programowaniu. Dla Pierre'a będzie to dziecinnie proste.

Pierre! Nagle Emma zorientowała się, że nie poprosiła, aby na nią zaczekał. Kiedy jedli obiad, zastanawiał się, w jaki sposób zabierze stąd sprzęt. A jeśli znalazł już rozwiązanie?

- Mimo to lepiej, żebym wam towarzyszył - powiedział Granier.

Przytaknęła i wybrała numer telefonu Pierre'a. Zajęte. Rozmawia czy po raz kolejny linie są przeciążone? Zadzwoń do jego pokoju. Z takim samym rezultatem.

- Jean-Philippe, proszę posłuchać, biegnę do hotelu Muszę go znaleźć.

- Idę z panią. Skorzystam z okazji, żeby spakować lizkę.

Recepcjoniści byli w stanie podać jej tylko jedną info cję: Pierre nie uregulował rachunku za hotel. A zatem raczej nie powinien był opuścić Arromanches. Jeden z pracowników widział go wychodzącego z hotelu, ale nie wiedział, dokąd poszedł. Co robić? Gdzie go znaleźć? Już miała usiąść w jednym ze stojących w holu foteli, gdy zobaczyła dwu techników zamykających drzwi dużej sali konferencyjnej.

- Przepraszam... Czy wiedzą panowie, gdzie jest Pierre-- zapytała spieszenie.

- Zdaje się, że miał ochotę na dobry stek - odpowiedzi starszy z nich.

- Pewnie poszedł do La Marine - dodał ten drugi-

- Dawno?

- Chyba z pół godziny temu - odrzekł pierwszy, spoglądając na zegarek.

- I pomyśleć, że stamtąd wracam! - rozłościła się Emma.

Musieli się minąć. Albo on usiadł w środku, podczas gdy ona była z Granierem na tarasie. Nieważne. I tak widziała w tym splocie złych okoliczności złowróżbny znak. Wyszła z hotelu i zaczęła biec do La Marine ulicą, którą właśnie przyszła.

- Szuka pani kogoś? - zapytała stojąca koło kasy kobieta w dobrze uczesanym koku, która pomimo tłoku zauważyła wejście Emmy.

- Tak. Kogoś, kto chciał zjeść stek - odparła Emma, przemierzając wzrokiem pomieszczenie.

Właścicielka La Marine uśmiechnęła się:

- Samotny wysoki mężczyzna, brunet, trzydzieści pięć, czterdzieści lat?

- Właśnie.

- Rozmawiałam z nim. Nie mamy już mięsa. Ze względu na wydarzenia nie było wczoraj dostawy! Ale klienci zadowolają się rybami. Zresztą to mało powiedziane, że się zadowolają! Mamy dzisiaj miętusa w koszulce, sos waniliowy, gotowaną kapustę z masłem...

- Już go tu nie ma?

- Zjadł w piętnaście minut. Nie chciał mojego miętusa. Powiedział, że musi jechać na cmentarz Colleville, zdaje się.

- Na cmentarz? O tej porze?

~ O ile dobrze zrozumiałam, miał tam coś do zrobienia.

~ Ale czym pojechał?

~ Miał, zdaje się, ciężarówkę do przewozu sprzętu. Nie wystarczająco paliwa, żeby dojechać do Marsylii, ale ville jest tylko piętnaście kilometrów stąd.

281

Emma podziękowała właścicielce restauracji i pobie do hotelu po Graniera.

- Co za idiota! - wykrzyknął pisarz. - Cmentarz w Co" leville! W takich okolicznościach uprawiać turystykę!

„Turystyka” to nie był wyraz, którego użyłaby Emma.

- Wie pan, ja także zamierzałam tam pojechać z córką, która miała przyjechać jutro. Chciałyśmy spędzić trzy dni w tym regionie. To wspaniałe miejsce, naprawdę żałuję, że muszę stąd wyjechać.

- Tak, wybrzeże jest cudowne. Zwłaszcza jadąc w kierunku północnym: Cotentin, Goury, Barfleur... To dzikszerebusy. Tutaj jest trochę za dużo amerykańskich flag.

Granier natychmiast spostrzegł swoją gafę. Albo udawał, że ją dostrzegł.

- Ależ ze mnie grubianin! Zapomniałem, że jest pani Amerykanką.

- Tylko w polowie.

- A więc to dobra połowa. Czy mogę liczyć na wybaczenie?

Emma uśmiechnęła się do powieściopisarza. Nie miała mu tego za złe. Po prostu, jak u wielu Francuzów, występowała u niego odruchowa reakcja anty amerykańska. Dotyczy to zwłaszcza świata kultury. Tym wszystkim intelektualistom niełatwo jest uznać, że ich rodacy szaleją na punkcie *Gwiezdnych wojen* oraz że *Titanic* był filmem, który w całej historii kina najlepiej sprzedał się we Francji. Albo co gorsza, że ich dzieci po zakończeniu seansu zabiłyby matkę i ojca, byle tylko iść do McDonalda.

Nie mogła nawet mieć mu za złe tego, co powiedział na temat Pierre'a: nawet ona nie mogła sobie wyobrazić, jak to możliwe, że w tych okolicznościach jej dawny kolega z pr^{si} cy „przepuszcza” trochę cennego paliwa, żeby móc oddać si? rozmyślanom nad grobami amerykańskich żołnierzy-

- Więc co robimy? - zapytał powieściopisarz, kładąc dłoń na nadgarstku Emmy. - Ruszamy bez niego?

282

Młoda kobieta spróbowała się uśmiechnąć.

- Już to panu tłumaczyłam. Potrzebuję jego umiejętności.

0 mało nie powiedziała: „potrzebuję go”. Ale nie miała najmniejszej ochoty, żeby Granier domyślił się, co wydarzyło się między nimi. Z troski o swoje prywatne życie - pomyślała. Ale również dlatego, że powieściopisarz nie był jej nie-miły, nawet jeśli źle odczytywała jego motywację. Próbuje ją uwieść czy tylko udaje? Czy jest szczery z tym swoim ironicznym uśmiechem, który systematycznie, pomiędzy jednym zdaniem a drugim, pojawia się na jego ustach? Nawet te jego pełne niedomówień spojrzenia wydają się przesadzone; ona nie może być kobietą w jego typie, mężczyzny, który spotyka się z gwiazdami kina i czterdziestokilogramowymi modelkami. Był od niej o ponad dziesięć lat starszy, ale to ona była dla niego za stara.

- Więc jedziemy po niego?

- Mogą spróbować do niego zadzwonić - powiedziała Emma, przeszukując torebkę w poszukiwaniu komórki.

- Są małe szanse, że telefony działają.

1 rzeczywiście, nie udało się uzyskać połączenia.

- Ma pan rację. Jedźmy tam - kontynuowała Emma, zamykając torebkę. - Miejmy nadzieję, że nie minimy się znowu. Wie pan, jaką drogą jedzie się do Colleville?

- Oczywiście. Jest tylko jedna i znajduje się zaraz obok. Byłem tam w ubiegłym roku. Kręcili film, którego scenariusz oparty jest na jednej z moich powieści zatytułowanej *Różowy r°u>er*. Arditi grał rolę chrześniaka Jeana Moulina. W ubiegłym miesiącu na France Télévisions obejrzało go dziewięć milionów widzów. Strzał w dziesiątkę! Zresztą właśnie

Ccą w Nicei ciąg dalszy, byłem tam przez trzy dni na po-Czątku tygodnia.

Emma spojrzała na Graniera z zaciekawioną. Wczoraj, °-y wspomnieli o śmierci Kathrin Strandberg, utrzymy-

wał, że we wtorek wieczorem nagrywał audycję w Paryżu, Zastanawiała się, czy policjanci, którzy prowadzą śledztwo w sprawie śmierci Kathrin Strandberg, pomyśleli o tym, żeby go przesłuchać.

25

- Dan, zobacz! Tęcza!

Pochylona nad fontanną w sali balowej, podekscytowana jak mała dziewczynka w cyrku, pokazywałaś palcem tryskającą z amfiteatru kaskadę. Promyk słońca, wpadający u dołu wodnej zasłony, rysował tę degradację kolorów, która wywoływała u ciebie okrzyki podziwu: wstęga żółta, czerwona, w kolorze indygo oraz fioletowa tańczyły w rytm menueta Lullyego... turyści, którzy uczestniczyli w pokazie fontann, wpadali w zachwyty na widok importowanych z Madagaskaru muszli przy twierdzonych do stopni za pomocą niewidzialnych mosiężnych drutów. Boskiet Rocailles, który tamtego popołudnia stał się sceną baletu wody i słońca, najpierw był hymnem do nowych kolonii Ludwika XLV.

Słuchając *chaconne Amadis*, zazdrościłaś Królowi Słońce i jego dworowi.

- I pomyśleć, że oni tu tańczyli, w blasku księżyca! Uwielbiałabym to!

Gabriel, główny specjalista od fontann, podsycił twoją n°-niętność, opowiadając ci o tajemnicach nocnych balów. W centrum tej sali balowej pod gołym niebem, na otoczonej niewielkim kanałem marmurowej platformie, znajdowali się tancerze. Powyżej wodospadu, skupiona w półokręgu, ^edziała orkiestra. Widać tam było jeszcze trzy przy ozdobne muszlami sadzawki. Na otaczających scenę pozłaca

II

nych gerydonach ustawiono świeczniki i pochodnie. Naprzeciwko, w drugiej połowie amfiteatru, znajdowały się ławki dla widzów.

Niebo nie było takie ciemne jak kilka godzin wcześniej, kiedy zwiedzaliśmy podziemne galerie. Nawet słońce przebijało się przez chmury, malując na wodzie efemeryczne świetlne obrazy.

Wczesnym popołudniem Gabriel Esteban zabrał nas swoim kangoo z obrotowym ostrzegawczym pomarańczowym światłem, oznakowanym skrótem Wersalskich Służb ds. Fontann, do Boskietu Rocailles. Usiadłaś koło niego z przodu. Ja zająłem miejsce w bagażniku. Zmieszany hydraulik przeproszał.

- Proszę mi wybaczyć, panie Barrett, że w ten sposób pana traktuję... W dodatku jest to niezgodne z przepisami!

Prawdę mówiąc, mało mnie obeszło, że Esteban potraktował mnie jak giermka. Przyczyna mojej irytacji była całkiem inna. Właśnie przyszło mi coś na myśl i nie mogłem z tobą o tym porozmawiać. Nie ma podziemi pod komnatą Madame de Maintenant? Zobaczymy! Bez wątpienia hydraulik, który tak twierdzi, zna teren lepiej ode mnie, zaś jego plany przeczą mojej hipotezie. Ale myli się, byłem tego pewien. Jeszce tego wieczoru będziemy mogli sprawdzić, czy istnieją podziemia prowadzące do ukrytego gabinetu!

Gabriel mówił, ty go do tego zachęcałaś, ja tupalem z niecierpliwości. W trakcie ostatniego w tym sezonie po-kazufontann nasz przewodnik odpowiedzialny był za strefę południową, niedaleko Boskietu Bachusa. Przechodząc od jednej fontanny do drugiej, opisywał z najdrobniejszymi szczegółami system zasilania w wodę, który funkcjonuje od XVII wieku: system grawitacyjny, czyli działający bez żadnej pompy, prawdziwy wyczyn w tamtych czasach. Najwyższefontanny pełniły rolę zbiorników dla umieszczoni

poniżej. W regularnych odstępach hydraulik wyjmował metrówkę, żeby zmierzyć poziom wody w sadzawkach, za które był odpowiedzialny.

- Proszę mi wierzyć, zawsze może zdarzyć się jakiś incydent! Ryby wessane razem z wodą z Wielkiego Kanału mogą zatkać rurę... Wiecie, że w ciągu dnia zużywa się ponad dziesięć tysięcy metrów sześciennych wody? Wyobraźcie sobie, jakie nieczystości się wywozi!

Patrząc na huczące fontanny, szukałem okazji, żeby go pozbawić twojego towarzystwa. Niebieskie, białe i tęcze wodne błyski wlatywały w niebo, opadając delikatnymi naszyjnikami pary wodnej na alejki, które widziałem już przy każdej pogodzie i które tak dobrze znałem. Tutaj Fontanna Flory, tam Boskiet Kolumnady... Chciałem pozbyć się hydraulika i nie zrobiłem tego zbyt zręcznie. Pamiętasz?

- Emmo! Chodź, chciałbym tylko ci coś pokazać - zawołałem nagle.

I pod adresem Estebana:

- Przepraszam, chciałbym na kilka chwil zabrać moją przyjaciółkę do Boskietu Girandole. Kiedy oddalaliśmy się, opowiedziałem ci, jak pewnego wieczoru podczas treningu zgubiłem tu okulary. Sądziłem, że włożyłem je do kieszeni. Następnego ranka, kiedy wracałem na to miejsce, żeby ich poszukać, zaczęła padać śnieg. Staralem się opisać ci ten wspaniały spektakl: zasypiający pod śniegiem Wersal, znieczulony płatkami, które opadając powoli, otulały ogród! Przechowuję tę chwilę w mojej pamięci.

Przyglądałaś mi się zaskoczona. Zbyt dobrze mnie znałaś, żeby się nie domyślać, że ta historia z okularami - choć Prawdziwa - jest tylko pretekstem.

- Don, co się dzieje? - zapytałaś, gdy tylko znaleźliśmy się w odpowiedniej odległości od hydraulika.

- Chciałem z tobą porozmawiać. Wiem, jak znajdziemy drugie wejście do tunelu!

Doszliśmy do zdobięcego boskiet bukietu metalicznych kwiatów. Zrobiłaś wielkie oczy. Punkt dla mnie.

- W jaki sposób?

- Dziś wieczorem wrócimy do Grand Trianon. -Ale przecież nie mamy kluczy ani pozwolenia...

- Przed samym zamknięciem ukryjemy się w ogrodach. I pozwolimy, żeby nas zamknęli!

-Alepo co?

- Zobaczysz. Weźmiemy ze sobą radar. Ten, którego używałem z Granierem. Przywiozłem go w bagażniku.

Zmarszczyłaś brwi, złościąc na czole długą pionową zmarszczkę.

- I pójdziemy pokręcić się pod oknami Madame Maintenant.

Najwyraźniej nadal nie rozumiałaś. Byłem niemal zawiedziony.

- Tunel, który wychodzi z apartamentów - wyjaśnile - musi przechodzić pod ogrodami, prawda?

Wreszcie zobaczyłem wyraz ulgi na twojej twarzy, reagowałaś.

- Chcesz powiedzieć, że wystarczy wykryć go z zewnątrz za pomocą radaru, a potem iść wzdłuż niego, żeby znaleźć drugie wejście?

- Właściwie. I moim zdaniem nie zajmie nam to całych godzin. Mamy do przesondowania kilkadziesiąt metrów kwadratowych trawnika lub klombów, to wszystk Wiem dokładnie, gdzie znajduje się pokój, z którego chodzi tunel.

W moim umyśle była tylko jedna przeszkoda: konie-ność zaczekania, aż zapadnie noc. Na koniec września nu nastąpi to przed dwudziestą pierwszą.

Czekałem cierpliwie - wiesz, jakie to dla mnie trua ne... -pozwalając się porwać pięknu widowiska.

Myślę leń o królu, o tym królu, który ujarzmił wodę. O tym

lu-bogu modelującym kształt ziemi. Tym królu-bogu, panu wód, potężniejszym niż władca ognia, ponieważ woda, wiesz o tym, zawsze jest silniejsza od płomieni. One wyczerpują się, po czym gasną, zostawiając tylko popiół i zgliszcza. Woda zaś rozlewa się, tryska, błyszczy, dając życie. Król, który ujarzmił wodę, był panem życia. Gdyby Ludwik XLV rządził dzisiaj, na początku XXI wieku, czego chciałby być panem? Jakie źródło życia chciałby uczynić sobie poddanym? Może nadał wodę?

Bowiem prognostycy już dziś głoszą: za kilkaset lat na naszej spragnionej planecie nie będziemy walczyć o ropę, tylko o wodę. Jak Ludwik Wielki w swoich ogrodach.

O 17.15 wszyscy fontannowi hydraulicy ustawieni w szeregu pomiędzy Sadzawką Smoka a Sadzawką Neptuna unieśli „zamykaną na klucz studzienkę”, rodzaj miniaturowej studzienki ściekowej. Nasz znajomy Gabriel był między nimi: na potrzeby finału został przydzielony do „wielkiego wodotrysku”, wyróżnienie należne jego randze. Każdy umieścił w ziemi swój klucz wiolinowy, rodzaj dużej metalowej różdżki, i zaczął go obracać. Dokładnie o 17.20 zasuwę się otworzyły.

Gabriel nas uprzedził: przez dziesięć minut Neptun będzie płonął. Lecz nie spodziewałem się takiego wybuchu. Kiedy zobaczyłem jak z tej olbrzymiej, największej w parku sadzawki, w rytmpassacaille, strzela ku niebu około czterdziestu pionowych wodotrysków, zacząłem bić brawo. Całkiem mimowolnie, ponieważ -jak często mi to wypominasz ~ nigdy nie biję brawa. Mój chłopięcy entuzjizm sprawił, że wybuchnęłaś śmiechem.

Nadal myślałem o Ludwiku XLV i jego wodnych sztucznych ogniach, kiedy kilka godzin później ty i ja przesuwaliśmy się w ciemnościach ogrodów Grand Trianon. Zapadła „szó, szliśmy, nie rozmawiając ze sobą. Pamiętam, że zastanawiałem się nad motywacją króla: czego tak napraw

dę wtedy chciał? Po prostu kontemplować tryskającą wodę czy też cieszyć się ze swojej zdolności ujarzmania natury? Cieszyć się samym widowiskiem czy też cieszyć się ze spój-rzeń innych na autora tego widowiska? Jeśli rzeczywiście uważał się za Stwórcę, czy musiał - chcąc znaleźć wzór na istnienie Boga - przystąpić do bitwy i zwyciężyć wodę?

Nie mieliśmy żadnych problemów, żeby ukryć się w ogrodach przed ich zamknięciem. Wystarczyło nie posłuchać poleceń strażników. Bawiło cię to. Mnie zresztą też, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, i to być może po raz pierwszy w życiu. Nigdy wcześniej nie czulem tego przyjemnego dreszczyku, którego inni doświadczają, łamiąc jakieś zasady. Tego wieczoru było inaczej. Być może z powodu twojej obecności oraz dlatego, że bawiłem się z tobą w dżentelmena włamywacza. O ileż bardziej upajający dreszcz od tego, który zazwyczaj odczuwam, a który polega na podpisaniu czeku, kiedy chcę coś otrzymać. Z większą lub mniejszą liczbą zer przed przecinkiem.

Chodziliśmy długo, wzdłuż i wszerz, z radarem w ręku. Podobni do tych badaczy morskiego brzegu, którzy w środku lata przeczesują kilometry plaży w nadziei na znalezienie pierścionków, zegarków, łańcuszków oraz innych metalowych elementów zgubionych przez letników w piasku. Zauważyłaś absurdalność tej sceny: najbogatszy człowiek na świecie wygląda, jakby z zapalem sondował ziemię w P^o szukaniu kilku zgubionych euro.

Spędziliśmy noc wokół Grand Trianon. Noc niewdzięcznej, męczącej i bezowocnej pracy. Ponieważ radar ani razu nie zaczął drgać. Po raz kolejny musiałem przyznać, że się pomyliłem. A rozczarowanie sprawiło, że stałem się agresywny.

- Dan! - powiedziałaś, żeby mnie uspokoić. - Jata że chcę wierzyć w istnienie tego tunelu, ale być może zos wyżłobiony zbyt głęboko.

Bez wątpienia miałaś rację. Radar nie sięgał powyżej trzech metrów głębokości. A przecież istniały pod Grand Trianon piwnice, w podziemiu były piwnice dwumetrowej wysokości. Tunel, który razem z Kathrin i Granierem widzieliśmy na ekranie radaru, musiał być po prostu widoczny tylko w swym początkowym odcinku, gdy przechodził pod piwnicą. Dalej schodził z pewnością bardzo głęboko, w każdym razie zbyt głęboko, żebyśmy mogli zbadać go poprzez sondowanie z powierzchni trawników przed zameczkiem.

- A gdybyś opowiedział tę całą historię wersalskim kustoszom? Gdybyś spróbował przekonać ich do rozpoczęcia poszukiwań, żeby dotarli do tunelu pod komnatą Madame de Maintenant?

- Nigdy! To będzie trwało dziesięć lat. Znasz ludzi z Ministerstwa do spraw Zabytków.

O piątej rano obwieściłem ci, że zbuduję silniejszy przenośny radar. Model, który sięgnie dziesięciu metrów. Jeśli będzie taka potrzeba, kupię producenta radarów. To tylko kwestia tygodni.

Wtedy wybuchnęłaś. Tym razem granice twojej cierpliwości zostały przekroczone. Pamiętasz?

Schroniliśmy się wperystylu i wtedy zaczęłaś krzyczeć.

Przypomniałaś mi nasze pierwsze partyjki brydża, kiedy grałem przez dziewięć godzin, nie chcąc zrobić przerwy. I słynny weekend w Brazylii, kiedy skłoniłem cię do studiowania książki Watsona.

Wciągu trzech dni tysiąc stron napranych przez jednego z odkrywców DNA! Chciałem zrozumieć wszystko z biologii molekularnej genu. To było w Rio. deszcze cię widzę, jak siedzisz rozdrażniona na piasku plaży fjanema. Czytaliśmy razem od dobrych dwu godzin. Nagle wstałaś i ruszyłaś w stronę morza. Zrobiłaś kilka metrów, a widząc, że nie idę za tobą, odwróciłaś się.

- Nie idziesz się wykapać? Odpowiedziałem, nie podnosząc wzroku:

- Zaczekaj, myślę.

Oburzona wróciłaś i usiadłaś przed moim ręcznikiem. Po-tern nastąpiła ożywiona dyskusja o poszukiwaniu doskonałości.

- Dlaczego koniecznie chcesz skończyć ten rozdział o biologii molekularnej genu?

- Ponieważ tak zdecydowaliśmy. Kiedy zabierasz się za jakiś temat, trzeba go skończyć.

- A ty nie możesz, jak wszyscy, zadowolić się zwyczajną przyjemnością faktu odkrycia? -Nie.

- A to dlaczego?

- Ja nie szukam przyjemności, lecz sukcesu.

- Jedno może być kompatybilne z drugim.

- Przyjemność wynika z sukcesu, a nie na odwrót. Przypomniałaś mi naszą podróż na Santa Barbara,

kiedy słuchaliśmy po kolei nagrań wszystkich wykładów Richarda Feynmana na Uniwersytecie Cornella. I rejs ze znajomymi na wyspę kolo Zanzibaru. Zaprosiłem Donalda Johansona, który w salonie naszego wiejskiego domku przez pięć godzin przedstawiał nam ewolucję istoty ludzkiej. Chciałem wiedzieć wszystko na temat Orrorin, Lucy, człowieka z Tautauel...

- Sukces, Dan, sukces! Być najlepszym! - kontynuowałaś, biorąc niebo na świadka. - Ale co to znaczy: być najlepszym? Osiągnąć doskonałość, perfekcję?

- Coś więcej.

- Co masz na myśli?

- W interesach doskonałość nie gwarantuje zwycięstwa. Moja droga, żadne zwycięstwo nie jest całkowite* jeśli nie staniesz się panem swojego przeciwnika, jeśli nie stworzysz sytuacji, w której możesz nad nim zapanować, zmiażdżyć go.

- Zmiażdżyć? Dlaczego zmiażdżyć?

- Ależ dlatego, że nie ma innego wyboru! Nie wierzę, żeby w wyścigu mogło zwyciężyć dwóch przeciwników. Jeden przegrywa, drugi wygrywa. Nie ma sytuacji wygra-ny-wygrany w przeciwieństwie do tego, czego uczymy na naszych seminariach.

- Jesteś darwinistą.

- Nie, jestem binarny, po prostu binarny! Wszystkie rzeczy w życiu można sprowadzić do kombinacji zero-jedynko-węj. I ostatecznie zawsze osiąga się ten sam wynik: coś jest białe lub czarne. W środku lub na zewnątrz. Żywe lub martwe.

Nasz popis krasomówczy wypalił się. Sąsiedzi na plaży przyglądali nam się z ciekawością.

- To nieprawda! - ciągnęłaś. - Emocje, które odczuwamy, uczucia, których doświadczamy, nigdy nie są binarne. One się zmieniają. Są nieprzewidywalne. Nie dają się zaprogramować.

- Nie zgadzam się! Przeciwnie, uważam, że wszystkie neurony w naszym mózgu, odpowiedzialne za powstawanie emocji oraz postrzeganie, działają w sposób binarny. Pewnego dnia zostaną rozkodowane. Dowiemy się, w jaki sposób natura wytwarza emocje. A nawet będziemy potrafili powielać uczucia, tak jak powiela się oprogramowanie.

- Powielać uczucie... Dan, ty jesteś szalony! Nawet uczucie miłości?

- Nawet. Pewnego dnia to będzie możliwe. Znane są już niektóre geny odpowiedzialne za taką czy inną chorobę.

Byłaś sceptyczna. Tak było zawsze, gdy poruszaliśmy tego typu temat. Zresztą dużo mniej niż ja inwestowałaś w młode firmy zajmujące się genomiką i biotechnologią. Na przykład Alzacorp, tę spółkę z Reykjavíku, która odkryła gen odpowiedzialny za chorobę Alzheimera. Coś wspaniałego. Ale ty w to nie wierzyłaś.

- Dan, to jest sen! Ułuda. Uważam, że w duszy ludzkiej zawsze pozostanie jakaś nieznaną część, coś, czego nie

*da się zdefiniować ani poznać. Coś boskiego, może... Bóg? Nie wierzysz?
Pamiętam, że w tamtej chwili położyłem książkę napia. sku i usiadłem. Powoli, jakbym siedział na
bujanym fotelu, huśtałem ciałem do przodu i do tyłu.
- Bóg? - odpowiedziałem wreszcie. - Naprawdę uważasz, że nie można Go zdefiniować? Jeśli ON
istnieje, pewnego dnia znajdę na to dowód.
Teraz mogę ci wyznać, że znalazłem ten dowód.
I czy mi uwierzysz jeśli ci powiem, że tamtej nocy znajdowaliśmy się nad ukrytą komnatą królów
Francji? Wkaż-dym razie wczesnym rankiem, gdy czekaliśmy na otwarcie bramy, nadal mi nie
wierzylaś.
Wtedy po raz ostatni dzieliłem z tobą moje poszukiwania boskiego wzoru.*

Tracy-sur-Mer, Longues-sur-Mer, Port-en-Bessin, Sainte--Honorine-des-Pertes... Departamentalna droga łącząca Ar-romanches z Colleville-sur-Mer biegła wzdłuż lasu. Granier zdawał się znać każdy zakręt i tylko trochę zwalniał, przejeżdżając przez wioski. Potrzebował dwudziestu minut, żeby dotrzeć do tablicy wskazującej wejście do amerykańskiej enklawy. Stał na parkingu, kilkaset metrów dalej.

- Proszę, pani Shannon, tutaj jest pani u siebie. Emma nie zwracała uwagi na uśmiezek zadowolenia rysujący się na twarzy jej kierowcy. Była przyzwyczajona, że Francuzi biorą ją za Amerykankę, a Amerykanie za Francuzkę, zazwyczaj po to, by napiętnować wady tej drugiej strony. Śmiała się z tego i za nic w świecie nie wyparłaby się swojego podwójnego rodowodu. Ale tutaj, w tej enklawie, poczuła ogromną dumę ze swoich ojcowskich korzeni.

- Jean-Philippe, proszę na mnie zaczekać! Zaraz wracam!

Wysiadła z samochodu i szybkim krokiem pokonała kilka metrów dzielących ją od wejścia na amerykański cmentarz Wojskowy. Nigdy tu nie była, lecz wielu znajomych w Stanach Zjednoczonych opowiadało jej o tym miejscu, zbudowanym powyżej plaży Omaha, gdzie setki żołnierzy z jej kraju zginęły pod ostrzałem armatnim rankiem 6 czerwca 1944 roku. Polacie krótko przyszyżonej trawy, odpowiednio posadzone wiązki, wysadzone różami alejki: natychmiast poczuła zapach Ameryki. Od

samego wejścia wszystko tu wydawało się bardziej przestronne, nie takie ciasne jak we Francji. Pobiegła główną aleją i zatrzymała się przed stojącą naprzeciw niej świątynią w kształcie pół-okręgu. Nie miała tyle czasu, aby podejść do królującego pośród kolumn dużego pomnika z brązu. Chciała szybko znaleźć Pierre'a. Ale skąd zacząć? W jakim miejscu może się znajdować?

Wokół niej, wszędzie, pod cisami i aż do wystającego nad morze tarasu, stały krzyże. Prawie dziesięć tysięcy, wszystkie białe, umocowane w lśniącej trawie. Emma ruszyła alejką prowadzącą w głąb cmentarza. Nie potrafiła spuścić oczu z krzyży i szła, przyglądając się im, a krzyże były przed nią, po przekątnej, z tyłu. Żadna niedoskonałość nie burzyła ich klinicznego uszeregowania. Kiedyś stwierdzono, że sam ogród, widziany z lotu ptaka, ma doskonały kształt łacińskiego krzyża. Był ogrodem żalobnym i wesołym zarazem, gwałtownym i spokojnym. Skierowaną do Historii prośbą o przebaczenie, śmieszna i przejmująca zarazem.

Emma zatrzymała się, czując zawrót głowy spowodowany ciszą, zaniepokojona myślą, że wtrąca się do dialogu umarłych. Co powiedzieliby ci żołnierze, gdyby mogli mówić? Śmierć - pomyślała - przekształca ich życie w los. Przypomniała jej się ta myśl Malraux, na temat której musiała kiedyś w liceum napisać wypracowanie. Tu rozegrał się los tysięcy młodych ludzi, ale również los kontynentu, wieku.

Tu zakończyła się wojna. Nie mogła powstrzymać się od myśli, że właśnie zaczyna się następna. Wywołana zwyczajnym kliknięciem, ale jeszcze bardziej niszczycielska. Kto jest jej przywódcą? Jaki jest sens tej walki? Zniszczenie gospodarczego świata, jej świata? I co gorsze, systemu wartości? Zbudowanego na wolności jednostki oraz - czy Francuzi zgodzą się z tym czy nie - od pół wieku bronionego przez jej kraj, Stany Zjednoczone.

Stojąc nieruchomo, szukała wzrokiem sylwetki Pierre'a. W którą stronę pójść? Na zielono-białej szachownicy nie był żywej duszy. Zmusiła się, żeby wejść między krzyże.

Richard L. wirt, SGT323 bom SQ 92, Illinois, May 13 -

Leroy Kelly, North Carolina... Dunstan Perkins, New Jersey... Emma zdała sobie sprawę, że nie wszystkie groby są identyczne. Niektóre zwieńczono gwiazdą Dawida. Efraim Lew, New Jersey,... Jack Barshak, New York... Na innych nie było nazwisk.

Here rests in honored glory a comrade in arms known buttoGod...

Towarzysz broni znany tylko Bogu.

I wreszcie inne stele były świeżo ukwiecone. Emma przyspieszała kroku aż do końca osi centralnej alejki, idąc w kierunku kaplicy, jak tylko wydawało jej się, że po lewej stronie widzi pochylonego nad jednym z grobów mężczyznę. Co tam robił, przycupnąwszy między krzyżami? W chwili gdy ruszyła w jego stronę, mężczyzna wyprostował się. Obok niego stało napelnione piaskiem wiadro, dalej ścierka i skrzynka pełna kwiatów.

- Emma! Co ty tu robisz? - zawołał, widząc zbliżającą się młodą kobietę.

To był Pierre. Doszła do siebie.

- Zgadnij! Szukam cię od pół godziny! Musisz pójść ze mną.

I patrząc na przedmiot, który Pierre trzymał w ręku:

- Ale co tu właściwie robisz tym pędzlem?

Pierre Chavannes postawił bukiet kwiatów na trawie, ^a w ręku rzeczywiście trzymał pędzel. Na poziomej belce [^]zyża, na której wklęsłymi literami wryto nazwisko żołnie-[^]a, rozpostarł mokry piasek. Z otoczonych piaskiem liter, napisanych na białym marmurze złożoną czcionką, można ^b było odczytać:

Edward M. Withers, Wisconsin, July 12th 1944.

297

- Ja...

Emma nie pozwoliła mu skończyć zdania. Pociągnęła go za rękaw.

- Pierre, posłuchaj! Chyba wiem, gdzie Dan zostawił wskazówki do backdoora! Musimy jechać natychmiast! Informatyk wyprostował się zaskoczony.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wszystko ci wyjaśnię! Dalej, chodź! Granier czeka na nas na parkingu. Zabierze nas swoim samochodem.

Chwyła go za rękę i pociągnęła pomiędzy krzyże. Pierre, obciążony skrzynką i wodą, z trudem przyspieszał kroku.

Emma biegła zwinnie przed nim, w długiej beżowej spódnicy i mokasynach. Widział tylko jej włosy opadające na ramiona. Ale nagle poczuł, że chce się zatrzymać. Dlaczego biegnie za tą kobietą? Czy powinien tak ślepo za nią iść, jak wierny pies, nie zadając żadnych pytań? Dotarł do centralnej alejki i stanął.

- Emmo, możesz mi najpierw powiedzieć, dokąd jedziemy?

- Do Wersalu!

- Nie wiem, czy...

Pierre postawił sprzęt na ziemi i wyglądał, jakby coraz bardziej się wahał. Chwyła jego dłoń.

- Chodź, coś ci pokażę.

Zaciągnęła go przed półokrągły pomnik wznoszący się przed nimi. Weszła po kilku stopniach, po czym się zatrzymała.

Na ścianie przed nią wyrysowano mapy bitew, ze strzałkami i legendami wskazującymi pozycję każdej dywizji oraz jej działania. Co chce mu pokazać? I dlaczego teraz? Musi mu to wyjaśnić i powiedzieć, w jaki sposób go odnalazła. Tak dalej być nie może. On nie jest jej giermkim.

Lecz ona odwróciła się i zobaczył, jak ożywiają się J^cJ usta. Ich delikatna linia. Jej dłoń pozostała w jego dłoni. Odczuwał to pod swymi palcami jak pieszczotę. Co chce mu p^o wiedzieć? Dlaczego patrzy na niego tak, jakby...

Nie wystarczyło mu czasu, żeby zadać pytanie. Ich twarze były za blisko siebie.

Przycisnął ją do ściany i pocałował. Usłyszał jej westchnienie i pozwolił swojej dłoni, aby puściła jej rękę po to, by pieścić jej piersi.

Emma czuła, jak ogarniają pożądanie.

Ktoś odwiedzający cmentarz mógł ich zobaczyć, ale zapomnieli, gdzie się znajdują.

Pierre dał się ponieść, zachęcony wezwaniem w Emmy oczach, ruchem jej ust, jej szyją, która oddawała mu się. Cofnął twarz o kilka centymetrów i spojrzał na nią uważnie.

- Jesteś zbyt piękna.

Nie spuszczać z niej wzroku, wsunął rękę pod spódnicę, tam gdzie uda łączą się ze sobą i gdzie rodziło się już, zanim zdołała to ukryć, takie samo pragnienie jak u niego. Następnie uklęknął, zdjął jej T-shirt i obejmując rękoma w talii, obsypał pocałunkami jej brzuch w okolicach pępka. Dreszcz przebiegł po jej ciele, od krzyża aż po nasadę włosów. Zamknęła oczy. Pierre uniósł jej spódnicę, odciągnął jedwab i delikatnie zanurzył usta w ciemnym owłosieniu. Kolana Emmy zaczęły drżeć. Zagubiona, z odchyłką do tyłu głową, chwyciła jego włosy. Wtedy wstał i kochał się z nią na stojąco, plecami opartą o ścianę, ona tymczasem zagryzała wargi, żeby nie krzyknąć. Uniósł ją, objęła go nogami w pasie i tak ją trzymał. Włosy Emmy malowały się ciemną plamą na białej wapnem ścianie.

Potem, kiedy odzyskał już świadomość, wstydził się tego "emal zwierzęcego szaleństwa, tej radości, której nie sposób było powstrzymać, lecz przyjemność, którą dzielił z Emmą, była tak silna, że odpychał od siebie myśl, żeby przestać. Gdzieś tam w głębi był szczęśliwy, że znalazł tę kobietę, że ^ostał przez nią wyróżniony, że jest wcieleniem jej snu, że Umożliwił jego spełnienie. Wiedział, że wizja, którą miał na Plaży, ta postać w białej bieliźnie kłęcząca koło niego, na

za-

wsze pozostanie w jego pamięci. Że pojawi się znowu nawet wtedy, gdy zapomni już całą resztę, kiedy nie będzie już mógł uwierzyć, że ta noc miała miejsce.

Poculi razem spelnienie i dysząc, usiedli na ziemi, opierając się o ścianę. Emma pierwsza odzyskała przytomność. Zmusiła Pierre'a, żeby wstał.

- Musisz iść ze mną. Ale nie z powodu tego - powiedziała, wskazując na spódnicę, którą właśnie poprawiała. - Z ich powodu.

Wskazała brodą tysiące krzyży stojących rzędami na dawnym polu bitwy.

- Nie możesz nic zaradzić na to, że oni tu leżą, rozumiesz? Oddali swoje życie, żeby uratować naszą wolność, i masz rację, czcąc ich pamięć. Ale jeśli teraz nie pójdziesz ze mną, jeśli pozwolisz działać terrorystom, pozwolisz na budowę setek takich jak ten cmentarzy. Tysiącom niewinnych, być może milionom grozi śmierć.

Krzyknęła:

- Słyszysz, Pierre? Myśl o żywych! Rozpoczęła się nowa wojna światowa, a jej zakończenie zależy od ciebie.

- Ma pan dość benzyny, żeby dojechać do Paryża? - zapytała Emma.

Granier z powątpiewaniem patrzył na wskaźnik.

- Nie jestem pewny. Przed wyjazdem zatankowałem do pełna w Cherbourgu, ale ten samochód jest bardzo żarłoczny, a przede wszystkim nie znam go dobrze. Mam go dopiero od dwu tygodni.

- Dopiero go pan kupił?

- Szczerze mówiąc, pożyczyłem od przyjaciela. Zresztą z pewnością go znacie. Ted Dubuisson. Prowadzi show na Paris Première. Jemu konstruktorzy pożyczą każdy samochód, który chce: do jazdy próbnej!

Zaśmiał się szyderczo.

- Tym samym nigdy nie używa własnego.

I dodał, jakby odgadywał myśli informatyka:

- Ja nie mam samochodu. Szczerze mówiąc, nie jest mi do niczego potrzebny. W Paryżu, jak wszyscy, jeżdżę skuterem. Pierre pozwolił Emmie usiąść z przodu, obok Graniera. Prawdę mówiąc, nie dała mu wyboru, ale to mu odpowiadało. Przejazd zajmie co najmniej cztery godziny, a z tyłu porsche'a, najnowszego 4x4, mógł usiąść wygodniej, żeby pospać. Brak łańcuchów zaczynał mu ciążyć.

Właśnie wyjechali z Colleville, łamiąc ograniczenie prędkości. Pierre wyjaśnił im, co go zawiodło na ten duży

cmentarz: jego matka jest chrzestną trzech amerykańskich weteranów wojennych, którzy uczestniczyli w lądowaniu Pewnego dnia jeden z nich poprosił ją, żeby pojechała za niego zawieźć kwiaty na grób jednego z towarzyszy, który poległ w 1944 roku. Potem tuzin innych poprosił ją o tę samą przysługę. Przez długi czas przyjeżdżała tu na Wszystkich Świętych i spędzała na cmentarzu cały dzień. Ozdabiała grób kwiatami i przecierała wilgotnym piaskiem wyryte w kamieniu nazwisko żołnierza, żeby znowu błyszczało. Sposób na jego uwypuklenie... aż do następnej ulewy, która wypłucze piasek i na powrót pograży żołnierza w anonimowości białych krzyży. Następnie Catherine Chavannes poryła zdjęcia grobów swoim „chrześniakom”. Kiedy Pier-re był nastolatkiem, wielokrotnie uczestniczył w rodzinnej pielgrzymce do Colleville. Teraz, od czasu gdy jego matka ma większe trudności z poruszaniem się, zobowiązała ich, Pierre'a i jego siostrę, by kiedy przejeżdżają w pobliżu, kontynuowali jej misję.

- Dobrze zna pan drogę! - rzuciła Emma do Graniera, który przejeżdżając przez las, wcisnął pedał porsche'a.

Gaz do dechy. *Pedal to the metal* - jak mówią Jankesi. Emma nie lubiła nadmiernej prędkości - jak można było przypuszczać ze sposobu, w jaki uczepiła się uchwyty nad drzwiami - lecz nie protestowała. Granier lepiej by zrobił, jadąc płynnie, żeby zaoszczędzić paliwo. Przy każdym naciśnięciu na hamulec, przy każdym przyspieszeniu Pierre wyobrażał sobie uciekające ilości paliwa. Tej cennej benzyny.

- Spędzam w tym regionie co najmniej sześć miesięcy w roku, ma pani przed sobą topografa! - odpowiedział Gra nier na pytanie Emmy.

Z łokciem na wglębieniu w drzwiach, jedną ręką na ki równicy, wyjaśnił swoim znajomym, że kupił na przyładk^u La Hague „wiejski domek”.

- W Omonville-la-Petite, niedaleko Port-Racine, najmniejszego portu we Francji - sprecyzował. -1 blisko domu, w którym mieszkał Jacques Prévert.

- Coraz więcej pisarzy przeprowadza się na półwysep Cotentin. O, proszę, czytaliście ostatnią książkę Didiera De-corna? Opowiada o swoim domu na przylądku La Hague. On również uwielbia to miejsce. Zaproszę was kiedyś. Zobaczycie! Tamtejsi ludzie to prawdziwe dzikusy...

Pierre zastanawiał się, jak Granier może przeżyć pośród ludzi „dzikusów”. Nie minął jeszcze kwadrans od wyjazdu ich trójki, a kierowca zdążył już rzucić w rozmowie koło dziesiątki nazwisk gwiazd małego ekranu. Żartobliwym tonem, to prawda, lecz całość osiągnęła zamierzony efekt. A Emma zachęcała powieściopisarza, jakby cenila tę rozbryzgującą się falę *nome dropping*.

- Przepraszam, że przeszkadzam w waszej pasjonującej konwersacji, ale czy można by włączyć radio? - zapytał Pierre. Wszystko, byle nie słuchać ich gruchania. W Colleville Emma nie zawahała się przed dramatyzowaniem sytuacji, byle tylko Pierre z nią poszedł, a teraz każe mu znosić te niepotrzebne igraszki. Zastanawiał się, czy robi to celowo, żeby zapomnieć swoje niedawne podniecenie.

France Info, 22.15. Wiadomości, Hervé Chatignac.

Informacyjny *flash* sprowadził wszystkich na ziemię. Demonstracja siły terrorystów nie ustala. Miały miejsce trzy kolejne wypadki lotnicze: na Hawajach, w Wenezueli i w Szkocji- ..Ogółem pięciuset zabitych, a mogło być jeszcze gorzej" ~ mówił komentator; ponieważ spośród uczestników dwóch katastrof, które miały miejsce podczas lądowania na skutek nieprawidłowego funkcjonowania wieży kontrolnej, część ludzi ocalała. „Tylko pięćset ofiar”. Pierre wychwycił, jak niezręcznego sformułowania użył dziennikarz. Jeszcze jeden, który znajduje upodobanie w obwieszczaniu katastrof. Od trzech dni komentatorzy są rozpieszczani. Pierre pamięta pomysł,

który w jakiś pijacki wieczór podsunął Franckowi: założyć radio, które będzie podawało tylko wesole i optymistyczne informacje. Radio Dobra Nowina. Franek mu odpowiedział, że taki pomysł już istnieje. W Korei Północnej. To go uspokoiło.

Prezenter nadal wspominał o istnieniu czarnej serii. Nieszczęśliwych przypadków. Albo celowych ataków terrorystycznych. Czy to możliwe, że nie przedostała się jeszcze hipoteza o informatycznym piractwie? Trudno w to uwierzyć. W czym interesie było „chronić” ludność w tak nienaturalny sposób, podczas gdy wypadki w elektrowniach lub na lotniskach, nie mówiąc już o zgonach związanych z melatoniną, których były już dziesiątki, siały panikę w każdym z dotkniętych katastrofą krajów? Zawsze łatwiej stawić czoło niebezpieczeństwu, które można nazwać.

- Ale dlaczego oni nie mówią prawdy? - wykrzyknął Pierre.

Na France Info wspomniano o incydencie, który miał miejsce w Normandii na obwodnicy Caen. Dwa ciężarowe mercedesy przewożące dziesięć piętnastokilogramowych pojemników plutonu każdy, przeznaczonego do elektrowni w Marcoule, w departamencie Gard, które jechały jeden za drugim, miały kolizję przy wjeździe na wiadukt Calix. Oczywiście pluton jest chroniony w zespawanych futerałach, a te znajdują się w pojemnikach pokrytych pancerną osłoną, ale Greenpeace wyjaśnia, że ta ochrona, wystarczająca w normalnych warunkach transportu, nie jest odporna na ogień, głębokie zanurzenie lub upadek z wysokości powyżej dziewięciu metrów. Najdziwniejsze jest to, że te ciężarówki, kontrolowane przez system GPS, strzeżone z boku przez dwa samochody policyjne i pilotowane przez żandarmów na motocyklach, nie były - o ile wierzyć oficjalnej wersji - ofiarami akcji terrorystycznej, lecz zwykłego wypadku drogowego. Pierwszy kierowca zahamował zbyt gwałtownie, widząc przed samymi kołami zwierzę - według zeznań pierwszych świadków, dużego owczarka niemieckiego - przy wjeździe na

wiadukt, a drugi kierowca uderzył w jego tył. Droga zamknięta jest od wielu godzin, lecz w stolicy Dolnej Normandii narasta psychoza. Mieszkańcy zaczynają opuszczać miasto.

Czy terroryści mogą sterować na odległość tym wypadkiem, tą nową potencjalną katastrofą? W chwili gdy myśl ta pojawiła się w głowie Pierre'a, zastanawiał się, czy on też nie ulega psychozie. Targaly nim dwa uczucia. Z jednej strony, absolutny pesymizm: terroryści mają środki, za pomocą których mogą skreślić z mapy całe miasta, i nie zrezygnują z tego, to tylko kwestia czasu. Z drugiej strony wrażenie, że tak naprawdę to nie tego pragną: oczywiście katastrofy były dramatyczne, ale w porównaniu z tym, czym mogłyby być, brzmiały raczej jak ostrzeżenia. Forma szantażu. „Widzicie, co robimy? A więc może być tysiąc razy gorzej, jeśli nie dacie nam tego, czego chcemy”.

Tyle że na razie niczego nie zażądali...

Zanim Pierre zdał sobie z tego sprawę, zapadła noc. Jego towarzysze z przodu milczeli, bez wątplenia tak jak on zatopieni w swoich rozmyślaniach. Reflektory porsche'a rzucały arogancką wiązkę światła na pustych drogach. Emma zdawała się podsypaną z głową opartą o szybę. Pierre chętnie poszedłby w jej ślady, ale nie mógł zasnąć. Niedaleko elektrowni w Porcheville, w departamencie Yvelines, Granier oznajmił z ulgą, że mają dosyć paliwa, by dotrzeć do Wersalu. Od czasu gdy wjechali na autostradę, zrezygnował z rajdowego sposobu jazdy, ustawivszy wskazówkę szybkościomierza porsche'a na sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Z pewnością jazda porsche'a poniżej dwustu na godzinę nie była zabawna. Ale Posiadał jeszcze resztki zdrowego rozsądku.

- Jeszcze daleko? - zapytała Emma zmęczonym głosem, Przeczesała ręką włosy.

~ Najwyżej pół godziny - odpowiedział powieściopisarz.

Dwadzieścia minut później ukazał się trójkąt Rocquen-Court. Emma włączyła GPS.

- Jedziemy na ulicę Faubourg-Saint-Antoine, pod numer pięćdziesiąt siedem - rzuciła - sprawdziłam w palmo-pie. Trzeba zjechać na Wersal-centrum. O ile dobrze pamiętam, nie mamy wyjechać od strony zamku, lecz na zachód, od strony Trianon. Zresztą GPS nam to wszystko wskaże. Dan mówił zawsze, że...

Gwałtowny dźwięk klaksonu przerwał wypowiedź Emmy. Granier zaczął zjeżdżać na lewy pas dokładnie w chwili, gdy wyprzedzał go jakiś samochód prowadzony przez kobietę. Wrócił na swój pas, zręcząc na „lale, które płacą mniej za ubezpieczenie pod pretekstem, że mają na koncie mniej wypadków”.

- Ale nikt nie liczy tych, które one powodują! - narzekał, przepuszczając samochód.

Emma nie podjęła tematu. Tym lepiej, pomyślał Pierre, nie dowiedzą się, co „Dan zawsze mówił”. Denerwowało go wspomnienie eskapad Amerykanki z Barettem.

O 1.30 w nocy główne arterie królewskiego miasta by puste. W oddali, nad dachami, dostrzec można było niebieskie i pomarańczowe migotanie strzelające w niebo.

- Jakbyśmy byli w filmie Bessona - szepnął Pierre.

Natychmiast pożałował swojej uwagi, bo nie byłby w stanie tego wyjaśnić, gdyby go o to poprosili. Ale ani przyцепiony do kierownicy Granier, ani Emma, która próbowała nastawić głośniejszy dźwięk GPS, nie słyszeli jego słów.

Minęli wiele skrzyżowań, nim zrozumieli, co tworzy tę dziwną atmosferę: nie działały światła. Na jednym z bulwarów zderzyły się dwa samochody; były bardzo zniszczone. Jadące nimi osoby opuściły miejsce zdarzenia, lecz w pobliżu wyla syrena radiowozu.

Była dokładnie 2 rano, kiedy Granier zaparkował swój ^{4x4} pomiędzy jaguarem a żółtym mercedesem klasy w bocznej alejce biegnącej wzdłuż posiadłości Baretta. Z ze wewnątrz willi nie było widać. Chronił ją wysoki mur ogr^o ¹

nia. Na wysokim drewnianym portalu widniał napis: „Ta posiadłość jest chroniona metodą biometryczną”.

- Zaczekajcie chwilę, obudzę dozorcę. Otworzy mi, zna mnie - powiedziała Emma, wysiadając z samochodu.

Zadzwoiła raz, bez skutku. Potem drugi, dłużej. Wtedy natychmiast zapaliła się wiązka światła, oświetlając ją. Usłyszała głos w domofonie. Emma przedstawiła się. Wreszcie drzwi uchyliły się i ukazał się w nich młody człowiek z wąsami, kręconymi włosami, w sportowych butach nałożonych na białe stopy, który narzucił bluzę na piżamę z krótkimi spodenkami. Przez kilka chwil pertraktowała z dozorcą, po czym wróciła do auta.

- Jean-Philippe, czy może pan pomóc dozorczy otworzyć bramę? Mówi, że system biometryczny jest rozregulowany.

Granier wysiadł z samochodu i zniknął w małych drzwiach obok bramy, które młody dozorca nadal trzymał otwarte.

W tej samej chwili zaczęła wibrować zostawiona w samochodzie, na uchwycie koło tablicy rozdzielczej, komórka Graniera. Na ekranie wyświetlało się „Numer prywatny”. Emma chwyciła odruchowo telefon, żeby odebrać, po czym przypomniała sobie, że to nie jej komórka.

- Jean-Philippe, telefon do pana! Odebrać? Chwyciła słuchawkę z uchwytu, nie czekając na odpowiedź, i zbliżyła do ucha.

- Halo? - usłyszała kobiecy głos.

- Halo? - odezwała się Emma. - Czy może pani poczekać kilka chwil? Jean-Philippe Granier...

Nie zdążyła skończyć zdania: rozmówczyni odłożyła słuchawkę.

Zanim Granier pojawił się w drzwiach samochodu, za-Padła cisza.

- Nie wiem, co się stało - tłumaczyła się Emma. - Ta osoba rozłączyła się, zanim zdążyłam jej powiedzieć, że już Pan idzie! Przykro mi.

- Proszę się nie martwić. Jeśli to coś ważnego, zadzwoni jeszcze raz - odpowiedział powieściopisarz spokojnym głosem. Ponownie zajął miejsce za kierownicą ^{4x4}. Z szerokim uśmiechem na ustach. Lecz Pierre mógłby przysiąc, że sekundę wcześniej widział, jak cień paniki przebiegł przez jego oślepione błyskiem reflektorów oczy.

Skłamałbym, gdybym twierdził, że nigdy nie przestałem w to wierzyć. To prawda, że na rok zaprzestałem poszukiwań ukrytej komnaty i wzoru będącego dowodem na istnienie Boga. Lecz ta obsesja nadal była obecna gdzieś tam w mojej żywej pamięci. Dowód: dodałem do moich „alarmów” na artvalue.com kluczowe wyrazy: „podziemia Wersalu” i „Trianon”.

Pewnego wieczoru, gdy byliśmy w hotelu Hyatt w Casablance, na moim laptopie wyświetlił się alarm. Francuski dziennikarz przeprowadzał wywiad ze mną i z Amelią na temat naszych działań w walce z ubóstwem. Pytania, jak często bywało, nudziły mnie. Zbyt proste, zbyt przewidywalne. Dziennikarz chciał nas polechtać, mówiąc o konkurencji między wielkimi filantropami. Ponieważ w działalności charytatywnej również zaczęła się batalia o miejsce lidera. Coraz więcej nowych miliarderów włączało się do działań dobroczynnych. Jeszcze kilka lat temu w Dolinie Krzemowej bogaci rywalizowali - pamiętasz to - wyobraźnią i humorem, żeby zostać zauważeni. Za pięćdziesiąt tysięcy dolarów dawali skłoniwać swoją papugę lub kupowali pojazd amfibię, aby w godzinach szczytu pokonywać nim wody zatoki San Francisco... Teraz, tak jak my, inwestują w akcje cha-^tatywne. Cała biznesowa elita chce zostać Matką Teresą.

Tak więc siedziałem przed dziennikarzem w skórzanej Um fotelu z hotelu Hyatt. Jak zwykle pozwalałem mu za

rn

dawać pytania, zadowolając się krótkimi, dokładnymi i banalnymi odpowiedziami: moja taktyka - na początku przez kwadrans - aby ocenić przeciwnika, jego znajomość tematu, a także poziom inteligencji. Amelia odpowiadała na pochlebne banały. „Jak pani to robi, że jednocześnie podróżuje pani po całym świecie i zajmuje się dziećmi?” zazwyczaj miliarderzy uciekają przed biedą, a państwo nie, dlaczego?” Znane sprawy.

Wywiad ciągnął się w nieskończoność. Stan, mój doradca ds. komunikacji, przekonał mnie, że bym zgodził się na spotkanie z tym popularnym lewicowym francuskim magazynem, chętnie kultywującym wyznawany przez francuskie elity antyamerykanizm. Wahalem się, ponieważ zgadzam się udzielić jednego na sto wywiadów prasie francuskiej. Pamiętasz, to ty któregoś dnia zwróciłaś mi na to uwagę: na planie światowym prasa francuska stanowi mniej niż 1% ogółu mediów, i % udziału w rynku - jeden wywiad na sto: szybko obliczyłem, w które media ile czasu powinienem zainwestować.

Byłem porzytywany i chciałem jak najszybciej skończyć. Dyskretnie rzuciłem okiem na prywatne mejle, te, które dostaję na treo.com. Po raz kolejny nic od ciebie. Za to poczta od mojej mamy, która chce zorganizować rodzinną kolację „w ciągu najbliższych sześciu tygodni”, i drugi od mojego ojca, któremu na osiemdziesiąte piąte urodziny podarowałem prezent: dwadzieścia milionów dolarów na stowarzyszenie studentów paleontologii, którą się zajmuje.

Jego podziękowania były lakoniczne, mój ojciec nigdy nie był rozmowny. Właśnie układałem dyplomatyczną odpowiedź na mejl matki, gdy na ekranie pojawiło się powiadomienie. Nadawca: artvalue.com. Już od wielu tygodni strona nic mi nie przysłała. Prawdą jest, że nie sprzedaję się całych zastępów przedmiotów dotyczących Wersalu, Nótrea czy nawet Ludwika XIV. W przeciwnieństwie do ty

związanych z Napoleonem: w ubiegłym roku, na dwusetną rocznicę jego koronacji, wypłynęły tysiące pamiątek po cesarzu. Ale od tamtego czasu ciśnienie spadło. Nagłówek mejla sprawił mnie w zdumienie.

October 13th 2005. Christie's. Original manuscript from 20th century design queen. Trianon Villa, Versailles. 1000 dollars.

Otworzyłem wiadomość.

Przedmiotem sprzedaży był odręcznie pisany list pochodzący z 1932 roku, podpisany przez Elsie de Wolfe.

Opis był krótki. Elsie de Wolfe (1865-1950), słynna amerykańska dekoratorka, była właścicielką, w ciągu pierwszej połowy XX wieku, pięknej wersalskiej posiadłości, Willi Trianon. Posiadłość, na obrzeżach zamkowego parku, była dawnym pawilonem myśliwskim hrabiego d'Artois, młodszego brata Ludwika XVI, który w okresie Restauracji przez krótki czas rządził jako Karol X.

- Panie Barrett, czy uważa pan, że uwolnić się od ubóstwa na świecie to tak, jak uwolnić się od konkurencji?

Tym razem pytanie dziennikarza było skierowane bezpośrednio do mnie.

- Wystarczy zastosować taką samą aplikację. Determinację. Strategię. Środki. Pomiar wyników. To proste.

Już sto razy zadawano mi to samo pytanie. Odpowiedź ^{zo}stała przygotowana ze Stanem. Mówiłem, nie podnosząc Wzroku, ściągając w tym samym czasie list Elsie Wolfe.

- Skoro tyle pieniędzy wydają państwo na biednych, ^{oo} zostanie dla pańskich dzieci? Jak mówi jeden z pań^{-st}Wa przyjaciół miliarderów, należą one do „klubu mających szczęście plemników”. Ile zdecydowali państwo im ustawić?

Jednym uchem słuchałem odpowiedzi Amelii.

- Wystarczająco dużo, żeby mogli wykonywać zawód, który będą chcieli wykonywać. Wystarczająco mało, żeby musieli się go nauczyć.

Bardzo dobrze, Amelio. Ta replika też została przygotowana wspólnie ze Stanem. Zazwyczaj robiła urażenie. Dotąd żaden dziennikarz nie miał większego tupetu i nie zapytał o liczbę, która pozwoli zrealizować te dwa cele naraz. Na szczęście, bowiem trudno by nam było ją podać.

Na moim ekranie pojawiła się treść rękopisu, który w przyszłym miesiącu miał być wystawiony na sprzedaż u Christie's. Był to list Elsie Wolfe do przyjaciółki, Elizabeth Marbury, mieszkającej w Nowym Jorku. Pierwsze trzy akapity poświęcone były zwyczajowym banalom: Elsie pytała Elizabeth o zdrowie, wspominała o zdrowiu swoim i swojego męża oraz robiła aluzje do ostatnich wydarzeń politycznych po obydwu stronach Atlantyku. W czwartym akapicie wspomniała główny powód napisania listu: śmierć pudelka, Poodle, którego jej korespondentka dobrze знаła. Ale to piąty akapit sprawił, że prawie skoczyłem pod sufit.

[...] Nie uwierzysz, Bessie! Odkryliśmy pod posiadłością ukryte przejście! Podziemną galerię, która zaczyna się tam, gdzie obie pijałyśmy niegdyś herbatę - pamiętasz? Przechodzi metr pod ziemią i kieruje się w stronę pałaców Trianon. Me traciłem czasu na czytanie reszty. Musiałem dostać ten list. I Willę Trianon również.

- Panie Barrett, niebawem skończy pan czterdzieścijeden lat. Jaki prezent sprawiłby panu największą przyjemność?

- Dan, co się dzieje?

Ledwie dosłyszałem pytanie dziennikarza. Wstałem i powiedziałem, że niezwykle pilna sprawa zmusza mnie

jo wyjazdu. Poprosiłem Amelię, by odpowiedziała zamiast mnie; wiednąłem, że będzie zachwycona. - Szczęście niepolega na otrzymaniu tego, czego się pragnie - powiedziała - lecz na pragnieniu tego, co się ma.

To jej ulubiona sekwencja. Nie było jej trudno przekonać Staną, żeby włączył ją do naszych sesji ze szkolenia medialnego. Zazwyczaj dziennikarze robili pilnie notatki. I trzymali się ich.

Co do listu, sprawa nie była skomplikowana: na aukcji wszystko jest kwestią posiadanych środków. Willa Trianon nie była na sprzedaż. Ta stara, opuszczona budowla należała do bogatej mieszkanki Wersalu, której ojciec dobrze znał Elsie. Od czasu śmierci jej słynnej lokatorki posiadłość nigdy nie była zamieszkała i wszystko pozostało w stanie z tamtych lat: bibeloty, meble, a nawet niektóre ubrania w szafach. Musiałem jednak przekonać właścicielkę przeciwnej wszelkiej cesji.

Ale wszystko ma swoją cenę! Dobiłem interesu przez telefon. Najpierw zaproponowałem mieszkance Wersalu cztery miliony euro, podwójną wartość willi. Zachnęła się i niemal odłożyła słuchawkę. Podniosłem cenę do sześciu: wspomniała, pamięć swego ojca. Przy dziesięciu milionach schowała skrupuły do kieszeni. Jak na taką ruinę, zapłaciłem drogo, ale wiesz, że arkusz kalkulacyjny mnie nie obchodzi.

Tak więc kupiłem Willę Trianon, nawet jej nie widząc.

Kiedy dwa tygodnie później, w Święto Dziękczynienia, Wchodziłem tam po raz pierwszy, czułem się jak dziecko Przed jaskinią Ali Baby. Wysadzana platanami aleja, na końcu dziedzińca dawne stajnie, fasady z XVIII i XIX wieku, gargulce, na zewnętrznej ścianie dzwon do zwoływania służby: wszystkie te detale fascynowały mnie oraz intrygowały jednocześnie. Nie odczuwałem takiej przyjemności od czasu, gdy budowałem swój dom w Kalifornii, do którego razem z Amelią wybieraliśmy wszystko, aż do najmniejszego

mu

go kawałka wykładziny, w tym nawet do sali z batutem. Już widziałem, jak przywracam świetność tym wszystkim cudom, przestrzegając co do joty szkiców Elsie de Wolfe opisów oraz kilku zdjęć z tamtych czasów, które udało mi się uzyskać. Co do Amelii, na widok Willi Trianon zamknęła się jak ostryga. Denerwowała mój entuzjazm. Uważała, że mamy dość spraw gdzie indziej.

- Dlaczego ten domeczek tak ci się podoba? - zapytała, wchodząc do salonu-tarasu. - Na świecie jest tyle rzeczy do budowania, tylu ludzi, których życie można uratować.

- Ależ, Amelio, przecież już to robimy! A tutaj przychyliamy się do ratowania dziedzictwa ludzkości. Historii czł wieka. Ludzkiej pamięci. Co jest ważniejsze: ludzka pamięć czy ludzkie życie?

-A)!

Właśnie skrzyła sobie kostkę, schodząc po nadgryńo-nych przez robaki drewnianych schodach prowadzących do podziemia w stronę kuchni.

A kwadrans później pokaleczyła sobie nogi o ciernie, chcąc dostać się do zakątka ogrodu, który Elsie Wolfe zamieniła w cmentarz... dla swoich psów.

Tego już było za dużo. Amelia nie słuchała, co mam jej jeszcze do powiedzenia.

Ja nie widziałem ani stoczonych przez robaki schodów, ani splowiałych tapicerii, ani zniszczonych parkietów, ani psich fantazji Elsie. Widziałem Marię Antoninę uciekającą z pałaców Trianon, aby poswawolić w salonach szwagra, hrabiego dArtois, z podniecającą przyjemnością kosztowania zakazanego owocu. Co do Amelii, nie przejawiała na) mniejszej fascynacji historią Francji.

Usiadła na jednym ze stopni i masowała skrzyconą kostkę-^

- Dan, mam dość tej willi! Wersalu! Historii Francji-To co robisz, nie ma żadnego sensu. W przysłym tygodni mamy jechać do Dhaki, pamiętasz?

-Ale popatrz! - nie ustępowałem, wychy łając się przez okno, żeby spojrzeć w stronę muru ogrodzenia. - Widzisz te budynki tam, zaledwie trzysta metrów dalej? To osada królowej i gospodarstwo Marii Antoniny! Tu, w naszej willi, rozgrywała się historia królów Francji. Skrzywiła się, słysząc „naszej”. Zdenerwowała się. I zażądała, żebyśmy wrócili do hotelu w Paryżu, gdzie będzie mogła wyleczyć kostkę. Nazajutrz poleciała do Bostonu.

Wróciłem sam do Willi Trianon. Ale nie martwił mnie zły humor Amelii. Minie. Znasz ją. Od kilku lat moja żona nabrała złych przyzwyczajęń, w zasadzie od czasu, gdy wspólnie kierujemy fundacją Baretów. To ona ochrzciła ją naszymi imionami - Dan i Amelia. Jeździliśmy razem do slumsów w Sao Paulo albo w Delhi, odwiedzaliśmy szpitale, w których finansowaliśmy leczenie dzieci dotkniętych cholerą. Podróżowaliśmy razem naszym pry watnym odrzutowcem, rozmawialiśmy z lekarzami, pielęgniarkami, decydowaliśmy o inwestycjach, celach, które chcemy osiągnąć...

- Najlepszy zwrot inwestycji w twoim życiu, Dan, to uratowanie życia dziecku - mawiała mi często. - I do tego robimy to wspólnie. Jest to ogromna korzyść uboczna.

A zatem najwyraźniej mój powrót do wersalskiej pasji traktowała jako zdradę. Ale nic nie mogłem na to poradzić. Willa Trianon ekscytowała mnie, to było silniejsze ode mnie. Czulem się tam jak w laboratorium w tej magicznej chwili, którą przeżyłaś tak jak ja, gdy człowiek zbliża się do odkrycia nowego produktu. Ta rozkoszna chwila, gdy jeszcze nie został osiągnięty cel, ale mamy już świadomość, że ^{to} się uda. Ta upajająca chwila, w której niewielki zespół ^zromadzony wokół stołu wie, że trzyma w swoich rękach ^{to} długo oczekiwaną formułę, tak upragniony prototyp. ^To tylko kwestia minut. Drzwi się otworzą...

W liście, który kupiłem na aukcji, Elsie Wolfe nie wskazywała dokładnie, gdzie zaczynają się podziemia. Nie dla

tęgo, że chciała mówić o nich w zakodowany sposób, lecz dlatego, że słowa swoje kierowała do przyjaciółki, która musiała znać jej zwyczaje na pamięć.

W taksówce wiozącej mnie z hotelu do Willi Trianon po raz dziesiąty przeczytałem ten podstawowy fragment:

[...] Nie uwierzysz, Bessie! Odkryliśmy pod posiadłością ukryte przejście! Podziemną galerię, która zaczyna się tam, gdzie obie pijaliśmy niegdyś herbatę - pamiętasz? Przechodzi metr pod ziemią i kieruje się w stronę pałaców Trianon. To Charles je odkrył. Prawdę mówiąc, my, kobiety, stąpamy za bardzo po ziemi, żeby patrzeć, co jest pod spodem... Włożyłam spodnie męża, jego koszulę i kalosze, po czym ruszyłam za nim tunelem. Przed nami szedł ogrodnik. Niestety, muszę Ci wyznać, że ekspedycja przyniosła rozczarowanie: w odległości około trzystu metrów od willi podziemia są zawałone. Odkopanie ich wymagałoby olbrzymiej pracy, na której sfinansowanie nie mamy na razie środków.

Czyli Elsie nie miała środków na zbadanie do końca przejścia. Ja to zrobię. Znalezienie punktu wyjścia powinno być łatwe: na parterze nie ma tak wielu pomieszczeń, w których można by pić herbatę: salony, weranda, biblioteka-Nie trzeba przemierzać całego domu z radarem, żeby znaleźć pokój, o którym mówiła Elsie. Wystarczy, byłem o tym przekonany, zbadać zwyczaje dekoratorki, jej drobne manie. Szybko znajdę to, czego szukam.

Po raz pierwszy nie potrzebowałem komputera ani kart informatycznych. O miss Wolfe wiedziałem wszystko, zanim jeszcze wszedłem do jej domu. Tak ja ci mówię, list został napisany w 1932 roku. Elsie de Wolfe została wtedy lady Charles Mendl, sześćdziesięciosiedmioletnia

kobietą, która twierdziła, że ma osiemdziesiąt lat, aby ładnie zachwycali się jej „zadziwiająco młodym” wyglądem. Wszyscy jej przyjaciele uczestniczący w tych niezwykłych imprezach organizowanych w Willi Trianon, na których ona pojawiała się upudrowana, z pofarbowanymi na niebiesko włosami, ubrana przez Patou lub Chanel. Uważali ją za nieśmiertelną. Jej protegowanym był słynny fotograf Cecil Beaton i stała się inspiracją dla piosenki Cole'a Portera **The Black and White Baby of Mine...** Elsie była w tamtych czasach gwiazdą prasowej kroniki towarzyskiej. Kiedy wracała z Francji, amerykańscy dziennikarze czekali na nią w porcie, gotowi wyciągnąć od niej zwierzenia na temat ostatnich tendencji w modzie!

Urodzona w 1865 roku, z ojca Amerykanina i matki pochodzącej ze znanego szkockiego rodu, Elsie była jednak dźwiękiem patetycznym wręcz brzydkim. Matka zleję ubierała, a ojciec zabraniał jej się uśmiechać, ponieważ nie miała jednego zęba. Amelia, która robiła wszystko, żeby zniechęcić mnie do tej willi, podała mi któregoś dnia to zdanie Elsie napisane, gdy miała dwadzieścia lat, a stanowiące streszczenie całości: „Skoro jestem brzydka - a jestem - otoczę się tylko pięknem. To będzie moje życie. Dla niego będę zabijać”.

Jeszcze dziś pamiętam niechęć Amelii.

- To nie jest rodzaj piękna, które ja kocham! Brzydula Elsie stała się najlepiej ubraną kobietą na ziemi, najsłynniejszą amerykańską dekoratorką! Dekora-torską rewolucjonistką, która zastąpiła wiktoriańskie meble wyplatany mi meblami i muślinowymi firankami... Co oczywiście różniło ją od mojej żony.

- Lepiej by zrobiła, gdyby zbudowała domy dla biednych, zamiast dekorować te, w których mieszkają bogaci!

- Przesadzasz! Elsie była bohaterką wojenną. Pielęgniarką na froncie podczas pierwszej wojny światowej... Otrzymała krzyż wojenny i francuską Legię Honorową!

Wielka dama z Wersalu nie tylko była filarem bankietów. Wykonywała prawie taką samą pracę jak ty!

- była lesbijką, co? W końcu to pewne?

To niesłychane, jak kobiety potrafią zawziąć się na drugą osobę, kiedy zrobią z niej kozia ofiarnego. Nie śmieję się! To było również twoje pierwsze pytanie, kiedy kilka miesięcy później wchodziłaś do Willi Trianon, w której spędziliśmy weekend. Niepoprawna Emma! Przekonana, że mężczyźni zafascynowani są kobietami, które kochają kobiety, ponieważ chcieliby pierwsi sprowadzić je na dobrą drogę. Tamtego dnia nie protestowałem. Jak zwykle - i powiedziałbym, jak to często dzieje się w przypadku kobiet - bardziej interesowałaś się drugorzędną anegdotą niż głównym celem: moimi poszukiwaniami oryginalnych planów Le Nótrea. To prawda, że nie mogłaś przypuszczać, iż Willa Trianon jest sercem maszyny. Od naszej porażki pod Grand Trianon nigdy więcej nie wspominałem ci o twierdzeniu dowodzącym istnienia Boga. Wielu spraw nie udaje mi się ci powierzyć. Oparłem się chęci wyznania ci, że kupiłem tę willę tylko po to, żeby je znaleźć. I wbrew swoim zwyczajom tym razem niczego się nie domyśliłaś! Gdzieś przepadła twoja legendarna intuicja...

Odpowiedziałem ci, udając, że wzdygam:

- Tak, to prawda, była lesbijką. I c o z tego?

- A jednak wyszła za lorda Mendla!

- Mając sześćdziesiąt jeden lat! Mówią, że tylko dla jego tytułu. Dla apoteozy swego światowego życia.

- Nigdy nie zdementowała plotek?

- A po co? Nigdy nie ukrywała, że przyciągają ją silne, męskie kobiety, starsze od niej, jak Bessie, z którą przez trzy lata mieszkała tutaj przez sześć miesięcy w roku. Ponieważ jej jedyną prawdziwą miłością był ten dom.

- I jej pasiate tkaniny, których wszędzie pełno.

To była aluzja do licznych tapiserii zdobiących ściany. Różowe, beżowe, zielone tkaniny z długimi pionowymi taśmami puszczone lub zwiniętymi jak pale do cumowania weneckich gondoli lub kolumny na dziedzińcu Palais-Royal w Paryżu.

- Wasz Buren nie wymyślił nic nowego!

Jak zawsze wtedy, kiedy mogłem ci pokazać, że znam lepiej od ciebie historię sztuki, wkuwałem szpilkę.

*Pawilon do tańca ze ścianami w zielone prążki, połączony z głównym budynkiem willi, był więc pierwszym pomieszczeniem, które zbadalem. To miejsce, które zdecydowałem przekształcić w kryty basen, wydawało mi się idealnym miejscem do picia przez Elsie herbaty. Pierwotnie był to namiot cyrkowy, rozbity przez dekoratorkę na najbardziej bajeczne przyjęcie w jej karierze: **circus bali** z orkiestrą hawajską i numerami w wykonaniu tresowanych kuców. Elsie tak kochała swój pawilon w bialo-ńelone paski, draperie z epoki Regencji i skórzane ławeczki, że zostawiła go takim, jaki był, jak stały dodatek do domu gotowy na kolejne przyjęcia.*

Sondowałem wszędzie pod klepkami podłogi, bez sukcesu... Nic oprócz wielkiej angielskiej flagi. Bez wątpienia wykorzystywanej w dni, kiedy Elsie przyjmowała swoich Przyjaciół, księcia i księżną Windsor. Następnie zabrałem się za bibliotekę na parterze. Pomieszczenie było małe, zniszczone, zamknięte drzwiami ozdobionymi atrapami książek, z pomalowanym na beżowo sufitem. Całość bardzo źle oświetlona.

- Amelia ma rację, tu pachnie pleśnią.

Ciągle pamiętam twoją sarkastyczną uwagę, gdy we-szłaś to tego pomieszczenia - jedyne, które po remoncie nadal tchnęło XIX wiekiem.

Przeszukałem również gabinet-buduar, kolejne miej-s^oe, w którym jak mi się zdawało, mógł się znajdować do

stęp do galerii. Spośród pokoi na parterze ten znajduje się najbliżej murów ogradzających zamek. Kiedy drąży się galerię, idzie się jak najkrótszą drogą, prawda? Poza rym miejsce to powinno podobać się Elsie: idealne do picia herbaty i trochę męskie. Ale znowu nic: żadnej jamy, niczego co mogłoby otwierać przejście w stronę zamku.

To samo stwierdziłem na werandzie-tarasie, w dużym salonie i wreszcie w poczekalni. Żadnego wjazdu. Żadnego przejścia. Pustka. Albo raczej pełnia. Mój radar pozostawał rozpaczliwie cichy. W szafach nadal stały naczynia Elsie. Tak jak alkohole w bufecie. Wziąłem szklaneczkę i wlałem sobie cointreau z dżinem i tomkiem - ulubiony koktajl lady Mendl. Następnie schroniłem się na piętrze, w jej sypialni. Czerwone drzwi tego pomieszczenia ozdobiono niewielkim medalionem, na którym można było przeczytać: *Ille dzwonić przed... 8.30*" oraz szeroką rzeźbioną tabliczką, na której umieszczono jeden wyraz w języku francuskim: *^Ja*". Zdecydowałem zrobić tam swoją sypialnię. Usiadłem w bujanym fotelu stojącym naprzeciw kominka. Jeszcze dzisiaj widzę siebie, ze szklaneczką w ręku, skupionego, jak huśtam się powoli w przód i w tył. Tylko trzeszczenie klepek parkietu zakłócało panującą w domu ciszę.

Czy Amelia miała rację? Czy powinienem dać sofocie spokój z tym wszystkim? Poświęcić się wyłącznie fundacji-Naszej walce z biedą rodzącą taki sprzeciw, zabijającą nu liony ludzi, ponieważ mają na przeżycie tylko jednego a ra dziennie i nie mogą kupić sobie lekarstwa, które kosztuje^ dwa dolary? Czym były oryginalne plany Le Notre a bec takiego wyzwania, czym pozycja Apollina na o w stronę zamku, w kierunku słońca? Ta chimera sp tylko, że straciłem zbyt dużo czasu. A dowód na is Boga? Czy Bóg nie jest obecny - jak twierdzą m}°g°f.yki - w codziennym dziele człowieka? Czy uzdrowieni

malarii nie jest dzisiaj cudem, którego by trzeba dokonać? prawdziwym dowodem na istnienie Wszchemmogącego?

Wstałem i poszedłem w kierunku okna. Znasz to miejsce. Ma dworze, z drugiej strony porośniętego bluszczem muru, zobaczyć można pierwsze drzewa królewskiej siedziby. Aleja przy bramie Saint-Antoine ciągnie się aż do Wielkiego Kanału. Tam turystyczny pociąg, kursujący między Wersalem a Trianon, przewozi kohorty stłoczonych na siedzeniach turystów, z okiem przyklejonym do kamery skierowanej na fontanny, złożone łabędzie, Wielką Perspektywę. Odwrócony Apollin? Jego rydwan zaprzeczający ruchowi Słońca? Latona nie w tej osi? Czy mają świadomość tych wyszukanych spraw? Z pewnością nie. Ale w końcu jakie to ma znaczenie? Świeżość boskietów, uszeregowanie alejek, lustro wody, w którym odbija się pozłacana fasada zamku, czy to samo w sobie nie wystarczy, żeby odczuli przyjemność? Francuski malarz Bonnard malował wnętrza i oświetlone słońcem ogrody, a jego malarstwo nie miało na celu nic innego, jak wydobyć złote chwile codziennego szczęścia. A Le Nôtre był w końcu ogrodnikiem i przede wszystkim ogrodnikiem. Może on też miał tylko jeden cel: Przyjemność dla oczu? Tylko jedną troskę - ograniczenia natury technicznej? Po co doszukiwać się sensu w umiejscowieniu Wyspy Miłości? Czy nie została po prostu zbudowana tam, gdzie łączą się istniejące już od wieków rowy? Po co szukać przekazu tam, gdzie wzrok znajduje zadowolenie? Ci Wszyscy historycy, psychoanalitycy czy teologowie, doszu-tujący się w rysunku wersalskich ogrodów wyższych zamysłów, a nawet przekazu podprogowego, delikatnie utkanej ^{ar}chitektury stanowiącej narzędzie propagandy, mediów, okazujących światu niebiańską, słoneczną, boską moc ^{o^}niai_{neg}o króla, czy oni wszyscy nie poszli fałszywą drogą? ^{Ze} rację miał najskromniejszy ogrodnik. Ogródnik, który ^{Zo}mkowym parku widział przede wszystkim zaproszenie

do spaceru, oddychania świeżym powietrzem, ciszy? Szkatułkę do gromadzenia zapachu kwiatów, majestatu drzew, naturalnej gry światła i cieni. Ogrodnik, który powiedziałby, że Wersal to ogród, a nie jakaś ikonologia.

Na obudowie kominka leżał stary numer magazynu „Life”, zakurzony jak tapiserie na ścianach.

Wziąłem go odruchowo. W chwili gdy zacząłem go wertować, wypadł na ziemię oprawiony w moleskin notes. Były w nim zapiski Elsie Wolfe. Rozpoznałem jej pismo i zacząłem czytać. Dużo zdań na temat kuchni, kolacji, życia towarzyskiego... Zwykle banały dekoratorki, kiedy zaczynała mówić na te tematy. Z pewnością brudnopis do jej książki (Co zrobić, żeby kolacja była udana.), której wkładem w światową kuchnię było polecenie wszystkim paniom domu stosowania gorących talerzy.

Oczywiście żadnej wzmianki o podziemiach. Doszedłem do ostatniej strony i już miałem zamknąć zeszyt, kiedy nagle mój wzrok się zatrzymał. Grzbiet okładki notesu był lekko uwypuklony. W jednej części pojawiło się niewielkie pęknięcie, w które wsunąłem palec. Wyjąłem stamtąd bardzo cienką kartkę, bez wątplenia papieru bibułkowego. Była kilkakrotnie złożona. Po rozłożeniu tworzyła kwadrat o boku około czterdziestu centymetrów, ozdobiony zielono-białymi pionowymi paskami.

Ugory z lewej strony umieszczono datę: wrzesień 1949, rok przed śmiercią Elsie. A na całej powierzchni znajdowały się szkice pudli, nad każdym z nich umieszczono imię oraz epitafium.

Pudle, dobry Boże, pudle! Czemu wcześniej o tym nie pomyślałem! Przecież o tym czytałem. Lady Mendl nigdy nie ruszała się, nie trzymając w ramionach jakiegoś pudła-Zwierzę spało w jej łóżku, wchodziło na kanapejadło trufle i tosty z foie gras. Pamiętaj, że nie miała dzieci.

Kiedy jeden z drogich jej sercu zwierzaków umierał, przez miesiąc Elsie trwała w nieukojonym bólu. A ponieważ wszystko dla niej było pretekstem do jakiegoś ceremo-

niahi, organizowała małą uroczystość pogrzebową. Kazała wznosić dla pudła grobowiec, a czasami dochodziło aż do układania dla niego epitafium: „Temu, którego najbardziej kochałam” czy też: „Dla mojego ulubieńca”. Groby pudli, to jest tam!

Odłożyłem notes na obudowę kominka i rzuciłem się w kierunku ogrodu.

Groby rozmieszczono wzdłuż muru ogrodzenia, od strony dużego zamkowego parku. Trzy miniaturowe groby przypominające łóżka siedmiu krasnoludków od Królowy Śnieżki. Kiedy obchodziliśmy z Amelią posiadłość, zauważyłem je tylko w przelocie. Tym razem podszedłem blisko, pomimo cierni. Natychmiast zauważyłem, że stele, choć doskonale uszeregowane, są rozmieszczone w nieregularny sposób. Dwie pierwsze były oddalone od siebie o trzydzieści centymetrów, ale od trzeciego grobu oddzielała je co najmniej półtorametrowa odległość.

Dwa kroki od grobów na kwadratowym trawniku stał okrągły stolik z kutego żelaza i cztery krzesła. Bez wątplenia to tutaj lady Mendlpila herbatę. W ogrodzie, najprzyjemniejszym pokoju swojej willi, jak pisała. I naprzeciw ukochanych psów.

Podszedłem do steli, trzymając radar przy ziemi. Zniknęły ślady epitafiów, zatarte przez czas i porośnięte mchem. Niepogoda wymyła kamienie, mech i grzyby stoczyły je w niektórych miejscach. Oslona, którą zapewniał im duży miłorząb japoński, nie wystarczyła, by je ochronić. Za to zdjęcia psów, umieszczone w lekko wypukłych, chronionych szkłem medalionach, były dobrze widoczne. Nagle urządzenie zaczęło wibrować. Znajdowałem się na wolnej przestrzeni pomiędzy drugą a trzecią stelą. Naszyłem okulary. Powoli na ekranie zaczął zarysowywać się obraz, początkowo niewyraźny, potem coraz ostrzejszy, obraz tunelu, który schodził w kierunku zamkowego parku.

- Chodź!

Emma unosiła się w powietrzu, wyciągając w jego stronę rękę. Drugą powoli rozpiniała błyskawiczny zamek kombinezonu. Pierre kołysał się w jej stronę jak pijany.

- Zwariowałaś! Wszędzie są kamery!

Ich ciała, uwolnione od siły przyciągania, jak w zwolnionym tempie porwane zostały przez zmieniającą się sarabandę. Pierre pomyślał, że rakieta z pewnością weszła na orbitę. Ale dlaczego nikt ich o tym nie uprzedził?

- Chodź - powtórzyła Emma, której kombinezon był już rozpięty do pasa.

Podpłynęła do niego i pocałowała go z rozmachem. Jej włosy pieściły policzki jak ruchoma zasłona rozciągnięta wokół ich twarzy. Ale gdzie podziali się ich towarzysze podróży? Oraz ile mają czasu? Dziesięć minut, pięć? Pierre dobrze o tym wiedział: magiczny moment ekspedycji miał miejsce w chwili wyjścia z warstwy atmosfery, kiedy białe siedzenia kabiny schowały się, żeby pozwolić pasażerom na doświadczenie nieważkości. Ale przez jak długi czas? Obecność Emmy sprawia, że o wszystkim zapomina.

Jego pierwszy lot wokół Ziemi. Migoczące na kons cyfrowe polecenia. Niebieska kula w białe prążki widoczna w okrągłym okienku. Chmury nad Ameryką. Ale już nic więcej nie widzi. Tańczy z Emmą kosmiczny słow.

324

pierre włożył dłoń w biały stanik, sprawiając, że nabrzmiały sterczący sutek skierował się w jego stronę. Wstrząsnął nim dreszcz. Gdyby zbyt blisko spojrzal teraz na ten naprężony czubek, eksplodowałby pożądaniem.

Młoda kobieta po omacku znalazła błyskawiczny zamek kombinezonu Pierre'a i zaczęła go rozpinać. Zniecierpliwiona ścisnęła go nogami, nie spuszczać z niego wzroku. Wyzywająca. Wojownicza.

Pierre przerażony był namiętnością, drapieżnością, która pchała go ku niej. Ta kobieta sprawiała, że szalał z pożądania.

Ich ciała obracały się w próżni. Chciał wziąć ją od razu. Jedną ręką objął Emmę w pasie, aby w ten sposób unieruchomić ją pod sobą, a drugą złapał przyczepiony do ściany elastyczny pas. Zawinął go wokół ich bioder i zacisnął z całych sił.

Pozostawione przez nich kombinezony unosiły się w kabinie.

Ciało Emmy uniosło się w chwili, gdy w nią wszedł. W tym samym momencie usłyszał hałas otwieranych drzwi.

Obudził się. Nieprzytomny podniósł się na łóżku i złapał telefon komórkowy, żeby sprawdzić godzinę. 4.30. Nie minęły dwie godziny, odkąd się położył i tylko podsypiał z przerwami przez ten czas.

Usłyszał jakieś skrzypnięcie na korytarzu. Tutaj, w Willi Trianon, podłogi trzeszczały, klamki zgrzytały. Tak, dobrze słyszał, że otwierają się drzwi, i to nie tylko w jego śnie. Czy Emma także ma kłopoty z zaśnięciem? Ale nie musi wychodzić, żeby iść do łazienki: każdy pokój ma swoją, jak w hotelu. A ten komfort nie jest tu od wczoraj: już w 1940 roku Willa miała sześć łazienek - wyjaśniła Amerykanka. W tamtych czasach francuscy sąsiedzi Elsie Wolfe sądzili, że Jankesi z powodu mycia się łapią choroby skóry.

Pierre wstał, odemknął drzwi i poczuł, jak jego dłoń żarska się na klamce.

Dobrze widział.

Granier. Granier wychodził z pokoju Emmy! Żadnych wątpliwości, to był na pewno jej pokój. Ten, którego drzwi widział trochę dalej, z drugiej strony korytarza. Ten, na którego drzwiach widniało duże „Ja” wyryte w drewnie. Największy pokój od strony dziedzińca, zazwyczaj zajmowany przez Dana Baretta.

Zaskoczyło go, że Emma wybrała właśnie ten pokój. On nie wybrałby pokoju śmierci - nawet jeśli Barrett tu nie umarł. Czy zrobiła to, żeby być sąsiadką Graniera? Przydzieliła mu pokój przylegający do jej pokoju, sypialnię Bessie, dawnej przyjaciółki Elsie. Pokój „Ty”! I bezwstydnie wysłała Pierre'a na drugi koniec korytarza, od strony ogrodu, do apartamentu nazwanego „Emma” na pamiątkę Emmy Brown, córki bankiera, która bywała w willi Trianon w latach dwudziestych.

- Mylę trop - uśmiechnęła się Emma, każąc mu wejść do pokoju nazwanego jej imieniem.

I pomyśleć, że ten uśmiech wydał mu się porozumiewawczy!

Przez kilka chwil byli w tym pokoju sami, w czasie gdy Granier zajmował swój. Pierre zadowalał się patrzeniem na młodą kobietę, która pokazywała mu łazienkę, otwierała szafy, odkręcała krany, żeby sprawdzić, czy działają.

Wychodząc, podeszła do niego.

- Życzę ci dobrej nocy! A właściwie tego, co z niej zostało.

Nadstawiła mu policzek i pocałowała go ukradkiem. Stał, wymachując rękoma, opierając się chęci, by ją dotknąć. Jej piersi musnęły jego klatkę.

Nigdy, pomyślał po jej wyjściu, piersi kobiety nie wywołały w nim takiej żądzy. Zresztą może ostatecznie jego pociąg do Emmy wynikał tylko z tego doskonałego biustu. Fiksacja fetyszystyczna, młodzieńczy relikw. Ale ledwie wysunął tę hipotezę, już ją odsunął, wbrew sobie.

326

Piersi Emmy były tylko wynurzoną częścią góry lodowej. O ile nadal można było mówić o górze lodowej. Pierre obserwował Graniera bezszelestnie pokonującego dzielące pokoje kilka metrów. Nagle zobaczył, jak odwraca głowę w jego stronę. Odskoczył do tyłu. Czy pisarz go zauważył? Czy widział jego przymknięte drzwi? Prawdę mówiąc, mało go to obchodziło. Tamten z pewnością był zadowolony z intymnych chwil spędzonych z Emmą. Być może nawet specjalnie zrobił tak, żeby zatrzęszczała podłoga.

Co za lajdak! Oczywiście od rana akcje powieściopisacza wzrosły. A Emma nigdy nie odesłała go do kąta. Czy spał z nią? Pierre nie mógł w to uwierzyć. Nie, to było niemożliwe. Po tym, co wspólnie przeżyli? A jednak musiał ustąpić wobec oczywistej prawdy: tamten wyszedł z pokoju Amerykanki.

Pierre zacisnął pięści. W głębi serca wierzył w jakiś cud. Pelen euforii uśmiech Emmy, jej zwolnione ruchy, delikatność, zapalczliwość, jęki. Tamtej nocy, wychodząc z plaży, powiedziała mu, że po raz pierwszy zadrżała pod nią ziemia. Jak u Hemingwaya.

Komedia.

Staral się odegnać ogarniające go uczucie niesmaku. Tej nocy ma lepsze zajęcie niż zastanawianie się. Świat stoi na krawędzi chaosu. I lepiej, żeby natychmiast się dowiedział, czy Emma miała rację, przywożąc ich tutaj. Pierre wątpił już bowiem w samego siebie i w celowość ich przyjazdu: przyjechać do tego domu, nie znając miejsca, w którym Barrett ukrył linie kodu - ani nawet nie być pewnym, czy rzeczywiście je tu ukrył - czy to już nie było czyste szaleństwo? Kolejny pomysł Emmy. Znal ją, tę księżnę biznesu, oświeconą swoimi „przecuciami”, wiedzioną przekonaniem, znał jej rozstrzygające sądy oraz jednostronne decyzje, którym dwór musiał się podporządkować. Po jakiego czorta z nią przyjechał? Jest tylko kolejnym dworzaniem gotowym spełniać ••J kaprysy.

327

Po białej nocy w czarnych barwach będzie widział wstający dzień. Wiedział o tym. Znał siebie. Mniej niż pięć godzin snu i popadał w lęk. To było silniejsze od niego. Ludzie którzy mogą mało spać, mają szczęście, żyją dwa razy dłużej a może i dwa razy lepiej.

Wciągnął dżinsy, buty i koszulę z poprzedniego dnia, po czym zszedł po schodach honorowych. Emma powiedziała mu, że wszystkie pokoje - całkowicie odnowione przez Dana osiem miesięcy pokupniedomu - wyposażone są w terminalne połączone z centralnym serwerem. Ale komputery, na których pracował Barrett, znajdują się w jego sypialni i w bibliotece. Może zacznie poszukiwania od tego pomieszczenia. Po drodze może zrozumie, skąd pochodzi światło, które przed chwilą dostrzegł ze swojego okna. Przysiągłby, że z jednego z pokoi na parterze. Ale kto mógłby tam być? Dozorca mieszka w małym pawilonie obok wejścia. Granier i Emma byli na piętrze... I to wiadomo dlaczego.

Nie mógł uwolnić się od tego obrazu. Emma! Jeszcze wychodząc z jego pokoju, przekomarzała się z nim.

- Spróbuj zasnąć. Musisz być wyczerpany... I ciągle ten porozumiewawczy uśmiech.

- ... i spotykamy się jutro o siódmej w salonie? Oczywiście ani przez chwilę nie sądził, że przyjdzie do jego łóżka. Wspomnienia z Colleville oraz przylądka Man-vieux przesuwają się w jego pamięci. Nie był z nich dumny. Ona z pewnością też nie. Ale trudno sobie wyobrazić, że Granier zajął jego miejsce! Niepojęte.

Pierre dotarł do końca schodów i rzucił okiem przez oszklone drzwi. Aleję oświetlało kilka umieszczonych na drzewach reflektorów. Skierowane w stronę wierzchołków, tworzyły na liściach wysokich dębów żółty krąg światła.

Nagle rozległ się dźwięk jego komórki.

- Cholera! - mruknął.

Mógł go przełączyć na „milczący”. To była wiadomość od Gary.

328

Oddzwon. Pilne. Clara.

^{4.45.} Ale wiadomość miała wczorajszą datę. Pierre pomyślał, że jednak zaczeka do przyzwoitej pory, żeby do niej oddzwonić. Zresztą jeśli zadzwoni teraz, spędzi tu całą resztę nocy.

Sądził, że już wie, skąd dochodzi światło: dodana do willi sala balowa, pokryta czymś w rodzaju płótna w zielono-białe pasy, oświetlona była od wewnątrz i dobiegało z niej przytłumione światło, od strony alei oraz od strony ogrodu.

Dziwne. Pierre mógłby przysiąc, że kiedy kładł się spać, wszystkie światła były pogaszone. Pamiętał: wychylił się przez okno, żeby spróbować dostrzec oświetlony zamek w Wersalu.

Czy to dozorca zapalił z powrotem lampy w ogrodzie? A jeśli tak, to dlaczego? Młody człowiek wydawał się sumienny i kompetentny. Dowód: kiedy przyjechali, natychmiast w ciemnościach rozpoznał Emmę. Gdyby jej nie poznał, spędziliby noc na dworze, dopóki nie udałoby im się skontaktować z Amelią Baret w Stanach Zjednoczonych i otrzymać od niej pozwolenie na wejście. Kod dostępu, otwierający ciężką zieloną bramę Willi Trianon, załączał się tylko po odczytaniu parametrów krwi kilku upoważnionych osób. Dokładnie sześciu, jak mi zdradził strażnik: Baretta, Amelii, ich dwojga dzieci, właśnie dozorca. I Emmy. Która wydawała się zdziwiona, że znalazła się pośród tej „szóstki”, mimo że nie należy do rodziny. A więc nigdy nie używała urządzenia.

Pancerne drzwi do domu otwierały się tym samym kluczem, lecz dozorca go dezaktywował.

- Wylączę system bezpieczeństwa przy wejściu - rzucił pewnym tonem osoby, która wie, co robi. - W przeciwnym razie nie poście! Pierwsza osoba, która wyjdzie zaczerpnąć świeżego powietrza, włączy alarm. Dobrej nocy!

Pierre otworzył drzwi do salonu i zatrzymał się. Tej nocy, już kiedy tu przyjechali, wydawało mu się, że śni. Ściany salonu Pokryte były bladoróżową tkaniną i ozdobione zielonymi profi

lami architektonicznymi, kolorem, który w jaśniejszym od~ niu znaleźć można było na suficie. Kontrast między podłogami z masywnego drewna, osiemnastowiecznymi meblami, lustrami, żyrandolami czy też ozdobnym kominkiem a ekranami, wskaźnikami i elektronicznymi sterownikami był uderzający. Emma wyjaśniła im, że Barrett zmodernizował Willę Trianon, odnosząc się z szacunkiem do wyborów Elsie de Wolfe. Oczyszczył dziesiątki reprodukcji i rysunków z tamtych czasów. Malżeństwo dwóch światów: świata grubych profili architektonicznych i świata prostej linii, złocenia i stali, nie pasowało do siebie.

Obok dużego wyścielanego fotela w stylu Ludwika XV oraz dobranych do niego mniejszych foteli białe słupki o teleskopowych uchwytych chroniły głośniki i małe plazmowe ekrany. Trzy płaskie ekrany zawieszono na ścianie włączały się, gdy tylko ktoś wchodził do pokoju. Pierwszy pokazywał zdjęcie Baretta i Emmy z lat studenckich, na którym trzymali się pod rękę. Na drugim zobaczyć można było różnorodne kije w różnych kolorach. Na ich widok Granier przybrał swoją zdeglustowaną pozę.

- Wspaniale jest to dzieło, wspaniale! Czyje to? Co przedstawia?

Odpowiedziała mu Emma z fałszywą obojętnością:

- Mnie.

- Co za dowcip, moja droga, co za dowcip! O takiej porze... Odparowała natychmiast:

- A jednak to prawda. To bardzo dokładny obraz mojego kodu genetycznego. Wykonany przez artystę z Kalifornii. Szczyt sztuki cyfrowej.

- I pani uważa, że to jest ładne?

- W każdym razie Dan go bardzo lubił. -1 miał ku temu powody. To najbardziej intymny portret-Śmiech Emmy przerwał wywód Graniera, lecz był¹⁰

śmiech tak wymuszony, że Pierre zastanawiał się, czy nie stał nowi czasem zapory mającej powstrzymać lzy.

330

W czasie gdy Emma wyjaśniała, co widać na obrazie, na pierwszym cyfrowym ekranie kolejno pojawiały się następne. Czteroletniej dziewczynki uczesanej w kucyki a la Sheila i w sukieneczce z bawełnianego płótna w dwukolorową kratkę. Stała na stole w stołówce i śmiała się do rozpuku. Potem ta sama dziewczynka, troszkę starsza, z włosami przyciętymi na prosto, zdmuchująca świece z wielkiego tortu z kremem. I wreszcie młoda, siedemnasto- lub osiemnastoletnia dziewczyna fotografująca się przed żaglówką.

- To oczywiście ty? - zapytał Pierre.

Dużo by dał, aby móc kiedyś poznać tę uśmiechającą się łagodnie nastolatkę, pozującą do zdjęcia w szortach, z ręcznikiem kąpielowym w rękę i rozwianymi przez wiatr włosami. Rozpoznał te zielone oczy, wysmukłe palce i już wtedy długie nogi. Odkąd pamięta, zawsze zazdrościł Danowi Baretto-wi i teraz już wie, że nie chodziło mu tylko o informatyczne zdolności tamtego.

- Wiesz, Dan nie był człowiekiem zdolnym do wyznawania jakiegokolwiek kultu. Te obrazy nie są tu przez cały czas! Skoro wiedział, że tu przyjedziecie, każdy z was ma prawo do swojego ekranu.

-Jak to? Westchnęła.

- Ja pierwsza otworzyłam drzwi. Wystrój salonu i pokoi dostosowują się do gości. Wystarczy, że dotkniesz klamki, a twoje odciski palców zostają przekazane do głównego komputera, który programuje ekrany. Sądziś, że Amelia zniosłaby widok mojego portretu na...

- To każde przypuszczać, że odciski palców znajdują się w bazie danych - przerwał jej Pierre.

- Wszyscy znajomi Dana zostali odnotowani, nawet bardzo dalecy, również VIP-y. Zresztą przynajmniej tak było w jego domu na Cape Cod. Sądzę, że tutaj po prostu powielił system. Ale myślę, że jest tu cała paryska śmietanka towa

rżyska. Dan lubił zaskakiwać i sprawiać ludziom przyjemność...

Jej głos się załamał. Granier wyciągnął w jej stronę ręk Męską. Opiekuńczą. Położył na jej ramieniu. Nawet nie mus' nic mówić. Emma ze spuszczonej oczyma, nikłym „dziękuję na ustach, oczywiście zareagowała na jego zachowanie. Pierr również chciałby umieć znaleźć takie słowa i gesty. Zawsze ni nawidził swojego braku umiejętności znajdowania się, szc~ golnie w tego typu sytuacjach. Zwykle aby zapobiec kobiecenr placzowi, zadowalał się niestety techniką bardziej brutalną i łatwiejszą do zastosowania: odwróceniem uwagi.

- A trzeci ekran? Nie ma żadnego związku z tobą - za uważyl.

Był to portret mężczyzny w średnim wieku, z przypudr waną twarzą, w peruce i koszuli z żabotem.

- Wiesz, to prawda. To jakiś bug - odparła w zamyśl niu Emma. - Podczas mojego ostatniego pobytu był tu „A żółty”, jeden z moich ulubionych obrazów Modiglianieg oraz kilka dzieł Matisse'a. To co tu widzimy, nie jest mo' ulubionym rodzajem piękna.

Granier podszedł do ekranu. Następnie odwrócił się, wyraźnie zadowolony z siebie, i zaprowadził Emmę blisko wiszącego na ścianie obrazu.

- Proszę się nie ludzić, Emmo. Ten obraz dotyczy pa o wiele bardziej, niż pani sądzi. Dalej, proszę odgadnąć!

- Jest pan bardzo miły, Jean-Philippe, ale zagad w środku nocy...

Granier puścił dłoń Emmy.

- Emmo, naprawdę nie rozpoznała pani Le Nòtre'a? T jest portret André Le Nòtre'a!

Zapadła cisza. Pierre pokręcił głową.

- Można powiedzieć, że miałaś, Emmo, rację. Dan p kazal ci wiadomość.

- Ale skąd mógł wiedzieć, że tu przyjadę?

Bezradni weszli następnie na piętro. Po wyjściu Emmy z pokoju Pierre chwycił swoją komórkę, żeby sprawdzić Wiadomości Google. W depeszach nie pojawiła się żadna nowa katastrofa, ale mimo to nie poczuł ulgi. Gorzej, położył się spać ze świadomością bliskiego niebezpieczeństwa. Zadziwiająca jasność widzenia. Taka - pomyślał - która pojawia się w chwili, gdy ustaje wiatr, ale wiadomo, że jest to cisza przed burzą.

Światło włączyło się w chwili, gdy Pierre przekroczył próg salonu. Nawet nie dotknął przełącznika. Przycmiony blask pochodził od trzech elektrycznych świeczek umieszczonych na ścianie, naprzeciw kominka, które nadawały pomieszczeniu wygląd katedry. Wiszące ekrany włączyły się z krótkim opóźnieniem. Ponieważ w bazie brakowało odcisków Pierre[^], pojawiły się znowu wczorajsze obrazy. Emma i Barrett w wieku dwudziestu lat. Po raz kolejny informatyk stwierdził, że właściciel Controlware prawie się nie zmienił. Za to jego przyjaciółce przybyło kilka zmarszczek, o których nie potrafił pomyśleć bez uczucia wzruszenia.

Podszedł do portretu Le Nôtre'a. Czy Barrett naprawdę wiedział przed śmiercią, że Emma tu przyjedzie? Czy poroz-siewał po domu wskazówki, które doprowadzą ją do kodu? „Le Nôtre zbawi świat”. To zdanie Barett'a było jedyną wskazówką, która przywiodła ich do Willi Trianon. Ciut mało. A jeśli się mylą? A jeśli portret Le Nôtre'a po prostu został tu jeszcze z czasów ostatniego pobytu Dana?

- Po co myśmy tu przyjechali? - powiedział do siebie półgłosem, szukając wzrokiem drzwi prowadzących do biblioteki. Nadal intrygowały go światła w ogrodzie. Wrócił na korytarz i otworzył drzwi prowadzące do słynnego dodanego pokoju. Zaskoczony zatrzymał się w progu. Za oświetlonymi przez reflektory dwoma kolumnami z białego marmuru i trzema schodkami, które kiedyś prowadziły do ogrodu,

wykopano w ziemi basen. Duży, dwudziestometrowy basen z marmuru z Carrary. Odbijał się w pokrywających ściany lustrach, przez co wydawał się olbrzymi. To - pomyślał Pierre - nosi znamiona stylu Baretta.

Obszedł basen, żeby otworzyć oszklone drzwi. Niemożliwe. Nie widział żadnej klamki, żadnego przycisku. Zawrócił z drogi, wyszedł z pokoju i ponownie przeszedł korytarzem aż do drzwi wyjściowych.

Drzwi otwierane automatycznie na podczerwień - pomyślał Pierre. - Barrett wszystko przewidział.

I rzeczywiście. Kiedy znalazł się w odległości dwu metrów od drzwi, te otworzyły się szeroko i po cichu.

Na szczęście dozorca wyłączył alarm - pomyślał znowu.

Nie zdzierzyłby widoku potarganego Graniera zbiegającego po schodach w piżamie.

Na dworze niebo było jeszcze ciemne. Pierre zrobił ostrożnie kilka kroków, po czym zatrzymał się na chwilę, żeby przyzwyczaić wzrok do ciemności, a następnie ruszył w lewo alejką biegnącą wokół domu. Przeszedł wzdłuż dawnych stajni i zauważył dziwną betonową kabinę w kształcie naczynia ta-dżin, obok której Granier postawił samochód.

Schron wybudowany po pierwszej wojnie światowej. Oczywiście jak zwykle za późno. Generalowie zawsze wynajdują broń do prowadzenia wcześniejszych wojen, a nie tych bieżących.

Chrzęst żwiru na ścieżce wystraszył kilka śpiących na drzewach ptaków. Zerwały się i odfrunęły. W chwili gdy zaskoczony Pierre spojrział do góry, by zobaczyć, jak odlatują, jego stopa uderzyła w metalową bryłę. Potknął się tak mocno, że jak długi wyciągnął się na alejce. Rozległ się przeraźliwy dźwięk, jak wycie policyjnej syreny. Natychmiast otoczyła go gęsta chmura dymu. Zaczął kichać, z oczu płynęły mu łzy. Przez chwilę siedział skulony, po czym wyprostował się i z trudem ruszył w stronę domu, kaszląc i czkając, z palącymi oczami.

Strażnik z bronią w rękę stał już przed drzwiami i przyglądał mu się zdumiony.

- Ach, to pan! Ale właściwie co o tej porze robi pan na dworze?

Pierre, zgięty wpół, odcharkiwał i spluwał na ziemię.

- Światło było w...

- Niech pan wejdzie. Schowajmy się. Proszę się nie niepokoić. To Kagiebe wykonuje swoją pracę.

Młody człowiek złapał Pierre'a za rękę, zaprowadził do pokoju dziennego i posadził naprzeciw kominka.

- Przyniosę panu szklankę wody. To nic takiego. Wylączyłem syrenę. Trochę gazu lżawiącego, to wszystko. Za kilka chwil już nie pan nie będzie czuł.

Pierre zamknął oczy i starał się odzyskać spokój, biorąc głęboki oddech, a następnie wypuszczając powoli powietrze.

Ledwie zaczął odzyskiwać przytomność umysłu, usłyszał głos Emmy.

- Pierre? Jesteś tu?

- Wszystko w porządku. Jestem tutaj, w salonie. Przybiegła do niego.

- Ależ co się dzieje? Usłyszałam syrenę i zaraz przybiegłam. Zobaczyłam, że drzwi do twojego pokoju są otwarte, a ciebie nie było w środku. Co zrobiłeś?

- Ten pan obudził Kagiebe, po prostu. Najwyraźniej psu się to nie spodobało.

Dozorca wrócił ze szklanką wody. Śmiał się.

- Można powiedzieć, że Kagiebe bardzo dobrze działa. Poprawił się w ciągu tych dwóch lat. Och, na początku było z nim dużo problemów. Zaczynał wyć za każdym razem, gdy jakiś królik przebiegł przez ogród. Teraz działa bez zarzutu. Ma bardzo dobre wyniki. To znaczy, przykro mi, że zapomniałem go wyłączyć. Życzy pani sobie czegoś, pani Shan-non? Zrobić pani kawę?

- Eee... nie, dziękuję, Terry. Ale herbatę tak, chętnie.

335

Dozorca odszedł w stronę kuchni. Emma wydawała się zdezorientowana. Młoda kobieta nie włożyła z powrotem beżowej spódnicy; miała na sobie czarne spodnie i białą bluzkę. Dwa górne guziki zostawiła odpięte. Nie miała czasu, żeby włożyć stanik. Widać było górną część piersi, delikatną, okrągłą, gładką. Lecz jej twarz była blada, a rysy twarzy zdradzały zmęczenie. Najwyraźniej naprawdę nie spała tej nocy. Granier za to musiał spać bardzo mocno, skoro nie obudziła go syrena.

Pierre, ukłuty zazdrością, zacisnął zęby. Jakby w odruchu zemsty pomyślał, że za dwadzieścia lat Emma będzie tak właśnie wyglądać, nieco zwiędnięta, i to nie tylko zaraz po obudzeniu. Ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie pomyśleć, iż mimo wszystko chciałby móc budzić się u jej boku.

Zobaczył pochylające się nad nim usta Emmy.

- Pierre, już dobrze?

- Dziękuję, lepiej.

Usiadł na kanapie i odsunął się od Emmy. Miał dość jej troski, dość traktowania go jak słabego ogniwa w zespole.

- Dozorca... Terry, tak? -Tak.

- Mówił coś na temat KGB czy mi się śniło? Co miał na myśli?

- Pierre, Kagiebe. Z siedmiu liter. To pies. Pies robot... Spaceruje po ogrodzie i jak tylko wykryje podejrzany ruch, bezpośrednio przesyła do komputera obraz wideo. Dan robił nawet próby, żeby podejrzany obraz był bezpośrednio wysyłany na komórkę dozorczy. Ale w tamtych czasach nie chciało działać.

- A funkcję „ugryź” przetestowali?

Emma uśmiechnęła się delikatnie. Pierre także. Oczywiście nieszczerze. Kagiebe, co za idiotyczne imię - pomyślał - Jak w czasach zimnej wojny. Podczas gdy zaczyna się nowa, elektroniczna wojna. Chociaż raz Barett się spóźnił.

Emma mówiła dalej lekkim tonem:

336

- To będzie w wersji 2.0. Ale tak między nami, co robiłeś na dworze w czasie, gdy Kagiebe robił obchód?

- Nie mogłem spać. Emma milczała przez chwilę. -Nie ty jeden.

Gorzki grymas zagościł na twarzy Pierre'a.

- Po cielesnych szaleństwach... Zmarszczyła brwi.

- Słucham?

Jednym ruchem ręki uciął dyskusję. W końcu może robić nocami, co tylko jej się podoba, to jest problem Brada, a nie przypadkowego kochanka.

- Dalej! - mruknął. - Straciliśmy już dość czasu. Nie wiem, jak znajdziemy to, czego w tej willi szukasz, ale jeśli nie zaczniemy...

Emma nie zdążyła odpowiedzieć. Przyszedł Terry, trzymając w ręku tacę. Z naczyń z nierdzewnej stali ulatniał się uspokajający zapach kawy i czarnej herbaty. Dozorca postawił je na najniższym z trzech gerydonów. Kiedy Terry nacisnął pilota, Pierre odkrył, że środkowy pełni funkcję telewizora. U ich stóp pojawiły się obrazy CNN.

- Stolik-ekran, praktyczne, prawda? - rzekł Terry zachwycony, że może pokazać swoje techniczne umiejętności, choćby i o piątej rano. - Chcąc wyłączyć, wystarczy po prostu powiedzieć „stop”. Telewizor działa na głos, jak wiele rzeczy w tym domu. Ale pani Shannon dobrze o tym wie! Pamięta pani ostatnim razem? Wezwała mnie pani na pomoc. Chciała pani obejrzeć CNN, a system automatycznie przeskakiwał na film na Canal Plus. I to nie było jakiś film, co? Była pani w pokoju „Ty”, a poprzednio zajmował go pewien pan, nie będę mówić jaki... Obowiązek dochowania tajemnicy!

Zrobił denerwująco tajemniczą minę.

- Położyłem Kagiebe przed bramą, w ten sposób nie będzie już panu dokuczał - mówił dalej, zwracając się do Pier

re'a. - W każdym razie naprawdę bardzo się cieszę, że ten pies działa. Pan Barrett lubi, żeby...

Nagle chyba przypomniał sobie, że jego pracodawcy nie ma już na tym świecie. Ale wydawało się, że jakoś specjalnie nie robi to na nim wrażenia. Nawet jeśli Amelia sprzeda dom, on będzie umiał sprzedać się nowemu właścicielowi. Dozorcy high-tech nie biegają tak po prostu po ulicach.

Pierre zmienił temat:

- Terry, mam pytanie: przed chwilą, zanim zawarłem znajomość z pańskim... Kagiebe, wydawało mi się, że widzę światło na basenie i w ogrodzie.

- Która była wtedy godzina?

- To było mniej więcej godzinę temu. Chyba o czwartej trzydzieści.

- O czwartej trzydzieści, oczywiście! Powinienem być was uprzedzić! Ale przyjechaliście tak późno w nocy. To system elektrycznej pamięci pana Baretta. Codziennie rano o czwartej czterdzieści pięć pływał przez pół godziny. A więc kiedy w domu ktoś jest, światło i ogrzewanie automatycznie włączają się o tej godzinie.

- Ale światło w salonie zapala się tylko wtedy, gdy ktoś tam wchodzi?

- Właśnie. Co do basenu, pan Barrett wołał, żeby kiedy do niego wchodzi, był już oświetlony i nagrzany, ale zaraz zmienię ustawienia. W ten sposób nie będzie już państwu przeszkadzać.

Emma upiła łyk herbaty, po czym uściśliła wypowiedź dozorczy:

- Program do automatycznego oświetlenia został wynaleziony przez młodego hinduskiego programistę z Control-ware. Zresztą pies-robot także.

„To wszystko wychodzi taniej niż nocny stróż na francuskich stawkach - pomyślał Pierre. - Barrett jak zwykle dobrze policzył!”

- Idziemy? - zaproponował nagle.

338

- Jeśli już wszystko w porządku, OK.

Emma odgarnęła włosy do tyłu i pomasowała sobie skronie, jakby chciała wygładzić zmarszczki. Najwyraźniej wolałaby wrócić do pokoju, żeby się umalować. O mało jej nie powiedział, że taka też wygląda podniecająco. Ale spuścił głowę i zauważył obrazy CNN.

- Chwila, spójrz!

Wskazał palcem na ekran, na którym pokazywano obrazy z Chin. Na pasku u dołu ekranu można było przeczytać: *CNN. Special report. Environmental disaster in Hong Kong.*

- Można zrobić głos? Gdzie jest pilot? - zapytał, klękając obok ekranu.

- Telewizja! Dźwięk! Głośniej! - powiedziała Emma, wyraźnie oddzielając poszczególne sylaby.

Włączył się drugi ekran, ścienny, z doskonałym dźwiękiem. Pokazywał te same obrazy co na niskim stoliku. Specjalny wysłannik CNN w Hongkongu stał przed opustoszałym portem. Wyjaśniał, że skażenie sieci kanalizacyjnej pozbawiło mieszkańców wody pitnej. Oficjalne źródła chińskie jak zwykle starały się złagodzić siłę tej wiadomości. Mówiono o przemysłowym wypadku, który wydarzył się na północy miasta. Zanotowano kilka przypadków zaburzeń jelitowych. Dziennikarz CNN podawał wersję nieoficjalną. Dotknięty jest cały region Hongkongu. Trzysta milionów ludzi mogło zostać skażonych. Sieć dystrybucji wody pitnej będzie nieczynna przez wiele tygodni. I wreszcie przypuszczenie, że to atak terrorystyczny. Chociaż co do tego ostatniego CNN było nadal ostrożne. Faktycznie, sieci wody pitnej w Chinach nawet w normalnym stanie były tak zanieczyszczone, ^{Ze} nie można było wykluczyć przypadkowego pogorszenia ^{sie} tego stanu.

Pierre przełączył na TFi. Typowe dla sobotniego poranka kreskówki zastąpiono specjalnym flashem. W Szwajcya-¹¹¹ zdiagnozowano kilka niewyjaśnionych przypadków bie

guńki. Rząd zwrócił się do mieszkańców, aby nie pili wody z kranu oraz zrobili zapasy wody pitnej. W Wielkiej Brytanii w trybie pilnym zebrał się parlament, aby obradować na ten temat. W Paryżu rzecznik rządu twierdził, że sieci wody pitnej są pod kontrolą oraz że powzięte zostały wszelkie środki bezpieczeństwa.

- Tere-fere! - zawołał Pierre. - Powtórka z Czarnobyla. Dziennikarz zapowiedział zwołanie w Brukseli nadzwyczajnego szczytu ministrów ochrony środowiska grupy G8.

- I co mają zdecydować? - denerwował się Pierre. - Oni nic nie mogą, absolutnie nic.

- A my tak.

Lekkim jak piaseczka dotykaniem palca na stole Emma wyłączyła telewizor. Ton jej głosu nie pozwalał na żadne dyskusje. W tym samym czasie patrzyła pytającym wzrokiem na Pierre'a, jakby chciała, żeby ją uspokoił.

Informatyk wstał.

- Nie mamy chwili do stracenia. Ale od czego zacząć? Odkąd? Pod podłogami? Za ścianami? - powiedział, omiatając pokój ruchem dłoni.

Już wczoraj, w samochodzie, Granier zadał to pytanie:

- Czego dokładnie będziemy szukać? I gdzie?

- Szukamy kilku linijek albo może całych stron, instrukcji do programowania, informatycznego zapisu, jeśli pan woli - odpowiedziała Emma.

- A więc na kawałku papieru w zeszytach?

- A czemu nie na papirusie? Jean-Philippe, niech pan nie będzie idiotą! Willa Trianon to marzenie Dana! Dom bez papieru!

- Nawet w toalecie? - szydził Granier.

Jego dowcip przeszedł bez echa, ale miał rację: na tym polegał kłopot. Prawdopodobnie linie kodu zostały umieszczone w jakimś komputerowym pliku, ale gdzie go znaleźć? W komputerze, na CD-ROM-ie, w pamięci USB?

Pierre wstał i oparł dłonie na biodrach.

- Może należy zapytać Kagiebe, czy ma jakiś pomysł? Teraz on popadał w cynizm. Jego niepokój przybierał na sile. Gdzie w tym dziwnym wystroju, minimalistycznym i bogatym zarazem, w którym panuje porządek, czystość i dobra organizacja, znaleźć ślady Le Nôtre'a? Tu każda rzecz ma swoje miejsce, jak w programie komputerowym. Zniknęło to wszystko, co w każdym starym francuskim domu zalega na półkach i w szafach. Tutaj żadnych ukrytych szuflad, tajemniczych kuferków, stoczonych przez robaki sekretarzyków, które samą swoją obecnością zdradzają pamięć danego miejsca. Jeśli tu jest jakaś pamięć, musi być ukryta, tak jak i reszta, w plątaninie kabli i czytników, które tworzą drugą strukturę architektoniczną willi, jakby drugi szkielet. Pierre czuł to: Baretowi udało się zbudować na bazie pięknej historycznej posiadłości Elsie Wolfe swoją własną konstrukcję, złożoną z niewidzialnych włókien i fal, które również ukazują - w tym historycznym miejscu - klasyczną manię informatyka: zakamuflować ekstremalną siłę w ekstremalnej prostocie - i jego, Dana Baretta, obsesyjne dążenie do połączenia, w tym samym dziele, starego i nowego, historii z przyszłością, początku i końca. Jak Pan Bóg o świcie pierwszego dnia.

- Jestem pewna, że kod ukryty został w komputerze - rzuciła Emma. - Zacznę od peceta Dana w jego sypialni. Chciałam zacząć wczoraj, lecz nie mogłam...

- Wiem, byłaś bardzo zajęta - przerwał jej Pierre. Emma pominęła tę uwagę milczeniem. Zrozumiała, do czego Pierre zmierza, podobnie jak zrozumiała pytanie, które usłyszała chwilę wcześniej.

- Widziałeś, jak Jean-Philippe wychodził z mojego pokoju? - zawołała.

Pierre spojrział na nią ponurym wzrokiem.

- To nie to, co myślisz! Czy chociaż raz mógłbyś mi zaufać?

341

Nic nie odpowiedział.

Tym razem w jej głosie słychać było nutę irytacji.

- Kiedy kobieta i mężczyzna spędzają razem noc - odparł Pierre - to nigdy nie jest to, co się myśli!

- Nie spędziłam z nim nocy! Pierre, nie mogę teraz ci tego wyjaśnić, ale musisz mi uwierzyć na słowo, przysięgam, że... Przerwał jej niemal wbrew sobie.

- Posłuchaj, Emmo. Szczerze mówiąc, nie musisz mi nic wyjaśniać. Mam to gdzieś.

- Cholera jasna! Masz rację, nie traćmy czasu! Jej głos trzeszczał jak suche drewno.

- Zresztą przed tobą nie muszę się usprawiedliwiać - dodała, odwracając się do niego plecami.

Pokój Baretta urządzony był podobnie jak reszta domu. Dębowy parkiet na wysoki połysk. Wielkie łóże. Stół-ekran.

Przed kominkiem dwa fotele, w tym jeden bujany. Na ścianie nad paleniskiem płaski ekran, większy od tych w salonie, na którym znajdowało się zdjęcie Amelii z dziećmi na tle egipskich piramid.

Dan mógł być dopasować obrazy do odwiedzającej dane miejsce osoby także w swoim pokoju. A skoro tego nie zrobił, to znaczy, że Emma nie była upoważniona, by tam wchodzić. Myśl ta nie powstrzymała Emmy, która odruchowo podeszła do łóżka, usiadła na nim i skierowała w stronę ściany:

- Nocny stolik. Otworzyć.

Płyta z boku łóżka odwróciła się powoli, ukazując w ścianie niewielką inkrustowaną komodę. W głębi umieszczono płaski szary przedmiot. Przenośny mikrokomputer, ostatni krzyk mody.

- Jest tu! Zobacz! Pierre usiadł na łóżku. Emma siedziała wyprostowana,

starając się teraz zachować dystans. Paradoksalnie samo miejsce ułatwiało jej to zadanie. Pierre widział już taki rodzaj *living bed* w „Wired”, swoim ulubionym czasopiśmie. Ostra

czerwień, co najmniej pięć metrów kwadratowych, samo zajmowało niemal cały pokój. Jego podstawa dopasowywała się do ciała osoby siedzącej czy też leżącej, zapewniając jej idealną pozycję. Z chwilą gdy ta wstawiała, łóżko wracało do dawnego kształtu, nie pozostawiając na swojej powierzchni żadnych wgłębień, zmarszczeń ani wypukłości. W materac wbudowano mikroprocesory i kolumny. Przy lewej nodze umieszczono ruchomy ekran plazmowy. W niewielkiej szafce po prawej stronie znajdował się sterowany głosem ekspres do kawy.

Pierre podłączył komputer.

- Pewnie potrzebne jest hasło. Odciski palców? Tęczęwka? Próbką DNA Baretta? Co tym razem wymyślił twój Dan? Informatyk próbował rozładować atmosferę. Żałował tamtych przykrych słów. Reakcja Emmy, będąca wyraźnym protestem, wydała mu się szczerą. Może powinien był obdarzyć ją zaufaniem, zgodzić się, by odłożyła wyjaśnienie tej sprawy na później. No i była tutaj, obok niego, na łóżku Baretta...

- No nie - odpowiedziała, a w jej głosie nie było ironii. - Hasło dostępu. Wystarczy wpisać. Może zostawił to stare.

- Co stare?

- Stare hasło dostępu. To, którego używał często w domu, zanim zainstalował czujniki oraz rozpoznawanie biometryczne.

Emma wystukiwała litery na klawiaturze. Siedem. Wielkimi literami. APOLLO.

- Zobacz! Weszło...

Teraz na ekranie pojawiły się ikony. Pośród nich kilka żółtych piktogramów. Z pewnością foldery Baretta.

- „Trianon”, „Controlware”, „Rodzina” oraz „Le Nôtre”! To tutaj, jestem tego pewna!

Pierre obserwował, jak dłoń Emmy przesuwa kursor myszki w stronę foldera „Le Nôtre”. „To wszystko jest zbyt proste”-pomyślał. I rzeczywiście. Folder zawierał liczne pli-

343

ki związane z Le Nótrem, jego życiem, dziełem, książkami oraz pracami na jego temat. Wszystkie można było otworzyć i szybko przejrzeć. Ale nic w nich nie było. Przynajmniej nic takiego, co przypominałoby linie kodu. Była już prawie szósta rano, a oni dotarli właśnie do ostatniego pliku, stwierdzając, że ten nie chce się otworzyć. Nazwano go „Ogrody”.

- O, nie! Ten jest dodatkowo chroniony! - zawołała Emma.

- Tak, i w dodatku nie wiem, w jaki sposób.

- Zaczekaj... Sekunda.

Emma powiedziała głośno w stronę komputera:

- Le Nótrem. Żadnej reakcji.

- Sądzisz, że w ten sposób można otworzyć plik?! - za wołał Pierre.

- W przypadku Dana wszystko jest możliwe. Powtórzyla głośniejszym głosem:

- Le Nótrem!

Nic nie poruszyło się na ekranie komputera. Ale z kominka dobiegł jakiś świst. Emma wydała z siebie okrzyk zdumienia:

- Ekran, tam, u góry! Pierre! Patrz!

Obraz rodziny Baretta na ścianie zniknął powoli.

Za ekranem stopniowo pojawiał się duży plan architektoniczny. Kwadraty, prostokąty, okręgi, wielokąty. Kreski narysowane piórem na starym papierze. Był zniszczony na zgięciach i zabezpieczony oprawką ze szkła oraz metalowego pręta. Seria legend - nazwy oznaczonych literami sadzawek - tworzyła nad rysunkiem dekoracyjny pas. Zdumieni Emma i Pierre zerwali się i podbiegli do kominka.

- Ten system został stworzony „na miarę”, musi być wart majątek - powiedział informatyk.

Emma nie spuszczała wzroku z obrazu.

- Pierre! - zawołała. - To jest plan ogrodów w Wersalu! Poznając: Latona, Apollo, Parter Północny... Zaczekaj.

Podeszła jeszcze krok bliżej.

- Tu, na dole, jest jakaś data. Tysiąc sześćset sześćdziesiąt dwa! Boże! Jestem pewna, że to oryginalny plan, ten, którego Dan szukał!

- Ten, który ma zawierać dowód na istnienie Boga? Wczoraj w samochodzie, po wyjeździe z Colleville,

⁰ wszystkim mu opowiedziała. Jeśli chodzi o Graniera, on ¹nal już częściowo tę historię.

- W każdym razie jeśli jest to ów słynny plan, Dan nigdy mi nie powiedział, że go odnalazł... Jak się dowiedzieć, ^{2c} to rzeczywiście ten?

- Emma? Pierre? Gdzie jesteście? - usłyszeli nagle dobiegający ze schodów głos.
Aż podskoczyli, słysząc wołanie Graniera. Pierre poczuł, jak Emma sztywnieje. Najwyraźniej nie miała ochoty go oglądać. Poszukał w kieszeni komórki, żeby sprawdzić godzinę. 7.30. Pisarz sobie pospał... A on powinien oddzwonić do Clary. - Emma chwyciła go za rękę.
- To Jean-Philippe! Wychodzimy stąd! Pierre nie miał czasu, aby ją zapytać, dlaczego nie chce podzielić się swoim odkryciem z powieściopisarzem. W każdym razie z pewnością było to jeszcze jedno pytanie, na które nie mogłaby odpowiedzieć.
- Znaleźliście coś? - spytał Granier, stając w drzwiach. Emma odpowiedziała chłodno:
- Jak na razie nic związanego z liniami kodu.
Ale Granier zauważył znajdujący się na ścianie plan. Wydał z siebie okrzyk podziwu.
- No nie! Nie wierzę... Znalazł go!
Włożył okulary i zaczął studiować plan tak, jakby znajdował się na znanym terenie.
- Niewiarygodne! To słynny pierwszy rysunek. To naprawdę on, jestem tego pewien! To cud! Widzicie legendy? Latona pisana z akcentem nad „o”, *Stoille* przez dwa „l” - A przyszła Fontanna Szwajcarów jest ośmiokątna, podczas gdy nigdy nie miała takiego kształtu... Trzeba szybko porównać z dzisiejszymi ogrodami!
- Sądzi pan, że to jest teraz najpilniejsze zadanie? - ironizowała Emma.
- Ależ skoro jest to oryginalny plan, to może zawiera boskie twierdzenie!
- A jeśli nawet, nie ma to nic wspólnego z naszymi liniami kodu.
- Ciągle te linie kodu! Nie macie dość swojego komp^u terowego polowania?

Emma i Pierre spojrzeli na siebie bez słowa. Pomyśleli o tym samym. Granier jest irytujący. Z jego cynicznego braku zainteresowania emanuje głęboki egoizm. Typowy dla gościa gotowego raczej pozwolić zdechnąć połowie ludzkości, niż zrezygnować ze swojej manii.

Młoda kobieta zwróciła się do Graniera, żeby wyjaśnić mu sytuację. Kolejny wypadek w Hongkongu. Prawdopodobieństwo zamachu skierowanego na ujęciu wody pitnej. Nadzwyczajny szczyt krajów G8. Powieściopisarz w żaden sposób nie skomentował tych wiadomości, jakby wydarzenia te wcale go nie obchodziły.

- Widzi pani, że papier ma znaczenie, nawet dla tego szaleńca Baretta! Przepraszam, zapomniałem... W każdym razie chronił ten dokument jak jakiś skarb!

- Oczywiście - przerwała mu Emma. Jej głos brzmiał poważnie. - Nie miał wyboru. W latach sześćdziesiątych szesnastego wieku nie było raczej cyfrowych obrazów. Zresztą kupował też inne rękopisy: Napoleona, Churchilla, Jeffersona.

- Rzeczy, które leżą nam na sercu, nigdy nie przechodzą przez komputer.

Granier milczał przez chwilę, chcąc dać Emmie i Pier-re'owi czas na zastanowienie się nad jego myślą.

- Oto co wam proponuję - mówił dalej. - Wy nadal grzebiecie w komputerach, ja zaś idę z planem do małego parku. Tylko najpierw go skopiuję. W każdym razie tutaj niewielki byłby ze mnie pożytek.

Emma z ledwością powstrzymała uśmiech cisnący się na usta na myśl, że pozbędzie się Graniera.

Pierre z ulgą wrócił do komputera, żeby spróbować dostać się do opornego folderu. W chwili gdy położył rękę na myszce, włączył się ekran, a Pierre zobaczył, że dokument "Ogrody" tym razem jest dostępny. Hasło „Le Nôtre”, które chwilę wcześniej wypowiedziała Emma, spowodowało również jego otwarcie.

- Mocne, Baret! - gwizdnął Pierre.

W Power Poincie znalazł prezentację wszystkich aktualnie odnotowanych planów Le Nôtre'a. Ostatni, najstarszy, pochodził z 1664 roku i podobny był do planu wyświetlonego na ścianie. Granier rzucił się w tę stronę.

- Jeśli pan chce, wydrukuję to panu w formacie A3 - zaproponował Pierre.

- Coś takiego, a myślałem, że jesteśmy w domu, w którym nie ma papieru - ironizował Granier.

Pierre wolał zignorować jego wypowiedź i uruchomił drukarkę.

- Ja teraz muszę sprawdzić twarde dyski. Mogą tam być inne pliki.

Odwrócił się w stronę Emmy.

- Może tymczasem zaczęłabyś przeglądać komputer z biblioteki?

- OK - odparła. - Już idę.

Granier usiadł w fotelu na biegunach i zabrał się za kopiowanie planu z 1662 roku. Za pomocą miniaturowego grafitowego ołówka nanosił go do niewielkiego czarnego notesu Moleskine.

Pierre wyszedł na korytarz i wybrał numer swojej żony w Aies. Zajęte. Ciągle zajęte. Wołała go Emma.

- Pierre, nie mogę otworzyć kompa w bibliotece. Informatyk westchnął mimowolnie. Znal ów łzawy ton, którego używała zawsze wtedy, gdy zwracała się do niego o pomoc. Jak często w takich przypadkach, jej prośba nie była wyrażona bezpośrednio. Emma nie mówiła: „Czy mógłbyś nu pomóc?“, lecz: „Mój Boże, nie mogę tego zrobić, to straszne, sądząc, że efekt jest taki sam. W rzeczywistości była przyzwyczajona do tego, że inni uprzedzają jej życzenia, zanim jeszcze zdążyje jasno sformułować. Pierre przypomniał sobie wydarzenie z czasów, gdy byli jeszcze oboje młodymi inżynierami

i pracowali razem. Często tak się działo. Ona, zdecydowana, stanowcza, cechy kapitana. I nagle pod jej pewną miną pojawia się zwątpienie, niepewność, źle ukryta kruchość, której istnienia się domyślał. Ale zawsze wahał się, jaką w tej sytuacji przyjąć postawę. Z jednej strony czuł pokusę, by zostawić ją i niech sama radzi sobie z problemem. W końcu zarabiała tyle samo co on, a więc powinna umieć robić te same rzeczy. Z drugiej strony pragnął przyjść jej z pomocą. Biegł na ratunek tak szybko, że miał wrażenie, iż jest pudłem. „Raczej bernardynem! - roześmiała mu się pewnego dnia w nos, gdy skarżył się, że jest „spudłony”.

Wkurzające. Lecz życie nauczyło go, że kobiety, nawet jeśli roszczą sobie pretensje do poskramiania drapieżników, to i tak lubią towarzystwo bernardyna. Uspokajający towarzysz, który wyciągnie je spod zwalów śniegu, jeśli się w nich zapadną.

Zszedł do salonu. W trzy sekundy rozwiązał problem i zadowolony wrócił na do górę. Zaskoczył Graniera pochylonego nad komputerem Baretta.

- Jak można pasjonować się tymi maszynami? Tym co na mnie robi największe w tym domu wrażenie, jest kuchnia w podziemiach! Naprawdę wspaniała!

Zachichotał.

- Oczywiście moja gosposia nie potrafiłaby nawet przyrządzić tam kawy...

- Czy pańska gosposia jest niema? - zapytał Pierre.

- Nie, dlaczego?

- Wydaje się tu polecenia głosowe. Granier zignorował jego uwagę.

- Za to - mówił dalej - wszędzie te ekrany, te płótna cyfrowych mistrzów... Dość wulgarne, co? Widział pan w kuchni tę martwą naturę Gauguina? To prawda, Amerykanie zbudowali pierwsze na świecie mocarstwo, więc nie można jeszcze od nich wymagać, żeby mieli gust!

Już chciał mu powiedzieć, że Barrett miałby wystarczające środki, żeby kupić pięćdziesiąt oryginalnych Gauguinów, lecz wolał poświęcić swój majątek na walkę z ubóstwem. O mało nie dodał: „Ty, kretynie, nie wpłaciłeś na rzecz biednych 30% swoich honorariów”. Ale nie wystarczyło mu czasu, by to zrobić. Zadzwoiła komórka. Clara.

- Kochanie, to ty? Wreszcie! Co u ciebie? Gdzie jesteś?

- W Wersalu.

Clara nie okazała zdziwienia.

- Pierre, od wielu godzin czekam, żebyś do mnie zadzwonił! Nie dostałeś mojego SMS-a?

- Dostałem, Claro, dostałem. Próbowałem zadzwonić, ale numer był stale zajęty.

Czuł, że mu nie wierzy, i westchnął zniechęcony. Spojrzał przez okno. Po drugiej stronie muru rozciągał się wersalski park. Widać było gospodarstwo królowej oraz Świątynię Miłości. Barrett miał szczęście, mogąc spędzać tu z Emmą weekendy.

Wysoki głos Gary przerwał te obrazy.

- Pierre! Pierre! Słyszysz mnie?

- Tak, kochanie. Wszystko dobrze w Alès?

- Tak, tutaj wszystko w porządku. Ale u twojego brata Jacques'a jest źle... Dzwoniła twoja siostra: Jacques jest w szpitalu Saint-Joseph-Saint-Luc!

Pierre znieruchomiał.

- Jacques? Ale dlaczego?

- To się stało wczoraj wieczorem. Nie czuł się dobrze. Wziął dwie tabletki i nadal czuł się źle. Wymiotował... Stracił przytomność.

- Jak to możliwe? Gdzie on jest?

- W szpitalu w Lyonie, przecież mówię. Robią mu badania. Najwyraźniej nie jest jedynym tego typu przypadkiem, lekarze rozkładają ręce...

- Z jakiego powodu? Gara, jesteś tam?

350

Pierre przesunął się o kilka metrów. Połączenie było kiepskie.

Podczas gdy on szukał dobrego miejsca, Granier z notesem w ręku wyszedł z pokoju Baretta, stwierdzając, że idzie do ogrodów. Clara mówiła dalej:

- Zdaje się, że wodociągi zostały zanieczyszczone. W Lyonie nie wolno już pić wody z kranu.

Nie czekając na reakcję męża, zaczęła krzyczeć:

- Pierre!... Pierre!... Halo! Słyszysz mnie?... Myślisz, że tutaj też jest takie niebezpieczeństwo? Co mam robić z dziećmi? Sądzisz, że możemy brać wodę z basenu i ją gotować?

W innych okolicznościach pewnie by zażartował, odpowiedziałby Garze, że w najgorszym razie może myć się w wodzie po ugotowaniu makaronu. Ale jego też dosięgła panika. Prawdopodobieństwo, że kłopoty z siecią wody pitnej w Lyonie są kwestią wypadku, wydawało mu się ekstremalnie małe. Natychmiast skojarzył z Hongkongiem. Terrorysty mogli wejść do systemów komputerowych stacji oczyszczania, zmienić wyniki analiz, dawkowanie, pozwolić rozwijać się niektórym bakteriom.

Ale dlaczego po Hongkongu uderzyli w Lyon? Dlaczego Lyon przed Tokio i Los Angeles? Bez wątpienia należało się spodziewać, że hakerzy przedstawią swoje żądania. Ale dlaczego tego nie robili?

Wrócił do komputera Baretta. Zaczynał wątpić, czy coś tu znajdzie. A jeszcze mniej wierzył w możliwość znalezienia klucza w komputerze z biblioteki. Zbyt łatwo było dostać się do tych maszyn. Skoro Dan Barrett odczuwał potrzebę ukrycia linii kodu dziesięć tysięcy kilometrów od Bostonu, nie zrobił tego po to, żeby teraz wałały się na jego biurku. Choćby i komputerowym.

Lecz jeśli Barrett chciał, żeby Emma je odnalazła, musiał Pozostawić jej jakieś wskazówki. W tym przypadku portret

Le Nôtre'a na dole z pewnością był jedną z nich. I musiały być jeszcze inne.

W zamyśleniu wyszedł z pokoju Dana. Przeszedł przed swoim pokojem, do którego drzwi nadal były na wpół otwarte. W środku, tak jak wczoraj, na wiszącym na ścianie ekranie wyświetlało się banalne zdjęcie wersalskiego zamku o zachodzie słońca, zrobione z wysokości ogrodów. Z ciekawości wszedł do sąsiedniego pokoju: tam kolejna fotografia zamku, tym razem zrobiona z Marmurowego Dziedzińca. Podobnie w pokoju, który zajmował Granier: nadal zamek widziany z samolotu. Zbiegł po schodach, dołączając do Emmy. Wciąż siedziała przed komputerem w bibliotece.

- Emmo! Jaki pokój zwykle zajmujesz? Odpowiedziała, nie odwracając się w jego stronę:

- Twój. To znaczy, pokój Emmy Brown. Dan uważał, że to nadzwyczajne, iż jego imię figuruje już na drzwiach.

Rzucił się w jej stronę i złapał ją za rękę, zmuszając, żeby wstała.

- Chodź, chodź szybko!

- Ale Pierre, co się dzieje?

- Chodź ze mną!

Zaprowadził ją przed drzwi pokoju „Emma” i poprosił, żeby to ona nacisnęła kłamkę. Wczoraj, kiedy przyprowadziła go tutaj, nie wykonała tego gestu: teraz sobie przypomniał, że drzwi nie były domknięte. Emma posłuchała i pierwsza weszła do pokoju.

Zamek wersalski na tylnej ścianie ustąpił miejsca galerii czarno-białych portretów. Portretów psów.

- Lubisz psy? - zapytał Pierre. Emma odwróciła się.

- Ależ, Pierre! Po co tu przyszliśmy? Po co przyprowadziłeś mnie do tego pokoju? Znam go na pamięć! Poza tym jeśli chcesz wiedzieć, nienawidzę psów!

- Ach, tak, nie lubisz psów?

352

- Nie. Kiedy miałam pięć lat, zostałam pogryziona przez mopsa, zostawił mi paskudną bliznę na lydce. Nie rozumiem, dlaczego udekorował mój pokój tymi psami.

Pierre, zahipnotyzowany pojawiającymi się na ekranie zdjęciami pudli w kolorze sepii, ledwie jej słuchał. Ostatnie zdjęcie z tej serii przedstawiało starszą kobietę w niewielkim kapeluszu, w ogrodzie, trzymającą na rękach pudła. Całowała go w górną część pyska.

- To Elsie de Wolfe! - wykrzyknęła Emma. Spojrzeli na siebie świadomi, że coś im umknęło.

- Posłuchaj! Podetknięcie mi pod nos tych wszystkich psów całkiem nie pasuje do Dana - szepnęła, zwieszając głowę. - To nie jest przypadek.

- Zrozumiałaś! Te psy pojawiły się, kiedy na kłamce znalazły się twoje odciski palców. Kiedy zostawiłem moje, nic się nie wydarzyło. To może być wszystko, lecz nie przypadek: to wiadomość od Baretta.

Tunel pod nagrobkami pudli! Możesz sobie wyobrazić moje podniecenie! Co jest pod spodem? Z tyłu? Gdybym mógł przeskoczyć mur oddzielający Willę Trianon od zamkowego parku, zrobiłbym to. Pędziłem w stronę bramy z radarem w rękę, aby dotrzeć do wejścia do parku, od strony bramy Saint-Antoine. Stojący przed swoją budką facet wynajmujący rowery nigdy nie widział, żebym biegł tak szybko. Kiedy znalazłem się z drugiej strony muru, włączyłem radar i ruszyłem po łące w kierunku Grand Trianon, ze wzrokiem utkwionym w ekranie kontrolnym. Czy podziemia, do których wejście wcześniej odkryłem, ciągną się w tym kierunku? Czy docierają na drugi koniec, do sypialni Madame de Maintenon? A jeśli tak, jak to umknęło całym pokoleniom poszukiwaczy badających Wersal?

Przeszedłem około dwudziestu metrów. Na kontrolnym ekranie powoli rysował się coraz mniej wyraźny obraz. Tunel był zbyt głęboki. Lecz szedłem jednak w kierunku Grand Trianon. I niestety nie pozostawałem niewidoczny. Co będzie, jeśli spotkam kogoś z pracowników? Zatrzymałem się natychmiast.

Najlepszym rozwiązaniem byłoby wrócić na psi cmentarz i zacząć kopać. Elsie i jej mąż musieli doraźnie zamknąć wejście: w końcu oni nie starali się ukryć podziemi. Jednak nie mogłem zabrać się za tę pracę tego wieczora. Nie posiadałem odpowiednich narzędzi, a poza tym miał wrócić dozorca.

Zaczekałem do następnego dnia i znalazłem kolejny pretekst, aby oddalić Terryego. Wysłałem go do Orleanu po mebel, który kupiłem przez telefon od antykwariusza z tego miasta. Nie chciałem, żeby odkrył tajemne przejście. Nie teraz.

Dużo myślałem nad tym w nocy. I odtworzyłem puzzle. Już rozumiałem, dlaczego Elsie w swoim liście, który wzbudził we mnie chęć zakupu tej willi, pisze jednocześnie o śmierci pudla i odkryciu przejścia.

[...] Podziemna galeria, która rozpoczyna się w miejscu, gdzie kiedyś pijaliśmy razem herbatę - pamiętasz? Związek między wydarzeniami nie został zaznaczony, lecz było to ewidentne. Charles Mendl i jego ogrodnik odkryli wejście do podziemi, kopiąc grób dla psa. Co ich przy okazji zmusiło do przesunięcia pieczary nieco dalej.

I okrągły stolik z kutego żelaza! Z pewnością stal w tamtym miejscu, żeby Elsie mogła pić herbatę w towarzystwie swoich drogich zmarłych pudli, jak i swoich światowych przyjaciół.

Na początek musiałem jednak rozwiązać problem natury technicznej. W przeciwieństwie do tego co sobie myślałem, małżonkowie Mendl nie zadowolili się zatknięciem wejścia do podziemi za pomocą przypadkowej pokrywy. Zamocowali ją za pomocą pokrytej ziemią cementowej Phjty, od dawna zarosniętej trawą. Musiałem zdobyć młot pneumatyczny. I druga trudność: żeby dotrzeć do podziemi Grand Trianon, należało udrożnić tunel w miejscu, gdzie jeśli wierzyć listowi Elsie, zawalił się, czyli około dwustu metrów od willi. Jednym słowem, tym razem potrzebowałem pomocy.

Dyskretnej, o ile to możliwe.

Zastosowałem sposób, który poradził nam kiedyś jeden z twoich francuskich znajomych zajmujący się przejmowa

niem firm, pamiętasz? Przejrzeć w rejestrze handlowym ostatnie dokumenty dotyczące bilansu firmy i znaleźć właściciela firmy budowlanej, która jest w potrzebie. Rezultat natychmiastowy. Aloes, portugalski murarz, którego firma została zlikwidowana trzy tygodnie wcześniej, stawiał się od razu. Zaproponowana przez kwota oraz obietnica otrzymania innych zleceń - o ile potrafi utrzymać język za zębami - wystarczyły.

Potrzebował niespełna pół godziny na otwarcie tunelu, ale prawie cztery, żeby oczyścić rumowisko i umocnić galerię w konkretnych miejscach. Przez cały ten czas obserwowałem go, pomagałem, kryjąc swoją niecierpliwość. Kiedy otworzyliśmy przejście w miejscu, którego nie udało się pokonać Elsie, ruszyłem przodem, zagłębiając się w galerii zjedną z dużych halogenowanych latarek Alesa w rękę. Murarz szedł kilka metrów za mną. Jak stwierdziłem za pomocą radaru, tunel biegł na południowy zachód, w kierunku Grand Trianon. Lecz przesuwanie się pod tym sklepieniem było wyczerpujące: ledwie można było stać. Grunt był śliski, podobnie jak w podziemiach zamku, które zwiedzaliśmy oboje w towarzystwie hydraulika zajmującego się fontannami. Wilgotna skala pozwalała spływać kropelkom wody, które spadając, drążyły podłoże. Niektóre kropelki, zatrzymane przez skalę, powiększały rzeźbione przez wieki stalaktyty. Nie było tu żadnych wgłębień w skalę, w których można by umieścić lichtarze; tunel był bardziej prymitywny niż tunele w małym parku. Pokonaliśmy prawie kilometr, zanim korytarz ponownie zakończył się ślepą uliczką, zaporą ze skal i kamieni. Czy to ten, który już znałem, albo ściślej mówiąc, jego przeciwna część? Czy po drugiej stronie tego stosu kamieni, lekko nad nami, nie powinniśmy znaleźć dawnej sypialni Madame de Maintenant, w tym samym miejscu, w którym ubiegłej jesieni Granier, Kathrin i ja przerwaliśmy poszukiwania?

Kierunek - południowo-zachodni, odległość -1,1 km od Willi Trianon, głębokość - trzy do czterech metrów pod ziemią. Wszystko zdawało się wskazywać, że znajdujemy się kilka metrów od pokoju, który kiedyś badaliśmy. Wskazywało na to wszystko prócz radaru. Ten był ślepy. Żadnego wyraźnego połączenia z Grand Trianon. Warstwa skał była zbyt gruba. Stwierdziliśmy to już tamtego dnia.

Lecz tym razem komputer zaczął wibrować dokładnie w tej chwili, gdy miałem zamknąć ekran kontrolny i zwrócić się do Aluesa, żeby poprosić go o zabranie lasek dynamitu. Utworzył się obraz, ukazując naprawo, trzy metry od nas, wgłębienie. Metr trzydzieści wysokie. Pięć metrów kwadratowych powierzchni podłoża. Program był dokładny.

- Hurra!

Mój okrzyk zwycięstwa zaskoczył Aluesa. Ale swoje uwagi zachował dla siebie. Najwyraźniej zrozumiał, że piętnaście tysięcy euro, które dostanie, posłużyły również do kupna jego milczenia... Powrót do samochodu zajął mu dwadzieścia minut. Co do reszty, umiał się tym zająć. Długi lont. Trzy laski dynamitu. Zaczekać na zewnątrz. Głuchy odgłos eksplozji. I pozwolić, by opadł długi tuman kurzu.

Kiedy wróciliśmy na miejsce wybuchu, skała puściła. W świetle naszych latarek pojawiły się niewielkie metalowe drzwi. Alves pchnął je silnym uderzeniem ramienia: naruszone wybuchem dynamitu zawiasy puściły.

To była ukryta komnata.

Rzeczywiście była maleńka i mogliśmy poruszać się tylko pochyleni. Szczur przemknął mi między nogami, aż upuściłem latarkę. Alves dał zwierzakowi kopniaka, przy czym pośliznął się i uderzył o ścianę. Ja byłem już gdzie indziej. Podniosłem swoją lampę i skierowałem snop światła ugięb pomieszczenia. Na zabłoconej podłodze, oświetlonej Promieniem żółtego światła, czekały na mnie dwa brązowe kufry opasane srebrnymi obręczami. Podekscytowany pod

szedłem jeszcze o krok. Ale czułem też wahanie. Czy to emocje? Strach przed odkryciem tego, czego szukam od trzech lat? W sumie więc strach przed zwycięstwem? Czy w tych skrzyniach rzeczywiście znajdują się najcenniejsze w historii Francji rękopisy?

Ich zamki zamknięto na kłódki. Zważylem skrzynie w ręku, bez słowa. Dziwnie lekkie. Lecz nie były puste: czułem to, pochylając je na bok.

- Nie wyglądają na wypchane sztabkami! - rzucił Aloes, który pozostał ze mną.

Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z wagi odkrycia ani z powagi miejsca. Widział tylko dwa zardzewiałe kufry, zagubione w jednym z niezliczonych podziemi rozmieszczonych pod królewskim miastem.

- Proszę się uspokoić, nie majątku szukam - odpowiedziałem.

- A więc czego?

- Papierów.

Rzucił mi zaintrygowane spojrzenie, kierując snop światła ze swojej latarki w stronę pomieszczenia. Co to za facet, który obiecał mu piętnaście tysięcy euro za znalezienie starych papierów wewnątrz ciemnego tunelu? Ponieważ trwałem nieruchomo zafascynowany swoim odkryciem, zapytał:

- Wynosimy je na górę?

Możesz sobie wyobrazić, jakie myśli ogarniały mnie, kiedy podążaliśmy, z kuframi w rękach, drogą powrotną do Wili Trianon. Przekonanie, że wreszcie trzymam kawałek tak długo poszukiwanej Historii. Duma, że znalazłem skarb, o którym marzyły pokolenia historyków. Również wątpliwości: czy w tych kufrach znajdują się archiwa Ludwika XLV czy tylko Ludwika XVI? No i czy jest tam plan Le N6tre'a.

Kiedy postawiliśmy kufry na stole na werandzie, stwierdziłem, że - biorąc pod uwagę ich wiek - są w dobrym

stanie. Aloeś w kilka sekund rozerwał kłódki, a następnie poszedł umyć ręce, sygnalizując tym samym, że jego praca dobiegła końca. Nie podniósł wiek. Być może domyślił się, że chciałbym sam zakosztować smaku mojego odkrycia.

Szybko wszedłem na górę, żeby przynieść z pokoju te piętnaście tysięcy euro, a następnie odprowadziłem zachwyconego robotnika do bramy, ukrywając swoją niecierpliwość. Kiedy zamknąłem już bramę, biegiem pokonałem wysadzaną platanami alejkę. I nagle pojawiła się inna wątpliwość. Czy Napoleon nie posłużył się już tajnymi archiwami, nie wyjął z nich pewnych dokumentów, a nawet nie zatrzymał dla siebie? Zbliżając się do tych cennych kufrów, odczuwałem dziwne emocje.

Silę i niepokój. Czulem, że jestem niepokonany i jednocześnie bałem się. Żadne spotkanie z głową państwa, żadne genialne oprogramowanie, żaden nagły wzrost cen akcji Controlware nie dostarczyły mi takiego poczucia siły i jednocześnie nie przyprawiły o taki zawrót głowy. Będę trzymał w ręku dokumenty, które przede mną widzieli tylko Ludwik XLV, Ludwik XV, Ludwik XVI i Napoleon. Jestem ich spadkobiercą, ich zapisobiorcą, ich świadkiem. Pan współczesnego świata wkraczający do panów dawnego świata. Posiadacz tajemnic przyszłości stojący u progu tajemnic Historii. I być może tajemnicy Boga. Jestem nowym Mojżeszem.

- Mojżesz 2.0- powiedziałabyś jak wtedy, gdy naśmiewałaś się z moich ambicji na skalę światową. To o tobie pomyślałem, siadając naprzeciwko tych dwu kufrów. O tobie i nikim innym, przysięgam. Chciałbym móc dzielić z tobą tę chwilę.

Otworzyłem większy z kufrów. Zawierał zwoje listów oraz poślódkłych papierów, związane wstążkami lub umieszczone w kunsztownych oprawach. Przebiegłem wzrokiem nagłówek oraz nadruki i natychmiast zauważyłem, że wyraz

król - roi - czasem pisany jest przez „i”, a czasami przez „y* jakby dokumenty z XVIII wieku pomieszano z dokumentami z XVII wieku. Dobry znak.

Pierwsze kartki, co najmniej trzydzieści, zawierały podzielone na szerokie kolumny tabele wypełnione ciasnym pismem: „Nazwisko / Wiek / Rysopis”. Najwyraźniej listy ludzi, których należy pilnować. Podsluchy telefoniczne w wersji **ancien regime**? Inne rozpoczynały się wyrazem „sprawa”: „Sprawa Calasa”, „Sprawa jezuitów”... Pewnie Ludwik XIV zapisywał tu raporty swojej tajnej policji. Następnie rzuciłem się na księgę rachunkową „Pana de Colberta dla Króla Francji”, zatytułowaną „Wersal 1663 -1685”: dzisiejsi kustosze musieli pracować na rachunkach sprawdzonych lub wygładzonych, bowiem Ludwik XIV zazdrośnie zachował tylko dla siebie rzeczywiste wydatki! Z pewnością są tu ślady słynnych schodów Costella, ale sprawdzę to nieco później. Za bardzo niecierpliwiłem się, by poznać resztę. Kolejne znalezisko sprawiło, że niemal zapomniałem, czego szukam: „Streszczenie porozumienia, jakie dnia 6 lutego 1778 roku zawarli: Pan Marie Joseph Paul Yves Roch Gilbert Motier, markiz de La Fayette, i Pan George Washington, główny dowódca amerykańskiej armii”. Zajmował jedną stronę, a ponieważ sporządzono go po angielsku i po francusku, nie musiałem czytać dwukrotnie, żeby zrozumieć jak wielka jest historyczna wartość tego dokumentu. Wyjawiał on prawdziwe powody pomocy udzielonej przez Francję amerykańskim „buntownikom” w czasie wojny o niepodległość! Istniało porozumienie - trzymaj się mocno - ukryta transakcja między Francuzami a Amerykanami, załącznik do słynnego traktatu o przyjaźni, przy mierzu i handlu! W ramach rekompensaty zafrancuską pomoc Amerykanie, pozbywszy się raz na zawsze angielskiej kurateli, zobowiązują się pomóc Francji (która - pamiętaj - posiadała już wtedy Luizjanę) w podboju Kanady! Gdyby

to porozumienie weszło w życie, w przełomowym momencie XIX wieku język Moliera panowałby na północnoamerykańskim kontynencie... Ipomyśleć, że to Rewolucja Francuska przeszkodziła Ludwikowi XVI w realizacji tego podżegającego planu! Stary głupiec ostatecznie okazał się lepszym strategiem, niż sądzono. A Bonaparte dużo mniejszym, jak się pomyśli, że zrujnowany przez dług, przehandlował Lu-izjanę za dwadzieścia milionów dolarów w złocie, na zawsze unicestwiając marzenie o amerykańskiej Francji...

Otworzyłem drugi kufer. Tu także znalazłem kilka plików listów, porozumień i deklaracji. Niebawem poświęcę godziny na ich rozszyfrowanie dla własnej przyjemności. Przy okazji odkryję, dlaczego ten tunel łączący Grand Trianon z willą noszącą taką samą nazwę został wykopany w czasach Ludwika XVI: pozwalał w całkowitej dyskrekcji opuścić królewską posiadłość. Brat króla, przyszły Karol X, który cenił piękne kobiety i miłosne spotkania, był jego pierwszym użytkownikiem; ukryte wejście pozwalało mu spędzać całe noce w pawilonie myśliwskim, tak że nikt nie zauważył jego nieobecności...

Lecz tego dnia nie traciłem ani minuty na oglądanie cennych dokumentów historycznych.

Nie musiałem długo szukać.

Pod papierami, złożony na czworo, znajdował się plan. Czulem, że drżą mi dłonie, gdy wziąłem go i zacząłem rozkładać.

To on. Nareszcie.

Pierwszy plan ogrodów Le Nótrea.

- *Canis lupus*, co to znaczy?

- Wilczur. Po łacinie.

- Mam plik, który tak się nazywa.

- Zobacz...

Emma i Pierre wrócili na łóżko-kanapę w pokoju Dana i po kolei uderzali w klawiaturę jego komputera. Od ponad godziny szukali plików zawierających wyraz „pies”, ostatnich książek na ten temat wymienionych przez Dana i wszystkiego, co mogłoby mieć jakiś związek z najlepszym przyjacielem człowieka. W poszukiwaniu podwójnego znaczenia, które mogło im umknąć, przetłumaczyli „pies” i „pudel” na dziesięć języków. Na próżno.

- Wiem - oznajmiła Emma, obejrawszy plik *Canis lupus*. - To jest lista ogłoszeń drobnych. Przypominam sobie. Dan chciał porównać cenę prawdziwego psa z ceną Kagiebe.

Pierre zdziwił się.

- Nie sądziłem, że mogły zajmować go takie szczegóły!

- Och, wiesz, Dan zawsze wszystkich zaskakiwał.

Emma opuściła ręce na kolana z westchnieniem zniechęcenia. Czy też smutku, już sama nie wiedziała. Pierre stał w zamyśleniu przy oknie i drapał palcem wystające gipsowe spojenie.

- Zaczekaj - podjął na nowo, odwracając się w kierunku Emmy. - A jeśli Barrett chciał tylko powiedzieć, że należy szukać od strony psów?

Wzniosła oczy ku sufitowi.

- A uważasz, że co teraz robimy?

- Nie, mam na myśli fizyczne szukanie od strony psów: miejsca, gdzie znajdowały się ich budy, koszyk, miski, sam nie wiem co...

Dźwięk telefonu nie pozwolił Emmie odpowiedzieć.

- To Brad! Dasz mi sekundę?

Wstała i podeszła do drzwi. Telefon od Brada nie trafił na właściwy moment, ale - zerknęła szybko na znajdujący się na lewym nadgarstku zegarek - w San Francisco jest 1.30 w nocy, a on próbuje przez cały wieczór dodzwonić się do niej. Nie będzie go prosić, żeby zadzwonił później.

- Cześć, dziecinko. Martwię się o ciebie. Skarbie, nie lubię, gdy jesteś w tym kraju.

O mało mu nie odpowiedziała, że w tej chwili Paryż jest mniej niebezpiecznym miejscem niż amerykańskie duże miasta. I że być może tutaj waga się losy największego światowego mocarstwa. Ale się powstrzymała. Tak naprawdę bowiem najbardziej ją irytowało to, że nazywa ją dziecinką. Z pewnością jeszcze dziesięć lat temu ta drobna czułość była odpowiednia, w czasach gdy różnica wieku między nimi była bardziej widoczna niż dzisiaj i kiedy - jak wyjaśnił jej to psychoterapeuta - znalazła w Bradzie „substytut ojca”. Ale teraz było inaczej. Zresztą prosiła już, żeby znalazł sobie jakieś inne słówko. Odmówił.

- Kochanie, nawet gdybym spróbował, i tak się nie uda!

W gruncie rzeczy nawet „kochanie” jej się nie podobało. Zbyt konwencjonalne. Mało spontaniczne. Odeszła kilka kroków korytarzem: Brad mówił tak głośno, że Pierre mógłby usłyszeć ich rozmowę.

- Posłuchaj, Brad, mam mało czasu. Jestem zajęta... Tak... Bardzo ważna sprawa. Opowiem ci o tym później... Ale zapewniam cię, że wszystko w porządku...

- Nadal jesteś w Arromanches?

363

- Nie, jestem w Wersalu, w domu Dana.

- Ach! Jaki dobry pomysł! Tam jesteś bezpieczna! Re-becca jest razem z tobą?

- Jeszcze nie, lecz mam nadzieję, że dojedzie. Emma nie miała ochoty mówić mu o dziecku. Jeśli ono naprawdę istnieje, Brad szybko się o tym dowie. Przez całą noc roztrząsała tę wiadomość i nadal nie mogła w to uwierzyć.

- Kiedy wracasz do San Francisco, kochanie?

- Nie wiem. Jak tylko skończę!

- Nie lubię, gdy jesteś w tym kraju - powtórzył.

Co teraz doda? Swoją tradycyjną tyradę na temat „archaicznej”, „pretensjonalnej”, „rzekomo twórczej Francji, podczas gdy wszystkie liczby dowodzą czego innego: liczba patentów, książek, filmów, brak współczesnych artystów...”. Emma uważała, że upór Brada w tym względzie ciąży jej. Dla niego Francuzi są przykładem tylko w miłości. „To przynajmniej przetestowałem” - mawiał, spoglądając na Emmę z ukosa.

- A jeśli chodzi o pakiet akcji Controlware, co mi radzisz? Akcje na Wall Street spadają, pewnie wiesz...

Emma chciała już odpowiedzieć mężowi: zaczekaj dzień lub dwa; jeśli nam się uda, ceny akcji gwałtownie wzrosną; jeśli nie, spadną naprawdę, i to na długo. W tej chwili najbardziej prawdopodobna wydawała jej się ta druga hipoteza. Ale gdyby wtajemniczyła Brada, stanęłaby poza prawem. Przestępstwo giełdowe. W takich sprawach nie ma żartów. Wylała jednego ze współpracowników w firmie Berkings & Shannon, takiego, na którym najbardziej jej zależało, ponieważ grał na giełdzie na własny rachunek, wykorzystując w tym celu informacje, które otrzymywał w ramach swojej pracy. Facet wyleciał od razu. Dostał dziesięć minut na zabranie swoich rzeczy. I oczywiście bez komputera. Emma nigdy nie była tak nieugięta jak tamtego dnia. A zatem za nic na świecie nie mogłaby dostarczyć Bradowi informacji na temat Controlware. I to nie tylko dlatego, że przestrzega prawa: w swoim sercu

wiedziała, że jest coś gorszego. Gdyby nakłoniła Brada do sprzedaży akcji Controlware, miałaby wrażenie, że zdradza pamięć Dana. Jakby powodowała jego drugą śmierć.

- Rób, co chcesz - szepnęła - w tej chwili masz z pewnością lepsze informacje ode mnie.

- Emma, co się dzieje? Kochanie, brakuje mi ciebie,

ja...

Sygnal oczekującego połączenia przerwał czułości Brada.

- To Rebecca, muszę cię pożegnać! Zdzwonimy się wieczorem. Całuję.

- Do wieczora. Kocham cię.

„Kocham cię”... Odbierając telefon córki, Emma pomyślała, że Brad wypowiedział te słowa automatycznie, po amerykańsku. Widziała na jego nocnym stoliku walającą się słynną książkę *Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus*. Brewiarz małżeństw doskonałych, tych, które potrafią rozmawiać „pomimo istniejących między nimi różnic”. Przykazanie nr i (dla niego): mówić swojej żonie „kocham cię” dwa lub trzy razy dziennie, aby czuła się bezpieczna (i żeby zostawiła go w spokoju).

- Mamo! Gdzie jesteś? - zawołała Rebecca napiętym głosem.

Ona też od wczoraj ze dwadzieścia razy próbowała dodzwonić się do Emmy.

- Kochanie, jestem w Wersalu, w domu Dana Baretta. W Willi Trianon, mówiłam ci już o niej. Chciałabym, żebyś tu do mnie przyjechała. Lepiej będzie nam porozmawiać, siedząc twarzą w twarz, prawda?

Poczuła, że córka wymiguje się.

- Wiesz, mamo, nie ma o czym rozmawiać. Już podjęłam decyzję. Chcę mieć to dziecko.

- Posłuchaj, nie będziemy teraz o tym rozmawiać! Połączenie może w każdej chwili zostać przerwane. Ale dziecko to wielka odpowiedzialność...

365

-I ty to mówisz?

Emma zamknęła oczy. Córka włożyła palec w żywą ranę. Wolala zignorować jej uwagę.

- Chcesz wziąć długopis i zapisać adres? 57, rue du Fau-bourg-Saint-Antoine. Przyjedziesz, jak tylko będziesz mogła, zgoda? Dziś po południu?

Emma rozłączyła się, zanim usłyszała odpowiedź, i powiedziała sobie w duchu, że Rebecca nie przyjedzie. Następnie, czując się nieswojo, wróciła do pokoju „Ja”. Ze spojrzenia, jakim obrzucił ją Pierre, zrozumiała, że odgadł jej wzburzenie. Nie mogła ukryć klinicznych oznak sprzeciwu. Zapadnięte oczy. Pod spodem, po lewej stronie, natychmiast pojawiała się niebieska żyła. Kąciki ust opuszczone. Pierre już to wszystko zauważył. Nie zadawał pytań.

- Co powiedziałaś, nim odebrałam telefon? - zapytała Emma.

- Że trzeba by przeszukać miejsca, w których mieszkały psy Elsie.

- Tyle że nie wiemy, gdzie to jest...

- Kiedy przyjechaliśmy wczoraj, widziałem dwie psie budy przy wejściu, obok alei.

Miał rację. Nawet zastanawiała się, do czego służą: na końcu łańcucha nie było psa. Może zwierzęta spały u stróża?

- Idziemy? - powiedział Pierre.

Emma zdążyła odpowiedzieć, że nie jest pewna, czy widziała te budy, kiedy po raz pierwszy przyjechała do willi; Pierre wyszedł już z pokoju.

Zbiegli z głównych schodów i wpadli na podwórko. Była prawie jedenasta i żadna chmura nie przeszkadzała słońcu świecić na znajdujący się za nimi Wielki Kanał, Oranżerię, pałace Trianon. Ołowiana skóra Apollina musiała lśnić po-lakierowana złotym blaskiem. Kiedyś w takie dni bogowie (Bóg?) zdecydowali dokładnie wyczyścić Wersal. Czy taki dzień może zakończyć się jako dzień apokalipsy?

366

Pierre powstrzymał się, by nie złapać za rękę biegnącej obok niego alejką towarzyszki. Zdyszani dotarli do kraty. Na prawo, pod wysokimi drzewami, dwie drewniane budy stały zwrócone w kierunku pawilonu stróża. Pierwsza, mierząca koło metra wysokości, z ciemnej sosny, przypominała górski szałas. Drewno nad drzwiami zastąpiono kwadracikami kolorowego szkła, jak to się czasem spotyka w oknach piwiarni. Druga buda, z jasnego drewna, była bardziej klasyczna.

- Taką jak ta spotyka się we wszystkich ogrodach - zaczęła Emma.

- Za to ta druga sprawiłaby radość antykwariuszowi - uzupełnił Pierre.

W chwili gdy przykucnął, żeby zobaczyć, co jest w środku, Terry wyszedł ze swojego domu. Emma ruszyła mu na spotkanie.

- Szukamy niewielkiego przedmiotu, który Dan Barrett mógł schować w psiej budzie - wyjaśniła.

Terry parsknął.

- Nie wyobrażam sobie, żeby pan Barrett to zrobił.

- A to dlaczego? - odparowała Emma.

- To była buda Galaada. Dużego owczarka niemieckiego, łagodnego dla dzieci, lecz dzikiego wobec obcych. Pan Barrett zawsze trzymał się od niego z daleka. Wołał elektronicznego psa!

- Czy jednak mimo wszystko możemy rzucić okiem?

- Jeśli nie boicie się pobrudzić...

Pierre, stojąc na czworakach, obejrzał dużą budę pod każdym kątem. Pusta. Emma patrzyła na to, co robi. W chwili gdy zamierzał zabrać się do mniejszej, zawołała:

- Pierre, mam pomysł! Wiem, gdzie Dan mógł ukryć plik! Informatyk rzucił jej ukradkowe spojrzenie i bez słowa zakończył swoje zadanie. Ona zawsze działała zbyt szybko. Odwróciła się w kierunku Terry'ego.

- Kagiebe! Gdzie teraz jest Kagiebe?

- W swojej budzie... czy też raczej, nie: ładuje baterie w mojej kuchni.

- Szybko! Chodźmy!

Dała znak Pierre'owi, żeby szedł za nimi do pawilonu stróża. Emma nigdy tam nie była. Był to maleńki domek, zniszczony i skąpo umeblowany, z ogródkiem na całej długości. Wejście prowadziło bezpośrednio do salonu, przez który należało przejść, by dostać się do kuchni. Męska kuchnia - pomyślała Emma. I rzeczywiście, na półkach piętrzyły się w nieładzie dziesiątki narzędzi do majsterkowania: szczypce, klucze, młotki, wiertarka, wyrzynarka... a nawet urządzenie przeznaczone do odwijania metalowej taśmy umożliwiającej przyłączenie paczek lub umocowanie ładunku na paletach.

Pies-robot, podłączony do gniazdka, siedział na zgiętych tylnych łapach, na przypalonym w wielu miejscach stole z laminatu. Emma zanotowała w pamięci kontrast pomiędzy luksusowym gadżetem z tytanu a ubóstwem tego miejsca.

Dan z pewnością nie myślał, że tak tu wygląda. Terry musiał zapalać uczuciem do cyberpsa i go zaadoptował.

- Jestem pewna, że Dan ukrył pendrive'a pod jego brzuchem - powiedziała Emma. - Albo chip zawierający linie kodu.

- To by mnie zdziwiło - odparł Terry. - Widzi pani, oglądałem go z bliska... Nie sądzę, żeby Kagiebe cokolwiek ukrywał, ani w brzuchu, ani gdzie indziej.

- Demontował go pan?

- Nie podjąłbym takiego ryzyka!

- Mogę go zabrać? Twarz stróża zasępiała się.

- Jeśli dostanę go z powrotem działającego... Emma powiedziała do Pierre'a, że do niego dołączy,

i patrzyła, jak oddała się w kierunku willi, trzymając w ręku psa. Chciała porozmawiać z Terryem, a łatwiej jest robić to w cztery oczy.

368

Ponad pół godziny wypytywała stróża. Z kim Barrett spotkał się w czasie swojego ostatniego pobytu? Co robił? W jaki sposób kierował ostatnimi pracami związanymi z urządzeniem willi? Może umknął jej jakiś szczegół? Nie może zaniedbać żadnego śladu.

- Czy wie pani, co było jego obsesją, kiedy przyjechał tu w lipcu? - zapytał nagle Terry, siedząc na kuchennym stole. Emma zauważyła, że kontrolny ekran willi zajmuje honorowe miejsce na blacie roboczym zlewozmywaka.

- Nie, proszę mi powiedzieć.

- Milorząg japoński. Wie pani, co to jest?

- Drzewo?

- Drzewo, pani Shannon, ale nie było jakie! Milorząg z Willi Trianon został częściowo wyrwany z korzeniami podczas wichury w 1999 roku. Pan Barrett uwielbiał to drzewo, zrobił wszystko, żeby je uratować.

- Ach, tak? Nigdy mi o tym nie mówił. Gdzie jest ten milorząg?

- W głębi ogrodu, obok muru ogrodzenia. Daje cię grobom.

Emma zmrużyła oczy.

- Grobom? Tu jest jakiś cmentarz?

- Nigdy pani nie widziała? Cmentarz psów. Lady Mendl uwielbiała pudle i...

Lecz Emma już go nie słuchała.

Zobaczył, jak biegnie, omija dom i kieruje się w stronę muru oddzielającego Willę Trianon od zamkowego parku.

Groby psów! Musiała je jednak widzieć, kiedy po raz pierwszy Dan pokazywał jej ogród. Ale ona widziała tylko

zewnątrzny basen - dawną sadzawkę lady Mendl - pawilon muzyczny¹ zacięte alejki ożywione rzeźbami.

Z daleka rozpoznała masywną sylwetkę milorzębu japońskiego, jego czerwony pień, liście w kształcie motyli. Sły

369

szala, że te drzewa - prawdziwe żyjące skamieniałości, które znalazły czasy dinozaurów - mają pleć. Ale to nie był moment, by zadawać sobie pytanie jaką.

Po prawej stronie stały rzędem przy murze cztery marmurowe stele. Emma podeszła tak, jak zazwyczaj podchodzi się do grobu, powoli, nie robiąc hałasu. Na nagrobkach w medalionach znajdowały się fotografie pudli. Wygrawerowane w marmurze napisy były nieczytelne, pokryte mchem i kurzem. Emmie wydawało się, że na jednym z nich rozpoznaje „J” oraz „Y”, na innym datę, być może „1922”. Elsie de Wolf musiała mieć bzika na punkcie swoich psów, skoro chowała je w ten sposób jak ludzi. Emma wyobraziła ją sobie, jak wieczorem, w blasku księżyca, na swoim cmentarzyku oplakuje pudle. Czy dzisiaj lady Mendl postąpiłaby tak samo z Kagie-be? Czemu nie... Emma widziała już mężczyzn, którzy całowali swoje komputery.

W odległości kilku metrów od grobów metalowy okrągły stół i cztery krzesła, w stylu art nouveau, sąsiadowały z fontanną w kształcie wspartej na gipsowym amorku kro-pielnicy. Kilka kropli spadało leniwie z pyska ryby, którą dziecko trzymało w ręku. Czubkiem palców Emma wytarła kurz z krzesła, usiadła i zaczęła przyglądać się stelom. Fascynował ją panujący na cmentarzu spokój. Spokój i melancholia wypełniające to miejsce sprawiły, że poczuła się dziwnie dobrze.

„Elsie nie wzniosła tych grobów byle gdzie - pomyślała. - Mnisi także, budując opactwa, zawsze wybierali cudowne miejsca. A poza tym jest tu dużo przestrzeni. Mogłaby tu pochować całą menażerie”.

Odzyskała zwykły pragmatyzm. Pozostała przez chwilę bez ruchu przed tak doskonale ustawionymi w rzędzie stelami. Jeden szczegół nie dawał jej spokoju. Przed chwilą, kiedy na ekranie w jej pokoju wyświetlały się kolejne zdjęcia, czy w tle nie widziała trzech grobów? Tutaj były cztery.

Emma pobiegła do willi i skierowała się do pokoju oznaczonego jej imieniem. Wyświetliła zdjęcia na ekranie i tym razem z uwagą przeczytała nałożoną na nie legendę:

Troop, urodzony w 1908, zmarł w 1915 Be-bop, urodzony w 1919, zmarł w 1922 Jelly, urodzony w 1922, zmarł w 1932

Następnie pojawiał się obraz Elsie de Wolf pozującej w ogrodzie z pudlem na rękach: *Lady Mendl z Moonem, Upiec 1949*. Na drugim planie widać było mur ogrodzenia. Emma podeszła do ekranu. Za Elsie, sfotografowaną na pierwszym planie, widać było trzy groby. Dwa z nich przylegały do siebie, zaś trzeci oddalony był o jakieś dwa metry.

- Pierre! Chodź tu, zobacz! - zawołała.

Informatyk, który właśnie w sąsiednim pokoju, należącym do Dana, badał psa-robotę, natychmiast do niej przyszedł, nie gniewając się, że przerywa mu zajęcie. Nic nie znalazł, ani na Kagiebe, ani w nim. A właściwe przykręcenie z powrotem wszystkich śrubek denerwowało go. To jeszcze bardziej skomplikowane niż montaż kuchni z Ikei, którą Cla-ra kupiła przed wakacjami.

- Widzisz to? - powiedziała Emma, wskazując na fotografię zaraz po tym, jak opowiedziała mu, co odkryła w ogrodzie. Na obrazie zrobionym rok przed śmiercią Elsie, w 1950 roku, znajdowały się tylko trzy groby. Czwartym musiał być grób Moona, psa, którego trzymała na rękach. Ale jeśli tak było, to dlaczego jego grób znalazł się między trzema pozostałymi, a niejako następny? Dlaczego Elsie pozostawiła najpierw miejsce między dwoma pierwszymi grobami a trzecim?

- Na grobach nie ma imion? - zapytał Pierre.

- Są, ale nieczytelne, chodź, zobacz...

W chwili gdy mijali drzwi werandy, ponownie oślepiło ich słońce. Wkrótce będzie w zenicie, a upał, nawet w cie-

niu milorzębu, stawał się nie do zniesienia. Pierre przykucnął przy jednej ze steli i dotknął palcem wygrawerowanego w kamieniu napisu.

- Mówię ci, że jest nieczytelny - upierała się Emma. Pierre uśmiechnął się zagadkowo.

- To nie takie pewne... Nie ruszaj się, zaraz wracam!

Wrócił pięć minut później z wiadrem wody i miską pełną drobnego piasku. Położył je przed grobami i wyjął z kieszeni pędzelek.

- Coś ci to przypomina? - rzucił, nie odwracając się. Tak jak robił to wcześniej na amerykańskim cmentarzu, zaczął pokrywać górną część steli wilgotnym piaskiem. Było tak ciepło, że brązowa masa schła niemal natychmiast. Następnie ostrożnie omiół pędzlem litery. Emma, ze źle skrywanym zniecierpliwieniem, stała obok niego, odczytując kolejno pojawiające się litery. Kiedy Pierre wstał, napisy stały się czytelne. Emma odczytała je na głos:

Troop, 1908-1915 Be-bop, 1919-1922 Ours 1950-1964 Jelly, 1922-1932

Zatrzymali się przy trzeciej steli, tej, która nie figurowała na zdjęciu lady Mendl.

- Ten pies nie mógł tu zostać pochowany w 1964! - wykrzyknęła Emma. - Elsie nie żyła już od czternastu lat! Zresztą sam widziałeś na zdjęciu: jej ostatni pudel wabił się Moon, nie Ours!

Informatyk nie odpowiedział od razu. -1 widziałeś, Pierre? On ma francuskie imię. To ciekawe. Dlaczego „Ours*“? Powinien raczej nazywać się Bear,

* Ours (fr.) - niedźwiedź.

prawda? Sądzisz, że Elsie z czasem robiła się coraz bardziej francuska? Mimo wszystko to ciekawe... Pierre nagle zerwał się na równe nogi.

- Emma, powtórz to, co przed chwilą powiedziałaś!

- Że to ciekawe?

- Nie, nie to, chwilę wcześniej!

- Dlaczego ostatni pudel ma francuskie imię „Ours”? Pierre spojrzał na nią uważnie. Nie wymówiła słowa „Ours” tak samo jak za pierwszym razem. Chociaż doskonale mówi po francusku, nie zwracając na to uwagi, zamiast „s” wymówiła lekkie „z”. Zaciśnął pięści.

- Ours, Emma! Zrozumiałem! To nie jest francuskie słowo! To nie jest niedźwiedź! To *OURS* po angielsku, to znaczy...

- *Ours*? Czyli „nasz”?

- *A nous, nasz, albo le nôtre, Emma! „Le Nôtre” !*

Usiadłem na dywanie na werandzie i rozwinąłem przed sobą na ziemi plan.

To było cudeńko. Piękny rysunek, wykonany grafitem, piórem i czarnym atramentem, podkreślony blado-niebieskim i zielenią. Mimo że spędził pod ziemią wieki, pleśń go nie naruszyła. Szpalery drzew i tereny zalesione przedstawione zostały za pomocą sylwetek drzew oraz ich bliźniaczych cieni; pola uprawne wykreślono tuszem, łąki zielenią, a cieki wodne niebieskim, przedłużając je aż do samych brzegów efektami w postaci cieni. Był mniejszy, niż sądziłem (około metra szerokości) i składał się z dwóch połączonych ze sobą kartek przyklejonych do grubej papierowej podkładki.

Na dokumencie nie widniał podpis Le Nôtre'a. W tamtych czasach autorzy rzadko podpisywali swoje prace, wykonywane częściowo przez ich współpracowników z pracowni. Ale była na nim data: 1662.

Dla mnie warta była tyle co wszelkie pieczęcie i podpisy. Tak jak odnaleziony przez młodego francuskiego naukowca plan z 1664 roku, który miałem okazję obejrzeć z bliska we francuskiej Bibliotece Narodowej, mój egzemplarz posiadał znak wodny w postaci różańca z krzyżem maltańskim oraz dodatkowy znacze producenta: BC, czyli Benoît Colombier.

Plany wersalskich ogrodów znam na pamięć i to ^{ze} wszystkich epok. A zatem już na pierwszy rzut oka stwier

działem, że rysunek, w którego jestem posiadaniu, w rzeczywistości jest „zamysłem”. Inaczej mówiąc, projektem, który nigdy nie został zrealizowany (albo zrealizowany tylko w części), nie zaś przedstawieniem istniejącego stanu. Szkielet parku pojawiał się na nim z zaznaczonymi wszystkimi znanymi mi szlakami: alejkami, boskietami, fontannami. Ale w miejscu przyszłej Sadržawki Szwajcarów znajdowała się ośmiokątna fontanna obsadzana szpalerem drzew. I - druga niespodzianka - w dużym prostokącie trawnika zasadzonego między Parterem Latony a Sadržawką Apolli-na ciągnęła się „królewska aleja Tapis Vert”. Tak, ta sama, która istnieje dzisiaj! Podczas gdy nie było jej na planie z 1664 roku! Jak to możliwe? Dlaczego Le Nôtre narysował ją w 1662 roku, wykreślił w 1664, a potem jednak, w 1667, kazał wykonać? Czy miał wyrzuty sumienia? Czy król zmienił zdanie, zgadzając się na koniec dziesięciolecia na to, czego początkowo odmówił? Patrzyłem na pian. Pieściłem go wzrokiem. Czulem, jak po karku sływa młpot. Był początek lata. Nie było bardzo ciepło, lecz po panującym w podziemiach chłodzie wilgotne powietrze na skąpanej w słońcu werandzie spowodowało, że poczułem, jak rośnie mi lekko gorączka. Chyba że były to tylko emocje... Ale u mnie, który zazwyczaj tak dobrze umiem ukryć podniecenie? Wielokrotnie robiłaś mi z tego powodu wyrzuty, prawda? Przyznaj jednak, że zostałem najbogatszym człowiekiem w Stanach Zjednoczonych, po części również dzięki tej umiejętności. Aby zdobyć majątek, trzeba być mistrzem w sztuce skrywania swoich uczuć, za- rniast być mistrzem w sztuce ich usuwania. Siedząc przed planem Le Nôtre'a, byłem wzruszony - rnoę ci topowiedzieć, lecz tylko tobie - takjakprzy narodń-n°-ch Kevina. Być może bardziej wzruszony niż Champollion Przed kamieniem z Rosetty. Archimedes w wannie. John Suter n°- kalifornijskiej rzece tego dnia, gdy odkrył pierwsze ziarn

ka złota. Miałem uczucie, że przeżywam jedną z tych rzadkich w ludzkim życiu chwil, w które wpisuje się Historia.

Historia - wiesz o tym, bo często dyskutowaliśmy na ten temat - nie biegnie w sposób ciągły, linearny, stały. Kroczy tak, jak robi to artysta, naukowiec, odkrywca. Zabiera ze sobą tysiące godzin, leniwych lub aktywnych, lecz obojętnych wobec wieków. Malarz - w ciszy swojej pracowni - szkicuje, rysuje, chodzi w tę i z powrotem, drze, ściera, maluje na nowo. John Suter przemierza samotnie stepy i góry, chcąc dotrzeć do morza.

I nagle potem - przebhjsk. Oświecenie. Odkrycie, które wszystko zmieni. Wtedy, w tych rzadkich, pięknych lub przerażających chwilach, Historia trzęsie się oraz idzie do przodu. Rodzi się arcydzieło. W masie milionów ludzi, którzy każdego dnia rodzą się, przemijają i umierają, pozostając anonimowi na wieczność - pojawia się geniusz. Mozart komponuje **Zaczarowany flet**. Picasso maluje **Panny z Awiononu**. Suter odkrywa w rzece ziarnka złota. I zmienia historia świata. Jakaś melodia wpisuje się w historię muzyki. Arcydzieło, które świecić będzie nie tylko w swoich czasach, łos Kalifornii się chwieje. Pamiętasz zdanie Paul Valery'ego, które mi rzuciłaś pewnego dnia, kiedy chciałaś, by do ciebie należało ostatnie słowo? „Historia trwa dzięki ludziom przeciętnym, posuwa się do przodu dzięki ekstremistom”. Bardzo mocne! Prawie żałowałem, że nie skończyłem - tak jak ty - studiów humanistycznych na wydziale nauk społeczno-politycznych.

Miałem uczucie, że przeżywam jeden z tych ekstremalnych momentów.

Szybko zdałem sobie sprawę, że między planem, w którego byłem posiadaniem, a zamkowymi ogrodami istnieją jeszcze inne różnice. Szczegóły - dla nieważnego obserwatora. Lecz ja od dawna już wobec arcydzieł z Wersa nie byłem nieważnym obserwatorem.

Moje zadanie ułatwił fakt, że sadzawki zostały zaznaczone w legendzie: mała litera odsyłała do ich nazwy zapisanej ręcznie drobnym pismem u dołu planu. Potem kolejne, równie zadziwiające odkrycie: zauważyłem kilka „stylizowanych” rzeźb, kilka nakreślonych przez LeNótrea linii, wskazujących kształt posągów zdobiących główne fontanny.

Latona! Ona tam królowała, umieszczona w tym samym miejscu co dzisiaj, jeszcze nie na podwyższeniu. Ale za to nie znajdowała się w swojej typowej pozycji. Matka Apollina nie była ani zwrócona w stronę zamku, jak na początku, ani w stronę Fontanny Apollina, jak dzisiaj, lecz... pomiędzy nimi.

Latona patrzyła w kierunku fontanny znajdującej się z lewej strony parteru - jednej z dwu Sadzawek Jaszczurek.

A ta sadzawka nie nazywała się Sadzawką Jaszczurek, lecz Sadzawką Zeusa.

Zeus, bóg bogów, kochanek Latony! Widziałem przygotowawczy rysunek tej fontanny w Nationalmuseum w Sztokholmie... Teraz sobie przypominam. Zeus, uzbrojony w swój grom, przychodzi z pomocą swojej ulubionej kochance i wyładowuje gniew na licyjskich chłopach, którzy źle potraktowali ją oraz jej dzieci.

Druga Sadzawka Jaszczurek, usytuowana na prawo od Latony, nosiła tę samą nazwę co dzisiaj. Nie wierzyłem własnym oczom. Mitologiczny epizod taki, jaki figurował w ogrodach, nie jest więc zgodny z początkowym rysunkiem Le Nótrea. Został skrócony. Początkowo ogrodnik chciał przedstawić trzy sceny. Pierwsza: Latona błaga boga bogów, aby ukarał poniżających ją wieśniaków. Druga: Zeus zgadza się spełnić jej prośby, ^zecia: winowajcy zmieniają się w ropuchy. Na planie, który trzymałem w rękach, te trzy sceny odpowiadały trzem sadzawkom. Rozmieszczono je w trójkącie,

także chronologię wydarzeń można było odczytać, czytając zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Lecz wersalskie ogrody nigdy nie zostały w ten sposób wykonane. Wszystkie kolejne plany, wszystkie sporządzone w późniejszym czasie rysunki wykluczyły drugi etap.

Zapomniano" o Zeusie.

Usunięto go, jego, boga absolutnego, pana świata. Parter Latony zawsze składał się z dwu mniej więcej identycznych Sazawek Jaszczurek. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego symetria ta wydała się nam - najpierw Costellowi, potem Kathrin i mnie - taka mizerna. To nie była architektura, o której marzył Le Nôtre.

Dwie jaszczurki zamiast Zeusa! Dlaczego zadowolił się takim marnym symbolem? I dlaczego nikt po nim nie ośmielił się przeznaczyć centralnego miejsca w Wersalu dla boga bogów?

- Panie Baret? Terry właśnie pojawił się w drzwiach werandy. Prawie mnie wystraszył. A przecież to ja prosiłem, żeby wchodził bez pukania czy też dzwonienia.

- Właściciel firmy dekarskiej, z którym miał się pan spotkać, odwołał swoją wizytę. Pyta, czy może przyjść jutro.

- To niewiarygodne... Czy w tym kraju nikt nie umie przestrzegać daty umówionych spotkań?

Nie rozpocząłem jeszcze prac - z wyjątkiem tych w ogrodzie - a już irytował mnie brak punktualności i względny zapał do pracy lokalnych rzemieślników. I P^o ~ myśleć, że Francuzi nie chcieli wpuścić do Heksagonu polskich hydraulików.

Odesłałem Terryego, prosząc go, aby przełożył spotkanie na pierwszą możliwą godzinę jutro rano, i ponownie zagłębiłem się w rysunkach mojego planu.

Zeus, Latona, Apollo: ojciec, matka, syn. Wszystko ia czynalo się od tej trójki. Dlaczego Ludwik XLV nigdy nie ka

zał tego wykonać? Dlaczego Zeus nie został nigdy przedstawiony u boku swojej wybranki? Czy Le Nôtre chciał przez to zaznaczyć nieobecność najwyższego Boga? Podczas gdy ja, wręcz przeciwnie, szukałem dowodu na Jego obecność... Musiał istnieć związek pomiędzy boskim twierdzeniem a tym usuniętym epizodem, alejaki?

W czasie gdy skanowałem plan, przyszło mi na myśl, że LudwikXLV, alias Apollo, być może chciał zabić swojego ojca: każąc usunąć Zeusa, zapewnił sobie rządy władcy absolutnego. Lecz ta hipoteza była uproszczona i fałszywa: wręcz przeciwnie, Król Słońce wybrał Wersal, ponieważ to miejsce było starym pałacem myśliwskim Ludwika XIII. W pewnym sensie w holdzie swemu ojcu. I rozkazał nie burzyć pierwotnego małego zamku, lecz otoczyć nowymi budynkami. Pomysł o zabiciu ojca to była podwórkowa psychologia.

Wgrałem plan do laptopa, do bazy danych. Na ekranie nałożyłem go na plan z 1664 roku. Z pozoru nie było nic uderzającego. Nic, czego bym już nie stwierdził gołym okiem. Zaznaczyłem na żółto części tryptyku: Zeusa, Latonę, Apollina i powiększyłem na tej części małego parku. Plan był usytuowany w takiej pozycji, w jakiej zazwyczaj widzi się go w przewodnikach: po lewej, na wschodzie - zamek; po prawej, na zachodzie - Wielki Kanał; w środku, w poziomie - Tapis vert.

- W porządku panie Barrett, spotkanie jest umówione. Terry pojawił się bezszelestnie. Podniosłem głowę.

- O ósmej rano? -Eee... 10.30.

~ Przecież powiedziałem: o pierwszej godzinie pracy!

Terry wznosił ręce do góry, a następnie opuścił je na ²nok niemocy.

Zabrałem się do oglądania jednego elementu po drugim. k konika Apollina nosiła jeszcze nazwę Sadażki Łabędzi,

¹⁰ legendzie precyzowano: Apollin na swoim rydwanie.

- Ten mały znaczek to Apollin? - zapytał Terry. Wskazywał na ogólnikowy szkic przedstawiający boga Słońca w jego powozie, do tego stopnia zatarty, że trudno było stwierdzić, w którą stronę skierowane są konie i trytony. Zdenerwowało mnie pytanie stróża. Został w pomieszczeniu i przyglądał się pianowi przez moje ramię. W co on się miesza? Z pewnością nigdy nie widział oryginalnego planu Le Nótrea i dużo mi nie pomoże.

- Tak, Terry - odpowiedziałem, wstając. - To jest właśnie Apollin. Podobnie jak ja, umie pan przeczytać legendę. Teraz chciałbym...

Lecz on mówił dalej, nie słuchając moich słów:

- Biedaczysko, jest sztywny jak kołek.

- Proszę posłuchać...

Niecierpliwiłem się. Terry zrozumiał, zrobił krok do tyłu i odszedł, mrużąc:

- Całe szczęście, że prawdziwy Apollin nie wygląda jak jedyńka!

Zerwałem się na równe nogi.

- Co? Terry, co pan powiedział?

- Że ten tu Apollin zupełnie nie przypomina prawdziwego pomnika z parku. Tu, z tymi odgarniętymi do tyłu włosami, wygląda jak jedyńka. Cyfra jeden.

Terry wskazał palcem na ekranie rysunek Le Nótrea, w ogólnym zarysie symbolizujący centralną rzeźbę. Dwie bardzo mocne kreski, jedna długa, jedna krótka, jedna pionowa, a druga pod kątem czterdziestu pięciu stopni tworzące czubek. Stróż miał rację. Bóg Słońca jawił się w postaci cyfry jeden.

- Panie Barrett, wygląda pan na wzburzonego.

- Nie... nie. Staram się zrozumieć.

Ponownie usiadłem przed ekranem. Terry również wydawał się zakłopotany, ale raczej z powodu mojego balonowania ciałem do przodu i do tyłu.

Me spuszczałem wzroku z planu. Teraz wyraźnie widziałem jedynekę, którą zauważył Terry. Ale nie tylko. Odkryłem, że sadzawki Latony i Zeusa, dwóch pozostałych postaci zaznaczonych na żółto, również zostały obdarzone szczególnie wyraźnymi liniami. Dwa grube koła.

- Terry...

- Tak?

- Niech pan tu spojrzy... Nie widzi pan? Obwiodłem palcem umiejscowienie Latony i Zeusa.

- Jakie widzi pan tu cyfry? Myślał przez chwilę.

- Jakby dwa zera!

- Tak, dwa zera, ale nie identyczne.

- Ma pan rację, panie Barrett. Jedno duże, trochę owalne, i jedno małe, bardziej okrągłe.

- Co nam razem daje...

- ...jedną jedynekę i dwa zera - uzupełnił ulegle stróż, patrząc na mnie pytającym wzrokiem, jakby spodziewał się, że dostanie po łapach.

i, o, O.Apollo, Zeus, Latona. Już widziałem, jak pękasz ze śmiechu.

- Zawsze podwójnie, Don! Nie przestajesz popełniać gaf.

Ze sto razy sprzecaliśmy się na ten temat. Ja: przekonany, że wszystko w życiu sprowadza się do kombinacji „o” i »1”. Że wszystko można rozłożyć. Żywe lub martwe. Wygrane lub przegrane. Białe lub czarne. Krótko mówiąc „o” lub „i”. Ty: pewność, że niczego nie można modelować ze względu na ^czynnik ludzki”: emocje, miłość, zazdrość, strach... Że uczuć nie można wstawić do równania. Oraz że sztuczna inteligencjo, nigdy nie wygra z inteligencją emocjonalną.

Ale w tym wypadku sprawa jest oczywista.

i, o, o. Zwłaszcza i. Po co przedstawiać Apollina w taki sposób? Zapewne dlatego, że jest Słońcem, a Słońce jest tylko jedno...

- Już wiem! - wrzasnąłem nagle, aż Terry podskoczył.

Włosy, dobry Boże, włosy! Skoro posąg przedstawia boga będącego w ruchu, wynurzającego się z wody na rydwanie, ukośna kreska jedyńki z pewnością przedstawia blond czuprynę młodego boga odgarniętą do tyłu przez powiew wiatru!

Tak, to nie mogło być nic innego! Kiedy król zamawia posąg, nic nie jest wykonane przypadkowo. A więc także, a nawet przede wszystkim, włosy. Przypominasz sobie notatkę Costella na temat posągu Ludwika XIV na koniu? Długie włosy Króla Słońce, proste, opadające pionowo mimo ruchów spiętego konia... Już tutaj monarcha chciał dać znak, że on, król-bóg, decyduje o szczegółach.

Kontroluje wszystko, aż po swoje włosy w czasie wichury.

A zatem w przypadku posągu Apollina włosy także miały znaczenie! Skoro powiewały w kierunku zamku, to znaczy, że Apollin był odwrócony plecami do budynku. Pędził na zachód! Naśladował ruch Słońca!

Tak więc na pierwszym planie Le Nôtre'a Apollin był na swoim miejscu!

Wziąłem rylec i ponownie narysowałem na laptopie cyfry tak, jak zostały umieszczone, w kolejności ruchu Słońca, od wschodu do zachodu: o, o, i. Duże zero - Sadzawka Latony. Mniejsze - Sadzawka Zeusa. Mówiąc dokładnie, otrzymałem wtedy:

o°i

Jednak między małym zerem a jedyńką, między Parterem Latony a rydwanem Apollina była jeszcze przestrzeń. Tapis Vert. Długi prostokąt trawnika, wzdłuż którego dłuższych boków ciągnęły się dwie wysypane piaskiem alejki. Na planie narysowane zostały za pomocą grubszej kreski niż ta, która oznaczała krótsze boki. Jak gdyby Le Nôtre,

382

naciskając mocniej na te dłuższe, chciał przedstawić nie prostokąt, lecz dwie równoległe poziome linie.

Inny znak matematyczny.

Teraz wszystko było jasne.

Wzór był tu, przed moimi oczyma.

„Ours” jak *le notre*. Albo raczej „Le Nôtre”.

Emma o mało nie rzuciła się Pierre'owi w ramiona, jak uradowany piłkarz. Lecz nie miała odwagi. Strach przed ośmieszeniem się. Czy raczej strach, że znowu pojawi się ten niesamowity pociąg, który do niego czuła.

- Pierre, to tutaj, jestem tego pewna! Plik jest w tym grobie! Dan go tutaj ukrył!

Uciszył ją ruchem ręki.

- Emma, spokojnie! Z pewnością Dan kazał wybudować ten grób. Ale czy ukrył coś w środku? Wilgotna ziemia nie jest najlepszym miejscem do schowania CD-ROM-u...

- Może włożył go do trumny?

- A czemu by nie do statku kosmicznego? Wybacz, znasz faceta lepiej niż ja, lecz nie wydaje mi się, żeby ktoś w rodzaju Dana Baretta wysyłał swoje komputerowe pliki robakom na pożarcie.

Ale Emma już go nie słuchała. Kuciała na brzegu steli, ślizgając się dłońmi po powierzchni, naciskając na boki, starając się ją ruszyć. Pierre patrzył na nią bez słowa. Po pięciu minutach bezowocnych prób wróciła do niego, wzdychając.

- A może raczej spróbowałibyśmy zwyczajowej techniki? - powiedział, uśmiechając się kącikiem ust.

- Co masz na myśli?

- Tak jak magicy! - odparł Pierre, przyjmując postawę prestidigitatora oczekującego na dźwięk bębna. Powiedział głośno, akcentując sylaby: - Le Nôtre!

Po jego zaklęciu nastąpiła długa cisza. Upał tłumil dobiegający z bulwaru warkot samochodów. Jakiś wróbel usiadł na grobie, jakby chciał z nich zadrwić. Emma nie wiedziała, czy powinna śmiać się z wyglupów Pierre'a czy też interpretować je jako jego sposób rozładowania napięcia.

Ale przecież skoro wszystko tu działa na dźwięk głosu, to dlaczego nie groby?

Wzięła wdech i powiedziała głośno w kierunku nagrobka:

- Le Nôtre!

Na wynik nie trzeba było długo czekać. Stela obróciła się cicho wokół swojej osi, przesuwając kamienną płytę, na której ją umieszczono. Emma i Pierre zobaczyli, jak pojawia się kwadratowy otwór wielkości studzienki ściekowej. Młoda kobieta położyła rękę na przedramieniu Pierre'a, który zrobił kilka kroków w kierunku dziury, po czym pochylił się do przodu. Na dół prowadziło dziesięć niewielkich stromych schodków. Galeria chyba zaczynała się od luku. Dalej była ciemność.

- Podziemia! Niewiarygodne. Myślę, że są głębokie. Nie widać końca.

Emma przykucnęła na brzegu wejścia. Drżała. Głosowa komenda przy grobie zadziałała na jej głos, tylko jej.

- Pierre? -Tak?

- Sądzę, że to jest wejście do podziemi, których Dan tak bardzo szuka! Teraz rozumiem, dlaczego kupił tę willę. Willę Trianon!

- Szukał podziemi?

- Był przekonany, że w pałacu Trianon istnieje komnata, w której królowie Francji, od Ludwika XIV, przechowywali swoje tajne archiwa i do której dociera się z podziemi.

385

Ze ściśniętym gardłem opowiedziała o tym, jak dwa lata wcześniej zeszli z Danem do ogrodowych kanalizacji, potem o tym, jak za pomocą radaru przeszukiwał trawniki oraz aleje przy Grand Trianon. Uklękła na jedno kolano i mówiła wolniej niż do komputera, ze wzrokiem utkwionym w wejściu do grobu. Stojący obok niej Pierre widział chwilami, w rytm jej oddechu, przykryty koszulą dół pleców. Jej skóra lśniła pod białym jedwabiem.

- Zresztą - dodała - to Granier naprowadził Dana na ślad tej ukrytej komnaty.

- A więc go znalazł?

- Nie, wcale. Przyglądałam się temu z daleka. Ale kiedy podszedł do mnie w Arromanches, przypomniał mi, że zna Dana.

- Więc szybko musimy z nim porozmawiać! Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Nie wiem. Coś mnie tu martwi. Najwyraźniej Dan nig< mu nie powiedział, że kupił tę willę. Ani że znalazł podziemia. Z pewnością miał ku temu powody. A poza tym...

Pierre jej przerwał.

- Granier poszedł na godzinę, dwie do ogrodów. W każ dym razie wróci!

- Chyba nie chcesz, żebyśmy teraz tam zeszli? To pod ziemię być może nie ma żadnego związku z tym, czego szukamy, ale możemy iść zobaczyć, co?

- Potrzebowalibyśmy lampy.

- Terry ma lampy.

- Chcesz, żebym tam poszedł? Syndrom bernardyna.

- Nie, ja pójdę. Zaczekasz? Emma wróciła trzy minuty później, niosąc dużą latark

Pierre nie czekał na nią. Pokonała więc dziesięć schodkó umożliwiających zejście do tunelu. Galeria schodziła w kierunku posiadłości Marii Antoniny. Można było w niej stać lecz tylko z głową skuloną w ramionach.

- Zimno tu - zauważyła Emma, dołączając do Pierre'a i podając mu lampę.
Wziął latarkę z jej rąk, muskając jej palce. Dreszcz rozkoszy, który poczuł, sprawił, że cofnął rękę, jakby dotknął płomienia świecy.
Ruszył wąskim korytarzem. Emma szła za nim. Zgięci w pół potrzebowali trzech kwadransów na pokonanie kilometra dzielącego ich od ślepej uliczki. W chwili gdy znaleźli się przed zamurowaną ścianą, po prawej stronie odkryli metalowe drzwi.
- Spróbować? - zapytał Pierre i nie czekając na odpowiedź, chwycił stalową klamkę.
Drzwi nie były zamknięte na klucz i otworzyły się bez najmniejszego skrzypnięcia.
- Ktoś ich ostatnio używał - zauważyła Emma, spoglądając na swojego towarzysza.
Wstrzymawszy oddech, przeszli kilka kroków po błotnistej podłodze ukrytej komnaty. Ogarniała ich ciężka i wilgotna cisza, pozwalając słyszeć tylko uderzenia swoich serc.
- Myślisz, że archiwa królów Francji nadal tu są? - szepnęła Emma, zauważywszy jakąś ciemną masę w głębi wnęki.
Informatyk odwrócił się. Na jego twarzy widać było powątpiewanie.
- Jeśli Barrett je znalazł, musiał je umieścić w bezpiecznym miejscu, prawda?
Na ziemi stał stary kufer. Przy zamku brakowało klódki. Pierre uniósł wieko i skierował do wnętrza snop światła. W kufrze znajdował się przenośny mikrokomputer, CD-ROM oraz kask z elektrodami.

Pierre postawił kufer na *living bed*, do którego zaprowadziła go Emma. W Willi Trianon pokój Dana był najlepiej pod względem informatycznym wyposażonym pomieszczeniem, najlepiej klimatyzowanym, ale również najprzyjemniejszym. A poza tym Emma lubiła to łóżko. Pomimo swoich teleskopowych blatów i chowanego ekranu plazmowego zachęcało do czegoś innego niż praca i sen.

- Trzymaj, pomóż mi! - poprosił Pierre.

Nie miał pojęcia, jaką lobuzerską myśl Amerykanki stłumił właśnie w zarodku. Całkowicie oddany swemu zadaniu, wypakowywał znaleziony w ukrytej komnacie sprzęt. Z pewnością umknęła mu najprzyjemniejsza funkcja najnowocześniejszego na świecie łóżka... Biedni mężczyźni! - pomyślała Emma. - Nie potrafią robić jednocześnie dwóch rzeczy.

Pierre rozłożył na łóżku z czerwonej pianki notebooka - bardzo lekki przenośny komputer - CD-ROM, nadal zapakowany w okładkę z pleksiglasu oraz ciekawy kask: szeroką sztywną opaskę, do której, jak do uchwytu z reflektorami, przyczepiono dziesięć elektrod z przyssawkami.

Pod wpływem dziennego światła na pokrywie notebooka włączył się ekran wielkości pudełka do zapalek. Pierre zobaczył przesuwający się napis: „Dla Emmy”.

- Co za wycucie szczegółu! Znam takich, którzy zadowoliliby się nalepką i kawałkiem taśmy klejącej.

Na CD-ROM-ie nabazgrano czarnym pisakiem: „back-door”.

- Nie ma potrzeby szukać dalej! - zawołał Pierre. - Linie kodu, których potrzebujemy, z pewnością zostały zarejestrowane na CD-ROM-ie. Reszta - dodał ze szczyptą zazdrości w głosie - jest prawdopodobnie wynalazkiem, który Dan chciał zostawić tobie...

Usiadł na łóżku i wsunął CD do stojącego na nocnej szafce komputera. Natychmiast otworzyło się na ekranie okno, żądając hasła dostępu.

- Spróbować Apollo?

- Spróbuj.

Pierre wpisał imię syna Latony.

Invalid data. Try again.

To hasło nie zadziałało. Spróbował *Le Notre*.

Invalid data. Try again.

Też nic. Zerwał się i rzucił pudełko od CD na parkiet.

- Nieprawdopodobne! Twój przyjaciel Barrett zakpił sobie z nas! Świat płonie, ludzie padają jak muchy, a on w tym czasie każe nam się bawić w Fort-Boyard. A przy trzecim nietrafionym hasle zostajemy wyrzuceni z systemu! Jakże jest tym razem cudowne hasło dostępu? Przecież ty wiesz wszystko!

- Pierre, przestań! Nie denerwuj się! Dan nie żyje, jak śmiesz mówić o nim w taki sposób? Czy naprawdę sądzisz, że chciał, aby te linie kodu wpadły ręce byle kogo? Jestem pewna, że znajdziemy. Sprawdźmy resztę!

To zadziwiające - pomyślał Pierre - jak Emma staje się wyrozumiała, kiedy chodzi o Baretta. Patrzył, jak bierze do ręki i uruchamia notebooka. Pojawiła się klepsydra. „Inicja-lizacja. Proszę czekać...” Komputer włączył się przez dobre dwie minuty. Informatyk stał przy oknie i starał się powstrzymać uczucie irytacji, obracając w dłoniach parę niebieskich chińskich kulek, ozdobionych małymi pozłocanymi smokami, które znalazł na kominku.

- Pierre, chodź, zobacz!

389

W tej samej chwili z głośnika w notebooku rozbrzmiał inny głos:

- Witaj, Emmo. Cieszę się, że tu przyjechałaś... Pierre podskoczył. To był głos Baretta, można by sądzić, że dobiega na żywo. Głos zza grobu.

- Włóż na głowę kask i elektrody, upewnij się, że jesteś zupełnie unieruchomiona, opierając kark o jakąś stałą podpórę, i przyjrzyj się uważnie obrazom, które się pojawiają. Do usłyszenia.

Emma wykonała nagły ruch do tyłu. Zaniepokojona spojrzała na kask z elektrodami.

- Słyszałeś?

- To Baret, prawda?

- Tak, to głos Dana.

- Zdumiewające.

- To naprawdę on! On...

- ...nagrał tę wiadomość przed śmiercią. Najwyraźniej dla ciebie.

Emma zadrżała. Pierre wrócił i usiadł obok niej na brzegu łóżka.

- To Baret, nie ma wątpliwości. Albo jego syntetyczny głos. Dobrze. Uspokójmy się. Zrobimy to, co mówi. Z założenia kask się podłącza do peceta. Tu nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Nie wyśle ci do czaszki dwustu wolt! A zdaje się, że trzeba przez to przejść, żeby móc odczytać CD-ROM...

I dodał po kilku chwilach zastanowienia:

- Pamiętasz BrainMap?

- BrainMap? -Tak.

- Jak przez mgłę... Coś mi to mówi. Firma zajmująca się badaniami w dziedzinie medycyny, która trzy lata temu ogłosiła upadłość, tak? Przeglądaliśmy jej dossier.

- Tak. A ja, kiedy firma trafiła na NASDAQ, bez wahania kupiłem jej akcje. Spółkę zamknięto, lecz wcześniej odsprze-

dała swoją licencję General Digital, której naukowcy następnie rozwinęli wynalazek. To się nazywa *brain-scan*, przypominasz sobie? Urządzenie wykorzystujące tę samą technikę co medyczne tomografy.

- Nie przypominam sobie za bardzo.

- Och, to bardzo proste. Kiedy aktywizuje się jedna część mózgu, wówczas potrzebuje większej ilości denu, a zatem dopływa do niej krew. I widać to na ekranie: ta strefa „zapala się”!

Pierre wstał, po raz kolejny przeszedł kilka kroków w kierunku okna i odwrócił się do Emmy.

- Pamiętam, że bezpośrednio przed wyborami w Ameryce General Digital zrobiło niesamowity pokaz, aby wypromować swój produkt. Wszystkie media o tym mówiły. Naukowcy wzięli jako króliki doświadczalne wyborców głoszących na demokratów i republikanów. Pokazywali im zdjęcie wybranego przez nich kandydata. Za każdym razem obszar mózgu zarządzający uczuciem empatii podwajał swoją aktywność. I na odwrót: kiedy pokazywano im fotografię kandydata strony przeciwnej, tomograf rejestrował napływ krwi do tego obszaru mózgu, za pomocą którego istota ludzka próbuje kontrolować swoje emocje. Tego, w którym... w pewnym sensie... w którym próbuje... nie kochać. Wypowiadając ostatnie słowa, odwrócił wzrok. Lecz Emma za bardzo była skupiona na jego rozumowaniu i niczego nie zauważyła.

- Chcesz powiedzieć, że to jest tomograf, który analizuje emocje? Który pozwala dowiedzieć się, czy dana osoba jest szczerą czy też nie? Swego rodzaju superwykrywacz kłamstw?

- Właściwie. Teraz to doskonale wiadomo. Kiedy kłamiemy, używamy całkiem innej części mózgu, niż wtedy gdy mówimy prawdę. A to urządzenie mierzy owe reakcje dużo lepiej niż stare wykrywacze kłamstw, pełne błędów. Przypomnij sobie! Ci, którzy wywoływali u ludzi wrażliwych ta

kie samo pocenie się, taki sam przyspieszony rytm serca jak u kłamaców...

- Tak - przytaknęła Emma. - Pokerzyści potrafią oszukać maszynę, zachowując spokój, mimo że właśnie blefują. Ale co zrobimy z tym całym sprzętem?

Nagle z komputera dobiegł sygnał dźwiękowy. W rogu ekranu otworzyło się okienko.

CNN Evening News. Dziesięć osób nie żyje w Los Angeles. Tajemniczy syndrom utraty pamięci znowu uderza.

- Pierre, spójrz!

Pochylił się nad ramieniem Emmy i zobaczył logo CNN, a następnie prezentera stacji. Barrett musiał zaprogramować tak swój komputer, żeby w każdej chwili, gdy pojawia się jakaś ważna informacja, łączył się z CNN.

Zmroziła go treść informacyjnego flasha.

Prezenter opisywał śmierć dziesięciu osób z Los Angeles, która nastąpiła w klasycznych już teraz okolicznościach.

Zgon w ciągu dwu, trzech dni poprzedzony nagłymi majakami i utratą pamięci. Ofiary, z których wszystkie powróciły z podróży, nie pamiętały, jak się nazywają ani gdzie wsiadły do samolotu. Według pierwszych zeznań świadków przed startem z lotniska Narita w Tokio zażyły jedną pigułkę melatoniny.

Tokio. Nie Boston.

Terrorysty położyli łapę na innej sieci dystrybucji leków. I być może jeszcze na wielu kolejnych.

Prezenter nawiązał do obrazów z Hongkongu i Manchesteru, pokazując kolejki w hipermarketach przed półkami z wodą mineralną. Przepelnione szpitale. Reportaż z Paryża ujawnił również spektakularne zdjęcie widzianego z góry, kompletnie zablokowanego placu Zgody. Dochodzące do nie

go arterie przypominały długie, nieuporządkowane parkingi. Samochody już się nie przesuwały.

- Emma, nie ma minuty do stracenia! Dalej, bierz ten kask! - zarządził Pierre.

Poprosił, żeby usiadła na końcu *living bed*, i uruchomił pilota, żeby rozłożyć jedno z wysuwanych oparcie pełniących rolę wezłowią łóżka.

- W porządku, kark prosto, głowa trochę do tyłu, jak radzi Barert.

Następnie pomógł jej włożyć na głowę to dziwne urządzenie. W chwili gdy odgarniała włosy, aby odsłonić kark, jej dłoń musnęła rękę Pierre'a. Teraz ona poczuła dreszcz. Gdyby w tej chwili mógł zobaczyć komputerowy obraz jej mózgu, nie miałby żadnych wątpliwości co do jej uczuć.

- Śmiesznie wyglądam z tym czymś na głowie - powiedziała, chcąc usunąć uczucie zmieszania.

Pierre powstrzymał się z odpowiedzią. To naprawdę nie była odpowiednia pora na analizowanie śmieszności, którą odczuwała. Czy jestem śmieszna? Tak? Nie? Trochę? Bardzo? Mania kobiet, obsesja na punkcie wizerunku.

Przez myśl przebiegła mu dziwna scena. Pani prezes jakiejś firmy na szczycie World Trade Center, chwilę przez zaważeniem się pierwszej wieży, z lusterkiem w ręku, by po raz ostatni sprawdzić, czy nie wygląda śmiesznie.

- Wyglądam jak błazen, co? - rzekła Emma.

- Miły błazen - spreycyzował Pierre, dopasowując kask do jej oczu.

Zaskoczyła ją łagodność, z jaką wypowiedział słowa „miły błazen”. Jego agresja z ostatnich godzin zdawała się zanikać.

Pierre rozłożył stół, podniósł go i postawił notebooka tak, żeby ekran komputera znajdował się na wysokości oczu Emmy.

- Teraz już się nie ruszaj, nie rozmawiaj, skup się na tym, co widzisz, OK?

393

Mrugnęła powiekami na znak zgody.

- Jesteś gotowa? - ciągnął. Wzięła głęboki wdech. Jej serce zwolniło.

- To ruszamy.

Pierre nacisnął w komputerze Enter. Wiadomość po¹ talna zniknęła, ustępując miejsca fotografii.

Metalowy garnek z czarnym spalonym dnem.

Emma zdała sobie sprawę, że siedzący obok niej Pierre zaciska zęby. Mimo spokoju, który starał się okazywać, był spięty. Twarz miał ponurą, splecione palce. Z pewnością znowu myślał o tych wszystkich zmarłych, o swoich marsyl-skich przyjaciółach, których już nie zobaczy, o swoim szwagrze, który jest w szpitalu, o dzieciach, być może o Garze. Być może.

Spojrzała na zdjęcie i o mało nie padła. Ale ze szczęścia. Ogarnęła ją fala czułości i ciepła. Kochany Dan!

Doskonale pamiętała tę scenę. To było w 1988 lub 1989 roku. Była jeszcze studentką, ale Dan z Berniem założyli już swoją firmę w kampusie Harvarda. Jeden z ich przyjaciół, Anton, wypożyczył im na semestr swoją kawalerkę w mieście. „Czujcie się jak u siebie, korzystajcie z mieszkania” - powiedział. Jak korzystać, to korzystać! Przychodzili tam co wieczór i spędzali noc. Zapraszali znajomych. Program: nocne imprezy, a w przerwach burza mózgów.

Następnego dnia sprzątanie. Nic nie mogło zostać brudne. Kolega był pedantem.

Jednak któregoś ranka, kiedy wlała mleko do stojącego na kuchence gazowej garnka, dołączył do niej Dan ubrany w dżinsy, z nagim torsem i pocałował ją w szyję. I tak od słowa do słowa... Godzinę później, kiedy wyciągnięty obok niej na łóżku zagłębił się w *Metafizykę początków*, nagle poczuła przykry zapach. Mleko! Za późno: w garnku nic już nie zostało... a naczynie było spalone. Trudno było znaleźć taki sani model, ale Dan twierdził, że gdyby mógł ponownie przeżyć

ten boski czas, gdy naczynie się spaliło, gotowy jest odkupić całą baterię garnków.

Emma spojrzała na Pierre'a uspokajająco: on nie rozumie, ale za to ona jest na znanym sobie terenie. Komputer poprosił, żeby nacisnęła Enter. Nacisnęła i na ekranie wyświetliło się kolejne zdjęcie. Gondola na Canale Grandę w Wenecji. Ale nie ozdobna gondola dla turystów, pełna wygodnych poduszek. Gondola przeznaczona do *traghetto*, przepłynięcia na drugą stronę kanału, przeznaczona dla Wenecjan. Ona i Dan podczas ich słynnej trzytygodniowej podróży po Europie mocno się pokłócili przed wejściem na pokład. Ona chciała popłynąć gondolą dla turystów, on „autentyczną”. Opuścili Serenissimę następnego dnia wściekli na siebie nawzajem. Pogodzili się dopiero w Rzymie, pod sklepieniem Kaplicy Sykstyńskiej.

Zdenerwowana już chciała nacisnąć Enter, gdy Pierre ją powstrzymał.

- Powoli, Emma, powoli! Myślę, że mamy do czynienia z emocjonalnym hasłem dostępu.

- Słucham?

- Wyjaśnię ci później. Kontynuuj, ale proszę, bez gwałtownych ruchów.

Zgodziła się i z przesadną ostrożnością nacisnęła na Enter. Tym razem uruchomiło się wideo. Film z lat siedemdziesiątych. Joan Baez, z długimi włosami i gitarą w ręku, śpiewała, stojąc pod palmami, na festiwalu w Santa Barbara *Diamonds and Rust*. *Diamonds and Rust*, najpiękniejsza piosenka wszechczasów: to było jej zdanie i Dana, kiedy razem z dwudziestoma przyjaciółmi w wigilię 2000 roku wybierali piosenkę stulecia. Emma ze wzruszeniem wysłuchała pierwszej zwrotki. Ale Pierre już dawał znak, by kontynuowała, i musiała zadać sobie gwałt, żeby wyłączyć wideo. Tomograf z pewnością zarejestrował jej reakcję.

Na widok czwartego zdjęcia Pierre nie umiał powstrzymać odruchu zaskoczenia. To zdjęcie znal. Ta stara foto

grafia opublikowana została przez wszystkie gazety świata a dziennikarze odgrzebywali ją regularnie, żeby przypomnieć początki Controlware. Grupa długowłosych studentów, siedmiu mężczyzn i trzy kobiety, pozuje wesoło przed wejściem do Harvardu. Założyciele Controlware. Dan stoi w pierwszym rzędzie, z melancholijnym spojrzeniem, jakie miał w tamtych czasach, i delikatnym zarostem. Obok niego Bernie i pierwsi towarzysze. Trzech spośród nich ma brody. Dwóch wąsy. Wszyscy długowłosi. Bluzy dziewcząt przypominają kuchenne fartuchy. Tym razem naprawdę wyglądają śmiesznie. *Peace and love* o piętnaście lat za późno.

Emma nie znosiła tego zdjęcia i Dan wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale nie dlatego, że jej chłopak wyglądał na nim jak żaba. Nienawidziła tego zdjęcia, ponieważ jej na nim nie było. A przecież w tamtym czasie należała do bliskich Danowi osób, do tych, którzy go wspierali, dodawali mu otuchy, służyli za intelektualnych sparring partnerów. Powinna stanąć do zdjęcia razem z nimi.

Właściciel Controlware wsunął to zdjęcie do całej serii po to, żeby ją zdenerwować. Celowo. I udało mu się! Zazwyczaj zdjęcie wywoływało rozczulające uwagi, śmiechy, pełne podziwu refleksje. Pomyślcie tylko: banda zapaleńców, hipisów, tworząca najpotężniejszą firmę na świecie!

Tylko Emma mogła odczuwać urazę na widok tego dokumentu. Gwałtownym ruchem nacisnęła Enter. Kask przesunął się lekko na bok.

- Co się dzieje? Nie denerwuj się! - rzucił Pierre, kładąc delikatnie rękę na jej przedramieniu i poprawiając ułożenie kasku.

Wytłumaczył jej, że jeśli elektrody poruszą się, aktywność jej mózgu może zostać nieprawidłowo zarejestrowana. I wszystko trzeba będzie zacząć od nowa, przy mniejszych szansach powodzenia, bo spontaniczność uczuć będzie wtedy osłabiona.

- Moje uczucia! Ale dlaczego Dan chce przetestować moje uczucia?

Spuściła głowę, jakby chciała ukryć ją w dłoniach. Ale przypomniała sobie zdanie Pierre'a. Nie ruszać kaskiem.

- Sądzisz, że zanim pozwoli mi wejść do pliku, chce sprawdzić, czy nie zapomniałam nic z tego, co wspólnie przeżyliśmy?

Na twarzy Pierre'a pojawił się złośliwy uśmiech. Jakby mimo targającego nim niepokoju podobało mu się, że Baret znalazł niezawodny sposób na dowiedzenie się, jak i w jakim stopniu kobieta kłamie. Zresztą mężczyzna również. Nie mógł się powstrzymać, by nie wyobrazić sobie takiego produktu na półkach w Darty za 99 euro. Weźmiemy udział w polowaniu na rogaczy? W bojkocie kobiet niestałych w uczuciach? Kochanie, czy ta plaża na Antylach coś ci przypomina? A to siedzenie w mini?

Emma najechała kursorem myszki na kolejne zdjęcie. Zaczynała rozumieć mechanizm.

Hasło dostępu, pozwalające otworzyć ten komputer, nie jest zbiorem liter czy cyfr, które należy wystukać na klawiaturze, ani nawet odciskiem palców lub odczytem z oka, lecz podpisem emocjonalnym. Aby pojawiła się owa „mentalna” parafka, Emma musiała zareagować dokładnie w taki sposób, jak oczekiwał Dan, na dowód prawdy, którą kazał jej znieść. Seria zdjęć wyzwalała odpowiednie reakcje: radość, cierpienie, empatię, odrzucenie... Być może na końcu jest jakaś notatka. Klucz jest tutaj.

- To znaczy, że Dan podjął ryzyko zaprogramowania z góry reakcji, jakie te zdjęcia wywołają w moim mózgu? Jak mógł je odgadnąć? Nigdy nie był w mojej skórze!

Pierre powstrzymał się, by nie odpowiedzieć, że jednak tak. Ale Emma, widząc iskierkę, która pojawiła się w jego oczach, odgadła, o czym myśli. Zagryzła wargi i nacisnęła na klawisz.

Nie patrząc na nowy obraz, który pojawił się na ekranie, zmusiła się do wygonienia tego, co ogarnęło jej umysł.

Uśmiech Pierre'a. Jego delikatność na plaży. Jego podniecenie w Colleville. Jego nieśmiałość i siłę. Tę mieszankę delikatności i męskości. I niepojęte uczucie, które w niej wywoływał. Ciała nie kłamią. Kochała go. Kochała go tak, jak nigdy nie kochała żadnego mężczyzny.

Ponowna koncentracja kosztowała ją dużo wysiłku. Piąte zdjęcie przedstawiało kamienistą plażę o zachodzie słońca, u stóp wysokiego brzegu, w ukrytym za skałą kąci. Z przodu niebieskie morze poprzecinane pasami pomarańczowych refleksów.

- Wydma Pilat - szepnęła Emma.

Przypomniał jej się piknik z Danem w tym miejscu podczas słynnej podróży po Europie. Plaża znajduje się na wybrzeżu Arcachon. Trudno zapomnieć pocałunki, pieszczoty, radość życia, która tego dnia stała się ich udziałem. Był odpływ, krystalicznie czyste niebo - jeden z tych cudownych dni, kiedy wiatr przegania chmury i odzyskuje oddech. Wspaniały dzień miłosnej harmonii.

Ale to co przeżyła w nocy ze środy na czwartek, było nieporównywalne. Cudowne porozumienie. Całkowite dopelnienie.

Bała się, że tym razem wynik testu nie będzie pozytywny. Po pierwsze, ze względu na smutek, który - wbrew jej woli - mieszał się z radością wspomnienia. Dan nie żyje. Czy wiedział, że kiedy ona zobaczy te zdjęcia, jego nie będzie już n~ tym świecie? W każdym razie kiedy wymyślił emocjonalne hasło dostępu, nie mógł przewidzieć, że tu, u boku Emmy, będzie inny mężczyzna, mężczyzna, z którym przeżyła jeszcze bardziej intensywne chwile zespolenia niż z nim, na plaży, która przypomina tamtą. Gold Beach.

System się zablokuje, to pewne. Dłoń młodej kobiety drżała. Nacisnęła Enter. Rozległ się głos Dana Baretta.

- Ostatni.

Przez ciało Emmy przebiegł dreszcz.

398

Pokonała przeszkodę. Być może ostatecznie stało się to dzięki Pierre'owi, bowiem to jemu zawdzięcza niepokój, który ją ogarnął. Program Baretta, dzięki umieszczoneму wewnątrz detektorowi, nie rejestrował nic prócz intensywności uczucia. Najważniejsze - rzeczywiste pochodzenie danej emocji - umykało mu. Miała rację: maszyny nigdy nie będą mogły zastąpić mózgu.

Pozostało ostatnie zdjęcie. Jeszcze jeden obraz z plaży. Zatoka Sausalito. Ale ta nie kojarzyła się ze szczęściem. To tutaj ona i Dan, po dniu pamiętnych dyskusji, zdecydowali o rozstaniu. Emma dużo płakała. Oczywiście pozostawił jej złudzenie, że to ona podjęła decyzję. Ale czy miała wybór? On nie chciał ślubu, dzieci. Jego „dzieciak” to był Control-ware. Na zawsze.

Zobaczyć Sausalito i umrzeć... Jeszcze dzisiaj czuła mdłości na tę myśl. Zamknęła oczy. Po jej policzku spłynęła łza. Dan testował jej uczucia na równi z pamięcią. Zanim da jej klucz dostępu do swojego komputera, chciał się upewnić, że cierpiała z powodu ich rozstania.

Przeklęła jego okrucieństwo.

Jednocześnie nie mogła powstrzymać się od podziwu dla metody szyfrowania. Dobór zdjęć był bezbłędny. Nikt inny oprócz Emmy, widząc kolejno te dwie plaże, nie mógłby tak jak ona doznać zupełnie sprzecznych uczuć.

Słyszac okrzyk Pierre'a, młoda kobieta otworzyła oczy.

- Emma, działa! Myślę, że mamy to.

Teraz na komputerze wyświetlały się tradycyjne ikony: Word, Excel, Moje dokumenty, Mój komputer, Kosz. Oraz kilka innych, mniej klasycznych, które szybko omiotła wzrokiem. Z lewej strony ekranu dokument w Wordzie, za-tytułowany *Uniwersalna ochrona socjalna*. Inny, na samym środku, nazwany po prostu: *Droga Emmo*.

Kliknęła na niego. Plik się otworzył.

To był list.

399

- Jeśli ci to nie przeszkadza - powiedziała do Pierre'a, zdejmując kask - pójde obejrzeć to w ogrodzie.

Z zakłopotaną miną wzięła notebooka.

- Wróć szybko - usprawiedliwiła się.

Pierre skinął głową i z zalem patrzył, jak odchodzi. Nie mogła doczekać się, aż wyjdzie na dwór. Rozgorączkowana zaczęła czytać już na korytarzu:

JVd początku było Słowo. Słowo było Bogiem. A ja byłem Słowem.

Gdy miałem dziesięć lat, fascynował mnie Ludwik XLV. Gdy miałem lat dwanaście - Napoleon. Tylko Francuzi zdawali się sądzić, że ich cesarz jest większym rewolucjonistą niż Król Słońce...

Wyszedłem do ogrodu przy willi. Ledwie trzymałem się na nogach. Przed moimi oczyma tańczyły zera i jedyńki.

Znalazłem w kieszeni telefon i powiedziałem głośno: „Emma”. Tak, w pierwszym odruchu chciałem do ciebie zadzwonić i opowiedzieć o moim odkryciu. Ale zanim usłyszałem sygnał, nacisnąłem na off. Chęć, by tę wspaniałą zdobycz zachować dla siebie, okazała się silniejsza.

Wyszedłem z Willi Tńanon i ruszyłem przez plac, w kierunku Wielkiego Kanalu. Przeszedłem wzdłuż niego, potem szybkim krokiem szedłem w górę alejkami.

Przedem wznosił się pałac. Nadal wyobrażałem sobie tę scenę. LudwikXLVna tarasie tego, co było jeszcze tylko -zameczkiem z kart" jego ojca, przyjmujący po raz pierwszy w Wersalu Le Nótrea. Le Nótrea, rozmyślnie skromny, lecz otoczony chwałą Vaux-le-Vicomte, swojego pierwszego dużego parku. Król ruchem dłoni wyrzucający zalesione tereny i bagna.

- Panie Le Nótrea, to czego pragniemy, nie może być Podobne do niczego innego! Oczywiście chcemy, żeby było **większe**. I ładniejsze, to oczywiste. Ale przede wszystkim **chcemy**, żeby nasze ogrody stały się hymnem do boskiej **Wszehmocy**.

Czy zawahał się, nim dodał:

- Co więcej, chcemy, żeby stały się dowodem na istnienie Boga.

Z tonu króla, ze sposobu, w jaki wypowiadał kolejne słowa, Le Nôtre zrozumiał, że najważniejszy jest tuprzekaz wiadomości. Wpisanie w te ogrody, które będą najuspanialsze na świecie, dowodu istnienia Boga. Czy zdziwiło go takie zamówienie? Wiedział, że młody LudwikXLVnie jest szczególnie religijny. Za bardzo lubiący korzystać z życia, za bardzo zadufany w sobie, aby zmusić się do modlitwy. Lecz początkujący monarcha posiadał „wiarę węglarza”-jak to później powiedział Wolter. Polityczną pobożność, rodzaj targu między nim a Niebem, przeznaczonego do umacniania swojego zadowolenia. Oczywiście władza królewska pochodziła od Boga. Był Jego Synem, Jego przedstawicielem na ziemi. A zatem religijne oddanie było mu niezbędne do zachowania władzy.

Wersalski park miał stać się narzędziem jego polityki.
Park ten, wyłoniony z nicości, zwycięstwo człowieka nad przyrodą, miał pokazać istnienie Boga.
Pokazać, nie zasugerować!

Ogrodnik, który posiadał solidne podstawy wiedzy z zakresu matematyki oraz optyki i który poznał Kartezjusza - ten ostatni nie żył dopiero od dwunastu lat - udał się na konsultacje z jego uczniami, ówczesnymi matematykami. A ich odpowiedź rozpalila jego wyobraźnię. Tak, Rozum kieruje Przyrodą. Tak, matematyka jest językiem Wszechświata. A zatem istnieje wzór, który dowodzi istnienia Boga. Twierdzenie niepodważalne!

Wirtuozi algebry bez wahania dostarczyli mu magiczne zaklęcie, które tylko uaktualnili. A Le Nôtre przełożył je na plan.

Ten, który przed chwilą widziałem.

Ciągle nie mogłem w to uwierzyć. Matematyczne objaśnienie istnienia Boga! Znajdowało się przed moimi oczyma zapisane czarnymi grubymi kreskami, które ja sam podkreśliłem na żółto, zaznaczając Latonę, Zeusa, Tap*s Vert i Apollina.

$$0^0 = 1$$

Zero do potęgi zero równa się jeden. Inaczej mówiąc, liczba zero podniesiona do potęgi zero jest równa jeden.

Tobie nie potrzebowałbym wyjaśniać, dlaczego ten wzór dowodzi istnienia Boga: za pomocą zera, to znaczy „niczego”, niczego oprócz pustki, tworzy się Jeden, to znaczy „coś”, pierwsza namacalna cyfra z rzędu jedności. Ta najwyższa siła zdolna stworzyć świat *ex nihilo*, spowodować pojawienie się bytu z nicości, czyż nie jest to właśnie nasza definicja Boga? Mówiąc językiem matematyki, byt może pojawić się z nicości. A zatem Bóg istnieje.

Liczbowe przedstawienie wzoru jest trywialne. Musiałaś się go uczyć w swojej fabryce intelektualistów. I natychmiast zapomnieć, tak jak wszyscy. Niemniej obliczenia nie są ani trochę skomplikowane.

Oparty na murku przy Fontannie Latony, ze wzrokiem skierowanym na tę Sadzawkę Jaszczurek, którą powinna być Sadzawką Zeusa, zacząłem recytować na głos przebieg dowodu, jakbym chciał przekonać niewidzialnego rozmówcę:

Wiemy, że w matematyce liczba A podniesiona do potęgi N i podzielona przez tę samą liczbę A podniesioną do potęgi M , jest równa tej samej liczbie A podniesionej do potęgi $N - M$. Co się zapisuje:

$$\frac{A^N}{A^M} = A^{N-M}$$

Jeśli $N = M$, to otrzymujemy: $1 = A^0$

A jeśli $A = 0$, mamy zatem:

403

$0^0 = 1$

Przyznaj, dziecinnie łatwe... Tym samym jeśli podniesiemy zero do potęgi zero, nie otrzymamy zera, jak kazałaby nam sądzić nasza ograniczona racjonalność, lecz jeden. Każda liczba podniesiona do potęgi zero daje jeden i zero nie stanowi wyjątku od reguły.

Wszystko wynurzasie z „niczego”. Albojeśliwołisz, nieobecność rodzi obecność. Z nicości rodzi się Wszehświat.

Na początku nie było nic. Duch. I duch stworzył świat.

Bóg, sam w sobie, jest udowodnialny.

Bóg jest w efekcie również binarny.

I znowu wróciło to samo dręczące pytanie: dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Przecież od dawna pasjonowałem się tym tematem. Filozoficzne dowody Kartezju-sza, Kierkegaarda czy Hegla interesowały mnie w wieku, gdy moi koledzy jeździli na deskorolce. W wieku dwunastu lat przeczytałem Kanta i odkryłem trzy „dowody” na istnienie Boga: dowód kosmologiczny, oparty na zasadzie przy-czynowości (jeśli świat istnieje, to znaczy, że istnieje Bóg, który jest stwórcą); dowód teologiczny, który wychodzi od porządku świata, jego celowości i stawia na scenie Boga jako architekta; i wreszcie dowód ontologiczny, który wnioskuje istnienie Boga z pojęcia Boga („Bóg jest doskonały, istnienie jest doskonałością, a zatem Bóg istnieje”). Czytając Kanta, obaliłem te wszystkie trzy dowody, które bardziej chciały dowieść istnienia Boga, niż udało im się to udowodnić.

Ale oto pojawił się czwarty dowód. I ten był nie do obalenia. Czysty. Czysto matematyczny.

Jakże w tamtych czasach Le Nôtre musiał się radować, umieszczając to twierdzenie między Latoną a Apolli-nem, między zamkiem a Wielkim Kanałem! Dzięki niemu wersalskie ogrody nie tylko tworzyły doznania estetyczne

404

i stanowiły odbicie treści politycznych, jak chciał tego król, ale również dostarczały odpowiedzi na najgłębsze pytanie człowieka, na jego wieczne pytanie: kto stoi u źródeł wszelkiego stworzenia? I kto do końca nad nim panuje?

Niestety! Zanim jeszcze ukończono prace w tej części parku, ogrodnik zobaczył, jak wali się jego misterna konstrukcja. Król wyjaśnia mu w tajemnicy, że Kościół wcale nie jest przychylny wyjawieniu wzoru. Myśl, że Bóg mógłby zostać podstawiony do równania, uważano za bluźnierstwo. Papież obawiał się naukowych teorii, nawet jeśli mu służyły. Istnienie Boga nie mogło być wynikiem ludzkiego rozumowania, choćby i matematycznego. A król, jako dobry chrześcijanin, nie mógł przeciwstawić się woli Kościoła. Uczniowie Kartezjusza również otrzymali polecenie, żeby nie publikować tego odkrycia.

LeNótre nie chciał jednak wierzyć w te teologiczne wykręty. Jego pan, młody władca, bez słowa podporządkowujący się opinii prałatów! On, taki zagorzały obrońca nauki! Taka rezygnacja musiała być celowa. Ludwik XIV musiał mieć w tym jakiś interes.

I nietrudno było odgadnąć jaki.

Ludwik XIV nabrał ochoty na władzę absolutną. Do tego stopnia, że Bóg nie był mu już potrzebny. On stał się Bogiem. On sam!

Przypomnij sobie, jak zwiedzaliśmy sypialnię króla. Jego łóżko otoczone było barierką, tak jak w tamtych czasach otaczano w kościołach ołtarze. Klękano przed nim, jak w obliczu Najświętszego Sakramentu, nawet jeśli monarcha był nieobecny. Podziwiany przez swoich poddanych, uwielbiany przez wiernych sobie, Ludwik Wielki coraz bardziej czczony był jako bóstwo. Tylko sobie musiał się opowiadać. Oczywiście nadal chodził na nabożeństwa i wielił Boga. Lecz był to Bóg pozbawiony ciała, którego konkurencji już się nie obawiał. Dopiero w wieku siedemdziesięciu lat, pod wpływem Madame de Maintenon, zgodził się wybudować

w Wersalu kaplicę wyższą niż reszta zamku. Czy po to, by okazać skruchę? Czy również po to, żeby otrzymać wybaczenie, iż na stare lata popchnął dwór na drogę bigoterii?

Biedny Le Nôtre! Jak Abraham z drżącą ręką przygotowujący się do poświęcenia syna, aby spełnić wolę Bożą, tak ogrodnik z pewnością sądził, że zaraz zemdleje, kiedy król kazał mu odłożyć szkic swoich marzeń. Bez wątpienia powiedział sobie w myślach, że LudwikXTVspali dokument, w każdym razie sprawi, że znikną wszelkie ślady pierwotnego marzenia. Tym samym nigdy nikt nie pozna prawdziwego rysunku ogrodów, ich początkowego i końcowego zamysłu. Nikt nie odgadnie, dlaczego zlikwidowano dowód, który stał się przyczyną powstania ogrodów; i przy okazji dlaczego Apollin wynurza się z wody w przeciwną stronę.

Jednak Le Nôtre zemścił się na swój sposób. Zastąpił Sadzawkę Zeusa banalną Sadzawkę Jaszczurek, identyczną jak sąsiadująca z nią. I usunął wszelki związek z mitem słońca, zgadzając się, żeby rydwan Apollina zwrócony był w stronę zamku. Oficjalny powód: „żeby nigdy nie stał plecami do króla”. Jak kiedyś Latona. Uratowano pozory. A obraz Boga został na zawsze wymazany. Obraz Boga - tak, ale nie jego ręka. Le Nôtre, jestem tego pewien, miał przeczucie, że mała estetyczna zemsta jest niczym wobec kary boskiej. W efekcie wszyscy potomkowie Burbonów mieli własnym ciałem zapłacić za afrontjaki Ludwik XLV zrobił najwyższemu Panu. Wielki Delfin, syn Króla Słońce, umrze w 1711 roku. Potem, w 1712, syn delfina. Syn jego syna, Ludwik XV, wnuk Ludwika XLV, będzie długim i nieznaczącym przypadkiem na tronie, lecz przekleństwo wróci z Ludwikiem XVI zaprowadzonym na gilotynę.

Pocziwemu Le Nôtre'owi nie będzie dane zobaczyćjak spełniają się jego przeczucia. Ale wiedział. I król też wiedział, że on wie.

A teraz ty też wiesz.

Tylko ty. Nawet jeśli nie zadzwoniłem do ciebie tamtego dnia, abym mógł dzielić moje odkrycie tylko z samym sobą. Ledwie się jednak zapoznałem z cudowną spuścizną złożoną pod Trianon, zacząłem się zastanawiać, komu ją przekazać. Komu powierzyć to odkrycie, droższe memu sercu niż wszystkie programy stworzone od początku istnienia firmy? Francuskim historykom? Zrobią wszystko, by temu zaprzeczyć. Kathrin? Rozczarowała mnie, nie chciałem, by znowu brała w tym udział. Amelii? Jest zbyt wielką racjo-nalistką, a poza tym żywi zbytnią urazę do Willi Trianon i wszystkiego, co się z nią wiąże. Keuinowi? Za młody. Pozostajesz tylko ty, moja współpracowniczko. Moja najstarsza po-wierniczko. Tylko ty zrozumiesz jej znaczenie.

$o^\circ = i$. Teraz znasz już wzór, który kierował narodzinami Wszechświata. Również on, pewnego dnia, być może zapobiegnie jego śmierci.

Emma z laptopem w ręku przybiegła do pokoju „Ja”, gdzie zastała Pierre'a stojącego przy otwartym oknie i stukającego nerwowo chińskimi kulkami. Uderzenie wiatru poruszyło okiennicę. Na dworze niebo podzielone było na dwie części. Jedna jeszcze niebieska, druga już zachmurzona. Trawnik, przykryty cieniem chmur, też w połowie przybrał szmaragdową barwę. Zieleń jest niepokojąca - pomyślał Pierre, zamykając okno i opuszczając roletę. Nadciągała burza.

Apollo.

Latona.

Z obawy aby system się nie zablokował, nie spróbował nowego hasła dostępu w czasie, gdy Emma wyszła przeczytać list. Te kilka sposobów, które znalazł na złamanie hasel dostępu, tutaj okazały się nieskuteczne. Domyślał się tego. Nie łamie się tajnego kodu wprowadzonego przez Dana Baretta.

- Pierre, mam! - krzyknęła Emma. - Mam hasło do CD! Dan podał mi je w liście!

Powieki młodej kobiety były czerwone, tak jakby płakała. Minęły dwie godziny od czasu, gdy schowała się w pawilonie muzycznym, aby przeczytać wiadomość od Dana. Prawdziwa powieść, pomyślał Pierre z rozdrażnieniem. Mimo swojej niecierpliwości nie chciał przeszkadzać Emmie. Obszedł dom i pogrzebał w centralnym komputerze, sterującym gadżetami w willi: temperaturą wody w basenie, która zmieniała się w zależności od pogody, włączaniem oświetlenia w ogrodzie,

408

dostosowanym do światła na dworze, czy też obrazami wyświetlanymi na plazmowych ekranach ustawianych zgodnie z życzeniem gości... Nawet zabawiał się w zmianę niektórych parametrów. Stary odruch hakera.

Potem wrócił do pokoju i zaczął dumać. Dlaczego Emma nie wraca? Co powiedział jej Barrett? W końcu odczytanie komputerowego hasła nie zajmuje dwu godzin! Nie. List musi zawierać coś innego. Prawdopodobnie jakieś zwierzenia. Ale jakiego rodzaju? I w jakim tonie? Jak Barrett prywatnie rozmawia z Emmą?

Na próżno walczył, jego ciekawość i tak wyzwalała pytania, które burzyły jego spokój. Wbrew własnej woli zaczął znowu myśleć o Gold Beach, miłości na przylądku Manvieux. Niesłychana kobiecość, którą odkrył u Emmy, jej łagodność, którą teraz dopiero chwilami dostrzegał pod jej autorytarną maską. Ponownie poczuł ukłucie zazdrości, choć tym razem Granier nie był temu winien. Czy zmarły szef Controlware przed swoją śmiercią nadal był zakochany w Emmie? A jeśli jej już nie kochał, to dlaczego wybrał ją na depozytariusz-kę swojej tajemnicy? Oczywiście Pierre rozumiał, że można mieć całkowite zaufanie do kogoś, mimo że nie chce się dzielić z nim życia. On sam, jeszcze kilka dni temu, nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby żyć z taką kobietą jak ona.

Odwrócił wzrok, kiedy usiadła na *living bed* przed komputerem Baretta.

- Mam hasło dostępu - powtórzyła. - Wprowadzamy? Już złapała za myszkę.

- Nie, Emma! Pozwól mi to zrobić!

Odłożył chińskie kule na kominek, podszedł do niej i autorytatywnie położył dłoń na komputerze.

- Jak chcesz - powiedziała, ustępując mu miejsca.

Odziedziczony po przodkach odruch „faceta” - pomyślała z pewnością. Nie dawać klawiatury kobietom. Tak jak kiedyś nie dawano im kierownicy.

Na ekranie okienko, które czekało na wpisanie hasła dostępu, nadal było puste.

- Wpisz: „ $0^0 = 1$!” - rozkazała. - Wyjaśnię ci potem. To już naprawdę była jakaś obsesja.

- Zero co? Co to jest?

- Wyjaśnię ci. Pisz...

- Ale co?

- Zero do potęgi zero równa się jeden. Proszę! Informatyk przypomniał sobie zajęcia z matematyki.

„Każda liczba podniesiona do potęgi zero jest równa jeden”. Ale dlaczego tutaj Barrett zastosował takie hasło?

Dlaczego nie „Neptun”, „Flora” albo „Bachus”, mali towarzysze Apol-lina z wersalskiego parku? Nie ma co zadawać sobie pytań, na które nigdy nie znajdzie odpowiedzi.

Wystukał wzór na klawiaturze i nacisnął Enter.

„Potwierdź hasło dostępu Powiedz po usłyszeniu sygnału”.

Program wymagał potwierdzenia głosem. Pierre chciał już wymówić wzór, kiedy przerwała mu Emma:

- Zaczekaj! Zostaw to mnie!

- Zero. Do potęgi. Zero. Równa się. Jeden - stanowczym głosem wymówiła wszystkie sześć słów. CD-ROM się otworzył.

Po raz kolejny program był tak skonstruowany, by rozpoznać jej głos.

- Niewiarygodne! Nagrał cię kiedyś wymawiając te słowa?

- Nie przypominam sobie, ale na pewno kazał mi je powtórzyć oddzielnie, nim zdałam sobie z tego sprawę.

Teraz na ekranie pojawiła się lista plików zawartych na CD-ROM-ie. Pierre najeżdżał kursorem myszki na każdy plik, jeden po drugim, wstrzymując przy tym oddech. Był^o ich około dziesięciu. Zatrzymał się na dwóch nazwach pośrodku listy.

410

Backdoor l.o. Backdoor 2.o. - To jest to, tak sędzę.

Na dworze kryształą gradu zaczęły bębnić w szyby. Słychać było wycie syreny. Zapewne karetka jechała sąsiednią aleją.

Pierre kliknął po kolei na obydwie pliki *Backdoor*. Za każdym razem ekran pokrywał się całym ciągiem linii kodu.

[...]

```
dc      cg bo 42
```

```
jnp     dx75
```

```
push   $0x42b0c9dc
```

```
mov     $0x101001, %eax
```

```
lea     dxffrnT>(%ebp),
```

```
cali    *%esi
```

```
xor     %ecx, %ecx
```

[...]

Emma obserwowala ekran, patrząc Pierre'owi przez ramię. Zirytowana źle trzymającą włosy spinką, postanowiła związać je w koński ogon. Kiedy pochyliła się do przodu, poczuł, jak wokół niego unosi się zapach jej włosów. Ten sam zapach co na Gold Beach.

- Mój Boże! - zawołała. - To jest naprawdę to, czego szukamy? Rozumiesz coś z tego?

- Myślę, że tak - odparł Pierre. - Logicznie rzecz biorąc, pierwszy plik zarządza otwieraniem backdoora, a drugi zamykaniem. Popatrz tutaj: *op.* czyli *opening*, otwieranie, ^a tu: *cios.*, czyli *closing*, zamykanie.

Położyła lewą rękę na ramieniu informatyka, a prawą [^]skazała na ekran.

411

- *Opening...* Wydaje mi się, że to nam nie jest potrzebne. Zło już zostało wyrządzone... To drugi plik nas interesuje, prawda?

- Nic nie umknij twojej uwadze.

- Ale konkretnie co chcesz z tym zrobić? Gdzie wrzucić te linie kodu?

Emma nigdy nie była genialnym programistą, ale w wystarczającym stopniu znała się na informatyce, aby odgadnąć, jaka przeszkoda piętrzy się przed nimi. Znaleźli lekarstwo, ale jak je zastosować? Te linie kodu z pewnością pozwolą naprawić uszkodzone przez hakerów dyski twarde, ale jak się dostać do tych sponiewieranych pamięci? Włamano się do wszystkich lub prawie wszystkich dysków twardej na świecie! Miliony pojedynczych komputerów zostało zainfekowanych zawirusowanymi piosenkami. Jak wprowadzić antidotum, które naprawiłoby je wszystkie w tym samym czasie? Nie można zastosować tego samego sposobu...

Uderzenie pioruna przeszkodziło Pierre'owi w odpowiedzi.

- Nie ma takiego środka, który umożliwiłby wprowadzenie antidotum w sposób uniwersalny - uderzył w uczonego ton, kiedy oddalił się dźwięk grzmotu.

- Ale możesz umieścić go on-line w Internecie, prawda?

- Taak... I wysłać mejla do wszystkich moich kumpli, którzy potem wyślą go do wszystkich swoich kumpli, tak?

Emma udawała, że nie dostrzega jego ironii. Pokręciła głową i końcem włosów dotknęła ramienia Pierre'a.

- Do tego czasu terroryści wysadzą w powietrze połowę zachodniego świata.

- Oczywiście, o ile taki jest ich cel.

- A gdybyś wprowadził patcha bezpośrednio do komputerów najbardziej narażonych firm? Elektrowni atomowych, zwykłych elektrowni, linii lotniczych...

Pierre westchnął.

412

- Oczywiście, Emmo, teoretycznie masz rację. Można by to zrobić. Można się dostać do narażonych sieci. Tyle że to czasochłonne! Wyobrażasz to sobie? Wszystkie firmy wodociągowe, gazownicze, metro, pociąg, lotniska, zakłady farmaceutyczne... Potrzeba miesięcy na ich zidentyfikowanie!

Emma rozzłoszczona wstała, odruchowo włożyła bluzkę w spodnie i podeszła do kominka, opierając się o niego plecami, pod planem Le Nôtre'a. Kilka kawałków gradu grubości sporych kulek utorowało sobie drogę przez komin i właśnie wybuchło pod jej stopami. Atmosfera nagle się ochłodziła.

- Widziałeś wielkość tych kulek gradu? - wykrzyknęła Emma, biorąc w ręce topniejący kawałek lodu. - Uwielbiam dźwięk gradu. Nocą, pod namiotem, to musi być cudowne...

Pierre udął, że nie słyszał jej wypowiedzi. W innych okolicznościach sprowadziłby Amerykankę na ziemię, ją, przyzwyczajoną do klimatyzowanych hoteli, która z pewnością wrzeszczy na widok najmniejszego pająka.

- Jest prawie dwudziesta - rzucił. - Granier nie wrócił z parku?

- Wrócił, przyszedł około południa, ale później pojechał do domu, do Paryża. Przyjedzie jeszcze.

Oczywiście. Stolica była blisko, a on posiada, powiedziała mu o tym Emma, rezydencję w XVII dzielnicy. Zresztą można by sobie zadać pytanie, dlaczego mając takie mieszkanko, Granier został tej nocy w Wersalu. Przecież nie po to, by im pomóc w poszukiwaniach, był do tego niezdolny. A więc to dla Emmy... I znowu zaczęło go dręczyć to pytanie: skoro powieściopisarz z nią nie spał, co robił w jej pokoju?

Co do Graniera, jeszcze jedna rzecz Pierre'a niepokoiła. Przed chwilą, kiedy beczynn timer czekał w pokoju na Emmę, wszedł do Internetu, żeby zobaczyć, co tam znajdzie na temat pisarza. Obok artykułów o jego książkach, jego kronik lub przygód z kobietami informatyk natrafił na wzmiankę opublikowaną w dzienniku towarzyskim w 2004 roku,

opowiadano, jak to Granier, na wzór Omara Sharifa oraz innych nalogowych graczy, zdecydował się sam sobie zabronić chodzenia przez trzy lata do kasyna. Dziennikarz sugerował, że przed końcem tego czasu powieściopisarz miał stracić ma-jątek na grze w ruletkę.

Ale Pierre nie chciał przekazywać tej informacji Emmie. Z pewnością uznałaby go za osobę wścibską, małostkową. Zazdrosną. Zresztą co to za różnica, czy powieściopisarz jest arcybogaczem czy bankrutem?

- Czy znalazł jakieś wskazówki w parku? - zapytał informatyk z udawaną obojętnością.

- Nie, nic. Wyjeżdżając, naprawdę wyglądał na zawiedzionego.

- On zawsze wygląda na zawiedzionego.

Emma pomyślała, że jej towarzysz ma rację, ale nic nie powiedziała. Pierre ciągnął:

- A ty mu powiedziałaś?

Po raz kolejny pociągnęła za włosy, żeby poprawić spinkę. To było denerwujące. Dlaczego jej nie zdejmie?

- Kiedy wyjeżdżał, jeszcze niczego nie znaleźliśmy. I właśnie rozmawiałam z Terryem. W każdym razie nie wiem, dlaczego...

Pierre nie drażył dalej. Być może nigdy się nie dowie, co się wydarzyło między Granierem a Emmą, ale jedna rzecz jest teraz jasna: zachowuje wobec niego dystans.

- Jean-Philippe pojechał tylko po kilka rzeczy do domu. Wróci tu.

Pierre odniósł wrażenie, że chciała mówić dalej, lecz przeszkodził jej kolejny grzmot, silniejszy niż poprzednie.

Emma podeszła do okna, odsunęła listewki żaluzji i zobaczyła, że drzwi od garażu są szeroko otwarte. Dwa koty, które uciekły przed burzą, znalazły tam schronienie.

- Jak sobie pomyślę, że Brad kupił kota! Żeby mi zrobić przyjemność. On nie znosi kotów.

- Jak on się ma? - zapytał Pierre, nie podnosząc głowy.

414

- Kto, kot?

Na twarzy Pierre'a nie było nawet śladu uśmiechu. Emma przeprosiła.

- Wybacz... Oczywiście niepokoi się.

- To normalne, prawda?

- Tak, gdyby było inaczej, byłoby to nienormalne. Wyobraziła sobie Brada siedzącego nieruchomo przed telewizorem, przed komputerem, czyhającego na informacje. Zwłaszcza dotyczące wpływu zamachów na giełdę. „Dziecinko, wszystko w porządku?“, „Kochanie, wracaj szybko“. Przy każdej podróży za Atlantyk powtarzał jej ten sam refren. A ledwie zjawiła się w domu, widziała go pogrążonego w statystykach NASDAQ. Ale nie będzie opowiadać Pierre'owi o swoich domowych frustracjach.

- Do rzeczy, Pierre, nie uważasz, że moglibyśmy wysłać antidotum do Puttmana? Mógłby je przekazać wszystkim klientom Controlware. Wykonałby dużą część pracy... w ten sposób patch dotarłby... Informatyk wzniosł oczy ku niebu.

- Jesteś miła... Oczywiście, to pierwsza rzecz, jaką bym zrobił, gdyby to było możliwe!

- Nie ufasz Berniemu?

- Emma... Jakby przez przypadek strona Controlware jest zawieszona od pierwszego dnia! Od tego momentu nikt nie może ściągnąć latek ani antywirusów! I za każdym razem gdy technicy naprawią stronę, po godzinie zostaje unieruchomiona.

Emma westchnęła.

- Wiem, dlaczego akcje firmy tak spadły! Ale kto sądził, że śmierć Dana...

Młoda kobieta spuściła wzrok, nagle jeszcze bleedsza. Jakby nie chciała przyznać, że przyczyna spadku notowań nie była wcale taka, jak by chciała - pośmiertny hold rynków finansowych dla jej najlepszego przyjaciela.

415

- Śmierć Baretta z pewnością miała wpływ, masz rację - rzucił Pierre.

Nie wierzył w to za bardzo, ale nie chciał powiększać rozgoryczenia Emmy. W rzeczywistości był przekonany, że los Controlware już od dawna nie opiera się na Baretcie. Już przed śmiercią założyciel firmy przejmował się tylko swoją filantropijną działalnością. Jego pracownicy utrzymywali wręcz, że od kilku miesięcy nie pełnił swojej funkcji głównego naukowca Controlware. Na osobistych blogach kilku pracowników firmy, pisanych pod pseudonimem, można było przeczytać, że niedawno odmówił przyjęcia ostatniego modelu telefonu komórkowego. Oraz że Amelia się niepokoi: ona i Dan nie mieli już „życia małżeńskiego”.

Przypomniała się Pierre'owi refleksja Anity, jego koleżanki psycholog, a propos ich wspólnego znajomego, który zginął w zaważonym budynku, a u którego w ostatnich czasach zauważyła dziwną obojętność wobec życia: „Umieramy wtedy, gdy przestajemy żyć” - powiedziała. Tyle że Baretta nie padł ofiarą rozgrywek losu: zamordowali go terroryści, aby go uciszyć.

- Śmierć Dana, niemoc Controlware wobec piratów... To na pewno całość, która spowodowała spadek kursu - upierał się Pierre.

Emma, bardziej nerwowa niż kiedykolwiek, wielkimi krokami przemierzała pokój, nic nie mówiąc. Jej nieregularny krok powodował skrzypienie klepek parkietu. O mało jej Pierre nie powiedział, że hałasuje, chodząc. Ale obawiał się ostrej kontry w stylu: „A ty hałasujesz, stukając w klawiaturę • Rodzaj słownej rozgrywki, którą kiedyś praktykowali, pracując w tych samych biurach. Oraz że przeszkadza mu powiew powietrza, które porusza za każdym razem, kiedy wchodzi i wychodzi wielkimi krokami.

Dzisiaj, musiał to przyznać przed samym sobą, obecność Emmy bardziej go onieśmielała, gdyjakwtej chwili, siedzia

ła nieruchomo kilka centymetrów od niego, a ich spojrzenia się spotykały. Kiedyś zieleń jej oczu wydawała mu się zimna, metaliczna. Teraz widział tylko odbijające się w nich delikatne światło.

- A jednak musimy coś zrobić! - powiedziała, siadając z powrotem na *living bed*, jakby odgadła jego myśli. - Musimy znaleźć jakiś sposób, który pozwoli nam wykorzystać linie kodu! Mógłbyś zacząć od najbardziej niebezpiecznych miejsc, na przykład od obiektów jądrowych?

- Moim zdaniem jest już dużo elektrowni, których sieci informatyczne działają w obiegu zamkniętym. Ich technicy zapewne odcięli wszelką łączność z Internetem. Gotowi zatrzymać produkcję.

- Ale jeśli piraci mają wewnątrz współników albo jeśli awaria została zaprogramowana i nikt jej nie zauważył, nie będą mogli niczemu zapobiec!

- Rzeczywiście. I są jeszcze inni. Te wszystkie firmy, które uważają się za nie do zdobycia, do tego stopnia, że nie przedsięwzięły żadnych środków ostrożności... Zawsze można spróbować zamknąć ich backdoor, ale to zawsze ten sam problem. Trzeba je zidentyfikować jedną po drugiej.

Teraz Pierre wstał i podszedł do okna. Omiótł wzrokiem aleje, budynki gospodarcze i mur ogrodzenia. Koty zniknęły. Zerknął na niebo. Czarne chmury odpłynęły daleko od Trianon. Zostawiły za sobą bładoniebieskie sklepienie, prawie żółte, rzeźbione wstęgami pary wodnej, które ulatniały się na horyzoncie w postaci białej welniastej mgielki. Otworzył okno, by odetchnąć.

Nad umyтым przez burzę Wersalem unosiło się powietrze poranka Dnia Pierwszego.

Ale może to Ostatni Dzień - pomyślał Pierre.

Emma wydawała się bezwolna. Pomyślał przez chwilę. Nagle uderzył pięścią w łóżko.

- Mam pomysł!

417

Emma wyrwała się z apatii. -Co?

- Trzeba dopaść samych piratów.

- Co masz na myśli?

- Trzeba sprawić, żeby nie byli w stanie szkodzić. -Ale jak?

- Musimy ich złapać w ich własną pułapkę. Nie będziemy się męczyć zamykaniem backdoorów we wszystkich komputerach świata.

- A więc co chcesz zrobić?

- Otworzyć ich tylne drzwi!

„Do kogo skierowana będzie moja ostatnia myśl? Jaki ostatni obraz zabiorę ze sobą w chwili, gdy wszystko się skończy?”

Od kilku minut, odkąd wiedział, Pierre zostawił ekran i klawiaturę i wbrew sobie samemu, dał się wciągnąć w spiralę bezładnych myśli. Już od lat od czasu do czasu wracało do niego pytanie dotyczące „ostatniej myśli”. Ale aż do tej chwili nie sformułował jednolitej odpowiedzi. Clara? Jeszcze pięć lat temu wybór padłby na nią. Ale dzisiaj? Wątpił w to. Czuł, że przywiązuje coraz mniejszą wagę do wysiłków, które robił od roku: wcześniejsze powroty wieczorem, odmawianie wyjazdu na lotnisko w niedzielę po południu, żeby w poniedziałek rano być gotowym do pracy, pomoc Gaetanowi w zadaniach domowych z matematyki... Zwierzył się Anicie. Wspólnie sporządzili mapę dziedzin jego życia. Ta pokazała wyraźnie, że część życia, którą poświęca pracy, jest zbyt duża. Zaczął się zmieniać, ponownie wyrównywać swój system wartości.

- Ale Clara ma gdzieś to, że wracam wcześniej do domu - zwierzył się Anicie w pewien wieczór, gdy ogarnęło go przygnębienie. - Woli, żebym tyrał, zarabiał dużo kasy, które ona potem może wydawać.

Diagnoza Anity była szczerą. Pierre przechodził stan, który ona nazywała „egzystencjalnym wylodem”. Aspiracje jego i Gary były rozbieżne.

- Zaprogramowałam ci kawę, co ty na to?

Pierre podskoczył i odwrócił się.

Nie słyszał, jak Emma wróciła do pokoju „Ja”. Zostawiła go przed dwoma godzinami, a wiedząc, że na nic mu się nie przyda, poszła trochę odpocząć.

- Chyba że jesteś głodny - mówiła dalej. - Jest dwudziesta pierwsza, a my od rana nic nie jedliśmy.

Stała w drzwiach wyprostowana, na jej twarzy malowało się zmęczenie, zarys ust wskazywał znużenie. Nie pomalowała się, a jej włosy nadal były ściągnięte do tyłu. Ale znalazła czas, by się przebrać i włożyć beżowe spodnie dobrane do kolejnej dobrze wyprasowanej białej bluzki. Tym razem włożyła biustonosz. Ale wycięcie bluzki nie było zapięte na długości dziesięciu centymetrów. Za mało, by pokazać jej piersi, wystarczająco, żeby podkreślić ich krągłość.

Zamknął oczy. Wolalby dać się porwać tej delikatności, której obecności się domyślał i która była w zasięgu ręki. Lecz to co właśnie odkrył w sieci, przeszkadzało mu.

- Kawa? Tak, chętnie - powiedział, kryjąc swój niepokój. - Zjem później, kiedy skończę.

Z prawej strony *living bed* otworzyła się niewielka szafka. Na stoliku pojawiła się taca z filiżanką lekko parującej kawy.

Jeszcze jeden gadżet Baretta. Emma podeszła do ekspresu.

- Zaprogramowałam ci kawę na dole. Najwyraźniej to działa! Ale powiedz mi, czy wszystko w porządku? Jesteś biały jak śmierć.

Informatyk odsunął klawiaturę komputera i wstał.

- A ty? - zapytał głosem wystarczająco pewnym, żeby uchylić się od odpowiedzi i wydać przytomnym.

Emma odpowiedziała natychmiast:

- Przed chwilą oglądałam wiadomości. Zdaje się, że w Zurychu jakaś bakteria w wodzie pitnej wywołała chorobę u setki osób. Lyon jest całkowicie pozbawiony wody. Wy

420

dział kryzysowy w Matignon poprosił wszystkich prefektów we Francji, żeby kontrolowali sieci wody w swoich departamentach. Sądziysz, że to terroryści... Pierre przerwał jej półgłosem:

- Teraz mam na to dowód.

- Proszę?... Dowód na co? - odpowiedziała z roztargnieniem Emma, biorąc do rąk filiżankę. - Widzę, że mogłam kazać dostarczyć ci na górę cukier, nie ma już nic w...

- To są granice high techu. Uśmiechnęła się lekko.

- Zejdę po niego!

- Daj spokój, nigdy nie słodzę. I mamy co innego do roboty.

Jedną ręką wskazał na ekran komputera. Drugą wziął filiżankę z kawą, którą podawała mu Emma. Po raz kolejny miał wrażenie, że specjalnie pozwala, aby ich palce się musnęły. Gdyby Emma mogła zobaczyć jego usta, dostrzegłaby lekkie drżenie.

Usiadł z powrotem przy komputerze, z oczyma utkwionymi w ekranie przelknął pierwszy łyk, po czym odwrócił się w jej stronę.

- Wiesz, to niesłychane.

- Co się dzieje?

- Nie wiem, od czego zacząć...

- Co znalazłeś? Dodał, ścisząc głos:

- Wszedłem do sieci terrorystów.

- Wow!

Okrzyk podziwu, jaki wyrwał się z ust młodej kobiety, nie wywołał w nim żadnej reakcji. Jego dłonie leżały na klawiaturze nieruchome, z rozstawionymi palcami.

Emma usiadła obok niego, naprzeciw komputera. W pierwszej chwili zauważyła tylko czarny ekran usiany białymi literami. Krótkie tytuły w języku angielskim, ale niezrozumiałe.

421

Flooding ESP

Boston Airport Operation DB Traffic Pharma op

Złapała myszkę i odwróciła się do Pierre'a.

- Mogę?

- Proszę.

Kliknęła na pierwszy wyraz. Pojawił się tekst. Po nim wiele innych. Odpowiedzi na pierwszy. Dialog. Jak na blo-gu. Sygnatariuszy, których nazwiska pojawiały się na koniec każdego tekściku, musiało być co najmniej trzydziestu.

Pierre dał znak, żeby na chwilę zatrzymała kursor myszy na jednym z nich.

- Owen... Owen Makresh. Ciekawe. To nazwisko coś mi mówi - szepnął.

- Jeden z twoich dawnych kolegów hakerów?

- Na pewno nie! Owen Makresh. Dmitri Krashni. Salim Nehma. Bob Lin-

deroth. Kadin Bondarenko... I tajemniczy T w kopii każdego tekstu. Bez wątpienia przywódca siatki.

Następnie przeczytała tytuł pierwszego tekstu.

Gigantyczna odmowa usług. Dokument nawiązywał do zmasowanego ataku na sieć internetową. Bez wątpienia tego ze środy. Wróciła jej w pamięci rozmowa w barze La Marinę. Pierre wyjaśniający, w jaki sposób piraci rozpowszechnili w milionach komputerów zainfekowaną piosenkę. Granier, sceptyczny, trochę śmieszny ze swoim „złotym pierścionkiem”, przypominający historię z antywirusem i to, że jednak informatycy niepotrzebnie wystraszyli ludzi bugiem 2000.

Przesunęła obraz na ekranie.

422

- To jest sprawozdanie dotyczące informatycznego tsunami?

- Nie sprawozdanie. Procedura ataku!

Wszystko zostało szczegółowo opisane. Cały mechanizm ataku, który pięć dni temu sparaliżował świat. Lista wszystkich głównych serwerów, w które należy uderzyć. Lista najpopularniejszych piosenek, według krajów. Przeboje, które posłużyły terrorystom za nośniki instalujące w milionach komputerów, bez wiedzy ich użytkowników, uśpionego wirusa. Zaprogramowanego tak, żeby się obudził i sam uruchomił n września o 8.46 czasu nowojorskiego, powodując gigantyczne pęknięcie internetowego tętniaka i otwierając, w każdym zainfekowanym komputerze, słynny backdoor.

- Ale jak udało ci się tam dostać? - zawołała Emma.

- Wyjaśnię ci później, to skomplikowane.

W końcu on też ma prawo do swoich tajemnic. -1 kogo ostrzegłeś?

- Nikogo. Właśnie...

- Zupełnie zwariowałeś? Trzeba zadzwonić do Białego Domu, FBI...

Pierre chwycił ją w ramiona w chwili, gdy wstawiała.

- Zaczekaj, jeszcze nic nie widziałeś.

Kliknął na pozostałe tytuły, jeden po drugim, nie puszczać jej nadgarstka. Emma zobaczyła, jak falami otwiera się kolo piętnastu dokumentów podobnych do tego, który właśnie przejrzała. Data, miejsce, cel. Tym razem tytuły nie były dwuznaczne. A niektóre miejsca dobrze znane. Wybrał kilka na chybił trafił.

04/08 02.20 pm. Zakłady farmaceutyczne Meliton G, Boston

11/09 06.15 om. Fabryka Atofina, Marsylia

11/09 06.16 pm. Elektrownia, Syrakuzy, Nowy Jork

423

11/09 06.17 am. Elektrownia jądrowa Susquehanna, Pensylwania

12/09 06.18 am. Elektrownia, Ottawa 12/09 06.19 om. Elektrownia, Cleveland 12/09 07.60 am. Apteki, Wschodnie Wybrzeże USA, Tokio

13/09 04.00 am. System GPS

13/09 06.50 pm. System zarządzania ruchem, Paryż, Londyn, Berlin

13/09 06.10 pm. Sieci wody pitnej, Lyon, Zurych, Manchester, Hongkong

- **Mój Boże!** - szepnęła Emma, uwalniając rękę, jakby chciała utrzymać możliwie największą odległość pomiędzy sobą a horrorem, który odkryła na ekranie.

Kawa Pierre'a wylała się na podłogę, tworząc na parkiecie czarną plamę. Huczalo jej w skroniach. Serce mocno biło. Nogi drżały. Miała przed oczyma listę wszystkich komputerów, które zaatakowali terroryści. Według dat.

Wszystkie komputery, nad którymi terroryści przejęli kontrolę.

A to jeszcze nie wszystko.

- **Popatrz na te daty** - pokazał Pierre, obniżając dokument linijka po linijce. **24, 26, 27 września.**

- **To ich następne cele!**

24/09 02.08 pm. Fabryka Lipitrane, New Delhi. 24/09 03.00 pm. Zakłady farmaceu tyczne Alzeimid, Los Angeles

24/09 10.08 pm. Centrum dostaw farmaceutycznych, Cupertino

24/09 05.00 am. Centrum dystrybucji leków, Sunnyvale

26/09 02.15 om. Fabryka Dolitor, New Delhi

424

27/09 10.13 pm. Biuro farmaceutyczne, Mountain View, Espoo
27/09 11.50 pm. Spółka dostaw farmaceutycznych, Ki-ta-shinagawa
27/09 05.30 am. ArtaGene, Singapur 27/09 06.00 am. Alzacorp, Reykjavik 30/09 08.08 pm. Biobank Japan, Hokkaido 12/10 04.08 am. Estonian Genome Project, Tallin 14/10 11.08 pm. InmeGeN, Meksyk 30/10 01.38 am. Karolińska Gen, Sztokholm 31/10 04.50 am. Beijing Genomics Institute 03/11 05.30 TheraBio, Tel Awiw.

- Mamy czternasty wrzesnia - szepnęła Emma. - Co robią między czternastym a trzydziestym? Biorą urlop?

- Na to wygląda.

Czy piraci przewidzieli przerwę techniczną przeznaczoną na przygotowanie nowych ataków? Czy może zostawili sobie czas na negocjacje z rządami?

Na ekranie niejaki Dmitri Krashi zaczynał przedstawiać sprawozdanie z operacji „Boston Airport”, którą nazwał „próbą generalną”. Sukces. Dostarczono ponad dwa tysiące pudełek. Szkodliwe skutki melatoniny rozsiane po wielu dużych miastach. Lecz straty mniejsze, niż się spodziewano.

Przewiduje się powtórzenie operacji, tym razem na większą skalę. Dziesiątki miast mają zostać zaatakowane za sprawą aptek w „wyselekcjonowanych” dzielnicach Cupertino, Sunnyvale, Dulles, Amsterdamu, Kioto, Tokio (Ki-ta-shingawa), Berlina. Piraci zaczynają od przedostania się do systemów komputerów zakładów farmaceutycznych produkujących leki sprzedawane przez wybrane wcześniej apteki. Podczas procesu produkcji modyfikują skład, przekształcając serię lekarstw w prawdziwe trucizny. A jako że położyli łapę na całym procesie produkcyjnym, mogli zdecydować o mo

425

dyfikacji wszystkiego, co tylko chcieli: ilości produktów, godzinach pracy, zamówieniach, miejscach dostaw. Tym razem operacja nie koncentrowała się na melatoninie, lecz na Lipitranie, najczęściej sprzedawanym na świecie lekarstwie obniżającym cholesterol, oraz na Dolitorze, bardzo znanym leku przeciwbólowym. Piraci dostali się do dwu głównych komputerów w zakładach produkujących te lekarstwa w New Delhi.

Nie wystarczyło Emmie cierpliwości, by nadal przewijać listę.

- Zaleją świat fałszywymi lekarami!
- Lekarami, które niszczą pamięć. -1 które zabijają!
- Najwyraźniej ich pierwotny cel to nie zabijanie ludzi, lecz zamienianie ich w warzywa.
- To szaleństwo!

Pierre otworzył inny plik, nazwany *Bhatnagar. New Delhi*. Proces objęcia kontroli nad komputerem w międzynarodowej niemieckiej firmie farmaceutycznej został tam przedstawiony w szczególny sposób. To miejsce jest głównym ośrodkiem produkcji Nexoru, lekarstwa stosowanego w leczeniu choroby Alzheimera. Serwer został „otwarty” na wiele tygodni przed atakiem z września. Sam prezes sześć tygodni wcześniej niechętnie wprowadził wirusa, podłączając do komputera w biurze swojego laptopa, aby posłuchać nagranej przez syna muzyki. Na początku sierpnia Krashni i jego wspólnicy położyli rękę na wewnętrznym systemie komputerowym.

Dalszy ciąg był zatrważający. Weszli do programu zarządzającego produkcją lekarstwa. Zmienili jego skład. Przez kolejne trzy dni zakład produkował tylko niewłaściwe środki.

- Pierre, zdajesz sobie sprawę z tego, co oni zrobili?

Znowu ów nagły ton. Szybko wyrzucane słowa. Ogarniająca Amerykankę panika kazała jej odnajdować stare od-

ruchy.

426

- Myślę, że tak. Modyfikują powszechnie stosowane leki. Cząsteczka likwidująca efekt *jet lag* została zmieszana z substancją, która...

- Która przyspiesza utratę pamięci, tak, która ją przyspiesza! To właśnie to. Która atakuje korę mózgową, strefę odpowiedzialną za wyrażanie myśli. Pierre...

Emma chwyciła dłoń informatyka.

- Pierre... Oni produkują lekarstwo, które zabiło Kath-rin Strandberg! I zaleją świat kolejnymi lekami, które mają takie samo działanie!

-I zabijają tysiące ludzi. Niewinnych ludzi. Którzy sądzą, że biorą melatoninę, środek przeciwbólowy lub lek obniżający cholesterol, a potem zostaną pozbawieni...

- Pamięci. I umierają. Tak jak... Tak jak Dan.

- Tak, lecz jeśli chodzi o niego, jemu musieli to zaaplikować bezpośrednio. Chciałbym wierzyć, że to był przypadek, ale jakoś nie widzę Dana kupującego melatoninę w Bostonie.

Emma zacisnęła zęby. Nie mogła już dłużej.

- Potwory! Dlaczego to robią?

- Chyba się domyślam - odpowiedział Pierre, który miał czas na przetrwanie informacji odkrytych przez młodą kobietę.

Dotknął palcem ekranu, wskazując na listę operacji przewidzianych przez piratów.

- Miasta, które są celem, Emmo. Popatrz! Cupertino, Sunnyvale, Mountain View, Kita-shingawa, Espoo... Nic ci to nie mówi?

- Cupertino, tak. Siedziba Apple i...

- Tak. A Sunnyvale to siedziba Oracle. Mountain View - Google. Espoo - Nokii - recytował Pierre. - Miasta, w których znajduje się konkurencja Controlware. Tam, gdzie przyjeżdżają na spotkanie wszystkie kadry kierownicze. I kupują lekarstwa.

- To jakiś koszmar!

Emma ukryła twarz w dłoniach, uderzając stopą w materac *living bed*. Znała tych wszystkich ludzi. Należeli do jej zawodowego świata. Niektórzy byli jej przyjaciółmi. Pierre ciągnął:

- Wszystkie grube ryby największych na świecie firm technologicznych skazane na śmierć. Powolną śmierć, w mniej lub bardziej odległym terminie...

Wyłączony mózg, porzucona pamięć. *Out of memory*, jak mówi się w informatyce. Okrutna ironia losu wobec ludzi, którzy zbili majątki, zalewając świat swoją pamięcią. Dla terrorystów papież technologii umrą tam, gdzie grzeszyli. Pierre osunął się na podłogę przed kominkiem z głową pochyloną do tyłu i zamknął oczy.

Przed jego oczyma przewijał się film, a on walczył ze sobą, by nie dojść do końca tego rozumowania. Ale jak się powstrzymać? Szefowie wielkich firm technologicznych martwi lub w stanie uniemożliwiający rozumowanie. Na giełdzie akcje ich firm spadają. W ciągu kilku tygodni piraci mogą spowodować największy krach w historii kapitalizmu. A przy okazji wyeliminować wszystkich rywali Controlware. Apple, Oracle, Google, Sony, Palm, Nokia... Bez kapitanów, bez silników, pijane statki na falach światowej konkurencji. Pozbawione mózgow potwory. Nokaut, którego nigdy nie udało się wykonać Barrettowi.

A zatem teren do dalszej ekspansji rządów Controlware na świecie byłby oczyszczony, świecie konsol do gier, telefonu, telewizji. Nowe rynki Controlware, ta działalność, którą firma rozwijała w przyspieszonym tempie od czasu, gdy Ba-rett się wycofał.

Pierre widział w oczach Emmy, że jej rozumowanie jest takie samo.

- Pierre... -Tak?

428

- Ktoś musi stać za tymi wszystkimi Krashmi, Nehma... Ktoś, w czyim interesie jest zniszczenie tych firm, zniaczenie technologiczne świata, aby potem lepiej panować...

Zamilkła na chwilę.

- Sądzisz, że...

Informatyk przytaknął milcząco. Myśleli o tej samej osobie.

Bernie. Bernie Puttman. Jeśli ktoś korzysta na kataklizmie, który przeżywają od czterech dni, to właśnie on.

Emma siedziała bez ruchu na *living bed*.

- Pierre, to potworne, potworne! Trzeba to zatrzymać! Nie będziemy tu siedzieć jak...

- Tak, jak palanci. Tak się mówi po francusku.

Pierre mógłby być bardziej wulgarny. Ale starał się myśleć. Spodziewał się, że Emma rzuci się do swojego telefonu komórkowego. Wezwie policję. Tajne służby. Jedną ze swoich wysoko postawionych koleżanek, członkinię WAC. Albo i Biały Dom, bo czemu nie? Ale czy to jest dobre rozwiązanie?

Coś mu nie pasowało, lecz nie wiedział co.

Emma nadal siedziała bez ruchu przed ekranem ze łzami w oczach. Z pewnością nadal myślała o swoich przyjaciółach z Sunnyvale lub Cupertino. Albo o Danie. Nagle znowu wróciła do świata.

- Pierre! Czy terroryści wiedzą? Wiedzą o tym, że my wiemy?

Informatyk przycisnął obie dłonie do skroni, jakby w ten sposób chciał zmniejszyć ogarniające go napięcie.

- Oczywiście, że nie! Dopóki nie zaczniemy z nimi rozmawiać.

- Rozmawiać?

- Tak, jeśli wolisz - czatować. Widzisz tę ikonkę u dołu ekranu? To ich skrzynka dialogowa. Rodzaj wewnętrznego MSN. Owen Makresh, Dmitri Krashi... Nie mogą bezpośrodkowo ze sobą rozmawiać.

-I my możemy do tego wejść?

Wahał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Tak, ale jak ci to powiedzieć... Na razie jesteśmy tylko w pewnym sensie przed ich domem. I nie mogą zdawać sobie z tego sprawy. Ale jeśli popchniemy drzwi...

- Nie będzie już można się wycofać.

- Zrozumiałaś.

- A więc co robimy? Kogo najpierw trzeba powiadomić? Pierre zdał sobie sprawę, że jego towarzyszką jest jeszcze bardziej zbity z tropu niż on.

- W normalnych warunkach - odparł - powinniśmy powiadomić ICC.

- ICC?

- Tak. Jeśli wolisz, policję informatyczną.

- To już, róbmy to!

- Powoli, Emmo. Mamy chyba trochę czasu?

Nie potrafił wytłumaczyć dlaczego, lecz zaalarmowanie władz wydawało mu się ryzykowne. Jeszcze trzeba się zastanowić. Wydawało mu się, że przeoczył jakiś ważny element, ale jaki?

- Jak to? Wręcz przeciwnie, trzeba się pośpieszyć!

- Następny atak nastąpi dopiero dwudziestego czwartego września. To jeszcze...

-To jeszcze?

Emma spojrzała Pierre'owi prosto w oczy. Tym razem nie widział w nich zwyczajowej determinacji, lecz niecodzienny strach, niemal błagalną łagodność. Tak jakby pod wpływem napięcia stopiła się skorupa Mrs. Shannon, *chief executive officer* firmy Berking & Shannon.

Pierre podszedł i objął ją za ramiona.

- Chodź tu - szepnął.

Nie miała czasu, by odpowiedzieć. Przyniósł swoją twarz i musnął ustami jej usta. Ukradkowa pieśczoła. Przebłysk Pocałunku.

431

Odsunął się kilka centymetrów do tyłu, by móc spojrzeć na kobietę. Wystarczyło, że ich oczy się spotkały, a już wiedział, że jej pragnie. Poczul, że musi jej o tym powiedzieć.

- Mam na ciebie ochotę - szepnął - już kiedy na ciebie patrzę. Nie dotykając cię. Rozumiesz to?

Chciał nie tylko, żeby zrozumiała lub domyśliła się jego pragnienia. Chciał, aby je poczuła, aby je zobaczyła. Chciał, żeby nie spuściła wzroku wobec tej nieodpartej siły, którą w nim wyzwala.

Emma wiedziała, że w jego postawie nie ma nic z masochizmu, nic pretensjonalnego, nic sztucznego. Jest to tylko sposób wyrażenia miłości w sytuacji, gdy słowa miłości są zabronione.

Młoda kobieta pozostała bez ruchu, wstrzymując oddech. Pozwoliła, by palce Pierre'a musnęły lekko jej piersi i na dłużej zatrzymały się na twarzy. Objął dłońmi jej policzki i przyglądał jej się badawczo. Dwie czarne kreski, które już obeschły, zaraz pod ciemnymi obwódkami oczu, tworzyły coś na kształt dwu niezręcznych graffiti nabazgranych na jej białej cerze.

Nie było to zbyt zgodne z kanonami piękna, ale Pierre uważał, że ta kosmetyka jest pociągająca. W każdym razie o wiele bardziej niż te warstwy cieni do powiek, pudru oraz cech budzących szacunek, w których Emma pokazywała się, wchodząc ze swoimi koleżankami na mównicę WAC. Francuska artystka fotografik, Bettina Rheims, wykonała któregoś dnia serię portretów gwiazd bez makijażu. Pamiętał te obrazy. Laetitia Casta, Beatrice Dalie, Milla Jovovich, z zaczerwienionym okiem, wilgotnymi rzęsami, różowym śladem blizny widocznej pod ściemniałą pachwiną.

Urodą jest to, co pozostaje, kiedy już spłynie tusz do rzęs.

A przede wszystkim widział tę niesamowitą delikatność jedwabiu bielizny, którą Emma miała pod bluzką. Delikatny zapach perfum, który tamtej nocy poczuł na plaży. Delikat

ność jej piersi, które teraz pieścił, czując pod palcami, jak sterczą, twarde i napięte. Nie pamiętał, by kiedyś w swoim życiu pieścił aksamitne piersi.

Ona teraz już też otworzyła oczy. I wsunęła dłoń Pier-re'owi pod koszulę. Jej palce dotykały lekko jego klatki piersiowej, muskały brzuch, zatrzymywały się, po czym znowu wracały swoim śladem. Nie pamiętał, by kiedyś w życiu pieściły go ręce pianistki.

Kiedy opuścił ramięczko jej biustonosza, chcąc pocałować prawą pierś, opadła do tyłu, na *living bed*. Zatrzymał ją.
- Emmo - wyszeptał. - Podnieś się!

Nie zapytała go dlaczego. Pomógł jej wstać, na długo przyłgnął do jej ust, po czym zsunął z niej ubranie. Przyglądała mu się uległa, milcząca, patrząc błędnym wzrokiem. Każdy gest Pierre'a, każde jego spojrzenie wzmagało w niej pożądanie. Żaden dotąd mężczyzna nie sprostował tym oczekiwaniom, których nawet nie potrafiła sformułować. Tak jakby odgadywał jej pragnienia, jakby był nią. Po raz pierwszy kochała się z absolutną wzajemnością.

- Jesteś ucieleśnieniem dziewczęcych marzeń - powiedziała cicho.

Być może nie zrozumie, co ma na myśli. Ale musi wiedzieć, że przynajmniej raz w swoim życiu spełnił marzenia kobiety, jej najgłębsze pragnienia.

Kilka chwil później stanął przed nią również nagi.

Uklęknął i zaczął całować jej ciało. Brzuch, nogi, potem piersi, tułów, zagłębienie nadgarstków. I znowu piersi, długo, aż do samej szyi. Kiedy pieścił jej nogi, czuł w swoich włosach delikatne palce Emmy wywołujące w jego ciele regularny dreszcz. A kiedy wrócił do jej twarzy, gdy usta młodej kobiety połączyły się z jego ustami, patrzył, jak kołyszą się jej kolczyki. Miały kształt srebrnych obrączek, z których zwisały niewielkie czarne druciki uwydatnione bordowymi perłami. Cygańska biżuteria. Biżuteria wagarowiczki. Wjed

nej chwili widok tych ozdób zburzył w umyśle Pierre'a obraz kobiety w garsonce, wielkiej kapłanki królującej w zarządzie firmy Berking & Shannon. Czuł, że jak w marzeniu, którego nigdy nie ośmielił się wyrazić, rozpada się marmurowy posąg Emmy Shannon. Topniała w jego rękach w miarę zalewającej ją fali pożądania. Chciałby taką ją zapamiętać, unieruchomić jej mgliste i szalone spojrzenie. Ale takie samo pożądanie ogarnęło i jego. Kiedy wszedł w nią na łóżku Dana Baretta, przez myśl przebiegła mu niespodziewanie wizja tego, który ich tu przywiódł, właściciela Controlware. Pierre kochał się właśnie z tą, którą Baret kochał przed nim i może nawet na tym samym łóżku. Obsceniczny obraz pojawił się przed jego oczami. Baret nagrywający głos Emmy w czasie, gdy się kochają. Być może zaprogramował w MP3 jej krzyk rozkoszy, tak samo jak nagrał ją, gdy wymawiała „Le Nôtre”, „zero” lub Jeden”? Być może ten krzyk spowoduje za chwilę pojawienie się na ekranie jakiegoś obrazu albo z głośników przy łóżku popłynie zmysłowa muzyka? Albo gorzej, jej głos oznajmiający „to drugi i ostatni raz”? Pierre był szalony. Bardziej szalony niż Baret. Być może szalony dlatego, że pozostało mu tylko kilka godzin życia. Ale Emma nie krzyczała, tylko cichutko pojękiwała. A on lubił te skargi rozkoszy, przyzywał je. Tak jak na plaży przyładka Manvieux, nie był w stanie oprzeć się ich despotycznemu magnetyzmowi. Nigdy nie doświadczył takiego ognia w kobiecym ciele.

Odwrócił ją na bok, po czym usiadła na nim. Jej włosy omiały przestrzeń. Kiedy tak siedziała na jego brzuchu, z odchyłoną głową i rękoma opartymi z tyłu dla zachowania równowagi, wydawało się, że ofiarowuje mu swoje piersi. Chwycił jej biodra i gwałtownym ruchem przyciągnął do siebie, by móc wejść w nią głębiej. Uczucie zespolenia był^o

takie silne, że miał wrażenie, jakby to ona penetrowała jego, a nie na odwrót. Jakby ona go posiadała.
Miał jeszcze czas - chcąc odwrócić swoją uwagę i oprzeć się wołaniu rozkoszy - żeby się zastanowić, czy to niekontrolowane pożądanie nie jest spowodowane wyłącznie strachem przed śmiercią. Albo chęcią zmierzenia się z nią.
Śmierć. Miłość. Miłość na śmierć. Śmierć z miłości. Te dwa słowa wirowały w złowróżbnym i wesołym tańcu. Ręce młodej kobiety wczepiły się teraz w niego. Nieustannie umykała jego ustom, by za chwilę bardziej do nich powrócić.
Było w niej napięcie, żar, błaganie.
Wreszcie, w chwili gdy wylewał się w niej, zatrzymał jej twarz przy swojej twarzy, jej usta połączyły się z jego ustami.
Długi pocałunek stłumił ich krzyk.
Poczuł wtedy, że przykrywa go ogromne jedwabne prześcieradło. I niemal natychmiast rozdarł je niebieski błysk.
Ostre światło wirowało w pokoju.
Zwariowany taniec obrotowego światła ostrzegawczego.
Z zewnątrz, z bulwaru, dobiegało wycie syren samochodów policyjnych i karettek.

Jean-Philippe Granier położył kluczyki od porsche'a i okulary przeciwsłoneczne na komodzie w stylu Ludwika XV. Ogolił się i zmienił ciemne spodnie oraz marynarkę na dżinsy i blado-żółtą koszulę rozpiętą na piersiach. Zapalił papierosa; od czasu podróży samochodem znowu zaczął palić. Wciągnął kłęb dymu, westchnął głęboko i nalał sobie szklaneczkę whisky. Wczoraj Emma pokazała mu, gdzie ukryty jest barek: szafko-lodówka wmontowana w ścianę z lewej strony kominka.

Powieściopisarz był poirytowany. Po bezowocnym porannym przemierzeniu ogrodów chciał skoczyć do swojego mieszkania. Ale na każdym skrzyżowaniu korki uniemożliwiały ruch. Potrzebował trzech godzin na dojazd do Paryża i tyle samo, żeby wrócić. I to stosując paryskie sztuczki, uliczki Marnes-la-Coquette oraz alejki parku Saint-Cloud. To wszystko bez włączania klimy, by oszczędzić ostatnie krople benzyny.

- Jakbyśmy byli w Bagdadzie! - powiedział do Emmy w chwili, gdy młoda kobieta weszła do salonu. - Światła już nie działają, stacje benzynowe nie mają zapasów paliwa, wszędzie gliny... Ale gdzie pani była? Wołałem panią po przyjeździe, nie słyszała pani?

- Nie - odparła Emma, patrząc na niego nieobecny spojrzeniem. - Pracowaliśmy z Pierre'em na górze. Czy zechciałby pan zgasić papierosa? Dan nie pozwalał, by palono w tym domu.

Przed chwilą wyszła spod prysznic. Jej skronie i częściowo włosy - które jednak za pomocą rogowej spinki spięła na czubku głowy w kok, aby ich nie zamoczyć - były wilgotne. Ale Granier zdawał się nic nie zauważać.

- Nie słyszeliście syren? - nie ustępował, szukając wzrokiem popielniczki, w której mógłby zgasić niedopalek.

Przeszedł na przylegający do salonu taras-werandę i podszedł do drzwi wychodzących do ogrodu. Nieco dalej kilka reflektorów oświetlało misy, posągi oraz pawilon muzyki.

- Znowu był obok wypadek - powiedział, rzucając na niski stolik paczkę marlboro. - Zwarcie spowodowało pożar na dworcu Versailles-Chantiers, a strażacy są przeciążeni pracą...

- Rzeczywiście, słyszałam syreny - odpowiedziała Emma. - I to tak blisko, że przez chwilę sądziliśmy, iż gliniarze wylądują tutaj.

Spojrzała Granierowi prosto w oczy.

- No dobrze, to nie jest temat. Pierre odkrył w sieci dramatyczne rzeczy.

- W Internecie?

Granier uniósł brwi, dając wyraz zwątpieniu, jakby chciał pokazać swojej rozmówczyni, że to wszystko, co dzieje się w Internecie, jest tylko wirtualne w podstawowym tego słowa znaczeniu. Teoretyczne, nierealne. Emma zaczęła mu opowiadać

o popołudniowych wydarzeniach, lecz jej serce było gdzie indziej. Mówiła znużonym głosem. Do przesady upraszczając chronologię wydarzeń i omijając dwa epizody: odkrycie podziemi

¹ twierdzenia dotyczącego istnienia Boga. Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać z nim na ten temat. Dobry Boże, dlaczego nie Potrafi mu zaufać? Jednak będzie musiała to zrobić.

- I co teraz zrobicie? - przerwał jej Granier, który słuchał dość nieuważnie.

- Postaramy się dowiedzieć czegoś więcej. Pierre gromadzi informacje. Potem zadzwonimy do specjalistów od

walki z informatyczną przestępczością. Albo do ludzi z rządu. Najskuteczniejsze...

Zatrzymała się na chwilę.

- Po pierwsze, trzeba mieć pewność, że następnym atakiem ma być ten, który odkrył Pierre, oraz że ma nastąpić dopiero za dziesięć dni. W zasadzie na to wskazuje strona internetowa, na której...

Granier przerwał w pół słowa jej wyjaśnienia i rzucił:

- Telewizja. Włączyć.

Emma chciała mu już powiedzieć, że komenda nie działa po francusku lub na dźwięk jego głosu, lecz się myliła: włączył się największy ekran. Nie trzeba było zmieniać kanału, żeby znaleźć informacje. Wszystkie duże sieci telewizyjne w dalszym ciągu mówiły o katastrofach z poprzednich dni oraz ich skutkach: wybuchu w elektrowni w Marsylii oraz powtarzających się awariach wielu instalacji elektrycznych na wschodzie Stanów Zjednoczonych. Wspomniano również

o zatrzymaniu elektrowni jądrowej w Susquehanna. Ale były dużo bardziej niepokojące sprawy. Skażone sieci wodociągowe w Lyonie, Hongkongu, Zurychu, a teraz w Manchesterze

1 w Berlinie wywoływały panikę. Przed paletami wody mineralnej, magazynowanymi na parkingach przy supermarketach, ustawiały się kolejki. Oddziały pierwszej pomocy w szpitalach były przepełnione. W wielu miastach zarekwirowano sale gimnastyczne, by postawić w nich łóżka przeznaczone dla ludzi, którzy nie mogli wrócić do domów, oraz sprzęt pierwszej pomocy, w szczególności do podawania kroplówek. We Francji związek zawodowy lekarzy specjalistów od udzielania pierwszej pomocy oświadczył, że idziemy w kierunku kataklizmu. Piętnaście tysięcy osób zmarłych latem 2003 roku, w czasie upałów, to w porównaniu ze skutkami ogólnego skażenia sieci wody pitnej tylko banalny fakt z kroniki policyjnej. Na razie bakterie występujące w dotkniętych skażeniem miastach nie są śmiertelne. Lecz na wszystkich

438

kanalach zadawano sobie pytanie: a jeśli jutro w wodzie pojawi się coś innego?

Blokada ruchu w kilku dużych zachodnich stolicach wzmocniła jeszcze panikę. Wielu szefów państw wystąpiło na żywo w telewizji. Jutro udają się do Waszyngtonu na nadzwyczajny szczyt G8. Prezydent Chin i premier Indii również zostali zaproszeni. Ich kraje nie zostały dotknięte wydarzeniami, na razie ataki wymierzone były tylko w najbogatsze narody. Lecz możliwe, że była to tylko pierwsza salwa. Specjaliści wysuwali najbardziej dziwaczne hipotezy. Po żadnej z katastrof nie przedstawiono żądań i nikt nie dostarczył dowodu na istnienie ewentualnego związku między tą lawiną klęsk a komputerowym krachem z ubiegłego tygodnia.

W telewizji pokazano również Mika obrazów z pogrzebu Dana Baretta. Odbył się on późnym rankiem w Bostonie. Emma chciałaby obejrzeć retransmisję na małym ekranie, skoro nie mogła być na miejscu. Lecz Dan nie był ani głową państwa, ani księciem krwi. Nie było bezpośredniej transmisji. CNN zadowolili się pokazaniem uderzających momentów ceremonii: lzy Amelii, kilka zdań Puttmana - ściągnięte rysy, twarz trawiona uczuciem zmęczenia - spuszczenie trumny do grobu, pokrywające ją powoli garście ziemi i róże. Ona też chciałaby móc złożyć swój kłos pszenicy. Wyobrażała sobie ciało Dana w środku i zastanawiała się, jak był ubrany oraz czy Amelia zostawiła mu okulary.

Poczuła, jak rośnie w niej fala smutku, ale nagle nałożyło się na nią wspomnienie chwili, którą właśnie przeżyła z Pierre'em. „Zdradzić” Dana na jego własnym łóżku w dniu, w którym został złożony do ziemi: ta myśl powstrzymała lzy, które były już blisko. Zacisnęła pięści. Przysięga, dotrzyma wszystkich obietnic, które sobie złożyli.

Granier przełączył na TFi. Reporterzy zatrzymali się dłużej na katastrofie w Marsylii, która jak dotąd spowodowała najwięcej w całej Europie ofiar śmiertelnych.

- Jean-Philippe, niech pan przełączy z powrotem na CNN, proszę! - powiedziała Emma.

Co ciekawe, media nie zgadzały się w kwestii melatoniny, która spowodowała już trzysta zgonów. Kilku dziennikarzy prowadziło śledztwo na temat pochodzenia zabójczych opakowań oraz ich „trasabilności”. Szef grupy farmaceutycznej, właściciel indyjskiej fabryki produkującej lek, zorganizował konferencję prasową, żeby przypomnieć, iż jego zakład pracuje zgodnie z najbardziej drakońskimi normami jakości i bezpieczeństwa, oraz że w centralnym systemie komputerowym nie wykryto żadnej nieprawidłowości.

Internet również działał normalnie. Awaria z ubiegłego wtorku - którą dziennikarze ochrzczili „czarnywtorek. com” - została opisana jako zwykły incydent. Nikt w niej nie widział podstawowego elementu, tego, który pozwolił piratom przygotować „przepustkę” umożliwiającą kontrolowanie wybranego przez nich komputera. Oczywiście specjaliści wspominali o tym, że jakaś organizacja terrorystyczna znalazła sposób, żeby wejść do centralnych systemów komputerowych niektórych ważnych obiektów, lecz zdawało się, iż nie rozumieją, że odtąd wszystkie komputery na świecie stoją otworem dla grupy fanatyków, którzy w każdej chwili mogą wydać w sieci polecenia. Brakowało mediom ogólnego spojrzenia na sytuację. Czy władze są lepiej poinformowane?

I przede wszystkim, kto pociąga za sznurki? To pytanie wracało bez przerwy i dziennikarze podstawiali mikrofon każdemu, kto tylko chciał im dać odpowiedź. Jakiś świadek sugerował, że należy zacząć od poszukiwania tego, kto może korzystać na tych zbrodniach, a z jego wypowiedzi dało się odczytać, że pierwszym, kto skorzystałby na kryzysie, jest Controlware, który mógłby skorzystać z ogólnej paniki i przyspieszyć o kilka miesięcy pojawienie się za

powiadanego od roku „niezawodnego” systemu operacyjnego Shadows 10.0.

- Co za żalony paradoks! - zgrzytał zębami na CNN miłośnik Apple.

Luki w Shadowisie właśnie wyszły na światło dzienne i znowu trzeba będzie zaufać Controlware, żeby stworzyć nowy, pozbawiony wad produkt? To surrealistyczne!

Dobrze znany analityk finansowy z Wall Street zauważył, że założona przez Dana Baretta firma miała w tej sprawie wiele do zyskania. Zapytany potem Puttman przeproszał publicznie, lecz nie mówił nic na temat backdoora.

„Na dzień dzisiejszy nie istnieje w stu procentach niezawodny system” - wyjaśniał ogólnikowo. I mówił dalej, używając propagandowego języka szefa dobrze obeznanego z komunikacją kryzysową: „Pragnę przekazać nasz żal i naj-szczerzej przeprosić firmy, które stały się ofiarami ataków. Controlware nie tylko uchyla się od wszelkiej odpowiedzialności za te przestępcze nieprawidłowości, lecz pragnę również powiedzieć, że sami staliśmy się ofiarą ataków, mających na celu sabotowanie procesu przyspieszonego pojawienia się na rynku systemu Shadows 10.0.”

Emma siedziała na bordowej kanapie stojącej naprzeciwko ściennego ekranu i nie spuszczała oczu z twarzy Puttmana, śledząc triki, które zdradziłyby jego dwulicowość. Miał na sobie letni garnitur, a krawat był lekko przekrzywiony.

Mówił uroczyście, stojąc przed swoim biurkiem, a jego twarz o grubych rysach wydawała się mniej zmęczona niż na zdjęciach z nadanych kilka sekund wcześniej uroczystości pogrzebowych Dana Baretta. Tylko kilka kropli potu perlących się na czole zdradzało stres.

- Nie rozumiem - rzucił nagle Granier, podchodząc do Emmy. - Wam się udało zlokalizować centrum dowodzenia Piratów, a inżynierowie Controlware nie potrafią? Czy to znaczy, że zostali bezpośrednio zaatakowani? Chociaż przecież mimo wszystko widzą, skąd pochodzą ataki?

441

- To nie jest oczywiste... Pierre zlokalizował ich tylko dlatego, że udało mu się wydłubać pliki muzyczne oraz że ma klucze do backdoor...

- Znaleźliście wasz słynny „bague d'or”! I nic mi pani o tym nie mówi! Gratuluję! Jesteście prawdziwymi... jak to się mówi... hakerami, tak? Hakerami wysokiej klasy! A więc zadzwoniliście do Puttmana, żeby dać mu klucz? Wszystko już rozwiązane?

Po raz kolejny Granier dotknął newralgicznego punktu. Puttman. Jeśli istnieje jedna szansa na sto, że on stoi za tymi atakami, że to on dokonał otwarcia backdoora, nie podejmą ryzyka powiedzenia mu, że posiadają drugi klucz.

- W przeciwieństwie do Dana ja nigdy nie lubiłam Puttmana - wyznała Emma. - Ten człowiek zawsze mi się wydawał...

- Może trochę porto?

Jean-Philippe Granier wyglądał, jakby gwałtownie przeskakiwał z jednej myśli na drugą. Zadawał pytanie, ale nie słuchał odpowiedzi. Emma podziękowała mu jednak za ten gest: kieliszek alkoholu uspokoi jej nerwy, a może nawet pozwoli spojrzeć jaśniej.

Łapczywie, prawie jednym haustem wypila pełen kieliszek porto, który jej podał, po czym - jako że zostawił butelkę na stoliku - wlała sobie drugi.

Granier nie mówił już nic więcej. Ze szklaneczką whisky w ręku obojętnie przyglądał się obrazom strawionego przez pożar Central Parku. Spektakl był zasmucający. North Woods splonęły. Ramble także. Widać było zwęglone gałęzie setek czarnych amerykańskich wiśni, klonów, drzew świętojańskich. Starzy nowojorczyki oplakiwali przed kamerami parkowego „giganta” - angielski wiąz zasadzony w 1860 roku. Pisarz parsknął śmiechem:

- Francuzi zareagowali dokładnie tak samo, kiedy podczas wichury w 1999 zwałony został dąb Marii Antoniny-Można powiedzieć, narodowa katastrofa! Potem martwe

442

drzewo zostało wystawione przed Grand Trianon, a ludzie stali w kolejce, by go dotknąć jak relikwii! To fascynowało pani przyjaciela Dana, kiedy tam razem byliśmy...

- Cicho! - przerwała mu Emma.

Próbowała oglądać telewizję. Katastrofa w Central Parku wydawała jej się niemal tak samo symboliczna jak ta w World Trade Center, nawet jeśli zginęło w niej mniej osób. Dwie trzecie zielonych płuc Nowego Jorku poszło z dymem. Zachowały się tylko części położone najbliżej zbiornika i jeziora. Ogień spowodował śmierć co najmniej czterech osób, cywilów, którzy przyszli z pomocą przemęczonym strażakom.

Jednak alkohol pomógł i Emma poczuła, że stres zaczyna ją opuszczać. Najważniejsza informacja nie pojawiła się w telewizji. Znajdowała się w jej i Pierre'a rękach. Oni, i tylko oni, wiedzieli, w jaki sposób zamknąć backdoor w Sha-dowsie. Pozostawało już tylko znalezienie właściwego odbiorcy tej informacji, takiego, który zrobi z niej najlepszy użytek. Człowiek, organizacja, rząd, który potrafilby zatrzymać piratów.

- Emma!

Pierre właśnie wtargnął do pokoju. Wydawał się bardziej spięty niż zwykle.

- Co się dzieje?

Widząc, jak się zbliża, miała ochotę rzucić mu się na powitanie. Ten nieopanowany pociąg, te głuche uderzenia w klatkę piersiową przypomniały jej znowu - co za głupia myśl - czasy, kiedy osiemnaście lat temu oczekiwała przyjścia na świat Rebeki, kiedy to dziecko, wbrew jej woli, poruszało się w jej brzuchu.

Porównanie ze wspomnieniem ciąży wytrąciło ją z równowagi. A jednak jej ciało nie odgrywało komedii. Wszystko^w niej krzyczało, że ten mężczyzna jest uosobieniem jej marzeń. Tylko nie mogła mu tego powiedzieć. Niektóre marzenia realizują się zbyt późno, żeby mogły zmienić bieg życia.

443

Pozostała na kanapie. Pierre podszedł i przyglądał się jej zza okularów.

- Emma! To niesłychane! Owen Makresh. Znam go!

- Jaki Owen?

- No wiesz, ten facet, który podpisuje się pod wiadomościami w sieci.

- Nie kojarzę, wydumacz mi!

Granier, siedzący okrakiem na poręczy dużego wyściełanego fotela w drugim końcu pokoju, postawił szklaneczkę na ziemi.

- Czekamy z niecierpliwością - rzucił z delikatną ironią w głosie.

Pierre, z umysłem przyćmionym odkryciem, nawet nie zauważył pisarza.

- Makresh to pseudonim jednego z facetów. A może jego prawdziwe nazwisko. Tarią Reshmak. Gość trochę znany w środowisku hakerów. Komputerowa bestia. Z pozoru pod każdym względem w porządku facet. Indonezyjczyk. Studia w Bangalore. Dyplom na uniwersytecie Stanforda. Przez długi czas gość pracował w Controlware, w czasie rozwoju firmy. Odszedł w dwa tysiące drugim lub trzecim roku, utrzymując, że założy własną firmę. W środowisku było o tym dość głośno.

Pierre uniósł głowę i tym razem patrzył na przemian to na Emmę, to na Graniera.

- Faktycznie wstąpił do IICC. -I... co? - zapytał Granier.

- Internet Intrusion Complaint Center. Nieważne. Najprościej mówiąc, informatyczna policja, brygady antyhaker-skie. Organizacja związana z FBI, do której trafiają wszystkie sprawy dotyczące przestępczości informatycznej. Z chwilą gdy w sieci pojawia się jakieś podejrzané działanie, zawiadamia władze. Lokalizuje cyberpiratów. I na odwrót, jeśli władze dowiedzą się o czymś poważnym, korzystają z ich pomocy-To rodzaj tajnej wieży kontrolnej w Internecie.

444

- I Makresh do niej należy? - zapytała szybko Emma. - Jesteś pewien, że to on? Ten sam, którego znalazłeś?

- W tym środowisku ludzie lubią bawić się w pseudonimy. Jest to forma prowokacji. W rzeczywistości jego właściciel, ukryty za backdoorem, niewiele ryzykuje... Ale dałbym sobie odciąć rękę, że to on: zbieg okoliczności jest zbyt niepokojący. A zatem terroryści wiedzą o wszystkim, co się dzieje w HCC!

Emma podeszła do oszklonych drzwi prowadzących do ogrodu i stała tam przez chwilę w milczeniu, kręcąc w palcach kosmyk włosów. Jej nieco krótka biała bluzka unosiła się chwilami, odsłaniając dolną część pleców. Ale tym razem Pierre nie pozwolił się rozproszyć. Obecność Owena Makre-sha w siatce terrorystów komplikowała sprawy.

Poinformowanie HCC - o czym odruchowo pomyślał, kiedy dostał się do sieci organizacji - było ostatnią rzeczą, jaką mogli zrobić. Makresh natychmiast by się dowiedział. Uczniowie czarnoksiężnika z Willi Trianon zostaliby odkryci.

Emma odwróciła się i rzekła:

- Pierre, jeśli dobrze zrozumiałam, nie możemy nikogo powiadomić, tak? Zostaliśmy przyparci do muru? Pierre przytaknął.

Granier, zwalony w fotelu na drugim końcu pokoju, machinalnie bawił się leżącą na gerydonie elektroniczną podkładką pod kieliszek. W ramce znajdowało się czarno-białe zdjęcie Elsie de Wolfe, fotografującej się przed Willą Trianon we wspaniałej wieczorowej sukni. Fotka - a w rzeczywistości cyfrowy ekran - z chwilą wzięcia jej do ręki ustępowała miejsca cytatom dekoratorki: „Nie mogę malować, nie mogę pisać, nie mogę śpiewać. Lecz mogę udekorować i prowadzić dom, oświetlić go, ogrzać, sprawić, aby było w nim życie, i zrobić to tak dobrze, że wszyscy będą go pragnąć, stanie się standardem doskonałej gościnności”.

Pisarz natychmiast porzucił swoją obojętność.

- Dobra, dla mnie wystarczy, idę zapalić fajkę - oznajmił, wstając.

I dodał z wymuszonym uśmiechem, kierując te słowa do Emmy:

- Tak, proszę się nie martwić, idę na dwór... A następnie, wskazując brodą portret Elsie:

- Kapłanka doskonałej gościnności musi się przewracać w grobie!

Złapał leżącą na tym samym gerydonie paczkę marlboro i zniknął na werandzie. Emma i Pierre usłyszeli eleganckie kliknięcie automatycznych drzwi do ogrodu.

Spojrzeli na siebie.

- Więc co robimy?

- Musimy skontaktować się z kimś, kto jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Być może mam...

Nagle w głębi korytarza rozbrzmiał wysoki głos, nie pozwalając Emmie skończyć zdania:

- Mamo! Jesteś tam? Słysząc było czyjeś szybkie kroki. Amerykanka zdążyła

ledwie zrobić ruch w kierunku drzwi, gdy pojawiła się w nich jakaś sylwetka.

- Rebecca! To ty? Już nie wierzyłam, że przyjedziesz...

Młoda szczupła dziewczyna, o gibkim ciele i złotych włosach, rzuciła się Emmie w ramiona. Obie kobiety pozostawały długo przytulone do siebie. Zaskoczony Pierre również się podniósł i stanął kilka metrów z tyłu. „Mamo”! Czy dobrze słyszał? „Mamo”? A więc Emma ma dziecko? I to starsze niż jego własne córki! Jak to możliwe? W czasach gdy razem pracowali w Paryżu, nie była mężatką. Może zaadoptowała tę dziewczynę później?

Bezladne pytania tłukły mu się po głowie. Tamtej nocy, na plaży, Emma mgliście wspomniała o swoim mężu, Bra-dzie. Ale nie o ich córce.

To prawda, pomyślał w duchu Pierre, uśmiechając się wbrew sobie, że na Gold Beach nie mieli czasu, by opowiadać o swoim życiu.

- Rebecca, to Pierre, dawny kolega, z którym przez przypadek spotkaliśmy się w Arromanches. Pierre, to Rebecca. Emma położyła rękę na ramieniu córki, zachęcając ją, by przywitała się z informatykiem. Mimo zdumienia na twarzy eks-kolegi w jej głosie nie było najmniejszego drżenia ani śladu wahania. Dyrektorskie odruchy wzięły górę.

Rebecca podeszła zwinnym krokiem. Ładna, drobna, ubrana w minispódniczkę i różowy T-shirt bez rękawów podkreślający jej delikatne ręce. Niższa od matki, z bardziej widocznymi piegami na twarzy i na dekolcie. Kilka niesfornych loków tańczyło na krótko obciętych włosach. Szerokim gestem wyciągnęła rękę do Pierre'a.

- Już się kiedyś spotkaliście - uśmiechnęła się Emma - ale byłabym zdziwiona, gdybyście o tym pamiętali. Rebecca musiała mieć wtedy z pięć lat! To było w ogrodzie zoologicznym.

Uśmiech Rebeki przypominał Pierre'owi uśmiech Emmy. Jej spojrzenie także. Owszem, bardziej mroczne, ale tak samo głębokie, natężone i uszczypliwe jednocześnie. Pokrewieństwo było ewidentne.

Rebecca. Ogród zoologiczny. Pierre przypomniał sobie tamto popołudnie, gdy spotkał Emmę w parku rozrywki w Neuilly. Przyszedł tam z Clarą, którą wtedy była w ciąży z Garance, oraz dwiema siostrzenicami, bliźniaczkami w wieku siedmiu czy ośmiu lat. Wpadł na koleżankę z pracy w chwili, gdy kupował watę cukrową. Towarzyszył jej nieznanemu, starszemu od niej mężczyźnie, raczej typ ładnego chłopca o wysportowanym wyglądzie. Przelotna miłość - powiedział w duchu Pierre - jedna więcej.

Pierre wyjaśnił Emmie, że jest na spacerze z siostrzenicami. Ona odpowiedziała mu z uśmiechem, że robi to samo,

i podała laskę słodczy dziewczynce, która kończyła właśnie przejażdżkę na kucyku. A zatem swojej siostrzenicy - pomyślał Pierre.

Teraz już rozumiał, że chodziło o Rebecę, rodzoną córkę Emmy. Mężczyzna, który im towarzyszył, musiał być jej ojcem.

Przypomniała mu się również pozostała część popołudnia. Scena zazdrości, jaką zrobiła mu Clara. Jej uszczypliwość i cierpki ton, gdy obgadywała Emmę Shannon, choć nie zamieniła z nią nawet dwu zdań. Tak jakby chciała postawić tamę. Jakby jeszcze przed Pierre'em odgadła istnienie podświadomego pociągu, który popychał go do Amerykanki. Emma z czułością przyglądała się córce. Jaką piękną stała się kobieta! Nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na jej brzuch, twardy i umięśniony, w poszukiwaniu zaokrąglenia, które potwierdziłoby jej opinię. Ale nic w wyglądzie Rebeki, nic w jej postawie nie wskazywało na to, że w szczególny sposób zwraca uwagę na mające się narodzić dziecko. Zresztą podskakiwała w miejscu i rozglądała się wokół siebie. Najwyraźniej czegoś szukała. Lub kogoś. Spojrzała przez okno wychodzące na werandę i do ogrodu. Umieszczone na drzewach reflektory rzuciły bladożółte światło na trawnik oraz królujący pośrodku pień wysokiego cedru. W oddali można było dostrzec mur ogrodzenia przylegający do zamkowego parku. Jeszcze trochę, a Rebecca mogłaby dostrzec groby psów Elsie.

Jakaś postać zbliżała się do domu poprzedzona małym rozżarzoną do białości światełkiem, które w regularnych odstępach zapalało się i gasło. Kilka chwil później otworzyły się automatyczne drzwi, a postać zatrzymała się.

- Jean-Philippe!

Rebecca przecięła werandę i pobiegła w stronę Graniera, który właśnie kończył rozgniatać niedopalek na trawniku. Powieściopisarz nie miał czasu, by odpowiedzieć. Już zdążyła rzucić mu się na szyję.

- Jean-Pilippe! Już myślałam, że nigdy nie uda mi się dojechać! Te korki są potworne! Tak się cieszę, że cię widzę! Granier, uśmiechnięty od ucha do ucha, złapał dziewczynę dłońmi w pasie.

- Reb! Moja pchelko!

Pierre zrobił krok do tyłu, żeby oprzeć się o kanapę. Oglupiały spoglądał na Emmę, która nie okazywała żadnego zaskoczenia. Zadowolona wskazała mu głową drzwi salonu.

- Chodź ze mną, wyjaśnię ci.

Przez ten czas Rebecca wisiała na szyi powieściopisarza, swymi szczupłymi nogami baletnicy obejmując go w pasie. Granier stracił swój zblazowany wygląd. Łapczywymi ustami całował młodą dziewczynę, tak skupiony na swoim zadaniu, jakby chciał zapomnieć o reszcie świata.

„Świeże mleko: trzy litry. Jajka: cztery. Sok pomarańczowy: pół litra. Zamówienie przyjęte. Świeży sok z pomidorów: półtora litra. Kurczak tanduri, dwie porcje. Kurczak w curry, jedna porcja, zamówienie przyjęte...”

Na próżno Pierre rzucił się z zapamiętaniem na przyciski programatora. Nie udało mu się uciszyć syntetycznego głosu. Lodówko-komputer Baretta co trzy godziny podawał stany zapasów i bezpośrednio, via Internet, na stronie ooshop.com, składał zamówienie na brakujące artykuły. Przynajmniej w normalnych czasach. Od wczoraj internetowy supermarket przerwał dostawy.

- Daj spokój - powiedziała Emma. - Jak skończy inwentaryzację, sam przestaniesz...

- Już mam! Znalazłem...

Emma i Pierre zeszli do biura w podziemiach Willi Trianon. Mimo późnej pory nikt nie był w nastroju do pójścia spać i Emma zaproponowała, żeby przygotowali kanapki. Zostało jeszcze trochę testowego chleba, kilka jajek i główka zapakowanej próżniowo sałaty. Emma wyjęła dużą odlewaną patelnię, postawiła ją na ceramicznej kuchence i wbiła jajka.

- Może być jajecznicą?

Pierre szybko zrozumiał, że Amerykanka nie chce rozmawiać o przeszłości. Zresztą o przyszłości też nie: wspomniała półgębkiem o wydarzeniach ostatnich dni dotyczących jej rodziny. Rebecca spotkała Graniera pół roku temu

w operze. Zakochała się. Potem zaszła w ciążę. Przekonał ją, żeby urodziła dziecko. Mają się pobrać w październiku.
Kropka.

- To o tym przyszedł porozmawiać ubiegłej nocy w moim pokoju.

- No wiesz, mogłaś mi powiedzieć wcześniej. Jak zobaczyłem go wychodzącego z twojego pokoju, naprawdę sądziłem, że...

- Masz o mnie dobre zdanie! Jej ton pełen był gorzkości.

- Przykro mi - powiedział.

- Jean-Philippe przyszedł mi powiedzieć o swoim ślubie z Rebeccą i dyskutowaliśmy przez dwie godziny. Ja nawet nie wiedziałam, że on ją zna. Wyobraź sobie, jaki to był szok! Zadałam sobie pytanie, dlaczego nie powiedział mi o tym wcześniej, w Arromanches. Utrzymuje, że Rebecca jeszcze się wtedy nie zgodziła...

-Gadanie! - zawołał Pierre. - Prawdziwy powód to ten, że trudniej byłoby mu cię podrywać.

- Nie pleć bzdur! Po prostu starał się wejść w łaski swojej przyszłej teściowej...

- Całując cię w usta w La Marine? Dziwny sposób wchodzenia w łaski! Nie mów, że to nieprawda, widziałem was!

- Ach, tak?

Emma odprężyła się. Ucieszyła ją zazdrość Pierre'a. Interpretowała ją jako dowód jego uczuć do niej. Ciągle bowiem nie była pewna, czy Pierre'owi na niej zależy.

Ostatnim razem kiedy się kochali, wypowiedział tylko kilka zdań. Była „bajecznie piękna”. Ich ciała „łączyły się ze sobą jak dwie połówki pomarańczy”. Nigdy nie czuł „takiego wzajemnego uzupełniania się”. Czy słowa te podyktowane były tylko pożądaniem, przelotnym popędem? Mężczyźni w łóżku mówią rzeczy, których tak naprawdę wcale nie myślą.

A jednak kilka minut później, kiedy brała prysznic w łazience Dana, podszedł do niej Pierre. Usiadł po turecku na płytkach przed wielką wanną, w której przykucnęła, oparł łokcie na kolanach. Prawą ręką trzymała słuchawkę prysznicową, polewając ciało wodą, a drugą automatycznym ruchem zakryła piersi. Patrzył na nią z uśmiechem, przesuwał powoli oczyma po jej ramionach, biuście, plecach, zatrzymując się dłużej na karku i uniesionych do góry włosach, na delikatnym zarostwie w miejscu, gdzie łączą się uda, a także na tym małym pieprzyku, który ma na prawym kolanie.

Ponieważ pytała go wzrokiem, szepnął:

- Kontempluję twoje piękno.

Zamilkła zmieszana. W tym dokładnym momencie - *ex post*, jak mawiała błędnie, chcąc nazwać czas „po” miłości - nie mógł kierować się popędem. Jego słowa wzbudziły w niej falę czułości, a potem nieodpartą chęć, żeby wziąć w ramiona mężczyznę, który w ten sposób na nią patrzył. Wtedy właśnie usłyszeli wołanie Graniera.

Teraz w kuchni miała sobie za złe, że mieszała osobiste uczucia - siłę, która popychała ją ku niemu - ze świadomością zapowiedzi tragedii, tragedii, której jeszcze oni sami mogą zapobiec.

- Wiesz, że to typowo paryski rodzaj pocałunku - mruknęła, nawiązując do awansów Graniera w La Marine. - Aktualna mania w show-biz...

Pierre nie zareagował.

- Jeśli chcesz wiedzieć - zwierzała się dalej Emma - kiedy pocałował mnie w usta, nie spodobało mi się to, ale go nie spoliczkowałam. Nie jesteśmy w Stanach Zjednoczonych. Poprosiłam go tylko, żeby nigdy już tak nie robił. Sądziła, że Pierre wyśmiejże naiwną szczerą tego p° środka. Lecz on nic nie powiedział. Jajka były usmażone. Emma zdjęła je drewnianą łyżką i postawiła patelnię na O cie. Potem wzięła kilka kromek chleba, żeby je podpiec

452

- Sandwicze będą gotowe za kilka chwil.

- Sandwicze z chleba - ironizował Pierre, siadając za nią, całując jej kark i gryząc lekko drobne kosmyki włosów, których nie udało jej się podtrzymać spinką.

Po raz kolejny miała ochotę mu się oddać.

- Chodź, zaniemiemy im to - powiedziała, podając mu sandwicze, w które naprędce włożyła listki sałaty. - Weź dwa, ja zaniemę resztę. Potem pójdziemy na basen. Tam będzie można spokojniej porozmawiać.

Pierwszą myślą Emmy było wrócić do pokoju Dana, lecz to nie było idealne miejsce do spokojnego przeanalizowania sytuacji. A poza tym z Rebeccą w domu...

Wrócili na parter. Zakochani siedzieli nieruchomo przed telewizorem. W TFi wyświetlali *Nazajutrz*. Rebecca

1 Jean-Philippe, zahipnotyzowani filmem, chwycili sandwicze, z roztargnieniem dziękując Emmie.

- Jak można w takiej atmosferze puścić film katastroficzny? - mruknęła poirytowana Amerykanka, wychodząc z salonu.

- A przede wszystkim go oglądać! - uzupełnił Pierre, którego głód uczynił mało wyrozumiałym.

Postawa Graniera była dla niego niezrozumiała. Powieściopisarz miał już dwoje dorosłych dzieci. I trzy małżeństwa za sobą. Trzy przysięgi, trzy wesela. Trzy niepowodzenia. A teraz czwarta próba, z dziewczynką.

Pierre nie mógł też uwierzyć, że Rebecca mogła w nim wzbudzić tak gwałtowne uczucie. Jest ładna, wesola i naturalna, lecz z założenia nie jest to rodzaj kobiety mogącej wzbudzić taki płomień u pięćdziesięciolatka, który już wszystko widział.

Zastanawiał się, czy Emma jest świadoma różnicy wie-KU. Jak wszyscy rodzice z pewnością stawia swoją córkę na Piedestale: panienka jest taka dojrzała jak na swój wiek,

² Pewnością dokonuje dobrych wyborów. Lecz Pierre mógł

by przysiąc, że Granier wzbudza w Emmie podejrzliwość. Czy przysłała teściowa również domyśla się, jakie są rzeczywiste intencje powieściopisarza? Prawie poruszył ten temat, ale zrezygnował: na co mu to? Nie miał do zaproponowania żadnego rozwiązania. A poza tym, jak pokreśliła Emma, nie po to tu są. Czekają na nich ważne zadania.

Przez chwilę szli obok siebie korytarzem o ścianach obitych beżowym aksamitem.

- Wiesz, co powiedziała Elsie de Wolfe, zwiedzając zaraz po wojnie Partenon? - zapytała Emma, starając się rozluźnić trochę atmosferę.

- Nie, słucham?

- Podobno miała zawołać: „Beżowy! Dokładnie mój kolor!”.

Pierre uśmiechnął się. Barrett miał przynajmniej jeden wspólny gen z byłą właścicielką - gen egocentryzmu.

Szedł za Emmą, przyglądając się wiszącym na ścianach obrazkom. Amerykanka wskazała palcem kopię *Stworzenia człowieka* Michała Anioła wykonaną przez Rossa Fiorentina oraz detal z *Ostatniej wieczerzy* Leonarda da Vinci, o którym Dan często jej opowiadał. Barrett był bardzo przywiązany do tych szesnastowiecznych obrazów. Ostatnimi czasy nasiliło się jego zainteresowanie metafizyką. Nawet wydawał się opętany poszukiwaniem istnienia Boga. Może z powodu kontaktu z biedą i śmiercią, który nawiązał, kierując fundacją? W obliczu nędzy, z którą spotkał się w krajach Trzeciego Świata, Dan z pewnością - jak każdy człowiek - wątpił w istnienie Boga. Wątpił w Jego obecność, w Jego władzę, w samą Jego konieczność. Kiedy widzi się dzieci umierające setkami, ponieważ brakuje dla nich szczepionki, lekarstwa, odrobiny wody lub drewna, poddanie się wątpieniu staje się nieuniknione: po co wierzyć w dobrego i wspaniałomyślnego Boga, skoro i tak dochodzi się do takich wniosków? W każdym razie

czy bogaty, zorganizowany, wpływowy człowiek nie może być bardziej skuteczny niż tak zwany wszechmocny Bóg? I wreszcie czy kreatywny człowiek nie jest w stanie przewyższyć Boga stwórcy?

Człowiek silniejszy od Boga. Prometeusz, ostateczny zwycięzca. Dyskutowali na ten temat podczas swojego weekendu na Islandii. Alzacorp, młoda firma w Reykjavíku, która zidentyfikowała gen odpowiedzialny za chorobę Alzheimera, właśnie odkryła nową „bombę”. Gen LTA4H, uwikłany w zawał mięśnia sercowego. Dan chciał odkupić firmę. Później miała się stać cudownym złochem lekarstw. Emma miała odmienne zdanie. Za duże ryzyko. Zbyt spekulacyjne. Pierre pchnął ciężkie drzwi z podwójnymi skrzydłami prowadzące do sali recepcyjnej, którą Elsie de Wolfe swego czasu dodała do Willi Trianon. To pomieszczenie, rodzaj sztywnego namiotu w zielone i białe pasy, zostało wzniesione z okazji jakiegoś święta i już później nie zostało rozebrane. Dan przekształcił je w basen. Dwa filary z marmuru z Carra-ry, które znaczyły kiedyś wejście do willi, tworzyły teraz dwie wewnętrzne kolumny nadające pomieszczeniu wygląd rzymskich term. Emma i Pierre zeszli po prowadzących na brzeg basenu trzech stopniach dawnego wejścia do willi. Upał i zapach chloru ścisnął im gardła.

- Jesteś pewna, że chcesz tu zostać? - zapytał Pierre, kaszląc.

Emma usiadła na brzegu basenu.

- Nikt nam tu nie będzie przeszkadzał, prawda? A poza tym nie chcę, żeby Rebecca i Jean-Philippe nas słyszeli.

Zdjęła buty i zamoczyła stopy w wodzie.

- Mmm... Nawet dobra!

- Emma! Proszę cię! - westchnął Pierre, podając jej sandwicza.

Wyjęła nogi z wody i utkwiała w nim wzrok. Wydawał się nerwowy, a na jego skroniach perlilo się kilka kropli potu.

455

- Pierre, powiedz, ten pirat, który pracuje w IICC. Markesh...

- Makresh - poprawił Pierre.

- Tak, Makresh. Jesteś pewien, że on wie o wszystkim, co się dzieje u jego byłych kolegów? Czy nie można ich powiadomić tak, żeby on o tym nie wiedział?

Pierre ugryzł chleba, wyjaśniając, w jaki sposób odkrył współudział piratów w łonie IICC.

- Zobacz na komputerze, o czym oni sobie opowiadają, to zrozumiesz! Wiedzą o wszystkim na bieżąco. Wszystko potrafią uprzedzić. W tym również próby reakcji Control-ware! W tym poszukiwania amerykańskich, francuskich czy niemieckich brygad informatycznych. Wiesz, teraz jesteś przekonany, że Puttman nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Controlware jest jednym z ich ulubionych celów.

- A jednak założyłabym się...

- I byś przegrała. Zbyt szybko osądzasz ludzi.

- A więc możemy powiadomić Controlware? - podjęła Emma. - Oni nie są współnikami piratów.

- To prawda. Tyle że piraci doskonale wiedzą, co się dzieje, minuta po minucie, w posiadłości Puttmanna...

Emma pochyliła się do przodu i pozwoliła swojej ręce ślizgać się po powierzchni wody. Niewielka fala, którą wywołała, zmyła powierzchnię basenu. Wiązki z optycznymi włóknami rozlewały tam poziome promienie światła w 100% szmaragdowej zieleni, system oświetlenia z pewnością zaplanowany z myślą o dostosowaniu go do muzyki, którą mogły nadawać cztery zanurzone głośniki zamocowane na ściankach basenu. Pierre zauważył je zaraz po przyjściu.

Informatyk, ze wzrokiem utkwionym w powierzchnię wody, pochłaniał sandwicza z apetytem, który go samego zadziwił. Zdawało mu się, że od rana nie miał nic w ustach.

- Odkryłem coś jeszcze - powiedział między dwoma kolejnymi kęsami. - Organizacja interesuje się również ma

nipulacjami genetycznymi. Objęli kontrolę nad Alzacorpem oraz ArtaGene.

- ArtaGene? Bankiem danych genetycznych w Singapurze?

- A jest jakiś inny?

- Dziesiątki.

- Tak myślałem. Nie wiem, co oni chcą zrobić, ale to na pewno niebezpieczne.

Amerykanka położyła dłoń na ramieniu Pierre'a.

- Na tym etapie chyba nie ma sensu torturować sobie umysłu, próbując odgadywać zamiary terrorystów, prawda?

Jedyne pytanie, to jak im przeszkodzić?

Zrobiła pauzę.

- A tak konkretnie, to co zrobisz? - podjęła Emma na nowo.

Jej głos rozbrzmiewał w pustym pokoju. Pierre patrzył na dno basenu utworzone z naprzemiennych białych i zielonych linii, paskowanego wzoru identycznego jak ten, którym pokryte były ściany pomieszczenia. Jak zwykle Dan nie pozostawił nic przypadkowi.

- Zawsze mogę samodzielnie odpierać ataki piratów - powiedział, strzepując z dzinsów okruszki sandwicza. - Na przykład zapobiec następnemu, temu z dwudziestego czwartego, uprzedzając firmę, której dotyczy, i zamykając jej backdoor.

- Ale piraci otworzą go z powrotem!

- To nie takie pewne. Nie można tak łatwo ponownie otworzyć backdoora, który został zamknięty.

- Przyjmijmy, że tak jest. Ale co dalej? Będziesz zamykał po kolei wszystkie backdoory, dzień i noc? „Mówi Pierre, Hot Line Controlware, do usług, co mogę dla państwa zrobić?”

Emma małpowiała akcent azjatyckiego informatyka, jakich zatrudniają na drugim końcu świata firmy komputerowe, żeby odpowiadał konsumentom, którym zawieszają się komputery.

457

Pierre się trochę rozpogodził.

- Dzień dobry pani, Kim do pani usług! - wyrecytował z takim samym akcentem. - Sprawdziła pani, czy komputer jest podłączony do prądu?

Po chwili podjął już poważnym tonem:

- Problem nie polega na tym, że jeśli chcę zamknąć po kolei wszystkie backdoory, odbędzie się to kosztem moich godzin snu... zaraz przy pierwszej interwencji zostaną zidentyfikowani przez piratów. I unieszkodliwiony. Zresztą nawet jeśli mnie nie znajdą, będą wiedzieli, że istnieję. Wtedy zmienią taktykę lub adres. Podczas gry w kotka i myszkę będą ode mnie silniejsi.

- Zaczekaj. A gdyby dziesiątki ludzi zadziałały jednocześnie, z dziesiątek różnych miejsc? Czy to nie byłoby jakieś rozwiązanie?

- To jest jakiś pomysł. W każdym razie tymczasowy.

- Ale możemy powiadomić władzę, tak? Na przykład francuski rząd. Jakbyśmy opowiedzieli im o wszystkim, w tym również o naszych wątpliwościach dotyczących IICC? Z pewnością mają jakieś awaryjne rozwiązania!

- Być może.

- Znam dyrektorkę w gabinecie ministra finansów... Valérie Perrier. Była w Arronanches. W środę wieczorem jadłam razem z nią kolację. Zadzwoń do niej i będzie mogła...

- Ufasz jej?

- Jak samej sobie.

Informatyk uśmiechnął się w myślach. Znowu widział panią dyrektor, osobę decydującą, rzucającą pytanie nie wymagające odpowiedzi, niezdolną usiedzieć trzy minuty bezczynnie. Emma wyjęła już z kieszeni komórkę. Ale zanim nacisnęła na przyciski, zawahała się chwilę.

- Na co czekasz? - zdziwił się Pierre. - Zadzwoń, jeśli tak dobrze ją znasz!

Lecz młoda kobieta się nie poruszyła. Zastanawiała się z^c wzrokiem utkwionym w komórce i skurczonymi palcami-

- Mam lepszy pomysł - rzuciła nagle, odkładając aparat na brzeg basenu. Odwróciła się w stronę towarzysza, który nie spuszczał z niej wzroku. Wzrok Pierre'a zza okularów przyprawiał ją o zawrót głowy.

- Pamiętasz, co było na pececie Dana? - powiedziała, obracając komórkę w końcach palców. Pierre chciałby przyciągnąć do siebie tę dłoń, głaskać ją, całować. Mimo niebezpieczeństwa, że telefon wysliznie się do wody.

- Mówisz o tym, co otworzyliśmy za pomocą kodu emocjonalnego? - zadowolili się tylko taką odpowiedzią.

- Właśnie.

- List?

- Nie, obok listu, na ekranie. Był tam dobrze widoczny plik zatytułowany „Uniwersalna ochrona socjalna”.

- Eee... tak, być może - oparł z wahaniem.

Tekst pliku stanowił streszczenie pomysłu Dana, o którym często rozmawiał z Emmą. Założyciel Controlware oraz Barrett Foundation chciał utworzyć ubezpieczenie zdrowotne dla wszystkich mieszkańców świata.

- Czyli taki światowy ZUS? — podsumował Pierre, kiedy Emma przedstawiła mu szczegółowo treść listu.

- Właśnie. Pozwoliłoby to uratować miliony istnień.

- A w jaki sposób byłoby finansowane?

- Dan chciał stworzyć coś w rodzaju bardzo niskiego podatku VAT, lecz pobieranego od wszystkich rodzajów komunikacji. Fizycznej, wirtualnej, wszystkich! Bilety lotnicze, wymiana danych, zakupy przez telefon lub przez komputer...

I to wszystko w krajach rozwiniętych, osiągających pewien określony poziom PKB na osobę. Wyobrażasz sobie tę manę z nieba?

Podkreśliła te słowa ruchem ręki, jak na mównicy podczas WAC. Pierre pokręcił głową.

- Opowiadasz!

- I przelewano by je wszędzie tam, gdzie ludzie nie posiadają ochrony socjalnej... Dan chciał to nazwać: CAT, podatek od komunikacji dodanej.

- Tu mnie zaskoczyłaś! - zakpił Pierre. - Król kapitalizmu wojuje o wprowadzenie podatku!

- Ale nie byle jakiego podatku, Pierre - broniła Emma. - Po pierwsze, to podatek idealny pod względem technicznym: niska stawka, szeroka podstawa opodatkowania. Wielu ludzi płacących bardzo mało za każdym razem: to najlepszy system, prawda? Poza tym podatkiem byłby obciążony obywatel, konsument, a nie przedsiębiorstwa, jak to ma miejsce w przypadku VAT-u.

- A nie uważasz, że to dziwne, że Barrett zainspirował się pomysłem ubezpieczalni, który jednak pierwotnie został wyłansowany przez Francuzów? I który zresztą wcale nie jest modelem skutecznego działania?

- Tak, ale Dan uczyniłby go skutecznym, wierz mi! Pierre zmarszczył brwi.

- A dlaczego?

- Jego ekipy zarządzałyby zebranymi kwotami w ramach Światowej Agencji Ubezpieczeń Społecznych. Dokładnie tak samo jak dzisiaj zarządzają fundacją. Z dokładnie wyliczonymi celami, precyzyjną metodą, pełnymi raportami. Emma miała odpowiedź na wszystko. Pierre ironizował dalej.

- No tak. Metoda Barett, opatentowana i zastosowana na potrzeby ludzkości. Bóg biznesu, zbawiciel świata. Emma nie spostrzegła sarkazmu. W chwili gdy przeczytała w komputerze Dana jego zapisek, powróciła w pamięci obietnica, którą złożyła sobie na plaży w Arromanches. Uwiecznić Dana. Kontynuować dzieło Dana. Teraz albo nigdy. Drugiej szansy nie będzie.

Jej oczy lśniły w przyćmionym świetle basenu.

- Tylu ludzi umiera z powodu chorób, których można by uniknąć - ciągnęła - tylko dlatego, że nie byli w stanie kupić odpowiedniej szczepionki lub lekarstwa!

Jej głos spowolniał, uspokoił się, zlagodniał. Pierre czuł prawdziwe uczucie wyrażone w tej wypowiedzi. Oparł się chęci podejścia do Emmy.

- Zapewne Barrett obliczył, jaka kwota jest potrzebna do uruchomienia takiego projektu - stwierdził.

- Myślę, że chciał objąć tym ubezpieczeniem miliard osób. Po trzydzieści dolarów na głowę, a więc potrzebowałby trzydziestu miliardów. On sam proponował włożyć dwa. Jego koledzy miliarderzy, Steve Edermark i William Cot, też dawali po jednym.

- A jak zamierzał znaleźć resztę?

- Wziął swój pielgrzymi kij! Skontaktował się z sekretarzem generalnym ONZ. Również z prezesem Banku Światowego... rozmawiał na ten temat w Davos, w czasie spotkań za zamkniętymi drzwiami, oraz ze wszystkimi szefami krajów rozwiniętych. W jednym zdaniu dotknął tematu w rozmowie z prezydentem Chin oraz premierem Indii. Spotkał się z dobrym przyjęciem. Wielcy tego świata twierdzili, że są gotowi realizować jego projekt. Lecz Dan szybko zdał sobie sprawę, że były to tylko słowa rzucone na wiatr...

Emma podsumowała ze ściśniętym gardłem:

- Myślę, że to było jego marzenie. Jego najcenniejsze marzenie. Wiesz, któregoś dnia przypomniałam sobie zdanie, zdanie chyba Carnegiego, które wywarło duży wpływ na Dana...

Zamilkła na kilka sekund, po czym wyrecytowała spokojnym głosem:

„Ten, kto umiera bogaty, umiera w nielasce”. I dodała trochę ciszej:

- Mawiał też: „Caluny nie mają kieszeni”.

Jej głos drżał. Tym razem Pierre objął ręką jej ramiona.

461

Wyobrazil sobie Dana Baretta na mównicy w ONZ przedstawiającego swój plan, największy w historii projekt humanitarny. Wymawiając pierwsze słowa, lub ostatnie, słowa proste, jasne, lecz takie, które połączone ze sobą tworzą zdanie-symbol, jedno z tych, które powtarzane potem i przenoszone w książkach, na DVD, we wspomnieniowych programach zostają wyryte w pamięci. *J have a dream*". „*Ich bin ein Berliner*". „Paryż znieważony, Paryż umęczony". „Mały krok dla człowieka, ale ogromny krok dla ludzkości". Z pewnością Baretta wymyśliłby swoją własną formułę, taką, która na zawsze stałaby się symbolem jego zwycięstwa nad biedą.

Emma położyła głowę na ramieniu Pierre'a.

- A więc? - zapytał, odsuwając ją delikatnie. - Jaki to ma związek z naszym problemem?

Wyprostowała się.

- Nie wiesz? Rządy G8! Damy im klucz do backdoora, lecz w zamian za wprowadzenie ubezpieczeń społecznych.

- Co takiego? Emma nie ustępowała.

- Klucz do systemu za obietnicę honorowania projektu Dana.

- Jesteś stuknięta! Kiedy się dowiedzą, że...

Pierre urwał swoją wypowiedź. Zrozumiał plan Emmy. Klucz do backdoora w zamian za podatek Baretta. Naprawa komputerów w zamian za utworzenie Powszechnego Ubezpieczenia Społecznego. Życie sieci w zamian za życie milionów ludzkich istot. Ale czy to jest wykonalne? Czy rządy mogłyby zaakceptować taką wymianę?

Przez krótką chwilę po głowie błędziła mu inna szalona myśl. Przed chwilą, kiedy przystąpił do przeglądania operacji organizacji, zauważył, że piraci dokonują transferów na rachunki bankowe, żeby zasilić terenowe działania. Skoro oni mogli to zrobić, to Pierre też mógł...

462

Marzył o tym przez kilka minut. Zdefraudować pieniądze. Dla niego. Dla Emmy. Żeby z nią wyjechać. Zamieszkaliby w Australii lub w Patagonii. Kupiliby ranczo. Zmienili swoje życie. Wystartowaliby od zera, tak jakby spotkali się w wieku dwudziestu lat.

Bzdury. Tego rodzaju myśli sprawiały, że czasem wątpił w swoją psychiczną uczciwość. Podciągnął kolana pod brodę i opuścił głowę. Ta kobieta nie jest dla niego, dobrze o tym wie, i to od dawna.

Emma wzięła ponownie komórkę i tym razem wybrała numer.

- Dzwonię teraz do Valérie Perrier. Ona z miejsca zrozumie. To ona wprowadziła w krajach rozwijających się europejski program mikrokredytu. Zna temat. I nie ma ryzyka, że współpracuje z piratami.

- Odbierze o tej porze? - zapytał Pierre, odruchowo zerkając na swój zegarek, który wskazywał 2.10.

- Na tym poziomie odpowiedzialności, drogi przyjacielu, zawsze zostawia się włączoną komórkę.

Wstała i zaczęła przechadzać się wzdłuż basenu z telefonem przyklejonym do ucha, czekając, aż jej rozmówczyni odbierze. Telefon zadzwonił kilkakrotnie w próżnię, aż w końcu trafił na skrzynkę.

„Tu Valérie Perrier. Przez trzy dni nie będzie mnie w Paryżu, lecz jeśli państwa rozmowa ma charakter służbowy, proszę zostawić wiadomość, a ja postaram się jak najszybciej oddzwonić [...]. *Hello, this is Valérie Perrier. I'm not in Paris now...*”

Emma niecierpliwiła się. Pierre, który słyszał szum wiadomości powitalnej, ocenił, że trwa co najmniej czterdzieści sekund.

- Widać, że ci ludzie nie płacą za telefony - mruknął.

- "[...] *you can leave a message after the tone*".

- Valérie, tu Emma - zaczęła Amerykanka. - Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. A zatem: wiem, co się dzieje w sieci. I potrzebujemy cię, żeby...

W tym momencie rozległ się za nią głos, który sprawił, że zadrżała. Pierre odwrócił się pospiesznie. W drzwiach prowadzących na basen stał mężczyzna. Mówił poważnym, spokojnym głosem, wyraźnie oddzielając jedno wyrazy od drugich.

- Emma, daj spokój. Znalazłem lepszy sposób. Nie potrzebujemy już nikogo.

Emma i Pierre wpatrywali się oboje w wejście na basen. Z góry schodów, oparty o kolumnę, obserwował ich mężczyzna. Był ubrany w czarne spodnie i polo z długim rękawem, również czarne. Na jego gładkim policzku widać było umocowaną za uchem słuchawkę Win. Mężczyzna miał skórzane sandały nałożone na bose stopy.

Emma podniosła nagle rękę do ust i krzyknęła:

- Dan! Nie, to niemożliwe! To ty?

Zerwała się i chciała pobiec ku niemu. Ale nie zdążyła zrobić pierwszego kroku. Dan Barrett wyprostował się i włożył prawą rękę do kieszeni.

- Dan! A więc ty nie...?

Nie skończyła zdania. Nie odważyła się wymówić tego złowróżbnego słowa - „umarłeś”. Dan Barrett nie żył, ale stał tu, przed nią.

- Nie, przecież widzisz. Nie bądź głupia! - odparł gość, śmiejąc się drwiąco.

Pierre się nie poruszył. Ma halucynacje, to pewne. Mężczyzna, który stał przed nim, z rękoma w kieszeniach, to ten, którego tak często widywał w gazetach, w telewizji, w Internecie. Ta długa sylwetka, którą czas trochę pogrubiał, ten wygląd zen, te delikatne okulary... I sandały. Dan Barrett, cesarz komputerowego świata. Świata po prostu. A właściwie świata sprzed otwarcia backdoora.

Poza tym, że... Poza tym, że Baretta zmarł trzy dni temu. I że wczoraj został pochowany.

Odwrócił się do Emmy, chcąc w jej spojrzeniu znaleźć wyjaśnienie. Lecz Amerykanka utkwiała wzrok w oczach Ba-retta, jakby została przez niego schwyta.

Teraz z kolei wstał Pierre. Lecz Baretta nie pozwolił mu się przesunąć. Wyjął prawą rękę z kieszeni. Trzymał w niej rewolwer.

- Ty tam, nie ruszaj się! - rozkazał oschłym tonem. Teraz był już całkiem blisko zwrócony do nich przodem.

- Moje dziecko, nie spodziewałem się zastać cię tutaj! Przyjechałaś szybciej, niż sądziłem - rzucił chłodno.

Oczy Emmy wypełniły się osłupieniem. Odpowiedziała po angielsku:

- Ależ, Dan, przecież to ty mnie wezwałeś!

- To prawda. Ale to urządzenie jest już trochę stare. To było jakieś dwa lata temu, zaraz po zakupie willi, pamiętasz? Dobrze się bawilem, wymyślając tę drogę wtajemniczenia, te zagadki, których rozwiązanie tylko ty mogłaś znaleźć... Lecz dzisiaj dla mnie to wszystko to prehistoria! Mam już całkiem inny punkt widzenia. Zresztą gwoli uczciwości przyznam, że nie myślałem, iż będziesz o tym pamiętać. A jeszcze mniej, że tak szybko sobie poradzisz! Czapki z głów, kochanie!

Pomimo groźby rewolweru Pierre próbował się zastanowić. Baretta stał tu, przed nim, uzbrojony. I najwyraźniej nie kierowały nim najlepsze intencje. Baretta, pies bernardyn tego świata, człowiek, który poświęcił swój majątek na wyplenienie ubóstwa z naszej planety. Niepojęte.

Lecz dziwiła go postawa Emmy. Wydawało się, że Amerykanka jest pod wpływem Baretta. On nie skierował broni w jej stronę, a ona zdawała się spijać słowa z jego ust. A kiedy powiedział „czapki z głów”, chyba nawet lekko się uśmiech

nęła. Czy nadal będzie tak nabożnie się w niego wpatrywać? Dlaczego nie stara się myśleć? Jedno pytanie gonilo drugie. Dlaczego Dan Barrett - o ile to on się z nich naigrywał - chciał, by go uznano za zmarłego? Czy dlatego, że jest współnikiem piratów? Czy to on jest tym słynnym „T”, o którym Makresh i Krashmi wspominali w mejlach? Tym, kto pociąga za sznurki i czyjej tożsamości nie znają? W takim przypadku to on, a nie Puttman, jest *deus ex machina*, tą gigantyczną niewidzialną ręką, która objęła kontrolę nad Internetem i rozprzestrzeniła w komputerach na świecie wirusa umożliwiającego ich „otwarcie”. Ale w jakim celu? Czy tylko po to, żeby przyspieszyć sprzedaż nowego Shadowsa i pozwolić Controlware wzmocnić swoje wpływy na światowym rynku komputerowym? Strategia była diaboliczna, lecz właściwa. Controlware znajdował się w przełomowym momencie swojej historii, osłabiony przez nową konkurencję i arcyza-leżny od nowego systemu operacyjnego, który mógłby mu pomóc odzyskać przewagę posiadaną przez trzydzieści lat. Barrett, przez swoją rodzinę lub współników, mógł zarobić na tej operacji miliardy dolarów. A martwy stawał się wolną od wszelkich podejrzeń ofiarą.

Ale coś tu nie pasowało. Skoro Barrett jest mózgiem tego zamaskowanego pokazu siły, to dlaczego zostawiał kolejne wskazówki umożliwiające Emmie znalezienie drogi do ukrytej komnaty oraz kluczy do backdoora? Po co dawać swojej byłej dziewczynie ślad kodu, który może zniweczyć jego plan? W pewnym sensie przed chwilą odpowiedział na to pytanie, mówiąc, że zaproponowana Emmie „droga wtajemniczenia” to już dla niego „prehistoria”, że nie spodziewał się, iż będzie o tym pamiętała i tak szybko uda jej się przeniknąć tajemnicę. Czy zapomniał, że ustawił to urządzenie? Lub za późno sobie o tym przypomniał? Czy przyjechał do Willi Trianon, żeby się go pozbyć, nie pomyślawszy, że jego była współpracowniczka przy

jedzie tu pierwsza? Nie. To wszystko świadczyłoby o lekkomyślności, improwizacji, które źle pasowały do Baretta. Jedno była pewne: byłoby lepiej, gdyby hipoteza, że to Baret jest współnikiem piratów, okazała się nieprawdziwa. Bo jeśli to Dan jest „bossem” Makresha i spółki, wszyscy przebywający w willi staną się dla niego balastem. Pierre zaczął się bać.

Rozległ się głos Emmy, zadziwiająco spokojny:

- Dan, co teraz zrobisz?

Odpowiedź padła szybko, a w głosie Dana brzmiała duma:

- Trochę cierpliwości, niebawem ci wyjaśnię. Czarna sylwetka oddaliła się kilka kroków. Pierre zobaczył, jak cień jego ręki wskazuje drzwi wyjściowe.

- Dobra! Ty tam, chodź grzecznie tędy. Przodem! Dołączymy do twoich koleżków! Emma, idź, proszę, za nim.

Emma posłuchała. Minęła drzwi od basenu, dostosowując się do rytmu kroków Pierre'a. Baret, z bronią w garści, zamykał pochód.

W pogrążonym w ciemności salonie Granier i Rebecca leżeli związani i przykuci do stelażu kanapy w stylu Ludwika XV. Czołówka filmu *Nazajutrz* przesuwiała się po ekranie telewizora, emitując w pokoju krąg niebieskiego światła.

Granier uniósł głowę i skrzywił się, widząc wchodzącą Emmę i Pierre'a. Rebecca nie zareagowała.

- Chyba jej nie... - wykrzyknęła Emma, rzucając się w stronę leżącej na ziemi córki.

- Nie martw się! - uspokoił ją Baret. - Jest trzecia w nocy, wszyscy są śpiący, twoja córka śpi, to wszystko.

Jednak Rebecca nie spała; płakała z czołem przytkniętym do dywanu. Emma starła palcem spływający po jej policzkach tusz i pogładziła jej wystraszone oczy. Pierre zastanawiał się, dlaczego nie wzięła córki w ramiona. Jej ruchy były zadziwiająco spokojne. Czy obawiała się reakcji Baretta?

Nagle poczul, że szef Controlware chwyta go za łokieć i brutalnie popycha w stronę kominka.

- A ty też zachowuj się spokojnie! Emma, chodź tu! Przywiąż go. Ale żadnych głupstw. Wszyscy mają zachowywać się spokojnie.

W chwili gdy Pierre przechodził obok leżącego Graniera, zauważył na czole powieściopisarza czerwony ślad. U nasady włosów utworzył się rozległy krwiak. Po rozciętej skórze sączyła się strużka krwi.

Barett wziął ze stolika urządzenie do odwijania metalowej taśmy. Pół godziny temu tu nie leżało, lecz Pierre zauważył podobne w domku stróża. Wśród narzędzi zalegających na półkach w kuchni. Odgadł, co musiało się wydarzyć: po przyjeździe do Willi Trianon Barett poszedł do Terry'ego, który powiedział mu o obecności w domu Emmy i jej przyjaciół. Terry... Ale dlaczego nie ma go z Barettem w salonie? Przerazająca myśl przebiegła Pierre'owi przez głowę.

Barett mógł pozbyć się stróża, a potem zabrać ze sobą taśmę.

Emma wzięła urządzenie, które podał jej Barett, i nie patrząc na Pierre'a, owinęła taśmą jego kostki. Następnie użyła maszyny, żeby zacisnąć więzy. Na koniec, nadal bez słowa, wyprostowała się, żeby spętać mu nadgarstki.

- Za plecy! - rozkazał Barett.

Emma ukłękła za Pierrem i zaczęła owijać taśmę wokół jego dłoni.

- Sprawiam ci ból? - zapytała.

- Nie szkodzi - odparł Pierre'em, starając się zrobić tak, by spotkały się ich spojrzenia.

Muszą porozmawiać, muszą znaleźć sposób wyjścia z tego impasu.

- Już skończone? - niecierpliwił się Barett. Pociągając oburącz za urządzenie, Emma tak mocno zacisnęła taśmę, że Pierre poczul, jak wpija się w jego ciało.

Emma ruchem roboty odwróciła się w stronę Dana.

W co ona gra? - zastanawia! się Pierre mimo przeszywającego jego nadgarstki bólu. Zdawało się, że jest posłuszna swojemu eksowi, a on nawet nie musi jej grozić. Zahipnotyzowana. Uległa. Nie do poznania.

- Dobra, a teraz wszyscy do ogrodu! - rozkazał Barrett.

- Co z nimi zrobisz? - ośmieliła się jednak zapytać Emma bezosobowym głosem, po angielsku.

- Po prostu umieszczę ich w chłodnym miejscu. Barrett nie popisywał się, nie bawił się rewolwerem. Był podobny do siebie. Stanowczy. Kliniczny. Binarny.

- On nas zabije! - krzyknął Granier po francusku. Emma i Barrett zignorowali jego wypowiedź i na nowo podjęli swoją rozmowę.

- Zamkniesz ich w pawilonie muzycznym?

- Powiedziałem, że umieszczę w chłodnym miejscu. Amerykanka zrozumiała podtekst i bez wielkiego przekonania spróbowała się przeciwstawić.

- Czy to naprawdę potrzebne?

- Przykro mi, ale nie mam wyboru - odparł spokojnie Barrett. - Zresztą mówiąc między nami, to twoja wina, że znaleźliśmy się w takiej sytuacji. A poza tym przecież często o tym rozmawialiśmy: niektóre stawki są wyższe niż uczucia oraz małe osobiste emocje. Czeka na nas wielki los.

Oddalili się trochę korytarzem i Pierre nie słyszał już,

0 czym mówią.

„Ty i ja”, „my”. Barrett włączał Emmę do swoich wypowiedzi. Zamknie ich - Graniera, Rebecę i jego - w tunelu.

1 oszczędzi Emmę. Która mu na to pozwoli. Co potem stanie się z więźniami? Czy Barrett zostawi ich, żeby zginęli w podziemiach? Lecz dobry Boże, dlaczego Emma nie broni swojej córki? To, że nie próbuje uratować jego, jeszcze jest zrozumiałe, ale dlaczego wygląda tak, jakby nie interesowała się losem własnej córki? I dlaczego Dan zdaje się traktować współpracę Emmy jako coś oczywistego?

470

Pierre pomyślał, że pogrąża się w jakimś sennym koszmarze. Obudzi się, to pewne. Barrett nie żyje. Ten Barrett, który znajduje się przed nim, to jakiś potajemny klon.

Dziesięć minut później Emma i Barrett zjawili się z powrotem w salonie.

- Mamo!

Krzyk Rebeki sprawił, że podskoczył. Barrett podszedł teraz, żeby przeciąć sztywną taśmę, za pomocą której Granier i jego Dulcynea przywiązani byli do kanapy.

- Teraz wszyscy na dwór!

Dal znak, żeby skierowali się na werandę. Trzej więźniowie, aby móc iść ze związanymi nogami, musieli pociągać za metalową taśmę ściskającą im łydki. Rebecca, której stopy zostały związane trochę luźniej niż pozostałych, szła drobnymi kroczkami, łkając.

- Mamo! - szepnęła jeszcze po przejściu kilku kroków. Jej włosy były w nieładzie, kosmyki przyklepione do oczu.

Barrett dal Emmie znak, że może pomóc jej iść. Wtedy Amerykanka podeszła do Rebeki, a kiedy otarła się o Pierre'a, zobaczył, że ona też ma oczy pełne łez. A jednak nadal wykonywała rozkazy Barett'a. Wyprostowana, z zaciśniętymi ustami, złapała córkę w pasie i z każdym krokiem unosiła ją na kilka centymetrów.

Kiedy wyszli do ogrodu, wzdłuż alei, którą zdążali, automatycznie włączyły się reflektory. Jeden z nich oświedził Ka-giebe, który na drugim końcu alejki robił swoją rundę. Dan wskazał na niego lufą broni.

- To jest dobry pies...

Okrągły i dobrze widoczny księżyc odcinał się od bezchmurnego nieba. „Szaleńcy wychodzą nocą podczas pełni”, pomyślał mimowolnie Pierre. Powiedzenie, które często wypowiadała Clara.

Barrett oszalał.

Granier, dysząc ciężko przy przesuwaniu się ze skrępowanymi stopami, starał się zwrócić uwagę Barett'a.

471

- Dan, nie rozumiem! - miotał się bez tchu. - To tak mi pan dziękuje za pomoc w znalezieniu planu?

- Pan mi nie pomógł. Przez pana straciłem czas.

Procesja potrzebowała wielu minut, żeby pokonać odległość między werandą a psim cmentarzem. Niewielkie kwadratowe, ustawione w rzędzie stele oświetlały dwa reflektory przyczepione do niskich gałęzi miorzębu. Przy nodze od stołu z kutego żelaza czekał przywiązany i zakneblowany Terry. Emma i Barrett wyszli przed chwilą właśnie po to, żeby go znaleźć.

Barrett stanął naprzeciw trzeciego grobu.

- Le Nôtre! - powiedział głośno, nie przestając celować w stronę grupy więźniów.

Marmurowa płyta obróciła się i pojawiło się wydrążone w ziemi przejście oświetlone promieniem światła reflektora.

Granier i Rebecca, którzy nie wiedzieli o istnieniu tunelu, nagle zrozumieli, co ich czeka. Zejście do grobu. Młoda

dziewczyna zaczęła krzyczeć na cały głos, próbując uciec. Potknęła się przy pierwszym ruchu i upadła na trawnik.

Emma przykucnęła przy niej, usiłując ją uspokoić. Lecz ona szarpała się, wydając z siebie przenikliwe krzyki.

- Emma, uspokój ją! - rozkazał znużony Barrett.

- W końcu obudzi całą dzielnicę.

Emma położyła dłoń na ustach córki. Pierre widział drżenie jej warg.

- A teraz grzecznie zejdzicie na dół - ciągnął Barrett.

- Zaczniemy od dziewczyny - dodał, podnosząc Rebecę, żeby zaciągnąć ją w stronę dziury.

Granier, który milczał od czasu, gdy dał się ofuknąć, wybrał ten moment, by postawić wszystko na jedną kartę.

- Barrett! - zawołał z wyzywającą miną. - Wie pan, że własną córkę chce pan pochować żywcem?

Dan Barrett puścił nagle Rebecę, która upadła na ziemię.

- Co pan powiedział?

- Rebecca jest pańską córką! - krzyknął Granier.

- Co ma pan na myśli?

- Jest pan jej rodzonym ojcem! To widać jak na dłoni! Rebecca leżała na trawniku oszłamiona. Już nie jęczała. Barrett znieruchomiał.

- Niech pan sobie policzy! - mówił dalej Granier tonem prowokacji. - Urodziła się w grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Dziewięć miesięcy wcześniej studiował pan razem z Emmą na uniwersytecie, prawda? A przed rozpoczęciem lata, kiedy jej ciąża miała stać się widoczna, wyjechała skończyć studia we Francji... Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

Barrett opuścił broń i spojrzał na Rebecę. Na jego twarzy pojawił się wyraz odrazy. Pierre odgadł, o czym myśli: ten miękki, skamłający kształt leżący u jego stóp nie mógł mieć jego genów.

- Rebecca o tym nie wie i pan też nie wiedział - ciągnął Granier. - Ale niech pan spyta ją!

Wskazał podbródkiem na Emmę, która nadal milczała.

- Powiedziała swojej córce, że urodziła się jako wcześniak - kontynuował pisarz, wskazując na Emmę. - Że jej ojciec był pilotem myśliwca, że spotkała go w czerwcu, po przyjeździe do Paryża, i że odszedł od niej we wrześniu, jak tylko dowiedział się, że jest w ciąży.

- Po co pan to wszystko mówi, znam to! - odparł Barrett z wyższością. - Wiem również, że Emma nie interesowała się nigdy swoją córką. Chce pan powiedzieć, że mnie przez cały czas okłamywała?
Emma zacisnęła zęby.

- Dan, oczywiście, że nie! Opowiada bzdury!

- Bzdury? - nie ustępował podekscytowany Granier. - A dużo zna pan wcześniaków, którzy w chwili urodzenia ważą ponad trzy kilo? Widziałem w książeczce zdrowia Rebeki.

Koniec z wyrazem rozczarowania, chlwiącą frywolnością, żartami z samego siebie. Powieściopisarz z Saint-Germain-des-Pres stawał się agresywny. Widząc, że Barrett go nie słucha, zaczął wrzeszczeć:

- Wystarczy test DNA, żeby sprawdzić, że mam rację. Niech pan każe zrobić test DNA!

Zdenerwowany Barrett położył kres tej częstej gadaninie.

- Nie ma czasu do stracenia. Dalej! Wszyscy do tunelu! Złapał rękę Terry'ego i pociągnął stróża w stronę wejścia do podziemi. Pozostali nie musieli długo się zastanawiać, jak będzie można zejść po drabinie ze związanymi rękoma i nogami: Barrett zmusił Terry'ego, żeby usiadł na brzegu dziury i skoczył. Usłyszeli suchy odgłos spadającego z wysokości dwóch metrów ciała, zaraz potem rozległ się okrzyk bólu.

- Odmawiam schodzenia tam! - wrzasnął histerycznie Granier.

- Jak pan chce - rzucił Barrett, kierując w niego pistolet. Spokojnie wycelowal w nogę powieściopisarza i strzelił-
Trafiony w udo Granier zwałił się na ziemię.

- Jean-Philippe! - krzyknęła Rebecca.

Pisarz zwijał się z bólu na trawie. Emma zrobiła ruch w jego stronę.

- Powiedz mu, żeby był cicho i zachowywał się spokojnie! - rozkazał Barrett.

Wyrzwał przestraszył Kagiebe, który zaczął szczekać; jego oczy rzuciły na ziemię czerwone blaski.

- Cisz! - krzyknął Barrett.

Ponieważ pies nie posłuchał, Barrett przykucnął przed nim i włożył dłoń pod obrożę. Usłyszeli świst, głośnie stuknięcie, po czym robot znieruchomiał.

- To dobry pies - powiedział Barrett z uśmiechem. Emma skorzystała z tej chwili wytchnienia i szepnęła

Rebecce na ucho kilka słów. Dziewczyna natychmiast umilkła. Ze wzrokiem wbitym w matkę posłusznie opuściła nogi do tunelu. Następnie zręcznie zeskoczyła.

Barrett wrócił do skupionej przed wejściem do grobów grupki. Jednym ruchem rewolweru wskazał ziejący otwór.

- A teraz biegiem.

Kiedy przysła kolej na Pierre'a, nim zeszedł na dół, starał się napotkać spojrzenie Emmy. Lecz ona - niemalże nieobecna - nie spuszczała wzroku z otwartego grobu. Czy bała się, że spotkają ten sam los co pozostałe ofiary Baretta? Pierre miał nadzieję na jakiś porozumiewawczy znak, spojrzenie, pożegnanie.

Siedząc na brzegu otworu, zastanawiał się - jak robił to już nieraz - do jakich obrazów zwróci się jego pamięć w chwili, gdy straci przytomność. Może zobaczy zdjęcie, które od ubiegłego lata stoi na jego biurku: troje jego dzieci z maskami i rurkami do nurkowania w ręku w zatoczkach Piana. Lub chłopięce wspomnienie: wieczór, gdy obudzony jakimś koszmarem, zaskoczył rodziców w salonie tańczących słow przy włączonym telewizorze.

Nie mówiąc słowa, skoczył do podziemi.

Barrett zaciągnął Graniera na brzeg otworu i wrzucił go do wąskiego tunelu. Pierre i Rebecca pomogli zamortyzować J^ogo upadek, ale i tak dotknąwszy ziemi, zawył z bólu.

Poblada Emma czekała na werdykt Dana. Jeśli zmusi J^a do zejścia, to będzie koniec.

475

- Zamknij tunel! - rozkazał, jakby po raz kolejny chciał przetestować jej lojalność. - Nie muszę ci mówić, jak to się robi. Młoda kobieta nie zawahała się ani przez chwilę.

- Le Nôtre!

Otwór zamknął się gładkim ruchem. Żaden syk nie stłumił jęków Graniera i Terry'ego, które oddalały się wchłonięte przez tunele Trianon.

Wydawało się, że Barrett poczuł ulgę. Jednym ruchem brody wskazał Emmie willę, wsunął broń do kieszeni i ruszył za Emmą. Amerykanka starała się iść pewnym krokiem, usuwając obraz Pierre'a, Rebeki i rannego Graniera, który będzie konał w zakamarkach Wersalu.

- Ależ jednak ten Granier nie ma w sobie dumy! - rzucił Barrett. - Klamać, jęczeć, tylko tyle potrafi. Kiedy pomyślę o krainie Franche-Comté, którą Ludwik XIV pokonał i zaanektował... Wiesz, w jaki sposób protestowali jej mieszkańcy? Kiedy umierali, prosili, by ich grzebać odwrotnie, twarzą do ziemi. Chcieli odwrócić się plecami do słońca, żeby nawet wtedy mu się przeciwstawić.

Emma zadrżała. Dan potwierdził jej obawy: miał zamiar zostawić ich wszystkich w tunelu, żeby tam zdechli.

Emma weszła w ciszy po schodach przed Barettem i tak jak jej rozkazał, udała się do pokoju „Ja”. Szef Controlware zamknął drzwi. W chwili gdy puścił klamkę, włączył się umieszczony nad kominkiem ekran, a na nim pojawiły się dwa stare portrety. Dwa rysunki. Lub prawdopodobnie raczej ryciny - pomyślała Emma rozpoznając na jednej z nich portret Ludwika XTV.

Barett skierował się w stronę *living bed* i odwrócił do Emmy.

- Wiesz, dlaczego cię oszczędziłem?

Stała przed kominkiem i starała się zebrać myśli, nim odpowiedziała:

- Ponieważ zawsze byłam wobec ciebie lojalna?

Dan Barett usiadł na łóżku, wyjął broń z kieszeni i położył obok siebie. Poklepał czerwoną narzutę, położył się, wstał, jakby sprawdzał, czy materac jest wygodny, po czym uśmiechnął się zrelaksowany.

- Twoje słowa zapewnienia nie wystarczyłyby mi, moja piękna, gdybym ja sam nie wierzył w twoją lojalność. No już, zastanów się.

Barett się z nią bawił. Podczas gdy Granier tracił krew. Gdy jej córka lkała i ona również miała umrzeć. Zerknęła na leżącą na łóżku broń. Jak się do niej zbliżyć?

- Być może potrzebujesz mnie do dalszego ciągu - ośmieliła się powiedzieć, usuwając z myśli obraz leżącej w pyłe załamanej Rebeki.

- Też nie. Więc nie wiesz?

Ponieważ Emma stała cicho przed paleniskiem, skinął, żeby podeszła i usiadła obok niego.

- Emmo, tylko dlatego udało ci się dotrzeć do linii kodu, że przeszłaś test. Test, pamiętasz? Wiesz, czego dowiódł?

- Test emocjonalny, tak? - odpowiedziała, siedząc nieruchomo.

Emma zastanawiała się przez kilka sekund. Barrett znowu chciał się z nią bawić w intelektualną grę, tak jakby nic się nie stało. Tyle tylko że - czuła to - błąd nie zostanie wybaczony. Mężczyzna, którego miała przed sobą, nie był tym Danem Barettiem, którego знаła. Owszem, tamten był przekorny, lecz wyrozumiały. Władczy, lecz wspaniałomyślny. Zimny potwór wobec konkurencji, ale nigdy w stosunku do swoich bliskich. Tamten w pewnym sensie umarł. Nowy Dan strzelił do Gra-niera, uwięził własną córkę, przyczynił się do śmierci tysięcy ludzi: co pozostało z optymistycznego geniusza i filantropa, z którym tak bardzo lubiła wyobrażać sobie nowy świat?

Ta imponująca postawa, te proste włosy o siwym połysku, te dwie duże zmarszczki żłobiące jego czoło; ten uśmiech jednocześnie arogancki i delikatny: żadna cecha, żaden tik nie pozwalał jej przypuszczać, że ma do czynienia z kimś innym. Jest tylko jeden Dan Barrett. Ale być może on sam wypełnia czyjeś polecenia? W takim razie czyje? Przyglądała mu się oglupiała, ze wzrokiem wbitym w jego sandały.

Barrett zdenerwował się.

- Nie patrz tak na mnie. A więc wiesz, czego dowodził ten test?

- Sądzę, że tak - zaczęła tonem, w którym słycać było wahanie.

- No to się pospiesz... Cmentarz psów. Dławiąca szloch Rebecca. Umierający w tunelu Pierre. Nagle rozerwał się żagiel z obrazów. Emma ujrzała ponownie wydmę Pilat.

478

- Test pozwolił ci zobaczyć, czy...

Nie miała odwagi mówić dalej. Dan porozumiewawczym mrugnięciem oka zachęcał ją, by kontynuowała. Wtedy udało jej się ukończyć myśl. -...jeszcze cię kocham.

Barett wyprostował się. Był dumny. Dumny z siebie. Dumny ze swojej technologii i uczucia miłości, które wzbudził w Emmie? Wydma Pilat, spalony garnek, *traghetto* w Wenecji, zatoka Sausalito: skoro mózg Emmy zareagował na te zdjęcia, to znaczy, że nadal żywe w niej pozostało uczucie do najdawniejszego partnera.

- Właśnie tego chciałem się dowiedzieć - odparł. - I teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Nadal mnie kochasz. A więc możesz wszystko zrozumieć.

Emma stała kilka kroków od łóżka. Była trupio blada. Nigdy nie widziała na twarzy Barett'a takiej wyniosłej agresji. Barett był jak lew gotowy do skoku, pewien swojej siły. Z jakiego powodu interesował się teraz siłą jej uczuć wobec niego? Jego, który przez tyle czasu nazywał ich miłość „piękną przyjaźnią”?

Barett oszalał - powiedziała sobie w duchu Emma. - Oszalał do tego stopnia, że chce sprawdzić w mózgach swoich bliskich realność, siłę, czas trwania ich uczuć. Pilnowała się, by nie odparować, że test emocjonalny wskazuje na obecność wspomnienia miłości, natomiast nie dowodzi niczego na temat miłości obecnej, tego, co dziś do niego czuje. Nie mówiąc już o innych czynnikach, które podczas testu miały wpływ na jej emocje, jak choćby obecność Pierre'a u jej boku. Barett często przeceniał możliwości swoich programów.

To prawda, Emma z pewnością kochała tego mężczyznę. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Przez co najmniej dziesięć lat. Wyjechała ze Stanów Zjednoczonych, ponieważ zaszła z nim w ciążę, a on nie chciał mieć dzieci. Ukryła przed nim, że Rebecca jest ich wspólną córką, i zrobiła to tylko dla

tego, żeby zachować ich uprzywilejowane relacje. W zasadzie prawie wcale nie opowiadała mu o Rebecce, ukrywając swoje regularne wyjazdy do Francji na spotkania z dzieckiem. Pozwoliła mu zatem sądzić, że jest złą matką, bizneswoman. Najpierw firma, potem rodzina. Należało dokonać wyboru. I wybrała. Tak jak Dan. Jego życiem był Controlware. Twierdził, że nie będzie miał dzieci do chwili, póki nie będzie mógł poświęcić im tyle czasu, ile należy. Barrett niczego nie chciał robić połowicznie. Zero lub jeden. Nigdy 0,5 lub 0,8.

Oczywiście Emma zrozumiała powoli, że taka postawa świadczy o ponadprzeciętnym poziomie wymagań, ale przede wszystkim o olbrzymim egoizmie. Ku jej wielkiemu zdziwieniu niedługo po tym, jak ze sobą zerwali, żeby uszanować te wymagania, Barrett ożenił się z Amelią i kilka miesięcy później poinformował ją o narodzinach Kevina.

Szok. Dan żonaty. Dan pchający wózek. Dan trzymający niemowlę na kolanach. Wtedy Emma uznała, że skoro wykonał ten krok z inną kobietą, to znaczy, że jej, Emmy, nigdy tak naprawdę nie kochał. Że nigdy nie była dla niego nikim więcej niż zwykłą intelektualną partnerką. To, że jej pragnął, było zawsze sprawą drugorzędną, co przy okazji wyjaśniało fakt, że bez specjalnej frustracji przeżył ich lata „wirtualnego związku”.

Czy Dan, człowiek binarny, racjonalista, analityczny umysł, mógłby zresztą odczuwać miłość wobec istoty ludzkiej, tak niezrozumiałej i niedoskonalej?

Już od dawna go nie kochała. Lecz wobec programu rozpoznającego uczucia pękła. Nie tylko z powodu Pierre a. Kiedy wracają w pamięci wspomnienia, przynoszą ze sobą uczucia, które pierwotnie im towarzyszyły. Odgrzebują z zapomnienia dawne uczucia. Porywy gorącego uczucia, kto wywołał mózg Emmy na widok obrazów z Piłat lub poczerniałego garnka były rzeczywiste, lecz dotyczyły osoby, której już nie ma. Gorzej: którą teraz się brzydziła. Mężczyzny, ry zamorduje ich córkę.

Nie mogła dłużej powstrzymać słów, które miała na ustach od chwili, gdy zamknęła drzwi do podziemi: -Dan?

- O co chodzi?

- Granier... Chyba go tak nie zostawisz...

Barett wyprostował nogi, oparł się na wyciągniętych do tyłu rękach i zrelaksowany uniósł głowę.

- Żeby tam zdechł, chcesz powiedzieć? Zdechł jak szczur w królewskich podziemiach? Nie martw się. Nic nie będzie czuł.

Emma zmuszała się, by patrzeć Barettowi w oczy. Błyszczała w nich arogancja. Nigdy nie widziała, żeby był tak pewny swojej władzy.

- Ten rewolwer, prawdziwe чудо! - westchnął, gładząc leżącą obok niego broń.

Podstawił lufę Emmie pod nos i mówił dalej:

- Strzela tak samo jak wszystkie rewolwery. Ale bardzo małymi kulami. Które ledwie przebijają się przez skórę. Wtedy kula otwiera się i uwalnia niewielką cząsteczkę, która rozprzestrzenia się w ciele. Wiesz, że w Nanotechu robią bardzo ładne rzeczy...

Roztrzęsiona Emma starała się myśleć jasno. Nanotech. Znała. Jedną z firm, w którą zainwestował Dan Barett. Jeden z liderów w nanotechnologii. Produkcja rzeczy nieskończenie małych. Nauka o miliardowej części metra. Dyski twarde wielkości szpilki. Mikrokamery wielkości tabletki aspiryny. A więc czemu nie pociski rozsiewające w ciele ludzkim cząsteczki.

Znowu pomyślała o Granierze.

- Chcesz powiedzieć, że wstrzyknąłeś mu...

- Niewielkie lekarstwo z firmy Alzacorp. Które zaciera pamięć. Czyści ostatnie elementy zapisane na ludzkim twardym dysku.

Barett odkasznął.

- Czasami niestety trochę za bardzo skuteczne. Zwłaszcza na ciekawskich kobietach...

481

Emma cofnęła się w stronę drzwi.

- Zostań tutaj! Nie musisz się niczego obawiać - powiedział, ciągnąc ją za rękę. - Mówiłem o tej szwedzkiej panience.

Emma ledwie mogła złapać oddech.

- Kathrin Strandberg? - wyjąkała.

- Oczywiście! Kokietka. To znaczy erudytką. Przyjechała do mnie do Bostonu. Postąpiła źle, odkrywając czwarty do-
wód, wzór na istnienie Boga. Musiałem podać jej melatoninę, żeby zapomniała...

- Zatrutą melatoninę!

- Zatrutą... zatrutą... Jak sobie dobrze radzisz! Zwykle lekarstewko, które zacierza kłopotliwe wspomnienia. Takie
samo jak to w moich kulach, tyle że ukryte w tabletkach melatoniny. Makresh to utalentowany chłopak. Dostał się do
komputera producenta i...

- Ale Kathrin Strandberg nie tylko lyknęła melatoninę! - przerwała mu Emma. - Zmarła w strasznych okolicznościach!
Barett uniósł ręce w geście wyrażającym niemoc.

- Wierz mi, że nad tym ubolewam. Znasz mnie, jestem człowiekiem umiarkowanym. Lubię czyste sytuacje. Lecz moi
podwykonawcy mają czasem zbyt bogatą wyobraźnię. Ale nie powiedziałem im o wzorze! Tyle że Bóg jest tematem,
który stanowi dla nich inspirację, a zwłaszcza Jego męczennicy! Święta Katarzyna połamana kołem zębatym, bo nie
wyparła się wiary, rozumiesz? Stąd wzięli pomysł.

Emma cofnęła się, by oprzeć się o ścianę. O mało nie upadła. Zmroził ją sposób, w jaki Barett wymówił słowa „koło zę-
bate”, oraz towarzyszący temu grymas. Chciała chwycić go za ramiona, potrząsnąć nim, krzyknąć, żeby wyciągnąć go z
tego oblędu: „Dan! Stajesz się szalony! To nie ty! Wracaj!”. Lecz była jak sparaliżowana.

Wzięła głęboki oddech. Musi wytrzymać. Zmusić Barett do dalszego mówienia. Wzbudzić w nim zaufanie. Z pewno
482

ścią na kilka sekund rozluźni swoją uwagę. I wtedy ukradnie mu broń.

- Kathrin Strandberg odkryła wzór na istnienie Boga? -Tak.

- Ten Le Nôtre'a? o^o=i?

- Właśnie.

- A jak to zrobiła?

Barett stał twarzą do Emmy. Podeszedł do okna i oparł się o nie. Od czasu do czasu zerkał obojętnie w dół, w kierunku posiadłości królowej. Nagle zauważył zostawione przez Pierre'a na kominku niebieskie kule ozdobione motywem smoków. Położył rewolwer na ich miejscu, biorąc po jednej do każdej ręki.

- Lut szczęścia - odpowiedział, uderzając jedną o drugą. - Zaledwie dwa tygodnie temu żona architekta krajobrazu, od którego zaczęła się cała ta historia, Blandine Costello, znalazła plastikową koszulkę, którą jej mąż ukrył w oparciu kanapy. Był w niej list Le Nôtre'a do jego siostrzeńca. Jedyny list napisany przez ogrodnika, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem... W jaki sposób architekt krajobrazu wszedł w jego posiadanie? To pozostanie tajemnicą! W każdym razie wdowa nie wiedziała, co z tym zrobić.

Mówiąc, uderzał rytmicznie jedną kulką o drugą. Emma miała wrażenie, że słyszy uderzenia bicia.

- Na szczęście Blandine Costello pośpieszyła się z telefonem do Strandberg. Kilka lat wcześniej spotkaliśmy się wszyscy troje, ale to Kathrin pozostała z nią w kontakcie. Poprosiłem ją, żeby pojechała do Aix, a potem żeby spotkała się ze mną w Bostonie. Obiecałem piękną darowiznę dla jej muzeum. Była zachwycona. Nawet kiedy radziłem jej zażyć pigułkę na jej *lag*... Potem pojechała do Francji na swój kongres szacownych kobiet.

Opowiadanie Dana pozwoliło Emmie pozbierać się.

- Ale trzeba było kazać uciszyć panią Costello?

483

- Trudno, gdyby było inaczej.

- Znowu wynająłeś podwykonawców?

- Znowu. W przypadku pani Costello moi podwykonawcy posunęli się za daleko. Kazali jej podzielić los swojej patronki, świętej Blandine: sieć, grill, powieszenie za stopy...

Jego ton był sprawozdawczy, nie było w nim zaangażowania. Metoda Baretta. On wygłaszał prawdy obiektywne. Jego ludzie mieli potem za zadanie wyobrażenie sobie środków. I zdanie sprawy z rezultatów. Emma walczyła ze sobą, żeby nie widzieć agonii Blandine Costello i Kathrin Strandberg. Opowiadanie Baretta przyprawiło ją o mdłości.

- Ale to wszystko to już przeszłość. Skutki uboczne! - zawołał nagle Baret, odkładając kule na kominek i ponownie biorąc do ręki broń.

Wrócił na *living bed* i znowu wyciągnął rękę w kierunku Emmy, zapraszając, żeby do niego dołączyła.

- Emmo, ty i ja jesteśmy odtąd połączeni znajomością największej tajemnicy w Historii! Jak Le Nôtre i Ludwik XIV. Patrz!

Baret urwał, odłożył rewolwer na stolik i odwrócił się w kierunku wiszącego nad kominkiem ekranu. Przez chwilę milczał z oczyma utkwionymi w wyświetlanym obrazie.

- Przedstawiam ci André Le Nôtre'a, królewskiego ogrodnika, oraz Ludwika Wielkiego zwanego Królem Słońce, najbardziej wizjonerskiego monarchę, jakiego nosiła ziemia - wyrecytował. - Wiesz, że ich przyjaźń trwała ponad czterdzieści lat? Le Notre był jedynym człowiekiem w Wersalu, który nigdy nie doznał nielaski. Widywał króla niemal codziennie, wytyczał dla niego alejki, wymyślał fontanny i boskiety, tworzył projekty systemów hydraulicznych... Był powiernikiem władcy, nie w sprawach polityki czy wojny, lecz tego, co dla króla było najcenniejsze: wersalskich ogrodów, jego wielkiego dzieła! Był też jedynym człowiekiem na dworze, który mógł sobie pozwolić, by na stawić czoło

Królowi Słońce. Zdajesz sobie z tego sprawę? Stary ogrodnik pozwolił sobie nawet udać się z wizytą do królewskiego wroga, Fouqueta, którego Ludwik XIV kazał zamknąć w forcie Pignerol!

Emma nie mogła wyjść ze zdumienia. Stojący przed ekranem Barrett rozprawiał jak kaznodzieja. Naśladując obrazy, wymachiwał rękoma, a chcąc zaznaczyć jakąś myśl, skandował słowa. Wydawało się, że król programów komputerowych dzięki swojej fascynacji wspaniałymi czasami przeniósł się na francuski dwór. Oszolomiony przepychem Wersalu - podobnie jak Rockefeller, Benjamin Franklin i wielu Amerykanów przed nim. Czy ten pociąg do Króla Słońce to przeznaczenie ludzi wpływowych? Naturalny los skłaniający tych posiadających wielką władzę ludzi do marzeń o jeszcze większych projektach? Projektach, które wykraczają poza tę tak kruchą i tak lichą władzę, jaką daje sukces handlowy lub polityczny? Osiągnąć najwyższą władzę, taką, która pozwoli decydować o sobie samym i o świecie.

Szef Controlware właśnie burzył dzisiejszy świat, żeby jutrzejszy uczynić bardziej poddanym. Ale o czym tak żarliwie opowiadał? O wczorajszym świecie. Świecie Le Nôtre'a

1 Ludwika XIV. Świecie ogrodów i sadzawek. Świecie zaczarowanych fontann.

Dan był jak dziecko. Dziecko król. Emma zrobiła krok w jego stronę, jakby teraz mniej się go bała.

- Dan, mówisz, że wspólnie dzielimy tę tajemnicę, ale czy pomyślałeś o mnie? Płakałam, dowiedziawszy się o twojej śmierci. Nie miałeś prawa zrobić mi tego. Mogłeś mnie przynajmniej wtajemniczyć!

Delikatność. Mogła jeszcze zagrać na tę nutę. Może uda jej się jeszcze wzniecić w nim żar. Niedysiejszą miłość.

Usłyszała, jak echo jej głosu rozbrzmiewa w pokoju. Zauważyła jego drżenie, niemal płaczącą nutę.

485

- Wtajemniczyć cię? - uciął Dan. - Jeszcze mnie ni znasz. Moja droga, tajemnica to tajemnica! Znasz schema Kiedy powierzasz tajemnicę swojej najlepszej przyjaciółce ona też powierza ją swojej najlepszej przyjaciółce! Nie mo glem zrobić nic innego, jak powiedzieć o wszystkim mojemu staremu przyjacielowi, doktorowi Gilbertowi. To on wystawił akt zgonu. Gilbert, pamiętasz go?

Emma przytaknęła.

- Geniusz. Znasz jego ostatnie odkrycie? Teraz kontr luje on-line moje zdrowie, przez dwadzieścia cztery godzinna dobę.

Barett podwinął prawy rękaw polo i podstawil rękę pod nos Emmy. Po czym wskazał na maleńki guzek pięć centymetrów od łokcia.

- Widzisz ten niewielki przycisk? Emma pochylila głowę.

- Wygląda jak kurzajka.

- Chyba nigdy nie widziałas kurzajki! To zespół mikr; czujników połączonych z nadajnikiem-odbiornikiem, które znajdują się w kapsule wielkości ziarenka ryżu. Co godzinę czujniki automatycznie wykonują badania. Wyniki gromadzone są w pamięci kapsuły zawierającej moją kartę zdrowia. Następnie przekazywane są do mojego palmtopa, na którym mogę je odczytać. I wreszcie są przesyłane na komputer Gilberta. Jeśli jest jakiś problem, komputer sam powiadamia Gilberta, także za pośrednictwem jego palmtopa. Gil uważa, że dzięki temu urządzeniu, przy aktualna poziomie medycyny, mogę zyskać dwadzieścia, trzydzieści lat życia.

Barett odsunął się i opuścił rękaw.

- Czyli minimum sto dziesięć lat. Ale to tylko jeden etap Etap do życia wiecznego!

Tego już było za wiele. Emma ukryła twarz w dłoniach. Następnie nerwowym ruchem - jakby był to jedyny gest, na

jaki miała odwagę sobie pozwolić - zerwała metalową spinkę do włosów, którą przypięty był jej koński ogon.

- Dan, jesteś szalony! - powiedziała półgłosem.

Od razu pożałowała tych słów. Jeśli wzbudzi podejrzania, wszystko skończone.

- Emma! Nie gadaj głupstw! Jesteśmy tak bardzo do siebie podobni.

„Byliśmy podobni - mała różnica”. Chciała wypowiedzieć tę ripostę na głos, lecz powstrzymała się. Należy grać w tę grę tak długo, jak tylko jest to możliwe. Dan Barrett już mówił dalej:

- Mamy w rękę tajemnicę Stworzenia! Emma! My dwoje! Tak jak król i jego ogrodnik.

- Ale co z tym zrobimy? Po co to wszystko? - rzuciła. Zaczęła jakoś powstrzymywać tę trwogę, którą budził w niej jej dawny przyjaciel.

- A więc nie rozumiałaś?

- Nie rozumiałam? Czy naprawdę trzeba było zalać świat morzem krwi i ognia, żeby zastąpić wszystkie stare Shadowsy na świecie wersją 10.0?

Barrett wznosił oczy ku niebu.

- Moja mała, zdecydowanie słabiesz! To wszystko to szczegóły! Zaslona dymna! To prawda, przyniesie to miliardy Controlware. I moja fundacja też na tym skorzysta. W ten sposób nadal będzie mogła zajmować się biednymi i chorymi. Zlikwidować malarię, cholerę...

- Nikt się nie dowie, że to ty jesteś tym dobroczyńcą!

- Wręcz przeciwnie, wszyscy się dowiedzą. Cały świat złoży hold mej pamięci. Mojemu wspomnieniu. Emmo, moja droga Emmo, czym byłby Chrystus, gdyby nie umarł? A Gan-dhi? Kennedy? Luther King? Niczym. Tylko potomność nadaje prawdziwą władzę.

- A Amelia? A twoje dzieci? Sądzą, że nie żyjesz! Nie wolałbyś być razem z nimi?

487

- Emmo! Kiedy wreszcie zrozumiesz, że są w życiu w niejsze rzeczy niż własne dzieci czy też ich rodzicielka? Z
zumiałaś to przed chwilą, prawda? Kiedy zamknęłaś swoją córkę...

Nagle wydało się Emmie, że słyszy stłumiony krzyk Rebeki dobiegający z podziemi. Zaraz zwymiotuje ze strach Barrett upierał się przy swoim:

- Emmo, jutro to wszystko pójdzie w zapomnienie. Z wielokrotnione możliwości Controlware? To perypetie! Miliony istnień uratowanych dzięki pieniądzą z fundacji? Czym będą w porównaniu z milionami innych, które ocala na wieki? Na wieczność? Bóg stworzył świat, lecz pozwolił mu się zepsuć. Zepsuć chorobą, biedą, cierpieniem. Wymyślił dobry produkt - człowieka - lecz nie przewidział obsługi posprzedażowej.

Barrett milczał przez chwilę, patrząc pytająco na Emmę, jakby chciał sprawdzić, czy docenia jego poczucie humoru. Patrzyła na niego oszołomiona. Jej długie ciemne włosy były w nieładzie. Twarz wykrzywił grymas. Ile razy na radach zarządu, podczas trudnych negocjacji uczyła się udawać? Teraz albo nigdy, to była właściwa chwila na zebranie starych odruchów.

- Bóg stworzył człowieka z niczego. I dzięki Mu za to! - kontynuował Barrett. - Lecz reszta jego dzieła to tylko długa litania cierpienia i poniżenia. Jak pogodzić się z tym, że piętnaście miliardów lat po stworzeniu świata komary nadal zabijają ludzi? Taki głupi świat nie może istnieć. Należy ponownie go skonfigurować. Ponownie stworzyć człowieka. Człowieka, który nie pozna ani bólu, ani chorób. Człowieka uodpornionego. Zdecydowanie nowego człowieka.

I dodał na zakończenie:

- Światowa opieka społeczna, uniwersalna ochrona zdrowia, o której marzyłem, pamiętasz? Nawet nie będę J^cJ już potrzebował: sprawię, że sama choroba zniknie! A razem

z nią bieda, cierpienie, zło. Emma, Zło! Zlikwiduję Zło. Zło przez wielkie Z.

Barett otworzył okno na rozgwieżdżone niebo i nie bojąc się rzucić wyzwania dalekiej sylwetce zamku Ludwika XIV, wygłaszał swoje kazanie. Emma stała kilka metrów za nim. Mogłaby chwycić leżącą na stoliku broń, lecz pozostała na miejscu, jak w uśpieniu, patrząc pustym wzrokiem na biegnącą wzdłuż willi i zabudowań gospodarczych aleję prowadzącą do ogrodu i psich nagrobków.

Król oprogramowania nie tylko nie rozmawiał już z Królem Słońce jak równy z równym. Ani nawet z Bogiem. On był Bogiem.

Usiadłszy na brzegu *living bed*, Dan Barrett wpatrywał się w ekran komputera. Przed nim, na czerwonym materacu, drgały fluorescencyjne znaki. Litery. Q.W.E.R.T.Y. Cyfry. Włączył wirtualną klawiaturę.

- Tego twój Sherlock Holmes nie znalazł! - kpił Barrett, widząc rozdrażniony uśmiech Emmy. - Jak to on się nazywa? Chavannes?

Emma przelknęła ślinę.

- Naprawdę bardzo dobry haker - ciągnął Barrett, ni zdążyła przytaknąć. - Mógł być przyjść do Controlware. Dziś siąj byłby bogaty... Ale nie bój się, chodź tu!

Barrett wyciągnął do Emmy rękę. Wyczerpana usiadł na drugim końcu *living bed*. Właśnie zauważyła obok siebie leżący w zapomnieniu na materacu laptop Pierre'a. Laptop wibrował. Na ekranie wyświetliło się pięć nieodebranych wiadomości. Emma słumiła szloch.

- Chodź, zobacz! - nalegał Barrett. Podeszła, obchodząc łóżko wokół. Rozpoznała na ekranie okienko dialogowe, które Pierre otworzył kilka godzin temu. Barrett wszedł w nie i rozmawiał z Makreshem i Krashnim. Spokojnie gładził odbijające się na narzucie przyciski. I podpisywał wiadomości literą T.

T jak „Treo”, jego przezwisko z dzieciństwa.

Broń miał nadal w zasięgu ręki, na stoliku. Był pogodny, położył dłonie płasko na przyciskach, pieszcząc litery jak

pianista białe i czarne klawisze. Od czasu do czasu przestawał, czekając na odpowiedź. Emma rozpoznawała Dana Ba-retta, którego znała z interesów: niewzruszonego prezesa wydającego polecenia swoim młodym pracownikom, dumnego przywódcę duchowego przekonanego o tym, że na koniec bitwy jak zwykle przystawi wszystkim rywalom pieczęć Controlware.

Teraz może już tylko wygrywać bitwy. Wszystkie bitwy.

Przerwał na chwilę, spojrzal na zalamaną Emmę i wzięwszy ją za ramiona, przyciągnął do siebie.

- Cud, Emmo, cud! Wszystko to, co zrobili do dzisiaj, to tylko startery!

- Jacy oni? - odpowiedziała, prostując się.

- Ależ spójrz tylko! Nie rób tej grobowej miny! Emma widziała już wystarczająco, żeby przypuszczać najgorsze.

- Dan, co jeszcze chcesz zrobić? Przecież świat jest już zdany na twoją łaskę i nielaskę - powiedziała, chcąc zyskać na czasie.

Widziała teraz, jak na ekranie wiruje trójwymiarowa figura. Podłużna. Czerwono-zielono-żółta. Wokół pionowej osi krążą liczne cząsteczki.

- ArtaGene w Singapurze, coś ci to mówi?

Dan kliknął na cząsteczkę i na ekranie pojawiła się długa lista plików.

- ArtaGene, bank danych genetycznych?

- No właśnie, moja droga! Szkoda, że nie odważyłaś się w niego zainwestować...

Emma znała tę firmę. Kilka lat wcześniej firma Berkings & Shannon wahała się, czy nie odkupić części jej kapitału. I w końcu zrezygnowała. Za duże ryzyko. Od tego czasu ArtaGene stała się największym bankiem danych genetycznych na świecie. Pięćset tysięcy fragmentów DNA. Genetyczne

dziedzictwo pięciuset tysięcy osób, w większości Azjatów i Amerykanów, a wszystko zgromadzone w jednym miejscu. ArtaGene kupuje od kilku dużych szpitali na świecie (przede wszystkim z Szanghaju, Dżakarty, Nowego Jorku) tkanki pobrane podczas operacji, porodów, biopsji. A więc w banku ArtaGene znajdują się zmagazynowane w lodówkach: krew, łożyska, wątroby, oczy, złośliwe komórki. Setki tysięcy. Posortowane, uporządkowane. Gotowe do użycia. Fort Knox genomu.

Dan Barrett wstał, jego plecy były proste, wzrok lodowaty.

- ArtaGene! Krashi musiał tu mocno zadziałać! Ich główny komputer był bardzo dobrze strzeżony, ale zawsze znajdują się ludzie, którzy lubią piosenki, co?

Szybko stłumił śmieшек satysfakcji:

- Ale ArtaGene to nie wszystko! Spójrz, Emmo!

ArtaGene, Singapur Alzacorp, Reykjavik Biobank Japan, Hokkaido Estonian Genome Project, Tallin InmeGeN, Meksyk Karolińska Gen, Sztokholm Beijing Genomics Institute TheraBio, TelAwiw...

Największe biochemiczne ośrodki na świecie, najbardziej uznane laboratoria, wielkie szpitale, ośrodki zajmujące się badaniami genetycznymi: były tam wszystkie. Zakręciło jej się w głowie, pochylila się do przodu i zamknęła oczy.

- To nieprawda...

Dan nie musiał kontynuować. W ciągu kilku sekund zrozumiała znaczenie jego podboju. Biobanki. Ośrodki te przechowywały próbki krwi, moczu, tkanek oraz komórek pobranych od ludzi wykonujących rutynowe badania lub

od

492

których zostały pobrane podczas hospitalizacji. Zasadniczo dane te były przeznaczone dla celów naukowych, umożliwiając naukowcom znajdowanie związków między chorobą, która rozwinęła się u jakiejś grupy osób, a ich cechami genetycznymi. Na przykład uniwersytet w Waszyngtonie posiada największą liczbę danych na temat raka piersi. Cztery tysiące próbek. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy próbek krwi od trzydziestu sześciu tysięcy kobiet. Emma bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, jaką bronią dysponuje ten, kto trzyma rękę na genetycznych kasach pancernych.

- Ile zarobisz na ich sprzedaży? Barrett popatrzył na nią z politowaniem.

- Sprzedaży? Nie rozumiesz, biedactwo! Ciągłe te twoje finansowe obliczenia. To za mało... Gdybym chciał sprzedać te dane, objąłbym kontrolę nad firmami!

Fakt. Komerccjalizacja ludzkich tkanek, DNA, komórek będzie w przyszłości jednym z gigantycznych rynków. Emma wiedziała o tym. I zrobiła obliczenia. Jedna próbka ludzkich komórek kosztować będzie od dziesięciu do stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów! A za odpowiednie specyficzne DNA płacić się będzie wiele miliardów. Gen człowieka, który posiadał przeciwciała chroniące przed żółtaczką typu B i umożliwił opracowanie kilka lat temu szczepionki przeciw tej chorobie, dzisiaj wart jest miliardy dolarów.

Gdyby Barrett rzeczywiście chciał położyć łapę na tych genetycznych żyłach złota, aby zarobić więcej pieniędzy, po prostu by je kupił. Skoro tak nie postąpił, to znaczy, że jego prawdziwy zamiar jest całkiem inny. Ambitniejszy. Bardziej diaboliczny.

Widziała, jak Dan się do niej uśmiecha. Wiedział, że rozumiała. Tak jak kiedyś, gdy ich mózgi działały unisono. Teraz przypomniła sobie liczby, o których mówili podczas swojej burzy mózgów trzy lata temu na Markizach, w święta Wielkiejnocy 2004 roku: trzysta milionów próbek ludzkich tkanek i organów w samych tylko Stanach Zjedno

czonych. Każdego roku dwadzieścia milionów więcej. Odnotowanych w ten sposób sto siedemdziesiąt osiem milionów Amerykanów. Ich genetyczne odciski palców troskliwie przechowywane w chłodnym miejscu. Wchodząc incognito w komputery, na których zgromadzone zostały wszystkie te dane, Barrett nie tylko położył łapę na najcenniejszym na świecie surowcu jutra. Miał dostęp do lektury najbardziej intymnego dowodu tożsamości milionów ludzkich istot. Ich sił. Ich słabości. Ich znanych i nieznanymi schorzeń. Zapisanych w genach ułomności. Chorób, z których wyzdrowieją. I tych, które ich zabijają. Chorób ich dzieci i wnuków.

W ten sposób Barrett mógłby leczyć ludzi. Będzie wiedział, jaki typ genu powoduje dany rodzaj raka. Jaka kombinacja genetycznych odcisków palca zwalczy cukrzycę, malarię, schizofrenię... Jego szaleństwo sprzed chwili nie było udawane. Stając się właścicielem tych wszystkich danych genetycznych, rzeczywiście będzie w stanie zaprogramować produkcję człowieka pozbawionego chorób, człowieka nieodczuwającego bólu, człowieka uodpornionego. Stworzy nowego człowieka. Człowieka wyzwolonego od zła. Amen!

Barrett mógł dać życie lub je podtrzymać. Ale mógł też je odebrać. Z pewnością ma dostęp - pomyślała Emma - do genu hiszpańskiej grypy, który znajduje się w wojskowym centrum medycznym w El Paso, w tkankach żołnierza, który zmarł w 1918 roku. Będzie mógł wykorzystać wirus H2N2 lub H5N1. Zmienić skład tysięcy leków już na etapie linii produkcyjnych w fabrykach. Będzie mógł wstrzykiwać śmierć na odległość, śmierć odroczoną, śmierć dającą się zaprogramować.

Dan Barrett będzie mógł siać dobro i zło. Przedłużać życie lub je przerywać. On, który dotąd posiadał kod źródłowy umożliwiający funkcjonowanie niemal wszystkich komputerów na świecie, teraz jest niewidzialnym właścicielem o wiele cenniejszego kodu: tego, dzięki któremu żyje ludzka „maszyna”.

Kodu źródłowego Człowieka!

Aleksander Wielki. Napoleon. Mao. I oczywiście Ludwik XIV. Dziesiątki królów, cesarzy, dyktatorów próbowało przed nim dotrzeć do stadium ostatecznej władzy. Takiej, gdy dowolnie rozporządza się sobą i całym światem. Żadnemu z nich to się nie udało. Jemu tak.

Oni używali broni śmiertelników: mieczy, dział, bomb. On osiągnął cel tylko za sprawą potęgi swego umysłu. Jak Stwórca kosmosu.

Na początku Bóg był Słowem. I Słowo było Bogiem.

To już nie była metafora ani mrzonka: odtąd Dan Ba-rett był Bogiem.

Emma walczyła z nękającymi ją mdłościami.

Broń Baretta leżała tu, blisko niej. A on patrzył w drugą stronę. Niezręcznie wyciągnęła skurczoną dłoń.

- Spokojnie, Emmo! Nie ze mną takie zabawy! - zawołał Baret, chwytając broń i wsuwając ją do kieszeni w spodniach.

- Lepiej weź się w garść! Przez ostatnie lata widziałem, że nie darzysz biotechnologii takim zaufaniem jak ja... Cóż za błąd! Straciłaś inwestycje! Sądziłem, że jesteś lepsza!

„Lepsza”. Tym razem uderzył w swoją nutę agresywnym, brutalnym tonem. Ale nadal igrał ze swoją przyjaciółką, przechodząc od udawanej delikatności do władczej ironii. Czy jeszcze mogłaby walczyć? Czy jest jakaś droga, którą mogłaby wydostać się z tego impasu? Broń w postaci uroku? W postaci lez? Kiedyś tak, może Baret by się ugiął. Jeszcze kilka miesięcy temu. Ale teraz... Czy istota, którą ma przed sobą, nadal jeszcze jest człowiekiem?

- Dan, przestań! Nie mogę już tego znieść - wybelkotała.

- Biotechnologia, twoja fundacja, walka z nędzą... Myślałam, że robiłeś to wszystko, aby świat stał się lepszy...

Nie potrafiła już kończyć swoich wypowiedzi. I załamała się, gdy tylko Baret cisnął w nią obłąkaną, napuszoną ripostą:

- Życie, droga Emmo, nauczyło mnie, że świat można uczynić lepszym tylko w jeden sposób. Trzeba go podbić.

Pozwolił, by zapadła cisza, i wyłączył komputer. Potem, niewzruszony, wyjął broń z kieszeni, wstał, zrobił kilka kroków w kierunku kominka i odwrócił się w stronę Emmy.

— Teraz wiesz wszystko. Żeby nie powiedzieć: za dużo.

— Co masz na myśli?

Emma nie miała siły, żeby wypowiedzieć jedno całe zdanie. Krzyżeć? To się na nic nie zda. Barrett strzeli. Była osaczona. Domyślała się dalszego ciągu. I pomyśleć, że kiedy Barrett oszczędził jej katuszy w podziemiach, miała nadzieję, że to odroczenie potrwa przynajmniej całą noc! Że zdąży odzyskać jego zaufanie. Skorzysta z chwili nieuwagi. O żalosna naiwności! Miłość, chociaż zostały z niej już tylko wspomnienie, nadal potrafi zaślepić.

— Nigdy nie powinnaś była zobaczyć mnie po śmierci - rzucił Barrett, odbezpieczając rewolwer.

— Dan - błagała. - Potrafię dochować tajemnicy. Przez te wszystkie lata tyle dzielilam z tobą tajemnic!

Twarz Barettta pozostała niewzruszona.

— Wiem. Ale rozumiesz, że jeśli chcę rządzić tak, jak myślę, to muszę zniknąć. Dan, którego znałaś, nie może już istnieć. Jego już nie ma, słyszysz? Musisz zapomnieć o tym wszystkim, co zdarzyło się dziś wieczorem.

— Ale ja jestem gotowa o wszystkim zapomnieć! Emma krzyczała. Dan szedł w jej stronę, trzymając w rękę pistolet. Przez chwilę zdawało jej się, że słyszy jakieś stłumione odgłosy dobiegające z parteru. Znowu wyobraźnia płata jej figle. Zabierze ją do innego snu.

Barrett położył lewą rękę na jej głowie i głaskał ją po włosach, tak jak głaszcze się sierść zwierzęcia.

— Nie bój się, Emmo! Wiem, że jesteś wobec mnie szczerą, i dlatego ocalisz życie. Lecz rozumiesz, że nie mogę zostawić na wolności tego, co tutaj masz.

Wskazującym palcem nacisnął na jej skroń, jakby chciał wskazać mózg, siedzibę jej pamięci. Zrozumiała.

- Tylko nie to, błagam cię!

Strandberg, Costello, Granier... a teraz kolej na nią. Zachwiała się. Baretta chwycił ją za ramię.

- Zaufaj mi, Emmo. Tak jak robiłaś dotychczas. Nie chcę ci zrobić nic złego, wierz mi.

Popchnął przyjaciółkę na łóżko i cofnął się o kilka kroków, ciągle z wycelowaną w nią bronią.

- Pamiętasz dedykację, jaką Bessie wpisała Elsie de Wolfe, kiedy w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku ukazała się jej autobiografia? Wysłałem ci tę książkę.

Kiedy te męczarnie się skończą? Emma patrzyła w oczy Baretta. Była przerażona.

- A więc?

- Ja...

- Nie pamiętasz i znowu nie masz racji, bowiem ta dedykacja pasuje do nas jak ulał: „Razem przeżywałyśmy smutki, razem przeżywałyśmy radości, razem przeżywałyśmy porażki, razem osiągnęłyśmy sukces”.

Pozwolił upłynąć chwili ciszy, chcąc upewnić się, że Emma usłyszała.

- Zależy mi na tym, żebyś pozostała przy życiu! - ciągnął.

Wskazał na broń.

- Ten wspaniały produkt tylko zetrze z twojej pamięci ostatnie godziny życia. W tej, której użyliśmy w pierwszym rzucie na Strandberg oraz innych, chemik Makresh jeszcze sobie nie radził z dawkami. Teraz mam nową wersję, bardziej light. Powiedziano mi, że działa wspaniale. Granier powinien już cofnąć się o kilka tygodni.

Baretta skrzywił się.

- W każdym razie tak powinno być.

Emma zamknęła oczy. Dan strzeli. Wiedziała o tym. Znała go. W chwili gdy podejmował decyzję, nigdy nie zadrżała mu ręka. Cel uświęca środki. Ludwik Wielki zamordował

497

dwadzieścia tysięcy żołnierzy, żeby w Wersalu wytrysnęły fontanny. A więc jaką wartość ma życie pojedynczego człowieka wobec wielkich planów Dana Baretta? Jaką wartość ma życie tych, których zamknął w podziemiach, życie jego odwiecznej przyjaciółki, ale również jego własne życie, ponieważ - chcąc zrealizować swoje marzenie o potędze - on sam będzie musiał na zawsze żyć wirtualnym życiem?

By móc czynić dobro, trzeba najpierw zaakceptować czynienie zła.

Barett wycelował rewolwer w Emmę. Nie poruszała się już przerażona. Za sekundę naciśnie spust, tak jak tysiące razy naciskał na przycisk przy myszce. Zdecydowanym, mechanicznym ruchem. Słychać będzie ciche kliknięcie. A potem... Ale nie zdążył. W chwili gdy zbliżał lufę do klatki piersiowej Emmy, drzwi otworzyły się i uderzyły mocno o ścianę. Obraz Ludwika XD7 i Le Nôtre'a zniknął z ekranu.

- Policja! Nie ruszać się!

Do pokoju wpadło trzech umundurowanych policjantów z pistoletem w dłoni.

- Rzuć broń!

Barett odsunął rewolwer, odłożył go na ziemię i nie okazując zaskoczenia, powoli odwrócił się w kierunku policjantów.

- Proszę pani, wszystko w porządku? - zapytał ten, który wszedł pierwszy.

Podszedł do Emmy i pomógł jej się podnieść. Pozostali dwaj policjanci nadal stali przy drzwiach, celując w Barett'a.

- Będzie dobrze, dziękuję - wyjąkała młoda kobieta. - Ale jak się... Kto was powiadomił?

- Jakiś Chabane... Czy Chavannes, już nie pamiętam. Pierre? Dobrze zrozumiała? Chavannes? Policjant dobrze wymówił to nazwisko. Ale przecież Pierre jest w pod

ziemiach, trzy metry pod ziemią. Jak zdołał wezwać policję? Jego komórka leży tutaj, na *living bed*.

Barett, pilnowany przez policjantów, małymi kroczkami cofał się niespostrzeżenie w kierunku zgaszonego ekranu. Zbliżał się do kominka. Czego tam szuka? Emma przypomniała sobie, że kiedy ostatnim razem była w willi, widziała tam coś w rodzaju wyłącznika. Barett jej go pokazał. Ale do czego on służył?

Nagle zrozumiała. Czujnik, dobry Boże, czujnik!

Ale było za późno. Barett odwrócił się i powiedział głośno:

- Alarm!

Natychmiast usłyszeli przeraźliwy, nieznośny dźwięk syreny, od którego pękały bębenki. Barett uruchomił za pomocą głosu system alarmowy willi.

Emma rzuciła się na ziemię, dokładnie w to miejsce, gdzie Barett położył broń. Dwaj policjanci cisnęli swoje pistolety, starając się zatkać dłońmi uszy. Trzeci, ogłuszony siłą dźwięku, zgiął się w pół.

Barett, nadal opanowany, rzucił się w stronę Emmy i kopnął ją, chcąc wydobyć schowany pod nią pistolet. Lecz kiedy odwróciła się w jego stronę, zobaczył, że trzyma w ręku pistolet. Wycelowany w niego.

- Emma, nie strzelaj! Pożalujesz!

Rozkaz był stanowczy, lecz Emma go nie słyszała. Syrena nadal wyla. Młoda kobieta widziała, jak twarz Barett'a pokryła się nagle zmarszczkami. Zaczął lekko mrugać powiekami.

Zwieje. Chwyci broń policjanta. Strzeli. Zabije ją. Zabije ich wszystkich.

Nacisnęła na spust.

Zmarszczki na twarzy Barett'a stężały. Ani jedno mrugnięcie powiek nie poruszyło jego utkwionego w Emmie spojrzenia. Tylko ręka, spadając powoli na klatkę piersiową, badała delikatną strużkę krwi spływającą po czarnym polo.

- Emma! Nie ty! Nie!

499

Zobaczyła tylko ruch jego warg i wykręcający mu twarz grymas bólu.

- Nie ruszać się!

Jeden z policjantów złapał z powrotem broń i wycelował w Baretta.

Emma, klęcząc na ziemi, wrzeszczała do dwóch pozostałych mężczyzn stojących w drzwiach pokoju:

- Szybko, chodźcie ze mną! Z tyłu ogrodu!

Oficer policji oświetlił latarką tunel. Emma, klęcząc na brzegu grobu, pochyliła się nad otworem i ujrzała twarz Pierre'a mrugającego zza okularów oczyma.

- Emma? To ty?

- Pierre! Jesteście tu wszyscy?

Teraz z kolei pojawiła się zapuchnięta i czerwona od łez twarz Rebeki.

- Mamo! To ty? Szybko, błagam!

Policjant zszedł do podziemi, żeby porozcinać krępujące ich więzy. Potem pomógł Rebecce wydostać się na trawnik.

Dziewczyn rzuciła się matce w ramiona, nadal trzęsąc się ze strachu. Emma długo masowała jej kark, chcąc ją uspokoić. Zapomniane gesty, tak rzadko używane w jej dzieciństwie.

Rebecca zaczynała się uspokajać, gdy z podziemi wyszedł, kulejąc, Terry, a po nim Pierre, któremu pomógł wydostać się na górę.

Informatyk zrobił kilka nieporadnych kroków w stronę Emmy i w końcu usiadł na trawie. Jego twarz była trupio blada.

- W porządku? - zapytała Emma, podchodząc do niego. Nadal trzymała Rebecę.

- Ja w porządku. A ty? Gdzie jest Baret?

- Obezwładniła go policja.

- Nie skrzywdził cię?

- Nie. Jest w willi.

- Co to za piekielny hałas? - zapytał jeszcze Pierre, jakby dopiero teraz go usłyszał.

Alarm nadal wypływał swoje przeraźliwe fale.

- Wyłączę to! - powiedział Terry, czekając na zgodę wynurzającego się z tunelu policjanta.

- Niech pan idzie! To potworne!

W czasie gdy Terry oddalał się, kulejąc, policjant wspiął się na trawnik, odwrócił się i jedną ręką pomógł Granierowi wydostać się na światło dzienne.

Oglupiały powieściopisarz szedł chwiejnym krokiem podtrzymywany przez policjanta. Rozglądał się wokół siebie, patrząc nieobecny wzrokiem. Rana na udzie już nie krwawiła.

- Jean-Philippe, wszystko w porządku?

Rebecca zostawiła Emmę i rzuciła się w jego stronę. Ale pisarz cofnął się.

- Czego pani ode mnie chce?

- Mamo! On nie wie, kim jesteśmy. Stracił pamięć! Rebecca znowu zalała się łzami.

Przerażona Emma podeszła do Graniera. Miał wystraszony wzrok i wypowiadał słowa bez ładu i składu. Dwie godziny, minęły tylko dwie godziny od chwili, gdy trafiła go toksyczna kula. Ale trucizna dotknęła już pierwszych stref pamięci. Zniszczyła pierwsze zakończenia nerwów. Miał cofnąć się „o kilka tygodni”, jak powiedział Dan. Ale Granier nie poznawał Rebeki, którą poznał sześć miesięcy temu! Wersja light „lekarstwa” Baretta nie była wcale lepsza od poprzedniej. Być może Granier nie umrze jak pierwsze ofiary fałszywej melatoniny. Ale powoli straci swoje punkty odniesienia. Znajome nazwiska. Znane twarze. Powalony czymś w rodzaju gwałtownej i przedwczesnej choroby Alzheimera.

Emma rzuciła na Pierre'a przerażone spojrzenie.

Broń, której użyła przed chwilą, strzelając do Baretta, to była ta sama broń, która zraniła Graniera.

502

Nagle syrena przestała wyc.

- Chodźcie ze mną! - powiedział policjant. - Teraz wszyscy wracamy.

Oficer złapał Graniera pod rękę i dał wszystkim znak, by ruszyli w kierunku willi.

Ruszyli za nim ciągnąc się wzdłuż trawnika alejką. Słychać było żwir trzeszczący pod stopami Graniera, który powlókł nogą. A dalej, z pewnością sprzed domu, dobiegały głosy. Trzaskały drzwi.

Rebecca, trzymając dłoń matki, doszedłszy na wysokość dawnych stajni, zatrzymała się i oparła o drzwi. Wydawała się wycieńczona.

Nagle Emma zauważyła zaparkowane pod kasztanowcami policyjne samochody. Wokół krzątało się dziesięciu policjantów. Towarzyszący Granierowi oficer podszedł do nich, skinął na mężczyznę w białym kitlu, każąc mu zająć się Rebecca i jej matką.

- Tak, możecie ją zabrać. Jest wyczerpana. I jest w ciąży - wyjaśniła Emma, kiedy lekarz skierował się w jej stronę.

- A pani?

- Nic mi nie będzie.

Lekarz oparł o siebie Rebecę i zaprowadził ją do stojącej przed domem Tenyego karetki. Emma pozwoliła mu się oddalić. Pierre był obok niej. Zdjął okulary i przecierał oczy.

Odwróciła się do niego i położyła dłoń na jego klatce piersiowej.

Chciała z nim porozmawiać. Albo nie. Nie wiedziała, co powiedzieć. Emocje ścisnęły jej gardło. Chciała po prostu z nim być. Z głową położoną tu, w zagłębieniu jego ramienia.

Pierre nałożył z powrotem okulary, prawą rękę Emmy ukrył w swojej dłoni, a wolną ręką objął jej ramiona i przyciągnął ją do siebie. Przez długą minutę pozostali tak, zespoleni ze sobą. Następnie Emma podniosła głowę, a ich spojrzenia

spotkały się, po czym odwróciły od siebie rozdarte. Jedno i drugie wiedziało, co to oznacza.

Za kilka minut Pierre wróci do salonu. Zadzwoń do Gary. Powie, że ją kocha. Emma zaś powinna zadzwonić do Brada.

Brad wsiądzie w pierwszy samolot. Będzie na Roissy jutro lub pojutrze. Zabierze ją do San Francisco. Nawet Amerykanie mawiają po francusku: *C'est la vie*.

- Chyba zapomniałam ci podziękować - powiedziała, żeby przerwać ciszę. - Zdaje się, że to ty zawiadomiłeś policję. Jak to zrobiłeś?

Na twarzy Pierre'a pojawił się nikły uśmiech.

- Nie domyślałaś się? -Nie.

- Jesteś jak Barrett: genialna, lecz niedoskonała... A kiedy ludzie genialni robią drobne błędy, te drogo kosztują.

Znowu przetarł okulary dołem koszuli.

- Pamiętaj, jak poszliście szukać z Barrettem Terry'ego? Wyszliście na kilka minut z salonu.

- Tak. I co?

- Właśnie to. Zgadnij...

- Przecież nie mogłeś nic zrobić, byłeś skuty i przywiązany do fotela!

Uśmiech Pierre'a trochę się rozszerzył.

- Emma! Zapomniałaś o jednym: w tej budzie wszystko uruchamia się za pomocą głosu! Nie tylko telewizor i lodówkę! Telefon również.

Emma patrzyła na Pierre'a niemal z niedowierzaniem. Barrett się nie mylił. Ten człowiek bylbym znalazł swoje miejsce pośród komputerowych asów Controlware. Ale to co czuła do niego, wybiegało daleko poza podziw.

Czuła już, jak krwawi w niej rana rozstania.

- Wystarczyło poprosić siedemnaście - kontynuował Pierre. - Ale nie wystarczyło mi czasu, żeby podać adres. To

wyjaśnia, dlaczego znalezienie nas zajęło im dwie godziny. Już przestałem wierzyć.

Nagle informatyk umilkł. Przerwały mu jakieś wrzaski. Na podjeździe do Willi Trianon stał Barrett. I krzychał:

- Jakim prawem tu jesteście, w moim domu? Jestem Dan Barrett, słyszycie? Dan Barrett!

Emma i Pierre drgnęli. Barrett na okrągło wykrzykiwał swoje nazwisko. Szarpał się. Ręce miał spięte z tyłu

kajdankami. Dwóch policjantów rzuciło się w jego stronę, idąc w sukurs koledze, któremu trudno było go utrzymać.

Czerwony z gniewu Barrett umknął im z wrzaskiem i chwiejąc się, przeszedł kilka kroków alejką. Zatrzymał się, po czym znowu ruszył w swój szalony taniec, kiwając głową to w lewo, to w prawo, potem znowu znieruchomiał z palającym wzrokiem.

- Jestem Dan Barrett... To ja wymyśliłem Shadows... Nagle na końcu alejki dostrzegł swoją dawną przyjaciółkę.

- Emmo! Pomóż mi! Powiedz im, że jestem najpotężniejszym człowiekiem na świecie!

Po jego czole spływały teraz grube krople potu. Policjanci stali nieruchomo i przyglądali się śmiesznej rundzie skutego więźnia.

Emma oparła się o drzwi stajni. Skamieniała na widok rozgrywającego się spektaklu. Barrett, kilka metrów od niej,

unoszący się w patetycznym tańcu świętego Wita. Gliniarze, dla których z pewnością był tylko załamanym facetem.

Akta wśród innych akt. Jakiś Chavannes zadzwonił po pomoc o czwartej nad ranem. Sprawa: jakiś szaleniec groził, że zabije pięć osób. Stopień ważności: priorytet. Przyjechali. Złapali go. Bez rękoczynów. Policyjna rutyna. Zwłaszcza w ostatnich czasach.

Teraz Barrett zwolnił swój błędny taniec. Podeszedł do muru ogrodzenia i usiadł na ziemi. Potem umilkł.

505

Emma i Pierre widzieli, jak przekrzywia głowę, wznosi ciężkie spojrzenie na funkcjonariuszy policji, po czym powoli zaczyna lekko kołysać się do przodu i do tyłu.

Podeszli do niego policjanci. Pielęgniarz pobiegł do karetki, otworzył tylne drzwi i wyjął torebkę surowicy oraz butelkę tlenu.

Emma i Pierre spojrzeli na siebie przygnębieni. Pielęgniarz o tym nie wiedział, ale nie było powodu, żeby się spieszył. Dan Barrett nie umrze. Po prostu straci pamięć i wie o tym. Bez wątplenia nowa wersja produktu, który zabił Kathrin Strandberg, została ulepszona. Ale i tak powoli ogarnie jego mózg. Osłabną połączenia między neuronami. Tak liczne kładki, tak żywe połączenia między poszczególnymi strefami jego kory mózgowej nieuchronnie się rozerwą. Powoli zamknie się dostęp do jego wspaniałej pamięci. Najpierw podda się strefa pamięci świeżej. Potem logicznej, wyrażającej myśli. Następnie zniszczony zostanie poziom uczuć. I wreszcie, jeśli produkt był silny, zniszczona zostanie strefa tożsamości.

Emma odwróciła wzrok, niezdolna dłużej stawiać czoło widokowi Barett. Siedział na ziemi, maska tlenowa zakrywała mu nos i usta i patrzył teraz w rozjaśniające się niebo. Między chmurami pojawiały się pierwsze blaski świtu. Z drugiej strony willi rozświetlił się ogród. Za murem ogrodzenia, w zamkowym parku, słońce zaczęło ukazywać swą nieśmiertelną krzywiznę, witając się z piękną Latoną, głosząc Wielki Kanał, aż wieczorem przesunie się na rydwan Apollina. A za kilka dni, może za kilka godzin, człowiek, który stawil im czoło, wyczerpany, siedzący na piasku przy Willi Trianon, człowiek, który panował nad pamięcią na świecie, człowiek bóg, który posiadał pierwotną Pamięć Ludzkości, pozbędzie się swojej pamięci.

EPILOG

- Myślisz, że wygramy?

- To pewne.

- Jak możesz tak twierdzić?

- Pozostałe projekty nie są takie dobre, to wszystko! Za chwilę pokażę ci nasze plany. Są wspaniałe, zobaczysz.

Emma i Pierre idą obok siebie plażą Omaha. Jest odpływ. Jeszcze mokry piasek i ten, który już wyschł, tworzą draperię w piaskowym kolorze przecinaną niewielkimi, spływającymi do morza rowkami. Dziś rano padało, lecz nor-mandzki wiatr zrobił swoje. Rutyna. Przesunąć chmury nad Paryż. I pozwolić pierwszym promieniom wiosennego słońca dotknąć wilgotnych dachówek.

W Normandii często późnym popołudniem jest ładna pogoda. Po to, by ludzie mieli chęć wstać następnego dnia.

Młoda kobieta ma na sobie długą suknię na szelkach, z niebieskiego lnu, niezgrabną i pogniecioną. Pierre włożył jeden z polarów z kołnierzem na zamek, które tak bardzo lubi. Strój weekendowy.

Ma weekend. Swoją pierwszy doroczny weekend z Emmą.

Młoda kobieta dyskretnie obserwuje idącego koło niej mężczyznę z rękoma w kieszeniach dockersów w kolorze khaki. Zmienił się. Od czasu gdy mieszka w Bostonie, gdy przyjął misję, jaką zaproponował mu Bernie Puttman, wydaje się bardziej wylewny, bardziej ufny. Pewny siebie. Ona

507

zaś, wręcz przeciwnie, w czasie minionych miesięcy widziała, jak ulatuje jej pewność siebie.

- A więc co u ciebie? - pyta Pierre, wyprzedzając ją, żeby stanąć przed nią, jakby chciał zatarasować jej przejście. - Jak podróż do Rwandy? Nie opowiadałaś mi...

- Wiesz, fundacja Baretta nie ma tam na razie nikogo. Szukamy. Jest tyle do zrobienia...

Przed nimi, na piasku, wznosi się betonowy blok wysokości człowieka w kształcie azteckiej piramidy. Pozostałość sztucznego portu, który alianci próbowali tu założyć 6 czerwca 1944 roku. Tak jak w Arromanches, lecz niestety, z mniejszym sukcesem. Omaha Beach - która skupia plaże Vierville, Saint-Laurent i Colleville - była najbardziej krwawym miejscem lądowania. W przeddzień D-day przewencyjne bombardowanie chybiło celu. Po przybyciu amerykańskich okrętów niemieckie linie obronne były nietknięte. Alianccy żołnierze padali pod ostrzałem na piasku lub ginęli, wspinając się na wzgórze.

Wzgórze dziś pokryte białymi krzyżami. Pierre i Emma weszli tam wcześniej, w deszczu. Aby pokryć złotym piaskiem nazwiska „chrześniaków”. Szukali krzyży, chodząc niewidzialnymi ścieżkami pośród ustawionych rzędem nagrobków. Przeszli wzdłuż zbiornika z wodą, w którym odbija się gwiazdzisty sztandar. Przeszli pod dzwonem, który wybija godziny nutami Big Bena. Jakiś stary marynarz, pochylony nad tablicą informacyjną, opowiadał przyjaciółom, jak to lądował tu, siedząc za kierownicą ciężarówki, 7 czerwca 1944 roku.

Pół roku temu Emma przyjechała tu po Pierre'a, żeby zabrać go do Wersalu. Wiek temu.

Od czasu gdy sprzedała swoje udziały w Berking & Shan-non oraz odeszła z firmy, czas minął szybko. Fundacja Baretta, w której została dyrektorem operacyjnym, nie zluzowała jej kalendarza. Po prostu zmieniły się kierunki. Kalkuta, Dak-ka, Caracas, Kotonu. Dzielnice biedy, ambulatoria, namioty przystosowane do roli porodówek. Często towarzyszy jej Ame

lia Baretta. Dwa dni temu otwierały jeszcze szpital w Lagosie w Nigerii. I wylały lekarza, który nie spełniał swoich zadań. Ducha Baretta, nadal. W weekendy Emma jedzie do Brada do San Francisco lub do Rebeki w Paryżu. Rebecca za kilka tygodni urodzi córkę, Amy.

- A Dan? Jak on się czuje? - pyta Pierre, wspinając się na betonowy blok.

Emma zatrzymuje się i ze smutkiem opuszcza głowę. Krawędzią obcasa znaczy na piasku niewielkie kreski.

- Dwa czy trzy razy byłam go odwiedzić w jego domu opieki w Nowym Jorku... Są tam tylko narkomani, maniacy gier wideo, uzależnieni od Internetu. Dan zajmuje jeden cały pawilon, ale w chwilach jasności umysłu lubi rozmawiać z tymi ludźmi.

- Poznał cię? - przerywa Pierre, podając jej rękę, żeby do niego podeszła.

Emma nadal ma spuszczonego wzrok i nie widzi wyciągniętej do niej ręki. Mówi cicho, jakby do samej siebie.

- Mnie tak. Mam szczęście, poznaje mnie. Wydaje się, że to dlatego, iż należę do jego najstarszej przeszłości. Ale tylko ja. Oczywiście oprócz matki i ojca. Amelię i dzieci uważa za obcych... to straszne... - I dodaje trochę głośniejszym głosem: - Dzwoniłam do niego w ubiegłym tygodniu, żeby mu powiedzieć, że projekt uniwersalnej ochrony socjalnej będzie w październiku przedstawiony Komisji Europejskiej. Powiedziałam mu też, że przekonałam senatora z Ohio, Andy'ego Gantneera, żeby stanął na czele naszej kampanii w Stanach Zjednoczonych. Ale najwyraźniej Dan nie wiedział, o czym mówię.

Końcem palców Pierre gładzi włosy Emmy. Chciałby, aby uniosła głowę, spojrziała na niego, usiadła obok na betonowym bloku. Ponownie podaje jej rękę i w końcu Emma wdrapuje się do niego.

- Jednak choroba się ustabilizowała? - pyta jeszcze. - Nie postępuje?

509

- Raczej nie - wzdycha. - Amelia myśli, że to odwracalne, ale ja w to nie wierzę. Dziwne jest to, że od czasu do czasu jest w stanie zajmować się programowaniem! Wymyśla niewielkie programy...

- A Granier? Podobnie? Pisz nadal?

- Zdziwiłabym się. Od kilku miesięcy nie mam żadnych wieści, ale sądzę, że mieszka koło La Hague, w swoim małym domku niedaleko domu Preverta. Rebecca sama będzie wychowywać Amy. Jak kiedyś jej matka.

- Zaplanowana zemsta Baretta na Granierze...

- Nie mów tak!

- Zawsze będę się zastanawiał, dlaczego Baretta strzelał do Graniera, a nie do mnie. Myślisz, że chciał nas tylko wystraszyć? Przecież nie mógł przypuszczać, że powieściopisarz jest zadłużony po uszy i chce ożenić się z Rebeccą, żeby położyć łapę na jego miliardach. Sama Rebecca nie wiedziała, że je odziedziczy!

- Intuicja, nie sądzisz? Cudowny przebłysk, który poprzedza rozumowanie. Dan miał ich wiele. Sądził nawet, że któregoś dnia uda mu się modelować intuicję...

Emma uśmiecha się i przysuwa do Pierre'a. Podmuch wiatru przesuwa włosy koło jej twarzy. Przed nimi wiatr przesuwa w kierunku Colleville kilka granatowych bojerów, które mkną w stronę swoich hangarów. Ciężkie chmury są już daleko. Za kilka godzin będzie padać w Wersalu.

Pierre wyciąga rękę w stronę Emmy. Nadal chce głaskać jej włosy. Przesuwać palcami aż do ich końców, jakby chciał je uczesać. Zetrzeć piaskowy pył, który wśliznął się na policzek, koło ucha. Emma odwraca się w jego stronę.

Na początku miłości jest zawsze spojrzenie, które drga, ta chwila, gdy - jak mówią słowa piosenki - słychać śmiech aniołów. Iskierka, która wywoła pożar. Pierre zastanawiał się zawsze, dlaczego nie poczuli tego z Emmą, kiedy po raz pierwszy spotkali się w Supra Data. I dlaczego iskierka ta powraca za

każdym razem, kiedy się spotykają i zbliżają do siebie. W ich miłości jest coś takiego jak pierwotny niedostatek. Początkowa luka, która skazuje ich na to, by przy każdym spotkaniu widzieli, jak wzbiera w nich ta sama cudowna i niekontrolowana fala. Kochają miłością przyływów i odpływów. Od pół roku rozmawiają ze sobą niemal codziennie. Via kamera internetowa. Przez SMS-y. Przez MMS-y. Elektroniczna wersja wierności. Nawet nie mogli spotkać się w Bostonie. Emma przesłała mejlem swoją zgodę na zainicjowany przez Pierre'a projekt odnowienia drzewostanu w Central Parku. Pomysł jej się spodobał. Wzniesić w centrum Nowego Jorku współczesny remake wersalskich ogrodów. Latona, Apollo, Neptun, sadzawki Pół Roku nawadniane ultranowoczesnymi fontannami, całość wyrysowana przez Damiena Hirsta i Rachel Whiteread. Burmistrz Nowego Jorku był olśniony. Te dwie postaci współczesnej sztuki oraz belgijski architekt krajobrazu dołączają do nich w hotelu Overlord przed przewidzianą na jutro oficjalną prezentacją projektu dla prasy. Pierre pochyla się w stronę Emmy. Jej usta. Zawsze one. Myśli o nich od czasu, gdy spotkali się w hotelowej recepcji. Ich jedwabna osłona. Ich delikatność. Powraca w jego pamięci. Mimowolnie. Mimo Clary. Promiennej od chwili, gdy razem z dziećmi zamieszkali w Stanach. Kiedy powiadomił ją o swojej nominacji na stanowisko *chief executive developer* w Controlware oraz „siedmiocyfrowej” pensji, zapytała go, czy to „przed przecinkiem”. Potem szybko zrozumiała. Ich dom na Cape Cod jest okazały: duże białe domostwo, gdzie wszystko sterowane jest głosem. Clara ma swoje bambusowe ogrodzenie. I taras wychodzący na ocean. Marzy, że któregoś dnia w ogrodzie, pomiędzy eukaliptusami, pojawi się Scarlett O'Hara. Garance, Sixtine i Gaétan chodzą do francuskiego liceum. Nauczyciele są świetni, dużo lepsi niż w Marsylii. A w środy Gaétan ma lekcje żeglowania. Wkrótce Pierre kupi trimaran, obiecał.

- Mówiłeś, że masz informacje na temat konkurencyjnych projektów - rzuciła Emma, której trudno ukryć emocje, jakie budzi w niej bliskość jej towarzysza.

Podnosi się. Stoi na betonowym bloku, trzymając włosy do tyłu, z przylepioną przez wiatr sukienką, i patrzy na wzgórze Colleville. Pierre mówi sobie w duchu, że gdyby był rzeźbiarzem, stworzyłby taką sylwetkę na dziób swojej łódki. Podobałaby się Clarze.

Uśmiecha się na tę myśl i rusza w ślad Emmy, która zeskoczyła już na piasek.

- Jest pół tuzina konkurencyjnych propozycji - wyjaśnia Pierre. - Niektóre zostały przedstawione w ubiegłym tygodniu. Oglądałem je w Internecie. Ale szczerze mówiąc, dziwiłbym się, gdyby któraś okazała się lepsza od naszej.

- Ty też chodzisz na siłownię czy się myłę?

Pierre odsuwa jej rękę i chce ją chwycić w pasie, lecz Emma uwalnia się i ucieka w kierunku wzgórza. Kilka metrów, aż do skarpy. Pierre łapie ją, przewraca na rosnącą rzadko między piaskiem i kamieniami trawę, potem kładzie się na niej. Nad nimi latają mewy i rybitwy, wydając rozdzierające okrzyki. Sześćdziesiąt lat temu, tutaj, na tym piaszkowym zboczu, chowali się żołnierze, żeby uniknąć kul.

- Tyle czasu minęło...

Westchnienie Emmy dumi gwałtowny pocałunek. Potem słowa Pierre'a. Jej imię przez niego powtarzane. Słyszy, że jest piękna, ileż to myślał o niej przez ostatnie tygodnie. Słyszy, jak opisuje delikatność jej ramion, policzków, pragnienie jej widoku, pójścia razem plażą, trzymając ją za rękę. Słucha go, lecz to co słyszy, nie ma żadnego znaczenia. Albo raczej tak, zbyt duże. Chciałaby móc wyryć w sobie te słowa na później, na dni bez niego. Ale jedno słowo przegania kolejne. Zdania przemykają jej w pamięci jak cień chmury podczas wiatru.

Pierre przebiera dłońmi po jej ciele. Pod jej długą suknią pieści kolana, brzuch, wewnętrzną stronę nóg. Przygląda się

jej twarzy, odsuwa się, żeby ją lepiej widzieć, spija pocałunek z jej ust i znowu się odsuwa.

- Mógłbym cały dzień tak na ciebie patrzeć - szepcze. - Pragnąć cię, tylko na ciebie patrząc.

-1 nigdy mnie nie rozebrać?

Wkłada dłoń pod szelki sukienki i odnajduje białą, okrągłą, naprężoną pierś. Na jej widok powstrzymuje krzyk.

Emma przestaje się uśmiechać i utkwivszy wzrok w jego oczach, przyciąga go na siebie. Jej włosy leżą na piasku rozrzucone w nieładzie.

W swoich biodrach czuje wzburzone morze. A fale umierają w jego oczach.

Kochają się na polu bitwy.

Potem ciało młodej kobiety unosi się, Emma zamyka powieki, a z jej na wpół otwartych ust wydobywa się długi jęk.

Pierre dołącza do niej w upojeniu.

Nagle urywa się krzyk mew.

Pierre unosi delikatnie głowę. Tym razem widzi go. Ma go. Ostatni obraz, ten, który zabierze ze sobą, gdy już wszystko będzie skończone.

PODZIĘKOWANIE

XVIII i XXI wiek. Wiek Oświecenia oraz wiek Internetu. Świat Ludwika XIV i Le Nôtre'a oraz świat Billa Gatesa i Steve'a Jobsa. Ta powieść została umiejscowiona na pograniczu dwóch światów. Aby je zrozumieć, zwróciliśmy się o pomoc do wielu osób, niech więc podziękowania przyjmą:

Architekt krajobrazu Michel Corraïoud, który skrupulatnie, jak nikt inny, przebadal wersalskie ogrody i znalazł w nich złotą liczbę.

Daniel Souillol, profesor z politechniki, który rozwinął całą fascynującą psychoanalityczną literaturę na temat Ludwika XIV.

Historycy: Pierre Bonnaure oraz Aurélia Rostaing, wielcy specjaliści od Le Nôtre'a, którzy podzielili się z nami swoim zamiłowaniem do wspaniałego królewskiego ogrodnika.

Beatrix Saule, główna kustoszka zamku w Wersalu, która wprowadziła nas w tajemnicę Apollina i wybaczyła kilka powieściowych odstępstw od historycznej prawdy.

Gabriel Novello, główny hydraulik-specjalista od fontann w Wersalu, Marly-le-Roi i Saint-Cloud, który oprowadzał nas po podziemnych labiryntach (dziękujemy również Brice, że nas z nim poznała).

Specjaliści ds. bezpieczeństwa komputerowego, Mauro Israel, François Pavé, Nicolas Ruff, Olivier Ménager, którzy pomogli nam opracować scenariusz (akceptowalny) światowej awarii Internetu.

Jean-Baptiste Durand, internetowy wachtowy, za jego olbrzymią kreatywność.

Daniel Temam za jego refleksje matematyczne (i filozoficzne)!

Hélène Vecchiali za psychoanalityczne spojrzenie na charaktery naszych bohaterów oraz jej niezawodne wsparcie.
- Michelowi Coninowi, za jego historyczne refleksje oraz za to, że „pożyczył” nam scenografię powieści, swoją willę Trianon, dawne domostwo Elsie de Wolfe.

Ta książka nie ujrzałaby też światła dziennego bez:

przyjaciół, którzy pomagali nam lub dodawali odwagi: Isabelle Sathicq, Sonia Bardet, Rémi Deffarges, Dominique Ma-taillet, Fabiola Flex, Christian Bommelaer, Luc Fayard, Anita Dexmier, Etienne Demailly, William Coop, Christine Rodwell, Christine Balesdent (i jej niezawodne oko), Jacques Gautrand.

Helene i Dominique Kriz, które towarzyszyły nam w naszych peregrynacjach podczas pokazów fontann w wersalskich ogrodach.

Thierry'ego i Sophie Kerdellant, rozważnych krytyków i czytelników pierwszej chwili, z którymi „ponownie zwidzieliśmy” Wersal.

Sylvie Kerdellant oraz wielkiej rodziny kuzynów z Fer-manville, których lobbing za powieścią przygodową przyniósł swoje owoce.

Szczególne podziękowanie składamy:

Isabelle i Nicolasowi Meyer, którzy byli cierpliwymi i uważnymi pierwszymi czytelnikami tej książki i wnieśli swoje krytyczne spojrzenie.

Nadette i Michelowi Kerdellant, Yvonne Dufour oraz oczywiście Jeanowi-Maxowi, którzy dali nam swoje bezwarunkowe wsparcie i stworzyli warunki sprzyjające ukończeniu powieści.

515

I wreszcie bardzo dziękujemy naszym wydawcom, Nicole Lattes, Leonello Brandoliniemu i Stephane'owi Barsacowi, który pierwszy uwierzył w ideę tej książki i ją wzbogacił.



Eric Meyer - paryski dziennikarz, zastępca redaktora naczelnego czasopisma „Geo”. Autor kilku powieści, w tym *Sois riche et tais-toi!* (Robert Laffont, 2002) oraz *L du dragon vert* (Ramsay, 2004).

Christie Kerdellant - paryska dziennikarka, zastępca dyrektora redakcji „L'Express”. Wydała kilka powieści. W Polsce do tej pory ukazała się jej książka *Dziesięć minut po miłości* (Świat Książki, 2004).

Autorzy wydali wspólnie prócz *Cyfrowe katastrofy* jeszcze dwie książki: *Les ressu scités* (Flammarion 2004) oraz *Le plus beau métier du monde* (Flammarion, 2004). Poza tym, założyli dwa miesięczniki: „Arts Magazine” oraz „Newbiz”.